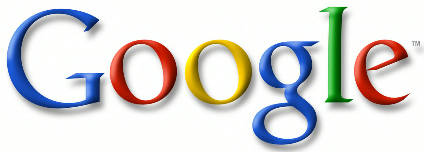
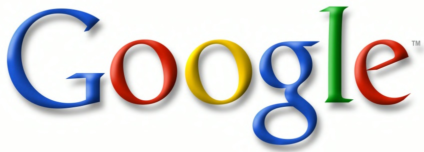
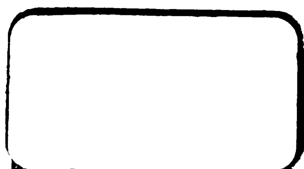






LISTY

DYONIZYI PONIATOWSKIEJ

DO

BOHDANA I JÓZEFA ZALESKICH

TOM I.

KRAKÓW
G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1900





DYONIZYA PONIATOWSKA

* 1816 † 1868.

LISTY

DYONIZYI PONIATOWSKIEJ

DO

BOHDANA I JÓZEFA ZALESKICH

TOM I.

KRAKÓW
G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1900



KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

PRZEDMOWA.

Ogłaszając niniejsze listy pani Dyonizyi Poniatowskiej, pozostałe w papierach pośmiertnych Bohdana Zaleskiego, spełniam wyraźną Ojca mego wolę. Do tych listów dołączona była następująca notatka jego ręką skreślona: „W listach „Dyonizyi jest mądrość nie świecka, ale Boża: jakoby pro„mieniący Cherubin po swojemu przed Panem śpiewa jego „chwałę. Listy te tworzą niby ciąg zupełny filozofii chrześcijań„skiej, filozofii samorodnej ukraińskiej, jak nasz step świeżej, „bujnej i bezbrzeżnej. Wydaje się, że ziemia przy niebie, „a niebo przy ziemi i jakby nie było między niemi rozdziału, „tak duma swobodnie i Bóg jej bliżej. Myśli jej, jako gwia„zdy przewodniczki świecą mi z wysokości na bezdroża i ka„żda sama w sobie jest światem gdzieś w rozstrzeniach i ka„żda zapłodniona jest słowem Bożem“.

Bohdan Zaleski miał zamiar zająć się sam wydaniem tych listów, lecz stosunki rodzinne stały mu na przeszkodzie. Jak sam pisał w przedmowie do dzieła wydanego w 1875 r. p. t.: „*Bolesław Wstydliwy* i *Leszek Czarny*“, zakaz familii pani Poniatowskiej nie pozwalał uchylić osłony, pod którą musiała ukrywać się bezimienność autorki i zamykał usta wydawcy, który miał „tyle do powiedzenia“.

Dziś, znikły już przeszkody, które zmuszały do zatajenia nazwiska pani Dyonizyi Poniatowskiej, lecz zarazem ubyły prawie wszystkie osoby, które ją znały i mogły przeto dokładnie o niej pisać. Stając się wydawcą tych listów, nie chciałem ich puścić w świat bez krótkiego życiorysu ś. p. Dyonizyi; to też opierając się na zeznaniach piśmiennych i ustnych wiarogodnych świadków, zebrałem ile mogłem szczegółów ku oświetleniu jej żywota i wskazaniu główniejszych rysów charakteru.

Najstosowniej będzie na samym wstępie przytoczyć kilka ustępów z przedmowy napisanej przez Bohdana Zaleskiego do dzieła pani Poniatowskiej p. t.: „**Bolesław Wstydliwy i Leszek Czarny**“:

„Ś. p. autor nie był, chowaj Boże, nowicyuszem na polu „literackiem, i owszem od najrańszych lat pracował dużo jako „publicysta, historyk i pisarz religijny. Myśliciel, podniosłego „ducha i zarazem niezłomnej prawowierności, brał on sło„wem, piórem i czynem gorący udział we wszystkich niemal „ważniejszych sprawach naszego wieku, a mianowicie w spra„wach tyczących się Kościoła i Polskiego Narodu. Wiele pism „polemicznych i moralnych, szerszych to szczuplejszych, ogła„szał wcześniej drukiem, bądź w osobnych dziełach, bądź po „dziennikach krajowych i zagranicznych. Na dziesiątek lat „przed śmiercią zamierzył był napisanie dziejów Lechii Wscho„dniej i Zachodniej w jednem całkowitem ich zestawieniu „i nakreślił sobie tę pracę wedle nowego ideału, zgodnego „z własnym jego sposobem widzenia rzeczy. W tym celu po„dejmował długie i sumienne studya, szperając z niezmordo„waną wolą i wytrwałością w księgach źródłowych, groma„dząc ze dnia na dzień ogromne zasoby wiadomości potrze„bnych do dzieła zakrojonego na wielkie rozmiary...“

....„Dzieje panowania Bolesława Wstydliwego i Leszka „Czarnego noszą także na sobie piętno improwizacyi i niewy„kończenia. Zabrakło oczywiście autorowi czasu do syme-

„trycznego rozwinięcia, zaokrąglenia i powiązania szczelniej-„szego cząstek z całością. Jako wydawca, wskazuję tę ujemną „stronę pogrobowej pracy: ale jakże góruje ponad nią strona „jej dodatnia. Autor stoi na stanowisku czysto kościelnem „i katolickiem, na stanowisku tak wybitnie wyróżniającem „jego kartki od innych naszych pism dziejopisarskich. I jakiż „w tych kartkach wysoki nastrój ducha! Ile głębokich po-„strzeżeń, ile wybłysków myśli nierzadko genialnych!“

...„Tyle o książce. Osobiście czuję ucisk wielki w sercu „na wspomnienie o człowieku, którego całą duszą miłowa-„łem, wielbiłem, a o którym do czasu milczeć muszę. I za-„prawdę bezdeń to melancholii, stać tak z palcem na ustach, „chłodnym, bezmownym, kiedy tyle byłoby do powiedzenia. „Bezimienny autor za żywota swego był mi druhem wiernym „i opiekuńczym, rozmodlonym aniołem w bolach i tęsknotach „na Tebaidzie tu mojej tułaczej“.

Teraz jeszcze kilka niezbędnych dla czytelnika objaśnień. Pierwsze listy pisane były po francusku, dla większej dogodności przetłómaczone zostały na język polski przez czcigodną panię Sewerynę Duchińską, która ochoczo podjęła się tej pracy, za co składam jej najgłębsze podziękowanie.

Wszystkie prawie listy tu ogłoszone pisane były do Bohdana i do Józefa Zaleskich[1]); w niektórych z nich znajdują się wzmianki o osobach lub wypadkach, które tylko z domysłu odgadnąć można. Trzeba bowiem myślą przenieść się w czasy Mikołaja I i przypomnieć sobie jak trudne i niebezpieczne nawet było dla krajowców korespondowanie z emigrantami. Stosunek z wychodźcą był zakazany, przeto nazwisko jego musiało być opuszczone w listach. Nieraz lata mijały bez wieści o tułaczu, co też tłumaczy przerwy w kores-

---

[1]) Dołączono do zbioru kilkanaście listów do pani Iwanowskiej, do pani Rzewuskiej itd.; listy te były udzielone Bohdanowi Zaleskiemu kiedy bezpośrednia korespondencya była utrudnioną.

pondencyi. Matka pani Dyonizyi, Felicya Iwanowska i jej wujenka, Józefowa Zaleska zostały zesłane w głąb Rosyi w 1838 r., za utrzymywanie listownych stosunków z Józefem i z Bohdanem Zaleskimi. Pierwsza zesłana była do Kurska, gdzie straciła syna Rościsława; druga do Saratowa. Stąd owe ostrożności zachowane w listach, aby nikogo nie kompromitować i nie narażać. Korzystano ze sposobności, z pośrednictwa osoby wyjeżdżającej lub wracającej, by listy pewnie doszły do rąk przeznaczonych. Najczęściej pośredniczyła w tej korespondencyi siostra Dyonizyi, Pani Rzewuska [1], przez którą dochodziły wiadomości z kraju i wracały listy tułaczów. Dopiero kiedy państwo Poniatowscy wyjeżdżali za granicę, korespondencya mogła swobodnie się zawiązywać.

Szczegóły biograficzne o pani Dyonizyi Poniatowskiej nie są obfite. Pani Rzewuska, jej siostra, zamierzała napisać jej życiorys, lecz zapewne z powodów rodzinnych musiała odstąpić od swego zamiaru. Najobszerniejszy i najdokładniejszy materyał znajduje się w biografii skreślonej przez Helleniusza w dziele: „*Wspomnienia lat minionych*“, (tom 2-gi, str. 531) [2].

Nazwisko Dyonizyi Poniatowskiej mało jest dotąd publiczności znane. Kto wie obecnie, że była ona autorką dzieł historycznych i licznych prac? Osoby żyjące w jej otoczeniu, w sąsiedztwie albo w stosunkach przyjaźni oceniały wysoko jej zdolności umysłowe i szlachetność serca. Sama posuwała skromność do najwyższego stopnia; nie pozwalała, by wzmiankowano o niej, by wspominano jej prace i uczynki.

Dyonizya Poniatowska urodziła się 7/19 listopada 1816 r.

---

[1]) Konstancya hr. Rzewuska, siostra Dyonizyi, była także literatką. Wydała: „Wspomnienia z młodości od r. 1830 do 1858 przez K. Nehemara“. „Wspomnienie pierwsze, Sylwia 2 tomy“ (Lwów 1874 r.). Umarła w Narajówce, na Podolu 6 (18) stycznia 1880 r.

[2]) Dzieło to wyszło w Krakowie w 1876 r., w księgarni W. Miłkowskiego.

w Kuryłówce na Podolu; była córką Dyonizego Iwanowskiego i Felicyi z Zaleskich, rodzonej siostry Józefa Zaleskiego.

Młodość przepędziła w domu rodzicielskim w Kuryłówce, gdzie pod okiem matki odebrała gruntowne i religijne wykształcenie. Guwernantka jej, pani Morland, emigrantka francuska, obznajmiła ją wcześnie z językiem i z literaturą francuską. Obdarzona bystrym umysłem i poetycką wyobraźnią, młoda uczennica łatwo przyjmowała nauki; czytywała książki z zapałem i wysnuwała z siebie myśli, które jasno wykładała.

Dyonizya zaślubiła 28 października 1832 r., hrabiego Daryusza Poniatowskiego, syna pułkownika Józefa, który, nabywszy znaczną część dóbr księcia Stanisława Poniatowskiego, leżących w powiecie Kaniowskim, na Ukrainie, doszedł mądrem gospodarstwem, rozumem i pracą do wielkiego majątku. Młoda Podolanka, bogata, uroczej piękności, wychodząc za mąż posiadała głęboką bogobojność i najszlachetniejsze przymioty duszy przejętej wiarą katolicką.

Wszedłszy do zamożnego domu Poniatowskich, stała się jego ozdobą. Przez jakiś czas błyszczała w świecie niepospolitą pięknością, wysokiem wykształceniem i czarującym wpływem. Wkrótce wątłe jej zdrowie zmusiło męża, który otaczał ją staraniami, do wyjazdu za granicę. Państwo Poniatowscy zatrzymali się przez dłuższy czas w Niemczech i osiedli w Mannheim, gdzie mieszkali generałostwo Szymanowscy. Pani Matylda Szymanowska była rodzoną siostrą Daryusza Poniatowskiego. W tem to mieście poznali się i zaprzyjaźnili z Zygmuntem Krasińskim. Jednak jednym z celów podróży było spotkanie z Józefem Zaleskim, wujem Dyonizyi, dawnym wojskowym, który wziąwszy udział w powstaniu 1830 r., jako major wojsk polskich, musiał po jego upadku porzucić kraj rodzinny. Mieszkał on wówczas w Strasburgu, wraz z przybranym bratem a nieodstępnym towarzyszem, Bohdanem Zaleskim, z którym dzielił koleje życia tułackiego. Dopiero

w 1836 r. Dyonizya mogła się spotkać z ukochanym wujem, który ją opuścił dzieckiem i do którego miała wielkie przywiązanie. Po pierwszych uściskach, oznajmiła chęć poznania Bohdana, bawiącego w Molsheim i zajętego pisaniem poematu p. t. *Złota Duma*, w którym miał opiewać przechodzenie jednej duszy w różne ciała. Mimo kilkakrotnego wezwania Józefa, Bohdan głęboko zadumany a nie lubiący świata, nie chciał się oderwać od pracy; nareszcie dał się skłonić: we wrześniu 1836 r. przyjechał do Kehl, nad brzeg Renu, gdzie zamieszkiwali państwo Poniatowscy. Spotkanie młodej i pięknej Ukrainki, pełnej nastroju poetyckiego i religijnego, wywarło silne wrażenie na osamotnionym tułaczu. Odgłos tego spotkania znajdujemy w następujących wierszach:

„Ren gdzieś szumi [1])
. . . .
Żegna lubą swą w boleści
Więc i ona nie popieści?
. . . .
Odtąd mętne życia fale
Mglą się straszniej itd.

Po kilku dniach spędzonych nad Renem, w miłem towarzystwie, wśród przypomnień Ukrainy, nastąpiło rozłączenie. Wróciwszy do cichego zakątka, Bohdan napisał poemat *„Duch od stepu“*, lecz oderwany od dawniejszego planu, niedokończył zaczętej poprzednio *„Złotej dumy“*.

Od tego czasu zawiązała się między Dyonizyą Poniatowską i Bohdanem Zaleskim serdeczna przyjaźń, która przetrwała aż do śmierci. Odtąd Dyonizya stała się wierną i opiekuńczą siostrą, jak sam pisał: „rozmodlonym aniołem w bolach i tęsknotach na Tebaidzie tułaczej“; odtąd jest ona idealną Ukrainą, Zoryną wymarzoną w młodości.

---

[1]) Duch od Stepu.

W liście do Jana Koźmiana, Bohdan tak o niej się wyraża: „Dyonizya, to Ukraina moja wcielona, Duch od stepów! „Mało ją znałeś i w chwilach wcale niepociesznych. Żebyś ty „czytał jej pisma! Kiedyś pokażę ci jej różne uwagi o religii, „literaturze, filozofii, narodowości itp. Tyle tam natchnienia, „głębokości, blasku a przytem świeżości i prostoty, że klękać! „Taka wszędy świeża i nowa. I nie jest to uprzedzenie moje. „Niemal wszyscy poeci polscy poznali w niej i uczcili ge„niusz".

W poezyach Bohdana Zaleskiego są częste wzmianki o Dyonizyi Poniatowskiej i o jej matce, Felicyi Iwanowskiej, a mianowicie w wierszach p. t.: *„Most kalinowy"*, *„Mara"* i wielu innych. Im to został poświęcony poemat: *„Przenajświętsza rodzina"*. W rękopiśmie pieśni p. t.: *„Smutki"*, znajdują się następujące wiersze, które dopiero w dziełach pośmiertnych były ogłoszone [1]):

Panie! o Panie! co się z niemi dzieje?
Wieść stamtąd leci ustawnie tak smętna [2]),
W łonie złowróżbe pobrzmiewają tętna,
Toż wypieszczone wielu dni nadzieje
W niwecz nie pójdą — rozwieją się pyłem
I znowu będę nędzarz — jako byłem?

Panie! od zgrozy kostnieje mi ciało
Miłość ku jednej [3]), och miłość nie świecka
Jam ją ukochał nabożeństwem dziecka,
Co pieszczot matki nigdy nie zaznało!
Jak po modlitwie, uroczyście, święcie,
Biegliśmy wzajem spłakani w objęcie.

---

[1]) Dzieła pośmiertne B. Z., tom I, str. 85.

[2]) Aluzya do wysłania w głąb Rosyi pani Józefowej Zaleskiej i pani Felicyi Iwanowskiej.

[3]) Felicya Iwanowska.

I wtórąm [1]) kochał, kochał niecieleśnie!
Miłość ta wszczęta pod strażą Jezusa!
Naziemski, brudny ów owad, pokusa
Nie pił krwi mojej na jawie i we śnie:
Och! nigdym w Panu nie złamał sojuszu,
Skinieniem oczu, lub słówkiem do uszu.

Ale najwierniej streszczone są uczucia poety dla przybranej siostry w wierszu napisanym w późniejszych już czasach p. t.: *„Po leciech ku Zorynie“* [2]), który w rękopiśmie nosi tytuł: *„Polecenie Dumek“ pani Dyonizyi Poniatowskiej:*

Siostro, dwa duchy my bliźnie
Tyś rozmodlona — lat tyle
Wzlatasz ku wolnych ojczyźnie;
Ja rozśpiewany — na chwilę
W zaziemski żywot skrzydlaty
W żywot on spólny — pamiętasz?
W raj utracony przed laty,
Zdążam za tobą przez cmętarz.

Sny tu z z rajskiego ogrodu,
Porajskie żale i płacze
W pieśni skrysztalone, — od młodu
Dni umilały tułacze;
Dziś, gdy już gęściej śnieg pruszy,
Nim ku cieplicom odlecę
Dumki, sieroty mej duszy
W twojej zostawiam opiece.

Wiązka zwiędłego ot kwiecia!
Mniejsza, że moi potomni
Jutro ją cisną na śmiecia!
Lecz Tobie ona przypomni
Wonią fiołków, konwalii
Oczarowanie tej wiosny

---

[1]) Dyonizya Poniatowska.
[2]) Pisma J. B. Z., t. 4, str. 79 (Lwów 1877).

Co wciąż za nami z oddali
W rozgwar pobrzmiewa miłosny.

O byłoć ongi tu śpiewno!
W chorowód wieszczów dobrany
Z tobąm ja, stepów królewno,
Przyzwał Rusałki, Hetmany:
Gęśl złotostruna w mym ręku
Strojnie huczała do wtóru,
Aby żadnego rozdźwięku
Nie brakło Polsce do chóru.

Wszystko zamiera w jesieni:
Módlmyż się cicho i święcie!
Znikome cienie — do cieni
Nie uganiajmy w objęcie!
Ściszmy i Dumki ptaszęce
Aż odmłodniejem oboje
I z aniołami pod ręce
Odnajdziem gniazdko gdzieś swoje.

„Złączona była — pisze Helleniusz w wyżej wspomnianem „dziele — szczególną sympatyą i pokrewieństwem z Bohdanem „Zaleskim, tak dalece, że te dwie dusze były jak dwa akordy, „które się w jeden głos zlewały; wszystkie najpiękniejsze pie„śni Bohdana Zaleskiego były jakoby wypowiedzeniem jej „uczuć, zdaje się, że przez nią były natchnione. Kto czytał te „pieśni słowicze, pełne harmonii, piękności, wdzięku prawie „nieznanego w języku naszym, a słyszał p. Dyonizyę Ponia„towską na Ukrainie o tradycyach i pieśniach ludu mówiącą, „uznawał, że to były dwa głosy jednego serca, jednej duszy, „kołysanej ukraińską piosenką".

W grudniu 1836 r. Dyonizya powróciła na Ukrainę, do Tahańczy, majątku męża, gdzie zatrudniała się wychowaniem dzieci krewnych lub uczeniem dziatwy wiejskiej, dla której założyła szkółkę. Kiedy matka jej i wujenka zesłane zostały

w głąb Rosyi, podjęła się wychowania młodszej siostry Józefy i Franciszka Zaleskiego, syna Józefa.

Bądź z *„Gniazdka“* (Kuryłówki)[1], bądź *„z domu“* (Tahanczy)[2] pisywała listy pełne osłody, pocieszenia, spokoju, które spadały jak rosa na zbolałe serca braci wygnańców, mieszkających samotnie w zacisznych i odludnych zakątkach Francyi i tęskniących za rodzinnemi stronami ukochanej Ukrainy. To też łatwo pojąć z jakiem radośnem uczuciem oczekiwane i czytywane były te listy wśród pielgrzymki tułaczej, czy to w spokojnym Endoume, miasteczku nad skalistym brzegiem Morza Śródziemnego, czy w Fontainebleau, uroczo położonym pomiędzy lasami. Kiedy Bohdan nucił tęskne dumy i nosząc w sercu nieutulony żal po stracie ojczyzny, poddawał się smutkom, nadchodził z dalekich stron, z nad burzanów i stepów Ukrainy, miły i siostrzany głos, który rozpogadzał zachmurzone czoło, pokrzepiał zwątlone siły i wlewał w serce wiarę, miłość i nadzieję. Sam poeta opisał stan duszy w wierszu do Józefa Zaleskiego p. t.: *„Nasze Endoume“*[3].

Mój jedynaku Józefie kochany,
W tem naszem Endoume sierocem,
Dwaj samotniki — jako pelikany,
Ku sobie jeno klekocem.
Morze i skały, kraj nagi, a pusty.
Co było wczora, toż dzisia,
Toż będzie jutro — a jąkamy usty
Bóg, Polska, Mamcia[4]) i Nisia[5]).
. . . .
. . . .

---

[1]) Majątek pani Iwanowskiej, dziś należy do p. Adama Orłowskiego.

[2]) Majątek Poniatowskich, dziś w rękach hr. Buturlinów.

[3]) Endoume, wioska niegdyś pod Marsylią, nad samem morzem, gdzie zamieszkiwali Zalescy w r. 1838, dziś jest przedmieściem Marsylii.

[4]) Felicya Iwanowska.

[5]) Dyonizya Poniatowska.

Burza nie codzień, Józefie, nie codzień
Bywa pogoda i tęcza!
O pożądany puka tam przychodzień [1])
I listy z kraju doręcza
Serca się nasze na falach unoszą —
Godujem, klaszczem ku sobie;
I niewspomnimy pijani rozkoszą
Że chodzim w grubej żałobie.

Listy zaczynające się powitaniem młodziutkiej Ukrainki, obejmują cały niemal jej żywot i kończą się z jej śmiercią. Wskazują one myśli i uczucia, które duszę jej przepełniały, lecz mało zawierają szczegółów biograficznych o samej autorce. Niestety listy Bohdana, w odpowiedzi na nie, zostały zagubione i prawdopodobnie zniszczone. W każdym razie, mimo kilkoletnich starań, nie dały się dotychczas odszukać; ledwie udało się odnaleść kilkanaście listów z ostatnich czasów. Cała korespondencya z pierwszych lat, najpiękniejsza i najważniejsza, musiała uledz zniszczeniu.

Życie Dyonizyi na Ukrainie było przepełnione różnymi obowiązkami, które nakładała na siebie. Kiedy mąż zwiedzał majątki i fabryki, ona siedząc w domu, uczyła wiejskie dzieci, pracowała umysłowo, odwiedzała wieśniaczki. Drogim był jej sercu lud ukraiński, do którego przywiązała się nad wszelki wyraz. Zamiast zabaw światowych, w dzień imienin Józefa i Bohdana, urządzała zabawę i ucztę dla wieśniaków. Wychowywała ubogie panienki sieroty, które przez kilkanaście lat we własnym domu na nauczycielki kształciła. Po skończeniu edukacyi, uposażała każdę i o każdej pamiętała. Nietylko starsze panienki uczyła katechizmu, ale i dzieci małe szlacheckie obojej płci. Napisała nawet katechizm również jak i „Historyę Polską“ [2]) na użytek młodego pokolenia.

---

[1]) Listonosz często składał listy dla braci Zaleskich w skale pobliskiej ich domu w Endoume.

[2]) Katechizm był drukowany, „Dzieje Polski“ leżą w rękopisie, rów-

Z boleścią patrzała na uciski jakie lud ponosił, gorąco pragnęła uwolnienia włościan i wszelkimi sposobami dążyła do tego kroku, wpływając na opinię publiczną i na znajomych; sama dawała przykład szlachetnego obchodzenia się z ludem wiejskim i błagała by z nim postępowano po bratersku. Okazywała swoją miłością dla ludu, jaki zbawienny wpływ można było mieć na Ukrainie. Czynem i słowem dawała przykład w sferze swej kobiecej działalności. Skąd p. Dyonizya czerpała te uczucia? Z własnego przedewszystkiem rozumu, ale prawdopodobnie jak to widać z jej listów i z natchnienia Bohdana i Józefa Zaleskich, którzy od najmłodszych lat przejęci gorącą miłością dla ludu, radzi byli ją przelać w wyższą duszę i czynem użyźnić.

„Kochała—pisze Helleniusz—lud ukrainski, z którym żyła, „wśród którego się urodziła, sercem matki, myśli jej i uczu„cia zachwycające cechowały istotę nieskończenie duchowo „i moralnie piękną. Pragnienie szczęścia ubogich i uciśnionych „włościan było w niej silne, głębokie; miłość dla nich ser„deczna, rzewna i pełna prostoty; wtedy mówiąc półgłosem „wzruszała do łez. Główny jej wpływ był w żywem słowie, „w widzialnem, iż tak rzekę, jakby słonecznem świeceniu się „jej serca i ducha; wpływ jej żyjącego słowa był silny i roz„legły, słyszano ją w kraju i na emigracyi, nikt jej nie wy„równał i nie zastąpił. Towarzystwo jej było siłą dla ducha, „światłem dla rozumu, zachwyceniem dla serca. W tym ro„zumie uczonym i jasnym, w sercu pełnem niewyczerpanej „miłości, w uczuciu pięknem była silna i wyższa energia du„cha, która widocznie rosła w miarę przybywających osób, „które w niej pobudkę do wiary i szlachetności czerpały. Nie„zapomnianą jest ta niewiasta; godną była, aby dłutem ge„niuszu wyryte były jej rysy".

---

nież jak praca o „Sztuce", której początek brakuje i kilka politycznych rozpraw.

„Konstanty Świdziński, najuczeńszy z ludzi naszego „kraju, podziwiał jej erudycyą, gruntowną znajomość dziejów „polskich. Kroniki polskie, łacińskie znała wybornie, najzawilsze „dziejowe kwestye treściwie rozjaśniała, była prawdziwym znawcą „dziejów polskich i literatury polskiej. W przyjaznych była stosun„kach z księdzem Stanisławem Chołoniewskim, swym sąsiadem, „najdostojniejszym kapłanem i pisarzem polskim, który w żar„liwej wierze, dostojności osobistej wyrównywał wielkim mę„żom naszego Kościoła w XVI wieku, chętnie i często w to„warzystwie p. Poniatowskiej przebywał. Wydrukował odpo„wiedź na uczynione mu przez nią zapytania. Prawdą i świę„tością katolickiego dogmatu Dyonizya Poniatowska najzupeł„niej do głębi ducha swego była przejętą, pojmując go „w najsubtelniejszych odcieniach, w stosunku z każdym szcze„gółem życia ludzkiego, w sferze indywidualnej i społecznej. „Duch i wpływ tej niewiasty były najzupełniej katolickie".

Nie żyła dla siebie, poświęcała siebie na ofiarę Bogu; zapełniała swe serce miłością dla biednych. Bywało czasem, że w jej salonie zgromadzi się wiele gości, ona szybkim wzrokiem spojrzy na wszystkich, zauważy, że ktoś smutny, a oszukać jej w tem niepodobno było i dopóty pieści, prosi i zapłacze razem, aż pocieszy.

Wbrew zamiłowaniu ku rodzinnej ziemi, musiała wyjeżdżać za granicę, z powodu wątłego zdrowia. W 1842. r. przybyła do Rzymu, gdzie prawie cały rok spędziła, dojeżdżając niekiedy do Florencyi, do ciotki Buturlinowej. W r. 1843. Józef i Bohdan Zalescy, przed wyjazdem do Ziemi Świętej, spędzili trzy miesiące z państwem Poniatowskimi w Rzymie[1]). Po użyciu wód w Schwalbach i kąpieli morskich w Ostendzie, Dyonizya powróciła do domu na Ukrainę w końcu r. 1843. trochę pokrzepiona na siłach fizycznych. Z powrotem, rozpo-

---

[1]) Listy Bohdana i Józefa Zaleskich, opisujące podróż do Ziemi Świętej, zostały z innymi prawdopodobnie zniszczone.

częła na nowo wiejskie życie, chętnie odwiedzała sąsiadów, a dobrem słowem i uczynkami wywierała wpływ na swoich i na lud. Zawiązała wtedy znajomość z Michałem Grabowskim, przyjacielem z lat młodości Bohdana; przez nią to odnowił się dawny stosunek między kolegami szkolnymi z Humania.

Nauka Andrzeja Towiańskiego znalazła w niej zaciętego wroga; opierając się na gruncie dogmatu katolickiego, walczyła przeciwko nowym teoryom. Liczne stosunki jakie miała na Ukrainie i na Podolu pozwalały jej oddziaływać korzystnie i skutecznie w tej mierze na obywatelstwo, a szczególnie na młodzież.

Tak dziesięć lat spędziła na Ukrainie, prowadząc na kresach życie niewiasty polskiej i katolickiej. Lecz piersi jej nie domagały; wkrótce tak groźne pokazały się symptomata, że doktorzy nakazali wyjazd na południe Europy, do cieplejszego kraju. Dyonizyę, która dawniej tyle słynęła urodą, choroba i cierpienia zmieniły do niepoznania. Bardzo bolesnem było rozłączenie się z ziemią rodzinną, której już nie miała obaczyć. W styczniu 1853 r., państwo Poniatowscy przyjechali do Rzymu, gdzie kilka lat przebyli czyniąc stąd wycieczki do wód i do Paryża.

W marcu 1853 r., po dziesięcioletniem niewidzeniu pani Dyonizyi Poniatowskiej, Bohdan Zaleski, który w ciągu tej pory zawarł był śluby małżeńskie z panną Zofią Rosengardtówną, udał się do Rzymu. W liście do żony tak się wyraża: „Nie zdołam wypowiedzieć co uczułem w sercu, na widok jej, „tak zmienionej po latach dziesięciu, żadnym sposobem uwie„rzyć nie mogłem, że to Dyzia. Podając rękę i w uściskach „powitania, jeszcze wątpiłem, ażali ona. Po głosie dopiero, „a bardziej po świętej woni słów, poznałem naszego anioła. „Co to za okrutnik ten czas! Pustoszy naokoło nas i w nas „samych. Dyzię odarł aż do niepoznania, nie że wątła, zwię„dła, blada, ale rysy zmieniły się całkiem i zgrubiały. Dopiero

„kiedyśmy usiedli obok siebie i dłoń w dłoni jak przed laty „zaczęli rozmowę, Dyzia ożywiła się i odmłodniała, bo duch „zawsze jednaki, ten sam na żywot i na wieczność. W przer-„wach cierpienia, kiedy jej ból niedokucza, improwizuje tak „piękne, święte, budujące rzeczy, że nasłuchać się nie można, „ani napatrzeć jej duchowej piękności. Z tem wszystkiem ataki „to nerwowe, przemijające“.

Osłabienie przychodziło takie, że czasem przez miesiące zmuszoną była leżeć; mimo to, żyła w otoczeniu uczonych, oddając się pracom i studyom historycznym i religijnym, do których miała osobny popęd. „Najznakomitsi [1]) ludzie naszej „epoki skłaniali głowę przed panią Poniatowską. W Rzymie „była ona osią towarzystwa polskiego, węzłem kraju z ko-„ściołem, w kraju duszą życia katolickiego. Kryła się z przy-„miotami i talentami, w jakie ją Bóg hojnie uposażył. Pisała „dużo i znakomicie, ale choć wszyscy poeci polscy uznali ge-„nialność jej pióra, nie chciała nigdy uchylić tajemnicy. Zaledwie „po zgonie jej dowiedziano się, iż była czynną współpracow-„niczką *Przeglądu poznańskiego.* A co jej prac zniknęło i za-„ginęło o rzeczach polskich, o kwestyach duchowych i du-„chownych, katolickich i filozoficznych. Bohdan w niej upa-„trywał żywe wcielenie swojej Ukrainy, uosobienie Ducha od „Stepu. Józef Zaleski ukochanem zwał dzieckiem swojem, naj-„milszą Dyzią, bolejąc nad jej przedwczesnem uwiędnięciem. „Zbyt ognista dusza rychło wątłe strawiła ciało. Zgasła „w kwiecie wieku, podobnie jak jej siostra Orłowska, ten „ideał kobiecego uroku, skromnego a pobożnego wdzięku, „której wizerunek pobożny w pismach O. Kajsiewicza odna-„leść można. Pani Rzewuska, mniej wysokiego od pani Po-„niatowskiej polotu, mniej cichego od pani Orłowskiej na-„stroju, bardziej od tamtych światowa, nie ustępowała im „pod względem serca“.

---

[1]) Bohdan Zaleski. „Przegląd polski“, styczeń, luty, marzec 1887 r.

Wówczas bawiło w Rzymie liczne towarzystwo polskie, a mianowicie generał Józef Szymanowski, szwagier Daryusza Poniatowskiego, Buturlinowie, szwagier i siostra Daryusza, Łubieńscy, Artur Kościelski, Olizar itd. Najczęstszymi gośćmi państwa Poniatowskich byli księża Zmartwychwstańcy, a szczególnie ksiądz Kajsiewicz, który o niej mawiał, że pani Poniatowska jest najrozumniejszą ze wszystkich kobiet, jakie w życiu spotkał, a nawet ze wszystkich, które dziś żyją. Teofil Lenartowicz, mieszkający wówczas we Włoszech, doznawał też najserdeczniejszego przyjęcia i opieki. Kardynałowie, dygnitarze kościoła, Montalembert i Ludwik Veuillot do jej salonu uczęszczali.

Zdrowie jednak ciągle niedomagało; w sierpniu 1853 r. doktorzy wysłali Dyonizyę na kuracyę do wód Cauterets w Pyreneach. Podróż odbyła się wolno, w powozie. Państwu Poniatowskim towarzyszyli Józef Zaleski i ksiądz Hieronim Kajsiewicz. Tam, mimo stanu chorobliwego, mimo słabości, która chodzić niedozwalała, Dyonizya kazała się nosić do chorych, o osamotnieniu których wiedziała; przez parę godzin przy ich łóżku siadywała codziennie; namawiała do spowiedzi i do komunii, a po śmierci, ostatnie im oddawała usługi.

W listach Józefa Zaleskiego opisane są jej niezliczone uczynki. Przytoczę tu parę jeno ustępów:

Cauterets, 6 sierpnia 1853 r.

„Nasza kochana Dyzia ma się nibyto trochę lepiej, na „chwilę bywa zdaje się rzeźwiejsza, czasem w przerwach od „świętego zamysłu, wraca na lica ów dawny dziewczęcy „uśmiech, z którym jej było tak ładnie; czasem przelotnie „mięsza się do naszej gawędy, ale to nie na długo, bo jej „tchu na długo nie starczy, czasem się zrywa trochę chodzić, „to znów gra na fortepianie, czasem gadamy serdecznie o was, „o Ukrainie i o swoich dalekich; wtenczas myśl błyskiem „skupia, wszystko co było, co znikło, co już nigdy niewróci; „robi się w sercu naraz i błogo i smutno. Doprawdy, przy

„tej anielskiej duszy, staję się lepszym, staję się pokorniej-„szym przed Bogiem, uczę się lepiej modlić i lepiej kochać „ludzi. Ona bo już tak oczyściła sumienie, że stoi wciąż pra-„wie przed Bogiem i łatwiej z nim obcuje. Te zamyślanie „się, w które wpada, że niewie co się w około dzieje, to nic „więcej tylko ciągła modlitwa i miłość dla bliźnich. Zaraz „was samą rzeczą przekonam: kilka dni temu była ona w ta-„kim właśnie stanie zadumania, kiedy przyjechał tutaj dyli-„żansem jakiś porządny człowiek, zdawało się, że czerstwy „i mocnego złożenia; po długiem szukaniu mieszkania dla sie-„bie, znalazł mały pokoik na trzeciem piętrze, naprzeciw na-„szego domu i najął. Idąc po schodach dla zajęcia go, padł „bez zmysłów, zrobił się hałas, zwołano doktorów, między in-„nymi naszego, puszczono choremu raz i drugi krew, i zanie-„siono nieprzytomnego na łóżko. Było to w wieczór; naza-„jutrz zrana po kawie, ks. Hieronim, Daryusz i ja staliśmy „w oknie i gadaliśmy o tym wypadku. Dyzia siedziała po „swojemu na kanapie naprzeciw, zatopiona w głębokiej mo-„dlitwie i nie mogła słyszeć cośmy mówili, bośmy mówili ci-„cho. Wyszedł Daryusz i ks. Hieronim; a Dyzia, jakby myślą „z nieba ockniona, odezwała się do mnie: „Józefciu, ten czło-„wiek co tam choruje, jest to biedny sam jeden i nieznajomy „nikomu, może umiera, pójdź, zobacz czy nie można przy-„nieść mu jakiej pomocy albo usługi“. I zabłysło w jej oczach „takie święte uczucie, że mnie wskróś niem przejęła. Uderzy-„łem się w pierś, czemu mnie samemu ta myśl nie przyszła „i poszedłem do chorego; niedługo po mnie przyszedł Da-„ryusz przysłany z krucyfiksem, ale już było zapóźno nawo-„ływać do życia, człowiek leżał bez przytomności i toczył „pianę skonania. Przy nim był ksiądz i jakaś babka, która się „na paciorkach modliła“.

2 września.

„Nasza Dyzia znacznie lepiej, już czwarty raz wczoraj „wieczór wróciła ze mną piechotą z Raillere, choć to wciąż

„z góry, a kiedyśmy tu przybyli, niemiała siły i dwóch minut „utrzymać się na nogach. Nagrodził jej Bóg za dobry uczy- „nek. Umarła tu temu trzy dni czy cztery, młoda 18-letnia „dziewczynka, hrabianka de Givry, przybyła sama z matką do „Paryża przed 6 tygodniami. Obie te panie niemiały nikogo „znajomego; prócz kilku doktorów, nikt u nich nie bywał. „Matka ze swoją córką chorą na suchoty gardlane, mieszkała „w jednym pokoju, który składał cały ich apartament; kiedy „już córka była bardzo źle, doktor nasz opowiadał jednego „wieczora do jakiego stopnia miłość matki może być ślepą, „kiedy chociaż jej to i mówią i sama widzi dobrze stan swego „dziecka, dotąd jeszcze nie wierzy, że już niema ratunku i że „śmierć dla jej córki tak blisko, owszem robi wciąż nowe „projekta, do jakich wód stąd pojedzie i o której porze na „przyszły rok znowu z córką tutaj powróci. — „A czy już „chora wyspowiadała się?“ zapytała Dyzia. — „Nikt jeszcze „nie ośmielił się matce tego zaproponować“, odpowiedział „doktor. — Po wyjściu doktora, Dyzia zadysponowała nosi- „dła, przemogła prośbami opozycyę Daryusza i kazała się za- „nieść do chorej. Odtąd przez siedm jeszcze dni życia niebo- „raczki, siadywała tam codzień parę godzin; chora wyspowia- „dała się, wszystkie Sakramenta przyjęła i spokojnie do samej „śmierci przytomna, w Bogu usnęła. We trzy dni potem przy- „jechał z Paryża biedny ojciec zmarłej, prawie na spotkanie „nas, niosących jego córkę do grobu. Oddał ostatnią usługę „dziecku swemu i zabrawszy żonę, zaraz wyjechał; jest to „pułkownik w służbie czynnej, z garnizonu paryskiego...“

W Paryżu, Dyonizya uczęszczała do bibliotek publicznych, ciągle robiła wypisy, wiele czasu poświęciła codziennej pracy nad historyą, badając rękopisy i gromadząc materyały. Zapoznała się z Franciszkiem Duchińskim, którego niektóre teorye się jej podobały, oraz z Vicquesnel'em, uczonym francuskim. Wówczas napisała dziełko p. t.: *Rodowody słowiańskie, Polska i Ruś* i toż samo po francusku: *Origines Slaves-*

Pologne et Ruthénie. W tem dziele streściła jasno i zwięźle różnicę pochodzenia, charakteru i dążeń między Polakami i Rusinami, oraz Moskalami.

Po pobycie w Paryżu, państwo Poniatowscy powrócili do Rzymu, gdzie z przerwami na wycieczki do wód przybywali do r. 1860. Co roku do nich dojeżdżała z kraju rodzina, Józef i Bohdan po kolei odwiedzali ich w odwiecznem mieście. Dyonizya zajmowała się żywo sprawami kościelnemi i traktowała z głęboką znajomością najwyższe kwestye teologiczne.

W r. 1860, po odbytej kuracyi w Vichy, państwo Poniatowscy przenieśli się na stałe mieszkanie do Hyères. Ta miejscowość położona w ślicznym kraju, pod ciepłem prowanckiem słońcem, ochroniona wzgórzami od wiatrów północnych, jest znaną oddawna jako stacya klimakteryczna. Główne ulice miasta są osadzone palmami; pomarańcze, aloesy i inne rośliny rosną pod gołem niebem. Tu, w ciszy i w oddaleniu od świata, w otoczeniu rodziców, Dyonizya zdawała się wracać do zdrowia i swobodnie pracowała nad dziełami treści historycznej. Wysyłała korespondencye do dzienników krajowych i francuskich. Rozprawy polskie Dyonizyi były drukowane w *Przeglądzie poznańskim.* Po francusku napisała bez liku artykułów i artykulików, ale ogłoszone bezimiennie w różnych dziennikach, mianowicie w *Univers*, w *Monde*, przepadły bez śladu.

Agaton Giller, znany patryota, cierpiący na piersi, przebywał w Hyères i doznawał serdecznego przyjęcia od rodziny Poniatowskich. Tak ich dom opisuje [1]): „Hyères, małe miasteczko nad Śródziemnem morzem, słynie z pięknego położenia i łagodnego klimatu. Bohdan często w niem przebywał, przyjeżdżając w odwiedziny do pani Felicyi Iwanowskiej, siostry Józefa Zaleskiego i jej córki, Dyonizyi Ponia-

[1]) Bohdan Zaleski przez Agatona Gillera. Poznań 1882 r.

„towskiej. Z powodu braterstwa z Józefem i one zaliczały „Bohdana do swojej rodziny i miały dla niego siostrzane du„sze. Wielkiego wykształcenia i charakteru, dochowały mu, „jak Józef Zaleski, aż do zgonu uczucia przyjaźni i rodzin„nego przywiązania, biorąc w jego losach serdeczny i opie„kuńczy udział".

Bronisław Zaleski, sybirak, znakomity pisarz, redaktor *Roczników* Towarzystwa literacko-historycznego w Paryżu, przepędził kilkakrotnie zimową porę w Hyères [1]), częstym był gościem u państwa Poniatowskich, u których zbierała się kolonia polska zimująca w tem uroczem ustroniu Francyi; zachwycony był głębokością umysłu, wiedzą wszechstronną oraz nabożnością pani Dyonizyi, dla której zachował dozgonną cześć i uwielbienie.

Franciszek Duchiński zimował także w Hyères; pracował on z Dyonizyą nad dziełami historycznemi. Pani Seweryna Duchińska wspomina o tym pobycie w tych słowach [2]): „W Hyères przebywały dwie zamożne rodziny ukraińskie Po„niatowskich i Iwanowskich. Pani Dyonizya Poniatowska, ko„bieta rozległej wiedzy, gorąca patryotka, znała od lat kilku „męża mego. Zachwycona jego historycznymi wywodami, „przebywając czasowo w Paryżu, stała się gorliwą jego zwo„lenniczką i propagatorką głoszonych przezeń zasad... Odtąd „rozwijająca się coraz bardziej piersiowa choroba zmusiła pa„nią Poniatowską do stałego pobytu w Hyères. Tu pomimo „zachwianego bardzo zdrowia, przedsięwzięła poważną i ob-

---

[1]) Hyères oddawna uczęszczane było przez Polaków, tam umarł w 1833 r. Kamil Mochnacki, brat Maurycego. Dziś Hyères stało się modną klimakteryczną stacyą, liczy obecnie przeszło 15.000 mieszkańców, jedna z ulic nosi nazwisko Poniatowskich, na pamięć pobytu i dobroczynności państwa Daryuszostwa Poniatowskich.

[2]) Seweryna Duchińska. „Wspomnienia z 29-letniego pożycia z mężem swoim 1864—1893". Paryż, Reiff 1894 r.

„szerną pracę także w języku francuskim. Przeprowadzała „w niej chronologicznie historyę walki cywilizacyjnej ludów „aryjskich (oraczy) przeciw ludom pasterskim, pochodzenia „turańskiego. Walkę tę pokazuje toczącą się przez wieki na „rozdrożu dwóch światów, na kotlinie Dnieprowej. Żywioł „aryjski, uosobiony w Lechitach, Rusinach i Litwinach, sta„wia naprzeciw sąsiedniej Moskwie, przedstawicielce Turani„zmu. Praca ta genialnej kobiety jest potwierdzeniem wywo„dów mego męża“.

„Podczas pobytu naszego w Hyères, w r. 1865, nie„zmordowana autorka pracowała nad tem dziełem, dociągnię„tem do dwóch obszernych tomów, a drukowanem w lat kilka „później, po jej śmierci“.

„Mąż mój znalazł się w Hyères, w żywiole zupełnie so„bie odpowiednim. Całe poranki pracował z panią Poniatow„ską, odbywał z nią narady, pomagał w przekładach na ję„zyk francuski *Statutu Wiślickiego* i innych niemniej ważnych „dokumentów. Parę razy w tygodniu spędzaliśmy wieczory „w domu p. Poniatowskiej. Mimo całej uczoności, wolna od „wszelkiej pedanteryi, była ona dziwnie uprzejma, pełna pro„stoty, pociągała ku sobie wszystkie serca. Rysy jej klasy„czne, aczkolwiek wychudłe i zapadłe, zachowały przecież „urok nieporównany. Ubiór zawsze staranny, a nawet wy„tworny, nacechowany artystycznym smakiem, pokrywał ślady „trawiącej ją choroby. Oko czarne, błyszczące żarem, ożywiało „tę piękną postać. Głęboko religijna, świadoma dogmatów „wiary naszej, czego dowodem ułożony przez nią katechizm, „potwierdzony przez cenzurę rzymską, roztaczała w koło sie„bie atmosferę świętobliwości“.

„Państwo Iwanowscy stale przebywali obok córki, on „sam człowiek blisko 80-letni, lubił przypominać dawne czasy; „czcigodna matka, pełna życia, zajmowała się piórem, ale na „inszem polu. Celem jej pracy było spopularyzowanie Pisma

„świętego, dla zwykłych czytelników. Wkrótce po rozłączeniu „naszem, wydała dzieło swoje w 5 obszernych tomach“ [1]).

Z innych osób, które wówczas mieszkały w Hyères, nadmienić trzeba panią Konstancyę Rzewuską, siostrę Dyonizyi i panią Cezarynę Gruszecką, ich krewną. Tak pani Iwanowska jak i jej dwie córki zajmowały się kwestyami literackiemi, historycznemi i religijnemi. Wszystkie drukowały dzieła różnej treści, ale bez porównania nad nimi górowała pani Dyonizya.

Prace historyczne p. Dyonizyi miały obejmować zarys tworzenia się narodowości polskiej od IX wieku do połączenia wszystkich części Lechii w całość Rzeczypospolitej. Urywki z tych prac wyszły dopiero po śmierci autorki, także bezimiennie, niedokończone co do formy. Jedna z nich po polsku napisana, nosiła tytuł: „*Władysław Wstydliwy* i *Leszek Czarny*“ [2]) a druga francuska, miała nazwę: „*Luttes des Peuples Lechites contre les Ouraliens*“ [3]). Posiadając gruntownie język francuski i władając nim doskonale, sądziła, że pisząc równocześnie po francusku, przyczyni się do rozpowszechnienia historyi Polski, tak mało znanej we Francyi. Bohdan Zaleski zamierzał wydać dzieła pani Dyonizyi Poniatowskiej, które miały obejmować „*Rodowody słowiańskie*“ i liczne rozprawy drukowane niegdyś w „*Przeglądzie poznańskim*“, a z których główniejsze były o Kościele, o Unii, o Rosyi i Rusi, o polityce carów, o Towiańszczyźnie, itd. „W rozpra„wach tych, pisał Bohdan Zaleski, są prawdy głębokie, cu„downie wyrozumowane, a budujące treścią i niewolące sty„lem polskim. Należy się jej braterskie odemnie uczczenie.

---

[1]) Dzieło p. Felicyi Iwanowskiej p. t.: *Słowa żywota*, wyszło w Krakowie w 1873 r. Ostatnie kartki tego dzieła, zawierające zwrot matki do tej umiłowanej córki oddają pięknie główne rysy charakteru i duszy Dyonizyi Poniatowskiej. Pani Iwanowska zakończyła życie w 1876 r. w Hyères.

[2]) W księgarni luksemburskiej. Paryż 1875 r.

[3]) 2 tomy. Paryż 1874 r. Imprimerie Simon Raçon et Comp.

„Owóż na sercu leży mi wydanie jej pism znanych i nieznanych. Na stare lata, to najpożyteczniejsza rzecz, jaką mogę „jeszcze przedsięwziąć dla kraju". To wydanie niestety nie przyszło do skutku, zapewne z powodu obaw rodziny i takim sposobem stracona została możliwość zgromadzenia pism pani Dyonizyi.

O pracach historycznych p. Poniatowskiej, Agaton Giller tak się wyraża[1]): „W r. 1861, w Paryżu wydała dzieło: „*Pologne et Ruthénie, Origines Slaves*" [2]), w którem faktami „i dowodami, niemogącymi uledz zaprzeczeniu, autorka przedstawiała jasno i dobitnie różnicę Polski i Rusi od Moskwy „i poparła dowody Duchińskiego. Inne jej dzieło, bardzo „obszerne, bo w dwóch tomach i także po francusku napisane [3]), podaje historyę cywilizacyjnej walki narodów aryjskich z Uralcami, czyli z ludami turańskimi, to jest walkę „Polski, Litwy i Rusi z Moskwą. Dzieło to wielkiej wartości, „wzbogacone zostało przekładem na francuski język licznych „dokumentów, pomiędzy innemi „*Statutu Wiślickiego*". Ktoby „wątpił o trafności poglądów Kijowianina, niechaj przeczyta „to dzieło genialnej kobiety, której uczoność mieli sposobność „ocenić najgłośniejsi i najznakomitsi uczeni francuscy i polscy. Obszerny opis panowania Bolesława Wstydliwego przez „Daryuszowę Poniatowską po polsku napisany, wydał już po „jej śmierci Bohdan Zaleski w Paryżu. I to dzieło jest napisane według poglądów Duchińskiego, którego zasad broniąc, „rozwijała je dalej w różnych zastosowaniach".

Śród prac przedsięwziętych zdrowie Dyonizyi coraz bardziej słabło. Mimo ciepłego klimatu i spokojnego życia, choroba piersiowa, którą oddawna była zagrożona i dla której

---

[1]) Giller. „O życiu i pracach Fr. Duchińskiego". Lwów, str. 123.

[2]) Paris. Typographie de Firmin Didot fréres 1861. To samo dzieło po polsku wyszło w tym samym roku w Paryżu, drukowane u Martineta.

[3]) „Luttes des Peuples Lechites contre les Ouraliens" w Paryżu, 2 tomy. Imprimerie Simon' Raçon et Comp. 1874.

musiała opuścić Ukrainę, niszczyła jej siły fizyczne. Mąż jej, Daryusz, często też niedomagał; przy końcu 1866 r., stan jego zdrowia znacznie się pogorszył. Dyonizya pielęgnowała męża, ale przez ten czas u niej suchoty gwałtownie się rozwinęły, z tak groźnemi oznakami, że nie było już nadziei zachowania jej przy życiu; ale, w miarę jak ciało słabło, tem silniejszą wydawała się na duszy. Przytomna, pogodna, pocieszając zbolałą matkę i rodzinę, budowała wszystkich podniesieniem ducha, rezygnacyą chrześcijańską i spokojem.

Boleśny i razem budujący był widok małżonków leżących w przyległych pokojach, krzepiących się słowami otuchy i gotujących się na śmierć. Przez trzy tygodnie Dyonizya nie mogła się położyć, dni i noce spędzała w fotelu, bez żadnej skargi. Mówiła do osób ją otaczających: „Źle ze mną, ale nie „trzeba płakać, bo oczy potrzebne, trzeba pracować dla Boga". Po przyjęciu ostatnich Sakramentów z pogodą i z pokojem, prosiła wszystkich o przebaczenie, rodziców, męża, sługi, a kiedy jej mąż powiedział, że się poddaje i zgadza z wolą Bożą, jakkolwiek rozporządził, czy ją, czy jego pierwej zechce powołać do siebie, że za wszystko rękę jego błogosławić będzie, dziwnie radośny wyraz ożywił całą jej twarz: „Szczę„śliwe uszy moje, rzekła, które te słowa usłyszały, jak wiel„kie jest miłosierdzie Boga, który daje taką pociechę niego„dnej grzesznicy". Podziękowawszy wszystkim za modlitwy, usłyszała łkanie i powiedziała: „nie płaczcie, jest to chwila „najszczęśliwsza mojego życia".

Osłabienie coraz wzrastało, puchlina się powiększała, wzrok gasł, każdy wysiłek był opłacony wielką niemocą, jednak pisała różne listy, które miano oddać mężowi po jej śmierci. Nie przewidywała tego, że mąż ją uprzedzi. Daryusz Poniatowski pierwszy rozstał się z tym światem 14 grudnia 1867 r., w 62 roku życia. Konanie Dyonizyi było dłuższe, ciągnęło się jeszcze przez dwa prawie miesiące; śród srogich

bolów, zachowywała zupełną przytomność, mając nieustanną modlitwę na ustach, oznajmując spokojnie ostatnie rozporządzenia. Już na łóżku śmiertelnem, kazała spalić rękopis powieści, którą była napisała w młodości; przypominała w liście do Bohdana Zaleskiego, że błędnem było jego mniemanie, na którem miała się opierać *„Złota Duma"*, jakoby dusze ludzkie przechodzić miały przez różne ciała, polecała mu pocieszać bolejącą matkę, dyktowała rady i przestrogi dla rodziny i dla przyjaciół.

Dyonizya zgasła w Bogu 6 lutego 1868 r., w 52 roku życia. Zwłoki jej spoczywają obok męża i rodziców, w kaplicy szpitalnej w Hyères, gdzie napis łaciński i popiersia wyryte w marmurze dłutem Sosnowskiego, uwieczniają wśród obcych pamięć polskiej rodziny [1]). Sama bowiem przekazała w testamencie życzenie aby „ciała nie balsamowano i aby leżało gdzie mu Bóg rozkazał wrócić do prochu, czekając zmartwychwstania".

Przedwczesna śmierć nie dozwoliła Dyonizyi Poniatowskiej dokończyć przedsięwziętych prac. Cokolwiek bądź, była

---

[1]) Napisy łacińskie są następujące:

Hic resurrecturi quiescunt nobiles Poloni Darius Poniatowski, natus an. Dm. MDCCCVI — mortuus XVI Dec. MDCCCLXVII.

Ejusque uxor, ut vitae ita mortis consors individua, Dionysia, ortu Iwanowska, nata VII Nov. MDCCCXVI — defuncta VI Febr. MDCCCLXVIII.

Deo vixerunt. — Deo vivunt.

Tu pro eis orando, Pios advocatos tibi ipse concilia.

Hic in pace quiescit filiae generoque adpositus Dionysius Iwanowski, Eques Polonus qui octogenarius obdormivit in Dno, die XXII Jan. MDCCCLXIX. Orate Deum pro eo.

Hic in pace Domini requiescit Felicita Iwanowska, ortu Zaleska, in Polonia, obiit diem supremam in hac civitate Hyéres anno Domini MDCCCLXXVI, die XIII Februarii. — Orate Deum pro ea.

ona kobietą wyższą, niepospolitego umysłu i charakteru, podniosłej duszy. Głęboko myśląca, wyobraźni poetyckiej, wysokiego nastroju religijnego, gorliwie zajmowała się kwestyami dotyczącemi wiary, kościoła, Polski i historyi. Przy tem była skromną, dobroczynną, pełną dobroci i anielskiej słodyczy. Cierpiała na widok ucisku i prześladowania, wierzyła całą duszą w sprawiedliwość Boską, a przeto w zwycięstwo ostateczne dobrej sprawy. Zostawiła po sobie pamięć świętobliwej i wyższej istoty, choć unikała rozgłosu pomiędzy spółczesnymi.

„Umysł jej był głęboki, pisze Helleniusz [1]), gruntowny „i ścisły we wszystkich kwestyach, będących w obiegu; mó„wiła z namaszczeniem, z poczuciem prawdy, w duchu po„bożności i najwyższej miłości Boga i religii katolickiej; z siłą „męską wykładała wielkie prawdy; zbijała sofizmata i błędy „w pojęciach naszego wieku logicznie i dzielnie. Wiele bar„dzo umysłów oświeciła i wprowadziła na dobrą drogę; po„dziwiająca była w tej młodej niewieście niepospolita siła ja„snego rozumu, wsparta najrozleglejszą nauką, którąby się „najuczeńsi mężowie chlubić mogli. Była nieskończenie piękną „w obliczu, w sercu i w duszy; kto do niej się zbliżył, za„chwycony był jej pięknością; miała silne poczucie piękności „w dziejach, w sztuce, we wszystkiem umiała ją dopatrzeć, „piękność przedstawiała w sposób żywy i przejmujący, wtedy „się rozjaśniało jej oblicze i świeciło pięknością ducha, która „była jej naturą, istotnym przymiotem w rozumowaniach, „w wykładach i dowodach naukowych, mówiła jak surowy „mędrzec, nauczyciel i pisarz; wtedy ani przewidzieć było „można bogactwa, serca, piękności uczuć, do których gdy się „zwróciła, gdy je wypowiadała, mąż surowy ścisłej nauki „umilkł, a mówił najwznioślejszy poeta z najwyższą miłością „anioła, była zadziwiającą. Jej życie umysłowe coraz było

---

[1]) „Wspomnienia lat minionych" tom II, str. 531.

„wyższem i doskonalszem, ludzie najznakomitsi w kraju i za „granicą doskonalili się jej wpływem".

Wiele lat już minęło jak Dyonizya Poniatowska usnęła snem wiecznym, śmierć wokoło srodze opustoszyła, to też listy jej okażą najlepiej, jaką ona była. Oglaszając dziś te listy, spłacam zarazem pośmiertny dług ojca względem przybranej siostry, która mu tyle i tyloletnich dowodów przywiązania wyświadczyła. Bliższe zapoznanie się z wybraną istotą wyda może użyteczny plon i utrwali należną jej cześć. Miłą też sercu spełniam powinność, przyczyniając się do odżywienia tej zamglonej postaci, której wiara, rozum i serce raz jeszcze dla potomnych niezagasłym blaskiem zaświecą.

Dyonizy Zaleski.

Do Bohdana Zaleskiego[1]).

1835.

Bóg chciał aby wszystko co czyste i drogie sercu ludzkiemu, stało się dla mnie źródłem troski i udręczenia. Niech będzie Jego święta wola. Marzyłam z prawdziwą radością o przybyciu Józefa, który zostawił mnie młodem, swobodnem dzieckiem, z duszą pełną nadziei, z duszą dziś postarzałą, ale ukrzepioną i wzrosłą wśród czteroletnich męczeństw całego narodu. Ofiara miała być zupełna.

Wiadomość, że Józef jest u św. Pelagii[2]), gdy sądziłam, że go za chwilę ujrzę, bardzo dla mnie boleśna. Wy macie przynajmniej poczucie własnej siły, myśli wasze wolne i potężne uosabiają się w czynach, gdy tymczasem mnie biednej kobiecie dano tylko cierpieć w milczeniu i spokoju. Spokój w szczęściu, to niebo, ale któż odgadnie udręczenia istoty, która czuje, że nieszczęście nadchodzi, że niebawem dosięgnie ją samą, lub tych co drożsi jej nad życie, a nie śmie wyciągnąć rąk aby je oddalić, nie śmie nawet wyszeptać słowa skargi. Krew za krew, łzy za łzy, cierpliwość i rezygnacya za pychę i tyranię. Niech Bóg je przyjmie, jako zadosyćuczynienie za winy ojców naszych.

---

1) Tłómaczenie z francuskiego przez panią Sewerynę Duchińską.

2) Major Józef Zaleski został aresztowany i uwięziony u św. Pelagii, pod donosem konspiracyi przeciwko Ludwikowi Filipowi.

Potrafię znosić z odwagą udział w boleści jaki mi przypadnie. Jeśli ci Panie, uciążliwym nie będzie stosunek z osobą, która dla ciebie istnieje zaledwie jako idea przyćmiona i daleka, pisuj do mnie, nic nie ukrywaj, uwierzę ci lepiej niśli samemu Józefowi. Kochające jego serce chciałoby może oszczędzić mi cierpień. Mam dosyć hartu w duszy, gotowam na wszystko, zniosę wszystko!

Dobry panie, co było rzucać między nami lodowate słowo: „jestem dla pani obcym“. Nie jestżeś bratem moim w Bogu, w cierpieniu, w nadziei, w miłości dla Józefa, bratem moim z Ukrainy, bratem moim ze stepów. Czyliżbyś nie zrozumiał duszy, ożywionej także tchnieniem Bożem, mniej szczęśliwej niż twoja, bo jak ty śpiewać nie umie.

Pragnęłabym ściągnąć na głowę twoją, wszelkie błogosławieństwa Boże, gdyż ty zadrżałeś na myśl samą przyczynienia nowych trosk nieznajomej. Ona ci to wypłaci, jedyną siłą jaką czuje w sobie, długą i gorącą modlitwą.

Dyonizya.

Moja ciotka słaba od kilku dni, nie może sama odpowiedzieć. Panie, za ziarnka świętej nauki, czeka i pragnie odpłacenia.

Do Józefa Zaleskiego.

Mannheim, 27 listopada 1835.

Chwała Bogu, że mój ukochany wujaszek już wolny, a zatem będzie mógł widzieć się ze mną, gdzie mu to najlepiej wypadnie, bylebym go wkrótce zobaczyła. Mogę opuścić Mannheim i pojechać gdzieindziej, jeśli to ci dogodniej. Piszę z radością, ze szczęściem, gdyż mój wujaszek wolny, a mam także dobre wieści z domu.

Proszę przyjechać, drogi wujaszku, tyle mam do opowiedzenia. Przyjeżdżajcie raczej, czekam na was obu. Nie

chcę zatrzymać się w Strassburgu, niechże tam już nikt nie zostaje. Il est juste que celui qui a partagé la peine, partage le bonheur, si toutefois ce qui est plaisir pour moi n'est pas peine et désagrèment pour lui.

Kochany wujaszku, proszę zaraz odpisać, będę wyglądać i tego szczęścia. Całuję tysiąc razy mego wujaszka.

Dyzia.

Do Józefa Zaleskiego.

Mannheim, 27 grudnia 1835.

Nareszcie, mój dobry i kochany wujaszek jest w Strassburgu. Z pewnością was zobaczymy. Mimo długoletnich marzeń, teraz kiedy doczekałam się tego szczęścia, nie śmiem w nie wierzyć. Co wujaszek o niebezpieczeństwie pisze? Naprzód zdaje mi się, że dla nas żadnego być nie może; potem jak wujaszek może myśleć, że Dyźcia całą zimę przepędzi w Mannheim, a wujaszek Józio w Strassburgu, a dla uniknienia trochę nieznaczącego ambarasu za powrotem do domu, pisywać tylko do siebie będą. Oto poddaję ku potwierdzeniu wujaszka. Ponieważ Daryusz dla mocnego uderzenia krwi do piersi, wyjeżdżać teraz nie może, czy nie mogłabym tu wyrobić rządowego pozwolenia na przyjazd was obu, choć na kilka dni do nas? Prawie pewną jestem, że je otrzymam. Możnaby prawdę powiedzieć, że cię niewinnie uwięziono i po usprawiedliwieniu uwolniono. Jeśli tak niedobrze, wujaszku, to tylko o dwa tygodnie później widzieć się będziem. Jak tylko Daryusz wyjeżdżać będzie mógł, napiszę gdzie się udać mamy, byle w Wielkiem Księstwie Badeńskiem; w ten moment przybędziemy. Wybieraj, wujaszku, najpewniejszy sposób; niech żadne względy nie przemagają nad tym najważniejszym. Całą zimę tu w tych stronach przepędzimy. Mamy więc dosyć czasu. Na Boga, wujaszku, namyśl się dobrze i ostrożnie dla

siebie. Niech ci nie przyjdzie niedorzeczna myśl narażenia się dla naszego bezpieczeństwa. Powtarzam, że się nam napewno nic nie stanie. Małe zajście byłoby tylko przykrością, a nie wiem jakby mnie okropnie bolało, gdyby cię z mojej przyczyny miało spotkać coś z tego.

Mój dobry, kochany wujaszku, niech cię Bóg błogosławi i natchnie, jeszcze kilka dni i już was obaczę i będziecie z nami. Moja ciotka pozdrawia was z całego serca, a ja siadam na kolana u wujaszka jak przed 14 laty.

Daj Boże prędko już do Baden zawitać.

Dyzia.

Do Józefa Zaleskiego.

Mannheim, 1 lutego 1836.

Pisałam do mamci [1]) i już wstawałam od stolika aby ubrać się na bal, kiedy przynoszą mi list twój, wujaszku. Zaraz ci odpisuję, niechże ta karteczka sprawi chwilkę radości mojemu dobremu wujaszkowi, podczas kiedy jutro spać jeszcze będę. Moje pismo podobne zupełnie do mamcinego, sądzę tedy, że musi być miłe wujaszkowi. Daj Boże bym mogła się z wami spotkać, czekamy na pozwolenie dla wujaszka na przyjazd do Heidelberga, spodziewam się otrzymać je za parę dni. Potrzeba było dać twoje imię, wujaszku, i moje koło twego. Jeśli się co złego stanie, to przynajmniej razem. I nie będę miała gorzkiej myśli, że mnie dobrze, spokojnie, kiedy tobie źle, mój wujaszku. Byłabym już dawno u ciebie, ale zawsze się los sprzysięga na mnie. Z początku Daryusz wyjeżdżać nie mógł, teraz ciocia Jaczewska na artrytyzm cierpi. Jak tylko pozwolenie uzyskam, dam ci znać, wujaszku, i zjedziemy się w Heidelbergu, stamtąd po kilku dniach odprowa-

---

[1]) Matka pani Poniatowskiej, Felicya Iwanowska.

dzimy cię do Kehl i zostaniemy tam razem, dopóki można będzie, może z miesiąc, da Bóg. Mój wujaszku, cobym ja mogła zrobić, żeby tobie nie tak tęskno było.

Całuję cię z duszy i z serca, mój kochany wujaszku. Co rana i co wieczora modlę się za was tak szczerze jak umiem. Adieu, que Dieu vous protège.

Dyzia.

Do Józefa Zaleskiego.

Mannheim, 18 lutego 1836.

Pomimo wszelkich starań, pozwolenia nam dać nie chcieli. Mniejsza o to, obejdziemy się bez tego. Mój wujaszku, dowiedziałam się pewnie, że najbezpieczniejsze miejsce dla nas wszystkich jest Lauterburg. 20-go tam będziemy, przybądźcież także oba. Kilka dni razem spędzonych, i to wielkie szczęście. Mój wujaszku, tak wielkie, że mi się wierzyć nie chce. Miałam listy niedawno, nasi wszyscy zdrowi i weseli, i Franio zdrów.

Mój jedynaku, mój drogi wujaszku z wąsikami, ja ciebie za dwa dni obaczę. Strach jak będę pieścić, za sześć lat. Do zobaczenia, jeśli pierwej od was przyjedziemy, wszystko już dla was gotowe będzie. Pokój — cóż kiedy ja tam nie mam gościnnej pościeli, tylko brzydka niemiecka. — Fe! — Nie śmiej się, wujaszku, bo ja seryo mówię. Adieu, w sobotę się zjedziemy, w niedzielę w kościele będziemy razem.

Mój wujaszku, pierwszy raz od tak dawna pomodlimy się razem. Adieu.

Dyzia.

Do pani Felicyi Iwanowskiej [1]).

Kissingen 24 lipca 1836.

W jakiem usposobieniu serca byłaś, droga i ukochana mamciu, pisząc ostatni list do mnie? Rzekłby kto, że tyle złego wpadło ci w oczy, że uczułaś potrzebę ukołysać myśl w ideale dobrego; ależ tym ideałem ja nie jestem, mamciu droga! Chwila jeszcze, a gotowa jesteś widzieć mnie w duszy twojej, promieniejącą darami niebios, jako anioła zesłanego na osłodę dni twoich! — Mamciu, płakałam, czytając twe słowa, ale ja nie jestem aniołem. Widzę wytkniętą mi drogę tak jasno, jak dano widzieć ją człowiekowi, a jednak zbaczam z niej bez ustanku. Ktoś wyrzekł: dobra wola, jeśli za nią w ślad nie idą dobre uczynki, to tylko próżność serca. Chciałabym abyś mogła wyczytać w sercu mojem wszelkie złe, a uniknęłabyś boleśnego zawodu, zgasłby ów pryzmat, jaki roztacza w koło mnie oddalenie i przywykłabyś do widoku niedoskonałości i słabości moich, o których tak chętnie zapominasz. Gdybyś ty znała owe tysiączne, a tak drobne szaleństwa, co w biednej głowie mojej plączą się jak arabeski i węzły trudne do rozwikłania. Czasem naprzykład mówię do siebie, że nie zajrzałam nigdy w głąb serca drugich, aby przez porównanie poznać co to jest miłość. Uczucie moje dla ciebie i innych jeszcze, nie jest może prawdziwem przywiązaniem. Może dusza moja z kamienia odbija tylko, jak zimne zwierciadło, to co pięknem jej się wydaje. Odbity obraz błyszczy dla świata, który widzi prąd żywotny w tem, co jest tylko cienką powłoką, on błyszczy dla wyobraźni mojej, która może się także myli i ów obraz zatrze się kiedyś, bo nie jest m n ą, jak malowidło zaciera się na płótnie. Mam ja chwile zwątpienia tak straszne, tak nadzwyczajne, że chciałabym zepchnąć je na dno duszy, aby nie narażać się na złośliwe żarty z mo-

[1]) Tłumaczone z francuskiego przez panią Sewerynę Duchińską.

jej affektacyi, lub na zarzut szaleństwa, wyrażony w pogardliwych słowach: „nikt jej zrozumieć nie może!“

Nie, mamciu, zaklinam się na wszystko co mi najświętsze, nigdy, dzięki Bogu, w najdrobniejszej rzeczy, nie zachwiała się wiara moja, coraz to głębiej niezłomne jej zasady wyciskają piętno na duszy mojej; bodajby wygryzły wszelkie złe, jakie w niej pozostało. Ale wątpię o sobie, o moich uczuciach, o cierpieniach przeszłych i obecnych. Bywa niekiedy, że płacząc zapytuję sama siebie, czy to prawda co ja przechodzę. Nie posądzaj mnie o szaleństwo, droga mamciu. Wtedy udręcza mnie myśl, że dusza moja niczem, wyobrażam sobie, że inni czują inaczej ode mnie, że obce dla mnie uczucia innych, zwane radością i zmartwieniem, że te wyrazy nie dadzą się zastosować do wzruszeń moich, że to co nazywam wzruszeniem, nie istnieje dla mnie, ale jest tylko ułudą wyobraźni. Nakoniec w głowie mojej powstaje myśl, żem ja po prostu posąg wykuty na podobieństwo człowieka, obdarzony jak on czuciem fizycznem i wyobraźnią, to jest zdolnością malowania w duchu i stosowania do siebie tych obrazów, że skutkiem tej zdolności, przyznaję sobie niekiedy poczucia moralne, jakie drudzy rzeczywiście posiadają: miłość, radość, zmartwienie. To przypomina jakąś straszną, fantastyczną powieść Hofmana, ale nie lękaj się, droga mamciu, to hallucynacya, sen na jawie, przez co tem okropniejszy. Szczęściem taki stan, trwa ledwie krótką chwilę, zresztą staram się oddziaływać rozumem przeciw niemu.

Szczególna tu nasuwa się uwaga, jeśli nigdy nie wątpiłam o moich złych uczuciach, to zapewne stąd, że ponieważ dobro nam wrodzone, nie czujemy go tak samo, jak nie czujemy oka w głowie. Cierpienie moralne, jest zatem walką pomiędzy dobrem, które stanowi samą istotę naszą, a złem, które nam obce i jak boleść fizyczna łamie tylko naturalny bieg rzeczy. W takiem znaczeniu cierpienie uszlachetnia: im silniejsze, tem większy napotyka opór w sile żywotnej, stano-

wiącej istotę naszą, w duchu Bożym, który zżyma się, przy najmniejszem zetknięciu z duchem złego, z duchem materyalizmu, jeśli tak rzec można. Taką była boleść pierwszego człowieka po upadku, gdy czysty zetknął się z nieczystością; to wiekuista prawda świata, że kara następuje za winę, jak skutek następstwem jest przyczyny, gdyż zło sprawia boleść dobru, jak ogień przez samo dotknięcie. Ale skąd pochodzi ta materya? czemu pocisk jej tak twardy dla ducha, który z samej istoty swojej powinien być jej panem? Czem jest ta siła grubijańska, co przykuwa do ziemi istotę z innych sfer, która patrzy w niebo, a nie ma dostatecznej woli, aby z radością porzucić miejsce cierpień? Czem jest to brutalne życie materyi, zwane szałem namiętnym, tak potężne, że wyrwało aniołów z łona szczęśliwości wiekuistej? czem jest zło jednem słowem? Biblia nie mówi tego, a ja nie zapuszczam się nigdy w zarozumieniu mojem, do wierzenia w to, czego ona nie uczy. Ale marząc niekiedy, wyobrażam sobie, że to synonim nicestwa, czem jest próżnia w przestrzeni, tem jest zło w duchu naszym. Nie ma rzeczy żywej, działającej, zwanej pychą, to tylko brak zupełny lub częściowy pokory, która jest cnotą, potęgą, gdyż pochodzi ze znajomości samego siebie, tego boskiego przywileju. Odtrącenie wszelkiej nienawiści, a w miejscu jej miłość, słowem to wszystko co dopomaga do wyrobienia w duszy świętości Bożej, jest siłą, cnotą, reszta nicestwem. Bóg sam posiada pełnię cnót, on wszystko może, oprócz mocy tworzenia bogów do siebie podobnych, gdyż nie byłby już jedynym, nie byłby już Bogiem. Gdzie nie ma pełni, tam mniej więcej jest próżnia. Niedoskonałość wszelkich stworzonych istot, wola, wysiłki cnót do zapełnienia tej próżni, starcie, wstręt wzajemny między dwoma pierwiastkami, to walka, to boleść, walka niebezpieczna, bo próżnia stawia opór dobru, stąd właśnie, że niem nie jest, wstrętną mu z samej natury swojej. Jeżeli wola słabnie, jeżeli próżnia zwyciężyła, tam dobro być

nie może. Duch Boży usuwa się, przez to samo istota ludzka rzuconą bywa na pastwę z ł e m u, to jest pozbawioną właściwego sobie żywiołu p i ę k n a i d o b r a. Ale jeżeli wola, ta potęga wypływająca z każdej istoty ludzkiej, w miarę wielkości jej cnót, ta realizacya wszystkich cnót wiedzy, jeśli ta kierowniczka co zakreśla drogi w przestrzeni i w czasie, jeśli ta broń straszliwa pokona próżnię, wtedy istota ludzka zupełną jest i pogrąża się w Bogu, a Bóg napełnia ją szczęściem błogosławionych.

Oto jedno z niezliczonych marzeń moich. Mamciu droga, błagam cię, nie snuj wątku na tym temacie tak bogatym, o początku rzeczy, on już obłąkał tylu, od pierwszych czasów chrześcijaństwa. Ja zamykam oczy i wierzę temu w co nakazuje wierzyć nam kościół katolicki i lękam się obudzić w nim idei niezgodnych z tą wiarą obowiązkową. O! niechże nie mam na sumieniu, mamciu droga, żem ci ukazała ten owoc zakazany. Mówiłam to po prostu, bo wszystko co przelata przez głowę twojej Dyzi, defiluje zawsze przed oczyma twojemi, oddaję wszystko pod sąd twój, dobro, zło, marzenia szaleństwa, słowem wszystko!

Powracając do wątpliwości moich o sobie, lękam się wrażenia, jakie na ciebie sprawi stan umysłu mego, droga mamciu. Nie trwoż się, bom ja nie często w takim stanie. Chciałam tylko ukazać ci najczarniejszy zakątek duszy mojej i zniszczyć tę aureolę, jaką mnie otaczasz z daleka. Nie chciałabym odbierać ci ułudy, która daje ci szczęście; ale gdyby zasłona pokrywająca moje słabości i wady, (jakie przypuszczasz tylko w teoryi), miała się nagle rozedrzeć, cierpiałabyś tysiąc razy więcej. Na ten raz, wyznanie pokorne win, lepiej posłuży spowiednikowi, niźli penitentowi. Pycha ludzka wszędzie się wciska; więcej jej czasem w zrzeczeniu się, niż w przyjęciu przyznawanej sobie zasługi, jakiej nie czujemy się godni.

Jak ci podziękować, mamciu droga, że mnie tak ko-

chasz, a przez to widzisz we mnie wyobrażenie dobra. Mamciu, niech co chcą prawią moje niedorzeczne hallucynacye, ja dobrze wiem, że cię kocham. Cieszę się radością twoją, płaczę na twe cierpienia, czuję to co mnie spotyka o tyle, o ile to ciebie dotyczy. Rzekłby kto, że cała moja czułość fizyczna, i moralna, nie leży we mnie, ale w tobie. O! ja cię bardzo kocham, lękam się czym cię nie zmartwiła tym listem, mam ochotę go podrzeć. Czy znasz mnie dosyć, mamciu, aby od razu dostrzedz ile jest miłości dla ciebie w tem właśnie, że nie chcę być ideałem twoim? Mój Boże! Mamciu, ja upadam na kolana przed tobą, patrzę ci w oczy, ściskam cię, bo nie mam słów dość słodkich na podziękowanie ci za to, co wypłynęło z głębi serca twego, kiedy pisałaś do mnie, ale nie chcę sprawiać ci zawodu.

Niech Bóg odpłaci tysiąc razy, mamciu, szczęście jakie przyniosły mi listy twoje; niech wszyscy aniołowie niebiescy kochają cię za twoją Dyzię.

Czy otrzymałaś dwa ostatnie listy moje? Jutro o dziewiątej, będziemy w drodze do Schwalbach. Jakkolwiek mam tu kilka znajomości niemieckich, angielskich, nie żałuję nikogo. Moja dobra Landgrafowa hesko-rotemburska wyjechała. Doznaję tylko smętnego wrażenia, jakie sprawia zawsze na nas opuszczenie miejsc nawet obojętnych, których pewno już nie zobaczymy.

Czy doprawdy istnieje w świecie tak mało sympatyi pomiędzy ludźmi, czy też mam obwiniać o to właściwy stan umysłu i wrażeń moich? Czemu z tylu osób, które widywałam przez ten rok, tak mało pozostało mi w pamięci? Wszędzie i zawsze lód pod kwiatami. Nic nie wypływa z głębi duszy, a więc nie przemawia do umysłu, inaczej, jak książka lub posąg w banalny i jednostajny sposób. Ze wszystkich moich znajomych w Niemczech, trzy imiona tylko pozostały w pamięci mojej: owego kurlandczyka B., o którym pisałam ci w jednym liście, panny Sharp, młodej angielki, z którą

przebyłam zimę i Krasińskiego [1]), z którym ciotka moja i ja spędziłyśmy długie godziny na rozmowie. To człowiek pełen rozumu i talentu. Resztę szczegółów o tych osobach bardziej zajmujących niż cała masa cudzoziemców, zostawiam na później, do chwili kiedy cię uścisnę, kiedy będę przy tobie.

Radabym wiedzieć czy wyjechałaś już, mamciu? czy jesteś spokojna? Jakżebym pragnęła oddać ci moją cząstkę spokoju i szczęścia na tym świecie!

Żegnam cię, mamciu droga, niech cię ten list nie zmartwi. Błagam cię, odegnaj złe myśli, jakie mógłby ci nasunąć. Mój aniele, moje życie, ty uosobione szczęście moje, nie miej żalu za nic, nie gniewaj się na mnie, niech ten list nie zadrażni uczuć twoich; ten list, to dług sumienia, a nie dowód niewdzięczności. Mamciu! tyś drugą mną! Całuję ręce twoje i nogi, ściskam cię z głębi kochającej duszy. Twoja

Dyzia.

Spotkałam tu Krügera z Berlina, który naszkicował portret Daryusza. Mówił, że portret mój skończony, że Begas prześcignął w nim sam siebie, że wymalował pyszny obraz, że cały Berlin zbiega się do jego pracowni, tak to utwór znakomity. Byleby tylko doszedł szczęśliwie do kraju!

Do pani Felicyi Iwanowskiej [2]).

Schwalbach 29 lipca 1836.

Mamciu droga, od dwóch dni rozgościłam się w Schwalbach, miejscu ponurem, milczącem i dziwnie nudnem. PP. Northey i Warburton, jedyni znajomi jakich tu spotkałam, odjeżdżają jutro, zostanę więc sama, bo dziś rano u źródła, odbyłam przegląd całego żywego kalejdoskopu i żadna twarz

---

[1]) Zygmunt.

[2]) Tłómaczone z francuskiego przez panią Sewerynę Duchińską.

nie pociągnęła mnie ku sobie, nie obudziła najmniejszej ciekawości. Przechadzki rozległe, mało kogo spotkać tu można. Mam więc nadzieję, że uniknę kilkodniowych stosunków, nudnych i zabierających czas napróżno. Sześć tygodni samotności, wcale mnie nie przestrasza. Umiem oddawna pobratać się z czterema ścianami pustego pokoju, a jeżeli siągnę pamięcią w dawne wspomnienia, kto wie czy im nie zawdzięczam najlepszych godzin w życiu mojem.

Świat marzeń piękniejszy od świata rzeczywistego, w którym żelazne jarzmo wprzęga razem do dźwigania jednego ciężaru, pogania tąż samą koleją, obojętność i zapał, ciemnotę i poświęcenie, piękno i nędzotę; gdzie wszystko zniwelowane, ułożone, gładkie, ni zimne, ni ciepłe; gdzie wszystko co wielkie roztrąca się i dostraja do zwykłej miary. O! marzenie, marzenie! ta zdobycz wspaniała, wyrwana światu, jego konwenansom, ten raj młodych, którzy zachowali jeszcze odblask idealnego piękna, dziedzina tych wszystkich, których świat rani i smuci, dziedzina nieszczęśliwych, którym boleść pozostawiła iskierkę życia, a szczególniej kobiet, tych biednych niewolnic z duszą uwięzioną, dla których wszystko zbrodnią, nawet proste pragnienie woli i swobodnego czynu!

Kto może obliczyć ogrom tego świata marzeń, co się unosi ponad głowami naszemi, a wypływa z głębi dusz naszych jako wiekuiste westchnienie ku nieskończoności, jako miejsce pośrednie między niebem niedościgłem dla oczu naszych, a krwawem bagniskiem, od którego człowiek odwraca się ze zgrozą. Marzenie, to wieczność, to niezmierzony obszar dostępny dla myśli, to świat nadzmysłowy, to spoczynek po trudach, to czarodziejski ruch obu, ukrzepiający duszę, bo jej ukazuje cel pewny, wyższy i dalszy od ziemskich celów! Drogo czasami przychodzi okupić tę radość, straszna to bowiem chwila, kiedy rozedrze się zasłona nad promienistem urojeniem i prawda rzeczywista całem brzemieniem upadnie na serce, wtedy gdy biedne to serce, istny więzień, śniło o wol-

ności i zbudziło się na poszczęk łańcucha, w swem ciasnem i ciemnem więzieniu. Wówczas to upada wszelkie rozumowanie, potrzeba wiary, tej jedynej uchrony przed rozpaczą. Ofiara, to warunek każdego społeczeństwa, a każda ofiara pociąga za sobą krwawą cząstkę wewnętrznego życia naszego. Chrystus poświęcił się w okup za świat cały; za jego przykładem, w każdem gronie ludzkiem, w społeczeństwie czy też w rodzinie, są istoty skazane na ofiarę. Aby jedni swobodnie używali, nieszczęśliwi muszą cierpieć w milczeniu; aby utorować światu bezpieczną drogę przez pasmo wieków, muszą trupy i nędze wszelkiego rodzaju zawalić głębokie otchłanie. Młoda dziewczyna, gdy przez posłuszeństwo wchodzi w małżeńskie śluby, siostra miłosierdzia gdy pielęgnuje chorych, żołnierz zagrzebany w armii, wszyscy ulegają temu prawu, niewzruszonemu w całem paśmie wieków, z odmianami bez liku; — od drobnych względów towarzyskich, do zupełnego zrzeczenia się wszelkiej indywidualności, — a każda ofiara, to ruina podwalin, na których unoszą się marzenia, to podmuch, który gasi cel idealny i zamyka na zawsze szczęśliwość tego świata.

Chrystus przynosząc nam słodką i miłościwą wiarę, potępiając gwałty i zniewagi, oswobodził ziemię od zbrodni a niebo od przekleństwa. Ale konieczne prawo ofiary pozostało zawsze toż samo, tylko role zmienione. Rola czynna nie należy już do tego kto korzysta, ale do ofiar, które są poświęcone dobrowolnie; gdzie był gwałt ciemiężcy, tam dziś zasługa męczennika. Co było niegdyś niesprawiedliwością i nieszczęściem, jest dziś powołaniem, powinnością. A jakież to poświęcenie, o mój Boże, owych tysiąca istot, co umierają aby drugie żyły, co wyrzekają się wszystkiego, skazują się na śmierć moralną, stokroć sroższą od tej, która zabija ciało, gdyż ból ich odradza się bezustanku i dręczy ich wyrzut, że mogą żyć jeszcze!

Taką śmiercią umarła Maryla, i nietylko Maryla ale

wszystkie Maryle na świecie. Każda kobieta, co przenikliwem okiem oblicza swoje wdzięki, swoje marzenia, swe porywy, swą siłę wiary, która wobec szlachetnych swoich zasad, widzi świat przed sobą, świat z ponętnem niebezpieczeństwem, z upajającą walką, widzi piękne pasmo dni, pełne żywotnych idei i czynów, a dalej, dalej spostrzega błyszczącą aureolę tryumfującego piękna, lub rozgłośny upadek piękna pokonanego, ta kobieta z palącą pieczęcią dwudziestu lat na czole, o cóż uderzy niezłomną wolą swoją? Czyliż o jakie święte słowa, zapisane w księdze ludzkich cierpień? I odwraca głowę, by nie widzieć czarodziejskich urojeń, radaby zatrzeć się w swej myśli, aby nie podzielać grzesznych utyskiwań woli własnej. W świecie inne ją zastąpią, a wśród tego tłumu co ukrywa skazy pod błyszczącą fantasmagoryą, nie zostawi próżnego miejsca i nieobecność jej nie zadziwi nikogo. Jak Mojżesz, widzi obiecaną ziemię snów swoich i zatrzymuje się na progu, bo prowadzi ją ręka Boża. Pragnienie, szalone porywy tłumi głęboko w sobie, i szczątki tej lawy ognistej pokrywa szatą zimną, twardą, jednostajną biernej abdykacyi. Radość ziemska promieniejąca w koło jej duszy, to pokusa, to próba. Ona musi rozpatrzyć się w niej zbliska, zważyć dobrze, coby jej przyniosła, jej młodej, pięknej, a przecież umarłej! Dla niej rzut oka, chęć, samo nawet cierpienie, zbrodnią jest, bo jej Bóg jest Bogiem zazdrosnym. On pragnie tylko serc oddających się z radością, a nie liczących ofiar. Wówczas to, po wielu latach cudów i osamotnienia duszy, kiedy zniknie wszelki ślad pychy i samolubstwa, kiedy biedna przebaczy zarzuty nieczułości i chłodu, jakimi świat znieważy jej abnegacyą, kiedy cały dział szczęścia swego utopi w szczęściu drugich i stanie się jakoby cieniem z innej sfery pomiędzy żyjącymi, natenczas powie: O Panie! nieszczęśliwy kto urodzon z niewiasty, dni jego błahe i znikome, ramion od krzyża odwiązać, od cierniów głowy uchylić nie zdoła.

Przyjdzie jeszcze ostatnia próba, ostatni rzut oka na życie, tak długie, tak puste i tak udręczone, na życie milczenia i nudy, na życie zamarłe. A jeśli znajdzie dość miłosierdzia w duszy, aby uśmiechnąć się do spokoju, do pomyślności, jakie przyniosło drugim powolne jej konanie, jeśli wydobędzie z siebie dość siły, aby błogosławić Boga za dział jaki jej przeznaczył, wtedy Bóg da jej dwa białe skrzydła i zapali gwiazdy na jej czole, pochyla się ku niej i udzieli jej wiekuistej radości, wiekuistej miłości swojej. Wchodzimy wszystkie na tę drogę, lecz która z nas wytrwa do końca? Życie tak długie, a człowiek taki słaby!

Proś Boga, mamciu, ty która wiele już wycierpiałaś, ty którą kocham i radabym wesprzeć, zasłonić od wszelkiego cierpienia. Czy ten list zastanie cię jeszcze? Wątpię, a przynajmniej to będzie ostatni.

Droga mamciu, napisz mi szczegółowo: zbliża się czas wyjazdu twego, a nie wiem nawet czy masz paszport, czy dzieci wyjadą na pewne z tobą. Nie wiem gdzie odtąd adresować moje listy. Będziesz niespokojna, nie odbierając ich przez sześć lub osiem tygodni, a to niewątpliwie nastąpi, skoro nie wiem gdzie mają czekać na ciebie.

Daryusz całuje ręce twoje. Gdybyś wiedziała jaki on dla mnie dobry! Mamciu, jam często zła, dziwaczna, wesoła lub smutna na przemiany, zatopiona w oceanie marzeń, zrozumiałych chyba dla kobiety. Powtarzam mu je czasem, a on słucha i nie gorszy się zbytecznie mojemi szaleństwami, jakby je świat nazywał. Smuci się smutkiem moim, cieszy moją radością, według tego, jak drobne światełko połyska, lub mgła przyćmiewa mój widnokrąg. Nigdy mi nic za złe nie bierze i podwaja z każdym dniem starań, aby mi, jak mówi, o tyle osłodzić życie, o ile to jest w jego mocy. Niech go Bóg błogosławi i nagradza, — nie chciałabym sprawić mu żadnej przykrości.

Żegnam cię mamciu droga, ukochana. Czym cię nie zasmuciła dwoma ostatnimi listami? Prawdać to, że ja ranię zawsze ukochanych? Powiedz mi, że tak nie jest mamciu! Ściskam cię duszą całą, ciebie i papę. Jeśli nie zajdzie jakaś nieprzewidziana przygoda, pospieszymy do niego z początkiem września. Niech Bóg da wam pomyślną podróż, udziela przyjemności, jeśli nie zupełnego szczęścia.

Dyzia.

Do Bohdana Zaleskiego [1]).

1836.

Potrzeba odwagi, nie prawdaż? aby dodać kilka słów do tylu pochlebstw dobrego i kochanego wujaszka, aby przyznać

[1]) List ów był nakreślony w dopisku do listu majora Józefa Zaleskiego, następującej treści:

„Tak to tam było, kochany Bohdanie! i dobrze, to prawda, bo odmłodniało serce i igra w domowych kątach między rodziną. Na chwilę wszystkie smutki jakby pomarły. Chciałbym, żeby tak było długo, długo, ale żebyś i ty był z nami, boś mnie tak przyzwyczaił czytać w twojem sercu, tak mnie rozpieściłeś twoją przyjaźnią, że mi bez ciebie smutno. Mówisz, żeś pierzchliwy, że kochasz ludzi, ale na pustyni. Wiem ja, że ty uwielbiasz swoją czarownicę Hankę *) i lubisz z nią być samotny, ależ, mój Bohdanie, i młoda kozaczka, która cię pragnie poznać, nie z ciekawości, jak wnosisz, ma swoje ukraińskie, stepowe figielki, nastawi ona na ciebie tak zręcznie sidła, że mimo twojej dzikości sam w nie wpadniesz. Ot, powiem ci, Bohdanie, że kiedy na nią patrzę, zawsze mi się twoja Hanka przypomina, widzę w jednej rzeczy podobieństwo między niemi. U mojej kozaczki tak kroplami smoła z oczu pada jak u twojej Hanki. Notatka twoja pójdzie do Niemiec i co się znajdzie książek mieć będziesz. Z domowych szczegółów wiele rzeczy zostawiam do osobistego opowiadania. Teraz ci tylko donoszę, że twój brat Eliasz i siostra Antonina zdrowe. Daryusza poznałem, poczciwy z ko-

*) Aluzya do „*Złotej Dumy*", którą wówczas pisał Bohdan Zaleski

się nawet, żem je czytała. Ale mniejsza o to. Sprawiłeś mi pan przykrość, pomijam więc owe drobnostki. Ty poeta, a nie umiesz przeczuwać. Sądziłam, że w twem życiu tułaczem i samotnem, jedno słowo współczucia, jedno wspomnienie kraju rodzinnego, przyniesie ci promyk radości. A przecież odrzucasz tę myśl braterską i niewinną, zraniłeś duszę moją w jej dumie.

„Ciekawość!“ Jesteśmy ciekawi tego tylko, czego nie pojmujemy: a dusza moja pojmuje duszę twoją, jakkolwiek, nie dorówna jej polotem myśli, jest wszakże jej siostrą, bo czuje tak jak ona, lepiej niż ona — bo ja cię znam, a ty mnie nie zrozumiałeś, — i lepiej niż ty umiem kochać, bo sprawiłeś mi przykrość, a ja ci to przebaczam, bo gdybym mogła czemkolwiek przynieść ulgę twoim cierpieniom, zapomniałabym gorzkiego słowa, i aby coś dobrego uczynić, nie ukrywałabym się w głębi pustyni, z obawy zetknięcia się z twym bolem. Powtarzam raz jeszcze: przebaczam ci, nie mam najmniejszego żalu, możesz spać spokojnie. Kobieta, którą zraniłeś, ma dla ciebie tylko słowa błogosławieństwa!

Do Bohdana Zaleskiego w Molsheim.

Kehl, 15 lipca 1836.

Kochany mój Bohdanie! Przybywaj wprost do Rhefusa i pospiesz, posłałem sztafetę, bom się tu dowiedział, że i do mnie list przyszedł wczoraj sztafetą, stąd wnoszę, że muszą być na samem wyjezdnem, zapewnie nikt, prócz męża, więcej z nią nie przyjedzie, bo Jaczewska chora po takiej słocie podróżować nie zechce. Zaręczam ci, że nie pożałujesz tych kilka chwil, które z nami spędzisz. Ona cię będzie tak kochać jak mnie kocha, bo to dobre dziecko, a on chociaż go nie znam, zdaje mi się być dobry

---

ściami, będę ci wiele opowiadał za powrotem; za kilka dni złączę się z tobą itd.“ Twój

Józef.

człowiek. Wszakże to dzieci Ukrainy, którą ty tak pieścisz w swojem sercu, może to widzenie się odżywi w tobie jakie miłe wspomnienia. Przyjeżdżaj, mój drogi Bohdanie, a potem razem wrócimy do Molsheim na smutne dumania.

Przyciskam cię do serca, które cię całą miłością kocha. Twój

Józef.

Do Bohdana Zaleskiego w Molsheim.

Kehl, 16 września 1836.

W ten moment ściskam moją dobrą Dyzię, której pierwsze słowo było: „a Bohdan!“ Powiedziałem jej: przyjedzie. Ucieszyła się, nie zróbże mnie bałamutem. Przyjedź, przyjedź, mój drogi Bohdanie. Ona i ciebie tak popieści jak mnie. „Nie prawda“. Bałamutka nie wierz, wszak wiesz, że kobieta. Niemasz tylko ich dwoje, oboje poczciwi i serdecznie cię poznać pragną, to jest serdecznie, nie przez ciekawość, „bo ona wie, że to pierwszy gradus do piekła, a w piekle bardzo piecze“[1]). Daryusz mówi, że nie trzeba i piekła, tak mu dopieka. Otóż przyjedź, proszę cię, mój drogi Bohdanie, wrócimy razem za parę dni, bo oni parę dni obiecali zabawić, a to córka Ukrainy, którą ty tak kochasz, tak cudownie o niej śpiewasz. Czekamy cię wszyscy z upragnieniem i niecierpliwością i mnie już tęskno, żem ciebie dzień cały nie widział. Przybywaj, mój drogi Bohdanie. Twój

Józef.

Do pani Felicyi Iwanowskiej w Neapolu[2]).

Tahańcza, 11 grudnia 1836.

Gdzie jesteś teraz, droga mamciu? Czy cię doszły moje dwa lub trzy ostatnie listy? Czy cholera nie przeszkodziła ci jechać po nie do Neapolu? To też w niepewności o los jaki je czeka, nie będę pisywać tak często jak dawniej, zwłaszcza,

---

[1]) Ręką pani Dyonizyi Poniatowskiej.

[2]) Tłomaczone z francuskiego przez panią Sewerynę Duchińską.

że mi nie tak łatwo jak było w Mannheim, znaleść co trzy dni godzinę spokojną do pisania.

Dziwnym cudem Tabańcza zmieniła się w tak wielki świat od mojego powrotu, że wystrojona muszę bezustanku przyjmować gości. Są tu Teodorowie, Cezaryna, różni znajomi Augusta Radziwiłła, ożenionego z księżniczką Urussów, potem czterej bracia Daryusza, następnie wizyty w sąsiedztwo, imieniny u pani Dziekońskiej.

Próżnuję okropniej niż kiedykolwiek. Mam nieszczęśliwą książkę *Demokracya w Ameryce*, męczę ją, męczę! nie ma rady, zostaję zawsze na dziesiątej stronnicy. Dawniej martwiłam się w podobnym wypadku, teraz nie ma na to lekarstwa. Mówię do siebie: i cóż mi to szkodzi? jeśli nie czytam, marzę. Oh! nie obmyślam książek, według zwykłego trybu rozdzielonych na przedmowę i paragrafy, ale głowa moja niejestże jak każda książka zbiorem idei, dobrych lub złych, a co lepiej nie mamże pod ręką innych głów tysiąc razy bogatszych od mojej? Czy kto zastanowił się kiedy jak przestrasza myśl skamieniała, gdy to co żyło bezcieleśnie stanie się martwym trupem. Mówią, że druk czyni myśl nieśmiertelną, bajka! Tyleby znaczyła piękność w stanie mumii, unieśmiertelniona balsamem. Nieśmiertelną jest tylko prawda, a prawdą zupełną jest tylko sława Boga-człowieka! Nie ma tak głębokich zakątów duszy, gdzieby ona nie zaniosła światła w odpowiedzi na wszelkie uczucia nasze, na gwałtowne porywy nasze. Niebiosa i ziemia przeminą nim głoska jedna tego słowa przeminie. Ale mówimy o książkach ludzkich, o tym pięknie rozbitem na tysiące okruszyn, o tej niewytłumaczonej sile tworzenia tego, co nie istnieje inaczej, jak w świecie tak rzeczywistym wyobraźni naszej, o tym uraganie duchowym, co ulata przez próżnię ku wszelkim celom, różnemi drogami; czyż i to nie jest myślą? tym czemciś co się błąka, błyszczy i cierpi, istnieje tylko liczbą, walką i ruchem, bo gdy je zatrzymasz, skupisz w jedność, wnet zamieni się w marę.

Iskierkę tego życia przerabiają w coś nieokreślonego co przedstawia życie, jak posąg wyobraża człowieka i mówią mi: patrz oto życie. Pytam, a posąg milczy, szarpię go z całą siłą przekonania, ale on martwy, zawsze ten sam, z banalnym uśmiechem i łzą przyrosłą do powieki, niby głowa otwarta, skamieniała przez druk, jaką była w danej chwili, jakby ta chwila streściła w sobie życie całe. Bóg sam mógłby napisać takie dzieło, z któregoby wiecznie wypływała prawda i służyła nam za coraz nowy szczebel ku udoskonaleniu. Inaczej tu się dzieje. Człowiek odkrywa to co czuje gwałtownie, zazwyczaj boleść. Otóż boleść, to zwykle gruby welon, rzucony na harmonie przeszłości i obietnice przyszłych dni. Na łożu śmierci kiedy oko jasno przenika prawdę, iluż to żałowało dzieł własnych! Mało kto miał tę radość, by mógł wyznać przed światem swoje, zbyt późno zdobyte przekonanie. Obraz namiętności i cierpień ludzkich prawdziwym bywa zawsze, lecz daremnym, bo przykuwa do chwili obecnej, i nie przynosi pożytku, czyż tego nie widzimy sami w sobie? Lubimy go, gdyż budzi w nas litość nad sobą; ale nie pomnim na to, jak nas ubezwładnia pamięć własnych, przetrwanych cierpień. Mało jest ludzi, którzy zbadawszy boleść do gruntu, wszechstronnie, nie upadli na duchu. Czytajmy, ale tak jak zaglądamy do wnętrza grobów. Te usposobiają nas do marzeń, bo same już nie marzą; zowią je świętymi, bo kryją śmiertelne szczątki istoty nieśmiertelnej, bo mówią o przyszłości, bo są historyą cierpień, a nie mają bytu w chwili obecnej. Książka to wyraz wyciśnięty na obliczu umarłego, pobudza drugich do dreszczu, lecz sama nic nie czuje. Tymczasem w żywem słowie człowieka, dusza pracuje, kipi, marzy, wybucha, potrąca o ideę przeciwną, walczy. Myśl szarpana zamienia się w przekonanie i jak rzeka, chwyta zasilające ją zdrojowiska, wtedy człowiek staje się wielkim, bo na tej ziemi nie dano mu czekać, lecz pędzić naprzód, a człowiek z szerokim poglądem widzi zawsze przed sobą niezmierzoną przestrzeń,

wzbija się wyżej aż do ostatniej chwili. Ale jeśli w nędznej mądrości swojej mniema, że doszedł celu, wtedy ludzkość instynktowa odwraca się od niego, a on uznaje błąd swój, oblicza sumiennie długie wysilenie ofiary i boleści i przychodzi do wiary, że w tajnikach przyszłości, oczekuje go inna radość, inny spoczynek. Niech Bóg udzieli go nam wszystkim, mamciu. Amen.

Zaczem nastąpi tam z łaski Bożej błogi sen, słodkie przebudzenie, dobranoc, dwunasta bije, czas spać.

Daryusz wyjechał, w domu spokojnie, ale na dworze wicher okropny. Znasz to mamciu: zamieć ze śniegiem, noc ciemna, wiatr świszczy po stepie. Biedni ci co w drodze. Koło mnie na kominku ogień się dopala. Dobrze, że mamci tu nie ma, może tam weselej.

Moja dusza zrosła się z tem: Bóg stworzył ją na twarde uciechy północy, na tajemniczy wpływ geniuszów długiej nocy zimowej. Lubię stepy, lubię północ, lubię śnieg, i bryły lodu, i szron, i pogwizd wiatru, i nasze brzozy tak pełne wdzięku, obleczone białą korą, co giną we Włoszech, a miłują tylko ziemię ojczystą i nasze noce błyszczące gwiazdami i szronem. Gdzieindziej zapewne życie weselej ubiega, lecz tu marzymy lepiej. Jeśli człowiek szczęśliwszy we Włoszech, tu za to czuje się większym, patrząc w samotną i niezmierzoną przestrzeń. Serce jego potrąca tu jedynie o poważny i szlachetny ideał.

I czemuż tyle pięknych dusz zapoznaje dobrowolnie tę prawdę? Wstyd im przyznać się do własnego zdania, idą za zdaniem drugich. Ogół bezmyślny zachwyca się Włochami; niejeden, przez obawę śmieszności, aby go nie posądzono o przesadę, wspomina Włochy, gdy mówią o stepie, o Ukrainie. Jak gdyby piękność nie objawiała się w najrozmaitszych rodzajach. Boże błogosław was! do jutra!

Nazajutrz rano.

Dzień dobry, mamciu, zleniwiałam jakoś, ten zły nałóg napada mnie często w tych czasach. Ciocia Józefa przybędzie

wieczorem, zapewne zostanie jutro z nami. Papa jest tu od dwóch dni, zaraz po świętach zabierze mnie z sobą; rozpoczniemy r. 1837 w Kuryłówce. Daryusz zajęty, przybędzie do nas dopiero po kontraktach. On prowadzi interesa ojca, do Tahańczy nie wróci prędzej jak na św. Józef.

Mam wielkie projekta na trzy przyszłe miesiące. Ktokolwiek żyje i oddycha, kto ma oczy ku patrzeniu i ręce do roboty, zapędzam go do igły. Ponieważ budowa domu ma się zacząć na wiosnę, trzeba skrzętnie wziąść się do pracy, bo chcę przygotować mnóstwo robót na kanwie do mego pokoiku. Jak znajdziesz czas, wymyśl dla mnie, mamciu, jaką ładną robótkę.

Dla oka ludzkiego potrzeba mi nowego domu, w tym mieszkam oddawna, znam dobrze wszystkie zakąty, wszystkie meble, czasami zaczyna mnie to nudzić, jak tu patrzeć zawsze na jedno. Nie troszczę się tem jednak, wiem, że najczęściej staje nam w drodze jakaś przekora, i układa rzeczy inaczej niż my je obmyślimy. Czego pragnę szczególniej w moim kąciku, to wielkiej harmonii co do kolorów i rozmiarów, odrzuciłabym najpiękniejszą rzecz gdyby nie harmonizowała z całością. Dlatego to obmyślam wszystko naprzód.

Napisz do mnie zaraz, droga mamciu. Jakżem ja rada, że jesteś tam, możesz sobie tęsknić za nami, wolę jednak, że myśl twoja odradza się, że wzrok nowe ogarnia miejsca, a umysł odpoczywa w pięknej podróży. Dla piersi twoich, ciepłe morskie powietrze prawdziwą jest opatrznością. Mówią, że Malta lepsza od Neapolu na ten rodzaj cierpienia. Jeśli cholera panuje we Włoszech, czemubyś na Malcie nie przepędziła zimy? Moja rada przyjedzie pewno nie w porę. Na miejscu sama najlepiej zdecydujesz, co ci wypada czynić. Żegnam cię, mamciu, całuję ręce twoje i nogi.

Kochaj twoją Dyzię.

Do Bohdana Zaleskiego [1]).

27 września 1837.

Mówiła mi mama, że cierpisz. Serce moje ściska się na myśl o waszem odosobnieniu, biedni moi wygnańcy, moje dwie dalekie gwiazdki, same jedne, smutne na niebie tak czarnem. Chciałabym powiedzieć wam: piękne gwiazdki, spłyńcie pomiędzy nas, nie będziecie już same, a my was ukochamy. Gdyby gwiazdki zestąpiły na głos nasz, zostałyżby na tym padole? O nie! jasne iskierki uleciałyby znów ku niebiosom, i uniosłyby nas w promieniach swoich i bylibyśmy gwiazdami tak jak one. Powołuję cię zdaleka abyś mnie uniósł w twoje sfery, tak wysoko — wysoko, bym jak ty stać się mogła przewodnią gwiazdą lub aniołem pociechy. O! jam istnie tą chmurką co ulata zawsze ku niebu, a Bóg ją zamienioną w łzy, odsyła znów na ziemię. Ale ty, piękna gwiazdo, którą Bóg szczytną drogą wiary, niewinności i zaparcia się samej siebie, powołuje do tak wzniosłych przeznaczeń, ty, za którego głosem, pójdą może kiedyś narody, którego czeka tam aureola, dlaczego odwracasz się i płaczesz? Mało na tym świecie łez innemi później nieokupionych łzami. Czy myślisz, że te łzy nie wpływają na ciebie? Czytałam w jednym z twych listów do matki mojej: „ja płaczę, ale jutro wezmę się znów do pisania i nikt stanu mej duszy nie odgadnie".

Nie słowa przemawiają do drugich, ale raczej stan duszy. Kiedy zgrzeszyłam, choćby nikt okiem nie wiedział, choćby słowa moje czyste były i święte jak zawsze, chociażby wypływały z najgłębszego przekonania, one prześlizną po wierzchu, bo łaska Boża nie będzie ze mną. Kto wybrany od Boga, wolnoż mu ścigać żałosnym wzrokiem, złudne uciechy tego świata? Ażaliż ma prawo wyciągać rękę do braci, chwiejących się, niepewnych drogi swojej, ten, kto płacze za cieniem

---

1) Tłómaczone z francuskiego przez panią Sewerynę Duchińską.

znikomym? Niekiedy popęd ku jakiejś ułudzie wstrząsa mną, gwałtowny jak burza, i tak samo jak w burzy wytężam siły, by nie dać się pociągnąć. Boże mój! nie chcę mieć żadnej chęci zabraniać sobie myśleć i czekam w milczeniu aż uragan przeminie. Jeśli mnie biednej, słabej kobiecie, skorej do upadku, która pokutuje za własne winy, zaczem przyjdzie mi cierpieć w okup za winy drugich, Bóg pozwala niekiedy odtrącić boleść i stanąć spokojnie przed obliczem swojem i wyrzec: Panie! czuję, że już nie cierpię. On bezwątpienia, nie odmówi tego i tobie, którego odział potęgą, abyś jako powolny sługa, pracował pożytecznie nad Jego dziełem. Podnieś więc duszę ku niebiosom siłą głębokiej pokory, nie zaślepiaj się samolubnie, nie przystrajaj złego w sofizmata kłamliwej piękności, bo szatan przybiera często promienistą postać anioła, w szczerości serca twego wyznaj twe obłędy, módl się, aby Bóg przebaczył ci winy, i wolą oswobodzony z wpływów ziemskich, silny uznaniem słabości twojej, jak mówi apostoł, zapatrzony w niebo, z pochodnią Ewangelii w ręku, idź w górę, nie zwracając się ku zewnętrznym ponętom, depcz spokojnie ostre cierniska, aby ci co idą za tobą nie cofnęli się z drogi. Wielka missya twoja, wielką masz do spełnienia powinność. Bohdanie, Bohdanie! ja nie jestem twardą, jak głaz wobec cierpień twoich, rozumiem je, odczuwam; boleję nad niemi. Ale zdradziłabym i ciebie, i sumienie własne, gdybym się rozczulała nad duszą twoją, zamiast ukrzepiać ją tą siłą, jaką czerpiemy z góry, gdy oderwiemy się od wszelkich czarodziejstw i ponęt, choćby te na wskróś nas przeniknęły. Ty należysz do braci twoich, i do tych co mogą stać się nimi, skoro ich powołasz. Tak Bohdanie, wszak sam masz to przeczucie, ty powinieneś być, ty będziesz męczennikiem, jak ci wszyscy, którzy dźwigają krzyż Chrystusowy. Ale tyleż jest rodzajów męczeństwa, ile odmiennych missyi, a wytężenie sił własnych w walce przeciwko sobie należy także do nich i częstokroć boleśniejszem jest od krwawego męczeństwa. Chciała-

bym widzieć cię świętym Bohdanem, a im hojniej Bóg cię uposażył, z tem większą trwogą, tem żarliwiej Go błagam, aby cię ustrzegł od fałszywego kroku, aby nie dał zbłąkać się gwiaździe, której zadaniem ukazywać ci drogę pańską.

Dzięki ci, Bohdanie, za przysyłkę konającego gladyatora, wiecznego symbolu ludzkości. Ja także walczyć będę do ostatniego tchnienia, jeśli łaska nie oddali się odemnie, za złe jakie w życiu popełniłam. Dziękuję ci za szpilkę, noszę ją codzień, gdy mnie kto zapyta skąd pochodzi, odpowiadam z dumą: to Bohdan mi ją przysłał.

Ten list cięży mi, że taki suchy, że brak w nim miłosierdzia. Czy myślisz doprawdy, iż ciebie nie rozumiem, iż nie mam współczucia dla twych cierpień? Spojrzyj w głąb duszy mojej, znajdziesz tam modlitwę i błogosławieństwo dla ciebie.

Siostra twoja w Bogu

Dyonizya.

Do Józefa Zaleskiego [1]).

Tahańcza 27 października 1837.

Jakże dawno nie pisałam do ciebie, mój Józefie drogi, nie pytaj czemu? są rzeczy między duszą a Bogiem, których nie wolno wyjawiać nikomu. Jakkolwiek gorycz chwilowa mogła ci nasunąć złe myśli, przekonany byłeś głęboko, że w sercu Dyzi nie brakło miłości dla ciebie. Nie miej więc do mnie żalu. Wszystko zresztą, wyrażenia i świadectwa, są to tylko dodatki zależące od różnych okoliczności życia. Te ci jedynie chybiły, o! nie miej urazy do mnie. Ty może nie znasz, ty, którego ciernista droga, tak wyraźnie wytknięta, tych ciężkich dni wśród ciemności i udręczeń, kiedy widzimy przed sobą dwie drogi i długo zapytując, która z nich prawdziwa, długo

[1]) Tłómaczone z francuskiego przez panią Sewerynę Duchińską.

wpatrujemy się w nie przerażeni, i rzucamy się na jednę, a oto spostrzegamy, żeśmy obrazili Boga zaniedbaniem drugiej, i szukamy natchnienia Bożego, jako przewodniej gwiazdy i modlimy się, a łaska zda się oddalać od nas. Józefie, Józefie! strzeż cię Boże od chwil podobnych. Daremne skargi, wiem, że Bóg mnie karze, a gdybym nie lękała się obrazić Go, rzekłabym, iż wiem za jaką winę. Niechże mi to stanie za pokutę i niech Bóg zmiłuje się nademną!

Teraz mój wybór stanowczo dokonany; smutna ale spokojna, pragnę pomówić z tobą, mój dobry wujaszku. Czy ty wiesz, że mała różnica między twojem życiem tam, a mojem tutaj? czy wiesz, że z daleka od mojej dobrej mamci, od cioci Józi, mam tu z moich tylko Daryusza, jak ty masz tylko Bohdana. Czy wiesz, że choć w miniaturze, i ja też pracuję tak jak wy. Porównaj kroplę wody do morza. Wy nauczacie świat, ja uczę moje dziewczynki. Byle nie jeść darmo chleba, należy spieszyć się z pracą, bo wieczór nasz wkrótce może zapadnie: Bogu to jedynie wiadomo.

Mój dobry wujciu, aby cię wprowadzić znów w nasz światek, aby cię rozerwać trochę, radabym tylko, żebyś mógł spojrzyć na nas, jak ja niekiedy ciebie widzę. Dziwna rzecz, jak to można żyć z istotą, która nie mieszka z nami. Wy tak często bierzecie udział w życiu naszem, w chwili kiedy nie myślicie zapewne o nas. Dzięki, mój wujciu, za opis Endoume[1]), wprowadził nas do pokoików waszych, posadził nas u stołu waszego, — nie są to próżne słowa, — zastawcież krzesła w koło stołu, bo goście napowietrzni zbiegają tam często, goście, którzy was kochają i płaczą niekiedy, że nie możecie ich zobaczyć. Czy chcesz wiedzieć nawzajem co porabia wasz gość napowietrzny?

Naprzód wiedz o tem, drogi wujciu, że on ma dwoistą

---

[1]) Małe miasteczko koło Marsylii, nad morzem Śródziemnem, gdzie mieszkali Bohdan i Józef Zalescy.

naturę. Napowietrzny u was, bo kochanemu wujaszkowi radby się przedstawić z najpiękniejszej strony, w Tahańczy to wielki leń, sypia co noc po dziewięć lub dziesięć godzin jak suseł, budzi się tylko czasami, kiedy się boi duchów. O siódmej wstaje opieszale i w części ubrany, kładzie się znowu i śpi, dopóki ktoś nie zawoła: „Dalejże, czas wstawać, już dziewiąta".

Bywa i to, że ktoś ulituje się nademną i pozwala mi spać do woli. Nie myśl, wujaszku, że to codzień się zdarza, mógłbyś przypuścić, że ja pracuję tylko przez sen. Niestety, wcale tak nie jest. Gdybyś wiedział, drogi wujaszku, jak ja nie lubię pracy! wyznaję ci to w ufności pod sekretem. Gotowabym życie przepędzić na czytaniu, muzyce, przejażdżkach konno, a nie masz pojęcia jak ja lubię romanse, czytam co mi padnie pod rękę, gdy gram, marzę o romansach salonowych, o rycerskich gdy mnie koń unosi, widzę mego bieguna obok innych koni i wyobrażam sobie, że w szeregu jadę. Na nieszczęście, odkąd powiedziałam sobie, że trzeba pracować, nie mam czasu układać takich powieści w głowie. Byłabym mogła, ledwie nie całe życie tak gdzieś między niebem a ziemią przeżyć. Ale dziś widzę, że byłam w błędzie, gdyż Bóg stworzył nas dla ziemi i dla nieba, wcale nie dla tych mrzonek powietrznych co zapełniają przestrzeń między niemi.

Powrócimy do chwili mego wstania, bo wszystkie ceremonie jeszcze się nie skończyły. Gdy otworzę oczy, klaszczę w ręce. Skoro masz wszystko wiedzieć, powiem ci, że nie cierpię wszelkiego metalu bez ostrza, nie bierz mnie przecie za krwi chciwą; morduję tylko jabłka, dzwonka też nie mam, bo to metal gładki, a drzewo dotąd nie chce dzwonić. Jest wreszcie w tym zimnym wynalazku francuskim coś wstrętnego dla nas ludzi wschodu. Klaszczę zatem w ręce i wołam: Józinnefa! I wnet, mała dziewczynka przybywa, a ja kładę pantofle, zarzucam płaszczyk i dalej do kominka jak biedny

Kopciuszek. Ubieram się prędko, Tylówna, znana ci dobrze mój wujciu, przychodzi czesać mi włosy.

— „Prędzej, prędzej moja Tylówno!“ — „Czego się pani tak kręci?“ — „Moja Tylówno prędzej, ach jak ty ciągniesz!“ — „A już z tą panią rady dać nie mogę, zawsze dziesięć robót, kiedy ja czeszę, a jak pani wyjdzie roztargana, nikt nie powie, że się pani kręci, tylko Tylówna niezgrabna. A potem mru, mru, mru pod nosem“.

Narzuca Dyźcia szarafan biały w kolorowe kwiateczki, Tylówna wraca do swojej komórki. Dyźcia sama jedna w pokoju, klęka sobie i pacierz mówi krótki, bo wszelkie pacierze nie z powinności ale z serca, odmawiają się wieczorem. NB. proszę nie myśleć, że ja się zrana nieszczerze modlę, to tylko znaczy, że zrana z rozkazu, w wieczór z własnej ochoty, ale doprawdy z serca jedno i drugie, gdy Bóg zsyła tę łaskę. Potem wstaję, idę grzać się koło kominka, to moment wolnego dumania. Nikt nie przerwie, nikt się nie zaśmieje i dumam, dumam o mamci mojej biednej, o kłopotach, które ją jeszcze w życiu czekają, o mojem, razem błędnem i tak samotnem życiu, o was często, o mojej niewdzięczności ku Bogu, że w każdem dobrodziejstwie Jego złą stronę upatruję, albo wymyślę sobie jeśli jej niema, o próżności mojej w wielu rzeczach, o wielu, wielu grzechach, czasem niechcący, zacznę sobie Bóg wie jaką historyę w głowie kleić, różnie się zdarza. Wtem ktoś zaczyna we drzwi stukać.

„Dyźciu, moja Dyźciu! co też ty myślisz sobie, czekam na ciebie od godziny ze śniadaniem, a ty marudzisz“.— „Chodź, chodź, Muniu, dawno już Dyzia gotowa“. — I Muń wchodzi namurmuszony i zaraz gdyrać zaczyna. „Taka czerwona jesteś, wiecznie w tym kominku siedzisz, jeszcze się spalisz kiedy“. Dyźcia już nic nie mówi, bo wie, że Muń rano wstał, głodny, musiał gospodarować, póki się z Dyzią nie zobaczy. Więc mu tylko ślicznie kawę nalewa, a kiedy się udało, ani kropelka na miseczkę nie spłynęła, kożuszek nie umo-

czony w kawę po wierzchu żegluje, Muń się zaśmieje z mojej pracy i zapomni o złym humorze. Gdyby on się na mnie choć trochę doprawdy rozgniewał? Wstydzę się mojej niecierpliwości, kiedy pomyślę o nim, tak przecie żywym! Zanadto miłosierny aby mógł się gniewać. Gdy mi zalecił abym w kominku nie siadała i nie płakała, idzie w pole albo do fabryki, a ja zostaję sama do obiadu. To godziny mej pracy. Uczę katechizmu moje dziewczątka; to jest tłómaczę go, dopóki nie zrozumieją. Postarałam się o książki do pomocy w tem zadaniu, my wcale takich nie mamy. Nasze katechizmy tłumaczą jasno dogmata, ale językiem nie dla wszystkich dostępnym, stylem wzniosłym, jakiego żadna mała dziewczynka nie zrozumie. W każdym napotykamy słowa: iżali, uczestnictwo, społeczeństwo i mnóstwo tym podobnych. To tak, jakby je uczono po hebrajsku. Postanowiłam więc na osobnym kajecie sparafrazować cały prawie tom, nie licząc historyi świętej i Ewangelii, co nastąpi później. Czasami bardzo się lękam, czy sama źle nie rozumiem i źle nie wykładam, ale przecież robię co mogę i nikt temu lepiej nie poradzi. Na tem ubiega poranek. Popołudniu biorę się do igły, w kilka osób otaczamy starego ojca Daryusza, który z fajką siedzi w swem krześle. Jedno z nas czyta: ja czyniłabym to najchętniej, ale mam teraz piersi tak słabe, że przez cały tydzień pokutuję za jedną godzinę czytania. Siedzę więc spokojnie, mówię mało, bo mało kto czuje tak jak ja, a mniej jeszcze osób rozumie, że nie będąc zupełnie dzieckiem nieświadomem życia, można przecie różnić się z nimi w zdaniach. Jeśli przypadkiem urwę sobie iakąś chwilę, biegnę do siebie, trochę czytam. Wieczorem odprowadzamy ojca do jego pokoju, i dzień skończony dla całego prawie domu. Daryusz utrudzony bieganiem, zasypia głęboko, ja w przyległym pokoju, modlę się za ciebie, za was obu, za biedną mamcię moją, za mego poczciwego Daryusza, za wiele osób. Te osoby ani zgadują, że ktoś każdego wieczora wymawia imię ich przy modlitwie, ten ktoś, kogo wi-

dują w salonach, rozmawiającego, śmiejącego się, który zdaniem ich, mało zważa, zapomina tak jak drudzy. Bardzo źle, że to napisałam, kto mnie zapewni, że drudzy zapominają? Kto mnie zapewni, że modlę się za wszystkich, za których powinnam się modlić. Zgrzeszyłam pychą! Niech mi ją Bóg przebaczy! Po modlitwie, jeśli Daryusz śpi tak głęboko, że nie słyszy jak się kręcę choć pora spóźniona, czytam trochę, ale jeśli Daryusz woła z po za drzwi: „Idź spać Dyziu, będziesz jutro blada“, wtedy zła myśl przychodzi mi czasem do głowy: pozwalam sobie kłamstwa, choć wiem, że nazajutrz, jak się przyznam, otrzymam za to burę. Mówię: „zaraz, zaraz“ i wołam „Józinnefa, chodź mnie rozebrać“, potem ruszam się trochę, jak gdybym się kładła i dalejże znowu do książki, choćby na krótką chwilę. Nieprawdaż, wujciu, że ladaco z twojej siostrzeniczki? Może się też poprawię, wstyd mnie, żem tak nie raz czyniła. Dobrze jednak, że ty wiesz o tem, wujaszku; niech to będzie dla mnie pokutą. Niekiedy zastawiam przy Daryuszu stoliczek z jabłkami lub śliwkami, jemy drugą wieczerzę i rozmawiamy chwilę, poczem on mnie pobłogosławi; idę i śpię do rana.

Tak to ubiega życie moje, drogi wujaszku. życie to spokojne, wewnętrzne. Nic nie przerywa jednostajnego trybu, chyba czasem zrana przejażdżka konno, albo przybycie gości. To się nie często zdarza, ludzie nie garną się do ośmdziesięcioletniego starca, i moje tu stosunki nieliczne: wielkie to dla mnie dobrodziejstwo, oszczędza mi to niejedną nudną chwilę. Tak w tem, jak we wszystkiem, lubię dwie ostateczności: albo świat w całem znaczeniu słowa, lub też zupełną ciszę. Dla wielu a wielu przyczyn, nie pragnę pierwszego, mimo, że mogłabym lubić go na czas jakiś.

Nie chcę dotykać tego przedmiotu, posunąłby nas zbyt daleko, a raczej zbyt głęboko.

Moja dusza wcale nie lepsza niż u drugich, słaba i słabsza jeszcze niż u wielu. Ale każdej duszy ludzkiej Bóg udzie-

lił cokolwiek siły, tak nam kobietom jak i wam, nie trzeba tego niszczyć, powątpiewając o tej sile i zamykając jej pole do działania. Ci nas pozbawiają godności ludzkiej, co nam odbierają udział w pracy, w cierpieniu i w szacunku ogólnym, bo jak tu mieć szacunek dla istoty, na którą nie liczy się więcej, niż na dziecię? Takie, poniżające nas oszczędzanie, czyliż nas uwalnia od cierpień? Bynajmniej!... Wy nie chcecie tych cierpień dzielić z nami, ale ponieważ musimy odczuwać je koniecznie, wkładacie nam na barki większy ciężar, nie pozwalając nam dźwigać go z wami pospołu, umiejętnie i chętnie. A cierpienie tem cięższe dla nas, gdy z niem nie łączy się myśl ofiary, która je uszlachetnia i czyni lekkiem. I cóż stąd wynika? Oto, że wy macie przed światem zasługę ofiary, a my spełniamy ją rzeczywiście. Historya to Jeftego i jego córki: dla niego wotum i zwycięstwo, dla niej śmierć! Stąd przed okiem Bożem, zdobywamy lepiej niż wy, palmę poświęcenia. O nie zazdrościmy wam wcale!...

Zresztą nie mam prawie żadnych stosunków: miałam ich trochę w Kuryłówce, gdyż od powrotu mamci, pełno gości bywało w domu. O mój drogi Józefie, czy ty pojmujesz, że będąc ledwie o trzy dni drogi od niej, nie mogę jej widywać, a wiem, że ona dręczy się; wiem, że płacze!

Chcieliśmy ochrzcić imieniem Bohdana rzeczkę płynącą przez ogród, ale okoliczności nie dały spełnić zamiaru, trzeba to odłożyć do przyszłego lata. Wybierzemy jakiś dzień piękny, błękitny i ciepły, jakiś słoneczny poranek, z drobnymi na niebie obłoczkami, białymi jak aniołki, by przyćmiły blask zbyt jaskrawy.

Józefie, mój dobry Józefie, chciałabym mieć u siebie, koło domu cośkolwiek, coby nosiło imię twoje. Mój dom, jeśli to prawda, że mam mieć dom na ziemi, stanie na wzgórzu panującem nad okolicą. U stóp wzgórza płynie rzeczułka. Z jednej strony pozostały ślady starego obozu. Tam postawię krzyż wiosną. Mały zdrój wytryska nieco niżej; kilka drzew

rośnie wkoło; umieszczę tam ławeczkę. Czy pozwolisz miejsce to nazwać imieniem twojem? Powiedz mi, dobry mój Józefie. Nikt tu jeszcze nie mieszkał, nikt nie nadał imienia tej ustroni. Ty będziesz pierwszym. Tyle wypadków zagrzebanych w przyszłości... Kto wie? O! ty przybędziesz może, i wdrapiesz się na wzgórek, i poszukasz tam twojej Dyzi! Czy ja cię tu jeszcze zobaczę? O! nie wątpię o tem... A jednak nie wiem czy z wyżyn można widzieć swoich na ziemi? Niech będzie jak Bóg rozporządzi. Może wkrótce zobaczym się z ciałem i kośćmi, jak wtedy, gdyśmy zrywali śliwki w Kehl, czy pamiętasz? Może zobaczysz mnie postarzałą, okrytą zmarszczkami. — To najmniej prawdopodobnem, ale powtarzam kto wie? Kto wie? Bóg dobry, co On uczyni, to zawsze będzie dobre!

Dawniej życie wydało mnie się długie jak droga przez stepy, prosta, łatwa i pewna, z miękką zieloną murawą pod stopami, z jasnym błękitem ponad głową, ale zimna, milcząca, nieskończona. I myślałam o wszystkiem, co miało zamrzeć we mnie i spoczywać do końca pod kurzawą owego stepu. Po raz pierwszy w tym roku poznałam, że życie coś waży. Może być, że moje dwadzieścia jeden lat dodały mi trochę mądrości; za trzy lata będę już pełnoletnią. Powinieneś uszanować mnie, drogi wujciu. Na zachętę do tego, posyłam ci mój pierwszy włos biały. Nim nowe przyjdą, zgadnij co też robię? Oto rysuję, rysuję, i oczy mi zbieleją jeżeli to podobna. Zanadto cię kocham, abym ci nie dała poznać jednego z arcydzieł, które mam właśnie pod ręką. Posyłam ci więc obrazek galeryi otwartej w Kuryłówce.

Dobry, kochany wujaszku, żegnam cię, opuszczam cię, bo widzę, że późno już, bardzo późno. Daj ci Boże noc dobrą. Koguty pieją, a wiesz ty dlaczego? Nasi wieśniacy mówią, że kogut wśród piór swoich, ma piórka ze skrzydła stróża anioła i odpowiada pianiem swojem, na śpiew aniołów z północy. Zapytaj Bohdana, on ci to powie.

Raz jeszcze dobranoc drogi wujciu, śpij dobrze!

Do Bohdana Zaleskiego[1]).

7 listopada 1837.

Dobry panie, wspomnienie ostatniego mego listu, ciąży mi jak wyrzut, a przecież nie byłam z lodu na cierpienia twoje. Czemuś mi nie odpisał? Czyżby cię zadrasnęło jakie słówko? Nie pamiętam już moich wyrażeń, ale gotowam je odwołać, jeśli mogły sprawić ci przykrość; odpowiadam tylko za myśl moją. Kiedy boleść złamała skrzydła człowieka, spłakany upada na ziemię. Wtedy bracia uścielają mu wezgłowie ze mchu i kwiatów, aby wypłakał się do woli i łatwiej pojednał się z ziemią. Zowią to pocieszeniem, lecz to błąd wielki. Nikt nie opłakuje złamanych piórek swoich, ale płacze, bo zranione skrzydełko nie lata już po niebieskich przestrzeniach.

Nie chciałam cię zatem pocieszać, ani oswajać cię z myślą wygnania. Ta ziemia, jakkolwiek błyszcząca, byłaby ci zawsze twardą i zimną. Otrzyj łzy i dalej, dalej! Boleść wysiłku w mig przeboli. A kiedy na łonie światłości, niczego żałować, niczego zazdrościć tu nie będziesz, powołaj nas w twe ślady, nas biednych i słabych, zgiętych pod brzemieniem tylu cierpień. Nie mów mi, że łzy twoje nie są dla świata, że cię błędnie posądzam. Ty nie płaczesz za niebem, bo możesz go zawsze dosięgnąć, nie płaczesz za winy twoje, żal jest bowiem radością. Powiesz mi: płaczesz za marzeniami twemi! marzenie, to odblysk nieba, lecz to nie samo niebo! Promienie odbite na wodzie, olśniewają z daleka, lecz woda zimna, gdy przyłożymy rękę do niej, to piękny kwiat bez owocu, błyszczący we wszelkie ideały, z wyjątkiem tego ideału, co pragnie zniszczyć wszystkie inne w pokornem oczekiwaniu łaski. Jakżem ja lubiła marzenie jeszcze rok temu, jak bajki o wróżkach w dzieciństwie, czarodziejstwa duszy, po czarodziejstwach

---

[1]) Tłómaczone z francuskiego przez panią Sewerynę Duchińską.

oczu. Ileż to razy płakałam, budząc się do rzeczywistości tego świata, ja, która w tych czasach zapominałam o prawdziwej, nadziemskiej rzeczywistości. Doprawdy przychodzi mi niekiedy szalona myśl, że to życie jest tylko snem, a my dlatego słabi, że śpiemy i gotowiśmy powiedzieć sobie przechodząc od snu do rzeczywistości: „Tu zaszła zmiana w scenach mojego marzenia!“ Bohdanie, niech prawda oświeci cię i pocieszy; napisz do mnie czemprędzej, powiedz mi, żem ci nie sprawiła przykrości. Byłabym grzeszną, gdybym nie ostrzegła mego brata w Bogu, sądząc, że się zabłąkał. Jeśli w troskliwości mojej, przesadziłam twą winę, lub jeżeli źle pojęłam duszę twoją, Bogu niech będzie za to chwała, ale dopóki nie wywiedziesz mnie z błędu, pozwól niech jeszcze dodam: Bohdanie, Bohdanie! ty nie dość zapominasz o nicestwie tej ziemi. Ty piszesz z najgłębszego przekonania, pisząc idziesz za powołaniem twojem, czułbyś wyrzut, gdybyś go zaniedbał, gdyż dano ci może pociągnąć wielu na drogę pańską, a oto dla niejakich względów światowych, słowa twoje zamiast rozlegać się w pośród ludów, wnikają tylko w niektóre dusze uprzywilejowane.

Co ci uczynił Józef, że go zasmucasz? jego, co cię tak kocha, i odmawiasz mu przyjęcia małego współudziału, w jakikolwiek bądź sposób, w sprawie wam powierzonej. Tyś wyższy nad ciasną i samolubną pychę, która lęka się zobowiązania, jak gdyby nie było równie słodko i szlachetnie czuć wdzięczność, jak odbierać jej dowody? Zresztą jeśli jest tu jakaś obligacya, to raczej dług ze strony świata, niżeli z twojej. Nie wątpię bowiem, że Józef ma tysiąc razy więcej na sercu pożytek świata w dopełnieniu missyi, niżeli twoją chwałę. Opór twój, który wpływa na tyle istot, nie jest czem innem jak zbytnią delikatnością; ty musisz ją odrzucić. Nie ociągaj się z dopełnieniem missyi dla względów małej wagi pomiędzy chrześcijanami.

Nie miejże dla mnie gorzkiej myśli, niech żalu do

mnie w sercach nie będzie. Módl się za mnie i za nas wszystkich, jak gdybyśmy już nie byli na świecie, ale w miejscu oczyszczenia, gdzie będziemy po śmierci.

Napisz do matki mojej, Bohdanie, ona wiele cierpiała w tych czasach, a twoje listy sprawiają na niej, tak miłe, tak zbawienne wrażenie. Ona tobie tak ufa. Niech Bóg wspiera was obu i błogosławi.

Do Bohdana Zaleskiego.

1837.

Jeśli panu tej wiosny zawitała kiedy błoga chwila, pewnie uczucie szczerego dziękczynienia z głębi Ukrainy przez góry i morza znalazła drogę do pana. Święty uczynek chrześcijański, utwierdzenie w męstwie i pocieszenie cierpiącej, ukorzenie, ukołysanie duszy mojej własnej mamci świętym życzeniem wywdzięczę. Niech Pan Bóg błogosławi. Żądanie pana spełniłam wiernie. Pozdrowiłam od wygnańca, zadumanego gdzieś na cudzym brzegu o krwawej sławie naszej, stepy, wiatry czarnomorskie, nasze niebo wschodnie, wysokie, iskrzące. Grudkę ukraińskiej ziemi dla pana posyłam, dla Józefa trochę trawki na mogile rwanej. Może stęsknione za ojczyzną, obu was nad Dniepr przeniosą. Zastalibyście uczennicę zmienioną, poprawioną przykładem świętych. Któremu z dwóch panów winną jestem przysłanie ślicznej książki, gdzie wskazana droga powrotu do Boga? Tej bardzo potrzebnej książki dla nas wszystkich, co zachmurzamy narodową przyszłość naszą grzechem nienawiści i dumy. Notatki do historyi ukraińskiej, obiecanej kiedyś, z niecierpliwością czekam, bo ulepianie kamiennego gniazdka nie przeszkadza bujaniu po stepach. Do zobaczenia, dobry panie, w dalekich, lepszych czasach, pełniejszych życia, bliższych im nieba.

Dyzia.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich [1]).

27 listopada 1839.

Tak już dawno odwykłam od miłej pogawędki z wami, mój drogi Józefie, mój drogi Bohdanie, iż wierzę zaledwie, że łaska Boża, udziela mi dziś tej pociechy. Nasza korespondencya urwała się nagle, skutkiem nieszczęść [2]) i podróży, jaką odbyłam i sama nie wiem, gdzie ją napowrót związać. Aby zapełnić ogromną przestrzeń między ostatnim a tym listem, potrzeba ci spojrzeć w rozdartą pierś moją, słowa nic nie powiedzą. Czułam, że dusze wasze przebywają między nami, bo inaczej jakby wytłumaczyć waszą ciągłą obecność w myśli mojej? Józefie, raz jeszcze powtarzam: słowo to rzecz martwa; przeczuj jeśli widzieć nie możesz. Wracać mi tu do przeszłości niepodobna, znasz ją w ogólnych zarysach, szczegóły pozostaną na dzień, kiedy miłosierdzie Boże pozwoli mi zobaczyć was znowu. Ale możebyś rad rzucić okiem na moje gniazdko, zagubione gdzieś w stepie? pobłogosław je z daleka spojrzeniem i modlitwą.

Czy widzisz w myśli twojej step wybiegający w przestrzeń niezmierzoną i czy widzisz rzeczkę jak się rozwija długą błękitną wstęgą, i niknie gdzieś przed okiem? Tylko w oddali, tu i owdzie grupa drzew i chata. Otóż Józefie, jedna z tych chat, nie różniąca się od innych, tem chyba, że trochę większa, to moja chata. Potrzeba mi było koniecznie własnego zakątka, nawet niezależnie od tęsknoty do życia samotnego. Nie mogąc mieć domu, kazałam urządzić jako tako chatę wiejską i w pośród zimy zaimprowizować schronienie dla siebie i trojga dzieci moich [3]). Posyłam ci plan: w pokoikach

[1]) Tłómaczone z francuskiego przez panią Sewerynę Duchińską.

[2]) Aluzya do wysłania w głąb Rosyi pani Iwanowskiej i pani Józefowej Zaleskiej za korespondowanie z emigrantami.

[3]) Dzieci te były wychowywane przez panią Poniatowską, która potomstwa nie miała.

dotykam ręką belek sufitu, ale przynajmniej choć tak ubogo, starałam się, aby ciepłą była i wygodną dla szczupłego gronka naszego, i sharmonizowałam ją o ile można z wewnętrzną myślą moją. Nic tu nie krzyczy, ani kolory, ani drzwi, ani podłoga. Papier na ścianach błękitny lub szary, podłoga wysłana, aby nie rozlegał się odgłos kroków. Kiedy dochodzimy do tego, że każda myśl rani jak ostrze miecza, zaczynamy cenić ten pozór zewnętrznego spokoju. Biedna dusza ludzka, w cierpieniu starzeje się aż do zdziecinnienia!

W tej chacie milczącej, życie upływa też cicho. Wstaję o szóstej: ukończywszy mnóstwo drobnych zajęć kobiecych, idę o ósmej na herbatę. Wszyscy razem zbieramy się w koło stołu: troje dzieci, ich bona, ich nauczyciel i ja. Mój mąż bardzo zajęty po za domem, nigdy prawie niema go między nami. Dzieci gwarzą, śmieją się, jak gdyby na ziemi nie było nic oprócz radości. O dziewiątej zasiadamy w moim ciemnym pokoiku, ja na sofie przy małym stole, troje dzieci naprzeciwko; zaczyna się lekcya historyi kraju naszego, wykładam ją sama, zarówno jak katechizm.

Czy wyobrazicie sobie Nisię perorującą po profesorsku, jak z powagą na czole opowiada dzieciom pilnie zasłuchanym zdarzenia danej epoki z drobiazgową ścisłością? Wolno im zapisywać notatki, wolno zadawać pytania; te rozmaite objaśnienia prowadzą nas niekiedy aż do antypodów. Jeden tylko warunek konieczny: nazajutrz muszą mi opowiedzieć całą lekcyę. Potem czytamy kolejno coś w związku z dzisiejszym wykładem; wreszcie przychodzą moje dziewczęta, przyszłe pokojówki, po jednej na katechizm. Wszystko to trwa do południa. Juncia [1] i Irenka [2] biorą od bony swojej lekcyę niemieckiego języka, Franio [3] pracuje z guwernerem. Odtąd

---

[1] Józefa Iwanowska, najmłodsza siostra pani Dyonizyi.

[2] Żurakowska.

[3] Franciszek Zaleski, syn Józefa.

do wieczerzy, zbieramy się tylko na obiad i herbatę, wszystko to prędko się odbywa. Po ściśle określonym czasie, każdy powraca do swych zajęć. Te godziny należą zatem do mnie; jedną lub dwie poświęcam na pisanie listów.

Bóg rozprószył daleko wszystkich moich [1]. Co leży w duszy najmniej bolesnego, tłumaczy się w listach, ulata jak ptactwo na różne strony globu. Co zaś zbyt dzikie, aby przyjąć mogło formę ogładzoną i przyzwoicie wystąpić przed światem, pozostaje w duszy i wylewa się tylko przed tym, którego nic nie dziwi. Oprócz niego i kilku dusz wybranych, obdarzonych duchem proroctwa dla cudzych cierpień, nikt nie słyszy wykrzyku boleści, nawet najbliżsi, nawet najukochańsi. Dlatego to osamotnienie moje, tak głębokie w tej chwili. Od dziecinnych lat, gorzko je odczuwałam. Człowiek rozumie wszystko, prócz cierpień brata swego. Bóg położył tę granicę, aby ten kto cierpi nie rozpraszał się na zewnątrz, skupił w sobie całą siłę boleści i pozostał wobec niego tajemniczą przepaścią.

Pacierz wieczorny łączy nas w ciągu dnia po raz ostatni dziatwę, sługi i słowem wszystkich, jednem połączonych wyznaniem. Jedno z nas czyta modlitwy, tak piękne z książki, którą mi dałeś Józefie, czy pamiętasz? inni je w myśli powtarzają. Nigdy prawie nie złożę rąk do modlitwy, abym dwóch imion waszych, nie wyszeptała przed Bogiem. Każdego wieczora, kiedy oczy moje zamykają się do snu, znakiem krzyża obu was błogosławię. Wielką jest potęga duszy, nie zna czasu ani przestrzeni. Tak już dawno was nie widziałam, przecież jesteście ze mną, wszędzie i zawsze odpowiadając każdej myśli mojej, dzieląc mą każdą boleść. Zdaje mnie się niekiedy, żeście byli w chacie mojej, siedzieli tu przy kominku, przeglądali książki moje. Byłożby to prostem złudzeniem?

---

[1]) Matka i ciotka były zesłane w głąb Rosyi, ojciec jej i brat Rościsław udali się też za niemi.

Alboż i ja nie byłam nigdy u was, alboż nie widziałam stąd waszych twarzy bladych, pochylonych nad księgą, i waszych łez, gdy klęcząc modlicie się samotni? Nigdyż wam przed oczyma duszy, nie ukazał się ten głęboki grób, którym ja jestem? Czyżeście nigdy nie prosili Boga, aby jak każdy grób, i ten stał się kolebką życia wiekuistego? Wszelki popiół używa spokoju. Od lat tylu moje serce rozbite w gruzy i dla czegóż tak cierpi? Czyż będzie konać aż do dnia ostatniego? Błogosławiony Pan, Jego sprawiedliwość jest miłosierdziem, bom ja wiele grzeszyła. Potrzebuję wyznać przed jakąś duszą litościwą, żem ja biedna grzesznica, potrzebuję, aby ktoś uwierzył w to i pomodlił się za mnie! Józefie, nie kładź tego na karb mojej pokory! Dusza moja przeżyła dni bez liku, tak gorzkich, że ostatni rok dorzucił do nich ledwie cień jeden więcej! Nieszczęście, wielka próba!

10 grudnia.

Kilka dni ubiegło, a nie zapieczętowałam mego listu. Bóg ulitował się nademną, przygarnął swoje biedne stworzenie, pozwolił duszy ukoić się na myśl o miłosierdziu i burza uciekła. Kiedy nam boleść zesłana, jak gorzki korzeń, który okryty ziemią wydaje kwiat wiekuistej piękności, to zaledwie nazwać można cierpieniem: mamy już tutaj niebo! Ale cierpieć z myślą, że to co nam szarpie serce, dzieli nas jak przepaść od Pana, nie śmieć oczu podnieść ku niemu, czuć się odrzuconym sierotą! a przecież jedno jego spojrzenie starczy na uświęcenie takiej nawet boleści! Oczyszczona ze zmazy, ona pozostaje w sercu, jako wieczna pokuta, jako wieczna modlitwa za tych, których skrzydła starzane w prochu, nie rozwinęły się jeszcze; ona pozostaje jako jałmużna, którą wypłacamy Bogu za biednych braci, jako słodkie błogosławieństwo, czuje bowiem, że okupuje winy, nieprzebrany to skarb dla serca!

Niech wszelkie błogosławieństwo Boże spływa na was

obu, których liczę do wybranych moich. Jakkolwiek biedna grzesznica, nie godną jestem wybłagać nic u pana, mam ufność w jego miłosierdzie. On was nie pozostawi o siłach waszych i ześle wam anioła, aby szedł przed wami, i wskazywał wam drogę!

Bohdanie! gdybyś ty wiedział jak mnie przeraża myśl twoja, wstąpienia do zakonu! Zamiar święty, ale jakiejże to łaski potrzeba, aby godne wydał owoce! Uczucia twoje gwałtowne, wyobraźnia bujna. Wierzę zupełnie, że czyny twoje będą zawsze godne świętego stanu, ależ to niezmierzona przestrzeń myśli! jakże to trudno utrzymać ją nawet pod lekkiem jarzmem prostej powinności chrześcijańskiej, a cóż dopiero w życiu zakonnem, gdzie najmniejszy odcień liczy się za grzech lub zasługę? gdzie umiemy zaledwie pochwycić wielką różnicę między przestępstwem mimowolnem a popełnionem ze świadomością. Jakże je trudno rozróżnić? a tu myśli jak fale płyną a płyną, że nie możemy ani obliczyć ich, ani zapamiętać, ani rozpatrywać dość jasno, aby wydać sąd o nich! Myśli, skutki prostej słabości, te wrogi nasze, stają się zbrodnią w zakonniku powołanym do wyższej doskonałości! Bóg sam wie do czego cię przeznacza, Bohdanie, módl się, módl, aby cię oświecił, ale przez litość, niech chwilowa egzaltacya, wywołana może zmartwieniem, samotnością, nie pociągnie cię do ślubów nieodwołalnych! Biada temu, kto kadzielnicę swoją podsyca ziemskim ogniem!

Bohdanie, czyżbym się sprzeciwiała woli pańskiej, żądając w imię świętych braterskich uczuć, jakie mam dla ciebie, abyś odwlókł jeszcze, odwlókł na długo ostatnie postanowienie? Powtarzam ci, twoje serce za młode, za gwałtownie jeszcze uderza. Nie masz tej siły, co daje niezmącony spokój. Nie dość aby wszystko co ziemskie spłonęło w żarliwej i bezinteresownej miłości Bożej, potrzeba, aby popioły nawet wystygły. Potrzeba, opuszczając wszystko co było drogiem, co pociągało na tym padole, czuć się zadowolonym, tem właśnie,

że serce dawno odrzuciło te ponęty, i żadna z nich nie przyniesie radości. Wszelka radość ma odtąd pochodzić wprost od Pana. Bohdanie! z ręką na sercu, możesz-li to powiedzieć? Ty nie masz pokoju, tego znaku zwycięstwa, a przynajmniej on spływa na ciebie, tylko w chwilach szczególnej łaski, jak spływa na nas grzeszników, niby rosa na ziemię spaloną, którą skwar letni wysusza aż do ostatniej kropli. Nie mogę nic sama przez się, wiem o tem, Bohdanie, proszę tylko Pana, aby cię ustrzegł od przepaści, która przeraża mnie dla ciebie, aby cię natchnął wolą swoją. Błagam Go, niech na was obu ześle wszelkie błogosławieństwa. Żegnam was ukochani w Bogu, posyłam wam pozdrowienie w Chrystusie. Niech pokój będzie z wami!

Do panny Maryi Sharp w Rzymie [1]).

16 czerwca 1841.

Cóż ja ci powiem, aby wytłumaczyć długie milczenie, Maryo, ukochana moja, długie to prawda, ale nie tak uporczywe jak myślisz? Nie otrzymałaś widocznie kilku listów, które od czasu do czasu wysyłałam i nie dziwię się temu, bo ja także, nie odbierając słówka od ciebie, nie wiedziałam gdzie jesteś i jak adresować. Ten list posyłam na chybił trafił, niech Bóg pokieruje go do ciebie, droga moja, niech cię dojdą słowa przyjaźni, jakich dawno odemnie nie słyszałaś.

Maryo, ileż to goryczy doznało serce twoje, kiedy w zamian za długie listy, które pisałaś w najważniejszych i najboleśniejszych chwilach życia, odbierałaś tylko milczenie, znak obojętności i zapomnienia.

Maryo, żaden z tych listów nie doszedł rąk moich. Nie wiedziałam o niczem, ani o projektach małżeństwa, ani o cho-

---

[1]) Tłómaczone z francuskiego przez panią Sewerynę Duchińską.

robie. W ostatnich dopiero czasach otrzymałam po raz pierwszy stary list z Rzymu, w którym opisujesz mi w ogólnych zarysach, całą historyę twoją od lat dwóch.

Biedna Maryo! Bóg cię bardzo ukochał, skoro ci dał taką matkę jak twoja, która miała odwagę stanąć między tobą a mądrością ludzką i oprzeć się poświęceniu, jakie gotowa byłaś spełnić, z całego spokoju duszy twojej, dla zapewnienia materyalnego dobrobytu rodzinie. Gdyby można było osiągnąć ten cel, nie miałabym może serca odwodzić cię od ofiary, od tej okropniejszej od wszelkich innych, bo wystawia duszę na tortury, aż do ostatniej chwili życia, podnosi ją ku Bogu i w samychże udręczeniach daje radość męczeństwa! Ależ, mój aniele, potrzeba być dzieckiem, aby wyobrazić sobie, że każdy małżonek będzie wsparciem rodziny, mimo, że obiecuje to przed ślubem. Jakże to trzeba znać i szanować człowieka, aby zaufać tego rodzaju przyrzeczeniom, aby być pewną, że nigdy niedelikatne słowo, nigdy przykry rzut oka, nie zaprawi goryczą biednej matce twojej dobrobytu jaki jej zapewni, że nie zniszczy tem samem owoców z ofiary całego życia twego. Matka twoja bardzo cię kocha, Maryo! myśl o niej, przytul się do jej serca, powiedz jej, że się chylę u jej stóp; przypomnij tę, którą nazywała drugą córką swoją. Jak ty musiałaś płakać, Maryo! jakież to lata smutku i opuszczenia dla was wszystkich, tam drodzy moi, a ja tak oddalona, nie mogłam powiedzieć wam nic, ożywić was jednem słówkiem pociechy, i tylko myślą goniłam za wami co chwila, i wyciągałam skuwane ręce i nie mogłam was dosięgnąć! Mój Boże! czy wy czujecie jak ja was kocham? Gdzie jesteście obecnie? Gdybyś ty wiedziała jak mi przykro nie wiedzieć w którą stronę obrócić oczy, aby spotkać się z wami!

Piszę do ciebie, Maryo, od ojca mego, gdzie wszyscy prawie zebrani jesteśmy w tej chwili.

Dziwny to był widok, dla anioła Bożego, który przeniknął obecnie tajniki serc naszych, ten powrót nas wszystkich

do gniazda rodzinnego po kilkoletniem oddaleniu. Cudnie piękne to gniazdo, z bogatą roślinnością, z mnóstwem drzew i kwiatów i białemi wodami. Wszyscy ze łzami je witali; bo każdy nosił żałobę w sercu: biedni rodzice po stracie jedynego syna, najdroższego z dziatek, siostra moja po stracie swych marzeń i nadziei, wszyscy po oddalonych braciach. Ja, Maryo, sama jedna nie płakałam; patrzałam na to gniazdo temiż samemi oczyma, jakiemi żegnałam je przed odjazdem. Oddawna to grób dla mnie, zimno mi tu jak w grobie, i łzy mi nie przychodzą. Znalazłam tylko w kaplicy obraz Chrystusa, przed którym modliłam się za dobrych i złych dni, któremu przynosiłam tyle kwiatów w dziecinnych latach, przed Nim zapłakałam, bo patrzał na mnie miłościwem okiem jak niegdyś... On jeden się nie zmienił!

Odpisz mi zaraz, Maryo, abym wiedziała gdzie mam posyłać listy.

Bóg z tobą i z twoimi, niech ci daje siłę i radość!

Do Bohdana Zaleskiego.

Rzym, 28 stycznia 1842.

Niechże Bogu będzie chwała za wyzdrowienie naszego kochanego, biednego Józefa. Obaczym się, obaczym pewnie, przytulim was, popieścim, poszczebioczem jak tam u nas szczebioczą, może Bóg da na chwilkę zapomnieć o sieroctwie, biedni. Byleby tylko Józefa nie narażać za wcześnie na podróż, zwłaszcza w zimie. Po takiej chorobie jak zapalenie piersi niema co siłami bardzo wojować z niepogodą i niewygodą. A stąd już widzę jak się on wyrywać będzie. Ale, mój Bohdanie, nadzieja w staraniach twoich i władzy twojej nad nim, że mu się nic złego nie stanie. Choćby się przyjazd wasz spóźnił trochę, my na was czekać będziem, dawajcie tylko znać o sobie. O nas bądźcie spokojni, nie wierzcie złym wie-

ściom. Twarz blada i nieświeża, ludzie myślą, żem chora, a to tylko młodość zwiędła, nic więcej. Kiedyś ja znowu młodą będę, z pod białych włosów błysną jasne, ale czy prędko Bóg jeden wie, do tej młodości dopierom w drodze, w dzieciństwie.

Wiesz ty, Bohdanie mój, czemu w jesieni żółknie liść i opada? Bo niema już dlań soku, ni miejsca, świeże pączki na gałązkach. I prócz jesiennego, mroźnego wichru, prócz jesiennego zimnego słońca, nic biedne pączki niemają, sieroty na nagich konarach, aż śnieg zapruszy i usną na długą zimę do wiosny. Czy z twojem natchnieniem nie to samo się stało co z moją młodością, Bohdanie? Czy ci w zamian tego co znika, wiekuiste nie świta? Nie smućmy się wcześnie, jeszcześmy może nie wyrozumieli myśli Bożej, co się na nas spełnia. Guślarza, gęślarza siły nam trzeba wiele, wiele. Głosu nam trzeba, któryby nam słowa Boże powtarzał. Serca nam trzeba, któreby inne z martwych zbudziło. Nam wierzącym nie czas w płacz uderzyć.

Ah! na kiedyś pogadanka. Józefie, Bohdanie, pokój wam i radość Boża, to jest jasnowidzenie miłosierdzia Bożego wam smutnym i opuszczonym. Błogosławieństwo i łaska na was i wszystkich naszych i nie naszych, wszystkich, wszystkich.

Do zobaczenia prędko, już prędko.

Nisia.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Florencya, 23 oktobra 1842.

Przecie dobiłam się do was, kochani. Wczoraj odebrał St. P. przez jakiegoś pana w Marsylii, o którym nie wiem nawet jak się nazywa, wiadomość, żeście zdrowi obadwa, że już wiecie, że ktoś całem sercem czeka na was we Włoszech, że się już mój wujaszek drogi o paszport stara. Rozjaśniło mi

się, w duszy lżej i weselej i dzień mi błękitniejszy i Włochy nie tak puste, od kiedy wiem pewnie, że mi was Bóg na jakiś czas daruje, bo mi się już czasem zdawało, że daremne starania i że przyjdzie czas powrotu do domu, nim wynaleść was potrafię. Dwa miesiące jak na wszystkie strony listy do was rozpisuję. Ale przecie, przecie, Bóg taki dobry. Niech was nie zatrzymuje trwoga o przyszłość naszą. Nie zaniechamy żadnych ostrożności, jakie tylko w ludzkiej mocy będą, i to przez wzgląd szczególnie na kochanych, którzy w złem razie więcej by pewnie od nas cierpieli, reszta w Bożym ręku.

Przybywajcie do Marsylii, tam zastaniecie list z uwiadomieniem, dokąd wprost jechać macie, bo na cóż się wam daremnie za nami po Włoszech kręcić.

Wujaszku mój, drogi Bohdanie, pokochać was, pożałować biednych, biednych gdyby już prędko. W domu wszyscy zdrowi i spokojni. Spokój więc i wam kochani. Spokój, pociecha i radość Boża i wszelkie łaski, wszelkie błogosławieństwo z wami, kochani.

Nisia.

Do Józefa Zaleskiego.

25 oktobra 1842.

Czemu to ty jeden, wujaszku, o paszport się starasz, doprawdy miałam przeczucie, że mi się Bohdan po dawnemu popisze, tylko wstyd mi było mówić komukolwiek, a tembardziej pisać o tem do was. Na wszelki przypadek, gdyby się nasz dziczek poprawił, nie chciałam mu złej myśli podawać. Otóż daremna ostrożność. Gotów jak przed siedmią laty, gdzieś o dwie poczty od nas osiąść i stamtąd jak z za morza pisywać. Mój Bohdanie, mój braciszku, pomiarkuj no tylko sam. Jakże ja wrócę do mamci, do Kici, do wszystkich naszych i powiem Bohdan na wilczka zdziczał, tak, że z nim rady niema. Nie-

tylko świata, ale i nas się boi i żadnym sposobem z norki swojej wyleźć do nas nie chciał. Coby mamcia na to powiedziała? Rozpłakałaby się na synka pewnie, a wtenczas źle by było, oj źle.

Doprawdy, Bohdanie, my nie ludzie, przyjedź, obacz, a przekonasz się. Spróbuj jak to z nami, jeśli ci się nie podoba, to sobie wrócisz do Francyi zaraz, przyjedź, przyjedź z Józefem. Gdybyście wiedzieli z jakiem upragnieniem czekamy na was, nie wahałbyś się ani chwilki. Albo, mój wujaszek kochany, czyż to nie dopust Boży? Szukaliśmy go dwa miesiące, ledwie, ledwie wynaleźli. Już o paszport się stara i jeszcze rozmyśla.

Bohdanie, Bohdanie, zmiłuj się, nie dziwacz. Przepraszam z serca za te srogie słowa, ale już doprawdy nie wiem co wymyśleć, żeby was przyciągnąć. My głos z domu, od żywych i umarłych, od stepów i Dniepru, od Horodyszcz i Mogił. Głos wszystkiego co tam było, a kto wie, może i tego co będzie, bo moc Boża wielka w słabym człowieku, ducha proroczego daje miłości jego, kto kocha, widzi, przybywajcie, przybywajcie. Boże, przyjeżdżajcie prędko, prędko.

Nisia.

Jednak, Bohdanie, jeśli ci to ma przykrość jaką sprawić dla przyczyny, której może nie wiem, kłopotu albo niepokoju nabawić, to nie przyjeżdżaj. Wszak ja dobra tylko dla was pragnę, pociechy i łaski Bożej. Niech Bóg broni, ażeby przezemnie co złego się wam stało.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Florencya, 27 listopada 1842.

Kochani, kochani, od sześciu tygodni już trzeci raz piszę do was, a od was odtąd ani słówka. Myślałam, żeście w Paryżu, teraz jeszcze próbuję czy w Marsylii was nie znajdę.

Płacz mnie bierze na myśl, że czas ucieka, a was niema a niema. Są tu dla was posyłki z domu, ale nie wiemy dokąd je wyprawić trzeba, ażeby wam dojść mogły. Jeśli Bóg pobłogosławi tej kartce i ona zastanie was w Marsylii, nie czekajcie na nic, nie oglądajcie się na nic, tylko przybywajcie. Gdyby nie ta ciężka glina, jużbyśmy dawno byli z wami. Jużeśmy się tu ułożyli, rozgospodarowali. Nibyśmy u siebie, mamy już gdzie was przyjąć.

Ach! przyjeżdżajcie, przyjeżdżajcie, kochani, tak za wami już tęskno, tak łzawo w sercu. Zmiłujcie się, przyjeżdżajcie prędko. Pieszczotka wam i błogosławieństwo obydwom: od wszystkich waszych; choć z daleka tuli was i hołubi.

Nisia.

Kochani, kochani, łzami was proszę, nie opóźniajcie się, jeśli teraz morze burzliwe, nie narażajcie się, broń Boże, lepiej lądem. Jeśli wam spokojność Nisi choć troszkę droga, nie wybierajcie co taniej, ale co bezpieczniej. Moi, wy moi, pierwsza to do was prośba, nie odmawiajcie.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Rzym, 22 lutego 1843.

Kochani Józefie i Bohdanie, szczo bude to bude, a to bude szczo Boh daśt'. Po tej ukraińskiej przedmowie, dorozumiewacie się rzeczy zapewnie. Oto czekamy was z upragnieniem. Szukać wam będziemy pomieszkania jak najbliżej od nas, bo z Daryusza nie osobliwszy piechur, a tu idzie o to, żeby ciągle być z wami. Dotąd Daryusz dyktował i X. Terlecki coś tam chciał dodać, że się wy i im trochę należycie. Ale nic z tego. Kto was mieć chce, u mnie wyprosić was musi. Obaczą czy drożyć się umiem. Ach, kochani, kochani, przybywajcie. Czemu naprzeciw was wyjechać nie mogę. Ach prędzej, prędzej przybywajcie. Z domu zawsze dobre wieści,

chwała Bogu. Mnie się zdaje, że jutro wieczór powinnibyście być z nami. Jaki Bóg dobry, że mnie was w Rzymie daje. A nie śmiałam się tego spodziewać.

Do zobaczenia. Żal mi, żem was Bogiem nie pożegnała, a więc Bóg z wami i aniołowie Jego.

Dyziu.

Najmilsi w Chrystusie, widzicię jakiem sercem was wszyscy wyglądają, a wierzycie zapewne, że i ci co się w jedności Chrystusa z wami połączyli, niemniej serdecznie was oczekują. Spodziewam się, że przyjedziecie pojutrze zrana lub jutro w nocy, skoro staniecie na doganie, w mieście przyszlijcie po mnie Vicolo del Mortaro Nr. 58, o którym bądź czasie przyjedziecie, przyszlijcie po mnie.

Wasz na zawsze w Chrystusie brat
Terlecki.

Ponieważ ten list nie mógł odejść przez dyliżans, więc i ja mogę się do niego przypisać i dołączyć z mej strony najserdeczniejsze zapewnienie radości z powodu przybycia waszego, najmilsi bracia. Oczekujemy was wszyscy z upragnieniem, polecając was Matce Boskiej by was szczęśliwie z Civita Vecchia tutaj przeprowadziła. Do zobaczenia zatem. Bóg z wami.

Wasz w Chrystusie Panu brat
Hube.

Do pani Felicyi Iwanowskiej.

Rzym, 16 marca 1843.

Mamciu jedyna, moja droga, kartkę papieru kładę oto przed sobą, bo przecież poszło w obyczaj z bliska czy z daleka, długo i szeroko z mamcią gawędzić. Ale co dziś napiszę? Nie wiem doprawdy. nie wiem, bujno w sercu, ludno w myśli, gorąco w każdej krwi kropelce, jasno i lotnie nad ziemią, jakby Chrystusa wejrzenie ogarnęło z góry, a czynno i pilno, jakby widomie umykał już czas i nachylała się ku nam wieczność. Cóż pisać, mamciu? W słowie jak można najmartwiejsze kształty wcielać, ducha by przelatującego nie uczuła

nikczemność i nie zadrżała? Darmo, rozpękną się kształty, w proch opadną i duch bez zasłony zostanie. A potem. Wcielać jest to choć chwilowo więzić czasem i przestrzenią, w moc oddawać prawu materyalności, prawu skończoności. Kiedy człowiek iskrę swoją od ogniska, od Boga, oddzieli wolą, którą ma wolną i jedynie w rozum swój zawierzy, działać inaczej jak wcielaniem nie może i wyrobnikiem jest tylko, to na to wcielanie pracuje wyrachowaniem i dzieła rąk jego nie żyją. Ale kiedy wiarą związek swój przyrodzony z Bogiem zachował, kiedy się z nieba nie wynarodowił, kiedy ciągle życie z niego czerpie wiarą, pokorną modlitwą, żądzą i popędem ducha ku tej ojczyźnie, ku tej jedynie wiecznej i bez złudzeń rzeczywistości, wtedy tworzyć może, to jest życiem swojem życie w martwych zapalać nie pracą, ale tchem, wolą, czuciem prawdy, tem coś, które pod kredką wyrachowania pochwycić nie można, czem jednak ludzkość żyje, za czem goniąc postępuje. Praca w tworzeniu na tyle jest konieczną, na ile koniecznym był do wskrzeszenia uścisk, którym umarłego do piersi swoich przycisnął Elizeusz. Jest to wszechmocy Bożej danina od nicości naszej, niestworzonemu duchowi od stworzenia wcielonego w glinę, bo umęczenie w pracy, to uczucie niedostatku naszego, potrzeby ciągłej pomocy, a zatem uczucie zależności wzbudza pokorę, która sprawiedliwością jest naszą względem Boga, oddaniem mu należności.

Praca jest warunkiem, okupieniem prawa tworzenia, ale nie samą siłą tworzenia, całą jest czucie bezpośredniej mocy ducha, wiarą na wszechmocy Bożej opartego. Na dowód patrz, mamciu miła moja. Oto nie mam dziś żadnego sposobu wyrazić znakiem myśli, co mi się w duszy żarzy. Oto w zmysłowym świecie przestrzeń między nami i bez liku zawad, czy się one okolicznościami, przypadkami, porządkiem czy ludźmi nazywają, o które tysiąc razy rozbiłby się głos, nim doszedł tam do was, i niepodobieństwo to słowo piekielnej pokusy, to słowo śmierci, jużby zdrętwiło niewierzących. Ale

dla nas, którzy wierzym, świat zmysłowy dziecińśtwem, martwość ludzka nicością na twórcze tchnienie miłości naszej oczekującą. Oto ten zimny, przeciwnoległy nam świat dziś chwilowo posiada moc w granice nas swoje nie wpuszczać, wcielać nawet w słowa nie dozwala, a jednak mimo niego, życie nasze niewidome a twórcze leci, ogarnia i ogrzewa, w niego samego wnika i na ducha przetwarza. W tej chwili ku mamci, ku naszym tam wszystkim buchnęło, wolą miłości mojej. I wiem, mamciu, tak wiem, pewnie jak wiem, że kocham, że zastanie was zimnych zniechęceniem i smutkiem, zostawi z płomieniem w sercu, bo wam o cudach wszechmocności Bożej i nieograniczonem miłosierdziu poszepnie, o sprawiedliwości strasznej jego i nieubieżonej. Co nazywamy życiem, jest to słowo Bóg przed wcieleniem jego w zgłoski, przedześrednieniem jego na myśl w stanie uczucia. Jakżeby wszechmocnem być nie miało? Ogarniam was nim, jak żebyście nie ożyli wy, u których cierpienia doczesności aż do duszy doszły, poraniły i w niemoc wprawiły. Oto Bogiem was otulam i Bogiem was miłuję i Bogiem od złego osłaniam, Bogiem, to jest pokojem i nadzieją i siłą i jasnowidzeniem. Wierzcie, wierzcie, a stanie się wam. Wierzcie, a odpuszczone są wam grzechy, wierzcie, a pogojone są rany wasze. Wierzcie, a dla łaknących rozmnożą się chleby. Ale wierzcie pomimo zmysłów, pomimo rozumu, i nie napierajcie się koniecznie oczami widzieć to, w co wierzyć macie, bo by to już nie wiara, ale przekonanie, oczywistość była i gdzieżby zasługa nasza była. Wiecie, czemu Chrystus do nieba wstąpić musiał, nim by Ducha świętego zesłał, oto dlatego, iż nikt Ducha świętego przyjąć nie może, jeno ten co wierzy, a dopóki uczniowie na Chrystusa patrzali, nie wiara w nich była, tylko prostym rozsądkiem zaświadczona rzeczywistość.

Ktoś powiedział: wiara jest bohaterstwem rozumu, prawda święta, rozum zaprzeć się siebie musi, w przepaść się rzucić, ażeby uwierzył. Nie można to dość powtarzać. Mam-

ciu moja, przepraszam za ten list. Z góry przeczuwałam i napisałam, że niewiem doprawdy, niewiem jaki będzie.

Dla mamci niby Apokalipsys, którego oto całe tłómaczenie. Kocham i pragnę. Duch mój rwie się z piersi. Wzlata w górę, w górę do Boga i ramiona ku ziemi, ku wam wyciąga. Oh! bądźcie mi wszyscy zbawieni, na ziemi i w niebie, ale lepiej w niebie niż na ziemi.

Bądźcie mi sercem zdrowi. Gronko nasze ze łzami przez góry i rzeki patrzy na was ciągle, jak w tęczę i błogosławi wam rodzonym, wam krwi z krwi naszej i pokochaj, mamciu, całą Ukrainę za nas, nie słowem, ale rzewnem uczuciem i modlitwą do Najświętszej Panny i Białego Archanioła.

Wszyscy kochani, znajomi i nieznajomi, ale wszyscy nie cudzy ale swoi, pokój wam, łaska Boża i zbawienie, mamcię moją jeszcze tulę i pieszczę ptaszkę moją biedną, słodką, ojca kochanego, dzieci, Juńcię, ciocię, Kicię i wszystkich domowych.

Dyźcia.

Do Bohdana Zaleskiego.

1843.

Bohusiu, zrób dla mnie tę ofiarę i przyjdź zaraz, nie do gości, wcale tego nie wymagam, tylko do mego kominka. Obiecuję uroczyście, że ci nikogo nie przyprowadzę. Będziesz sobie sam jeden.

Może w śpiewie jakaś nuta się znajdzie co do serca ci się dociśnie i pogłaszcze. To nic, że śpiew włoski. Wszak muzyka mową całej ludzkości. I ty ją zrozumiesz, choć Ukrainiec. Jednak jeśli ci to przykro ma być, zostań, doprawdy, doprawdy w niczem nie chciałabym cię zadrasnąć, pokój tobie, biedny, biedny i błogosławieństwo.

Dyźcia.

Do Józefa Zaleskiego.

Rzym, 14 maja 1843.

Niech też Bóg stokroć płaci temu najmilszemu Józefowi za dobrą myśl zapomnienia tu jakichś papierów. Gdzież by to było rozsądnie zaraz nazajutrz po waszym wyjeździe [1]) już bazgrać i wysyłać na przepadłe do Malty czy Beyrutu listy bez najmniejszego interesu. A tak poczciwy jenerał [2]) się krząćze, szukając rąk pewnych, a drudzy spieszą się, żeby się nie spóźnić, ledwie że nie dodają: tylko nie zapomnij i nikt ani posądzi o egzaltacyę.

Kochani moi, najmilsi, otóż wam będzie surpryza. Prawda, żeście się nie spodziewali w Malcie, u księdza Ryłły. głosik Nisi zasłyszeć. Niechże to wam za naukę służy, Nisia nieraz i tam jest, nawet gdzie się jej najmniej spodziewacie, bo Nisia duszek tak jak i wy. Wiele rzeczy słyszy i widzi i w uszka szepce i po serduszkach głaszcze, to gromi, to grozi, to pieści, to łezkami rany zmywa, to na złe nóżką tupie aż jemu strach. A wszystko niewidomie, dziś z wami jeszcze w brzydkiej małej mieścinie, gdzie ciasno i ciemno, za kilka godzin rozbuja z wami na jasnych, błękitnych falach z białymi czubkami i złotemi oczkami, tyle oczek co promieni na niebie, a wszystkiemi patrzą na wskróś aż do głębi przez źrenice, aż tam gdzie myśl i życie biją się biedne w samotności jak w więzieniu. Nie wiem jak wy, ale ja zawsze lubię kiedy do mnie tak bez pozwolenia zazierają promykowe oczki ze słońca, czy z wody, tylko na dobry dzień, dobrze, niby na pocałunek pokoju między ziemią, dręczycielką tą śliczną, a mną, bo widzicie trzeba się co rana godzić, kiedy się co wieczora kłócim, ale zresztą, co jej do tego jak się u mnie dzieje:

---

[1]) Bohdan i Józef Zalescy puścili się z Rzymu w podróż do Ziemi Świętej.

[2]) Józef Szymanowski.

Czego się ona na mnie patrzy? Jednym gwiazdkom wolno, bo miłosierne i kochające, dlatego często takie łzawe, aż mi ich żal. Gwiazdki siostrzyczki zupełnie tak jak my, drobniutkie, drżące, gdzieś tam cicho wędrujące nocą z jakimś rozkazem Pana, wielkim a pilnym, ledwie dojrzane w tłumie, a takie samotne, jednym promieniem wschód i zachód miłują, ale pieszczoty tego promienia nikt nie czuje i trudno zgadnąć na co się on wiecznie pod stopy wszystkim milcząc ściele, kiedy pociechy i użytku z niego nikomu niema; zwykle nawet nikt o nim nie wie, a kto go przypadkiem spostrzeże, skarży się tylko, że zimny. Na co gwiazdki ziemi? Na co te dusze niezrozumiałe, niepożyteczne jak łzy, co to ich teraz tak dużo na świecie?

Kochani, kochani, cała cnota nasza w wierze ślepej, że i my na coś zesłani jesteśmy i my do jakiejś całości koniecznie potrzebni, bo przecież bez myśli i celu Bóg nie stwarza. Nie skarzmy się, bośmy trochę przejrzeli, gdzie jest ów cel ziemski, pierwsza przystań nim do niebieskiego się dobijem i nie chciejmy koniecznie dojrzeć, jaki w ogóle budowy proszek nasz zajmuje kącik, na czem się opiera i co dźwiga. Módlmy się nie o pociechę, ale o wytrwanie.

Byłam dziś w naszym kościółku. Zastałam śliczną naszą Matkę Boską z wyciągniętemi rączkami jak zwykle, zdaje się, że zaprasza do stołu syna swego. Nie dojrzałam jej twarzy, ale czułam, że pogodna i w słodkie, młode jej dłonki co na Chrystusie piastować się nauczyły, złożyłam jak dzieciątka wszystkich was kochanych, bliskich i dalekich, żywych i umarłych, znanych i nieznanych, dobrych i grzesznych, płaczących i szalejących. Niech hoduje, pieści, poprawia, cieszy, wszak ona Matka, bo darował nas Jej wszystkich Chrystus. Co też ona nas ma, obsiadła dziatwa i na ręku i na piersiach, i u kolan, i u stóp, i pod stopami, i daleko gdzieś przed nią czołem w prochu wedle zasług, a ona tylko uśmiecha się i tuli. Choć wejrzeniem z daleka pogłaszcze, a łzę

ma w oku; bo nowe jej dziatki, nędzne i chore i biedne, bardzo biedne.

Niedawno do domu wróciłam, pusto u mnie teraz. Mogę czytać czy pisać bezpiecznie, nikt nie przeszkodzi, nikt drzwi nie uchyli i nie zapyta, może przeszkadzamy? I niema komu powiedzieć: chodźcie, chodźcie, no tylko już ja później popracuję. Otóż przyszło już to później. Wy mnie, duszki, nie ubyli, jak nikt z kochanych nie ubywa nigdy. Zawsze przytomni, zawsze razem, że was nawet w pacierzu rozdzielić nigdy nie mogę, tylko teraz nadszedł czas pracy, zebrać siły trzeba w duchu i kopnąć się naprzód, nietylko przez góry i wody, ale co trudniej przez osty i pokrzywy i drobne ostre kamyczki. Przed wszystkiem pożałować trzeba czasu co marnie minął i wrócić do ciągłej modlitwy. Strasznie wasza Nisia zła i do niczego, niewdzięczna i niedbała, tak mało się przez te trzy miesiące modliła, roztargnęła się jej myśl na wsze strony, nie przędła ślicznie, gładko w pokoju i miłości od Chrystusa na świat, ale się rwała co chwila, a Nisi to nie darowano, bo Nisia wie lepiej niż kto, jak to można pracować i gawędzić, kochać i płakać, pisać i biegać, a nigdy modlitwy nie przerwać i zawsze Chrystusa czuć wejrzenie na czole. Czyż ja Chrystusa wtenczas tylko kochać będę, kiedy w samotności On jeden mi zostanie? Wprawdzie kochałam ja Go zawsze, alem się Nim nie cieszyła, alem Mu bez przestanku nie mówiła: coś we mnie, że nietylko z rodzimej niemocy stworzenia, ale z miłości, żyjącem życiem mojem jest tylko On. I wam krzywda była, kochani. Miliony kochanych, tyle było godzin, w których dręczyłam się tylko wami, a na okup boleści nie przynosiłam nic, biedni wy, cóż wam z miłości, co się bez przestanku nie modli za was? Gorżki mam żal do siebie za Chrystusa, a potem za was. Radabym wynagrodzić wam te dnie co przeszły, pokutować za was i prosić bez końca. Ale cóż? dziwna rzecz, dziwna. Żadnym sposobem nie mogę. Co się ukorzę za siebie i za was, co zacznę Psalmy,

jakaś radość napełni serce i mimowolnie słowa dziękczynienia na usta przychodzą. Czemuś wszystko we mnie chwali Pana jak po zwycięstwie. Czemuś dziękuję Mu za was, jak byście wytrwali już do końca i wszystko już po końcu było. Darmo łzy i rany na świecie widzę, darmo krwawo bolicie mnie wszyscy cierniem w sercu i mamcia i Kicia i wy sieroty i lud nasz kochany, darmo łzy mi cieką, że utulić się nie mogę, darmo klękam, ażeby się Panu poskarżyć i spocząć w nim trochę, tylko kochać i dziękować Mu mogę, nawet mimo głębokiego uczucia niegodności i grzechów moich.

Już się nie opieram, niech i tak będzie, chwała Jemu na wieki.

A z wami co się dzieje, kochani? Jaki tam dzień zabłysnął wam w sercu, nieprawdaż dzień siły? Pokrzepiecież się w nim na inne, w których inna wam łaska dana będzie w podziale, łaska bojaźni i uczucia własnej niemocy. Kochani, och nie smućcie się. Mieszkania 'wiele tam u Ojca, znajdziem się tam wszyscy i niezadługo. Na co nam na czużyni namioty rozbijać? Zachciewa się nam używać i wierzyć nie chcem, że niema co. Gdyby na tej pustyni rósł jaki owoc niezatruty, czyżby nam go nie dał Ojciec? Gdyby choć jeden tylko, jużby się ziemia wygnaniem nie nazywała, jużby i do nieba wielu tęskno by nie było.

Czy to wam nic nie szkodzi, że wszystko bazgrzę bez związku, ni sensu, co mi do głowy przyjdzie..... W czwartek zdaje mi się, wyjedziem z Rzymu. Tymczasem roboty mam dosyć, trzeba owe francuskie kartki pokończyć, trzeba komisa porobić, wizyty z pożegnaniem pooddawać, potem na Szwajcaryę do Heidelberga.

Bądźcie, duszki drogie, zdrowi i spokojni. Piszcie długo i obszernie na ręce księży, ale donieście, czy moja bazgranina czytelna dla was, bo jeśli nie, to ja może potrafię wyraźniej pisać.

Całuję was w czołko obydwóch, Bóg z wami i anieli Jego. Pieszczotka wam z serca od

Nisi.

Do Bohdana Zaleskiego.

Bolonia, 18 czerwca 1843.

A do ciebie co napisać, Bohusiu! Jak to się rozgawędzić, kiedy ledwie chwilka czasu i kiedy właśnie o tem co wichrzy w myśli, a potem pruszy niby śniegiem biało, cicho i zimno, o tem nie można ani mru, mru. Jedziem a jedziem nie bardzo spiesznie, a jednak rzadko kiedy wolną mam godzinę. Smutny mi był pobyt u Marai, smutno patrzeć na opuszczenie i nie módz przytulić. Obejrzałam się tam trochę w około, towarzystwa niema. Ale zdaje mi się, że są ludzie i że przecie wpatrzywszy się dobrze, jakieś ziarno przyszłości, coś na kształt myśli. Ucieszyłam się, bo już myślałam, że wyjadę ze ślepą tylko wiarą, że to coś istnieje, choć go nie widać. Nie znam ludu, na którymby tak i śladu duszy nie znać było. Śpią głęboko i nawet nie śnią, bo śpią na pierzu. Zdradny to dar, piękny i rozkoszny kraj.

W poniedziałek przejechawszy całą noc, stanęliśmy w Lorecie, właśnie na Mszę św. Komunikowaliśmy w izdebce najświętszej Panny. Ciasna, ciemna, niewybielona, wewnątrz wszystkie kamienie znać, z rodzajem kominka gdzie sobie jeść gotowała. Modliłam się strasznie za wszystkich gorąco, usilnie. Wiesz, Bohdanie, jak gdyby się mówiło, nie wstanę dopóki nie wysłuchasz, bo też zdaje mi się o nic ziemskiego nie prosiłam, chyba jako dodatek niekonieczny. Na kolanach obeszłam domek, tak mi było błogo i spokojnie. Ale pokój u mnie niedługo zwykle gości, bom go nie warta. Nazajutrz, wróciliśmy znowu do świętego domku, klękłam jak w wilią, ale mi nie szła modlitwa. Nie wiedzieć gdzie myśl latała, ani

jej zebrać, ani jej uciszyć. Oderwana od świętego miejsca, zła i grzeszna, raz wraz coś mi szeptało po cichu. Udawałam z początku, że jej nie słyszę i modliłam się dalej i jakiś czas miernie tak szło. Aż jedną razą Bohusia spostrzegam wśród modlitwy, że się ja na tę złą myśl patrzę, ścisnęło mi się serce. Drudzy chwalą Pana, a ze mnie obraza mu tylko, nawet do świętego domku Maryi grzech zaniosłam. Przeprosiłam ją trochę, pokłoniłam się jej i poszłam sobie przed Przenajświętszy Sakrament popłakać. Płakałam, płakałam i nie ulżyło mi i wyjechałam z Lorety z tem jakiemś uczuciem słabości, niemocy, trwogi i smutku, z którym to się znam od tak dawna. Bohuś powie: niebyło czego gryść się tak bardzo, roztargnienie każdemu się zdarzyć może. Prawda, Bohusiu, to też upadek na duchu jedną jest z chronicznych niedoskonałości moich, próbuję się czasem poprawić, ale utrzymać się na stopniu pokoju, jeśli nie radości, jest dla mnie takim wysiłkiem, takiego natężenia, wzniesienia ducha potrzebuje, że naturalnie po jakimś czasie upadam na siłach.

Tego samego dnia stanęliśmy w Ankonie; brzeg morza, a więc musi być piękny. I wieczór i ranek był cudny, letnio w powietrzu i gwiazdy i światełek mało w oknach i cichusieńko, bo Ankona pusta jak wszystkie miasteczka włoskie. Mieliśmy balkon nad samą wodą. Daryusz cygaro palił, jam do mamci pisała, resztę czasu nic nie myślała, tylko na piękność świata Bożego patrzała.

Mój Bohusiu, czasem piękność to samo wrażenie robi co matce śliczna jakaś śpiewka do snu, zasłyszana po śmierci dziecka, któremu ją kiedyś nuciła. Mnie tak kiedyś było, długo, bardzo długo było, teraz zdaje mi się już nic, teraz rozumiem dobrze, że pomarły wszystkie tak strasznie, tak namiętnie wykochane marzenia, dzieci moje ziemskie. Oblicza ich nigdy wyraźnie nie widziałam. One były dla mnie w boleści, równie jak w szczęściu, w znanem czy nieznanem, po znaku piękności macierzyńska moja miłość poznałaby je wszę-

dzié, dobrze, że mi pomarły. Nie dla grzesznej one i słabej kobiety jak ja. Wolnam teraz i jasnowidząca. Rzeczywistości nie masz tylko u Pana i ucieczki nie masz tylko do Pana. Nicość nawet nie do nas należy, przepaść cierpień w około jak wiankiem otacza schronienie u stóp Pana. I choćby nam powiedział: „Niesprawiedliwe jest rzucać psom chleb dzieci", kraju sukni jego nie puszczajmy.

Mój Bohusiu, bo dokądże byśmy się udali? Próżń i próżń bez końca złamie się, na czem się oprzesz, wyśliźnie się, ku czemu w miłości ramiona wyciągniesz. Ach Pan, cóż to za szczęście bez miary i niezasłużone, że On złudzeniem nie jest, że istnieje choć głosem na głos nasz nie odpowiada czasem, ale módlmy się, módlmy, niech nie odrzuci nas nigdy.

W Ankonie, Bohusiu, wstałam rano przed piątą, rzuciłam okiem przed sobą. Woda nieruchoma stała bielusieńka jak śniegiem przypruszona, czy lodem tylko ścięta. Jedna tylko wieżyczka na samym brzegu promieniami słońca oświecona. Cudownie przypominały mi się nasze mroźne ranki zimowe. Nieprawdaż, Bohusiu, jeszcze się czasem tak zdarza, że piękność jest dla nas jakby cudzem dobrem, patrzym na nią, chwalim, ale zawsze z tem uczuciem, że to do nas nie należy, że to z jakiejś sfery nie naszej, radość, którą ona roztacza, nie wchodzi jako żywioł do zwykłego życia naszego i spoufalić się z nią nie możem. Jednak zawsze powtarzam: mnie się teraz tak nie dzieje, nie wiem jak mi jest. Co piękne radabym oddać mamci, wam, wielu innym, u was by owoc przyniosło a jam niegodna.

Śliczna droga z Ankony do Forli; część jej brzegiem morza się ciągnie. Jak dzieci, zbieraliśmy kamyczki i uciekaliśmy przed falą, a morze szumiało, szumiało wieczną swoją modlitwą, i nas uczyło coby się nie działo w około czy w nas. Módlmy się, módlmy dopóki tchu. Bardzo my Pana obrażamy smutkiem, smutek to pożądanie czegoś, choćby z nieziemskich

rzeczy, a nam święta jego wola za wszystko stanąć powinna, smutek to nie ufność w miłosierdzie jego.

Bohusiu, wynajdź gdzie Soeur de la Nativité, vie et révélations, i przeczytaj przepowiednie o prześladowaniach kościoła i o stanie świętości jego na końcu. Idealnej piękności rzeczpospolita, która się nietyle prawami, ile doskonałością osobistą każdego utrzymuje. Całą drogę to czytam tę bardzo ciekawą i dziwną książkę, to na okolice patrzę, szczególnie wieczór, na roje świecących muszek w zbożu i trawie, to się modlę, to dumam o różnych a różnych rzeczach. Boję się o ciebie, Bohusiu. Co to za bieda, że wszystkiego pisać nie można.

Rozważywszy o zakonie Trapistów, zdaje mi się, że pozwolenia u Ojca nie uzyskasz nigdy; boję się ażeby z odmówieniem tego pozwolenia nie przyszło zniechęcenie do wszystkiego co dobre. Aleśmy, Bohusiu, tak robić powinni jak pszczółki, pracują, pracują długo, zaledwie skończą, odbierają im miód, a jednak się nie zniechęcają i na nowo pracę rozpoczynają. Jak się jedno nie uda, róbmy drugie. Może się też w przewidzeniach mylę. Gdyby się jednak tak stało nie opuszczaj rąk, dopóki serce bije, nie jesteś w prawie powiedzieć: skończyłem dzień mój, jeśli nie widzisz co dalej robić. Czekaj cierpliwie aż cię Pan powoła, ale się nie usuwaj.

Bracie mój kochany, synku mamci mojej, głaszczę ciebie po wysokiem twojem czole, błogosławieństwa na ciebie wzywam; daru mocy i wytrwania, daru wyrzeczenia, ażebyś nie żądał owocu pracy twojej widzieć, ani płakał za tą, którą ci Bóg w dłoniach skruszy, tylko w pokoju ducha ażebyś powiedział wola twoja, Panie, niech się stanie, a nie moja i dalej w pokoju czy to samo na nowo, czy co innego ku chwale Pana o zbawieniu bliźnich zaczął. Biada niepracującemu robotnikowi. Wzywam jeszcze dla ciebie daru radości pokornej, bo skarga smutku i szemrania częściej niż się nam zdaje buntem jest przed Panem.

Bądź zdrów, Bohusiu, zdrów ciałem i duszą. Ukołysanie i pokój tobie i łaska Boża teraz i na wieki, tobie i Józefowi memu drogiemu.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Bâle, Boże ciało, czerwiec 1843.

Ciężko mi dziś na duszy, darmo chodzę i rozmawiam z ludźmi, łzy cisną się do oczu. Gdyby na czyich kolanach głowę oprzeć i popłakać, gdyby skąd słowo miłosierdzia? Trzeba mi litości, jak wody w skwar, ale nie współczucia. Nie chcę, ażeby kto bolał ze mną, nie chcę ażeby komu, choćby przez odbicie tylko mojej duszy, mdło było i samotnie i szaro jak mnie. Nie śmiem też nic Daryuszowi mówić, chociaż on jak święty Pański, słodki i dobry, już i tak smutki moje, ta niesiła umysłu, od tylu lat biczem mu się stały i mamci nie śmiem, boby jej list nie wesoły na długie dni spokój zakłócił, i do Cezi pisać nie mogę bo ona kobieta, różni ludzie do jej listów prawo mają, i do ciebie, Bohusiu, nie wiem czy pójdzie ta kartka, może cię ona zgorszy, może złej, grzesznej godziny nabawi, może to zły przykład dla ciebie, że Nisia jak trzcina gnie się i pochyla gdzie myśl powieje. Nisia cierpliwości i odwagi niema, nie trzeba ją w tem naśladować. Nisia smutkiem grzeszy, bo smutek, to brak ufności w miłosierdzie Boże, brak nadziei w opatrzność, smutek to rokosz człowieczeństwa naszego, panowanie zmysłów. Jak tylko natchnieniem Bóg nie mówi do nas, zdaje się nam, że nas opuścił. On tylko zasłonił oblicze swoje na chwilę, ażebyśmy mieli zasługę wiary i dlatego też, Bohusiu, żeśmy niegodni czuć ciągle bez przerwy, jak nas miłość jego piastuje. Zniknął mi on bom grzeszna bardzo, bo niedość go kocham, bo najmniejszej ofiary nie umiem ponieść ochoczo dla niego. Nie-

cierpliwię się, złoszczę, zazdroszczę drugim świętości, błąkam się myślą po świecie, szukając choć na chwilkę, choć w obrazku, jakiegoś szczęścia ziemskiego, o którem wiem tak dobrze i całą duszą czuję, że go nie masz dla tych, co raz Niebieskiego zażądali. Potem wracam do Chrystusa, przepraszam go i płaczę. Jedną po drugiej, nędze mu moje pokazuję i tylko co mu obiecuję słodką być, pokorną i cierpliwą, znowu mi się coś w piersiach zamąci, wybuchnie myślą czy słowem i tak zimno uczuciem niemocy zniechęcenia opadnie. Wtenczas na poprawę smutkiem wszystkich w koło siebie dręczę.

Bohusiu, Bohusiu, mnie nie ludzkiej, ale Bożej litości trzeba. Gdybym miała ludzką, zaraz by się obudziła zgryzota, że mnie żałują, choć jam nie warta, że cierpienie moje za większe mają niż jest w istocie, że to ze skarg moich pochodzi, a zatem, rodzajem jest kłamstwa z mojej strony. Może ja, Bohusiu, nie cierpię, czy ja wiem? Może to nerwy tylko rozdrażnione, może kaprys? Nie wiedzieć czego mi się zachciewa. pewności zbawienia, to znów snu po śmierci, to znów pokoju na ziemi w nieczynności, w zwierzęcej jakiejś nieczułości. To mnie znów trwoga bierze na myśl krzyżów co za powrotem do kraju czekają, to jak przed powodzią do ziemi przypadam na wspomnienie grzechów całego życia, to w drżeniu przed tymi, które zdaje mi się, że widzę w przyszłości czarne, straszne, palące, na które zdaleka zawczasu omdlewa siła moja. Biegą mi łzy po twarzy, ale w miarę jak piszę, czuję niedorzeczność niektórych tych wrażeń, szczególnie ostatniego; wiem, że nie na własną, broń Boże, ale na Chrystusową siłę w pokusach liczyć należy.

Każą jechać, a powóz na żelaznej drodze nie czeka, dobrze, że mi przerwali. I jeszcze chwilka, dziś Boże ciało. U nas procesye, słońce jasno świeci, lud śpiewa. Nasi kochani za Chrystusem krok w krok idą, przyklękają i błogosławią go. Kwiatków po drodze mnóstwo. Niektóre świeże jeszcze, niektóre już powiędłe, pomarłe dla Chrystusa w wielkiem szczę-

ściu. One go nigdy nie obraziły. Kwitły gdzie i jak kazał czy w ogrodach, czy w polu na wietrze i niepogodzie.

Mój Bohusiu, na Boże Ciało, na ukochane moje święto, bo to święto Chrystusa, co na ziemi zawsze z nami przebywa, nawet nie popieściłam cię słówkiem. Błogosławieństwo ci, bracie, ty mój, niech ci łaska co w dniu tym na wiernych spływa, przyniesie, to właśnie czego ja mam tak mało, pokój i siłę i wytrwanie.

Strassburg, 17 czerwca.

Zmęczone, rozstrojone mam nerwy, jak tylko dobre słówko ci poszlę, Bohusiu, narzucę szarafanik i położę się na sofce. Cóż kiedy, kochani, nie przyjedziecie zasiąść i gawędzić koło mnie. Wy, teraz właśnie w piaskach ponużeni, dochodzicie pewnie do miejsc świętych i modlicie się.

Heidelberg, 21 czerwca.

Nie mogłam pisać bo mi nie dobrze było. Cztery dnie zabrały podróż i próżnowanie. Czemu od was dotąd ni karteczki? Mieliście z Malty obszernie pisać i nietylko do mnie. Może Bóg da w Frankfurcie co zastać.

Kiedy wy już wrócicie? Tak mi was wieża Strassburska żywo przypomniała, nie teraźniejszych, ale was przed siedmiu lat, młodszych, weselej na świat patrzących. Józef postąpił od tego czasu, pobożniejszym się stał, bardziej wszystko ważącym na chrześcijańską szalę, mniej wesołym, ale też można to i spokojniejszym. A z tobą, Bohusiu, co się stało? Zmętniało, zgorzkniało ci w sercu, nie dlatego ażebyś gorszym był teraz, ale pierwszy może raz w życiu uczułeś się jakim istotnie w sobie jesteś, bez natchnienia, i pocieszyć się nie możesz za promiennemi skrzydłami twojemi. Wielka to chwila, Bohusiu, i która koniecznie, prędzej czy później, nadejść musiała. Na tej ziemi skrzydła nikomu nie są dane na własność, pożycza je tylko czasem anioł stróż i to dopókiśmy słabi,

ażeby niewiara nasza własnem okiem ujrzeć mogła cząstkę ze zmysłowych cudów i łatwiej, ochoczej do Pana dążyła. Teraz, Bohusiu, znać żeś z niemowlęcia na człowieka już wyrósł, nie unoszą już piórka, własnem, długiem, mozolnem usiłowaniem zapracować sobie trzeba chleb duchowy. Teraz dopiero zaświtał ci dzień zasługi i wielką miłością powinno ci serce rozkwitnąć ku ludziom, boś po raz pierwszy wielką ich nędzę zrozumiał. Nieprawdaż, Bohusiu, kto w niebie długo zamieszkał, nie bardzo ziemian pojmuje i przyjdzie mu nieraz pokusa pogardy, a jednak ci ziemianie, pracownicy to pańscy w ciemności, chłodzie i niedostatku i niebezpieczeństwach wielu, których cicha i pokorna praca policzoną kiedyś będzie. Tyś teraz zstąpił między nich, Bohusiu, zepsute dotąd i pieszczone dziecię, i nie skarz się, nie płacz, bo do Chrystusa to jedyna droga, niemasz innej, a więc miła i dobra, bo prowadzi do kochanego nad wszystkich i wszystko.

Zresztą, jeśli ci ona ciernistsza niż komu, może to trochę kary, Bohusiu, bo przypomnij sobie. Czyś ze skrzydełek korzystał jak trzeba? Skrzydełka na to aby w niebo wzlecić. Czyś nigdy z natchnienia nie robił sobie niby hojdałki, co to buja, buja tak miło i rozkosznie, ale zawsze ziemi się gdzieś trzyma? Nie trzeba o tem wspominać, jeśli co złego było; oby i Bóg zapomniał. Tylko, Bohusiu, skargi ani mru mru, a jeśli popłakać to cichusieńko w kąciku i znów ochoczo do pracy.

Pamiętny mi będzie kościół Strassburski. Weszłam: ciemno mi było i trwożnie, a wychodząc, czułam jak w ramiona objął Chrystus, przycisnął do piersi, jak to go na obrazkach z owieczką malują, cieszył i w odwagę zbroił. Jeśli przez Strassburg przejeżdżać będziecie, pytajcie o księdza Thiéry, u którego się spowiadałam, i pójdźcie do niego po naukę do jakiego stopnia dojść może i powinno u sługi Bożego miłosierdzia dla grzesznych i słabych. Odmienił się trochę Strassburg, więcej ruchu niż za naszych czasów. Ławeczki naprze-

ciw wieży już niema. Ale za to wieża sama, śliczna, smukła, przejrzysta jak dawniej, jak dawniej prościusieńko w niebo strzela, jeszcze troszkę, troszkę miłości a uniesie się w obłoki.

Ren pobladł jakby coś przeczuwał. Żal mi było brzeg Francyi porzucać gościnnej i dobrej, spuściliśmy się Renem aż do Mannheim. Cała pięciogodzinna podróż rodzajem była wizyty, bośmy cały czas musieli faire la belle conversation z rodziną duc (księcia) d'Aremberg, która wracała do Belgii, a z którą znała się Olga w Rzymie. Ona niemłoda, Lobkowitz z domu, dobra zdaje się kobieta. Stary książę dowodził mi obszernie jak niekorzystnem jest dla Belgii oderwanie się od Hollandyi, jak Belgia utrzymać się długo w niepodległości swojej nie będzie w stanie, jak miłości ojczyzny tam niema i każdy za zyskiem swoim goni, jak rozprawiają z zimną krwią między sobą, czyby nie lepiej wyszli na rozbiorze między ościenne państwa. Ciekawam na ile też prawdy w tem wszystkiem. Duc arystokrata zabity, z jednej więc strony tylko rzeczy widzi, smutnoby było, gdyby choć w dziesiątej części zarzuty sprawiedliwymi się okazały. Belgowie wyrobnicy i handlarze, prawda, że się zyskom wyłącznie prawie oddali (może to tylko przemawia dawna ojców naszych odraza do handlu). Ale podług mnie, to już szerokie pole posądzeniom otwiera.

Wieczorem, wysiedliśmy w Mannheim i piechotą przez całe prawie miasteczko poszliśmy do dawnego naszego mieszkania. Wszystko jak przed siedmią laty: drzewa i domy i zamarła cichość i pustka, niby mor powiał i dawny nasz salon, duży, ciemny, wyklejony na szafirowym tle tuszem malowanym papierem w Kupidyny i Venery, w pokoiku obok, sofka, na której czasem siedziałam wieczór i płakałam, schody, po których tyle razy na dzień biegałam do Marai, wówczas takiej cudownie pięknej, młodziusieńkiej i żywej, łóżko cioci, na którym bywało czeka nie śpiąc, aż wrócim z balu i opowiemy jej na zabawkę starości, co się w salonowym świecie dzieje. Teraz, ze wszystkich znajomych niema żywego ducha. Wszyscy

rozlecieli się po świecie, zacząwszy od gospodyni starej, wielkiej księżny. Między niemi a mną nic wspólnego nie było, przeszli koło mnie kręcąc się i szumiąc, i nic po sobie nie zostawili, ni żalu, ni — doprawdy, ni wspomnienia, jak w mgle ich widzę, dwoje, z któremi się duch mój choć w niektórych wrażeniach spotkał: Brevera i Maraia. Nie stali mi się nigdy obcemi, gdzieś tam cierpią daleko, każde w samotnym swoim kątku. Kilka pustot dziecinnych, to jedyne wesołe chwile, które mi się z owego czasu w pamięci zostały. Z pobliskiej wioski, wbrew wszelkiej etykiecie, i ku wielkiemu podziwieniu elegantek, samej przynieść cioci dobrej śmietanki do kawy, Marai figla spłatać, na ciasteczka pójść do pani Leibnitz, to i wszystko co przypomnieć mnie samej mogło, że mam nie siedmdziesiąt ale dziewiętnaście lat. Oprócz tych wyskoków nie młodości, tej dawno już nie było, ale dzieciństwa, na wszystko na świecie rozpostarła się była jednostajna barwa mdłej nudy. Wieczory i bale, czytanie czy nawet dumanie, wszystko mi było jakieś niepotrzebne, obce, blade. Żadnym sposobem wynaleść nie mogłam co mam do czynienia na świecie.

Od czternastu lat wiedziałam, że powołaniem mojem pokutować za siebie i drugich. Ale pokutowanie, to bierna tylko strona życia; zostawały siły, które zamierały w nudzie. Jak widzisz, Bohusiu, nie bardzo to dla mnie miła była epoka. Tak mi się przykro z odrazą przypominała na miejscu. A jednak och! jakbym do niej wróciła rada. Teraz wiele rzeczy wiem lepiej, rozumiem, że pokutowanie jest czynnością, bo jest zwrócenie sił przeciw sobie, że zawsze jest coś do roboty w życiu. Choćby też cierpieć ochoczo z dołożeniem woli naszej od woli Bożej jest już pracą. Zdaje się nam często, że na pracy zbywa, bo gardzimy drobnemi rzeczami, które zawsze pod ręką mamy i za karę zaślepia nas Bóg na wielkie skutki, które te drobnostki za sobą zawsze prawie ciągną. Wiem, ale też wiem razem ile tysięcy razy wykroczyłam przeciw tej

wiedzy mojej. Gdyby tylko przeciw tej jednej. Do ziemi gniotą nimi przebyłe lata niedołęstwa i grzechów. Niemasz pod słońcem słabszej istoty odemnie. Może też właśnie dlatego zlituje się nademną Pan.

Od trzech dni bawiemy w Heidelbergu, bo się Olga radzi Puchotta, ja tylko dla ceremonii, bo Daryusz tak chciał; ale się w mojem przeznaczeniu nic nie odmieniło, jak zawsze do żelaznych wód i morskich kąpiel mnie odsyłają. Lubię Heidelberg. Ładne okolice, zielono, bystra woda i uniwersytet. Siła dzieci i młodziutkich. Rzewno mi na widok młodego pokolenia, które w samem usposobieniu swojem już postęp jakiś ludzkości przynosi, żywe proroctwo lat co tuż blisko przed nami. Kocham je i błogosławię sercem. Chociaż wyniklość usposobień i myśli naszych obca mu jest jeszcze, my je rozumiemy ale nie ono nas. Wielka młodość jak starość nie pojmuje życia. Jedna tylko marzy, druga już nie marzy, jedna i druga wychodzi za obręb prawdziwego człowieczeństwa, które jest starciem marzeń żywych ze skamieniałemi marzeniami, czy wcieloną nieudolnością przeszłych pokoleń, z tem co niewiem czemu wyłącznie nazywają rzeczywistością, jakby rzeczywistością i to wpływającą i działającą nie były także myśli niewcielone. Naprawdę niemasz myśli niewcielonych, jeśli nie w słowie, okaże się w czynie człowieczym, który zmodyfikuje, jeśli go zupełnie nie stworzy. W duchowym jak w fizycznym świecie niemasz próżni, myśl nowo powstała nie znajduje wolnej przestrzeni w życiu ludzkiem, gdzieby spokojnie zamieszkać i owoc wydać mogła. Prawdą czy błędem zajęte są wszystkie jego rozgałęzienia, bo stan wątpliwości jest czasem koniecznem, ale zawsze tylko chwilowem przejściem, inaczejby tylko chorobę duchową dowodził.

Myśl nowa samem istnieniem swojem musi więc na jakieś przekonanie nastawać, roztwarzać je, niszczyć lub nowy mu stopień siły i oczywistości dodawać, w każdym razie zmieniać i to konieczne działanie na istniejące już przekonanie

jest pierwszem urzeczywistnieniem myśli, która za pomocą tego przetworzonego przekonania aż do sumienia sięgając, musi w każdym czynie się wcielić. Młodości zdaje się że ona walczy, ona tylko marzy i zwycięża, bo ogromną potęgą przekonania swego wywiera się cała na budowy jednowiekowe pokolenia, schodzącego z pola, a które i tak zbutwiałyby i deska po desce opadły za najściem nowych wyobrażeń, jak opadną kiedyś budowy dzisiejszej młodzi, skoro im włos posiwieje, bo to są wszystko tymczasowe namioty w pustyni. Biada temu ktoby namiot taki ukochał i porzucić go nie chciał i dalej ku ziemi obiecanej wędrować! Zwycięża młodość, bo przeciwnicy jej na pół umarły, dlatego olbrzymio w siłę swoją wierzy i świat cały zewnętrzny ledwie, że nie w dłoni swej czuje.

Skąd tak rychło potem słabnie, skądże wszechwładna na zniszczenie tak nikłe po sobie zostawia dzieła? Oto i na źdźbło trwalszemi się już okazują od tych, które obaliła, bo szermowała w powietrzu albo dobijała niemoc, a nie zwróciła się przeciw godnemu siebie wrogowi, który w samejże chwili tryumfu wygryzał w niej do ostatka siłę twórczą. Nie zwróciła się przeciw samej sobie, nie spróbowała tej pracy, która jedynie na ziemi warta imienia walki, pracy na sobie, dla młodości to jedna walka równa. A więc szlachetna i ważna, wszelkie inne igraszką. Nie wyrobiony, nie zahartowany duch własnem usiłowaniem, nie nałamany do pokornej wiary, posłuszeństwa i poświęcenia cichego, wytrwałego, niepotrzebującego innych świadków, jak sumienia własnego i Boga, jakże w budowie swojej uniknie złego, szczeliny, dla której rychło upadnie. Gdyby to kiedy zrozumiało całe pokolenie, nie potrzebowałoby niszczyć ani wystawiać, bo ono samo królestwem byłoby Bożem i koniec świata i ziemia obiecana tuż.

Dość tej bazgraniny, za którą, Bohusiu, nie przepraszam, bo ci uroczyste tu na piśmie daję pozwolenie raz na zawsze nie czytania, jeśli ci trudno czy nudno będzie.

W hotelu gdzie stoimy, mieszka stary Krasiński. Zygmunt

pojutrze przyjedzie, ale nas zapewne już nie zastanie. Wesele 18 lipca w Dreźnie. Zimować państwo młodzi mają w Warszawie, albo na wsi w Królestwie. Od kiedy z dzieciństwa wyszedł, pierwszy raz podobno tak długo w kraju bawić będzie. Czy mu to na dobre wyjdzie? Nie wiem, wątpię. Wiele jego snów rozbije się na twardej powłoce, bo on nie posiada czarnoksięskiego rzutu oka, co widzi, co pod powłoką żyje. Obym nie przepowiedziała, ale w przyszłości gorzkie go dni czekają. Boże mój, jakże mi go żal.

Pokój Boży z tobą, Bohusiu. Na Frankfurt jedziem do Schwalbach, do wód żelaznych, stamtąd znowu poszlę wam karteczkę, przyłączam listy z domu.

Bądź zdrów, Bohusiu, niech ci radość Boża do serca zawita i gości u ciebie, dopóki tchu w tobie. Aniołowi twemu poleca cię

Nisia.

Do Józefa Zaleskiego.

Schwalbach, 1 lipca 1843.

Co ty porabiasz, Józefciu mój drogi? Ileś już nowen odprawił i różańców odmówił i tygodni odpościł? Szczęście, że po morzu chodzić nie można, bo jużbyś pewnie z Malty piechotą powędrował. Błogosławieństwo Panu, który cię wybrał z pomiędzy nas, Józefciu, ażebyś go chwalił swobodą i pokojem ducha. Pokochaj Pana za nas wszystkich u grobu Jego. Gdyby choć raz spojrzeć raczył, odżyłyby serca nasze suche i jałowe. Za kilka dni będziecie zapewne na miejscu. Złączym się tam w modlitwie.

Schwalbach cichy i samotny, z przybyłych nikogo nie znamy. Kościół o kilka kroków. Świat nie stanie przeszkodą między waszą a naszą myślą ani na chwilę. Dziękuję ci, drogi mój wujaszku, za list ze Smirny. Źle już było bez wiadomo-

ści o was, a zbiegło się ich aż dwie razem, jedna przez generała, druga prosto od was. Szkoda, szkoda, żeśmy nie razem (po ludzku mówiąc, szkoda po Bożemu, pewnie lepiej tak jak się wedle rozrządzenia Jego stało) szkoda, żeśmy nie z wami. Oprócz szczęścia ujrzenia grobu Chrystusowego, choć Bohuś utrzymuje, żeście już syci Wschodu, zawsze on dla nas nowszym jest i ciekawszym od Szwajcaryi i brzegów Renu, na które, cichutko ci się przyznam, patrzeć już nie mogę. Tam się wykluwa, tu w protestantyzmie i filozofiach zamiera chrześcijanizm i nie dano jest oczom ludzkim dojrzeć, kiedy i jak zmartwychwstanie. Tam na wszystko obojętność, bo zawsze przytomną jest myśl, że ziemia koczowiskiem tylko, tu zapamiętała, obrzydliwa miłość dostatku i wygody. Jednak nie powinna byłam kłaść Szwajcaryę na równi z Niemcami, szczególnie wracając z Zurichu, z tego ślicznego wiejskiego miasteczka, gdzie zdaje się po widomu wieje duch Boży, w wolnym jakimś porządku, w ukształceniu ubogich, w cudownych zakładach miłosierdzia.

Ostatnią razą z Bolonii pisałam do was, jak to dawno, ale to nic nie szkodzi, posyłać do was czasu już niema. Za powrotem dopiero w Malcie czy Neapolu poodbieracie foliały moje. Od Bolonii więc winną ci jestem zdać sprawę z całej naszej podróży. W Medyolanie zastaliśmy najmłodszą córkę Buturlinowej, wdowę; u niej, a raczej z nią, zbiegło nam dni kilka. Medyolan nie zostawił nam wrażenia prawie żadnego. Miasto jak wszystkie na świecie. Gdyby można było z krajowcami zaznajomić się trochę, ciekawszem by się w istocie okazało, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. I cztery dni pobytu wystarczają na dorozumienie się tego. Katedra tak cudna, że oczu odwrócić od niej trudno, niby olbrzymie źródło marmuru, jak mleko, białego kipiąc i pieniąc wybuchnęło ku błękitom niebieskim. Cóż kiedy uwzięło się ją kończyć dzisiejsze pokolenie, przekleństwo na dzieła rąk niewiary objawia się zawsze nikczemnością, darmo rozmiary bierze, nie-

słychane bogactwa łoży, niezliczone, zawsze to tylko ogromnemi głoskami drobna lub podła myśl wypisana, nawet cudzej wielkiej wyrazić nie potrafi. Patrzmy na katedry, kończy je podług pierwotnego planu, zdaje się, że jak dziecię posłuszne kamienie tylko na poznaczone im miejsca kładzie, a jednak, dziwny wpływ myśli, jakkolwiek materyalnie piękna i wykończona, jakże niepodobna jej praca do pracy tych co w gorącości serca kamienne te modlitwy Panu stawiali. Na oko nietrwałość jej widać i jakiś fałsz jak w dekoracyach teatralnych, bo też istotnie nie z miłości tylko z próżności, albo z dobrowolnego jakiegoś złudzenia imaginacyi pochodzi. Nie ma rady z prawdą, ni jej zabić ni jej zasłonić nawet, biedny człowiek zamyka przed nią, ile może, powieki. Wyrzekłszy się raz wiary w objawienia Boże, to jest wygnawszy się sam dobrowolnie ze świata ducha, odjąwszy sobie powietrze, któremu jedynie żyć może, cierpi, czuje za tem, że mu coś nieodzownego brakuje i stwarza sobie na mieszkanie, jak go nazywa świat sztuki, to jest wspomnienia pozostałe po niebie zwołuje i każe im ziemię osiedlać, jak dziecię grubą i nikczemną ziemię w cudne imiona przystraja i próbuje zachwycenia. Co umie słów rzewnych czy trudnych, ciemnych, czy rozumnych, wszystkie skleja, niże jedne po drugich na dowody sam sobie, że co wymarzył żyje własnem swojem życiem, istnieje rzeczywiście niezależnie od niego. Niemasz sztuki bez wiary, jak niemasz mowy bez treści.

Z Medyolanu przepłynąwszy nadto zachwalone jezioro Como całe dziewięć godzin ślicznie prowadzoną i utrzymaną drogą, drapaliśmy się na Splügen. U dołu drzewa, chatki, urwiska skały, żywa bieżąca woda, raik ziemski, wyżej same coraz bardziej szare i opadłe świerki, dalej tylko niska zielona trawka i gdzieniegdzie z pod płat śniegu *primula veris*, wiośniany liliowy kwiatek; tu już dla ogromu góry najmniejszego widoku na żadną stronę niema, chyba w dół i to nie arcypiękny. Ostatnią godzinę jechaliśmy prawie ciągle między

dwoma ścianami na trzy łokcie wysokiemi, czasem więcej rozrąbanego jak lód twardego śniegu, albo wykutej skały pokrytej śniegiem, czasem długim tunelem murowanym. Cały ten wierzchołek zdawał się rodzajem płaszczyzny otoczonym górami miernej wysokości. Wszystko grubym śniegiem pokryte, wicher, cicho jak w grobie, ani krzaczka, ani źdbła trawki, ani ptaszka, tylko czasem potok zaszumi w przepaściach pod śniegiem; tak się niektórym ludziom dzieje, Józefie. Ku niebu nie doszli, tylko nad poziom się wznieśli. Im wyżej, tem samotniej im i zimniej. Zwierzchniej, zwykłej, ludziom miłej szaty, jak zieloności, już tam niema. Choć wicher wieje, nie szumi, bo niema po czem, naga tylko skała i lód. Choć potoki wiecznie szaleją gdzieś w głębi, pod śniegiem nikt się ich nie domyśli. Tacy ludzie na ziemi nic już prawie nie mają i ku niebu spojrzeć nie śmieją. Nagroda Pańska tym tylko co dla miłości jego cierpieli.

Widzieliśmy potem jedną z bardzo pięknych części Szwajcaryi: Via Mala i jezioro Wallenstädt. Prawie ciągle jedzie się brzegiem Renu wąskiego i bystrego jak potok i nałożyliśmy kilka godzin drogi ażeby Schafhouzę obaczyć. Na pierwsze wejrzenie nie odpowiada oczekiwaniu, trzeba przepłynąć rzekę i zbliżyć się ile można do kaskady. Straszliwy odmęt, dobrze go ktoś nazwał piekłem wodnem. Obraz jakiegoś fatum ślepego a wszechmocnego bez czucia ni rozumu, takby wiekuiście w przestrzeni było gdyby nie Bóg. Ale nasz Bóg katolicki. Ach! biedneż by serce było człowiecze, bez wyrozumienia i sprawiedliwości i miłosierdzia, tej najwyższej sprawiedliwości. Jak te wody lecą, tak my posłuszni być powinni, Józefciu, i pierwszego dnia stworzenia powiedział im Pan, że gdzie pochyłość, tam ich droga i odtąd dnie i noce bez namysłu, bez przestanku wiecznie płyną, czy po zielonych murawach, czy w skaliste przepaście, gdzie na ledwie dojrzany pyłek rozbijają się kropelki. Czy się wały na brzegu, nim skaczą, choć pół chwilki zatrzymują i dumają? Czy się

troszczą co się na dnie z niemi stanie? Pędzą tylko, bo gdzie wola Boża, tam mądrość.

Z Schafhouzy, gdzie kaskada większe by wrażenie sprawiała gdyby nie zabudowana była tak blisko, a szczególnie gdyby hotelu naprzeciw nie miała, na Bâle, Strassburg, Heidelberg, Frankfurt dostaliśmy się do Schwalbach, jakeś się już pewnie domyślił po winietce na początku. Kiedyś opowiem wam o nim. Ale nie dziś, bo wysłać już te foliały trzeba, przestrzegam, że odtąd po kolei pisać do was będę, raz do Bohusia, drugi raz do mego wujaszka, nie do obydwóch razem jak teraz.

Do zobaczenia, kochany mój drogi wujaszku. Zmiłuj się, nie choruj w upały i wracaj mi prędko. Całuję ręce twoje, prosząc o modlitwę za słabe strasznie stworzenie i za inne stworzenia, które ono kocha, także niesłychanie słabe.

Do zobaczenia, Józefciu, Bóg z wami i pokój i łaska Jego.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Schwalbach, 4 lipca 1843.

Od kilku dni, mój Bohusiu kochany, osiedliśmy w Schwalbach na cztery, może pięć tygodni. Jest to długa, ale płytka dolina, w której, z jednej strony, pobudowano rząd domów, z drugiej zasadzono podługowatem kołem młode drzewka nad wypiaskowaną drogą. W kącie parę ulic starych, cienistych. Wszędzie prawie widok zamknięty niby górą, raczej wałem zielonym, na którym zrzadka rośnie kilkanaście młodych drzewek, rysujących się na tle nieba jakby na stepie, przez liść rzadki przeziera błękit powietrza. Dziwna rzecz, Bohusiu, jak się ludzie na smutku i wyrażeniach jego nie znają, może dla

tego, że względny jest, że się on mierzy u każdego wedle doświadczonych już radości czy boleści.

Większa część ludzi bierze powagę i surowość za smutek, a smutek za nudę. Niech w krajobrazie obaczą czarne świerki, cyprysy i skały, zaraz o smutku rozprawiać będą, toż samo i w życiu. Gdzie wiele zdarzeń a ciągłych, uderzających imaginacyą, tam ich litość. Kiedy przeciwnie z doświadczenia każdy wiedzieć by powinien, że jakkolwiek gwałtowne cierpienie w chwili walki i pracy, nikt go w całej mocy nie czuje, jak nie czuje, mówią, rany żołnierz w czasie bitwy, bo się wznosi nad sferę osobistości. Wszyscy ludzie cierpią, ale od smutku broni ich lekkość, zmienność wyobrażenia skrzydlata, dziecinna zdolność roztargnienia i zabawki, inaczej mówiąc, ubóstwo źródło miłości. Smutek jest to opustoszenie duchowe, pewność wiecznej samotności, widzenie pustki bez końca, cichy jest i nieruchomy, bo niema się do kogo odwołać i wiecznie jednaki bo w koło niego otchłań się nie zmienia. Wyrażeniem jego na ziemi jest tylko step, pustynia boleśną myślą zaludniona. Każdy człowiek wzrodzoną ma umiejętność niebieskiej mowy. Ale tylko cząsteczki jej wedle zdolności miłowania. Im goręcej kocha, tem cudniejsze, zupełnie ziemi nieznane, pojmuje w sobie wyobrażenia. W zachwyceniu śpiewa je ludziom, śpiewa tym. których tak ukochał, że aż ziemię zgruchotał w sobie i pierwotny, zakuty raj odkrył w piersi, darmo. Nikt go nie zrozumie, bo usposobienie inne w każdym, inszą słowa w niebieskiej mowie pojmuje. Wzajemna miłość kochanych nie pocieszy go ani zaspokoi. Choć z niemi, on jeszcze sam, bo złączyć się z niemi w raju swoim nie może. Z niemi we wszystkiem jedność oprze w zrozumieniu uczucia. Człowiek na ziemi na domysł tylko kocha, i o jego miłości domyślać się tylko można; ta cząstka ducha, w której ona tkwi, widoma tylko Bogu, i może dlatego miłość tak wzniosłą jest i piękną, że na wierze tylko oparta. Im bardziej więc kocha, tem bardziej biedny ten więzień

Boży czuje się sam, bije się długo o słowa, aż zrozumie, że darmo i zalegnie mu serce smutek tak niezmierzony jak miłość jego, bo dopiero objawi mu się w prawdzie swojej wygnanie. Darmo kocha, nic własnością jego nie jest, bo z nikim zlać się nie może. On tu przybysz pod namiotem, języka jego nikt nie rozumie. Szeroko mu i pusto na świecie i niczego mu się nie chce, bo nigdzie mu szczęścia, a miłość, tylko treść boleści. Wtenczas kto ma siłę w górę wznieść oczy, zbawion. Pan ukochał człowieka i chciał ażeby nawet w gronie miłowanych on sam jeden był z nim zawsze. Pan, zazdrośny ufności człowieka, nauczył go mowy, której prócz niego, nikt nie rozumie. Pan w miłości swojej trwożył się o biedne serce człowieka i nie chciał ażeby wzrok śmiertelny zajrzeć mógł aż do jego głębi. Wzrok czasem zabić może.

Ach, mój Bohusiu, jak mogą być ludzie co stepu nie rozumieją, samotności człowieka z Bogiem, sieroctwa opuszczenia nieskończoności i nieskończonego ubóstwa i w pustkowiu wiecznie wiejących namiętności i Opatrzności co w pieluchy całą tę nędzę z miłością owija. Bohusiu, pamiętasz jak u nas błękit ze wszech stron do stepu się chyli i brzegów jego dotyka jakby pieścił. Skarzysz się czasem, Bohusiu, że cię Ukraina niedość kocha. Niemasz tu wspólnej, zupełnie równej miłości nigdy. Świat myśli, że szczęście jest ze strony bardziej kochanej. Nieprawda. Ono jest ze strony co bardziej kocha. Ukraina nieszczęśliwsza od ciebie, Bohusiu, poszanowanie strasznemu jej cierpieniu, lud jej ani wie jak i ile ty ją kochasz. Nie rozradował się tobą jeszcze ni razu, nie oparł się jeszcze na piersiach twoich, nie zapłakał śpiewkami twojemi. Ale poczekaj, dowie się on o tobie, a wtedy obaczysz na ziemi, czy z nieba kto lepiej kochać umiał, czy on czy ty. Nie wyzywaj go na miłość. On miliony ma serc za jedno twoje. Gotów cię aż do stóp Bożych wynieść.

Od drzewek na błękitnem tle nieba daleko zaszłam myślą. Wątpię, ażeby która ze ślicznych różowych, zielonych,

liliowych pań przechadzających się tam rano i wieczór zwróciła kiedy uwagę na nie. Chyba pomyślała która, że brzydkie, jednak w cichej żałobie zdaleka tam stoją aż boli patrzeć. Dobrze by modlić się przed niemi, one jak żywe świadki tego co się Panu co dzień prawie mówi. Zmiłuj się już, Panie, bo cierpim bardzo. Bohusiu, czemu one płaczą aż Ukrainę naszą mi przypomniały? Może właśnie dlatego, że świat ziemię tę posiadł. Dobry byt i filozofizm, haniebny komfort ducha, rozpięli namiot i zamieszkali w niem, bo znaleźli, że na ziemi wygodnie i chlubią się, że nieznużeni jak pielgrzymi. Ile to jeszcze jest bałwochwalstwa w Europie i u nas. Ale nasze inszego rodzaju, nie przeto lepsze. Zawsze namiętność ubóstwiona.

5 lipca.

Dziś odebraliśmy list wasz z Bajruth, drugi od wyjazdu waszego. Chwała Panu, że was dotąd prowadzi. Choć właśnie teraz idziecie zapewne w zapasy z pustynią i Beduinami, niepokój o was nie powinien się zwiększać. Jednakowo w ręku Pańskim jesteśmy w cichej, bezpiecznej ustroni jak wśród bitwy, jak w czasie burzy na statku. Tak sobie myśli i wierzy sam wierzchołek, jak mówi św. Franciszek Salezy. Ach, mój Bohusiu, sam tylko czubek mego ducha, człowieczeństwo może troszczy się o was i o Kicię.

Bohusiu, Bohusiu, powiedz prawdę, czy ci teraz nie wstyd kaprysić, murmusić się, złe myśli nie odtrącać, skoro tylko Pan po widomu prawie nie pieści? Na grobie tego co tak cierpiał, aż zawołał: „Ojcze, ojcze, czemuś mnie opuścił", przeproś, Bohusiu, za wszystko przeszłe i obiecaj pokornym zostać, miłującym i wiernym, chociażby łaska widoma i słodka na zawsze odebraną ci była. Zawsze zapominasz, że krzyże to większe łaski niż rozkosze,—nawet najcięższy krzyż ze wszystkich oschłość serca. Proście Pana i za mnie biedną. Wymódlcie mi słodycz i cierpliwość. Niech się już wola moja skruszy

i zniknie. Zdaje mi się, że robię jeśli nie wszystko, przynajmniej wiele z tego co mi każą w ważnych rzeczach szczególnie, cóż kiedy mi to posłuszeństwo na grzech wychodzi, bo gorycz zostaje w sercu i dręczę ludzi co w koło mnie smutkiem złym, ostrem usposobieniem. Biedny mój Daryusz. Co też on już przezemnie wycierpiał mimo nieba, któreby mi przychylił, gdyby mógł. Pewnie mu dopomogę do zbawienia bo nieraz cierpliwości i słodyczy daje dowody aż mi rzewno i wstyd. Niech ci się nie zdaje, że to urojone winy. Nikt nie wie ile u mnie krnąbrności i samowoli, chyba anioł mój stróż, który to już nieraz opłakać musiał. Jak się samowola połączyć może z głęboką obojętnością na mnóstwo rzeczy na tym świecie, to jest dla mnie samej zupełnie niezrozumiałe. Oprócz zbawienia i pokoju i, jeśli można, swobodnej myśli kochanych, a są niektórzy dla których nawet i tyle koniecznie nie żądam, ci których znam jak siebie, jak dla siebie też o zbawienie tylko i oszczędzenie im strasznych, strasznych pokus i boleści śmiem prosić. Oprócz więc dobra kochanych, mało zdaje mi się rzeczy pragnę na świecie. Ale niemam mocy nad chwilowem usposobieniem. Kiedy mi się dumać albo czytać chce, kto do czego innego wziąść się każe, zaraz się niecierpliwię i chmurzę. Albo kiedy cichusienka jak w śnie robotę robię, a ktoś na spacer iść każe. Jest coś w głowie, co cichość przerywa w przekonaniu, że niepotrzebnie mnie niepokoją, coś dla mnie niewypowiedzianie przykrego. Moje posłuszeństwo, gdyby ochocze było, powinnoby bardzo mieć wiele zasługi. Każde posłuszeństwo ułatwia się myślą, że się nim posługę jakąś komu oddaje. Mnie przeciwnie posłuszeństwo klasztorne, li tylko dla posłuszeństwa i na domiar odrazy, zawsze niby dla własnego mego dobra, dla zdrowia i to nietylko Daryuszowi, który z taką słodyczą i miłością wymaga, ale tam u nas w kraju nie uwierzysz ile to jest ludzi co sobie powiedzieli, że to prawo mają nademną i doprawdy nie arcysłodko go używają. Otóż, Bohusiu, przychodzi mi cza-

sem do jakiegoś szału, że radabym uciec na koniec świata. Dajcie mi pokój. Czy można ażeby takie dzieciństwo, takie nieprzykre było mnie, co przecie wiem różnicę między drobnostką a nieszczęściem? Czyż mi nie wszystko jedno czytać czy chodzić? Wcześniej czy później się położyć? Zrobić co każą dlatego, że Pan z nieba tak chce, łagodnie, spokojnie i koniec. Otóż, Bohusiu, na upokorzenie moje dręczy mnie to wiecznie, darmo się staram, nigdy zetrzeć tej samowoli nie mogę. Wszystko łatwiejsze niż panowanie nad sobą co godzina w drobnostkach, bo do nich całej siły ducha żadnym sposobem ciągle przykładać nie można, a jednak trzeba koniecznie, kochani. Uproście niech się już poprawię. Nie dla tego, że brzydka wada ale dlatego, że jej Pan nie lubi.

6 lipca.

Dwóch rzeczy nikt nie wyrozumie w człowieku, tylko Bóg: miłości i boleści. Ale czy je Bóg w człowieku tak czuje jak on? Ponieważ Bóg niedoskonałości człowieczej podzielać nie może inaczej, pytanie obrócić trzeba. Czy na Bożą szalę człowiek miłość i boleść swoją waży? Jeśli nie zawsze lub nie zupełnie, są więc chwile, w których i od ludzi i od Boga zupełnie sobie porzucony, bo ludzie nie wiedzą, a Bóg mu tylko świadkiem. Na czucie jego patrzy, ale inaczej o nim sądzi. Och nie i wtenczas on go nie opuszcza, litość jego nie ustaje nigdy, ponieważ nie wszystkie są dobre. Można więc zmienić w sobie i miłość i boleść. Można i trzeba, dawno spowszedniała prawda a zawsze dziwna, niepojęta się zdaje, bo zapominamy, że nim się kto przetworzy, naprzód w proch zetrzeć się musi, w rodzinny proch, w nicość.

Czy Ukrainę nie tak kocham jak powinnam? Czym za nią dość pokorna? Czy dość za nią wszystko wszystkim odpuściłam? Czy dość dla niej mam wyrzeczenia wszelkiego dobra ziemskiego, dość dla niej niebieskiego tylko chleba żądam, światła piękności niebieskiej? Mówią u nas, Bohusiu, że wzrok

matki dziecię upięknia. Wzrok matki to znaczy wzrok miłości. Od tylu lat patrzym w nią jak w tęczę. Gdzie plamka, tam łzy cieką; gdzie ostro i twardo, tam żal pali. A miłość owiewa ją bez końca, głaszcze, muska, tuli sercem do serca. Co ma ognia to jej daje, a podsyca to piosnką, gościńcem gdzieś z nieba, to wspomnieniem dawnych, ślicznych czasów co śpią po mogiłach, jak w mleku kąpie w kazkach aż uśnie ziemi i w widzeniu wolę Pańską zrozumie i zbudzi się silna poświęceniem, na męczeństwo. Kto wie? Boże daj, Boże daj byśmy wszyscy poszli w raj i jak ją chóry serafinów i męczenników i wdów i wyznawców i jak Go chwali jedenaście tysięcy panien św. Urszuli i cztery tysięcy legii św. Maurycego, tak niech Go kiedyś chwalą miliony Ukraińców. Niech z nich ni jednego nie brakuje. Och! patrzmy w nią wiernie, Bohusiu! Miłość upięknia, uświęca. Miłość zbawia, bo Pan pokornej prośby kochających słucha i nagradza ich łaską dla kochanych. Ale niech zwrotu na siebie w tej miłości nie będzie. Niech ona tylko dla chwały Pana istnieje.

Wielka jest myśl zawarta w tem słowie ludu naszego o wzroku matki. Miłość wolą ideał swój wciela, miłość jest to sztuka, której środek do wyrażenia się jest nie marmur, nie koloryt, ale życie. Miłość tworzy, widok piękności rozwija w człowieku wyobrażenie doskonałości, które każdy jako stworzony, a zatem w skończoności zawarty, jednostronny, musi mieć inne wedle kształtu ducha swego. Jeśli dla jakiejkolwiek przyczyny sponiewierane siły jego ducha, marzyć tylko będzie do sytości, do unudy i wmawiać w siebie, iż znalazł urzeczywistnienie ideału swego. Ułuda oczywiście rozwiać się kiedyś musi a z nią miłość. Ale jeśli twórczą potęgę swoją zachował, duch na prawdę wcielić ideał swój zapragnie. Przedmiot ten jest mu martwym materyałem, przedmiot .mu życie nadał, określając rodzajem piękności swojej kształt tumanny dotąd ideału jego. Jest to więc obustronne podwójne tworzenie. Kochający wzniesie się naprzód sam aż do sfery ideału swego,

potem całą siłą piękności własnej ogarnie kochanego. Na każdą mysl jego wpłynie, miłując i wielbiąc, nie przez omamienie ślepe, ale w prorockiem widzeniu przyszłą pewną doskonałość w dzisiejszej tylko piękności, a może nawet i w błędzie. I miłością kształcić długie lata będzie, niezmordowanie aż z siebie i kochanego aniołów Bogu wypiastuje. Każda miłość na świecie jest to ideał nowy, który ją wciela, dlatego, Bohusiu, nasza Ukraina będzie jak nic na ziemi jeszcze nie było. Jeśli ona zimna, biada nam znać, że niedość kochamy. Jeśli nie doskonała, znać, że dłużej jeszcze pracować, to jest kochać potrzeba, tak ją niedawno, Bohusiu, w Bogu kochają, dotąd zawsze bywała biedną po światowemu. Wszystko to, Bohusiu, ściąga się do różnych bezbożnych słówek, które kiedyś od ciebie o Ukrainie słyszałam. Jeśliś zapomniał to i lepiej.

Nie wiem jaka miłość w niebie. Ale i tam zapewne będzie stopniowa, ciągle przez całą wieczność wznoszenie się, bez doskonalenia nie masz szczęścia.

9 lipca.

Zgadnij, Bohusiu, kto wczoraj do nas najniespodziewaniej wpadł, nahuczał na świat, narozprawiał i dalej dziś poleciał? Ernest[1]), przejeżdżając z Paryża, Londynu, Hagi, nie wiem skąd jeszcze, do Baden na czterytygodniową zabawkę, przypadkiem zaszedł do hotelu gdzie stoimy i spotkał się z Daryuszem. Co też nie wygaduje? Są ludzie co skorupę rzeczy tak wyśmienicie ze wszech stron widzą i zachowują w pamięci, że niesposób nie śmiać się na tę bezduszną maskę rzeczywistości. Bywał na prelekcyach Adama, znalazł, że się zestarzał bardzo, poznał się z księdzem K., którego czci i wielbi. Z wami koniecznie chciał się widzieć, pytał o was w Fontainebleau i powiedziano mu, żeście się do Jeruzalem

---

[1]) Rzewuski, mąż Konstancyi Iwanowskiej.

wyprawili. Niema wyobrażenia, żeśmy razem trzy miesiące w Rzymie przepędzili. Teraz znowu zostaliśmy sami. Gości do źródeł przybywa strojnych i światowych, ale ich nawet zdaleka rzadko widuję, bo piję u krynicy dalszej, w ciemnym, ciasnym kątku, zarosłym w ulicę sadzonemi staremi drzewami, ta ulica dwieście ma kroków. Co rano, co wieczór, godzinę prawie po niej chodzę, sama, pacierz mówiąc albo gawędząc z Daryuszem. Oprócz chłopek, rzadko tu kto zajrzy. Muzyka tu nie gra. Jestem tu jak za światem, bawialny nasz pokój duży czworograniasty z ogromnemi oknami przez które za rzędem domów zieloności trochę widzę, zboża, które wiatr jak u nas, w wały nagina. Nie uwierzysz jak mi tu cicho, to jest dobrze. Pokój zewnętrzny największe dobro jakie mi ziemia dać może, niemam już zmysłu na inne.

Rozmyślałam niedawno nad usposobieniem mojem, tu w Schwalbach przed siedmią laty, a teraźniejszem. Po mdłej nudzie Mannheimskiej nastąpiła tu była gwałtowna, namiętna, wygryzła mi duszę nieczynność. Jakże młoda byłam wtenczas, mój Bohusiu. Bywały lata całe, w których w rozpacznym niepokoju słuchałam jak czas leci i siły moje nieużyte zostawia, szczególniejsze musiało być ze mnie stworzenie, umarłe całe przez wyobraźnię. Jakimś rodzajem omamienia dzieciom tylko właściwym, wierzyłam w urojenia własne, jakkolwiek przeciwne były czuciu, rzeczywistości mojej. Marzyłam naprzykład, że może kiedyś w trudnych, niebezpiecznych okolicznościach, w zawierusze potrzebny będzie ktoś przez nieszczęście z osobistości zupełnie wyzuty, któremu na wszystko się narazić nawet ofiarą nie będzie i mimo najgłębszego przekonania, że jako kobietę niktby mnie do niczego użyć nie raczył, że wreszcie nie będąc wolną, nie mam prawa do siebie samej i że niktby dość miłosierdzia nie miał, ażeby mi czynną usługę komu oddać pozwolił. Nie mogłam się oprzeć ułudzie i mimowolnie stosowało się życie moje do tego snu na jawie, choć tak dobrze czułam, że to tylko sen. Łzawy śmiech bie-

rze mnie, Bohusiu, na wspomnienia energii ciała i ducha, które się we mnie dla miłości jego rozwijała. Do wszystkiego stała mi na przeszkodzie wątłość sił fizycznych. Powiedziałam sobie, że się od wszelkich kobiecych wymysłów oduczę, a miałam do nich z dzieciństwa obrzydzenie. Byłabym sobie za hańbę poczytała na czem innem usnąć jak na słomie. Konno tyle stepu nie zsiadając zlatać mogłam, że niejednemu mężczyznie i nie bardzo zwykłych trudno było dotrzymać mi placu. Od dwunastu lat najlepsze podobno moje chwile przemarzone były na koniu, tak trwało z pięć lat. Ze snu zostało mi teraz podziwienie, że był tak długi. Teraz wiarą wierzę, iż ponieważ żyję, na coś przydać się muszę. Inaczej bluźniłabym mądrości Bożej, która mnie stworzyła. Mamci istnienie moje potrzebne jak każdego z jej dzieci. Nie chciałabym ażeby po mnie płakała. W przyszłości tak do niczego, że nawet do śmierci nie mogę tęsknić, bo grób nie dla nas, tylko dla glinianego odzienia naszego. Nie uśniem w nim ale się zbudzim. O pokój po zbudzeniu nie zaraz i nie dla każdego ponieważ codzień prosim o niego dla tych, co już wieczność zamieszkali. Coby to było, piekło już na ziemi, gdyby nie wiara w miłosierdzie Boże, w tę pierwszą przyczynę i ostatnie rozwiązanie wszech rzeczy. Człowiek nieraz szaleństwa na zawołanie niema. Co mi teraz jest, co mi braknie? Nic, niczego nie pragnę, dawniej choć śniłam, choć szukałam czasem w zapomnieniu się rzadkich chwilkach, teraz i nie szukam. Wyrwanam z ziemi z korzeniem, ani ja niczego, ani mnie nic się nie trzyma. Patrzę jak się ludzie za interesami kobiety, za zabawą rozpadają, ledwie już rozumiem znaczenie tego słowa. Zabawa dla mnie przyjemność, to jest nie cierpienie. Ach! prawda jeszcze czasem książka jakaś miła zajmie. Na domiar, Bohusiu, jeszcze mam rozczarowanie, osamotnienie od przyrodzenia, nie żeby mniej cudne mi się wydawało, owszem, ale, zdaje mi się, czuję chłód i przymus w jego miłosnym uśmiechu do człowieka. W dzieciństwie nie

mogę ci wypowiedzieć w jakiej jedności, zgodzie i miłości z niem żyłam. Znałam się z każdym odblaskiem światła, z każdym rodzajem chmurek, z wichrami, z tumanem rannym, z rosą ranną i miesięczną. Myśl dziecinna zespoliła się była z całym tym zewnętrznym światem Bożym, smuciła się, odnawiała, bujała z nim razem. Czemuś go się nie bała i o nic nie posądzała? Swobodnie jej z nim było. Teraz mam uczucia jakby on nas nie kochał. Ogarnia nas, ogrzewa, ochładza, karmi, cieszy, ale tylko z rozkazu Pana. Na dniu ostatnim, mówi Soeur de la Nativité, powstanie ziemia, słońce i księżyc i wołać będą zemsty za grzechy, któremi oblicze ich znieważono. Patrzę czasem na księżyc jasny, cichy, co jakby koił, tulił, kołysał promieniami tak łagodnie, miłosiernie i myślę sobie nieprawda nie kocha, pieści do czasu, dopóki kazano. Dziś myśl moja zawierzy mu, rozpłynie się w rzewnym, cichym niby spoczynku promieniami jego wywołanym, a jutro on przeciw mnie i braci mojej sprawiedliwości Bożej wzywać będzie. Nie masz miłości jak nie masz pokoju nigdzie tylko u Pana.

Do przyrodzenia nie mam żalu. Owszem. Ono wiernie Panu swemu w posłuszeństwie służy, ale między nim a człowiekiem nic niema. Człowiek czyta w nim z pokornem uwielbieniem słowo wszechmocnej mądrości Bożej i jako z ręki Bożej wyszłemu, jako bratu daje mu to, co ona bezduszna żyjąca głoska, nigdy mu nie odda, — miłość. Bohusiu, ja całe przyrodzenie kocham, może nawet nadto, znamy się od tak dawna. Ale mi z niem samotnie. Jeśli Ukrainę kocham, to, że w niej jest duch. Ach! biedna kochana, kochana, kochana moja. Co tam ja, czy mi smutno, czy wesoło, czy mi tłumnie czy samotnie, wstyd mi jak się nad tem zatrzymam. Panie! Panie! Zmiłuj się nad jej ludem! Panie, Panie! Światła jemu i piękności, promiennego mu wieńca i na pociechę, niech uczuje jak kochany. Niech ze znoju i zniewagi odetchnie, sierota. Ach! Bohusiu, ofiara cóż to za raj! Błogosławiony komu

dano będzie oddać się za niego. Za ten biedny, biedny lud, za który się jeszcze nigdy nikt nie poświęcił prócz Chrystusa.

12 lipca.

Na co piękność na ziemi, Bohusiu? Takie pytanie na pół bezsens, na pół bluźnierstwo. Niewiem jak reszta ludzi, ale ja przyznać tylko sobie dotąd nie chciałam, że nie rozumiem. Wczoraj stałam przed lustrem i patrzałam jak mi różową ledwie dojrzaną chmurką krew wracać zaczyna do ust i twarzy. Pomyślałam, prawda, że mi ładnie, ale cóż mi potem? I po każdej może piękności na świecie, moralnej czy fizycznej cóż po niej? Gdybyśmy tu wiecznie gościć mieli i za każdą pięknością co nam serce rozszerza, gonić mogli i całą istnością wmiłować się w nią wolno było, i gdyby tak niezmierzoną była, żeby duszę napełniła i starczyć jej na całą wieczność mogła, to co innego. Każda piękność z Boga tylko pochodzić może, istnieje więc rzeczywiście, niezależnie od usposobienia naszego. Czy też by dzieło, na którem najznaczniejsze piętno ręki Bożej, promień chwały Jego, na ziemi jedynie był przeznaczone na narzędzie pokusy, na kamień probierczy człowieka? Ażeby największej dostąpić zdołał zasługi, pogardzając dla czystej miłości Boga nawet tym niebieskim darem Jego. Kto wie, może i tak, inaczej nie byłoby pola ofiary. Ileż to jest ludzi, w naszym mało wierzącym wieku, bardziej kochających względną jakąś moralną piękność, niźli nieskończoną całość piękności Boga? Wszyscy wielcy ludzie, wedle świata, to jest źródłem wszelkiego bohaterstwa, przed którem świat olśniony na kolana pada, bo drobny ten promyk dobra w miarę jest właśnie drobnoty jego i rozumie go wyśmienicie zachwycić się nim umie. Nie tak się dzieje z bohaterstwem miłości Bożej. Ażeby go pojąć, trzeba wiedzieć, że sąd piękności jest tylko w sumieniu, bo piękność jest zewnętrznym kształtem dobra, a to jest wiedza bardzo głęboka, której dostąpi tylko wychowaniec wiary. Na świecie

każdy czci tylko ułamki piękności wedle miary czystości ducha, jaką mu namiętności zostawiły. Gdyby ją kto zupełną miał, pokochałby całość Boga, niewstrzymanie. Ale człowieka bez grzechu niemasz. A jasnowidzenie, miłość Boga, pomimo upadków, słabości, jest tylko darem wiary. Dlatego też ktokolwiek się wzniesie od ułamków do całości, od promieni do ogniska, znajdzie się tem samem w przeciwieństwie ze światem. Jeśli go świat uwielbi czasem, będzie to pewnie dla najmniejszej jego zasługi. Chrześcijanie i filozofi wszyscy męczenników czczą i kochają. Zapytaj o przyczynę, pewnie nie dla niezmierzonej ich miłości ku Bogu, ale dlatego, że życie swoje i cierpienia mało ważyli. Cenią w nich co nad zwierzę a nie co nad człowieka ich wynosiło. Fakt podziwiają, nie uderza ich przyczyna, która im wartość nadaje. Bohusiu, na cóż więc piękność, próbka nieba? Ażeby jej nie kochać. Ażeby na przekonanie nam służyła jak prócz Boga i nieskończoności Jego nic zapełnić nam serca nie może. Jak nikczemne to istnienie tutejsze, kiedy się w niem promień chwały Bożej tak drobno i ciemno odbija, tak myśleć muszą mnichy i pustelnicy.

Niesłychana obfitość piękności w zewnętrznym świecie i nic dziwnego, bezpośrednio z ręki Bożej wyszedł a człowiek ująć go i naginać do własnych celów nie bardzo może i to trochę nie w źródle jego życia. Mój Bohusiu drogi, jakie kwitną róże o kilka kroków od nas, napatrzeć i nacieszyć się niemi nie można, takie swobodne na łodygach, tak im pod listkami chłodno i dobrze, tak się każdy pączek niby w pokoju, niby w pewności, że na swojem miejscu, że go mile przyjmą, że potrzebny rozwija do powietrza, do zieloności. Oto szczęście, Bohusiu, tak musiało być Adamowi przed upadkiem, ni jednej troski. Czy ty lubisz, Bohusiu, kwiatki? Ja strasznie. Ale nie po amatorsku, mnóstwo polnych wolę od ogrodowych. Nie przyznam się Kici, która je hoduje i pielęgnuje jak dzieci. Ale dla mnie, kiedy kwiatek powiększy się w dobrej ziemi, na pełny się przerobi, to jego upadek. Z czy-

stej myśli staje się materyalną pięknością, rozum traci a natomiast nabiera pychy, to próżności, to złości, to poprostu wszelkie znaczenie traci, i nic już nie duma, bo nic nie kocha. Dobrze mu i nic nie tęskni. Jeszczem nie widziała ogrodowego kwiatka smutnego. Czy sobie wyobrażasz, naprzykład? Jeśli niedomawiam myśli, to nie przez litość dla kwiatków, ale z innej przyczyny. Ach! biedne kwiatki! Nie chcę nic na nich mówić. Cóż one temu winne, że je ktoś przesadził, że się w więzieniu zmieniły. Czy jest we Francyi mój ze wszystkich najukochańszy, rast biały? Trzeba bardzo być szczęśliwym i życia wiele mieć w sobie młodego, ażeby lubić otaczać się kwiatkami. Nikt umarłemu dziecku kolebki nie splata. Popatrzeć z daleka, pokochać potem (to sposób mojej inwencyi, ale pewnie nie pomocny) w światło źrenicę obrócić, żeby łza nie pobiegła jeśli szczęśliwa chwila i łza nie wyschła, to i dość. Mam kwiatki w Pielawie, ale to nie dla mnie i nie ja się nimi trudnię. Moja Kicia [1]) kochana chodzi koło nich i tak się cieszy jak mi co ładnego wyhoduje. Co to za anielskie serce, Bohusiu, nie znasz jej jeszcze, późno się jej umysł rozwijał, jeszcze wielkie z niej dziecko było kiedyś ją znał. Wielki ma dar ukołysania i pieszczoty, istna mamcina córeczka. Niepokój mam o nią. Zachowaj nam ją Boże zdrową i swobodną.

15 lipca.

Pisałam dziś do ojca Daryusza i do Olgi. Nie mogę się już z tobą rozgawędzić. Dziś tylko w nawiedziny do ciebie przychodzę. Ślicznie się Nisia kłania, dobry wieczór, Bohusiu, jak tam wesoły czy smutny był ci dzień? Żeby nie ze wszystkiem zbiegł zimny, Nisia głaszcze ciebie, ty nie sam, Bohusiu. Jest Bóg w niebie, jest anioł twój stróż i matka twoja bliziusieńko koło ciebie. A na ziemi gronko, do którego ty

---

[1]) Konstancya z Iwanowskich Rzewuska.

należysz, z którem zawsze jesteś, które błogosławi tobie. W imieniu całego gronka, Nisia dziś przychodzi i zaziera co się w duszce u Bohusia dzieje. Czy spokojnie tam i jasno? Czy widziałeś, kiedy o południu słońce bez chmur, co się pod wodą dzieje? Fala kołysze się, kołysze bez końca, to wiatr dmucha, to źródła w głębinie biją. Ciągle w ruchu i chwilki spoczynku niema. Ale to nie przeszkadza, że w niej jasno, promiennо, przejrzysto, cudnie jak w zaczarowanym kraju. Otóż tak u ciebie w duszy niech będzie.

20 lipca.

Und kann ich nur einmal
Recht einsam sein
Dann bin ich nicht allein.
Dann überschleicht bei Tag und Nacht,
Mich einsam die Pein
Mich einsam die Qual!
Ach werd' ich erst einmal
Einsam im Grabe sein
Da lässt sie mich allein.

Nieprawda, nieprawda. Grób ostatnie złudzenie. Nic człowieka na ziemi nie kocha, ani on nawet. Zdradzi go i wyda sprawiedliwości.

Über meinem schuldigen Haupte bricht
Das schöne Bild der ganzen Welt zusammen.

22 lipca.

Zgrzeszyłam, potem żal mi się zrobiło, poszłam więc, wyspowiadałam Panu a Pan odrazu odpuścił. I zawsze tak. Ile razy, choćby siedmdziesiąt razy siedm grzesznik z żalem przyszedł, Pan odpuści i łaską obdarzy jakby wierne dzieci, przytuli i rozraduje. Nie jest że to, Bohusiu, przedwczesne usprawiedliwienie, nawet przed ograniczonym rozumem człowieka kar wiecznych? Czyż się sam na wieki nie odtrąca, kto

pogardza albo nadużywa tego niewyczerpanego miłosierdzia, które nietylko odpuszcza, ale darzy i błogosławi winowajcę i cieszy się powrotem jego do ojca bardziej niż cnotą sprawiedliwych.

Jak można rozprawiać o wierze, kiedy się jej nie zna? Teorya nigdy religii nie nauczy, ona do czucia przemawia, trzeba więc spróbować jej w szczerem zastosowaniu do życia. Trzeba w niej być, a nie z nią, ażeby ją zrozumieć. Jak widzisz, Bohusiu, przypomniała mi się długa rozprawa z Z..... Chce mu się koniecznie ogólnego cudu miłosierdzia dla całej ludzkości, inaczej mówiąc, bezpośredniego, zupełnego zawładnienia jej wszechmocą, ażeby bez względu na dobrą czy złą wolę człowieka, zbawienie jego koniecznością było. A więc wielki dar wolności na pobudkę tylko dany niepotrzebnego szamotania się po świecie. A więc bez ofiar i miłości, obejść by się mogło nieco później w prawdzie ale i bez nich zbawienie zawsze by przyszło? Czyliżby nie prościej i lepiej było w takim razie człowieka pojętną rośliną stworzyć? Oszczędziłoby się zachodu, walk, pracy, a szczególniej obrazy Bożej; jeśli usiłowania człowieka tak mało ważą, czemu czekać koniecznie aż się miara ich dopełni. Jużby się dawno świat ten skończyć był powinien. Dopieroby zagadka tego świata do szaleństwa wiodła, gdyby złe i dobre, szczęście i cierpienie, ucisk i ofiara istotnego znaczenia nie miały, ani rzeczywistego celu, bo konieczności cnoty i boleści nie było i wszystko bez nich zrównałoby kiedyś miłosierdzie Boże. Z.... marzy tylko, z pod stóp jego wydobył się gad ognisty, dotarł aż do świata marzeń i w sztuki potargał mu młodość. Ile wycierpiał, nikt na ziemi nie wie, ani rozumie oprócz może jednej kobiety, o której ani się domyśla, że siostra po katuszy. Kaźń co się w istność jego wgryzła i jedno się z nią stała, życie mu ją wysłała i dlatego zdaje mu się, że on to życie zna. On, oprócz żywcem toczonego ideału piękności swojej, na który w gorączce ciągle patrzy, oprócz marzeń, któremi spożarte

jego części mimowolnie ciągle przed sobą samym przysłania, a na świecie, oprócz salonów, nic nie zna. Dla niego rzeczywistość jest tylko w niesłychanem cierpieniu, jakie sprawia dotknięcie błota ziemskiego i we własnej myśli jego. Wierzy we wszystkie logiczne wypadki idei, która mu się prawdopodobną zdaje, a dla niego prawdopodobnych jest wiele, bo trzydzieści lat nie przedziałał, ale przemarzył, sercem z niewielu oberwał, a nigdy z masami, chyba urojonemi w przeszłości czy przyszłości, ludu i głębokiej jego mądrości uczucia sprawiedliwości i godności własnej, jakie u nas szczególnie posiada, wyobrażenia niema. Słowem nie zna życia, które właśnie jest zbiorem negacyi, przez które przesączyć się musi idea nim dojdzie do imienia nietylko prawdy, ale prawdopodobnej. Nimby zaczął działać, powinienby przez wielką przejść naukę, przez naukę miłości sercem a nie wyobraźnią, wyjść z siebie ku ludziom. On dotąd ideę tylko Pana, nie Pana kocha, kiedy w życiu miłość doskonałości przedmiotu, bez miłości istoty przedmiotu, żadnym sposobem iść nie może. Każdy przedmiot kocha się zapewne tylko dla piękności, którą posiada lub zdolny jest posiadać. Ale on tę piękność widzi tylko z daleka, jakby w optycznem jakiem złudzeniu. Niknie mu zbliska, ująć jej nie może. I tak być musi. Jeśli ogólnie życia nie zna, tembardziej życia narodu naszego, tak strasznie różnorodnego duchem i zlewającego się w całość jednem tylko uczuciem, potrzebą piękności, która u niego przemaga nad potrzebę wygodnego bytu. Dlatego to duch Pański widzi jedynie w E.... Czucie wyłoniło się tam w głośny czyn i w słowa i on je zrozumiał, a dwadzieścia milionów leżą mu jak martwa bryła przed oczami, zimna i niema; prześliznął się tylko po jej powierzchni, do serca nie zakołatał i zdaje mi się, nie umiałby nawet zakołatać. Nikt do ludu przemówić nie potrafi ani odpowiedzi jego pojąć, kto z nim jak z rodzonym bratem w miłości i równości serdecznej nie

wzrósł, kto prostoty jego niema, to jest dobra, jako czystego ziarna bez owej złoconej łupiny, owej przebiegłości wyobraźni, którą się rzecz każdą podług woli ubarwia, na złą lub dobrą stronę tłumaczy. Podstawą więc wszystkich marzeń Z.... jest E..... której na obrobienie, na stworzenie ideału dany jest marmur dwudziestu milionów, i naprzód według niego trzeba go z przepaści wydobyć ażeby ukuć coś z niego można. Niewidzi iż jeśli życia niema, nikt ciężaru jego nie wydźwignie, a jeśli je ma, nikt go w karby jakiegokolwiek systematu nie wciśnie, tylko sam siłę swoją na zewnątrz rozwinie i stanie się potęgą. Szczególna rzecz, iż z tak różnych powodów i on i mistycy nasi o jeden się błąd rozbili. Kiedy się też i demokracya nawet przekona, że lud nie zimny materyał, że ma rodzinne swoje życie, że przeszłości nawet wszechmoc Boża ścierać nie chce, że więc owoc swój przynieść musi, że w niewstrzymanem rozwijaniu swojem, zdruzgocze tego kto jej na przeszkodzie stawać będzie, że więc wszczepiać nic nowego, obcego nie trzeba, ani można, ani się godzi, tylko stary korzeń święcie hodować i strzedz aby ku niebu wzrósł. Wiarę ojców naszych, na której cała narodowość nasza oparta, pilnie całem sercem chować i wedle niej ogół uzacniać, uświęcać, wznosić. Na rozwijaniu i doskonaleniu, aby dojść do ideału tej wiary, nie zabraknie i do skończenia świata. Krwawi mi serce jak o Z.... myślę, buja i daremnie się o próżń bije. Jednak była mu tej zimy trochę bardziej błoga chwila. Ogarnął całą duszą ideał i zapomniał się w nim. Tu następuje długi szereg myśli, których pisać nie można. Oto ostatnia. Nie znam nikogo coby tak zupełnie upiorem się stał jak ja.

23 lipca.

Niema i niema listów, tak mi jest jakby śmierć w domu u nas gościła.

29 lipca.

Chwała Bogu, chwała Bogu, jest list od mamci, który z innymi wam odeszlę za dni kilka. Wszyscy zdrowi. Bodaj tę Kicię. Czy można tak długo niepisać. Ani wie ile się nadręczyło, napłakało o nią. Pewna byłam, że się jej coś stało złego. Doprawdy okropnie połaję, zacznę od tego, że jest najnieznośniejsze stworzenie pod słońcem. A tu nawiasem muszę Bohusiową uwagę zwrócić na burze, które czekają tych, co gdzieś za światem bujają, marzą, cierpią, a do kochanych ani mru mru. Czy wiesz, żem dotąd tylko dwa listy od was odebrała? Niech was moje grube pakiety zawstydzą, choćbyście ich wydecyfrować nie mogli czy cierpliwości nie mieli. Dziś pisać długo niemam czasu. Porzucamy cichy nasz Schwalbach. Żal mi go szczerze. Niech Bogu będzie dziękczynienie i chwała za pokój, któregośmy tu używali. Niech w miłosierdziu odpuści grzechy, którymiśmy go tu obrazili. Żal mi ubogiego kościółka, w którym lud chórem co niedzieli śpiewa swemu Chrystusowi, który dla niego zawsze na ołtarz zstępuje i błogosławi. Wielka tu różnica od kiedyśmy przyjechali. Jak gdyby oddech czy wzrok nasz spalił pola, takie zielone, pożółkły i liść na drzewach nie tak już świeży.

Dziś wieczorem będziem we Frankfurcie. Złączym się tam z Cezarym i razem puścim się na kąpiele morskie do Ostendy? Czy was tam obaczę? Okropnie się bałam, abyśmy w Scheweningue nie zagrzęźli, bo wątpię, ażebyście do Holandyi wolny wstęp mieli, ale nie, już przeważyła szala na stronę Ostendy.

Bruksela, 3 sierpnia.

Kochany mój Bohusiu, ledwie wyjechaliśmy ze Schwalbach, otoczył nas świat. Spotkaliśmy Koczubejów, Sielackowę, rzymskie znajomości, X. Henrykowę i Jerzego. Blady, znędzniały, bo chorował we Szwajcaryi. Z.... już ożeniony. Koczubej widział go już po ślubie. Gawędziliśmy. Za powrotem waszym zastaniecie kilka nowo wyszłych książek, ciekawych bardzo.

Zdaje się, że Bóg chce, ażeby wiele rzeczy złych odkrytych zostało tak, iżby nikt udawać nie mógł, iż już nie wierzy. Nam znane to jak gorzki chleb powszedni. dla wielu tylko to nowość. Chwyta też i pożera cztery grube tomy, jest także o sąsiadach z lasu [1]) wcale nie zła broszurka, w której jasno i wyraźnie ku pojęciu najniepojętniejszym wyłożone rozmaite prawdy. Coś wyszło Z.... ale tego nieznam jeszcze.

W Malines widziałam się z kilku naszemi. Zapomniałam ci powiedzieć, że w Frankfurcie zjechaliśmy się ze starym Eustachem łysym. Wracał z Brukseli i opowiadał mi, że Wielki Mistyk [2]) wcale tu wziętym nie jest. Naszych w Belgii osiadłych uporczywy się wziął rozsądek i żadnym sposobem w natchnienia i widzenia wierzyć nie chcą. Nie słyszałam, ażeby i we Francyi przybywało wielu uczniów. Z dawnych jest tu Kamieński, jak mówił mi Jerzy. Sądząc po tem jak dotąd idą rzeczy, zdaje się, iż po prostu na sektarstwie się skończy. Stopniem niżej musi w całem ich gronku stać teraz mistycyzm. Domyślał się z różnych znaków, że się A.... od niego po trochu uchyla, ale temu po ludzku sądząc, nie wierzę. Mówił jeszcze, że Stofflers upadł w drugiem dziele, które po résurrection wydał. Nie wiem jednak czy to pierwsze w dawnem zostanie uwielbieniu. Gdyby też na chwilkę wahanie ustało tam gdzie wiary niema. Wieczny ruch na miejscu, trud i szamotanie nadarmo. Och! szkoda uniesienia, szkoda sił i życia co się w pasowaniu z nieprawdą, z nicością zużywa.

Pomimo najlepszej chęci pisania dalej, trzeba mi foliały te poskładać i odesłać do Rzymu, ażebyście tam wiadomości o nas zastali, lepiej to z Belgii niż z Niemiec uczynić, bo jeśli latamy, to na niteczce tylko.

Ożywiło mi się w duszy, ruch, swoboda, czary w koło mnie. Błogosławiony zachód! Zazdrościć nie trzeba. Nikt nie

---

[1]) Austryjacy, według umówionego klucza.

[2]) Zapewnie Towiański.

zawinił ile my pokutujem ostro i długo. Och! lud nasz, biedny lud. Jeśli, jak Kaim, znaku strasznego nie nosim na czole, to chyba, żeśmy go nie dobili jeszcze. Wszechmoc Boża między nim a nieprawością naszą stanęła i mimo nas samych potępienie nam oszczędziła, piekło zmieniła na czyściec.

Nie skarżmy się więc, ale raczej w niezmierzonej radości powtarzajmy sobie: lud żyje, prawdziwie żyje. W tem słowie zbawienie nasze, ziemskie i niebieskie, które w nadziei tylko zostanie, ale się nie ziści dopóki nietylko w sercu piewcy albo kobiety, ale w sercach wszystkich radość ta nie zagra[1]). Ona jedna okupić może w woli wykonane zabójstwo.

Mój Bohusiu, jak Zuzula jedną tylko śpiewkę umiem i jedną wiecznie powtarzam, tylko w mojej śpiewce jest kilka strof zaklętych, że się rozerwać nie mogą, którąkolwiek z nich zacznę, inne we mnie mimo mnie wtórzą. Słyszałeś jak jęczą struny, kiedy w nie nie ręka ludzka, ale tchnienie, powiew uderzy?

Trzeba kończyć. Biedna ja, Bohusiu. Nie umiem słówka coby ci uczuć dało, jak rzewnie w prawdzie serca błogosławię tobie.

4 sierpnia.

Bądź zdrów, bracie ty mój, kiedy i jak się obaczym? Gdzie ty i co robisz? Drżę ażebyś się w chwilowem uniesieniu wotum jakiem nie związał? A przeszkodzić temu nie w mocy mojej. Niech cię światło i łaska otoczy. Nie sądź o siłach swoich wedle godziny uniesienia. Zapóźno te słowa moje przyjdą.

Bohusiu, niech cię anieli strzegą, niech duch święty wejrzy na ciebie i uświęci cię dla chwały Pana, dla zbawie-

---

[1]) Miłość do ludu w największym stopniu miała p. Poniatowska, okazywała ją czynem.

nia twego i wielu innych jeszcze. Bądź zdrów, do zobaczenia.

Krzyżem świętym błogosławię wam obydwom.

Nisia.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Verviers, 12 października 1843.

Kochani moi, kochani. Chciałabym pisać do was, ale nie wiem czy siły, czy myśl nie po temu. Zaczęłam list do mamci i to się nie klei. Na wszystko coby się powiedzieć chciało, długich tłómaczeń potrzeba. Mglą mi się oczy łzami. Ot lepiej powtórzę wam tylko jeszcze kochani moi, kochani. A wy przeczujcie ile w tem słowie pieszczoty boleśnej i trwogi o was, sieroty moje, wszystkie, na wschodzie i zachodzie.

Frankfurt, 19 października.

Zaledwieśmy przyjechali, przywitała nas chmara listów z różnych stron, kilka z gwiazdki, te wam posyłam. Dwa od was, jeden wczoraj, drugi dziś przyszedł, to jest od mego drogiego, kochanego Józefa, bo ten Bohuś nic, nic, nic, tylko przypisek mały był od niego w pierwszym. Ale nie bardzo łaję, bo poczuwam się do tej samej winy, jeśli to wina. Wszak to nie tak dawno jakeśmy się rozjechali, a pierwszą karteczkę dopiero wyślę. Czasu było aż nadto, zamknięta w małym pokoiku w Verviers sama jedna, bo Daryusz gdzieś tam interesa ułatwiał. Olga u siebie leżała i czytała, całe dwa dni nic nie robiłam, tylko jakiś tam romans francuski czytałam. Blado mi było na duszy, i nijako. Nawet na płacz zebrać się nie mogło, jeszcze do tego *tic*[1]) przypominał się po trochu. Na dworze chłód, słota, z głębi serca coraz po jednej

---

[1]) Choroba nerwowa.

wstają troski liche jak mgły, szerzą się, szerzą, kłębią i póty się tak chmurzyło, kochani, dopóki ani jednego jasnego kątka nie zostało. NB. była temu przyczyna, której napisać nie mogę, dopiero w płacz nieutulony, coś przez dwa dni. Daryusz się marszczy, bo mu Nisi żal, wrócisz do domu bezsilniejsza niż kiedy. Nisia tuli się i przeprasza i gorzej jeszcze płacze, bo czuje, że jej kazać nie boleć, to jak źródłu kazać nie płynąć, a nikt tego nie wie i nie rozumie. Cóż ona temu winna, że wszystkie głosy na ziemi słyszy, a wszystkie jęczą, że wszystkie serca na ziemi widzi, a wszystkie grzeszą i siebie czuje jak ją boli i jak mimowolnie jęczy, bo sama grzeszy i gwiazdka jej grzeszy, tak to się zwykle u Nisi dzieje, ale w tej chwili płakała, bo jej była niby droga znikła i nie wiedziała gdzie iść dalej i co począć. Aż zmiłował się Pan, przybyliśmy do Kolonii, tam dom Boży cudny nie jak sen, ale jak rzeczywistość, niby skamieniałe, poważne, wzniosłe, spokojne uznanie wielkości i świętości Pana. Skamieniało uczucie czci i uwielbienia. Tam drugi dom Boży stosami kości świadczy o miłości człowieczej, żywej, radosnej, dziecinnej, ku temu Panu litościwemu, u którego piękności i dobroci nieprzebrana miara.

I użalił się Chrystus nędznego stworzenia, powiedział: „Idź w pokoju, a nie grzesz więcej“ i rozdmuchnęły się odrazu mgły popielate i tak mi jest jak w jesieni po długiej słocie, jasno, błękitno, cicho a zimno, ogołocone drzewa i liść żółty na wilgotnej ziemi. I tak być musi. Żadnego pasma zerwać nie można, złe czy dobre sunie się, sunie do końca i po końcu świata. Wszystko owoc swój przynieść musi, wczesna i skwarna była młodość, wczesna też i ogołocona starość. Dzięki Panu za pokój jakkolwiek krótkiemi chwilkami nawiedza. Nie umiem pieczy jego wszelkie troski z ufnością porzucić, dlatego długo gościć u mnie nie może. Dzięki, dzięki nieskończone i za chwilki odpoczynku. Niegodnam ich, Bóg widzi. Otóż, kochani, dzieje moje od tych ostatnich dni dziesięciu.

Zastraszała Daryusza spóźniona pora, ale niech Bogu będą dzięki, stanęło na tem, że pojutrze puszczamy się w drogę. Cóżbyśmy w Berlinie robili? Byłoby jakieś zawieszenie życia w zupełnej nieczynności, grzech. Gdyby to gdzieś z wami jeszcze kilka miesięcy przeżyć, to co innego, to nie próżnowanie, ale wzmożenie się w siły, wzbicie ducha na wyższe stanowisko i odetchnienie i wam i mnie. Ale już minął błogi czas spoczynku, stanęliśmy. Obejrzeli i uznali w powołaniu naszem, potem się ku sobie stulili, uścisnęli bracia moi kochani. Podumarli razem na przestrzenie, popłakali na cześć i miłość Ukrainy naszej, na ślady łez naszych, co po drodze naszej za nami zostały, doprawdy ledwie popatrzali jakby my nie istnieli w sobie, tylko w górę, w górę poszły głosy sieroce. Chwała Panu. A teraz nawołują tam niby z otchłani.

Boże mój, Boże, przepada za niemi serce, gdyby niewiem jakie szczęście na ziemi rwałoby się do nich, gdyby u Boga w niebie żebrałoby litości za niemi. Nie można nam, nie można dłużej tu zostać. Czekanie długie tym co cierpią. Kochani moi, kochani, gdyby ulżyć im trochę, przybędziem i staniem, płacząc w niemocy przed niemi. Gdzie tam płacząc, lodem zetkną się łzy w piersiach i głos już nie jęknie, tylko jak cudzoziemski śpiew wyuczony i wesoły, a na twarzy pogoda, a w myśli przytomność i gotowość podzielania wszystkiego co świat zajmuje i bawi, i sukienka jasno-kolorowa i tak od rana aż do późnej nocy, a wrócisz do kątka swego (jeśli go masz) i zamkniesz drzwi za sobą, to krótko modlić się trzeba i cichutko płakać, bo domki nasze ciasne a ludne; posłyszy ktoś przez ścianę i daremna całodzienna praca, bo u nich tak szczęście wygasło, że potrzebne do życia pokój i pogodę ciągle u kogoś czerpać muszą. Pierwszą u nich potrzebą patrzeć na oblicze przyjazne a wesołe, też niewidzieć, jedyna już jałmużna, chwilka wytchnienia z trosk i pamiątek straszliwych. Kto ulgę przynieść już pragnie jak anioł Boży w świetnej, godowej, niebieskiej szacie, zstąpić ku nim musi, koić boleści

miłością i współczuciem, ale niech to współczucie nie zakłóci nigdy wnętrznej radości, którą jako niebianin posiada i przytomnością swoją cierpiącym udziela, słodkiem, wyrozumiałem, litościwem, ale wiecznie pogodnem okiem na męczarnie patrzeć musi, bo ta pogoda skutkiem jest wpatrywania się w niepojęte wyroki Boże, pewnością miłosierdzia na przyszłość.

Biedna, grzeszna istota, niezmierzoną żądzą chwały Chrystusowej i niezmierzoną miłością ku cierpiącym, czy może wznieść się aż do tego stanu mocy niebieskiej? Kochani, zdaje mi się, że może. Do tego stanu przyrodzonego aniołom ona zdaje mi się za łaską Bożą, choć w mniejszym stopniu dojść może straszliwą ofiarą, zupełnem zniweczeniem siebie, ukochaniem woli Bożej bezwzględnie. Tak trzeba przestać żyć w sobie, iżby nawet zdolność cierpienia znikła na ile zniknąć w ziemskiem stworzeniu może, tak trzeba wpatrzeć się w Boga, iżby w porównaniu niezmierzonego miłosierdzia Jego, wszystkie cierpienia ziemskie niczem się zdawały i zawczasu okazywały się tylko w promieniach przyszłej chwały. W ciągłem rozpamiętywaniu miłosiernych celów mądrości Bożej, wszystkie duchowe pragnienia człowieczeństwa ustać powinny. Potrzeba pociechy ziemskiej, współczucia, miłości, odpoczynku. Skruszyć się musi ograniczenie. Osobistości wyłączają u niezgodnych z jej usposobieniem od wyrozumienia i miłości, ażeby pozostała jedynie światła, święta siła, narzędzie chwały Bożej i zbawienia ludzi, pośrednictwo między nędzą a miłosierdziem.

Kochani, takiemi stać się my powinni, nie udawać wesołości wobec ludzi, bo kłamstwo nigdy owocu nie przyniesie, ale wzbudzić w sobie szczęście jako cnotę. Ne poprawlat' slozy neczyjoho szczastia, a nam treba daleko ity czerez pole i w prawo i w lewo, pownymy rukamy jak zerno dobre. Kidaty a ne ohladaty sia za nym taj ne pytaty, czom ne roste, bo ono i tak ne nasze, no Pańskie, a Pan znaje, czom na wesni tilko nebo syne, a zemla czorna i sumna, i czom cho-

łodno tomu szczo sije i czom burjan bujny ta za pszenyciu bujnijszy, płakaty nam ne można, bo ludiom szczastia treba, treba im wsio szczo bołyt zahoworyty w serciu. Ne każy, ne potrapliu, na toż my sia na Ukraini porodyły, szczob czarowaty ne umiły? Ne bisom, Boże sochrany, ale darom Bożym toż by wse sorom buw maty naszoj. Je mołytwa to myłost', je dumka, to slozy w pisń rozbrany, je żertwa swiataja, a w żertwi wsia syła. Na żertwi dajem wsi ślozy. Wse, wse Pańskie ne należyt do nas, wse płakaty ne można, Pan wse łyczyt' jak zamyrajut' w serciu krowawyj, a ludiam oczy naszy jasny jak zwizdy, na szczastie i na toje, szczob łudsze posłuchały jak każem: myłosty ditiom Bożym ubohym. Kołyś Pan do ostatini dołyczyt', a w toj czas: Oh! Sława Bohu, sława Bohu!

24 października.

Kończymy pakunki, sprawunki, interesa. Jutro zapomocą Bożą wyjeżdżamy. Ach! kochani, kochani, cyt, pokój, opatrzność Boża wszędzie, niema czasu rozpisywać się do was dziś.

Bądźcie zdrowi, bądźcie w pokoju i łasce Bożej. Przyciskam was obudwóch, nie wiem doprawdy jak braci czy jak dzieci, czy jak męczenników, czy jak aniołów. Wszystko razem. Bóg z wami kochani.

Nisia.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Drezno, 30 października 1843.

Zmienił się nieco jak widzicie, kochani, kierunek wędrówki naszej, nie na Pragę, bobyśmy nieco górzystej drogi mieli, ale narodowym obyczajem na Saksonię wracamy. Niekoniecznie mi to na rękę, boście pewnie do Pragi pisali, a niemam tam nikogo znajomego coby mi listy wasze z poczty odebrał i przesłał. Oznajmiam wam o tem, kochani, aże-

byście nie leniąc się wcale, powtórzyli mi co w nich było. Mnie od was lada słówko ważne i drogie. Nie dość nagawędziliśmy się jeszcze, są rzeczy, których się niedość wyuczyłam, szczególnie pamiętacie ów wieczór, kiedyśmy wszyscy razem, Olga i Mikołaj, w saloniku mówili o czytaniu i czytelnikach często jednej złej książki. Oby lepiej ażeby zupełnie czytać nie umieli. Nie wyłuszczyłeś mi wtedy dostatecznie myśli twojej, jakby temu zaradzić niewiem, gdyby to mi twój aniołek poszepnąć raczył coś ty nie domówił. Rozumiem ja cię po części. Oświata o jakiej ty mówisz, prawdziwą by mądrością była, bo nie pochodziłaby z oderwanych wyobrażeń, które każdy przyjmuje lub odrzuca, wedle ich pokrewieństwa z własnem jego usposobieniem, ale z duchowego doświadczenia, do któregoby każde pokolenie dorzucało nowe prawdy i z uszanowaniem ustnie przekazywało następnym jako naukę i pociechę. Utworzyłaby się po raz pierwszy filozofia, nie już martwy systemat oderwany od rzeczywistego życia, wymarzony przez głowę, której marzenie drugiej i dziesiątej kłamstwo zadaje i w który nikt szczerze z serca nie wierzy, ani nawet ten, który go tak sztucznie i misternie zbudował. Ale żyjące przekonanie, wynikłe z żyjącej, na uczynki wpływ mającej wiary, z rzeczywistego doświadczenia ludu, prawda oczywista zaświadczona wypadkami wieków. Dotąd dobrze, ale jakież będą stosunki tego rodzaju oświaty z oświatą tak różną reszty świata? Powiedział Chrystus, dzieci ciemności bieglejszemi są w rzeczach tego świata aniżeli dzieci światłości. Czy mogłoby się ostać na tej biednej ziemi towarzystwo święte wprawdzie, ale nie znające wyobrażeń i ruchu umysłów u innych narodów, nie znające chciwości ich, wszelkiego rodzaju tego namiętnego pędu ku materyalnemu dobru co cywilizacyą się zowie?

Wprawdzie świętość wszechmoc daje, ale na wpływ, na czyn, nie na własne osobiste istnienie. Owszem zwykle wszechmoc życiem się okupia. Nie mogę rozdumać sobie tego wszyst-

kiego. Nie mogę piękności i świętości od męczeństwa oddzielić. Nie mogę ich sobie na ziemi w swobodzie i rozkoszy długo wystawić. Dziwne to rozrządzenie Boże, iżby piękność żyła boleścią. Dziwne, iżby pomimo to wolno ją było koić u drugich, a u siebie łagodzić, odjąć zupełnie jeśli moc po temu. Dziwne, iż ją Bóg tak ceni, iż dla niej utworzył osobne a jedno z najpiękniejszych uczuć ludzkich, bo zupełnie od egoizmu wolne, litość. Jakto być może ażebyś sprawiedliwej czci temu uczuciu nie oddawał? Po światowemu je rozumiesz a to w tobie, pustelniku, nie do darowania. Czy można ażeby też komu nawet łza natrętną była? U nas inaczej. U nas kiedy matka chce ażeby ją dzieciątko objęło, przytuliło rączkami, to mu mówi: pożałuj mnie, a dziecię pieści aż się rozpłacze. Uczą u nas, uczą bardzo kochać i bardzo pieścić cierpiących. Dlatego nie trzeba mieć za złe, kiedy kto głaszcząc powie czasem: biedny ty, biedny; jak mnie ciebie żal, bo się to tylko znaczy: wybranyś na miłość, naznaczył cię Pan ażeby każdy co zbliska przechodzi, wziął od ciebie cząstkę boleści, niby krzyż twój dźwignął chwilkę z tobą, bo ciężko tobie jednemu. Niech ja ciebie pogodzę z tem słówkiem. Ucisz duch na chwilkę a posłyszysz jak ono tam ciągle a ciągle cichutko, jak krew z rany, gorące z serc płynie.

Żal, to takie serdeczne słówko, tak ono dobrze naszą własną rodzimą, gdzieś tam głęboko w piersiach schowaną prawdę wyraża, bo w żalu jest skarga na jakieś złe co ciemięży, na własne czy na cudze winy, jest rzewne wspomnienie wszystkiego co zmarło, jest zawód i po nadziei jakiejś żałoba, jest rozkochanie wszystkiego co cierpi, jest odwołanie się do wyższej sprawiedliwości czy miłosierdzia. Żal, to ostatni wyraz prawości konającej w niemocy, święty i straszny Bóg jeden odpowie nań kiedyś w dzień sądu, i ostatni wyraz nieprawości, kiedy ją przemogła tęsknota za ojcem, przed światem on nic nie waży, krzyk bolesnej miłości ku ojcu. Bóg

jeden odpowie nań kiedyś w dzień sądu. Cicho więc, cicho tajemnicze to słowo i święte. Nie znieważajmy go.

31 października.

Dziś puszczamy się w dalszą drogę ku Wrocławowi. Coraz, coraz od was dalej. Czy wrócim jeszcze kiedy ku zachodowi? Gdzie was powitamy? U nas czy na czużyni? Czy tam gdzie rozdziału już niema? Och! gdyby się już tam prędko złączyć w pokoju, ale wszyscy. Czy sobie wyobrażacie co to będzie za dzień kiedy w koło siebie zgromadzi Chrystus tych, co go kochali? A oni się do stóp jego tulić będą i rozpoznają się między sobą i powitają się już nie płacząc. Boże mój, Boże, nie odtrąć niegodnych. Niech wytrwamy w wiernej miłości. Tacy my słabi. Ale Bóg w nas mocny. Nie opuści nas pewnie. Ufajmy a cierpmy radośnie, a zbawi. Moi wy kochani, drodzy, siła wam i pociecha. Gdyby już od was, choć słówko. Proszę nowinki nam pisać. Czy się potwierdza wiadomość o porozumieniu Mistyków [1]) między sobą? Czy Paweł wraca do was z Szwajcaryi? Czyście go widzieli? Ale cóż to za kielich dla ciebie? Ale kto dla Chrystusa opuści kochanego, wiele, wiele oddano mu będzie. Błogosławiony, żeś Panu miał z czego ofiarę uczynić. Pomódl się za mnie biedną, grzeszną. W Lipsku widziałam się z Franciszkiem. Tylko co się jak dziecko nie rozpłakał. Aż boli patrzeć na niego. Ach sieroctwo, sieroctwo! kochani wy wszyscy, Bóg z wami, ojciec sierot. Każą listy wyprawiać na pocztę. Bądźcie mi więc zdrowi, kochani. Krzyżem Pańskim żegnam was zdaleka. Józefa ręce do ust przyciskam. Kochani, Bóg z wami.

Nisia.

---

[1]) Towiańszczyki.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Wrocław, 3 listopada 1843.

Co tam porabiacie, kochani moi, drodzy mili? Nie wiem gdzie i jak mieszkacie, kogoście zastali i z kim żyjecie? Czyście się może już na pustelników zasklepili? Jak się wam dnie i godziny rozłożyły? Nie mogę was sobie dobrze wyobrazić. Proszę, kochani, niech ja to wszystko wiem o was po szczegółowie, może mi się uda wydobyć listy wasze z Pragi, niech no się ze starym, poczciwym E... zjadę. Nas w oddaleniu lepiej widzieć możecie, wnosić o wrażeniach po stopniowem zbliżaniu się do kraju. Tu już dworki słomą poszyte, makiem porośnięte obszerniejsze pola i stoski nie pod nakryciem, chleb żytni i kawior pewnie nasz Dnieprowski, (przecie najbliższe to miejsce skąd mieć go mogą), po oberżach w piątek pytają czy postny ma być obiad, w mieście tu napisy polskie i kupczyki na polszczyznę się sadzą.

Jedziem a jedziem bez przerwy, dzień cały i w długie wieczory po księżycu równą drogą toczy się powóz, toczy jednostajnie, stanie chwilkę, przeprzęgą i znów się toczy hucząc głucho. Albo się modlim, albo coś z Daryuszem mówim przerywanie, nie klei się nam. Albo on cygaro pali, ja haftuję jadąc, smutny on czemuś i zadumany, boleśno mi nie do wyrażenia, że mu się tak coraz chmurzy w sercu. Ach moja wina, moja wina. Czemu młodość moja nie przeszczebiotała, nie przeskakała, nie pozaweseliła się w koło niego? Wszak miał prawo do tego. Co mógł robił, ażeby mi dobrze było. Kochał, pielęgnował, wszystko złe z serca odpuszczał zawsze, tylko pogody i wesołości pragnął na mojej twarzy, tylko pokoju w mojej myśli. Czemu nie otrzymał tego odemnie! Jednak ja go tak szczerze kocham, dusza moja, jakby przez dwa czyśce przejść miała, tylko co boleśne na ziemi widzi i czuje, jak nóż ostro pierwszem wejrzeniem odrazu rozkłada wszystko, aż ziarna śmierci odkryje. Co drugich

głaszcze i pieści, ją gryzie i pali. Ale to dla mnie nie wymówka. jednemu tylko szczęściu wierzę temu, które w sobie człowiek za pomocą łaski Bożej wolą i siłą wyrobi, takiem obeznaniem się z boleścią i takiem zamiłowaniem woli Bożej, iżby ona boleć przestała, przynajmniej pokoju zakłócić nie mogła.

Kochani, tyle już lat żyję, otom już prawie stara, a łzy mi jeszcze nie oschły, wszystkich dręczę w koło mnie. Blizkim dnie zatrułam, a teraz tylko patrzę, załamując ręce jak się i oni powoli chmurzą coraz bardziej. Owoc, który życie moje Bogu przyniesie, owoc miłości mojej gwiazdce jakiż będzie? Grzech i boleść, to jest boleść tu i tam. Zdaje się, że w pamięci mojej otchłań, a z niej wysuwają się mary, mary bez końca, wszystko co bolało od dzieciństwa, ale to od pieluch prawie, za drugich czy za siebie, powoli ciągną jedne po drugich, bez przerwy, bez końca i oczu od nich jak w zaczarowaniu oderwać nie mogę. Czasem radabym, żeby kto przyszedł, zagadał, obudził, możeby zmora zniknęła, gdzie tam, przerwana na chwilę znów snuć się zaczyna. A w sercu tak gorzko, tam niby wynikłość tego wszystkiego co przeszło, niby wiedza, mądrość, nie spleen to, kochani, nie wątpię o żadnem szlachetnem uczuciu, o żadnej miłości. Nadto piękne ażeby tylko z wyobraźni człowieka powstać mogły, one z ręki Bożej. Ale tak wyraźnie i oczywiście wiem i widzę, tak czuję głęboko boleśnie, że szczęścia one nie dają i rozwijają mi się prawdy rozczarowania, prawdy bo je wiem z doświadczenia, kosztem długiej męki, tak straszliwe o tej biednej ziemi, że podobnych nie słyszałam ani czytałam nigdy, chyba w Biblii. Albo ogólna o nich wzmianka w naśladowaniu i powiedziałam sobie, że ich nigdy nikomu nie powtórzę, bo mieczem staćby się mogły w godzinę pokusy. Cóż dopiero kiedy na serce upada, jak wąż, zimne wspomnienie grzechów całego życia i grzechów, których drugim powodem byłam i uczucie niemocy przed złem w przyszłości, ot tuż dziś, jutro i uczu-

cie, iż grzeszę oto w tej chwili nawet boleścią moją i trwogą, bo w miłosierdziu Bożem ufności pokładać nie umiem, bo za dobrodziejstwa, któremi mi Bóg osypał, wdzięcznością mu nie odpłacam, bo patrzę ku ziemi nie ku niebu, bo się użalam nad sobą, kiedy drugim gorzej, bo dręczę innych w koło siebie kiedy pomocą i pociechą im być winnam.

Dziś spowiadam się wam po raz ostatni z tego wszystkiego, ni wam ni komu dobra z wiedzy o tem co się tam u mnie dzieje, a mnie grzech przywykać do mówienia o sobie. Już bliska domu, tam wielu płacze. Co złe niech więc zamrze w piersi, co boleśne niech umilknie w poszanowaniu przed boleścią godniejszych i milszych Panu. Boję się tam zgryzoty dla Daryusza, modliłam się dziś, ażeby ją Bóg odwracał. Stań się wolo Jego święta.

Ciągle myślę o przyjeździe naszym do mamci. Zdaje mi się, że już przejeżdżamy Krzemieniec, Konstantynów, Chmielnickie karczmy, to już stepy Bohowe, stoją dwie na pustem polu, jedna stara, druga młodsza szara, brzydkie z wysokim dachem, ale w około, obszar nasz, ziemia i niebo, a w dali, w dali gdzie mgła błękitnawa o czterdzieści werstw, gniazdko nasze [1]). Szeroka, ogromna w tem miejscu rzeka i grobla na niej, po której ledwie przejechać można. Niech Józef powie, i most drewniany, trzęsący, pod nim ogromnymi czasem wałami woda leci szumiąc i pieniąc, dalej na nizinie długa niegdyś ulica topolowa, dziś topole wyschły, opustoszała i smutna droga, dalej tok na prawo, na lewo cmentarz grecki, dużo tam znajomych moich z dzieciństwa leży, tych co na ręku mnie wynosili, biednych chłopków, potem łąka, dworki w dali, stare brzozy i świerki i dom. Gdyby wy wiedzieli jak tam smutno okropnie, choć pięknie jak w raju. Cała tam przeszłość wielu innych, wielu, nietylko moja ziemia sypie się na żywą głowę, tam większa część mojej gwiazdki. Boże,

---

[1]) Kuryłówka, majątek pani Iwanowskiej.

Boże daj w zdrowiu i pokoju ich zastać, daj nowego cierpienia jakiego im nie przynieść.

Lwów, 12 listopada.

Jak to czas bieży, już dwunasty, kochani, a jeszcze do domu daleko. Wczoraj jako na świętego Marcina, pierwszy śnieg upadł. Po ulicach błotnisto i czarno, ale na dachach gdzieniegdzie bieleje i zimno dojmuje. „Czas do domu, czas“ [1]). Mamcia się tam już może o nas niepokoi. Madejski, z którym się tu widział Daryusz, zawiezie wieści o powrocie naszym. I on z zagranicy wracał, niewiele więc umiał nam o kątku naszym powiedzieć. Zdaje się, że mniej więcej wszystko po dawnemu. Mówił o zaszłej niedawno śmierci Konstantego Jaroszyńskiego. We Lwowie głucho, mało znajomych tu mamy. Odmodliwszy w kościele, bo to dziś niedziela, pokończywszy wczoraj różne sprawki w mieście, odwiedziwszy starą ciotkę D..., siedzim cichuteńko w domu. Szaro, słotno i Daryusz gdzieś poszedł. Błądzę sobie myślą, dumka się mi składa i nie śmiem dumać, a potem cóż po dumce, słowa i słowa. Czy one do Boga, czy do ludzi idą bolesne czy święte jak jabłoni kwiat pełny? Świeże i śliczne opadną, a owoce po nich darmo czekać. A Chrystus mówił, nie ten zbawionym będzie, który mówi: Panie, Panie, ale ten, który pełni wolę Ojca mego.

14 listopada.

Niema listów z domu. Musiały gdzieś zagrząść w drodze, zawracając się za nami. Śnieg pada, a wyruszyć nie możem dla drobiazgowych różnych przyczyn. Odwiedziliśmy nowo zakładający się klasztor Sacré Coeur. Może pamiętacie, przy nas te panie wyjeżdżały z Rzymu, zastały siedzibę swoją nie przyrządzoną, prawie nie sposobną do zamieszkania i założe-

---

[1]) Aluzya do drugiej części poematu „Potrzeba Zbaraska“.

nia pensyi dziewczątek. Jednak za łaską arcyksięcia, który na ten zakład znaczne łoży sumy, za staraniem arcybiskupa, lepiej teraz rzeczy idą, przyrządzają im tymczasem mieszkanie, a klasztor budować będą. Matkom nie bardzo się podobały niektóre warunki, pod którymi obowiązują się te panie wychowywać dzieci, jak to, że dwa razy tylko do roku widzieć się z niemi wolno, oprócz podobno w razie choroby i że je na teatr z sobą brać nie mogą. Na pierwsze, jeśli to jeszcze prawda, że jest ten warunek, że sumienie nawet matki zaszemrać może, zwłaszcza dopóki nie bardzo znajomy jest ten zakon, to rzecz prosta. Ale co drugie, doprawdy trzeba Lwowianek, ażeby w nim powód znaleść niezadowolenia. Niewiem czy jest gdzie na świecie, jak tu, naiwność próżności, wiara dobroduszna w próżność. Zdaje się, iż nie zasłyszano tu nigdy o innej wartości i zasłudze jak bogactwo i elegancya, a nie przypuszczają nigdy, ażeby się kto mógł ubiegać za czem innem jak znaczeniem czy zabawą. Stroje, bale, teatr, tak tu są, jak gdzieindziej spoczynek nocny i pacierz ranny potrzebą nieodbitą ciała i duszy. Krążą wiecznie w jednem kółku ciasnem jakby umysł ich oślepł przez nieużywanie światła. Może dla nich wielkiem być dobrodziejstwem założenie klasztoru Sacré Coeur, może młode pokolenie, choć w części, wyleczy z owej monomanii wykwintu i zabawy, a wtedy otworzą oczy do patrzenia i uszy do słyszenia i serce ich prawo Boże zrozumie, bo źli oni nie są, tylko jak dzicy ograniczeni w pojęciach. Nic dla nich pociągu niema tylko co błyszczy. Uderzone było tutejsze towarzystwo światowem wykształceniem pań Sacré Coeur i zakon ich w modzie. Odwiedzać go uchodzi za bardzo fashionable. Może też się choć raz moda na coś przyda.

Między Galicyanami jest zapewne wiele świętych wyjątków. Ależ ogół bardzo by potrzebował, ażeby go kto nauczył, iż nie na zabawę stworzył nas Pan Bóg, a mężczyźni więcej jeszcze niż kobiety.

Lwów, 19 listopada.

Stary, najpoczciwszy arcybiskup ormiański Samuel, dawny nasz znajomy, przyjął nas serdecznie, tulił, pieścił, pocieszał, odwagi na przyszłość dodawał jak własnym dzieciom. Aż mi się błogo w sercu zrobiło. Oddaj mu to Boże łaską i pokojem. Dziś wyjeżdżamy, już o nas wieści mieć nie będziecie aż z kraju. Daj Boże dobre je wam zesłać. Od mamci dotąd nic nie mam. Kiedy to od was co odbierzem? Bieda z tą korespondencyą.

„A tak zawsze zabawa choć nudna rozmowa“, mówi Fredro. Przypomnijcie sobie wiersz co poprzedza, będzie sens cały, bo na co ludziom wiedzieć co się u nas w sercu dzieje. Ani podzielą cierpienia jeśli boli, ani radości jeśli Bóg pocieszy, tylko do plotek treść. Oj! plotki, plotki co to jeszcze za plaga.

Kochani moi, drodzy, kochani, trzeba tę kartkę wyprawiać. Bądźcie zdrowi. Zostańcie mi w pokoju świętym, Bożym do końca. Ostatni raz przed włożeniem na nowo krzyża na barki pocałowanie siostry wam zasyłam. Módlcie się za nas. Moi wy, moi, pociecha pańska z wami. Jakie Pan ma łaski w skarbnicy swojej na was wzywam. Wierzcie mi, wierzcie, sieroctwa niema na ziemi. Ojciec z nieba do siebie garnie i tuli, a na ziemi są istoty grzeszne wprawdzie, ale was kochają, kochają. Niebo radziby wam przechylić i dla was gniazdko by tam ulepić, ażebyście już o tej ziemskiej niedoli zapomnieli. Bóg z wami. Krzyż Pański niech was błogosławi.

Nisia.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Jampol, 11 listopada 1843 [1]).

Jużeśmy w kraju.

Kołyż tebe, moja doniu, spodywatyś w hosti?
„Jak poroste burjan, żile na kamennym mosti“.
Roste burjan, roste żile i wże posychaje —
Deś naszyji neszczasnyji na świti nemaje,
Czy tia, doniu, wbyto, czy w połon zaniato?
Czy tobi świt ne myły ni w budeń ni w świato?
„Ni mene maty, wbyto ni w połon zaniato —
„No meni świt ne myły ni w budeń ni w świato“.

Świat niewiem, — ale ziemia, och miła, biedna, czarna, zziębła, opustoszała, kochana. Przejeżdżaliśmy przez Krzemieniec, Boże! jakże tam smutno i pusto. Zabawiliśmy dzień cały, bo trzeba było matce Olgi wiadomości o niej zanieść. Wieczór zbiegł nam u Ożarowskich, jest to jeden z najszanowniejszych domów na Wołyniu. Pogawędziliśmy trochę a teraz puściliśmy się znowu ku Kuryłówce. Mamcia o nas niespokoić się musi a tu pospieszać trudno, bo złe drogi, nocami niebezpieczne, by dużym powozem jechać. Po karczmach koczujem już po naszemu, śpiemy na sianie na ziemi, sami sobie kaszę warzym. Do domu, już do domu. Ni listów ni wieści. Czy każdemu taka trwoga do gniazdka dojeżdżać? Kochani, posyłam wam pieszczotkę, podzielcie się nią równo, tulę was obu, błogosławieństwo na was.

Swinna, 14 listopada [1]).

Wstępowaliśmy po drodze do Otyldy Grocholskiej, co Poniatowska z domu, stryjecznej siostry Daryusza. Zastaliśmy tam Maurycego i Augusta [2]). Opowiadali o starym ojcu, o różnych, różnych kłopotach. Dobrze, żeśmy wrócili. Trzeba się

[1]) Według rusińskiego kalendarza.
[2]) Poniatowscy, bracia Daryusza.

kłaść, ażeby jutro rano wstać i koniecznie do domu się dobić. Ale sen oczu się nie bierze. Gniazdko tuż. W izbie obok, ludzi tłum co każdej niedzieli, jedni dumki na dudkach grają, inni grubym, poważnym głosem zawodzą pijąc, a księżyc blady, ukośny co zawsze na nędze nasze patrzał i dziś patrzy na ziemię czarną, wilgotną, pustą i na ten lud biedny co tak smutno szaleje.

Gniazdko [1]), 21 listopada.

Kochani, drodzy, mili, nasi kochani, kochani, jedne wielkie, długie, serdeczne, rzewne uściśnienie od wszystkich nas, którzy jednym z wami duchem żyjem. Pozdrowienie wam od gniazdka ulecialym, biednym ptaszętom. Sieroty nasze, mamcia i siostry, krewni, przyjaciele, których nieznanych wam dużo, dużo macie, pieszczą was i błogosławią. Błogi wam pokój, kochani. Nie pisałam do was przez kilka dni po przyjeździe, bo czasu i uciszenia nie było. Za to nie zamknęły się usta o was. Trzeba było wszystko opowiadać, a dziś rano wymawiała mamcia, że się Nisia zmieniła, nie gawędzi jak dawniej, nic o was naprzykład nie mówi. Więc się jeszcze powtórzy raz drugi i dziesiąty co tam jej kochani robią, czy święci i pracowici, czy mamcię kochają, czy się im trochę w sercach rozchmurzyło po niedawnych burzach.

Z Kulczyn, w niecierpliwości widzenia naszych, napisałam z prośbą, ażeby naprzeciw nas wyjechali do Chmielnickich karczem. Potem spieszyliśmy się i przybyliśmy dniem pierwej niż w liście obiecano było. Zajeżdżamy, w domu zwykle tak ludnym cichusieńko, ciemno w oknach, a oni całym taborem wyruszyli byli naprzeciw nas i rozminęli się z nami, tylko gdzieś na końcu domu, Kicia przy konającem dziecku, które matka ze wsi była przyniosła. W kilka godzin dopiero późno przy kagańcach wrócili nasi. Rodzice szczęśliwi z po-

[1]) Kuryłówka, majątek państwa Iwanowskich.

wrotu naszego, ojciec zdrów, nic się, chwała Bogu, nie zmienił, ale mamcia chorowała niedawno i mizerna bardzo. Krząta się, gospodaruje, jednych naucza, drugich godzi, innym chleb obmyśla, przy Kici [1]) oddział chorych, przy Juni [2]) i Irence [3]) po części staranie karmienia wszystkich w domu, nalewania herbaty, rozdawania wieczerzy. Śliczne, smukłe, proste jak topolki, Junia już Kicię dorosła. Między niemi zwija się i kręci Marylątko [4]), którą zastałam u matki. Szczebiocze i kaprysuje na zabój, krótko, ile można, trzymają, ale to nie zupełnie pomaga, bo straszny kozak dziewczyna.

Nie mogę wam wypowiedzieć wrażenia jakie na mnie gniazdko nasze zrobiło po tak długiej nieobecności. Dawniej tak przywykła byłam patrzeć na ten rodzaj życia, że zupełnie już nie uderzał, teraz dopiero kiedy się na świecie rozpatrzyłam trochę, ocenić mogłam tę niewidzianą świętość ukraińskich domów naszych, tę braterską miłość i równość z uboższemi, tę nieustanną pracę około bliźnich we wszystkim rodzaju, że się prawie nie pojmie bez cudu rozmnożenia chlebów i godzin jak na tyle dobra starczyć może sił i zasobów. Jak ogromny dom, tak kącika wolnego niema, samych dzieci pełno, nie licząc podrostków co się do wyjścia w świat sposobią. Gwarno, tłumno wieczorami, bo młodzież po dziennej pracy tańczy przy fortepianie, starsi po kątkach siedzą, gazety albo nowe książki czytając, niektóre z kobiet słuchają, ornaty szyjąc. Junia żywa, skacząca i wiecznie zadumana, milcząca i jakby chmurna trochę wykrada się powoli z sali gdzie tańczą do grubej jakiejś poważnej księgi, którą ma rozłożoną w drugim pokoju. Kicia z drugiej strony posyła kogoś dowiedzieć się jak się ma chory co w oficynie leży

[1]) Konstancya Iwanowska, siostra Dyonizyi, żona Ernesta Rzewuskiego.
[2]) Józefa Iwanowska, dtto.
[3]) Żurakowska.
[4]) Córka Konstancyi Rzewuskiej.

a mamcia to się z Kicią rozśmieje na widok gronka swego, co skacze do upadłego, to sobie wspomni o cząstce jego już tak znacznej co uleciała od niej do Ojca Niebieskiego i spłakane oczy ociera. Potem chwilka odpoczynku i zaczynają się chóry. Niektóre śliczne mamy głosy, chociaż niebardzo wyrobione i zawodzą się dumki, między któremi zawsze pierwsze miejsce trzymają Hryć, Bondariwna, bo mamci ulubione, potem Szubert, rzadko bardzo kiedy co z muzyki włoskiej. Czemuś się nie zestraja z usposobieniem powszechnem. Potem wieczerza nakryta w kącie sali, do której nikt nie siada, je kto chce, gwarzą, gawędzą do dziesiątej, tu nastaje codzień krytyczna epoka. Mamcia chodzi z pokoju do pokoju i wszystkich zapędza spać, a tu się nikomu ani marzy. Mówi, że czuwać nie zdrowo, że jutro rano wstać trzeba, wedle każdego stanu i wieku, i nic nie pomaga. Co rozpędzi zgromadzonych, to się trochę dalej znowu kupią. Aż biedaczka żałośnie oznajmiać musi, że to jej szkodzi. Nie mogę, nie mogę. Dopiero się boją nerwy jej rozdrażnić i ze snu wybić i wysuwają się każdy do swojej norki. Tyle wam dziś o gniazdku naszem powiedzieć mogę, jeszcze się nie ze wszystkiem rozpatrzyłam, nie myślim tu długo bawić. Jeszcze nic co do wyjazdu naszego nie ułożone. Nie mogę dość nadziękować się Bogu za pokój, który w gniazdku zastałam. Mniejsza o osobiste zgryzoty kiedy przynajmniej choć cząstka kochanych nie upada pod krzyżem.

. . . .

. . . .

Zręczność na pocztę do Berdyczowa, a więc list wyprawiać trzeba, ale się on dlatego nie kończy, znowu po dawnemu rozpocznę dziennik i co miesiąc posyłać go wam będę.

Bądźcie mi zdrowi, kochani, drodzy moi, moi, tulę się do waszych serc poczciwych. Boże! co to za szczęście niewy-

powiedziane tulić się bez trwogi i jak ono rzadkie na świecie. Błogosławieństwa na was teraz i na wieki.

Nisia.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Tahańcza, wigilia nowego roku, 31 grudnia 1843.

Co to się znaczy, że od was dotąd ni słówka, kochani moi? Jeśli giną listy wasze, bo żadnym sposobem wierzyć nie mogę, ażebyście nie pisali, to i może moje was niedochodzą. Boże, Boże nie dopuszczaj ażeby zabraknął wam ten jedyny głos z rodzinnego kątka. Bądź co bądź, pisać będę, może też choć jedna kartka na dziesięć was dojdzie. To jest trzecia od czasu powrotu mego do kraju. Ostatnią posłałam wam na samem wyjezdnem z gniazdka, teraz oznajmiam wam, żeśmy pomimo złej, okropnej drogi, dobili się przecie szczęśliwie do Tahańczy, gdzie się nas Daryusz nie spodziewał, a stary ojciec jego przyjął nadzwyczaj mile. Cóż to za niedola wielka starość, doprawdy podobna do młodości niektórych istot. Taka sama potrzeba przytulenia i miłości, i taka łatwość w przylgnieniu do lada kogo, coby jej tylko ostrym i szorstkim nie był, to ciągłe szukanie współczucia i to rychłe o każdym przekonanie, iż ono jest niepodobnem, bo świat jej cały zamknięty drugim i wprowadzić weń nikogo nie zdoła.

Starość jak młodość dwie ma epoki. W pierwszej, jedna jak druga wyobraźnią tylko żyją i rozumem, nie sercem, bo jedna i druga sobą tylko zajęta. Pierwsza młodość całą namiętność swoją na ogólne zwykle wyobrażenia wylewa, na ludzkość, na ile ona jej abstrakcyjnem jest pojęciem, bo uniesienie, gwałtowny ruch ducha jest dla niej potrzebą jak niegdyś ruch ciała potrzebą był dziecku, pomaga też jej wiele do czynnego poświęcenia dziecinna próżność w myśli, iż ważną na świecie rolę wygrywa. Aż cierpienie dopiero z szału

obudzić ją może, zawrócić z próżnej pogoni za wszystkiem co szumi, dość uciszyć, ażeby przytomnie w koło i nad siebie spojrzeć mogła i ukochać co piękne na ziemi i w niebie, nie przez egoistyczną potrzebę wzruszeń, nie dla siebie, lecz dla wnętrznej wartości przedmiotu, dla sprawiedliwości. A czasem też dla miłosierdzia, dla wzniesienia piękności do wyższej, czystszej doskonałości. To samo w początkach starości. Doświadczenie, które widzi jak kruszą się i nikną kształty i rdzeni rzeczy, zawierzać przestaje i chętnie powtarza z Salomonem: jedz a pij, bo wszystko inne próżnością jest. Ale jak po kilkunastu leciech, sterane siły przekonają się o próżności i materyalnego nawet dobra, a jednak uczucie nieśmiertelności zamrzeć nie może w zamarłem już na ziemskie widoki sercu, zmartwychwstaje starcowi duchowe życie, zwraca się znowu miłością ku wszystkiemu co ukochał był za młodu, a co był później szyderstwem znieważył, wraca jak do zapoznanego przyjaciela, jak do zdradzonej ojczyzny z gorzką łzą żalu, z gotowością do wszelkich ofiar, z uczuciem niegodności i niemocy swojej, z niewymowną jednak radością, iż dano mu jest cieszyć się jeszcze pięknością. I roztwiera się serce jego wielką i podziwu pełną miłością Boga i śpiewa mu hymn, jaki mu śpiewał Salomon, kiedy zamknął księgi o próżności.

Wierzcie mi, kochani, nie darmo ojcowie nasi o bardzo starych mówili: piękny ma wiek. Istotnie piękna starość, kiedy się aż w zorzę wieczności rozpromienia, to też, kochani moi, drodzy mili, na ten nadchodzący nowy rok życzę wam z serca, ażebyście nie zatrzymali się na owych pięćdziesięciu i sześćdziesięciu leciech, których ja tak nie lubię, ale doszli do jasnego, promienistego wieku, w którym człowiek aniołem usypia w Panu, dojrzawszy na oko mądrość jego i pobłogosławiwszy mu za wszystko. Nowy rok co też nam przyniesie? Niemoc czy siłę w Panu? Ukojenie czy nową jaką zgryzotę? Która niedola z tych, które dojrzyć już można zdala, zbliży się, ogarnie i pocałunek zimny na usta złoży? Może nowa ja-

kaś nieznana? Z czego Pan jeszcze ogołocić zechce, jakiem nowem sieroctwem przytuli nas do siebie? Wola jego, wola święta niech się stanie. Ale pozwoli z synem swoim zawołać: Panie, jeśli to być może, niech kielich odejdzie od nas! Kochani, ma on i pociechy w skarbnicy swojej. A myśmy słabi może nie odmówi której, kochani, posyłając wam świąteczny chleb nasz biały, którym się z wami w dzień narodzenia Chrystusowego nie mogliśmy podzielić, żegnam was z daleka krzyżem świętym, niech przed tym znakiem zbawienia wszystko złe pierzchnie w koło was, niech się aniołowie i święte duchy zbiorą i wielbią go z wami, niech on wam wsparciem i spoczynkiem będzie, nadzieją i pociechą, odpłatą za winy i zbawieniem tu i tam gdzie wszyscy dążym i gdzie daj nam Boże rychło wszystkim ujrzeć się w obliczu Twoim najświętszym. Na wieki. Amen!

1 stycznia.

Dziś ni chwilki czasu nie było aby się z wami rozmówić, a więc, choć późno w noc, przypadam do was, stuk stuk, stuk stuk, wy pewno nie śpicie. Na nowy rok zaczerpnijcie choć trochę z wiecznie nowego źródła miłości co dla gwiazdki i Ukrainy płynie, przejrzyjcie się jak wy piękni w niem, czyści, jaśni, przemienieni wszyscy moi i Ukraina! To moja wiedza prorocka, to dar, który trwa na ile wiara moja żyje. Kochani i niebo Pańskie i my Pańscy. A więc i niebo śliczne i my śliczni będziem kiedyś. Rozradujcie się w Ojcu, który dobry bez miary, jeszcze troszka i złączym się wszyscy u niego. Dobranoc, uśnijcie w pokoju.

4 stycznia.

Musiałam nowy rok przepędzić u siebie, choć Tahańcza tak blisko, bo jadąc tu wywróciliśmy się dużym powozem i uderzyłam się w głowę tak mocno, że mi dawny ból nerwu odzywać się zaczął. Nie puścił mnie więc Daryusz i sam tylko

był u ojca [1]). Zeszedł mi dzień cichuteńko na gawędce z moim ojcem [2]), który ze mną zostać tu chciał i na przyjmowaniu ludzi tutejszych i dwóch innych pobliskich wiosek, przybyłych na powitanie z podróży. Serdecznie z niemi byłam ale krótko, bo się mniej znamy. Ależ kobiety, doprawdy, kochani, dawno takiej chwilki błogiej nie miałam jak z niemi. Wyobrazić sobie nie można tej miłości i tej radości z jaką mnie przyjęły. Myślałam, że mnie zacałują pierwszego dnia. jak ich ze dwadzieścia razem przyszło, ciągle i ciągle przychodzą, naznosiły mi co która miała. Naopowiadały różnych rzeczy, znajdują, żem zmizerniała bardzo — i n e d y w o, zażuryła się na czużyni. Taki to wse ludsze u sebe doma. Mimowolnie pokorzy się serce wobec poczciwych tych istot, ze łzami w oczach mówię im kiedyś: jaż wam szcze tak ne dużo dobroho zrobyła, za szczoż wy mene tak lubyte? Za dobre słowa, powiada któraś. Zaprosiłam je wszystkie na obiad na pierwszą niedzielę, którą w domu przepędzić będę mogła, toż będą gwarzyć i gawędzić. A mnie serce rośnie jak je wesołe widzę. Istne miłosierdzie Boże, że im się tu znośnie dzieje. Przejeżdżałam przez Wczorajsze [3]), tam ludzie biedni bardzo się skarzą. Co to za boleść kiedy oni niby do nas należą, a tu ręce związane, kiedy się oni tulą i o pomoc proszą, a tu dla nich nic zrobić nie można tylko słowem pożałować, popieścić, modlić się i płakać. Oj dity, dity, de was podity? Nie masz nieszczęścia jak mieć wioskę daleko. W bliskiej, choć to się w niej rozporządzić nie można, jednak wpływem wyrobić się da niejedno. Z daleka niema sposobu obronić ich od prawdziwej zwierzęcości oficyalistów. Nie umiem dość Bogu podziękować za to, że Daryusz sprawiedliwy, koniecznie mu się w domu osiedzieć trzeba, bo z daleka najlepsze rozporządze-

---

[1]) Józef Poniatowski.
[2]) Dyonizy Iwanowski.
[3]) Wioska należąca do pani Iwanowskiej.

nia na papierze tylko zostają. Boże mój, Boże, gdyby oni biedni wiedzieli jaką mi oni raną w sercu.

13 stycznia.

Mało co czytam, nic nie robię i nic nie myślę, kochani. Czasem mi się nawet zdaje, że nic nie czuję. Ciągle prawie jestem na służbie u dwóch ojców, to u cioci B...., to u kogo z tych gości co to się z nim nic prawie wspólnego niema, tylko wymyślam rozmowy, któreby długo prowadzić można, niby wesołe, a któreby nigdy niczego żywotnego nie tknęły. Mimowolnie drżę na zbliżenie się ludzkiej myśli do mojej, to dowód słabości, dawniej tak nie bywało. Wiele jest przedmiotów. o których na wieki zamilkły już usta moje, nawet z kochanemi, bo nieraz co w rozumieniu mojem, ważnem jest i wielkiem, innym śliczną tylko igraszką, tym nawet, o których długo myślałam, żeśmy rodzeni w wyobrażeniach, aż kiedyś w zapomnieniu się w gniewie wymówili słowa wzgardy i szyderstwa, któreby im nigdy z serca nie wyszły przeciw temu, coby istotnie za świętość mieli. Mamcia nieraz mówi, że największą wadą moją jest pamięć uraz, iż jedno słowo niechcące wymówione więcej ma u mnie wagi, niż lata uczynków i ryje mi się na wieki w sercu, bo mamcia duszka nie widzi. że nie o mnie idzie, ale o to w co wierzę, co ukochałam jako prawdę i świętość nie dla mnie ale dla bezwzględnej ich wartości. Nie urażam się bo nic za złe nikomu nie mam, na wszystkich miłosierdzia Bożego wzywam, tylko w i d z ę.

Są chwile, zdarzenia czasem mało ważne i przemijające, w których błyskawicą światło padnie na jaką cząstkę duszy ludzkiej i ujrzym ją jak nigdy jeszcze. Darmo cień znowu okryje i dawniejszą postać wróci, już się nigdy nie zapomni jaką się nam w świetle objawiła. Uczynki ludzkie niczem są, wszystkiem, myśl, z której się wyradzają i od tej myśli zależy wpływ jaki na świat wywierają, ta myśl wyjawi się,

czasem w ledwie dojrzanym uśmiechu, w pół słowie. Może też ja to za daleko posuwam, niemniej tych ludzi kocham, między któremi a mną przepaść ujrzę, której się nie domyślałam, tylko już i swobody i pociechy z niemi niemam. Zwija mi się myśl w ich obliczu, bo zranienia się boi i tonie gdzieś głęboko we mnie. Nieprawdaż, kochani, zdaje się, że i w samowoli myśl snuć się nie chce, kiedy ma uczucie, że nikomu przydatną nie będzie i usnąć na wszystko tylko pragnie.

Kochani, kochani, kto wie, jeśli nigdzie a nigdzie ujścia myśl mieć nie będzie, może doprawdy wyschnie jak źródło i będzie długi sen bez marzeń, pokój. Ach! co też ja mówię, nie chcę was gorszyć. Wszak na pracę, nie na wieczny sen Bóg nas stworzył. A potem czyż Chrystus nie z nami? Czy nas nie słucha, nawet nas, biednych kobiet? Czyż Samarytankę odtrącił? Nie dziwcie się, kochani, że nie wiedzieć co wam piszę. Już ci ja myśleć nie mogę, że sama jedna rozum mam i czucie, że sama jedna kocham prawdę i piękność na świecie. A kiedy widzę, że wyobrażenia moje wszystkim prawie obce i dzikie, że się wielu niemi gorszy, że drugim obojętne lub mało ważne co mnie nieskończenie boli, to mi się tak zimno, zimno w duszy robi, mąci mi się w myśli jakby coś omdlewało we mnie, bo nic już nie rozumiem i wątpliwość zalega mi serce, nie co do prawd wiary, uchowaj Boże, ale co do zastosowania ich do życia. Może doprawdy szaleje mi serce, czy ja wiem? Życia jeszcze tak wiele przedemną, kto mi dalej drogę wskaże? Kochanych tylu a tak samotnie, och! gdyby głosu Chrystusa zasłyszeć; zasłyszałabym pewnie, gdyby nie grzechy moje. Spłakałam trochę, dzięki wam, kochani, że tak pisać pozwalacie, że i płakać pisząc można. Łatwiej pisać niż mówić, bo oczami nikt nie patrzy, Biedni wy, biedni, że tak bez sensu, kobiece listy odbierać musicie. Już sobie wiele razy mówiłam, że nigdy czarno na białem nie wypiszę co mi się tam w otchłani dzieje, ale nie dotrzymuję słowa, bo pewna jestem, że was listy moje nie dochodzą

i piszę, jak się tyle rzeczy w życiu robi, li tylko dla zaspokojenia sumienia. Ażeby wam kiedyś módz powiedzieć, robiłam co mogłam.

Wstyd mi słabości mojej, jedno wiem pewnie i to mi za wszelkie światła, za wszelką pomoc stanąć powinno, oto, że powołaniem mojem jest wiecznie powtarzać głosem i uczynkiem słowa św. Jana: „Dziatki, kochajcie się jedni drugich". Wszystko jest na ziemi, nawet wiara a miłości nie masz. Brak miłości katuszą mi był od dziecięcia. Brak miłości, nie dla mnie, ale ogólnej bliźniego jadem rany mi zaprawiał, że nieuleczone się stały. Nikt nad nami głębiej, przenikliwiej nie uczuł wszystkiemi zdolnościami swemi, jakie to piekło gdzie miłości niema. To też z cierpienia jeden mi został owoc: miłość. Doświadczenie jednego nauczyło miłości i dla świata jedną naukę w myśli mojej zostawiło: „Dziatki, kochajcie się jedni drugich". A więc czegoż chcę jeszcze. Gdyby wszyscy kochali i miłością nikt się nie gorszył i z miłości nikt nie szydził, słowa moje nie pracą ciężką, ale by hymnem szczęścia były.

24 stycznia.

Przecież, przecież, choć wieść od was. Błogosławiony Bóg, który was w służbie swej chowa. A więc przemodliliście w świętym ustroniu czas powrotu naszego. Czy zawitała wam cisza? Czy wam jasno? Niezupełnie. Widzę was stąd. Całą siłą garnę się do was, jak wy mnie już czujecie między sobą. Gdzie kobieta, tam rodzina, tam dom bo u niej zawsze wyrozumienie i miłość i ciche, bezpieczne schronienie przed lodowatym wichrem co po świecie wieje. Dlatego, kochani, jam zawsze z wami i nie ja jedna, całe gronko nasze dawno rozgościło się u was. Strzeżcie domowego ogniska waszego. Siedzim oto w celi waszej, szyjąc u stolika, jedno [1]) z was w krze-

---

[1]) Józef.

śle, zasunięte w pół zgięte, dłonią podparło głowę i duma, tak smutno jakby Bóg miłosiernym być przestał i dobra myśl grzechem była — i to kochane milczy rankami całymi; drugie[1]) kochane, chodzi to wzdłuż, to wszerz, to w koło nierówno, to znów staje, a nic nie widzi, prócz widzenia swego i po naszemu ręką rzuca i głową potrząsa i łzą zabiegłe oczy tak trze jakby je wydrzeć chciało. Zmiłuj się, biedne oczki cóż one tobie winne? Zaraz zlaź ręce, obie tu w moich i siadaj. Nie można zżymać się i niecierpliwieć, i złościć, to grzech. Siadaj tu. W imię Ojca i Syna, niech zstąpi na ciebie pokój, ludziom dobrej woli obiecany. Cicho, cicho, już tam w otchłani. Cyt, uże, cyt! Marszczy się i odwraca? Poczekaj, za karę powiem ci bajeczkę, niemiłą i słodką wcale, tylko straszną. Była raz gwiazdka między gwiazdkami, biała, drżąca, a promienna jak przed Panem łza miłości i wszystkie gwiazdki ją czciły i oczkami poglądały czerwonemi, to żółtemi, to ślicznemi niebieskiemi. Ale ona zdala stała na samej kończynie obszaru, bo tak jej kazał Pan nieba. A na ziemi garstka ludzi była och biednych. W złej doli zrodzeni, w złej doli wzrośli jak trawka na bojowisku, gdzie wicher nawiał ziarnek pszenicy. I nawet się wszyscy nie znali, tylko przeczuwali i sobie mówili cichutko. Jak się wszyscy pomodlim, Pan prośbę wysłucha, tak Chrystus obiecał, razem i o jedno. Ale w przestrzeniach myśl nasza buja, jak w jedno ugodzim? I w najmilszą się Panu prośbę zestrzelim? Jak z jęków wielu jeden śpiew powstanie? Kto nam głos poda ku zgraniu? Ot, tam wysoko, gwiazdka nam świeci, poznać ją łatwo, bo jedna, tak ona świeci jak my tu płaczem w pragnieniu Bożego królestwa, tylko w błękicie burza nią nie miota, ku niej więc zwrócim źrenice. Jak ona świecić, tak my modlić będziem, póki żywota. W niej się zjednamy i wiązką zarzucim przez nią aż do stóp Pana kwiatki nasze liche. Gwiazdka tkwiła

[1]) Bohdan.

wysoko, mowy ludzkiej nie słyszała, tylko drżała w sobie smutkiem i wciąż myśli grzeszne snuła: „Czemu na krańce przestworza wygnał mnie tu Pan? Ni mnie siostry towarzyszą, ni kochają, ni pomocy udzielają. Gdyby do nich się to zbliżyć, razem z niemi ziemi błysnąć nowym dniem, przecieżbym się na coś zdała! Ha! Święć się, wolo święta, kiedy każesz, tu zostanę. Ale światło na cóż darmo rzucać w próżń? Siostry nie miłują, a ludzie nisko, daleko, ani dojrzą, ani pojmą. Patrzałam pilnie, nic z poziomu się nie wznosi, lud jak kłosy jeszcze w trawie zieloniuteńkie. Gdyby dąb, choć jeden, wyjrzał ku mnie z stepu. Żal się im Boże mojego światła. Na co się im przyda mdłym i niskim?“ W goryczy, gwiazdka chmurkę woła: „Osłoń mnie, chmurko, kocham i kocham, ale na darmo, bo tak wysoko i tak daleko nikt nie wybiegł jak ja, rzucam promienie ale na darmo, bo do niziny nie sięgną. Kiedym więc sama i niepotrzebna, niech moje już więcej oczy nie widzą ni gwiazd, ni ludzi, sama dla siebie wieczność przedumam w łzach i tęsknicy“. I znikła w chmurce gwiazdka boleśna. A na stepach ziemi wicher wył srogi i garstką ludzi miotał, a oni długo patrzali w górę, nie było ich gwiazdki na niebie i w siebie wrócili milczący i sami. I długie przeminęły lata. A ludzie owi, jak ziarno w kłosach, dojrzeli i zżętych, zwianych, zemlonych, przez ogień przeszłych jako chleb na ołtarzu położyli słudzy Pańscy. Gwiazdka wyjrzała z chmurki na padoł i w przerażeniu promień zaćmiła. Pracownikami Chrystusa, członkami Chrystusa byli ci ludzie tak mało dowcipem świetni, tak mało na szerokim świecie głośni. Nie śpiewali usty lecz treścią byli pieśni dla ludzi, a może aniołów. A że służebnikom Pańskim służyć nie chciała gwiazdka, w płaczu nieutulonym zgasła, a siostry jej drżały w rozumieniu prawdy: Na to gwiazdka aby świeciła, nie pytając na co i komu? Albowiem powiedziano na początku: Stworzył Pan gwiazdy aby świeciły, kiedy księżyć świecić nie będzie, biada więc gwiazdce, która nie świeci!

A prawda, straszna bajeczka? Gwiazdki moje, gwiazdki wyjrzyjcie mi z chmurki. Idźcie precz, szare, popielate. Z ziemiście przyszli rosą czy deszczem, wracajcież ziemi, kochani! Cóż to za szczęście popłakać. Błogosław wam Boże łzami. Uchowaj od skwaru serca i urągania. Chyba szatan nad tą ziemią zaśmiać się może. Jedno z was tylko ma czasem brzydką tę pokusę. A kyp, a kyp. Drugie, ot te co się pod smutkiem tak zgięło w milczeniu, nie ma jej nigdy. To kochane niech na świętych popatrzy, jak im radośnie było zawsze w Panu. I oniż grzeszyli, ale całą mocą poprawiać się starali, przepraszali z serca, a potem spuszczali się w pokoju na miłosierdzie tego, który lepiej nas kocha niż matka dzieci. Wiecie wy, że to bardzo zła rzecz smutek ciągły. Co to ja o tem kazań już słyszałam i wam radabym z serca powtórzyć na pociechę. Ale nie mogę, choć przed chwilą miałam ten dobry zamiar. Jeszczem daleka od tej doskonałości, ażebym ciągłą radość w duchu na ziemi zrozumiała. Wierzę tylko, iż każdy jej święty dostępuje. Pojmuję ją w chorobie, ubóstwie, opuszczeniu, potwarzy. Ale jak się ona ostać może, pomimo widoku cierpień bliźnich po ziemsku tylko znoszonych, widoku złego co się w koło nas dzieje, grzechu drogich nam, ach nie pojmuję, nie pojmuję, to jest rozumem rozebrać to mogę. Ale wprowadzić tę doskonałość w życiu nie mogę jeszcze. Może Bóg kiedyś da. Cudowna moc ręki jego. Takam słaba i grzeszna, żem się ledwie do nadziei w każdym przypadku wznieść dotąd mogła, do najpierwszego stopnia nad potępienie. Wielem w życiu łzami nagrzeszyła, bo gorzkie były. Jakby mi się coś należało na ziemi i piękność, choćby w nieszczęściu, dziedzictwem mojem była. Ach! szaleństwo dziecinne, chwała Bogu, powoli, powoli odrywa się moje, ja odemnie. Mniej gorączkowych wzruszeń, dnie moje nie moje, ale pracy mojej. Módlcie się za mnie, ja za was co dnia.

Wyście silniejsi odemnie, wyżej pójść powinniście, niźli ja rozumieć mogę, bo mi grzechy młodości a może i cierpie-

nia młodości zaćmiły myślenie i siły zmitrężyły. Prawda, czuć nam nie starczy, na radość ciągłą a żywą przekonanie, że Chrystus najukochańszy ze wszystkich i wszystkiego Chrystus piękność, słowo, miłość, Chrystus nasz światło, życie, na wieki pochwalonym jest i będzie i chwała Jemu przyjdzie nawet z potępienia naszego, gdybyśmy na widzenie go nie zasłużyli? W proch przed stopami padną wrogi jego i zniknie złe z oblicza jego i ustanie krzyżowanie. Przyjdzie czas, w którym nikt z nas zniewagą karmić go nie będzie. Zwycięży czysta światłość jego i na kolanach przygarną się do niego wszyscy miłujący go. I my między temi będziem. Miejmy dobrą wolę a wierzmy. Stanie się nam, wszak nie wolno o miłosierdziu Jego wątpić.

2 lutego.

Od początku tej stronniczki piszę dziś. Zrana komuniowałam, aby Pan ofiarę syna swego przyjąć raczył. Musieliście i wy bardzo się dziś modlić i do stołu Pańskiego przystąpić, tylko wy raniej, ja później i dobrze dłużej Panu chwałą brzmiało, jeśli istotnie chwała mu, nie zniewaga, z lichej modlitwy mojej przyjść może. Zapewne w tem chwała, że nawet temu nędznemu, brzydkiemu stworzeniu co wyszło białe i czyste z chrztu świętego, tak się rychło zniweczyło i temu nawet błogosławić się pozwala i do lepianki jego zstępuje, choć w niej gady się snują. Jak się tam aniołowie dziwić muszą i wielbić z przerażeniem. Może myślicie, że z pokory tak mówię. Gdzie tam, trudno o próżniejszą istotę. Nie byłabym ostatnią między ostatniemi i najdalszą od Pana, gdybym pokorną była. Nie upadałabym tak ciągle i tak nisko. Cieszę się ile mnie kto razy dobrą sądzi i pokocha. Ot i wy, kochani, radabym w głębi serca, żebyście mnie we wszystkich względach za niepospolicie dobrą mieli i lepszą od wielu, ale jeśli wam ta ochota przyjdzie kochania mnie i wielbienia, nie wierzcie jej i nie słuchajcie, bo was coś mami i oślepia. Klę-

knijcie raczej w trwodze serca i odmówcie psalmy. Może się kiedy Pan zlituje i piasek ten jałowy, co zdala jak złoto świeci, użyźni choć trochę, choć na paszę bydlętom. Wierzcie mi, wierzcie jam nie święta, ażebym tak przez pokorę mówiła. Mówię prawdę tysiąc razy, milion razy, mniej niźli widzę w sobie. Ale jeśli ja ciemna i próżna kobieta, tak widzę, jakże widzi Bóg, który pamięta każdą kropelkę tego morza nieprawości, z którego ja tylko ledwie falę jakąś straszną gdzie nie gdzie pamiętam? Gdyby to gdzie nie gdzie, pamiętam burzę oceanu w Ostendzie wilią wyjazdu naszego. Otóż, jak gęste a straszne były bałwany, tak poorane różnymi a różnymi grzechami życie moje całe i tak one powstają na mnie. Ale Pan w miłosierdziu gwiazdę dał morską, abyśmy nie rozpaczali. Och! burza, szaleje wiatr północny, a wody gorzkie ryczą i biją się bezprzytomnie o brzegi i noc ciemna, ciemna. A ludzie patrzą ciekawie i mówią, że to pięknie i cieszą się światłem, które fala toczy. A to światło owad nikczemny, obrzydliwy, czy trupie jakieś resztki. Nie, nie, nie burza piękna, tylko pokój, bo pokój to siła.

Pieszczotki moje, pokój wam w Panu. Czemu usposobienia waszego nie wiem, ażebym się z niem ześpiewać mogła? Radość wam wielka w Panu, który przebacza. Zmiłujcie się, pracujcie dla niego, bo jakże przyjść kiedyś będzie do tego, który tak ciężko i krwawo robotę zaczął z próżnemi i niezapracowanemi rękami. Co bądź, choć najdrobniejszego, byle mu w członkach jego służyć, a owocu pracy nie pragnąć ujrzeć ażeby nam nie powiedziano: Za prawdę odebraliście już zapłatę waszą.

Mamcię widzieć trzeba na zbudowanie od rana do wieczora ledwie spocznie, a pracy tej miłosiernej zawsze ma tyle, iż ledwie starczyć jej może błogosławieństwo za to iż najdrobniejszą nie gardzi.

Trzeba już kończyć ten list i na pierwszą pocztę posłać bo właśnie cały już miesiąc zawiera. Nie trzeba, żebyście na

bazgranie moje czekali, do zobaczenia, drodzy, mili, mili moi, moi, jedno i drugie w czołko całuję, opiece Matki najświętszej polecam. Czemu jej w litanii Matką sierot nie wzywają? W takiej wielkiej, serdecznej miłości wyciągam ku wam ramiona. Bóg z wami.

Nisia.

Niechcę ja, niechcę żegnać się dziś z wami, na same urodziny twoje, sieroto. Przebądźmy dzień jeszcze razem, jutro list zamknę i oddam. Obyśmy kiedyś z Matką twoją w niebie błogosławili ten dzień razem i dziękowali zań Panu. Jak cię ona strasznie kochać musi, z rana pewnie modliła się z nami, może przy Chrystusie stała, kiedy zstępował do ciebie. Może ci pokój wymodli i cierpliwość i cichość i wyrozumienie w miłości i wytrwanie w słodyczy dzieciątku swemu, które Pańskiej pieczy poruczyła kiedyś. Wyhodowali je aniołowie święci, wypieścili, wykochali, że bez dumki a kołyski usnąć już nie może. Biedne płacze a płacze, toć i matka pewnie zleci, krzyku dziecka nie wytrzyma, gościniec z nieba przyniesie cichej cierpliwości trochę, co i ziemię ściele, że się na niej nie tak bije i nieba przychyli. Boże, Boże, gdyby wy wiedzieli jak to boli w dzień urodzin cierpliwości kochanym życzyć. Za te łzy co mi pobiegły, niech wam Bóg choć troszkę cierpienia oszczędzi. Kochani, kochani, nic wam powiedzieć nie umiem, bo się płakać chce. Czemuś was tak boleśnie kocham jak całą gwiazdkę, jak Ukrainę.

Kochani, gdyby wam na wiązanie choć sen jaki śliczny posłać. Gdyby, gdyby widzenie wam jakie uprosić, choć ziemskie, stepu naszego albo jasnego Dniepru, gdyby choć kwiatka paproci wam posłać, żebyście raz na własne uszka zasłyszeć mogli w kilku sercach jaka o was mowa.

Moi wy rodzeni, co ja wam dam na wiązanie? Nic, chyba na kolanach lichą modlitwę do Pana za wami. Nawet dumki nie zaśpiewam, d u m k a p ł a c z k a, cóż po niej, płon

na codzień, nie od święta. Ot wiem co. Ubóstwo z pomiędzy ludu naszego kochanego zbiorę w gromadkę, nakarmię, napoję i pokocham za was. Będą wam błogosławić godniejsi odemnie i na wiązanie miłosierdzie u Pana uproszą. Obiecuję wam to na każde wasze święto w lutym i w marcu, tego roku będzie za tydzień, w oktawę, bo w domu nie jestem. Boże, daj wam świętą pogodę w duszy, pociechy choć odrobineczkę. Niech wam pusto i samotnie nie będzie. Bądźcie mi radośni jak ptaszki co wiosnę czują, choć śnieg jeszcze na polu, i zaświergotajcie ku niebu tak głośno i wesoło, żeby aż Chrystus obejrzał się na was. Moi, wy moi. A ja się Mu pochwalę i powiem: „Panie, to tak w gwiazdce mojej śpiewają tobie, sercem całem i głosem całym a tak radośnie, choć ciernie ranią a ranią, bo ty jesteś".

3 lutego.

Tą razą doprawdy już dosyć. Bądźcie mi zdrowi, kochani. Bądźcie święci a zatem szczęśliwi. Bóg z wami.

Nisia.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

28 lutego 1844 (podług ruskiego).

Dziś kochani, drodzy, mili, prędko was, prędko na dobry dzień w czołka pocałować, w duch popieścić.

. . . .

Może wam opowiedzieć jak dnie nam schodzą? Naprzód wyobraźcie sobie duży i wysoki dom drewniany ale bez piętra, bieluteńki zewnątrz, bieluteńki wewnątrz cały, z ogromnemi oknami przez które wiele nieba widać, dwa cmentarze, w innej stronie biały duży krzyż na miejscu, gdzie cerkiew dawniej stała i trochę nowo posadzonych drzewek. Z rana budzi się Nisia i blask prosto bije w oczy, bo dawnym zwyczajem łóżko moje zawsze

naprzeciw okna stoi, inaczej czemuś okropnie jak w więzieniu, krzyżem świętym się żegna i do Boga woła o pomoc, bo nowy dzień przeżyć trzeba i nie upaść w nim ni razu a niemoc wielka. Potem przychodzi dziewczynka, piękna czarnobrewka, szesnastoletnia, jedna z moich dzieci, rozkłada ogień na kominku, ubiera i pacierz mówi Nisia. Potem wychodzi Nisia w świat. Cichusieńko, bo wszyscy jeszcze po celach. Nisia państwo swoje obchodzi, patrzy czy wszędzie pozmiatano, czysto jak w szklaneczce. Czasem w bawialnym pokoju wazony z kwiatami sobie ustawia, potem idzie do salki na herbatę, w której zawsze prawie jeśli jest w domu, asystuje Daryusz, to chwila pierwszej w dniu gawędki. Robią się rozmaite pytania, na prośby także to dobra chwilka, pokazują się niektóre listy, układają niektóre sprawy domowe, po herbacie pocałuje Nisię w czoło i idzie do siebie, a Nisia prędko przez długi korytarz, dumkę zawodząc, do kobiet. Tam wytaczają się najróżnorodniejsze sprawy, zacząwszy od swatów, której z dziewcząt do najdrobniejszych domowych rozporządzeń. Rozwodzą się różne skargi. Nisia gromi, godzi, wysyła czasem gońców na wieś, czasem przerażające straszliwe kartki do oficyalistów, niektóre z dziewczątek przechodząc pogłaszcze, pokocha. Zajrzy do Angielki, która poważnie za stołem siedzi i z dziećmi szwargocze, które szyją albo z nią czytają. Obejrzy czy czysto ubrane, czy zdrowe i grzeczne. Potem jedno zabiera z sobą i wraca do swego długiego pokoju, gdzie przy siatce do alby, odbywa się katechizm, historya święta, czytanie polskie i pisanie, w ciągu którego zwykle wsuwa się ciocia B... i przed krzyżem pacierze odmawia. Potem, jeśli trochę czasu zbywa, listy się piszą i w duch w mig narzuca się sukienka, bo obiad dają, a Daryusz wrócił z fabryki czy z pola. I raptem gwar wielki w bawialnym pokoju. (Kiedy nikogo niema cały dzień Boży, Nisia i po obiedzie i wieczór sobie czyta przy kominku w długim pokoju). Wszyscy goście, którzy po celach cały ranek przebyli odwiedzając się jedni

drugich, czytając czy ucząc dzieci, jeśli kto z dziećmi przyjechał, ale których zwykle nie odwiedzam, chyba kto sędziwy bardzo, albo w szczególnym jakim razie. Wszyscy goście schodzą się na obiad, i już resztę dnia razem czytają, dumki śpiewają, nowinki opowiadają, obrazki przepatrują i gawędzą, gawędzą bez końca o niebie i o ziemi i o czem się ani śniło filozofom. Na kominkach ogień się pali, samowar szumi, dzieci skaczą aż późno rozchodzim się spać i jeszcze po celach gawędzim, potem znów do mojego długiego pokoju i tu odpoczynek, jeśli jaka przez dzień myśl przeleciała, da chwilkę spocząć i Cesia przeżegna i pójdzie i zostaję przy drzwiach zamkniętych, Bóg jeden ze mną w pokoju. Nazajutrz znowu to samo.

Musiał się tak ułożyć koniecznie podział dnia na dwie części bo jest zaprowadzenie, że rzadko kto do nas inaczej jak na kilka albo kilkanaście dni przyjeżdża, bez końca by więc było próżnowanie. Zresztą i goście temu radzi, bo książek nowych zawsze mają podostatkiem, a kto u nas nie czyta? Ze znajomych miło mi było niezmiernie obaczyć się z K.... Cóż to za poczciwy człowiek. Niech się tam jedno z was ucieszy, bo po części jego to ziarnko, tak bujno wyrosło. Oj! szkoda, szkoda, że wielu rzeczy pisać nie można, że co w mowie nowinka, to w pisaniu plotka. Ale co się tak rozgawędzam kiedy list wysyłać trzeba.

Oto łupinka życia Nisinego, a znacie wy jakie w niej ziarnko? Siedmioraki znak, bo liczba 7 tajemnicza. Jest siedem grzechów śmiertelnych, siedem boleści, siedem darów Ducha św. i siedem barw w tęczy. Kto wie, może na końcu życia się okaże, że i moje ziarnko siedmiorakie? A jak one w jeden krzew wyrosną, jaki owoc będzie? Biały czy czarny? Zmówcie czasem Zdrowaś Marya za mnie biedną.

Moi wy, moi rodzeni, moi wy, moi serdeczni, moi wy moi, błogosławieństwo wam i kochanie nieba i ziemi. Czemu oczkami aż do was przewiercić nie można, dojrzeć co się aż

w samym środku ducha u was dzieje. Czy prawda, że się Paweł z przybranym ojcem poważnił?

Do zobaczenia, jedyni, kochani, całuję was w czołka.

Nisia.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Gniazdko[1]), 29 kwietnia 1844.

Jak ja was przeproszę, mili, najmilsi moi, za długie milczenie. Biedni, sprzeniewierzyła się wam Nisia. Może kiedyś, kiedyś w niebie, gdzie każdy wszystko dojrzy i zrozumie, wytłómaczycie to sobie i wybaczycie. Ale teraz daleka ta nadzieja niepociesza mnie ani troszkę jak o niepokoju waszym myślę. Zaczęłam była do was pisać. Alem się wczas pomiarkowała i dałam pokój. Przywykłam z wami słów nie dobierać i długo byłam w takiem usposobieniu, że żadnym żywym sposobem nie mogłam zdobyć się na jakieś przystrojenie biednej myśli mojej, żeby przecie jak upior ludzi nie straszyła, a że doprawdy straszy miałam niedawno na mamci bardzo przykry dowód. Jeden z was pyta czemu Nisi smutno. Boże mój, alboż wy jeszcze nie wiecie. Oto dlatego, że nie taka Nisia jaką Bóg ją mieć chce, oto że upadła pod krzyżem i leży pół martwa, pół szalona i tylko żarem ciągle ryją się jej w sercu straszne słowa: Gdybyś chciała szczerze, wstałabyś i uniosła krzyż, bo łaski Bóg nigdy nie odmawia. Nie usłyszy cię Bóg i nie spojrzy na ciebie i na tych, za których modlisz się, aż wstaniesz i pójdziesz z krzyżem, jakkolwiek ci się to niepodobnem zdaje. Boże mój, Boże mój, kochani, niech się kto pomodli za mnie, ale nie za mnie jedną. Gdyby choć odrobinkę światła i siły, tyle ich potrzeba, bo ciemno i mdło nietylko we mnie, ale i w koło mnie. Żeby ludziom służyć,

---

[1]) Kuryłówka.

trzeba większym być od nich, szczególnie wiarą i pokorą. Wzmogli się wszyscy w ziemskie żądze, ujrzeli światło słów Bożych i jak Piotr na górze Tabor, nie wznieść się ku światłu do nieba, ale pobudować namioty zapragnęli na ziemi, na ziemi używać światła Bożego na szczęście. Czy wiecie, że istnieje materyalizm duchowy? Wiem, że i Boga jak ludzi można kochać namiętnie, nie dla niego, ale dla siebie, i egoizm brać szczerze za miłość, bałwochwalstwo siebie za pobożność i cnotę. Kto zgłębia myślą szczęście swoje duchowe, zgłębia tylko objawione mu miłosierdzie Boże, ale wcale nie miłość swoją ku Bogu. Mierzy Bożą, nie swoją doskonałość i w miarę szczęścia tego, niech na siłę swoją nie liczy, och bo zawiódłby się okropnie. W żadnym względzie szczęście nie jest świętością, chociaż zupełna nawet ludzka świętość jaśnieje niem prawie zawsze. Kochani, jestem niby z wami i odpowiadam na to co mówicie. Czy zgadłam? Czy niestosownie wmieszałam się do rozmowy waszej? Gdyby to, gdyby wpaść do was niespodzianie. Mamcia i Kicia zamyślają wyruszyć wkrótce, ale na ile się ten zamiar da uskutecznić, Bóg jeden wie, bo Kicia bardzo chorowała całą zimę, tak że podobno trzy razy tylko na dni kilka wstała.

. . . .

. . . .

Do zobaczenia, kochani, drodzy, mili. Wszyscy was błogosławią, całują i Nisia tuli się do was jak do własnych.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Gniazdko [1]), 8 maja 1844.

Zaleciał głos od was, kochani i roztwarło się serce ku wam, jak kwiatek do rosy, czy jak usta do pocałunku, czy jak

---

[1]) Kuryłówka.

ana co krwią płacze, nie wiem. Wszystko razem, bo jakże łowa wasze do was podobne. Dziś jakbym tylko co pożegnała się z wami. Widzę wyraz twarzy, ruchy, widzę was tak asno, wyraźnie, tak wiem czego wam trzeba od Boga i od udzi. Czemu wy nas także widzieć nie możecie? Biedni ludzie, chodzim tu wszyscy głusi i ślepi, tęsknim za sobą i nawołujem się wspólnie. Ot, czasem bliziusieńko siebie stoim, że ciśniem się piersiami, a nic o sobie nie wiemy i hukamy ak w stepie. Jeśli czasem komu Bóg daje słowo jak moc czarnoksięską, iż widomym się staje dla braci, on sam niemniej ślepy i smutny, bo zdaje mu się że sam.

O smutno i ludziom, którym dano było ujrzeć żywy obraz Boga, nie już owinięty w powszedniość jak w zagadkę, ale w jasnej prawdzie ducha jego; bo on jak zaklęty w wiecznej samotności swojej duma tylko i płacze patrząc w niebo i w siebie, w miłość i w boleść i wiecznie powtarza: Zapomnieli, choć otaczają go i tulą i jak dzieci za matką, słowa jego Bogu powtarzają. Kiedyż się już ukończy ta męka, mój drogi, kochany? Kiedyż i ty przejrzysz? Kiedy łzy na czole i rękach poczujesz? Wierz mi, bardzo trzeba kochać aby w śmiertelnem omdleniu szukać kogo sercem jak ciebie szukają i oczy ku niemu zwrócić i dłonie ku niemu wyciągnąć. Czy zwątpisz o miłości, jeśli aż na próg chaty miła z wieńcami nie wyjdzie? Miła, biała jak chusta do ciebie nie wstanie i wieńca dla ciebie niema, poschły jej kwiaty, chyba cierniowy, ten wprawdzie nie więdnie i święty, bo na Bożej skroni spoczywał. Nie żal się, nie żal na miłą. Ona by ci niebo przychylić rada, przystąp raczej i uklęknij, bo z ziemi podnieść się nie może i usta na czoło połóż, może jej lżej będzie, potem pomódl się w cichości.

21 czerwca.

Najmilsi, jakże dawno ta kartka zaczęta. Od tego czasu poszedł już list do was, krótki wprawdzie i w interesie tylko,

ale dostateczny na zaspokojenie was choć trochę. Wiecie przynajmniej, że nadzwyczajnego krzyża Bóg nie zesłał. Czemuż, kochani, przychodzą wieści, że serce się wasze dręczy? .... Najwyższa mądrość, znosić cierpliwie. Kochani, czemu nietylko oczy bliźnich, ale nasze własne władze nie zarówno do głębi ducha naszego sięgają? Czemu prawda obcą nam zostaje, dopóki w wyobraźni jest tylko naszej, albo w rozumie i naszą jest dopiero kiedy się z serca wyłoni? Czemu żadnej prawdy nigdy wszczepić nie można, tylko ją zasiać aby sama w sobie wzrosła w duchu, bo inaczej jedno z nim nigdy nie będzie, tak iż wędrowna prawda, jakkolwiek z uczciwością przyjęta, nigdy w nas prawa obywatelstwa nie zyska i głosu u nas niema? Nie zdarzyło się wam kiedy, że rodzima prawda jak dojrzeć w swoim czasie z ziarna Bożego i z łez, niby nowy nieznany dotąd dar, oko w oko spotka się sama z sobą zamieszkałą od dzieciństwa w rozumie i dawno już spowszedniałą. Był to jej kształt tylko, słowo, ciało, które na ducha czekało, co się w nas wyrobić miał. Otóż kochani, stało się nam to samo z wyobrażeniem cierpliwości. Ażeby je zrozumieć, trzeba było obiema oczami jasno widzieć i przekonać się całem sercem, że nawet na chwilowe rozpięcie namiotu nie masz dla nas miejsca na ziemi, że o słobodę dobijać się darmo, bo nie masz dla nas spoczynku na ziemi. A przyjść do tego przekonania trudno. Człowiek po tysiąc razy patrzy nań i tysiąc razy oczy odwraca jak od ułudy. Nie chce i nie chce mu wierzyć, bo słoboda, och! czyż to dla nas tylko? Umrzeć, własnemu szczęściu zdaje się wiele. A to jest nic, zupełnie nic, jest to tylko zburzyć ciemne, ciasne, zimne więzienie samolubstwa i pierwszy raz wolno na ziemię i niebo spojrzeć. Ale ciało nasze, żyje, w niem jeszcze po ziemsku żyjem, dla niego marzym i pragniem po ziemsku, stokroć więcej niźli dawniej dla siebie, dla niego zapamiętale dobijamy się o to nawet, cobyśmy dla siebie ze wzgardą odrzucili. Ot życie, tu na ziemi, tu po ziemsku. Aż kiedy ślepa,

bezrozumna namiętność nasza uderzy z kolei o każde niepodobieństwo jak o głaz, a częściej jak o muł, albo piasek jałowy zaświeci jej myśl nowa, że nie upośledził Bóg przecie całej ludzkości i niższą nie uczynił od pojedyńczego człowieka. Że jeśli cała ziemia i co tylko jest z niej, nie godnem jest posłużyć człowiekowi na ochłodę nawet chwilową, kiedy mu na niej znoju z czoła otrzeć nie wolno i nie wolno mu legnąć na niej, bo szatę ma białą na gody niebieskie, którą lada proch skala, jakżeby się ona oczyścić, ustroić dała na mieszkanie ludzkości. Musi ona i dla niej drogą tylko pozostać. Oczyścić puste słowo. Zdmuchnij proch do ostatka, to i ziemi nie stanie. A nie zdmuchnie go nikt bo w tej pracy od siebie zaczynać potrzeba, inaczej i źdźbła nie poruszyć. A kto sam z ziemskości się wyzuł, niebo widzi, nietylko ziemię i nie mieszkanie z niej kleić ale wyrwać z niej co prędzej bracią swoją zapragnie. Zapewne pracować koło niej niezmordowanie będzie, równać i głogi wyrywać jedynie, aby łatwiej przeszli i nie upadli w drodze. Ale rozmiłować się w tej pustyni, myślą w niej utonąć w tych jej przyszłych wdziękach, które ma nabyć pracą naszą, duchem, w niej na wieki zamieszkać, jak byśmy innej ojczyzny nie mieli, to zdrada i czy się na własną czy na wszystkich korzyść marzy, zawsze zdrada, w znaczeniu jakie temu słowu daje A.... w cudownym ustępie pamiętacie, cośmy go razem czytali? Otwórzcie książkę, znajdziecie słowo w słowo dokończenie myśli mojej. Mało kto w wieku naszym mimowolnej tej zbrodni nie popełnił. Żyjem grzesznie po ziemsku w ludzkości, dla której zdaje się nam, że wszystko wolno, dla której są, którzy mężobójstwo nawet za zasługę poczytują, bo skoro ona na miejsce Boga za cel nasz ostateczny stanęła i bałwanem się naszym, cielcem złotym stała. Obłęd zatoczył myślą naszą i wszystkie wyobrażenia świętości i dobra powtórnie nam okazał. Samolubstwem nie jest tylko miłość osoby własnej, jest to częściej upodobanie nasze w miłości ludzi czy myśli

jakiej. Samolubstwem jest każde bałwochwalstwo, każda krzywda Boża.

Szamocem się na śmierć szukając szczęścia dla ludzkości, czy dla której jej cząstki. Jak szalonym zdaje się, iż ono bezpośrednio w mocy jest naszej, tylko przez jakiś niepojęty przypadek schwycić go nie możem, dopiero tu było, teraz owdzie. Rzucać się tylko żywo a gwałtownie a ułowim go pewnie, jakże w cierpieniu usiąść spokojnie kiedy szczęście och tuż, miga w koło nas błyskawicą? Kochani, gorzka to wprawdzie godzina, w której się człowiek dowie, iż jak szczęściu własnemu i kochanych, tak i szczęściu wszystkich umrzeć potrzeba, bo go nie masz na ziemi i przez jakiś czas biedne serce szczo robyty taj dumaty, taj zdaty zabude. No krewawyt' taj bijet sia w bezkonecznyj pustci. Dopóki na wielkie zgliszcza światło Boże nie wejrzy i nie zbudzi ku zmartwychwstaniu, nie na chwałę, nie jeszcze, tylko na pracę i miłość, ale już po Bożemu, nie po ludzku i objawi nam co jest cierpliwość i co pokój. Cierpliwość, nie bierność to, ale czyn, pokój nie wytchnienie to, ale praca, bo ciężka jak każdą cnotę wyrabiać go w sobie musim. Cierpliwość, jest to wyzucie z ziemskości, na ile tylko zdolnym jest tego żywy człowiek, tak, iż nietylko własne cierpienie ale cierpienie kochanych, wszystkich nawet nie oderwie oczu jego od wiekuistej prawdy, tarcza, na której odbijają się wszystkie wpływy ziemi, jak krople deszczu na stali, która wolnym go czyni, ale zostawia wyrozumiałym i miłości pełnym, bo cierpliwość od cierpienia nie broni. Jest ona złamaniem, zwyciężeniem siebie zupełnem, a więc niewypowiedzianą siłą, ale ludziom niestraszną ani nienawistną, bo cichą i spokojną, jak wszystko co się nad doczesność wzniosło, choć z nieba idzie bo z wiary i do nieba dąży, między ludźmi jest jak w domu, bo przecie na cierpienie stworzona. Naśmiecą i nazłorzeczą jej nieraz, ale ona namiętności przetrwa wszystkie jak się oni wypalą z popiołów, które zostawią, iskrę wygrzebie i ofiarę nią na

ołtarzu Pańskim zapali. Gdzie przejdzie ochłodę i pokój zostawi i przeczucie królestwa Bożego, szczęścia jedynego na ziemi, szczęścia w poddaniu pokornem woli Bożej, choćby na stosie ognistym. Gwałtownie nic wszczynać nie będzie, ani tłumów w koło siebie zbierać i pracy jej świat nie dojrzy, tylko śladem po sobie zostawi życie. Ona jak woda. Zważ ją i rozbierz, nic w niej nie znajdziesz ni ciepła, ni pożywnych cząstek, ni ziarnka żadnego. A jednak błogosławieństwem jest ziemi, która bez niej na wieki martwą by została. Dość już ognia biednej ziemi, dość żądz straszliwych, dość gwałtu i zniszczenia. Niech zakwitnie królestwem Bożem, miłością. Czemże miłość jeśli nie ofiarą, a ostateczną zupełną ofiarą jest cierpliwość, bo nie chwilowa, ale trwała jak życie, bo nie w pewnych tylko przypadkach, ale ciągle i zawsze, bo nie na zewnątrz siły obraca, ale je zużywa na sobie. I powtarzam w myśli: najwyższą mądrością cierpliwość.

22 czerwca.

Moi wy, moi, bądźcie mi zdrowi. Jutro rzucam gniazdko i z mamcią wracam do siebie. Jak sen przeszły te dwa miesiące i wiele lat com tu przeżyła kiedyś. Co się po nich zostało? Nie doświadczenie, bo doprawdy, oprócz tego co Bóg przez kościół swój objawił, nic nie wiem, — nie łzy, bo już nie płaczę, — nie pokój, bo z grzechu otrząść się nie mogę. Patrzę na ogród, jak las dziki i ogromny co się nie zmienił, on jeden tylko, od czasu dzieciństwa mego, jakby na skamieniałą postać ducha mego w pierwszej młodości i tak mi ona znajoma, rodzima, własna, jakbym ja dziś obcą sobie była, jakby to ja dzisiejsze nie mną było, jakbym się z niem obeznać nie mogła i niby mnie ono na uwięzi trzyma surowo i zimno na mnie patrzy, a mnie pod tym wzrokiem chmurzy się i mąci w sercu, a wola zaciska w piersiach żelazną ręką i mówi: cicho, musi być pokój, choćby ci serce pękło — ale nie umrzesz — cicho.

Cicho też zwykle, choć się czasem wszystko tak zburzy, że aż zciemnieje w oczach ducha. Cicho i znów nieruchomość wróci i zawsze cicho. Alboż nie czas, trzynaście lat niedawno minęło jak pokoju się uczę. Och nie, nie tyle, to tylko tyle jak go niema, chyba Bóg wejrzy, czasem, częściej tysiąc razy niż jam warta. Jam niczego niegodna, prócz odtrącenia i zapomnienia. A jednak opieka nademną i nad mojemi i nad ludem moim. Bóg! och! cóż to za słowo? Gwiazdka w ciemnej nocy, ręka tonącemu. Kochani, nie ustawajcie w modlitwie za nami, bardzo nam jej potrzeba.

Moi wy kochani, moi wy rodzeni, czy obaczę was kiedy jeszcze? Czy nie odwykniecie wy zupełnie odemnie, dziwacznej i zimnej, jak świat mówi, a jak jeden z was myśli? Musi to tak być, kiedy się tyle ludzi na to zgadza, a tylko kilkoro inaczej mówi. To też się ani trochę nie dziwię, jak kto do mnie nie lgnie, owszem zły to już znak kiedy się kto do mnie tuli. Pewnie nic mu już na ziemi nie pozostało. Jeśli tak Bóg przeznaczył, obyście przestali mnie rozumieć i odwrócili się odemnie, obyście świat mój rzucili a wznieśli się do duchowego raju światła i pociech Bożych. Bądźcie mi od świętych myśli jak od aniołów, w każdej chwili życia nawiedzani.

Niech wam słodki będzie ranny i wieczorny pacierz, niech się serce wasze roztworzy miłością Bożą, a w Bogu i dla Boga miłością bliźnich. Niech czyn wasz każdy pokój wam w sercu zostawi, a każde słowo wasze pokój w sercu bliźnich. Niech ludno wam będzie w samotności waszej i błogo w sieroctwie, przytomnością zawsze czułą i zawsze uczoną Chrystusa naszego.

Błogosławieństwo na was, kochani. Bóg z wami, Bóg z nami. Wszyscy ile nas tu jest ogarniamy was pieszczotą, Mamcia na czele. Niech czasem dobra myśl wasza przed Bogiem padnie i na biedną Nisię.

Antosia [1]) tu jest z nami od dość już dawna nawet, nie myśli i nie mówi tylko o was, płacze za wami aż się serce kraje patrzeć. Chciałam wam posłać kartkę od niej. Ale się biedaczka nadto z różnemi rzeczami rozpisała, które lepiej aby po świecie nie chodziły. Do zobaczenia, kochani.

Nisia.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

12 lipca 1844.

Kochani, obudziłam się kiedyś z tem słowem na ustach: Na wieki. Och! nic, nic tu na ziemi na wieki nie trwa, chyba skutkiem, wynikłością swoją. Ale może na długo.

Czy i teraz jak przed czteru laty tak ciężko i zawile piszę? Wiecie, kochani, trzeba zupełnie obraną być z miłości własnej, ażeby wam te kartki posłać.

Teraz nadziwić się nie mogę, że mi się też chciało te wszystkie komunały tak obszernie rozwodzić, że mi się też chciało skarzyć na świat, choć przed sobą samą. A lekceważą i gardzą? A odtrącają od wszelkich ważniejszych spraw duchowych, jakby duch nasz nie kochał i dobra ogółu nie pragnął? A nie przyjdzie nikt lekkomyślny i światowy, aby na nas szyderstwem, a nie przyjdzie nikt poważny i mądry, aby na nas morałem jak kamieniem nie rzucił? To i dobrze, wartość nasza i pożytek w miarę poniżenia i cierpienia. Otośmy jak ziarno, zemlone na chleb. Chwała Panu.

Widzicie, kochani, lepiej dotrzymuję słowa niźli jedno tam z was, co jak na wodę puściło obietnice i nic nie przysyła, nigdy ani nawet karteczki w dowód, że żyje. Otóż macie bazgraninę moją [2]), powydzierałam z niej wiele, a jednak

---

[1]) Linowska, z domu Zaleska, siostra rodzona Bohdana.

[2]) Zapewnie powieść.

dziwne mi sprawia wrażenie pokazanie jej komu, nawet wam. Wstyd mi, bo z głowy mojej niewiele tam jest. A co jest, to tysiąc tysięcy razy powtarzam, a więc straszliwie nudne.

Kochani, ja rozumu nie mam ani trochę. Żadnej nowej strony prawdy nie wykryję nigdy, a ponieważ, jak każdy człowiek, mimowolnie myśleć muszę, skazaną jestem na wieczne powtarzanie dawno znanych rzeczy. Przykre mi wyobrażenie, że z mojej winy kilka ciężkich godzin więcej do przybycia w życiu będziecie mieli. Jedyna moja nadzieja to, że nie każecie sobie może jako powinność dojść koniecznie do końca tej rozwlekłej powieści. Wszak my dobrzy znajomi, spodziewam się i ceremonii przecie z sobą nie robimy. Ażeby was od wszelkiego skrupułu w tym względzie uwolnić, oto wam daję uroczyste pozwolenie zatrzymania się zaraz na drugiej kartce i choćby i pierwszej nie zacząć, spalić czy schować gdzieś daleko i zapomnieć na wieki wieków. I nie myślcie, że mi tem przykrość zrobicie, sumiennie wam mówię; owszem, podziękuję Bogu, że mnie uchował od dręczenia was przez całe pół dnia. Żadnym sposobem ta powiastka zająć was nie może, bo wedle was pewnie ani tak ludzie myślą, ani robią, ani kochają. A jednak nieskończona rozmaitość utworów Bożych, są nawet i do prawdy niepodobne. Nikt się na nie ani obejrzy, a one żyją, cierpią i cudem łaski Bożej zdobywają się aż na bohaterstwo nadziei zagrobowego pokoju. Są ludzie jak robaczki na polu, które bez złości depce każdy, bo się ani domyśla, że w prochu pod jego stopami coś żyje. Wiecie, że wiele trzeba odwagi, czy nie dbania już o wszystko, ażeby robaczkiem będąc, do stóp się czyich dobrowolnie zbliżyć?

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

lipca 1844.

Gwiazdka [1]) (powiastka Junci małej).

Anioł Boży ot leci; białe, czyste skrzydła woń rozsiewają. W złote ubrana kędziory, głowa jego jeszcze od spojrzenia jestestwa wiecznego się lśni. Na czarnem oku jeszcze drżąca pozostaje łezka, którą Boga o przebaczenie dla zatwardziałych prosił grzeszników. Myśli jasne, wielkie go koleją zajmowały a za każdą co się Bogu więcej podobała, promienie biły jasne.

Zatrzymał się nad brzegiem czysto płynącego Dniepru, gdzie dziewięcioletnie dziecię gorące łzy mieszało z wodą. Zlitował się Anioł Stróż nad dziecięcia boleścią, sen zbawienny na nabrzmiałe i gorące spuścił oczy, sam wziął postać widzialną i przedstawił mu się we śnie. Wziął dziecię za rączkę i słodko mu w uszka zanucił: „Tyś czysty, Bohdanie, jeszcze, i dlatego Pan ci oto przezemnie oznajmia, że jeśli chcesz, to duszkę twoją niewinną, nieskalaną, szlachetną, na skrzydełka me wezmę i razem polecim do nieba. Pomyśl co za szczęście wiecznie Boga twarz w twarz oglądać, co za rozkosz najściślej Jego wolę pełnić, co za chwała wiecznie imię Jego sławić“. Anioł zawarł usta i z miłością poglądał na Bohdana. „Polecę, och! polecę do nieba, rzekł, wznosząc rączki do anioła, zstrząsnę z siebie proch ziemski, skrzydełkami ducha wzniosę się do Boga, lecz ojczyzna, och! ojczyzna moja ziemska? Mogęż lecić ku szczęściu a ją, rodaków, zostawić w smutku, w żałobie? O nie, nie, duszką czystą śpiewać Panu ku chwale będę, ramieniem bronić tę, którą kocham nad wszystko ziem-

---

[1]) Pani Konstancya Rzewuska w liście z 12 października 1844 r. przesyłając tę powiastkę, pisze: „Posyłam wam powiastkę Junci, którąm przepisała, w razie, że gdyby ta zginęła, żebyście z drugiego egzemplarza skorzystać mogli“.

skie, ojczyznę. Dokonam ofiary, pozostanę na ziemi. A kiedyś, kiedyś, kiedy już wiele dla niej uczynię, z tobą się wzniosę do góry". — „Lecz, rzekł anioł w duchu, rad z ofiary dziecięcia, czyż potrafisz czystość zachować pomiędzy tylu zepsutemi? Ciebie trzymać się będę, odpowiedział Bohdan, a pewnie nie zbłądzę". — „Błogosławię cię więc, rzekł anioł, na krótką lecz ciernistą drogę, bo będziesz prorokiem Pana. Oto wstawaj, a idź i przepowiadaj narodowi twemu, że ojczyzna, którąś tyle ukochał, i nad którą płakałeś gdym do ciebie leciał, powstanie, lecz wtedy tylko gdy wszyscy za wielkie swe grzechy pokutować będą, i ty, Bohdanie, choć czysty, choć niewinny, cierpieć będziesz i im więcej będą się cierpienia duszy twej mnożyć, tem bliżej będziesz chwili, w której do góry polecim. Ja będę strzedz ciebie od grzechu". Anioł znikł, Bohdan ze snu powstał, lecz w sercu i pamięci jego tkwiły wszystkie słowa niebieskiego posłańca. I czuł, że się z nim coś dziwnego stało. Wiedział bowiem wszystko co nastąpić miało. Błogie uczucie wstąpiło w serce jego i rzucił się na kolana, oblicze ku ziemi schylając i dziękując Panu, iż go z pomiędzy tylu na tak wielkie wybrał dzieło. Twarz mu się rozjaśniła, uchwycił w rękę zieloną nadziei gałązkę i w sercu dziecięcia była nadzieja. Wierzył mocno, że powstanie ojczyzna, lecz razem uczuł, iż on tego widzieć nie będzie, bo Pan mu kazał był tylko przez pokutę naród do tego dzieła przygotować. Smutno mu się z tej przyczyny zrobiło i zalał się łzami, bo dotąd zdało mu się, iż za ojczyznę zginie. Wypiastował, wypieścił był tę myśl i gorzko mu było się z nią rozstawać. Puścił się więc Bohdan w świat, młody z laską w ręku, z torbą na plecach i możnaby go za żebrzące wziąć dziecko, gdyby nie wyniosłość czoła i oczy, co choć żywe, choć dziecinne, jakby się w przyszłość wpatrywały. I chodził i wołał na ludy i tkliwemi słowami prosił: „porzućcie grzech, pokutujcie, pokutujcie. Oto Pan mnie posłał, by wam oznajmić, że choćeście bardzo Go obrazili, On gotów wam przeba-

:yć i oddać wolność. Powróćcie się tylko do Niego. Czyż ·am tak trudno kochać Tego, co wam oto tyle dobrego wiadczy?“ A anioł leciał za nim i nastręczał mu słowa, które ıówić miał i przygotowywał serca słuchaczów, Bohdan znał rzyszłość i wiedział jakie jego ojczyznę, nim czas wybawiela nadejdzie, srogie czekają nieszczęścia. Wiedział i cierpiał ad tem, i im więcej się godziny kary przybliżały, tem więej on bolał. Serce mu się krajało, łzy gorące spadały na po.czki. Zdawało mu się, iż jest na Kaukazie, broniąc się przeiwko Góralom, to znów, iż w śniegach Sybiru konał z rodziną swoją, to znów, iż w obcym kraju się tuła, próżno po:ieszenia szukając. Nikt boleści jego nie zrozumie, nie umie)ocieszyć słowy ojczystemi. Duch jego zmęczonym był, lecz ednak, jednak nie upadł i czystym pozostał, bo anioł czuwał ıad nim. Tak przeżył Bohdan długie lata nim znów anioł, jak kiedyś sen głęboki spuścił na niego. We śnie mu się ukazał i rzekł: Bohdanie, ciężkie było i trudne twoje powołanie. Tyś je wypełnił i czystym się zostałeś. Chodź teraz ze mną odebrać nagrodę. I anioł włożył mu na skronie wieniec radości, który aniołki zwykle prorokom dają i oto dziecię zabłysło czystymi promieniami i wzniosło się wraz z aniołem na powietrze i głosik dziecięcy jakby śpiew ptasząt w powietrzu wyrzekł: Dzięki ci, dzięki, aniele, za twą straż około duszy mojej, teraz stanę się gwiazdką i promienie łaskawości Bożej, które na mnie padną i oświecą mnie, będę spuszczać na mój kraj. I ucichło wszystko i dwa aniołki znikły i noc cienie swe zaczęła rozpościerać, a gwiazdka nowa łaskawości Bożej promienie na ojczyznę naszą zlewając, zalśniła w oddaleniu.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Z domu [1]), 19 lipca 1844.

Dziś cały ranek przerzucałam dawne papiery. Od powrotu mego jeszczem się nie była widziała z tymi skarbami moimi, z różnymi listami od kochanych jeszcze z dzieciństwa i późniejszemi, które skoro nic nie zawierają coby światu pokazać trudno, składam i chowam starannie na stare lata. Wyjeżdżając, po naszemu zakopałam była w ziemi, aby się im co nie stało i dziś dopiero wydobyłam. Czytałam, czytałam długo i wasze listy [2]) i innych i rozpłakało mi się serce. Boże mój, Boże, kochani, jakże to długo przed śmiercią wszystko opuszcza. Mówią, że związki z dzieciństwa nie rozrywają się nigdy. Nieprawda, każdemu inny rodzaj piękności zaświeci, każdy za swojem pogoni i nie zejdą się już nigdy. Mówią, że na te przynajmniej liczyć można, które wspólność przekonania skojarzyła, które wiele niedobrych lat przetrwały i to nieprawda. Przekonania zostaną, tylko ogień, życie wygaśnie, że się już nikogo nie potrzebuje, że przyjaciel to ciężar, zawada, nuda. Tak mało miałam wybranych i tych już tylu ubyło. Nie licząc mamci, ledwie troje ludzi na świecie dziś są dla mnie jak dawniej. Mój Józefie drogi, niech ci Bóg płaci, tyś jeden z tych trojga. Nie rozerwało się z tamtemi, ale rozwiązało, to może gorzej. Jedno wyjechało na długo i wróciło innym człowiekiem, drugie świat pokochało i dla niego o wszystkiem zapomniało. U innego czucie w łzach i samotności zgasło. Czy się na co innego zwróciło? Dawne jak popiół, w pamiątce zostało już przeżyte.

Ludzie, jak te zwierzęta dzikie, o których w legendach mówią: dopóki cierpią, leżą w grocie pustelnika, opatrzyć rany pozwalają i łaszą się koło niego, dobrze im, mniej boli, mniej samotnie i zdaje się już, że kochają. Niechże się rany

[1]) Tahańcza.

[2]) Te listy nie dały się odszukać i zostały prawdopodobnie zniszczone.

przygoją, nic ich nie wstrzyma, pójdą w świat i już nie wrócą do pustelnika. To też pustelnik nie liczy na nich, tylko na Boga w niebiesiech. Czy uważaliście, że nic człowieka nie zmienia, ni lata, ni przygody, ni smutki, tylko mniej lub więcej miłości, a zresztą wszystko tylko na tyle, na ile na miłość jego wpływa.

Uważaliście jak zupełnie niepodobny do siebie kto kochał i już nie kocha, nietylko dla biednego opuszczonego stworzenia, ale naprawdę sam w istocie swojej. Nie myślcie abym się skarzyć chciała. Zawsze i teraz nieskończenie więcej mnie kochają, niż jam warta. Zapłakało coś we mnie bo chociaż czułam oddawna jak po jednemu ubywają mi moi, nie widziałam tak wyraźnie jak to dawniej bywało. Jakie życie gorzało tam gdzie dziś próżń? Nie o mnie idzie, kochani. Co mnie? Jam zakonnica, puściej czy ludniej w życiu, smutniej czy znośniej, mniejsza. Dla mnie już raz drugi ziemia nie zazieleni, dawno sierota po wszelkiej piękności ziemskiej, błąkam się jakby po śmierci i cierpię. Cierpię za siebie i drugich, a ulga, której sama wyprosić sobie nie mogę, jeśli kto wymodli, przychodzi mi tylko bezpośrednio od Boga. Cóż mnie? Ach! smutno, smutno za tych co kochali i życiem żyli a teraz, kochali nie mnie jedną, nie mnie wybraną, ale stałam na ich drodze i wychyliła się miłość ich na mnie jak na wielu, wielu, bo obfita była i niestała o kroplę. A teraz wyschła dla mnie jak dla wszystkich.

Kochani, czemu niektórzy, bardzo małe gronko, a w niem i ja jestem, nie uczestniczy przywileju człowieczeństwa, niczego nie zapomina i nigdy się nie zmienia? Prawda, jam już umarła, ależ oni żyją, a może i oni pomarli. Może dlatego miłości we mnie nikt nie rozumie i każdy prawie mówi: zimna. Kochani, nikomu za złe nie mam, kto mnie kochać przestał, bo okropnież to chłód śmierci czuć w uścisku. Okropnie kiedy upior kocha. Najdrożsi, najmilsi, wszyscy moi, moi, odstąpcie odemnie, bo darmo kocham, szczęścia ni odrobiny

pociechy nie przyniosę nikomu. Odstąpcie aby was chłód grobu nie zdrętwił. Ależ dlatego kochać nie przestawajcie. Są na świecie i święci i dobrzy i piękni duchem jak anieli pańscy. Zgarną się do was skoro miłość przeczują. Szczęście nie kiedy nas kochają, ale kiedy my kochamy. Nie zamierajcież duchem. Gdybyście wiedzieli jak wy piękni kiedy kochani. Gdybyście wiedzieli jak was kochają, jak wy potrzebni biednym ludziom i biednej gwiazdce, jak się ona zwraca i ciągnie ku wam i woła m y ł o s t y n y, och! miłości jak jałmużny. A co dacie, skarbem się wam stanie, życie wam da i piękność i będziecie jak po niebowzięciu.

Kochani, kochani, jakaż wieść od was, padłam na kolana, nie wiem prosząc czy dziękując, będzie więc ktoś co przygarnie sieroctwo twoje, co pokocha i popieści w każdej chwili życia. Wielki Bóg, wielki! Nie mogę dziś pisać, tylko wam oto błogosławieństwo poszlę, błogosławieństwo niegodnej grzesznicy. Ale jakiegoż Bóg nie przyjmie, błogosławieństwo na ciebie i twoją, z głębi serca, ze łzami błogosławieństwo.

A więc, o ożenieniu Bohusia nic jeszcze pewnego. Ależ bo to sarneczka dzika, jeszcze nim kartka wasza przyszła, po pierwszej chwili przestrachu, niepokoju, radości co to aż dech zabija, pomyślałam sobie, nie uwierzę, aż się stanie, bo on wie co to wolność znaczy i niezależność tylko od Boga. Z waszej kartki możnaby sądzić, że jeszcze bardzo daleko do tego.

Jeśli kochasz, nie wahając chwilki, padnij jak długi przed Bogiem, podziękuj całą siłą ducha twego i idź, ale jeśli to tylko ożenienie z rozwagi, że dobrze by mieć przyjaciółkę na starość, któraby długie i szare dnie samotności cierpliwie znosić pomagała, chmurne usposobienie twoje rozpogadzała, rodzinne strony przypominała mową pieszczoną, toż długo trzeba patrzeć na przyszłą towarzyszkę, długo, długo, dopóki duch jej nie stanie się dla ciebie przeźroczystym jak duch Józefa. inaczej szaleństwo, bo miłość tylko jasno widzi i jak promień

kroplę rosy na wskróś odrazu przenika; rozum omackiem dochodzić prawdy musi. Miłość niedostatek każdy nadmiarem swoim zastąpi, niemoc pokrzepi, plamkę każdą łzami zmyje, rozum sądzi sprawiedliwością, a gdzie sprawiedliwość tylko tam miecz, musi więc przyjaciel zupełnie być doskonałym, aby jemu nigdy z pochwy nie wybłysnął. Kochając, ty dajesz, ty zapełniasz, przerabiasz w siebie, ty, jak rzeka wezbrana, zabierasz łąki i nikt już nie ujrzy czem one były, czem one kwitły kiedyś, tylko biały łotacz rozkołysze się wkrótce na fali, jakby tam wody od wieków płynęły. Ale kiedy nie ty kochasz, tyś potrzebny, ubogi, szukaj wielkiego bogacza, coby cię w blask miłości swej odziewał, przypatrz się zbliska każdemu z jego skarbów. Czy złoto czyste, czy tkanki miękkie i czy ich starczy na życie całe, bo swego zasobu nie masz, a na dwoje stać musi? Skarga nasz powiada: gdzie Sakrament i cnota, tam zawsze bywa miłość. Prawda, ale toby się tylko mówić powinno do tych, którzy wskutek nierozwagi, nieszczęścia lub dobrowolnej ofiary już przyjęli krzyż, cięższy niż go Bóg zwykle ludzkim ramionom daje. Wtedy i ja wierzę, że wytrwanie, cierpliwość, radość w uczuciu, że się na nich wola Boża spełnia, słodycz ściągają zawsze cudowną łaskę miłości, która im ku wielkiemu podziwieniu świata, dla którego się to wiecznie niepojętą zagadką zostaje, życie im rozświeca i łatwiejszem do zniesienia czyni. Ale w nadzieję tego cudu miłosierdzia, obarczać się nad siły, nie jestże to kusić Boga? Mówię to wszystko na przypadek gdyby ci, uchowaj Boże, przyszła rozpaczna myśl, rzucić się w tę przepaść co ją mariage de convenance zowią, na które po polsku i nazwiska niema, chociaż tego nieszczęścia więcej u nas niż gdziekolwiek. Całem sercem, całą duszą pragnę dla ciebie wytchnienia już z samotności, ukojenia tej wiecznej twojej tęsknoty za przytuleniem, pieszczotą, wyrozumieniem, za pewnością w każdej chwili, że jest ktoś co kocha i nigdy nie porzuci, że jest gdzie głowę skłonić i choćby zapłakać, nie już tylko

na kamieniu posadzki kościelnej. Ach! biedni wy, biedni, kochani moi, dlatego na pierwszą wieść o ożenieniu Bohusia, tak gorąco podziękowałam Bogu. Wy pewnie kochani jak mało ludzi na ziemi. Ale cóż potem? Wy tego nie czujecie i to nie wy jedni tylko ślepi w tym względzie. Jeden z was szczególnie niema wiary w tych, co go kochają i ja mu się nie dziwię, bo i ja mam skłonność do tej choroby serca, potrzebuje koniecznie aby go ktoś tulił, cieszył, koił; takie to delikatne, czułe na wszystko co boli, tak się to już spłakało, tak zziębło, biedne na świecie jak dzieciç porzucone samo jedne w chacie przez matkę co na pańszczyźnie pod biczem oprawcy. Biedni wy, biedni, któż was otuli, chustami ogarnie, łezki zcałuje, w rączki zziębłe nachucha, na kolanach pokój da i dumkę do snu zanuci? Kiedy już z płaczu i nędzy odejdą dzieciątka nasze? Kto ich wyniańczy, wyhoduje na lepszy świat nasze aniołki? Boże mój, Boże! A jeśli brata anioła zeszle wam Bóg w miłosierdziu swojem, nie wyrywajcież się dzieci od niego, wy dobrzy i pobożni, przeczujecie go pewno, wyciągnijcież tylko rączki, a on popieści, że i już poczujecie jak głodno i chłodno na ziemi. Kochani, kochani, jak mi się płakać chce.

Z domu, 16 listopada 1844.

Jak mi nie na rękę, kochani, że się zepsuł dotychczasowy porządek. Zamiast listu co miesiąc, od trzech ledwieście jeden mieli. Nie bardzo w tem moja wina. Zaszły były przeszkody, o których pisać trudno. A że znikły mi po części, znowu zaczynam maczkiem do was pisać, moi wy, moi. Naprzód zarzucam wam ramiona w koło szyjek na przywitanie, tak już dawno nie tuliłam się do was. Moi wy, moi rodzeni, nigdy wy wiedzieć nie będziecie ani wy, ani kilkoro was jeszcze na tym świecie jak wy kochani. Aż się po zmartwychwstaniu dowiecie.

Wywiązałam się w tych czasach dopiero, z obowiązku

względem Grabowskiego[1]. Po smutnych wypadkach tegorocznych mało się gdzie wychylał z domu i spotkać go nie mogłam. Aż przecie dała mi znać Genusia[2], że przybył do niej z żoną i wyruszyłam pomimo okropnej listopadowej drogi, zamieci i słoty. Znalazłam go zmienionym bardzo. Zmizerniał, schudł, zżółkł aż żal patrzeć. Skorośmy na gawędę zostali sami, zaraz na pierwszym wstępie opowiedziałam dawną kłótnię moją z Bohdanem o niego, jak na niego powstawałam zawzięcie, jak on go bronił, jak na drugi dzień poszłam go pokornie przeprosić za niesprawiedliwe moje posądzenie przyjaciela. „Cóż mi pani tak bardzo zarzucałaś, kiedy to było jeszcze przed tegorocznem wydarzeniem?“ To samo co się tem wydarzeniem objawiło, bo duch ducha czuje. Potem powiedziałam, że uroczyście obiecałam Bohdanowi zbliżyć się pierwsza do niego. „A więc pani li tylko dla dotrzymania tej obietnicy przybyłaś?“ Nie zupełnie, jeszcze myślałam, że może pan potrzebować będziesz kogoś przychylnego, kiedy świat nasz cały powstał przeciw niemu. „A więc i przez litość?“ Nie śmiałam mu powiedzieć, że mi go żal, bo są ludzie dobrzy i pobożni, którzy przecież nie rozumieją jak to czasem za bliźniego krwawo serce boli i urażają się jak to za nich cierpi, jakby miłość mogła ubliżać komu. Niech tego nikt za przymówkę nie bierze. Nietylko na dowód, że są którzy wyrozumiewają błąd jako rzecz ludzką, a nie sądzą zawcześnie o celach, jakkolwiek użyte środki niepozwolonymi się im zdają. „Kiedy bo ja wcale nie przyznaję się do błędu, postąpiłem podług przekonania mego i sumienia“. Tu wywody co i dlaczego. Zawsze ten sam co dawniej. Wszystkie swoje stare wyobrażenia broni do upadłego, ani nawet przyznaje, aby go okoliczności zmusiły kiedy do ich przesadzenia. Wszystko przyjmuje na karb swego przekonania, bo na dnie w ostat-

[1]) Michała, przyjaciela Bohdana z lat młodych.
[2]) Proskurzyna.

nich wynikłościach, tych potępianych zasad widzi raj najcudniejszy, jak wymarzyć można. On i my cobyśmy choć w niektórych wyobrażeniach zjednoczyć się z nim chcieli, kręcim się w błędnem kole, bieżym po równoległych drogach, widzim się ciągle, ale nie spotkamy nigdy. Wymyślił sobie, a co gorzej nam, jakieś szczęście osobliwsze, wyrachowane, konwenansowe, oparł je, on taki poczciwy i kochający, na wierze martwej, która się miłością nie rozlewa, on tak szczery katolik, na wierze protestanckiej suchości, która nie budzi do życia, ale umarza w człowieku, co tylko nie jest wyrachowaniem rozumu. Wymyślił szczęście nie w jedności, ale w przedziałach, nie w miłości, ale w rozumie, w jakiemś jarzmie duchowem, chińskiem czy indyjskiem, ale pewnie nie Chrystusowem. Nie znam człowieka, któryby tak do wyobrażeń swoich nie był podobnym. To szczęście straszliwe, nieubłagane jak fatum, zamrożone, nieruchome jak wieczność Trentowskiego chce nam koniecznie narzucić. A jakże nam mieć za złe, że go żadnym sposobem nie chcem. Wolim tysiąc razy, wolim biedę.

Własne idee stanęły mu przed oczyma jak widziadła i cały świat rzeczywisty zakryty, szedł na oślep, nie wiedząc wcale co jest w koło niego, przekonany, że nic niema prócz głupstwa. Cóż dziwnego, iż uderzył się o mur, w którego istnienie nie wierzył? Niewypowiedzianie szkoda tego człowieka, bo wielkiej poczciwości ma serce, jak może na siebie całą winę ściąga, przyjaciół i znajomych co sił broni, opowiada jak mu przyganiali, kiedy się już źle stało. Dopóki ciągle żył w stosunkach z ludźmi poczciwego zdania, których od dziecka nauczył się był kochać, nieznacznie modyfikowały się jego wyobrażenia, przynajmniej ostateczności nie sięgały. Ale kiedy długie lata przetrwał wyłącznie z ludźmi swego sposobu myślenia (a nie łatwo ich wynaleźć, bo oni tu u nas pod wyliczeniem) ustała równowaga i poleciał w przepaść nieszczęśliwych konsekwencyi swego systematu. Bronić go teraz nadzwyczaj trudno, bo nie podniesiono się na niego za pojedyń-

czą czynność. Zbierała się burza przez lat trzy najmniej, w miarę jaśniejszego wykładania wyobrażeń jego, a wybuchła na rozwinięcie ostatnich wynikłości. Nie mogło stać się inaczej. W świecie umysłowym dość stał wysoko. Głośno o nas radził. Musieliśmy mu zaprzeczyć i jednym głosem zaprotestować przeciw twierdzeniom jego i życzeniom dla nas. Nie, stokroć nie, nie chcemy. Przejdzie lat kilka i ucichnie wszystko. Przypomną zasługi, dawne prace, wysiłki; przypomną, iż za błąd swój gorzko przecierpieć musiał i zwrócą się ku niemu, nie wątpię, bośmy nie mściwi ani pamiętni urazy, choćby dobrodziejstwo, którem nas obdarzyć chciano, ciężkie było jak kamień młyński.

Biedny on, biedny. Alboż to nieludzka rzecz błądzić i nadto zawierzyć sobie? Kiedy Bóg sam kierować miłością naszą nie raczy, alboż się nie zdarza, iż do usposobienia przedmiotu, miłości zastosować nie umiemy i dręczym go tylko? Czasem na śmierć umęczym. Czyż to się nawet matkom z dziećmi nie zdarza? Biedny, on biedny, bardzo cierpieć musi, znać to po nim, chociaż nie wiem, czyby się do tego chciał przyznać. Wypytywał mnie bardzo o Bohdana, o najmniejsze o nim szczegóły. Źle robi, mówił, że przed ludźmi ucieka. Potrzeba jemu koniecznie rodzinnego życia. Czemu nie żeni się? Powierzyłam mu komis do Jankowskiego, spełni go zapewne. Przez parę wieczorów gawędziliśmy, on, żona jego, Genusia i ja do drugiej w nocy. Między innemi rzeczami była mowa i o mistycyzmie [1]). Opowiadał bolesne wrażenie, jakiego doznał kiedy wkrótce po przeczytaniu kilku pisemek w tym duchu, kiedy jeszcze świeżo miał na pamięci owe fata morgana, wywołane władzą geniusza, ujrzał niespodzianie w rzeczywistości owoc tych marzeń uroczych, jak zwykle bywa, kiedy wyobraźnia służy niepohamowanej żądzy szczęścia na ziemi. Spotkał się z młodzieńcem, który zwaryował na tym punkcie

---

[1]) Towianizm.

i odgrywał na seryo parodię tego co się działo za czasów przyjścia Chrystusowego. Nie wiem czy każde powstanie kacerstwa wzbudza w wiernych tak głębokie uczucie przerażenia i politowania? Czy każde tak jasno i oczywiście jest niedorzecznością? Ale wypowiedzieć nie mogę do jakiego stopnia idzie u nas zdumienie nad niemądrością tej nauki. To też wołam na wsze strony, żeście się jej nie tknęli. Nie pojmują jak wierzyć można w religię, która do rozumu nie przemawia, bo żadnego rozbioru nie wytrzyma, ani do serca, bo chociaż ciągle o czuciu i miłości prawi, pokory w sobie nie ma ani miłosierdzia, ponieważ gwałtowne środki za godziwe uznaje i dopusty Boże nieraz bierze za natchnienia Boże, nawet jaka gra wyobraźni olśnić nie może, bo w odłamkach, piękności jakie posiada, jest tylko namiętnem, skarykaturowanem naśladowaniem obrazów, jakie przedstawiać musiał czas przejścia ze starego do nowego Zakonu. Żądza wrażeń, ta moralna choroba naszego wieku, przerobiła go na długą sztukę teatralną. On nie wyrabia ducha swego wprawdzie, nie dąży do wskazanej nam, a zawsze niedostępnej doskonałości Chrystusowej, do której jednak, ile sił, każdy zbliżać się musi, nie czuje prawdziwych wrażeń, aż w ostatnich głębinach istności swojej, owych bolów i rozkoszy dziennych ducha, który ukształca siebie, rani, ścieśnia czy rozprzestrzenia wedle Boskiego wzoru, który wie, iż koniecznością jest ta praca, bo jedyną do zbawienia drogą, który więc w tej konieczności rzeczywistość czuje niewątpliwie tak głęboko i gwałtownie, iż ciężaru tych wrażeń ledwie unieść może i skonania jak wytchnienia czeka. Wiek nasz nie skruszył siebie w pokorze, dziki, niewyrobiony w sobie, powierzchnia musiała pozostać niekształtna. Wrażeń woła, wrażeń; własnych, osobistych nie mając, któreby, pod pewnym względem, zawsze nowe były, bo do nowej indywidualności zastosowaną prawdą musi szukać odbicia na zamalowanie próżni, która mu wnętrze wyjada. Stawia więc wyobraźnię swoją w stosunku do wszystkiego

co było, bo tego co jest w próżni swej nie czuje, a co będzie nie do człowieka należy. I cieszy się, smuci czy unosi obcem sobie, martwem odbiciem, jakby własnem życiem sam przed sobą komedye wygrywa i na tyle tylko prawdziwie czuje, na ile się aktor na teatrze rolą swoją przeniknąć zdoła. A że ciężka to praca wmawianie w siebie obcego życia, biedna wyobraźnia na ulgę, od przedmiotu do przedmiotu przechodzić musi, dlatego tak mało jest jednolitości w życiu pokoleń dzisiejszych, to jest europejskich, bo u nas, chwała Bogu, rzeczywistość uchowała większą liczbę od tej zarazy.

Wyczerpawszy całą prawie przeszłość, przyszło z kolei aż do czasu przyjścia Chrystusowego i trzeba przyznać, że nieźle wybrano. Błogo być musiało tym, którzy na przyjście zbawienia Izraela oczekiwali. Błogie uniesienie tych, co nań patrzali, błogi obraz Jana św., każącego na puszczy i wskazującego na boskiego młodziana. Znudzonym umysłom, jako przyjemnej podniety do czynnego życia, zachciało się zachwycenia. Dogadzała nowa myśl pysze godnością nadludzką, w jaką przyodziewa pierwszych zwolenników trzeciego Zakonu i nietyle odpowiadała pojęciom o piękności, jak zadość czyniła temu, czego wielce żąda od piękności, ziemskiego szczęścia, ćwiczenia sił umysłu, jako warunku koniecznego do szczęścia, wzruszenia, wzruszenia i jeszcze wzruszenia. Nie idzie im wcale o pewność, czy ta piękność jest istotnie świetnością prawdy, to jest czy istnieje rzeczywiście, na tyle im rzeczywistości potrzeba, na ile złudzenia w dekoracyach teatralnych. Zupełnie jak dzieci kiedy grają w króla i królowę. Oj! Rychter może sam nie wiedział jak straszliwą prawdę zawiera jego utwór, a raczej jego kopia z natury Roquelaure. Po ludzku mówiąc, na to zdziecinnienie umysłu, na ten sen na jawie, jedne jest tylko lekarstwo: dotkliwa rzeczywistość, któraby wstrząsła do głębi, ze snu zbudziła, siły męskie wywołała i nauczyła różnicy między marą a prawdą. Oby Bóg dobry łagodniejszego sposobu użyć raczył na ocucenie ich ze snu śmierci. Wielka nę-

dza ludzka, większa niż ją mowa ludzka wyrazić umie, większa niż ją rozum ludzki pojąć może.

3 grudnia.

Chciałabym, kochani, przenieść duszki wasze w nasze gronko, abyście choć troszkę pożyli z nami. Ależ to życie tak jednostajne, tak zupełnie prawie bez zdarzeń, że nie wiedzieć jak je wam opisać. Dla okropnej drogi, a bardziej dlatego że sami odwiedzamy mało, a więc i nas nie odwiedzają, nikt prawie nie zajrzy do nas. Smutno między nami, bo Irenka coraz opada na siłach.

Dzięki Panu, że go czysty duch chwalić będzie wkrótce bez trwogi i boleści. Wiem, że więcej zasługi kiedy kto walczy długo, ale też niebezpieczeństwa dużo, upadek tak łatwy. Smutno, smutno, a za ten smutek i zapłaty nawet nigdy nie będzie ani mnie, ani moim, bo on już nie zasługą.

Ot dusza chora.... Do Chrystusa nie śmiem oczu podnieść, bo nie podniosłam serca, nie umiem kochać w nędzy mojej i tylko płaczę jak mi kto o nim wspomni, a na same wyobrażenie ziemi, drżę i głowę tracę, bo na niej grzech mój, grzech moich, grzech wszystkich. Boję się jej do szaleństwa, bo do szaleństwa słabość moja, którą czuję, jak istotę moją czuję. Bóg cuda czyni, to cała pociecha, cała nadzieja, cała siła moja. Radabym tę kartkę na czemś wesołem skończyć. Ale nie mogę, najmilsi. Może przyszły list weselszy będzie. Radość, wszak to dar Ducha św. Oby się obficie na was zlewał, kochani, najmilsi. Bóg z wami na zawsze.

5 grudnia.

Już wyjeżdża ta kartka. Czemu ja nie literka, nie słówko? Aby mnie ona przyjęła, zawinęła sobą, osłoniła, żeby nikt nie widział i zaniosła do was! Ach do was, do was, raz tylko pocałować w czołka, pogłaskać po sercach, pokołysać duszki i znów do domu, na pracę.

Bądźcie zdrowi i spokojni, łaska Pańska z wami, moi
vy, moi rodzeni.

Nisia.

Do pani Konstancyi Rzewuskiej.

Pielawa, 30 lipca 1844.

Chociaż bardzo niepewno, czy trafi do ciebie ta kartka, ›osyłam ją, Kiciu, ot tak sobie. Niech ciebie szuka po Warzawie, a kto wie, może i wynajdzie moją biedaczkę i zanieie jej wieść o gniazdku.

Przyszła wiadomość, że Bohdan się żeni, i za moich :zasów kleiło się to i ja namawiałam jak mogłam, ale nie ıwierzę aż się stanie, bo to z Bohdanem nie tak jak z każdym. Serce mi o niego drży. Boże natchnij.

Ufajmy, Bóg dobry i wie co robi. Pokój tobie i łaska Jego na wieki. Pisz, zmiłuj się, i ja będę pisać, skoro gdzieś ›ewnie adresować będę mogła.

Bóg z tobą, gołąbko moja słodka.

Dyźcia.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich [1]).

1 września 1844.

Czemu, ty mój Józefie drogi, cierpisz na ciele i duszy? Za grzechy? Nauczonam Pismem świętem, aby tak nie myśleć. Wszyscy wprawdzie grzeszym i św. człowiek Hiob grzeszył pewnie także, a jednak strofował Pan przyjaciół jego, że cierpienia, które mu zsełał brali za karę. Wszak kara większa lub mniejsza w miarę żalu i miłości Bożej. Któż wie-

---

[1]) W tym liście Józef jest zwanym Justynką, a Bohdan Zosią.

dzieć zdoła od kiedy ci już może Bóg odpuścił wszystko? A teraz może się tylko wije twój wieniec jasności na przyszłe gody Pańskie? Co lepsze z dwojga, czy dumanie, jeśli ono łaską, czy cierpienie, jeśli karą za grzechy? Osobliwsze pytanie. Jużci zawsze cierpienie, bo i kara za grzechy doczesna tu na ziemi nieocenioną jest łaską. Oczyszcza, udoskonala, wrota niebios otwiera i mniej niebezpieczna niż owa druga łaska, z którą ostrożnie trzeba jak z ogniem. Wszystko dobre co z Bożej ręki, ale co boli, najlepsze, bo to szczególne przybranie Chrystusa, znamie Jego. Nieprawdaż, Józefie? Otóż i zadanie rozwiązane.

A Bohdan co znów cichutko, a tak rzewnie grucha? „Śpiewną towarzyszkę, z którą dłoń w dłoni przeigrałem tyle milszych lat, pożegnałem jeśli nie bez żalu, to doprawdy bez wyrzekań". O najmilszy! Co ci się marzy? Myślisz, że porwały się struny dlatego, że milczą. A kiedyż to one na rozkaz twój brzmiały nie czekając Ducha z wysokości? Duch wieje kiedy i gdzie chce, ale niedosłyszeć go można. Może u ciebie nadto gwaru, może świat wdarł się do świątyni twojej i jękiem napełnił, w którym bez pomocy Ducha pieśni chwały wyrozumieć nie umiesz? W Imię Ojca, Syna i Ducha Świętego, niech łudzące mary znikomości, które rzeczywistością zwą ludzie, rozdmuchną się na wspomnienie prawdy Bożej, jasnej, wiekuistej. Niech serce twoje rozwinie się na przestrzenie, jak step nasz bez końca, niech porośnie miękką, świeżą, gościnną trawką ku spoczynkowi znużonym, a pod nią niezliczone pokłady szczątków tego, co walczyło i cierpiało, niech śpią spokojnie, czekając ranka zmartwychwstania i cisza niech padnie jak mrok na mogiły, a uczujesz jak przeciąga „Duch niby lekki wietrzyk" i zaszumią wszystkie władze twoje, jak niegdyś. Ciszy, tylko ciszy, cisza to po chwilowem zapomnieniu w wirze świata, opamiętanie się, że Duch jest i nie myśląc, nie rozumując z mocy samego przypomnienia tego wzbicie się nad

ziemią, w krainę pustą, równą, gdzie wszystko już w przeszłości niby po śmierci, na spotkanie Ducha, bo wiedzę mamy wrodzoną jakiemi drogami on wieje po otchłani. Tym, którzy nucą ziemskie rozkosze i katusze, przerwie się pieśń, kiedy zużyje się narzędzie tych rozkoszy i katuszy, cała ta budowa nasza nerwów i zmysłów. Ale pieśń prawdy Bożej wieczną jest jak Duch, który ją pojął. Dawid nie w młodości, ani w szczęściu śpiewał, ani nawet w uczuciu prawości swojej. On śpiewał, o ziemię rzucony w starości swojej, syt wzgardy siebie i zniewagi od swoich; tylko mu prawda Boża lśniła i on ku niej miłością się wznosił i śpiewał, bo każdy śpiewa kto kocha. Och! drogi, kochany, popatrzno tylko jak Bóg nasz piękny. A zaśpiewasz mimowolnie, jak mimowolnie promieni woda, kiedy słońce na nią wyjrzy.

Trzeba kartkę wysłać, bądźcie mi zdrowi, kochani. Bądźcie błogosławieni, do serc waszych tuli się biedna

Nisia.

W przyszłym da Bóg liście, odpowiedź będzie dalsza na różne wasze pytania. Cała gwiazdka posyła wam stąd serdeczne pozdrowienia, posyła wam biedna w tym ciemnym ludzkich uczuć i posępnym lesie, bije się w nim nieraz, radaby już wynurzyć się zeń na światłość Bożą. Ale trudno. Bóg niech będzie z nią i modlitwa wasza.

Do pani Konstancyi Rzewuskiej.

Tahańcza, 6 października 1844.

Nie rozumiem, Kostunieczko moja, gdzie się listy moje podziewają, że ich nie odbierasz? Trzeci wysyłam do Berlina, twoje dochodzą wiernie, co nie przeszkadza, że między jednym a drugim, nieraz dość na niepokój czasu zostaje, bo cichutko szepce coś w myśli, była zdrowa kiedy pisała, ale to

już temu dwa tygodnie. Jednak, Kiciu, widok drobnych literek twoich na kopercie zawsze powodem jest wdzięcznego podniesienia ducha do tego Boga, który nas karmi tą pociechą jak ptaszki ziarnkami. Teraz bardziej niż kiedy czekam kartki od ciebie, bo to jesień, zła pora dla ciebie i zaczynałaś mniej się dobrze mieć niż w lecie. Broń Boże choroby, nikogo z twoich koło ciebie.

Jabym cię chciała, Kiciu, choć na chwilkę przenieść do Pielawy[1]), żeby się twoje oczki ucieszyły widokiem moich kwiatków. Tyle ich mam, że się nie zmieściły w oranżeryi, przy bawialnym pokoju i nową ogromną oranżeryę buduje już mamcia opodal, za ogromną. Niewypowiedzianie przykre mi to robi wrażenie, kiedy przyjemność dla mnie kosztuje tyle pracy i czasu biednym ludziom. Wiem, że się im, chwała Bogu, krzywda tem nie dzieje, jednak czemuś nieznośnie boli, że im znój na to, żebym ja kwiatki miała. Nie śmiem w oczy im popatrzyć, kiedy pracują. Ale zaczęli bezemnie, potem mamcia się tem zajęła i czy chciałam czy nie, stanęła oranżerya. Niech Kicia nie myśli, że same mam fiołki jak przeszłej zimy. Ogromne pomarańczowe drzewa przybyły mi z za Dniepru, gaik z nich mam, poczciwe fikusy, które biedy i niewygody moje w starej chatce dzieliły, wzięłam do bawialnego pokoju, bo ciepło lubią i ładnie z nimi. Zresztą, Kiciu, nic się nie zmieniło w domku od twego wyjazdu. Klasztorna cisza i praca zawsze panują, jam tylko od jakiegoś czasu wygnanka. Daryusz i August wyruszyli na wybory do Kijowa, przy ojcu ich niema nikogo, muszę więc te trzy a może cztery tygodnie przy nim przepędzić. Ten pierwszy zupełnie mi przypomniał lata mego mieszkania w Tahańczy, bo całe towarzystwo moje zostało w Pielawie[1]). Ranek, jak dawniej, do mnie należy, bo ojciec na przejażdżce. Po obiedzie, cała na gawędce albo czytaniu z nim. O 9-ej się rozchodzim i długi wieczór mój samotny

---

[1]) Majątek pani Poniatowskiej.

przy wiecznie palącym się tym samym kominku. Wiele to życia mego, myśl po myśli, modlitwa po modlitwie, upłynęło w tych nocnych godzinach. Owoce po niem nie zostało nikomu, poszło w jakąś przepaść bezdenną, może tylko powiększyć ciężar win moich.

Kostuniu, co ty porabiasz w zimnym, prozaicznym i filozoficzno-spekulacyjnym Berlinie? Czy mniej się nudzisz niż ja się kiedyś nudziłam? Czy masz znajomych i jacy? Czy wiele na powietrze wychodzisz? Czy haftujesz, czy czytasz? Na twojém miejscu wiesz cobym robiła? Wzięłabym metra rysunku, przez zimę jest czasu dość na pracę i skorzystać mogłabyś wiele, bo dar masz, tylko użyć go trzeba.

Moja najmilsza, proszę mi, jak to dzieci sobie donoszą, godzina po godzinie, skrupulatnie opowiedzieć co Kicia robi: wstaje o tej godzinie, ubiera się drżąc z zimna, wychodzi, wraca, je, śpi, duma, pracuje, odwiedza, zwiedza, słowem wszystko do najdrobniejszych, najbłahszych szczegółów.

Coby ci o nas powiedzieć, Kiciu? Odechciewa się gawędzić na wspomnienie, że listy gdzieś przepadają. Wprawdzie niewiele jest o czem, bo u nas, na tyle rozmaitości na ile jej mamy w śnie, czy marzeniu, bo to nawet co boli, wiecznie jedno a jedno. Grzech i skutki jego, u siebie, czy u drugich, zewnętrzny świat nasz zawsze jednaki.

Bądź zdrowa, najmilsza, droga, niech cię anieli Pańscy strzegą i otaczają zawsze.

Całuję moją duszkę, moją gołąbkę, moją kotkę, miłą, słodką.

Dyźcia.

Do pani Konstancyi Rzewuskiej.

Pielawa [1]), 12 października 1844.

Dużo dziś pisałam i późno już bardzo. Jednak ponieważ chcę, aby Kicia co tygodnia regularnie wieści o nas miała, przecieram oczki i każę im się otwierać koniecznie i spać nie chcieć, póki choć słówka nie nabazgrzę. Wszyscy zdrowi... U nas, Kiciu, tak jak ci się o nas śniło. Cicho, spokojnie, może tylko nie tak nadzwyczajnie, przyjemnie, chociaż dla mnie nieraz błogie są chwile, kiedy Bóg czasem pokój zeszle, albo kiedy się w pracy tu w mojej Pielawie kochanej zapomnę.

Na 9-ty [2]) byliśmy wszyscy w Tahańczy, ja z całem mojem młodem gronkiem, które przy odgłosie moich i Leokadyi mazurów, wyskakiwało do jedenastej tak ochoczo i zapamiętale, żem aż wstrzymywać musiała ten szlachetny zapał. Moje gronko nahasawszy się do woli, pokotem na sianie przykrytem dywanem, jak za ojców bywało, wyspało się do rana. A teraz mi znowu po celkach szyje, pracuje. Mamcia, Junia, Irenka w Tahańczy zastępują mnie przy ojcu Daryusza, a ja przybiegłam na dzionek do siebie.

Dobranoc, Kiciu, gołąbko moja, anieli święci niech cię strzegą i w snach i na jawie, cieszą, pokrzepiają, uświęcają. Twoja

Dyzia.

Do pani Konstancyi Rzewuskiej.

Pielawa, 19 października 1844.

O ty, niecnoto, a kto ci pozwolił starszą siostrę zdradliwie podchodzić, intrygować po świecie z rozmaitemi ludźmi,

[1]) Majątek pani Dyonizyi Poniatowskiej.
[2]) Dzień imienin pani D. Poniatowskiej.

żeby moją czarną sukienkę biedaczkę koniecznie paradną zastąpić? Z czyjej to łaski, jedną razą, ku podziwieniu Tahańczy i Stepaniec, okażę się od stóp do głowy przybrana, jak *peau d'âne*, w szaty *couleur de l'air du temps?* A widzisz, poznałam kto mnie tego figla wypłatał, choć ty z Cezią mówicie, że ja się nigdy niczego nie domyślę.

Moja Kiciu, moja Kiciu, co się tobie marzy? Na co mnie te stroje? Dziś wróciłam z wycieczki w świat, która mi się ledwie pięć, sześć razy do roku zdarza. I na czemże ona zależy? U sąsiadki przy kominku przesiedzim dzień albo półtora, we dwie albo we trzy, poszczebioczem i koniec, i znowu każda u siebie na tygodnie i miesiące się zasklepia. Jeśli Bóg pozwoli, tej zimy ani się wychylę z zakątka, pełno mam zajęcia w domu, daj tylko Boże podołać, a na świecie nieprzydatnam nikomu. Czemuż mam się po nim darmo kręcić? A więc cóż ja ze strojami zrobię? Zmiłuj się, tego mi więcej nie rób, bo, jak cię kocham, nieznoszonych mnóstwo mam różnych rzeczy i tylko pozleża się wszystko.

Możeś ciekawa, gdzie to ja tak po świecie latałam. Muszę ci powiedzieć. Trzeba naprzód, żebyś wiedziała, że naszych panów wszystkich jak wymiótł, żywego ducha w całej okolicy, wszyscy na wyborach w Kijowie. Korzystam więc z tej sposobnej pory, kiedy Darcia niema, a zatem sam jeden w domu zostawać nie będzie i objeżdżam sąsiadki, już po raz ostatni na całą zimę. Zaczęłam objażdżkę od Stepaniec, gdzie zastałam Kazimierza Dachowskiego; młodziutki chłopczyk tylko co z uniwersytetu, zdaje się, że będzie poczciwego coś z niego. Potem wyprawiłam się do Montrezorowej, gdzie ile mogłam, wstrzymywałam Dudzię w zapędzie ku Wschodowi.

Trzecia moja wizyta była u Genowefy (Proskurzyny). Nadjechała do niej Jankowska i we trzy obsiadłyśmy kominek. Byłoż tam świergotanie jak kiedy wróble zlecą się w dzień zimowy na jaką strzechę, było o dawnych czasach, o Antonowie, o Rudymsele i panu podkomorzym, o olbrzymach dre-

wnianych i czerwonym roku, bo Jankowska z naszego gniazda; potem było o Bohdanie, Genusia o szczegóły się wypytywała. Gwarzyłyśmy długo, aż ciężko na sercu się zrobiło, jakby grzech dręczył, ale Kiciu, czy można się tak mylić. Pomieszałaś, nie Józef żeni się, ale Bohdan. Jeszcze co pobałamucisz? Czy odebrałaś i czy oddałaś list mój do niego?

Adieu, koteczko, dobranoc. Niech duszkę Bóg błogosławi i od złego chroni. Niech da duszce pokój i radość Ducha św.

Dyzia.

Do pani Konstancyi Rzewuskiej.

Tahańcza, 26 października 1844.

Co się z tobą dzieje, Kostunieczko moja najmilsza, może przypadkowo tylko na której poczcie późnią się twoje listy. Dręczy jednak kiedy kilka i kilkanaście dni minie bez wieści o tobie, tembardziej, że coraz chmurniejszy i zimniejszy listopad, pewnie nie najlepszy wpływ wywiera na twoje biedne zdrowie. Czy wychodzisz na powietrze? Czy możesz piechotą duże spacery odbywać?

Ja, Kiciu, zasklepiona już dość dawno w Tahańczy, nie dlatego żebym chora była, ale czemuś i na myśl nie przychodzi, że wyjść czy wyjechać można. Ani wrodzona ruchawość, ani nadzieja przyjemności jakiej nie wypędza z domu; potrzeby, chwała Bogu, niema. Dotąd całe gronko nasze mieszkało w Tahańczy. Teraz wszyscy wrócili do Pielawy i koło ojca Daryusza zostało tylko nas troje, Karol, Daryusz i ja. Oczywiście czytamy wieczorami, resztę dnia on jeździ. Daryusz gospodaruje albo mu towarzyszy, a ja próżnuję, próżnuję ciałem i duszą. Zdaje mi się czasem, żem w jakiejś otchłani, nie myślę, nie czuję, zatarła się nawet pamięć życia. Nie wiem czy to grzeszny stan nieczynności, ostudzenia, czy może łaska Boża, wypoczynek na dalszą podróż, aż słowo jakieś czy

wspomnienie obudzi i znów snuje się ta sama nić znana, co się i ze śmiercią nie przerwie, bo przyszłe życie to skutek obecnego.

Dziś miałam wielką pociechę. Natrafiłam na te słowa w św. Teresie: „Il me semble que de tous les services que nous pouvons rendre à Dieu, il n'y en a point qu'il estime tant que de lui acquérir des âmes par l'ardeur des piéres qu'il nous inspire de lui adresser pour obtenir leur conversion". Kicia się może zaśmieje ze mnie i powie, a któż nie wie, że za bliźnich dobrze się modlić. Prawda, Kiciu, że ja to niby wiedziałam; ale są dnie, w których potrzebuję koniecznie aby mi ktoś święty prawdy Boże powtórzył, bo niedowierzam pamięci mojej i rozumowi w sposobie rozumienia ich. Ażeby jaka czynność zasługą się nam stała, trzeba aby jej pobudką jedynie była miłość Boża. Czy ja wiem czym zaczęła choć odrobinkę Boga mego kochać? Takam niesilna przeciw złemu, tak nie pracuję na chwałę jego, tak obowiązków nie spełniam, gdzież mogę myśleć, że Chrystusa kocham. Jestem jak roślina przyrosła do ziemi, którą łaska jak wicher nieraz miota, ale wyrwać z ziemi nie może, bo na to własnej woli potrzeba, którąby z łaski korzystać nie zaniedbała. A wola u mnie martwa. Kiciu, niech się kto przez miłosierdzie pomodli za nas, za mnie i resztę grzesznych na ziemi. Niech już nie znieważamy, nie biczujemy Chrystusa. Przepraszam duszkę za tę spowiedź, była nasunęła się jak mgła czarna na serce, to się napisało.

Adieu, moja siostrzyczko, moja własna rodzona, niech opieka Boża będzie z tobą. Ani ty wiesz, jakbym ci wszystkiego złego oszczędzić chciała. Są ludzie nawet kochani, dla których się nie boję cierpienia. a inni o których drżę za najmniejszą im boleścią. Ty i mamcia z tych liczby jesteście. Moja, Bóg z tobą. Kocha ciebie i pieści.

Dyzcia.

Do pani Konstancyi Rzewuskiej.

Pielawa, 5 listopada 1844.

Serce mnie boli, najmilsza moja Kiciu, że się przerwał dotychczasowy porządek i że cały przeszły tydzień przeszedł bez listu od Dyzci. Nie z mojej to winy, moja koteczko, bo w domu mnie nie było. Pomimo okropnej drogi, zamieci, przeraźliwego zimna, jeździłam na dni parę do Gruszowa [1], bo mi znać dano, że Grabowscy tam przybyli. Miałam do nich interes dość ważny i chcąc czy niechcąc, odbyłam tę podróż. Zastałam Baniewską, której dzieci tylko co koklusz odbyły i Grabowskiej dzieci kaszlały także, na ile się znam, złym sposobem. Pojechali też na Korsuń Tryczla się radzić, a mnie aż mrowie przechodzi, tak się boję, aby się koklusz do mego domku nie dobrał, bo dzieci jak maku, a niektóre bardzo małe. Nie wystawisz sobie co się u nas dzieje. Zupełnie, jak to mówią, że i pieska z domu nie wygonić i to z małemi przerwami oddawna już. Nikt też nie wyjeżdża oprócz mnie, która wedle mego przeznaczenia na wszelką słotę i bezdroż muszę być w podróży. Dziś jednak tak straszliwie dmucha, że nie miałam odwagi puścić się do Tahańczy. Pragnę niewypowiedzianie osiedzieć się w domu, trzeba mi nawet tego koniecznie, a wyrwać się na trochę dłużej z Tahańczy nie mogę. Biedny ojciec Daryusza tak sam jeden, tak się nudzi, tak splinom podlega, że zostawić go rozmyślaniom i wspomnieniom niepodobieństwo. Wzdycham za Cezarostwem, którzyby może zluzowali nas przez jakiś czas. Przepraszam, Kiciu, że cię temi kondolencyami nudzę, ale mi dziś tak zimno, tak zwinęłam się przed tą popielatą pogodą, że mi się nic pożądańszem nie zdaje jak cichutkie siedzenie w domu. I czemuś pisać mi się nie chce, może dlatego, że wszystkie cztery łapki zmarzły i myśleć nie chce, choć ogień

[1]) Majątek pani Genowefy Proskury.

na kominku, i nic nie chce tylko kaprysować jak Maryleczka. Żeby ty wiedziała jak moim biednym nowoposadzonym drzewkom zimno, jak drżą przed oknem, a wpuścić ich do ciepłego pokoju nie mogę.

A ty, co ty porabiasz, mój kwiatku, przesadzony także? Czy bardzo tam w Berlinie obco i zimno? Czy bardzo samotnie, moja ty ptaszynko? Czy nie gorzej, duszka moja chora? Dla mnie twoje listy zawsze za krótkie, moja, a ty długich pisać nie możesz, najprzód dlatego, że to zmęczenie wielkie dla ciebie, a potem, że karteczkami wielu obdzielać musisz. Adieu, kończę, bom dziś nieznośna jak szarobury dzień. Adieu, Kiciu, jedynaczko, którą kocham zawsze, czy ładna czy brzydka pogoda na niebie i w duszy.

Adieu, Bóg i łaska Jego z tobą.

Dyzcia.

Do Bohdana Zaleskiego [1]).

Z domu, 15 stycznia 1845.

Martwo u mnie jakby i w przyrodzeniu było, gdyby wichrom pod grzechem Bóg wiać zabronił, a jak przez duszę, pomimo zakazu, przelecą czasem po dawnemu, ciężko po nich i ciemno jakby przekleństwo zostało. Do niczego ręki ściągnąć nie śmiem. Słowo zachęty dla drugich, coby grzeszne nie było, szukam i szukam w sercu i znaleźć nie mogę, nie wiem co robić na świecie. O niebie wiele wiem, wiele, ale droga do niego tu przez ziemię znikła mi gdzieś z oczu, tylko klasztorną rozumiem. Już nawet nie tęsknię, ani płaczę jak dawniej. Zawsze mi ruchomo, tylko czasem niby rozpalone żelazo przytuli się do serca, rzucę się mimowolnie, bez pamięci, boli czas jakiś, potem znowu martwo jak kiedyś, tylko

---

[1]) Pod adresem pani Konstancyi Rzewuskiej.

trudniej obudzić. A mamcia biedna, któraby się zagryzła, gdyby prawdę o mnie wiedziała, ciągle powtarza: pisz, jakby to nakazać można. Na lenistwo, na skrupuły składa to, że mi się niechce i martwi się. Aby ją zaspokoić trochę, zaczęłam znowu niby to jakąś powieść. Nigdy nie wypowiem co to dla mnie za pańszczyzna. Żegnam się siadając do stolika i gorąco proszę Matki Boskiej, abym nic złego lub przeciwko wierze naszej nie pisząc, potrafiła jednak zapełnić jakie parę kartek mamci na zabawkę wieczorną, bo zwykle kładąc się spać pyta, czy jest co gotowego i nie lubi kiedy niema co przeczytać, tym sposobem bazgrzę i bazgrzę coś bez treści ni związku. Cała moja nadzieja, iż jak sułtanka w tysiąc i jednej nocy, zawsze do jutra koniec będę mogła odkładać, aby nigdy do druku nie przyszło. Darujcie, kochani, że was drobniutką biedą moją zajmuję. Komuż się poskarzę jeśli nie wam.

22 stycznia 1845.

Gdyby o was więcej trochę wiedzieć niż to, że żyjecie. Czy błogo wam czasem w samotności waszej? Czy natchnienie nawiedza? Na jakim wy szczeblu między niebem a ziemią? Czemu ja nie święta i jak Jakób na kamieniu, usnąć nie mogę aby to dojrzeć? Nie wie duch mój gdzie pójść aby was spotkać. Zawsze u Chrystusa prawda. Ale i tam różne są krainy bliżej i dalej. Jedni głośno na chwałę mu śpiewają, drudzy ochoczo owieczki mu zganiają, inni zwolna doń ciągną pokaleczonemi stopami, innych nie słychać ani widać, i on jeden wie o nich, tak w proch przypadli milcząc, rzuciwszy u nóg jego pomarłe dzieci swoje. Gdzie wy? Gdzie wy, rodzeni moi? Tęskni serce moje za wami i pocieszyć się po was nie może, jak się nigdy jeszcze po niczem nie pocieszyło i zapomnieć o was nie może, jak jeszcze nigdy nic nie zapomniało bo wiecznego złączenia u Chrystusa pragnie, pragnie bez końca. Ale pobiedz do was tu na ziemi nie śmiem żądać, bo wielu płacze i wielu błądzi. Nie czas spoczynkowi. I ja pła-

czę i ja błądzę, gdyby dla mnie i dla moich litość czyja uprosiła łaskę u Pana. Wszak tyle w życiu modliłam za bliźnich.

Wyprawiam 23 stycznia 1845 po naszemu; dziś, kochani moi, napisałam była dla was kartkę o dość ważnej rzeczy, którą chciało mi się koniecznie abyście wiedzieli. Ale owa cnota, o której utrzymują, że św. Franciszek Salezy mawiał: nie wiem co mi ona zrobiła, ale jej nie lubię, powiedziała: spal zaraz i zostały tylko popioły po niej. Czas już niema co innego pisać, bo to dzień pocztowy. Nie na rękę, mi to bo kochani, drodzy, odbierzecie list z tak daleka, a w nim nic, biedni wy, biedni, kochani, własni, rodzeni. Żal mi tego białego papiera, który do was nie zapisany idzie. A byłoby go czem zapełnić. Zapełniam pocałunkiem mamcinym zwyczajem.

Bóg z wami, pokój i radość Jego. Jak ja was kocham, moi rodzeni.

Nisia.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Z domu, 28 stycznia 1845.

Kochani, kochani, kto nie wie co dumka, nie wie co życie. Co to w niej za siła co umarłych wskrzesza. Uważaliście jak we krwi płynie gorąco, że ją w każdej czuć kropelce, jak w sercu na wskróś boli aż mdło, jak głowę niby woń upaja, że oczy na nie patrzeć nie mogą tylko w nią, w jej świat, co nieprawda że minął, nieprawda, nieprawda, dopóki kochamy nieprawda, a jak kochamy, sami nie wiemy, bo to przepaść bez dna. Czy tą miłością rozgrzejem kiedy innych aby ślepoty pozbyli? Czy tej miłości pokorną pieszczotę uczuje kiedy najukochańszy? Mniejsza, gdyby ją niezrozumiał i podeptał byle mu posłużyła, ale czy mu się zda kiedy na co? Czy serce tylko wypali i życie łzami wysączy darmo? Czy prawda, że

tak zupełna niemoc nasza? Alboć u Pana nic uprosić nie można? Wszak marzeń moich szalenie nie narzucam woli Jego. Między jego darami nie wybieram samowolnie. Wola rozumienia mego stopiła się dawno w miłości, co wszystkie inne ogarnia. Niech będzie dobro nie podług mnie, ale podług Pana, bo on lepiej zna od nas czego nam potrzeba, piękności pragnę najukochańszemu tak wzniosłej, jak miłość moja głęboka, czystości tak niepokalanej, jak bolesne uczucie niegodności mojej. Za pochodnię w oku, jasnowidzenia przyszłości tam w niebie i pokoju tak wiele, ile trosk i ciemności było mi w życiu, bo kocham naprawdę sercem i nie na krótką chwilkę chcę dobra najukochańszemu, ale na wieki. Wiara nie marzenie, ale rzeczywistość, pragnę całą istnością moją najukochańszego i gwiazdki mojej w niebie nietylko na ziemi.

Marzyć mówią szczęście. Marzyć i cóż marzyć? Jak oko w step przedemną równy, milczący, tonie bezmyślny duch mój w otchłani. Ażeby marzyć, punktu oparcia potrzeba, a otchłań dna niema. Step światuborców droga, na nim przechadzał się gniew Boga. I biedne człowiecze serce namiętności jak światoburców droga i na nim przechadzał się gniew Boga i powysypywał ślady, że je i łzy nie spłuczą. Łzy? Alboż one siłą? Że w złudzeniu zdają się nam niby roztworzeniem, niby zniszczeniem naszem, wierzym, że wiele mogą, że jeśli płyną toż dla wielkiego przeznaczenia, a owoc ich wiekami nieprzeżyty zostanie. Gdzie tam? Step nie zasiany nie rozbuja kłosem, choć rosa co nocy nań padnie, tylko porosną kwiaty i trawy różnobarwne, różnowzore, krasne i giętkie, powiewne jak fala, ku skwarnemu słońcu błysną dni kilka i poschną, a chleba z nich dzieciom Bożym nie będzie. Łzami popłyną myśli, przejrzą się w nich bracia po łzach i sami rozmiłują i rozżałują w sobie i dlatego jak dni ich przejdą, prawdy jak chleba nie zostawią po sobie i myśli ich w łzach powstałe, staną się jak zwiędła trawa, co tylko gadom na schronienie służy. Łzy, to błąd i niemoc jak serce, z którego

płyną, boleść to należność nasza rodzima, boleść — to my, nie potężniejsza więc od nas, nic nie sprawi i nic nie zbuduje, darmo rwie nam ducha, darmo, darmo. Slozy szczastia ne poprawlat i nie policzy, nie odpłaci je nikt, bo one niegodne tylko zapomnienia. I nieskończonej tej nędzy ulitował się Bóg i zstąpił na ziemię sam i zapłakał nie sobie, ale Ojcu w niebiesiech i ludziom dla Ojca, zapłakał całą istnością człowieczą, sercem, myślą, łzami i krwią aż skonał i stał się cud. W zoranem boleścią, pustem sercu człowieka leżało ziarno i moc daną była łzom jego, aby mu wzrostu dawały. Teraz każdemu z nas, niech sumienie świadczy czy darmo cierpi czy nie. Czy w obrzydzeniu złego, pokutne łzy nasze ziarno zlewają by wzrosło ku niebu? Czy ziarno marnieje, a bujają kąkole, bławatki i osty, śliczne one nam wprawdzie i ślicznie nam świszcze w nie wicher stepowy, bo duch nasz je poznał, one własne nasze. Ależ biada, biada kto wieniec z nich sobie uplecie, kto dzikiem kwieciem skroń sobie przystroi. Biada, kto w łasce się nie odrodzi, a za rodzimem czuciem się chyli. Biada, kto sobie nie umarł, kto stworzenia Bogu nie poświęcił na skinienie Jego. Biada, kto wie, a nie pełni. Marna boleść i daremne łzy jego, daremne, daremne. Boże, zmiłuj się nad nami.

8 marca 1845.

Biedna kartka leżała tak długo, oto doczeka się przeznaczenia swego i pójdzie do was. Jeśli tak późno, kochani moi, winna temu niemoc ciała i nieporównanie więcej, niemoc duszy. Co to zdarzeń przeszło od tego czasu! Co też się widziało, ile się ich przeczuło! Ile razy zwinęło się biedne serce jak listek papieru na ogniu, że na spopielatym znać wszystko co pisane było, ale dmuchnąć to się rozleci. A ja do was, kochani, nie mogę pisać jak do wszystkich. Z wami jest to niby spowiedź, przy której muszę w głąb siebie spojrzeć. A wierzcie, rzadko się na to odważam, bo się przetwo-

rzyć chcę zupełnie, na lepszą, do niepoznania inną Nisię i boję się sama się sobie przypomnieć. Wiedziałam, że przez Brzezinę [1]) pieszczoszkę wieści o nas macie, że wam różne bazgraniny moje posela, za co nawet połajaną została, bo na co wam znać wszystkie drobniutkie opiłki złego, które z życia lecieć codziennie muszą. Z daleka każda drobnostka straszną się zdaje i dręczy, choć złe już minęło. A jeszcze, tyle nas jest, to i tych opiłek chmura, którzy między swojemi w tysiącach żyjem, przywykliśmy do tego ciągłego ruchu, co dnia jednego spokojności na marzenia nie zostawia. Wszelkiego rodzaju nędze i boleści, dobrodziejstwa niespodziewane, znowu trwogi, uroczyste chwile konania, modlitwy, prace, kłopoty nikną jedne po drugich bez przerwy i każde tylko przechodząc niby kreskę na sercu zostawia, znak niestarty i zawsze pokój, chyba jakaś ułuda zawieje z młodości co przeszła, zamdli nad oczyma, aż zciemnieją na rzeczywistość i pomsta Boża zgryzotą wpije się w piersi, jak wąż co nie umiera, potem splacze się długo, długo zmodli, burza i znów cicho. Przywykłym do pokutniczego życia waszego na pustyni od lat tylu, trudno już może i zrozumieć to nieustanne zajęcie nie w świecie, bo u nas światu niema, ale z ludźmi. Zdaje mi się, że nas, których widzieliście zawsze między obcemi, to jest wolnych i nie mających ręki do czego przyłożyć, ani wyobrażacie sobie w domowym naszym wirze. Zacisze nasze samotność znaczy, że z obcych nikogo latami czasem nie widzim, ale rojami żyjem. Miesiące mijają, a książki niema czasu wziąść do ręki. Tęskno czasem do spoczynku, ale to złudzenie, tyle razy doświadczyłam prawdy, w którą dawniej wierzyć nie chciałam, że jedyne szczęście co wierne człowiekowi zostaje, to praca, trudna też chwila do przeżycia, kiedy i ona opuszcza. Kiedy niemoc przykuwa i pracą odganiać nie daje myśli co się nad nami pastwi, nie daje miłości wychylić z serca staraniem

---

[1]) Konstancya Rzewuska.

i usługą tylko samej w sobie wypalać się każe do śmierci, bez wątpienia przyszłoby szaleństwo, gdyby nie modlitwa, gdyby nie czuła ojcowska opieka co wszystko przewidziała, na wszystko wiernym swoim zostawiła leki, co nauczyła, że wszystko w korzyść kochanym pójść może, nawet męka bezczynności, bo jak każdą inną mękę w cichej cierpliwości dać ją Panu można na okup. Marzenie nie pomaga, marzyć nie można, bo kiedy kto długie lata grzeszył, długie lata miłował nadto, jak nie pod niebem miłować niewolno, tak, że miłością swoją Bożą wolę zniewolić i koniecznie błogosławieństwa doczesnego uprosić chciał. (Tylko najukochańszego myślałam, że tak miłować można, ale niewolno, nad wszystko wola święta Boża). Bóg mu za karę, nawet po nawróceniu, po zgodzeniu się z wolą Jego świętą, jakąby ona nie była w teraźniejszości i przyszłości, nie objawia widoków swoich nadzieją, tylko nieraz w ciemnej próżni porzuca, że ślepo za rozkazem jego iść musi rozumem, nie wiedząc gdzie dąży, aby dowiódł, iż bezwarunkowo i nad wszystko go kocha i ufa bez miary. Trudniej kochać po Bożemu niż po ludzku, trudniej kochać w prawdzie niż w złudzeniu, trudniej w rzeczywistej, ziemskiej, wiecznej niepewności o jutro, niż w szalonej wierze, iż budować można na wieczność. Trwanie do skończenia dni dane jest tylko Kościołowi Bożemu. Kto wierzy z kościołem, iż owoce dzieł naszych wieczności sięgają, ten prawdziwie miłuje, bo gwoli owoców tylko pracuje, to jest gwoli chwały Bożej i zbawienia bliźnich i praca jego straconą nie będzie, chociażby ludzkim oczom zdawać się mogło, iż ziemskiego celu swego nie dopięła. Ale kto w wieczność dzieła swego wierzy, temu dzieło nie środkiem jest, lecz celem, miłuje dzieło nie dla wyższej woli z pobudki, której powstało, lecz ze względu jedynie na piękność jego. Własną pracę w tej piękności miłuje, nie Bogu i bliźnim, lecz sobie w niej służy i marność nadziei jego objawić się musi. Kochani, na co nam wiedzieć czy zejdzie zboże? Dość, że ziarno rzucać kazano.

14 marca 1845.

Na koniec, na koniec niech już ta kartka idzie do was, kochani. Własni rodzeni moi, jak ona was zastanie? Czy zdrowych, czy spokojnych? Czy radośnych w Panu, u którego boleść nawet dobrodziejstwem. Czy płaczących? Och! nie płaczcie, nie płaczcie, kochani. Niema za czem, ani czego, bo co dobre nie zaginie, chyba jak ziarno posiane zamrze, by kłosem się odrodzić. Nie płaczcie, bo Pan dobry wdowi grosz przyjmuje.

Samotnicy, pokutnicy, obciążeni bolem pokoleń, wam droga otwarta do stóp Chrystusowych. Wywalczyliście ją sobie równą i prostą, boście omamieniu góry nad sobą wziąść nie dali, boście światło nad błyskotę ziemskich obietnic przełożyli, kochanych dla Chrystusa opuścili. Szczęśliwi, błogosławieni, módlcie się za nas.

Na czołach waszych pocałowanie pokoju i miłości w Chrystusie składa.

Nisia.

Do pani Konstancyi Rzewuskiej.

Pielawa, 14 maja 1845.

Chociaż już późno, muszę ci, Kicio, choć kilka słówek posłać, bo tamtej poczty wyręczyła mnie mamcia, a ty pewnie już myślisz, żem bardzo chora. Troszkę niedomagałam przez czas jakiś, ale mi już lepiej i pierwszych sił zaraz używam, aby na ciebie z góry napaść. A kto naszym kochanym [1]) powiedział, że mnie pierś boli i oni kochani dręczą się tysiąc razy więcej niż to warto? Na cóż tyle zgryzoty zawczesnej, która im tylko resztę dobrej myśli wyjada? Niech się kochani moi nie martwią. Wszystko dobre co Bóg da, wszystko miło-

---

[1]) Józefowi i Bohdanowi Zaleskim.

sierne w porównaniu win moich. Bądźcie więc spokojni, widzicie piszę i robotę robię, choć to z prawej strony, a z początku nie mogłam. Oczywiste polepszenie. Smutne mi niezmiernie wasze udręczenie, wyrzucam je sobie, bo większe stokroć niż moje cierpienie i wyrzucam je sobie, jakbym je kłamała przed wami. Proszę nie myśleć, że leżę. Owszem, zawszem ubrana i gości przyjmuję i trudnię się jak zwykle.

Juńcia [1]) tu została, mało co już niższa odemnie, prosta, szczupła jak Boży dzień, czyta ani ją oderwać ni do muzyki, ni do rozmowy, ni do jakiegobądź zatrudnienia. Ni głowa, w której już po naszemu nerw boli, ni oczy już starczyć nie mogą, ona bez ruchu, bez mowy, czyta i czyta, bo jak rybka bez wody, tak ona nie swoja, skoro na chwilę wyjdzie z książkowego swego świata. Dziwne na mnie robi wrażenie ten mój Doppelgänger. Zupełnie ja lat temu czternaście; to życie tak oderwane od otaczającej rzeczywistości, ta ślepota na wszystko, oprócz na abstrakcye, to zamieszkanie od niemowlęctwa w jasnym jakimś świecie, gdzie granic niema żadnych, gdzie wszystko nieskończone, a jednak wszystko się mieści z prawa jedynie różnicy natury wyobrażeń, a wszystko czyste, wzniosłe, uroczyste, bo niby od doczesności wolne w pierwiastkowym swoim przed wcieleniem stanie myśli, niby jeszcze z tego świata nic na ziemię nie zstąpiło, nic się w pracy nie sponiewierało, nic upadkiem nie skalało, tylko zdaje mi się, że Juncia dłużej dzieckiem odemnie. Ona dotąd patrzy i czuje, ale nic do siebie ani do nikogo nie stosuje. Żyje jak kwiatek w świetle słonecznem, pusta też, nieraz swawolna. Jam prawie nie zaznała pustoty i śmiechu dziecinnego, może dlatego, że z wielkiego dzieciństwa pozostało mi kilka wrażeń strasznego cierpienia, które nic później zatrzeć nie zdołało, które przymusiły do zwrotu na siebie, do uczucia indywidual-

---

[1]) Iwanowska, siostra pani Dyonizyi Poniatowskiej i pani Konstancyi Rzewuskiej.

ności. Świat duchowy nie był to dla mnie piękny obraz tylko, jak nim jest dotąd dla Junci; było to, na przejrzystym Oceanie wieczności, żywe odbicie rzeczywistości ziemskiej, którą tam jedynie widzieć umiałam, w istocie jej doczesnej, prochem pokrytej, pomimo wszelkich moich usiłowań. a co więcej doświadczeń, nigdym jej dojrzeć nie potrafiła. Marzyłam też zawsze sercem, nigdy wyobraźnią i życie moje, obfite w boleści rozmaitego rodzaju, było niby długą zmorą serca. Strach przypomnieć, co to ja już w wieku Juni, widziałam prawd na tym czarnoksięskiem zwierciedle wieczności? Gdyby też choć jedne złudzenie, nic się nie ostało, przed jego światłem, ze wszystkiego co ludziom barwi i kwieci, choć trochę, tę ostrą drogę żywota i zasługi nawet niemam, że do niczego chciwej ręki nie ściągnęłam. Stało mi się ono tak gorzkiem doświadczeniem, że jak trucizną z nikim się niem nie dzielę. Ale za to co piękne w tem zwierciedle, piękne na wieki, bez skazy, bez zmiany i przesytu się nie boi i mgłą się nie rozwieje i zgryzoty, śmierci po sobie nie zostawi, tylko nadzieją przewodzi aż do stóp Chrystusowych, gdzie pokój.

Pierwsza młodość Juni i moja tak bardzo do siebie podobne, obaczysz, Kiciu, jak życie nasze różne będzie. Szczęśliwsze ma usposobienie odemnie. U niej żywo będzie, gwałtownie, nieopatrznie. Ale skoro burza minie, śladu po niej nie zostanie, jak fala w pogodę, jasna będzie jej dusza. Tak u Świętych bywa, tak i u niej będzie, bo nic tak zbytecznie nie ukocha, aby w razie nieszczęścia rozsypała się jej istota, rozłożyła się na zawsze jak ciało po śmierci. Ciało zmartwychwstanie kiedyś. A dusza czy zmartwychwstanie? O nie, Bóg ją sądzić będzie wedle stanu, w jakim do niego przyjdzie, nie wedle początku, ale wedle końca życia. Anieli Pańscy, coście nie zgrzeszyli nigdy, módlcie się za mną grzeszną. Miałam, Kiciu, słówko tylko napisać i to na prędce, aż tu druga już kartka i żebyż to czego dobrego.

Przepraszam, Kiciu, duszko jedyna, poszedł wzrok w prze-

szłość i nie chciał odrazu wrócić. A tu już tak późno, dobranoc Kiciu, niech cię wszyscy błogosławieni Pańscy od złego chronią ciebie i twoich i naszych na Wschodzie i Zachodzie, Bóg z Tobą!

Dyzcia.

Do pani Konstancyi Rzewuskiej.

Tahańcza, 22 maja 1845.

Klęknij i pomódl się, Kostuniu. Biedny stary ojciec Daryusza [1]) już w Bogu. Ubyła pomoc i podpora wielu, ubył dzieciom cel życia. Pisałam ci już dawniej, że coraz się miał gorzej, coraz słabł na siłach, aleśmy jeszcze nadzieję mieli cieszenia się nim przez lata, tembardziej, że do ostatka chodził i wyjeżdżał. Wszyscy synowie, Cezarowa i ja byliśmy w Tahańczy i on codzień rozmawiał z nami, tylko mniej mu czytano niż dawniej. Bardziej niż kiedy pobożnym się zrobił, miłosiernym, łagodnym, dziękował służącym co staranie o nim mieli i w ciągłej był obawie czy komu natrętnym nie jest. Powtarzał, że radby już prędko umarł, bo nie może przemódz na sobie aby nie grzeszył, a nie chciałby Boga obrażać, że zdziecinnieć się boi i cierpieć bardzo. I stało się, Kiciu, wedle życzeń jego, bo najprzytomniejszy umysł i zdrowy sąd o wszystkiem i pamięć miał do końca. Nie cierpiał nic prawie, spowiadał się w ciągu choroby. W wilię śmierci wyszedł na galeryę i wszyscy tam z nim byliśmy, bo tego dnia nie wyjeżdżał na spacer; nazajutrz ubrał się rano, długo bardzo się modlił, potem do niego zeszli się synowie i obcy nawet na kawę, potem paląc lulkę, zapytał Augusta czy napisał co mu był kazał, przyniósł papiery August i kazał sobie przeczytać całe rozporządzenie pogrzebu, przy którym zapis ubogim podyktowany przed rokiem,

---

[1]) Józef Poniatowski.

ale w którym przed dwoma dniami pododawał różne artykuły i położono go przed nim do podpisania, kiedy znużenie uczuł. „Idźcie sobie już trochę, bo usnę przed spacerem“. — „A kiedy pan pułkownik się kładzie, to się z nim pożegnam, powiedział ktoś z gości, proszę mego syna pobłogosławić“. — „Teraz bądźcież zdrowi“ i za wszystkiemi jak odchodzili, znak krzyża świętego zrobił. Został tylko Maurycy, który przy nim jak niańka był dzień i noc i jeszcze parę osób, aby go na łóżko przeprowadzić, tylko co głowę na poduszki skłonił, szepnął, „uduszę się“, podniósł go Maurycy w górę, wyleciał Józef Żółkiewski po święconą wodę, ledwie nią był czas pokropić, jeszcze Maurycy ręki z pod pleców nie wyciągnął, kiedy go już nie było. Bez cierpienia usnął prawie, dwóch minut nie trwało konanie. Kiedyśmy z Józefem wbiegły, już tchu nie było, leżał z wyrazem pokoju na twarzy jak święty. Zapewne zlitował się Bóg nad nim i przyjął do przybytków swoich. Rzecz to niewypowiedziana i rzadko widziana, jak wieśniacy i ubodzy płaczą za nim. Po śmierci jego dopiero poznać można było, jak szeroki był zakres jego dobroczynnego wpływu. Co to za ilość drobnej szlachty, którą on, w całem znaczeniu tego słowa, osierocił. A biedniż chłopi. Wszak to przez sześćdziesiąt lat innych ludzi z nich porobił, jak zaczął powtarzać, że ulepszać, udoskonalać wtenczas tylko skutecznie można, kiedy nadmiar mają dobra i zbytek zamiłują. Tak, Kiciu, jak sama wiesz, ani podobna Tahańcza do reszty Ukrainy. Dostatek jakiego ani widać nigdzie i wyższe nierównie rozwinięcie umysłowe. To też głęboko czują swoją stratę, jak żeby oni nie kochali tego co wierzył i głośno wyznawał, iż aby w chwale ducha swego rozjaśnieli, trzeba im tylko mniej nędzy i ucisku. Kiedy go na trzy dni w dużym bawialnym pokoju z odkrytą twarzą postawiono, przecisnąć się nie można było przez tłum co chciał „Iszcze oden raz naszoho pana pobaczyty“, koniecznie chcieli sami przenieść go do kościoła i ledwie zdołali synowie uprzedzić ich w tej ostatniej

usłudze. Wielki to cios dla nich wszystkich pięciu, dla niektórych zerwało się ostatnie co do życia wiązało, dla których już teraz po świecie odnako błudyty, bo jak im źle będzie, niema komu i zapłakać.

Kiciu, i mnie po nim żal, tak żal, że i ze swoich i z obcych nikt nie wie. Jam cudza była, a on mnie za rodzoną przyjął, dzieckiem uwiódł mnie Bóg między nich zachmurzoną, nieufną jak niewolnicę, kryjącą myśl każdą w głąb siebie, by nikt nie dojrzał co w sercu się dzieje, jak z głazu zimną, że przylgnąć do nikogo nie mogłam. A on się zmiłował, niczem nie odstręczył, przytulił, przyhołubił, to też pewnie, och! pewnie nikt szczerzej po nim nie płacze. Brak mi jego w życiu strasznie, moja Kiciu. Oswoić się nie mogę z wyobrażeniem, że niema tu już pójść do kogo podziękować za dobrodziejstwa, niema u nóg czyich upaść, popieścić, rozweselić, niema komu usłużyć, dobrem słówkiem przypomnieć, że go ktoś kocha. Niech Panu będzie chwała, który pozwolił, aby nas widzieli i słyszeli ci co do niego poszli. Teraz on wie, że nie darmo tulił i że jakkolwiek grzeszne i złe przystało, serce moje do niego, jakby rodzone.

Wszystko w domu jak było. Krzesełko jego na miejscu swojem stoi i lampy zielone wieczorem się palą. Książki, które mu czytano, Psalmy Karpińskiego, na których zawsze się modlił, zużywane, jego ręką pozakreślane, tylko jego niema. Jawor, poczciwy stary jego pies, pamiętasz, za nic na poduszce swojej leżeć nie chce, szuka i szuka. Wszyscy chodzim jak błędni, szczególnie od kiedy przeniesiono ciało do kościoła. Jednak się nie rozjeżdżamy, bo się pogrzeb odbędzie, skoro przyjdzie pozwolenie złożenia go w sklepieniu przy żonie i pomarłych dzieciach.

Dla Daryusza, którego usposobienie tak okropnie smutne, wystaw sobie co to za przejście, jeszcze od naszego powrotu z Włoch biedny ojciec, jakby przeczuwał, że już niedługo z nim będzie, ani ukrywał całej miłości swojej dla

niego. Matka by więcej czułości i pieczołowitości okazywać nie mogła. Czasem bywało jak wie, że go znów melancholia dręczy, siedzi sam jeden w pokoju i łzami płacze staruszek, to pieści go, całuje, tłómaczy że co on sobie wyobraża to złudzenie, dowodzi, zaklina, aby mu wierzył, a potem jak widzi, że to nie pomaga, idzie i płacze. Doprawdy, Kiciu, w 85 leciach, kiedy obumierające ciało zwykle tamuje działania duszy; zachować takie serce, taką ciągłą myśl o drugich, tak jasne widzenie rzeczy, jak on je miał, to rzadkie błogosławieństwo. Kiciu, już to nie mowę mam pogrzebową, ale szczerze piszę. Do ostatniego dnia przybywało mu widocznie tak, że się z tego wszyscy budować mogli, cnót chrześcijańskich, cierpliwości, wyrozumiałości, pokory, wyrzeczenia, a nie ubywało nic z władz umysłowych, tylko na końcu powoli już bardzo i odpoczywając, mówił z osłabienia. Spodziewał się śmierci od wiosny, ze wszystkiemi się żegnał, ostatnie rozporządzenia robił. Czasem jak na dzień jeden do Pielawy wyjeżdżałam, to mówił: „Wracaj, mam nadzieję, że się jeszcze raz z tobą obaczę“. Spowiadał się, często modlił, przypominał, czy on albo jeszcze ojciec jego komu czego winien nie był i hojnie restytucye robił, gdzie tylko cień mógł być podobieństwa, iż dłużnikiem został, a oszczędził mu Bóg przerażenia i bolu i pokus konania. Skończył przygotowany, a lekko jakby nagle.

Wiesz ty jeszcze jedną stratę naszą. Ciocia Jezierska porzuciła nas także. Przeziębła, spowiadając się w kościele Berdyczowskim, dostała zapalenia kości pacierzowej, w kilka tygodni sparaliżowało ją zupełnie i przemęczywszy się czas jakiś, z zupełną przytomnością przyjęła Sakramenta i skonała. Ona także ucieczką była i pociechą całej rodziny.

Kiciu moja, ciebie już przerażać musi zawczasu każdy list odemnie. Ile to ja ci już śmierci oznajmiłam. Nie wesoło też u nas, ale spokojnie. Stań się wolo święta, pójdziem i my do nich. Oby rychło u Chrystusa się zgromadzić.

Kiciu moja droga, Bóg z tobą i z twojemi. Bodajbyś i ty 85 lat żyła, a życie twoje pełne było miłości i zasług. Przyciskam cię do piersi i całuję w czoło.

Dyzcia.

Do pani Konstancyi Rzewuskiej.

Pielawa, 15 czerwca 1845.

Późno w wieczór przypomniałam sobie, że to dziś dzień pocztowy. Przypadam więc do stolika, aby choć kilka słówek nabazgrać. Gdzie ty, Kiciu, od ostatniego listu z Berlina na wyjezdnem pisanego? Niemam nic od ciebie, a ty już dawno do swego Badenweiler dostać się musiałaś i pewnie pustelnicze życie prowadzisz, po mojemu w Schwalbach, bo po tych zakazanych mieścinkach żywego ducha zwykle niema. Ale ci może bardzo źle z tem nie będzie, lato i kraj śliczny, Ren niedaleko. Czy też tobie, Kiciu, kąpieli morskich czasem nie każą?

Wróciliśmy na mieszkanie do Pielawy; ogromnie liczna nasza osada i pracy wyżej głowy. Samych dzieci moich i na pół moich z jedną prykidką od mamci i Juncią trzynaścioro. Wystaw sobie co za gwar i bieganie i pluskanie w Rasawie. Niewiem jakim cudem wytrzymuje do tej pory galerya na górze, gdzie namiotek postawili i one tam, jak niepogoda, idą szaleć. Ale proszę wierzyć, że to tylko zrana i wieczorem. W dzień cicho, słychać muszkę jak leci. Wszyscy przy pracy, starzy, młodzi, smutni, weseli, bez wyjątku i to od rana, prócz dzieci co tylko biegają po rosie. O szóstej cały dom na nogach, bo praca to spoczynek tym, którzy się długo z marzeniem swojem bili, posiłek tym co omdlewali, mniemając, iż niema już na świecie ręki do czego przyłożyć, leki na wszystko co boli. Musi być potrzebną, konieczną, kiedy Bóg jej tak obficie dostarcza wszędzie i zawsze, jak wody na ochłodę.

Staram się ile sił, tak wszystko ułożyć, abyśmy nie wyjeżdżali stąd przynajmniej do jesieni. Ale Bóg jeden tylko wie, czy bieda jaka znów nas nie wygoni.

Nic nie dowierzam przyszłości. Bóg każdym miecie po ziemi, jak chmurami po niebie, jak piaskiem po stepie. Nie dobrze aby się człowiek wkorzeniał, przylegał do czego, bo na tym świecie śmierć wszystko zmiecie. I nietylko śmierć. Ach! pracować, byle darmo nie jeść chleba, byle Pan widział, że radoby się jemu służyć, gdyby się umiało i gdyby się godną było. Jak o chleb powszedni, tak i o pracę powszednią tylko na dziś prosić trzeba. Dziś tłumnie, gwarno, ludzi, dzieci pełno, jutro żywego ducha może nie będzie. Kto wie? Bóg prowadzi, to pewnie dobrze, módlmy się tylko, abyśmy z pod ręki się jego świętej nie usuwali, kiedy nas przez ostre kamienie i ciernie prowadzi.

Trzeba mnie kończyć, bo późno. Adieu, koteczko, łapki twoje najmilsze całuje.

Dyzcia.

Do pani Konstancyi Rzewuskiej.

Pielawa, 19 czerwca 1845.

Wyspacerowałam się dziś cały ranek po gospodarstwie, oporządzałam pokoiki gościnne w oficynce, zrzucałam jakieś tam stare szopki co mi na zawadzie stały, a upał 32 stopni w cieniu. Teraz na odpoczynek idę do Kici na pieszczotkę, jak niegdyś do Brzezi na jabłuszka czerwone, pamiętasz z owego koszyczka wiszącego na ścianie, co to mnie się zdawało, że on z natury zawsze pełnym być musi, choćby jak z niego tyrolki wyjadać. Ty, moje jabłuszko kochane, słodkie, rumiane, czemu ja ciebie dostać nie mogę. Ot, tak, bym tylko ciom i puściła, niechajby się sobie znowu do Badenweiler pokociło. Czyś zawsze sama? Czy może kogo ze znajomych

spotkałaś? Mnóstwo naszych za granicą tego roku. Może i Józef w tamtych stronach będzie, ja myślę, że u wód morskich, naprzykład w Ostendzie, bo wiele osób lekarze tam wysyłają. Kicię tulę do serca i Marylątko. Bóg z wami na zawsze.

Dyzcia.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Gniazdko [1]), 4 sierpnia 1845.

Jak dziecię, wyciągam do was ramiona, trzeba mi was, trzeba. Trzeba mi, żeby wam zimno i pusto nie było. Trzeba naszego stepu, wiośnianego słońca i wiośnianej trawki i wiośnianych ptaszków i serc, z któremiby wam nie było samotnie. Ach, na to wszystko głową byście może potrząśli tylko. Czego innego wam trzeba, czego nie masz na ziemi. Wody z rajskiego źródła, miłości w Chrystusie, co wiedzę daje i uspokojenie, tego trzeba co nie wiem, niegodna, czego imienia nawet nie znam. Czasem, jak strzała, wskróś przeszyję widzenie tego, co się z kochanemi dzieje. Dopiero was tak ujrzałam i nie wiem jak z ciałem i z duszą nie uniosłam się do was. Otóżby niespodzianka była, kochani? Jedną razą przez okno wlatuje ptaszek. Och! gdyby to, gdyby z zieloną gałązką. A pogłaskalibyście gościa? Nasypali siemienia? Oj, bolą, bolą nad oczami łzy niespłakane, niechaj już popłyną.

Gniazdko, 25 września.

Długo, długo nie pisałam i ani się nawet tłómaczę z tego. Wy wiecie, że Nisia zawsze gotowa dzielić wszystko z wami, ale nie zawsze można. Mamcia chorowała nam długo: dwa miesiące z łóżka nie wstawała, teraz, Bogu dzięki, zupełnie się dźwignęła. Po dawnemu pracuje, niezmordowanie, karmi,

---

[1]) Kuryłówka.

odziewa, krzepi, naucza, ale wszystko to siedząc ciepło i wygodnie w gniazdku, bo jej długo jeszcze niewolno będzie narażać się na trud i niepogodę. Poczciwy Dr. Stankiewicz ciągle przy niej, jakby rodzony jej pilnował. Czy mówiłam wam kiedy o nim? Wystawcie sobie, że minione lata niby nie były dla niego. Daleko był od swoich, ożenił się, stracił żonę i dwoje dzieci. Wszystko to spełzło na nim jak cień co mija. Żeby to jeden zmarszczek na czole, jeden włosek siwy, jedna myśl przykrego doświadczenia. Wesoły, mowny. wszędzie mu dobrze, z każdym dostateczny, ma zajęcie ducha, bo większą czuje potrzebę wylania się z umysłowymi swemi zasobami, niż zaczerpnięcia wyobrażeń, czy siły u drugich. Złe to zwykle usposobienie, bo odzwyczaja od ciągłego patrzania na duch bliźniego. Nie oznajamia się człek co chwila z uczuciem jego, z potrzebą i wartością zasklepiony we własnych ideach. Szczególnym jednak przywilejem zdaje się, że to usposobienie Amilkara moralnie mu nie szkodzi, dla cierpiących zawsze otwarte ma serce, tłumami ubodzy i chorzy oblegają jego siedzibę. Nie wiem tylko, czy równie by ogarnął miłosierdziem i duchowe nędze i niedostatki. Wyobrażenia nieugiętej sprawiedliwości starego Zakonu, nad którym tyle dni i nocy przedumał, nie złagodził jeszcze pojęciem miłości, w której od śmierci Chrystusowej taje sprawiedliwość. Niedość rozumie do jakiego to stopnia złych kochać wolno i trzeba, nienawidząc złości. Dojdzie kiedyś i do tego, bo pragnie światła, a Bóg dobrej woli błogosławi. Ale tymczasem kiedy kto zgrzeszy z tych, których on wielbi, aby nieoderwać od niego serca, co mu się sprawiedliwem, a więc koniecznem zdaje, ucieka się do zaprzeczenia winy. I tak dotąd, pomimo powieści światu całego, pomimo zdrożności, które sam oczami swemi po dziennikach czyta, wierzyć nie chce błędom Pawła. To być nie może, oni go nie rozumieją, na niego wymyślają, chyba sam usłyszę, uwierzę. I z innych powodów także uporczywie nie wierzy.

A ja sobie myślę: Oj ludzie, ludzie. Czy nie więcejby

w was miłości było, gdybyście się zatrwożyli o kochanego, pomnąc na ułomność ludzką i ze łzami pokorne modły do Pana o światło posłali, jakże oto cieszym się w sobie, ufając sile człowieczej, a on ginie bez pomocy modlitwy waszej.

Uważaliście kiedy jak to nieszczęście przyciąga, pysznić się kochanemi. Dopuszcza Bóg zawodu, aby się nikt na doskonałościach ludzkich nie opierał. Jedni miłują dla zarodu dobra w kochanych, co się rozwija tu do końca życia, a w całej piękności błyśnie dopiero po zmartwychwstaniu. Miłość ich w widzeniu jest tego co będzie w pragnieniu, w pracy, w nadziei, jak strzała w niebo wypuszczona, bodzie w górę. Na ziemi nic nie pragnie, niczemu się nie dziwi, niczem się nie zraża. Muł własnemi rękami obłuszcza, obłuszcza, bo wie, że kiedyś anioła pod nim odkryje, bo Bóg nasz dobry kamienia nie poda, kiedy o chleb go proszą i sama z siebie muł obłuszcza, obłuszcza choćby do żywego ciała przyrósł, aby jak nadejdzie chwila przemienienia, razem uwielbieni polecieli pokazać Panu, jak przez łaskę jego świętą, ubielili dla niego szaty, jak skrzydła umuskali, jak w miłości ku niemu niby gwiazdka w dzień biały gdzieś zatonęła i znikła miłość ich człowiecza. Na co ja wam powtarzam wieczną piosnkę moją? Jak wilga w brzozowym naszym lasku, co jedną tylko umie i jedną co wiosny wyśpiewać tysiąc razy musi. Ale nie śmiejcie się ze mnie ubogiej, to tylko porównanie do drugiej miłości, bo inni znów w przeczucie przyszłości oblekają teraźniejszość, złote pyłki wyobraźni tumanią im nad oczyma i tak im w złudzeniu miło, iż pozbyć się go niechcą, choć nieraz aż żal patrzeć na duchową nędzę ich kochanych, tak niby świetnie odzianych. A rozbije z czasem mary twarda, nieużyta prawda. Po gorzkim zawodzie rzadko miłość pozostaje cała, bo ta miłość szukała szczęścia, które jak minie, zwykle nie wraca więcej w tem życiu. Nie szukała dobra, którego w skarbnicach łask kościoła bez miary jest dla najgrzeszniejszego,

z Amilkarem [1]) jednak tak nie będzie, bardziej chrześcijańskie serce ma niż rozum, tylko z doświadczeniem zmieni się wiele teraźniejszych jego teoryj i krokiem dalej ku doskonałości postąpi. Czemu to zawsze prawie krok ten pożądany boleścią okupić musim? Zmartwieliśmy, kamieniem oblokła nas doczesność, do żywego zaciąć potrzeba, abyśmy uczuli.

Gniazdko.

Od kiedy mamci lepiej, schodzim się po dawnemu na gawędkę. Kobiety z robotą, mężczyzni, ktoby myślał, że po wielkich trudach, nic nie robiąc, na odpoczynek.. Na środku dużego bawialnego pokoju, mamcia w ogromnym zielonym fotelu prawie leży i pstry ornat wyszywa. W koło niej różnego koloru włóczek moc i nieodstępne niskie świece w maleńkich lichtarzykach. Ona promotor różańca, wszystkie kwestye rzuca i sama gawędzi i drugich do gawędki pobudza. Najskrytsze, najsprzeczniejsze opinie na jaw wydobywa i ścierać się im każe, wszystko rozwijać, wszystko dowodzić i tylko główkę odwraca i niby mówi: nie lubię, nie lubię, kiedy pomimo jej usiłowań wlecze się rozmowa. Nie znam nikogo coby tak wierzył w iskrę elektryczną w moralnym świecie. Tuż na niskim taborecikn Nisia w czarnej swojej żałobnej sukience z uciętymi włosami, także szyje ornat i zwykle milczy, słuchając co drudzy gawędzą, a czasem co przeszłość jej długa, jak dzieje całego świata, rozmnożona w czucia wszelkiego rodzaju, niby w serca każdego z ludzi z osobna, na wskróś wichrami przewiana, spłakana, sterana, pogrzmiewa w łonie ku przyszłości co się z nieba chyli i patrzy w lica jej czy jasne, czy blade, czy krwawe i drży mimowolnie. Panie, stań się wola twoja. Naprzeciw przy drugim stoliku Antosia [2]) siatkę przypięła, słucha i sama z dawnych czasów coś przypomni. Ale niech liść

[1]) Doktor Stankiewicz.
[2]) Linowska, siostra Bohdana Zaleskiego.

zaszeleści za oknem, z niedowierzaniem patrzy po nas i łzy się jej w oczach kręcą. „Wy się zawsze przedemną kryjecie, a któż go kocha więcej nademnie, na rękum go wynosiła, wyhodowała z siostrą jak własne swoje dzieci“.—„Antosiu, bój się Boga, a któżby cię zwodził? Czyż my tobie wrogi, żebyśmy ci dobrowolnie tak płakać dopuszczali?“ — „Może mnie się tak zdało“. I łzy ociera, biedna. Przed nią na krzesełkach ciocia Jaczewska, Amilkar i Jeżowski rozprawiają, jeden w szczegóły się wpatruje, nieraz się oderwać od nich i ogółu objąć nie może, takiego figla mu płata nadto bystra i nadto ciągle pracująca pamięć. Drugi znów tak na ogół tylko ciągle patrzy, że w ogromie nikną mu jednostki zupełnie i zapomina prawie, że z nich właśnie ogół składać się musi. Jeden żywo, wesoło pląsa sobie nad ziemią, drugi powolnie, uroczyście, niby z górnych stref młodzieńczem słowem przemówi, chociaż piąty krzyżyk dawno już minął. Do ich rozmowy, ojciec z cygarem w ustach po pokoju chodzi, ascetyczną jakąś świętą myśl dorzuci. Daryusz niby słucha, a modli się po cichu. Juncia słuszna, wiotka z czarnemi trochę wpadłemi oczami, ciemnemi włosami, pogodna a poważna ukradkiem książkę jaką pożera, bo jej niedość słuchać, ona razem i posłucha i przeczyta, a mamcia woła: Juncio, daj pokój biednym oczom, na całe życie przecież potrzebne, niech choć godzinkę czasem wypoczną. W koło pokoju dzieci gwarzą przeglądając obrazki.

Czasem zajedzie sąsiad. Nowinki, jedni się żenią, drudzy się jak muszle po domach zasklepiają, że o nich ni słychu, inni o zbiorach tylko myślą, inni żony dręczą tak, że o tych męczarniach świat dziwy opowiada, szczęśliwy, że kosztem bliźniego zabawić się może. To znów żony się wyzwalają i innego rodzaju dziwy wyprawiają. Niektórzy na zabój filozofują, jak pająk nić swoją, Boga z siebie samych wysuwają, a innego znać nie chcą. Gdzieniegdzie dom cały na arystokratyczno-artystyczno-lwiej stopie, ale takich mało. Reszta modli się po cichu, ostatniem dzieląc się z ubóstwem.

O literaturze, o której u nas tak gwarno było przed kilku laty, ucichło bardzo. Wielka jest liczba ogłuszonych wielkiem imieniem filozofii. Zawsze się boją dość wagi do niej nie przykładać, a zatem za barbarzyńców nie uchodzić. Jeśli rozumowania jej dobrze nie pojmują, wynikłości jego za to bardzo dla namiętności ludzkich zrozumiałe, doskonale do życia stosować umieją. Tygodnik przestał prawie być literackim, bo teraz rozpościera tylko nudy Listopada, z których oświadczył uroczyście, że nam ni kartki nie daruje, a że ich jest dwa czy trzy tomy, cały rok upłynie nim do końca dobrnie. Zawiadomił nas niedawno o mającym wyjść z druku poemacie X. H... Dzieciątko Jezus, zapowiadając wcześnie, że p. R. będzie mu winna ustąpić pierwszeństwo, ku wielkiemu by to było podziwieniu czytającej publiczności, bo trudno się podobnego arcydzieła spodziewać po autorze legend. Dziwno, że poemat ten cały jest prawie na osnowie podań nieznajdujących się wcale w Ewangelii. Obaczymy, czy znowu powstaną ci co się tak oburzali na najprostsze obrazowanie zdarzeń podanych przez Ewangelię, które w kilku słowach wzmiankowane, musiały się jednak rozwijać we wszelkich warunkach ziemskiej rzeczywistości. Niezmiernie smuci się H...., że go niektórzy posądzili o recenzyę wyszłą niegdyś pod pseudonimem Kostrowice, całą duszą z rodzajem zgrozy się jej wypiera, bo nikt nad niego bardziej p. R. nie wielbi. Cieszy się nią, do serca przyjmuje, nie znajdując w niej nic przeciwnego wierze naszej i wszelką przyznając wolność obrabiania świętych przedmiotów, byleby się duchowi, w którym nauczał, nie sprzeciwiały, za zdrożność już ma, bo się je wcale nie za artykuł wiary daje, jedynie za pobożne wystawianie sobie po ludzku każdej nieopisanej nawet chwili pobytu Pana naszego między nami. Wedle rozumienia H.... jedno jest tylko miejsce w całej p. R.... gdzie jak mówi nie dopatrzył się poeta wykładu kościoła. Ojcowie święci inaczej smutek Najświętszej Panny tłómaczą, inszy mu powód dają i pociecha w tym ra-

zie nie od św. Józefa przyjśćby mogła, który znał, iż nie posiada pełności wiedzy i łask, jaką Bóg Maryę obdarzył.

Z domu [1]), 23 września 1845.

Otóż znowu Nisia u siebie, dziatki porosły, pokraśniały a dobre, doprawdy dobre. Może Bóg wejrzyć raczy i na sługi je swoje przyjmie. Dla niego muskam duszki jak umiem, z plamek ocieram. Szeroko serca bez miary roztwieram dla tych co płaczą, a dla siebie uczę jednego tylko pragnąc gorąco, męczeństwa. Aby jak przyjdzie godzina tej łaski niewysławionej, powitały ją w uniesieniu dziękczynienia i łzami radości. Wielkież bo to wielkie szczęście nieść krzyż Chrystusowy i wielka chwała oblec, jak on, szatę pośmiewiska i wielka potęga, jak on, posłusznym być do śmierci, nie komuśmy obrali, ale komu kazano, w pokorze na pospolitych ścieżkach ręka w rękę z najniższemi i niczem się od nich nie różniąc. Westchnijcie czasem do Pana, aby pobłogosławić raczył te kwiatki co mu hoduję na równianki do jego krzyżów nad drogą.

Wyjeżdżałam parę razy znajomych odwiedzać. Zmniejsza się ich liczba znacznie, coraz Bóg kogoś do siebie powoła. Módlmy się, ale nie smućmy. Jeśli wiarą dane jest człowiekowi nietylko poznanie siebie, Boga i stosunków nędzy swojej do jego wszechmocnego miłosierdzia, lecz jeszcze przyrodzoną zdolnością, choć po części, ducha braci swojej znać, oceniać może i stowarzyszać się z nim miłością, toć zapewne nie dla korzyści tylko krótkiego mieszkania naszego na ziemi, lecz dla spójni kamienia z kamieniem w kościele, którego budowa tu, a trwanie i chwała tam, gdzie uczeń ukochany słyszał głos mówiący: Oto przybytek Boży z ludźmi i będzie mieszkał z niemi, a oni będą ludem jego, a sam Bóg z niemi będzie Bogiem ich. Związki się nasze śmiercią niezrywają, bracia

---

[1]) Tahańcza.

i przyjaciele obcymi się nie stają. Czy już po zmartwychwstaniu Chrystus wybranych swoich nie kochał?

W tych czasach spodziewam się przybycia M. starszego. A widzisz jak dotrzymuje słowo? Nie pamiętam czy ci pisałam, że rozmawiałam z nim dużo i rozpisywaliśmy się długo.

A cóż to za bieda, kochani, nie mogę i nie mogę nauczyć się pisać rozsądnie. Zawsze coś niepotrzebnego nabazgrzę i potem drzeć kartki muszę. Módlmy się i dość, resztę Pan sprawi. Wolę wam komentarz zrobić przyłączonego obrazku. Jak Boża wiosna, lato i jesień, odbywają się tego rodzaju wyprawy, tylko czasem daleko liczniejsze, do pasieki, to do sadu, to poprostu w pole. Numer 6 jest to mamcia siedząca w wózeczku oplatanym, który ciągną już na silnych mężczyzn porosłe dzieci.

. . . .

. . . .

Artysta, który to rysował, utrzymuje, że to są dzieci, co się kiedyś narodzić mają, z zazdrością patrzące na tę wyprawę. Bo co też to szczęście! Idąc często bardzo wszyscy razem, starzy i młodzi, kobiety i mężczyzni chórem dumki śpiewają, tak ślicznie rozlegają się po polach, lasach i wodach. Dzieciom jakie chcą kwiatki rwać wolno, nawet najpiękniejsze, przechodząc przez ogród i nietylko wolno, ale i kazano, żeby wiązki całe do domu przynieść. Dzieci, a czasem starsi na wyścigi biegają. Wstępuje się mimochodem po kawony. A w samej pasiece pada się na ziemi, przynosi miód staruszek z długą brodą co wiek widział, wiele pamięta i różne ciekawe rzeczy opowiada, a potem swawola, a potem śmiechy. Komu do śmiechu. A słońce zachodzi i niebo czyste, jasne i ptaszki śpiewają i woda cichsza i przeźroczystsza i pierwsza gwiazdka mrugnie nad laskiem. Niby raj, i prawda raj, krótki jak jedna wiosna dla tych, co ziemskiem życiem żyją, i nie zwaśnili się jeszcze z ziemską nadzieją. Wieczny dla tych co umarli ziemskiemu szczęściu, a zmartwychwstali niebie-

skiemu, którym wiecznie przyświeca postać Chrystusa, na którą niezmiennie patrzą i nowym ich zmysłem obdarza Pan ku pojęciu piękności i mądrości, wszędzie gdzie ślad ręki Bożej pozostał. Tym tylko co już nie żyją, a jeszcze nie odżyli, ciemno i zimno w ich grobie, chociaż porosłym kwieciem i trawką, chociaż nad nim ptaszki i dziatki śpiewają.

Zmartwychwstanie ciała, kiedyś jak aniołowie zatrąbią, stanie się w jednej chwili, bo stanie się czystą mocą Bożą, ale zmartwychwstanie ducha na ziemi, do którego potrzebny wpływ woli człowieczej, jakże nieraz trudne, pracowite i długie. Niemoc ciężka jest i nieużyta. Niemoc kajdany woli, dopóki je wiara nie skruszy.

Z domu, 28 września.

U mnie sadzą a sadzą, najwięcej leśnych drzewek, aby, step nasz ocienić cokolwiek. Praca nie lada, a jak wyrosną może się okaże, iż komuś na zawadzie i w pień wyrąbią. Ile razy widzę, że pracują w moim ogródku, dziwne przychodzi mi uczucie, a zawsze jedno i toż samo: pewność, że my tu nie na długo, a po nas opustoszenie. Nie mówię tego ani mamci ani Daryuszowi. Zasmuciliby się darmo może tylko marzeniem mojej chorej duszy. A mnie tak boleśnie patrzeć jak mamcia kilkoletnią pracę swoją, wesołą, nadziei pełną rzuca zniszczeniu, jak w tem cały popęd dobrego jej serca, tyle starań w pocie czoła tak długo podejmowanych z czystej życzliwości, na wiatr pójdą i nikt z nich korzystać nie będzie. Mówi mi czasem: ja pracuję, a ty się nie cieszysz. A mnie się serce kraje, bo gdzie ona sadzi i sieje, tam ja pustkę widzę, nie dzisiejszą, ale tę co będzie, jak się rozwiejem po tym i po tamtym świecie. Ach! co tam, co tam! jak wodą pochwycony leci na koła młyńskie, tak ja lecę w przyszłość i dreszcz mi. Ale co tam, co tam! Minie i męka koła, minie, byleby, och! byleby, mój Boże, nikogo tam kiedyś nie brakło u ciebie, nikogo z nas nędznych. Piszę to do was, pi-

sałam do cioci J.... i u siebie zanotowałam to samo. Może przypadkiem, która się z trzech kartek zachowa i ktoś sprawdzi dzisiejsze czucie moje. Jeśli to nie skutek rozdrażnienia cierpieniem władz umysłu, pierwszy raz zdarzyłoby mi się przeczuć, czy przewidzieć co w życiu, bo dotąd złe czy dobre zawsze niespodziewanie przyszło. Ale kochani, opustoszenie ja nigdzie tylko w koło domu mego widzę. Po prostu ktoś na mojem miejscu co nie kocha to co ja kocham. Najmilsi, najlepsi, czy można mnie korzystać z tego, że wy daleko i milczenie nakazać mi nie możecie, aby wam takie niestworzone brednie pleść. Szczo bude, to bude. A to bude, szczo Boh dašt. A co Bóg da, zawsze dobre. Nie wierzę w żadne przeczucia, a szczególnie w swoje i nie lubię kiedy mnie jak oto w ten moment imaginacya uniesie na błędne manowce. Przekreślę kartkę com u siebie zapisała. A was przepraszam, przepraszam tysiąc razy za moją niedorzeczność, jeszcze gdyby przynajmniej wesoła była, uśmiechnęlibyście się biedni. Ale jakaś czarna. Nie dość wam rzeczywistych smutków, jeszcze je na zabawkę mnożyć. Piękna zabawka wielkopiątkowa, Memento mori. Ach kochani, a jak śmierć dla Chrystusa, kto na nią zasłuży, Boże mój, to i na wspomnienie jej serce skacze z radości, dość na dziś, bo coś bredzę jak niespełna rozumu.

Teraz trzeba was ogarnąć w ramiona, ogarnąć w serce, popieścić, błogosławieństwa Pańskiego na was wezwać i pożegnać, bo jutro urodziny Cezi, w domu mnie nie będzie, a pojutrze na pocztę wyprawiać trzeba. Wielki żal kiedy do was biała niezapisana kartka idzie. Cóż robić na ten raz? Moi wy, moi najmilsi, najlepsi, najsłodsi, co wy mi wszystko odpuszczacie i żadnemu się dziwactwu nie dziwicie. Czem ja sobie u was miłosierdzie wysłużyła? Doprawdy, nie wiem. Ach! to nie ja, ani nikt, tylko Chrystus wysłużył krwią swoją i u Boga i u ludzi miłosierdzie nawet dla grzesznych. Od kogożby szczęście jakie przyszło, jeśli nie od niego i nie przez

niego. Pozdrówcie dobrych łaskawych znajomych odemnie, Stefana[1]), bratu Hipolitowi[2]) powiedźcie, że dzień po dniu ze szczególną uwagą odmawiam za niego obiecaną modlitwę. Upominam się u niego usilnie o umówioną odpłatę, chociaż doprawdy niewarte nagrody moje niegodne modlitwy. Ale wiem, niemasz kłopotu jak ze złym wyrobnikiem.

Ktoś musiał temu dwa tygodnie gorąco pomodlić się za mnie. Czułam po łasce niezasłużonej. Kiedym najgrzeszniejsza była, ogarnął Pan światłem i miłością, przyciągnął, przytulił, tak przytulił. Chwała Jemu, chwała i miłość na wieki i błogosławieństwo tym, co pomnieli o mnie biednej przed Panem. Posądzam ja kogo z was, kochani. Co najlepsze wam niech odda Bóg nasz dobry. Do zobaczenia, najmilsi; od całego domu mego, od gniazdka gorącem tchnieniem niech do was miłość powieje. Niech uleczy duszki, niech osuszy oczka, niech myślom doda choć trochę siły do góry, a serduszkom radości. Pokój wam, kochani i łaska na zawsze.

Nisia.

Do pani Konstancyi Rzewuskiej.

Pielawa, 14 października 1845.

Kostunieczko moja jedyna, nie wyjeżdżaj już tej zimy, doprawdy do wiosny niebardzo daleko, a przeziębić się w podróży tak łatwo. Czy ty już zapomniała co to karczmy zbliżając się w nasze strony. Siedź już, siedź, ciepło gdzie jesteś, a nie narażaj się niepotrzebnie.

Ja, Kiciu, siedzę cichutko, sama jedna, w Pielawie. Myślałam, że choć na święta pobiegnę do Kuryłówki, ale się tak nie składa. Darcia samego jednego w domu na święta zosta-

---

[1]) Witwicki.

[2]) Terlecki.

wić nie mogę, a on wydalić się z tych stron nie może dla interesów... Moja Kiciu, wiater robi fu.... fu.... fu.... w kąty domu, w okna, w kominy; szaro, wilgotno, droga okropna, bo śnieg, choć obficie pada, leżeć nie chce i ogromne czarne błotniste łysiny zostawia, potem te łysiny marzną i jak po szkle jechać trzeba. Nie chcę ja sobie, Kiciu, wyobrażać, że ty w drodze. Tulisz się w powozie, Maryleczkę otulasz i w paluszki dmuchasz. Nie chcę, jedynaczko. Ty nie wiesz może jaka droga długa i nudna, kiedy się do domu wraca, z różnych przyczyn i dla tych co radzi i dla tych co nie radzi do domu wracają.

Do zobaczenia, koteczko, trzeba kończyć. Ale jak ja próżnuję, a na nic czasu niemam, aż płacz bierze. Do zobaczenia, Bóg z Kicią moją siostrzyczką biedaczką.

Dyzcia.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Z domu, grudzień 1845.

Najmilsi, najdrożsi, łaskę wam i pokój oby przyniósł Chrystus dzieciątko. Wszyscy razem nędznie pokłońmy się ubogiemu: otoczeni nocą grzechu, leżącemu w ciemnej stajence, — którym zimno, a niema się gdzie przytulić na świecie, drżącemu w żłobku drewnianym, — płaczący w opuszczeniu płaczącemu który przyszedł do swoich, a swoi go nie przyjęli; pójdźmy do Niego i usiądźmy przy Nim na ziemi i głowy o żłobek Jego oprzyjmy i zapomnijmy sieroctwo. Oto się nam narodził ten, który nas kocha i nie będziemy już sami i kochać będziem, kochać bez trwogi, bez niepokoju, wstecz się nie obzierając, wszystko zapamiętając, opuszczając się bezpiecznie w tę przepaść bezdenną na wieki. Przyjdzie czas, w którym kościół rozpamiętywać będzie, jak on powstał z sianka swego i stąpać po ziemi naszej zaczął i do pracy

naszej lichej, ludzkiej sam rękę przyłożył i usta swoje otworzył i nogi swoje wędrując trudził, wydając głos zbawienia po miastach i miasteczkach, a wieczór jak przyszedł, głowy swej nie miał gdzie skłonić, a nad rzeszą co ku niemu wyszła, litował się i pieczę miał, nie jedząc nic, ustalił w drodze i karmił ją sam, uzdrowiał i nauczał, ubogich i obciążonych do siebie wołał, winy odpuszczał i kochał, aż go do sytości obelgą nakarmili, ubiczowali, cierniem uwieńczyli, krzyż ciężki na ramiona włożyli i na górę nieść kazali. A my, daj Boże, pójdziem za nim. Ślad w każdy krwawy ślad jego do ziemi przypadając i całując proch nóg jego i sukni tak gorąco, iż boleści nasze staną się nam rozkoszą i zapragnieniem ich więcej, i staniem z nim na górze i razem z nim ducha naszego oddamy Panu i nie będziem go już na resztę dni naszych mieli w mocy naszej, tylko wola Pańska będzie wolą naszą i nie będziem żyli, tylko Chrystus żyć będzie w nas, i wejrzy Pan na sługi niepotrzebne, niegodne, ale które syn jego ukochał tak, iż zamieszkał w nich i dla miłości syna swego otworzy niebo i zamkną powieki na nędze, a serca na tęsknoty i dusze ich wzniosą się w obłoki, by dziękczyniły i miłowały, nim dzień ostatni nadejdzie i obloką się w ciała swoje co niegdyś cierpiały, dziś uwielbione na chwałę wiekuistą. Daj wam tak Boże, daj sprawiedliwym i grzesznym, ubogim i bogaczom, tym nędzarzom duchowym co tak bardzo jałmużny, modlitwy potrzebują, przyjaciołom i wrogom, daj wszystkim na chwałę twoją któryś jest. Co szczęścia w tem słowie, któryś jest. On jest, pewnie jest, jest dziś, jest wczoraj, jest jutro. Nigdy bez niego nie będziem. Jest, więc oto prawda, a więc sprawiedliwa, dobra, piękna, jak z jednego korzenia, z jednego pnia tysiące konarów, tysiąc liści wieją na nas szczęściem. Ile przymiotów objawionych, tyle niby kwiatów cudnych co się ku nam chylą, a w każdym tyle rozkoszy aż duch omdlewa i kocha, kocha na skinienie, do piekła na wieki by skoczył, bo niby trochę rozumie i miłosierdzie i po-

tępienie, i w zachwyceniu czołem bije słuszności wyroków i widzi, że jedno tylko potrzebne, jedno pożądane, chwała Boża. Ale, najdrożsi, jakby się do nieba dostać i kochanych i wszystkich do niego zwabić? Jak serce spojrzy w to morze piękności, zdaje mu się, że usiłować będzie, jak błotko, w którem się odbił promyczek światła, mgłą podnosi po kropelce mętnej swej wody ku niebu. Niechże mnie chwila łaski, usunie się słońce, biedne błotko na nic niezdatne, brzydkie i podłe zostaje. Otóż ja takie błotko, kochani, na kolei wielkiej drogi gdzieś się tam zebrało ze śniegów marcowych i ze słot jesiennych. Niejeden z wędrujących stopę o nie pobrudził i zadrżał od jego chłodu. Niejedna łza w nie się stoczyła, choć płaczący o tem nie wiedział, a byli co się oburzali, iż ono łzę ich przyjąć śmiało, byliby woleli, by na kamień padła i mieli słuszność. Wielu było, którzy widząc jak ono czasem błyszczało promieniem, za gwiazdę ją mieli. A ono nic nie było, tylko błotko czekające, by je Pan na ziemię rodzajną osuszyć raczył, przerabiając, oczyszczając, pociągając do siebie co nie dla ziemi. Bóg nieskończenie wielki może wejrzy kiedy na nieskończoną nikczemność moją, bo dotąd w najlepszych dniach moich byłam jak wieża nadmorska ze światłem na czole dla żeglujących, ale wewnątrz ciemna i pusta, że się w niej chyba na dnie płaz jaki zagnieździ.

Styczeń, 1846.

Już i po świętach, najmilsi. Przepędziliśmy je w domu, nie w gniazdku, bo Daryusz dla mnóstwa interesów swoich i cudzych, wydalać się nie mógł, a samego na te dnie uroczyste nie chciałam go zostawić. Zgromadziliśmy się więc jak mogli najliczniejszem gronkiem krewni i znajomi, dawnym obyczajem odprawili wilię na sianie i chlebem podzielili się szczerze. Potem ludzie przyszli ze wsi, nagawędziliśmy długo a jak zwykle najwięcej o biedach. Matki skarzyły na kłopot z chłopcami nim dorosną na pracę, ludsze odna diwczyna

w chati za disiat' chłopciw, diwczyna i wody prynosi i ditok dohlane, a chłopić na bikaca ta hulaje. Cały tydzień świąteczny wielka była w domu fabryka, dzieci kolędę szyły niemowlątkom ze wsi, wszystkim bez wyjątku, ciepłe, śliczne czapeczki z wstążkami i kwiatkami, a na nowy rok pospolite ruszenie wszystkich dzieciąt i ogólna biesiada, mleko z bułeczką, cukier, ciasta, potem strojenie w czapeczki i radość niezmierna. Aż późno w noc powiedziałyśmy sobie wzajemne spasybi wam za czest' i za myłost', pocałowały i rozeszły. Od tej pory u nas głucho. Z gniazdka rzadkie wiadomości, wiem jednak, że tam wszyscy zdrowi. Mamci tej zimy wyjeżdżać zabroniono przez ostrożność. Wszyscy w Kijowie na kontraktach; pusto więc w całej okolicy. Gazety nie przychodzą jeszcze bo to styczeń. Czasem tylko z dalekiego Wschodu głos doleci, niby modlitwa, czasem drzeniem w sercu odezwie się drzenie najukochańszego gdzieś w dali.

Cicho, niby się czegoś czeka, a na świecie szaro i wietrzno. Och! najukochańszy, najukochańszy, coraz cięższy krzyż wpija mu się w ramiona, że patrzeć bez łez nie można, a jak się czasem szamoce. Ach! moi, tylko upaść twarzą na ziemię i skonać, jeśli Bóg siły nie doda patrzeć na te męki. Są ludzie co myślą, że na wszystko systemat pomoże i jak miecz podają go tym co już i tak do szaleństwa cierpią. Zasieją złe i pójdą; co im szkodzi, że jak wzrośnie trucizną się stanie. Oni systemat nie ludzi kochają, bo systemat to oni sami, marzenie ich głowy. Sami nie wiedząc o tem, siebie tylko kochają. Są inni, którzy skoro ze statku co w burzę bije się z falami, ujrzą ziemię jak rąbek szary u widnokręgu, klaszczą w ręce i radzą w wzburzone wody się rzucać, by o własnych siłach portu prędzej dopłynąć. Mało ludzi z sumieniem, mniej jeszcze z sercem, teraz w modzie lekarzem być moralnym, próby na żywem ciele, na żywej duszy robić. W sztuki płatać dla mądrości głupiej, dla filozofii co Boga i świętości i cierpienia nie zna. Jak szatany na piersiach chorego ciężą

i dziobią mu w serce słowami rozpaczy, dopóki nie zerwie się wściekły i bluźniąc ran własnych nie porozdziera i skona. Ohydni, wzruszeń im trzeba, za ważnych i potrzebnych uchodzić, z ogniem igrać koniecznie, inaczej nieprzyjemnie, mgło i nudno. Aże po ich zabawie piekło. Cóż robić? Jest to smutna konieczność. Och! takich ludzi nie przeklinajmy, ciężkie i tak przekleństwo co się im u Boga zbiera. Tylko módlmy się gorąco. Niech moc jadu Bóg słowom ich odbierze. niech spoczną cierpiący, niech po miłości naszej poznają, żeśmy Chrystusowi. Kochani, jam nie podejrzana, bo wiecie z łez niczyich korzystać nie pragnę pod żadnym względem. Ulgi cierpiącym, czci ubogim, miłości wszystkim, błagam na kolanach od wielu lat u Boga i u ludzi i bojaźliwość też wielka nie mąci mi wzroku. Widzę więc prawdę. Módlmy się a ufajmy, przyjdzie czas miłosierdzia.

25 stycznia 1846.

Wyglądam Kicię niecierpliwie, może mi coś powie o was. Ale kiedyż to jeszcze będzie? Myślę o was, myślę, czasem widzę ale nie zawsze. Częściej wy duchem z nami niż samotni, nieprawdaż? Niedawno mi ktoś mówił, że niemiło wam bardzo, jak długo wieści o nas niema. Posyłam więc dziś tę kartkę, chociaż na książeczkę jeszcze nie urosła. Prawda, lepiej częściej choć krótsze. Odtąd może już pisać będę do jednego z was, który pierwszy odbierze, to będzie dla niego tylko, proszę sobie nie zazdrościć moi, moi. Pocałowanie wam serdeczne i pieszczotka. Zarzucam obie łapki wam na szyję i przylegam jak smułka. Choćbyście jak mówili: Widczepysia, nic nie pomoże, bo wy moi, a ja wasza na wieki.

Bóg z wami i łaska święta.

Nisia.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Z domu, 15 lutego 1846.

Czy prawda, najmilsi moi, co po świecie mówią, że Józef znowu chory był. Mój słodki, biedny, kochany, czemu to skrzydeł niema? Czemu ziemia tak wielka? Czemu człowiek jak więzień przykuty? Jak wam obco, pusto, zimno, przeraźliwie, Boże mój, Boże! Do was, do was. Kto was tam kocha? Kto służy sercem? Kto głaszcze, tuli i pieści? Boże, Boże do was koniecznie, i nie na chwilkę. Gdyby nie najukochańszy, to i na zawsze. Mój Józefie, co ja zrobię, żeby ciebie nie bolało, żeby ty już nie leżał w niemocy? Gdyby bliżej, obcałowałabym rączki, czoło, kolana tak bardzo gorąco, że wszystko złe by się stopiło, a tak co? Dumam, dumam i płakać mi się chce i, jak zwykle, nic to nie pomaga. Ach! gdyby przynajmniej wiedzieć co tobie było i czy zupełnie minęło. J... w niepokojach i obawie strasznej pisze a pisze, dowiadując się czy wieści o was niema. Ale one tak rzadkie i Kostusia milczy albo tylko drażni kilku słówkami. Gdyby przejrzeć do was. Widzę ja was, ale tylko troszkę. Józef jeszcze nie silny po chorobie, siedzi cichutko, głowę na rękę schylił i zdaje się mu, że nie smutny. Bohdan chodzi po pokoju, głową potrząsa, oczy ociera i zdaje się mu, że nie płacze. A w pokoju ciemno, bo szaro na niebie i pusto, bo od swoich daleko. Tylko malowane różne twarzyczki patrzą na was i uśmiechają się, to na proroctwo, najmilsi, że nie zawsze smutno będzie. Czemu się chmurki nie zwiną czasem jak zasłona daleko, daleko tam gdzie się niebo schyla i całuje ziemię i nie odkryje wam naszych gniazdek wśród burzanów na stepie? Ot, tak sobie wam na sen, ile to się ptasząt tuli w każdem i nie siedzą spokojnie jak wróblątka w puchu, ale się kręcą, zwijają, skaczą, pracują, każde jakieś zdziobełko obrabia co może, pierwszy wietrzyk zdmuchnie, a świergoczą, świergoczą. Czasem trwoga, chwilkę ruch wielki, wejrzenie w górę do tego co

i o wróblątku wie każdem, a potem pokój. Ale wszędzie nie tak, kochani. Mnóstwo gniazdek zapełniają same jedne grube, brzydkie, żarłoczne ptaki jak sowy, ślepe na dzień i z krzywymi dziobami, co nic nie robią tylko inne ptaszki duszą i jedzą, to spekulatory. Czy uwierzycie, że ten rodzaj potworny wyradza się i u nas, na naszej ziemi kochanej, mogiłami osypanej, dumkami wskróś przewianej? Ale prawda, pycha i łakomstwo, dwa straszne połozy, mieszkały tu zawsze, gdyby nie one, mniej kości bieliłoby po polach, mniej łez potokiem zaszumiało w pieśni. A postać poczwary taka czy inna, wszystko to jedno. Bez końca rozprawiają u nas o pracy. Niby korzyści jej na nowo odkryte zostały i każdy spieszy brać w nich udział. Ale praca dla ogromnej większości jest to jedynie spekulacya pieniężna, jak najskrzętniej praktykowana. Dar Boży, na szczęście oni w nim bogactwo tylko widzą, dźwignia ziemi ku niebu, oni ją na niewolnicę przerobili, na wyrobnicę dostatków dla pychy. Znikczemniała do ostatka w ich ręku, jak wszystko zmaleć i znikczemnieć musi co właściwe stanowisko swoje oznaczone wiarą opuszcza. Wiara uświęciwszy władze i zdolności, działania ich wszystkie na cnoty przerabia nadaniem kierunku, jaki przystoi wysokiemu powołaniu naszemu i obdarza je potęgą działającą przez wszystkie wieki na owoc zbawienia. Jest ona jak źródło żywej wody na górze bijące każdy strumień co z niego wypływa. Człowiek równie wysoko podnieść może, bo moc, którą wiara udziela, nigdy się na jednostki nie ogranicza, ani na pewien zakres czasu ani na korzyści li tylko materyalne, chociaż w macierzyńskiej, czułej opiece każdą trzyma jednostkę i w czasie działa i na potrzeby materyalne człowieka wzgląd ma i pamięć wyrozumiałą. Moc ta nigdy oderwaną nie jest, nigdy w obłędzie lub niepewności nie zostawia, lecz w związku jest koniecznym z całą prawdą objawioną i przywodzi zawsze do ogniska światła skąd sama wyszła. Dlatego uduchowania się czego tylko dotknie i nieskończenie wielkim się

staje i ważnym, ale zapomnieliśmy o godności naszej dzieci Bożych; jak dzicy, kleim lepiankę, za co by kraje zakupić można, jak dzieci, nucim piosenkę, której nie pojmujem już treści.

Kochani, kto nauczy, że czyn jest tylko objawieniem potęgi, a nie potęgą samą, że w duchu w zamiarze tkwi potęga i wielką jest w miarę czystości jego, bo jako działania li człowieka czyn nicością jest tylko i zdmuchnie go Pan z przed oblicza swego, jak wszystko inne co znamienia jego świętego nie nosi, biada nam, biada. Strasznie mało chrześcijan na świecie. Drugi już list posyłam wam ze skargą na ludzi, bo serce boli, boli.

18 lutego.

Nie pisałam wam, kochani, jak uroczyście całym domem obchodziliśmy dzień N. Panny Gromnicznej [1]). Wiecie wy to i bez mojej powieści. Z rana domownicy, służący, goście, dzieci zgromadziliśmy się wszyscy na wspólną modlitwę, ze czternaścioro dzieciąt złożyło rączki i prosiło za tym, co płacze na ziemi i za tą, którą on kocha w niebiesiech. Może który głosik do stóp Pańskich doleciał. Onże dziatki kochał i pieścił i błogosławił im nieraz. Antosi nie było, bo ciągle u mamci w wielkiem gniazdku bawi. Wieczór dzieciętom bal, a że to zapusty, więc i przebierania. Śliczne maleńkie mołodyczki i cyganeczki i dopiero szumki, perepełyczki, kozaki. A mam niektóre dziewczęta swawolne i zawadijaki, że im rady dać nie mogę. Odwinęłam się na chwilkę, a one nuż w prysiudy, ledwiem wyperswadowała, że to nie dla dziewcząt taniec i podobnom nie bardzo do przekonania trafiła, bo się zasmuciły, a niektóre nawet i mazur nie pocieszył. Wczoraj znowu był bal jako na urodziny Maryleczki i podwieczorek. Na całej kopie pączków, na samym wierzchu królował pączek ogromny

[1]) Dzień urodzin Bohdana Zaleskiego.

z cyfrą M. R. Ale wy może nie wiecie co to u nas znaczy bal. Może myślicie, że jak pospolicie zjeżdżają się goście, bynajmniej, tak jesteśmy w sile i co do liczby i co do sprężystości nóżek, że obchodzimy się doskonale bez wszelkich obcych pomocy. Zaczynają od tego, że przybierają się wszyscy w różowe sukienki (nb. prócz Daryusza i mnie) i tłumem przybiegają do dużego bawialnego pokoju, gdzie codzień grywa się w mruczka albo ciuciubabkę przy jednej albo dwóch lampach. In gratiam balu, niosą ich aż cztery, które się w czterech kątach na stoliczkach stawiają. Jeśli szczęśliwym trafem nadjechał żydek z pozytywką albo skrzypiciel jaki, co zwykle niesłychanymi okrzykami radości oznajmiane mi bywa, mam spokój na cały wieczór, jeśli nie, idą Nisine ręce na usługi i do dziesiątej, jak podołać mogą, wybijają szumki i mazury. Kiedyś to nie lada paradnie było, bo razem skrzypce, bęben i gitara i na tę wielką okoliczność Julka G. zaproszoną została, bo ubliżałoby staropolskiej gościnności taką harmonią samym się tylko cieszyć. Oczywiście przy tańcach figi, rodzenki, migdały, śliwki na rozuchach, ciasteczka, herbata, a woda na dwa klucze zamknięta i wszystkie drzwi w domu na rygle pozasuwane, aby zgrzane na podwórze i do sieni nie wybiegały, tak, że jak kto nadjedzie, a za hałasem nie słychać, kwandrans nieborak do domu szturmować musi, jak byśmy się od Tatarów obwarowali.

Moi wy, najmilsi, czemu ja wam tych balów pokazać nie mogę i różnych w nich epizod? Jedna naprzykład wśród mazura w płacz. „Co tobie, Teosiu?“ — „Kasia nie dość ochoczo tańcuje“. Druga znów gwałtem do kozaka wyciąga Olesia, który w kąciku siedzi zatopiony w najukochańszym Pielgrzymie. „Daj mnie pokój“. — „Ale chodź póki grają“. — „Kiedy ja wolę na obrazki patrzeć“.—„Mój Olesiu, proszę cię“.— „Kiedy ja niechcę“. A Nisia szepce do ucha. „Jakże można Olesiu bliźniemu przyjemności nie zrobić? Jak nie pójdziesz, Maryni smutno będzie“. — „Kiedy mnie tak przykro Pielgrzy-

na rzucać". — „To chwała Bogu, że przykra będzie ci zasługa". I na odwagę ciom w białe czołko i chłopczyk na pół smutny, na pół przekonany do kozaka.

19 lutego.

Poodczytywałam dopiero różne kartki od was, najmilsi. Co jest w słowach waszych dla wszystkich, czy dla mnie tylko jednej, że gdyby jak dusza była daleko w światowej gdzieś zamieci, w mig wróci ją do domu, do tej ojczyzny nikomu nie znanej, bo u każdego innej, pełnej promyczków zachwytu i nędz bez końca i poczwar w aniołów postaci, w której nadziei nawet niema zestarzeć się kiedyś i spocząć. Ach! tak znam popielate ciężkie jej niebo i źródła palące i zieloność zwiędłą, głuche milczenie i samotność, a samotność wielką, że niema nawet komu powiedzieć boli, jedni nie pojmują, drudzy nadto słabi w wierze, innym do szczęścia koniecznie trzeba mego szczęścia. Od szesnastu już lat niepamiętam, aby się kiedy całkiem odsłoniło serce moje przed kim i zapewne nie odsłoni już nigdy. Jest stopień takiego jasnowidzenia, nicości, wszystkiego na świecie, takiej niewiary na wszystko ludzkie, takiej bolesnej litości nad bliskim zawodem tych, co ściągając rękę do kwiatu, nie myślą, iż ściągają tylko do źdźbła suchej wkrótce trawki, że mówić o tem nie powinien nigdy ten co w opustoszeniu ducha swego, sprawdziwszy zimne i gorzkie słowa króla mądrego, pieśni nad pieśniami nie zanucił z nim jeszcze. Niech milczy o ziemi kto nie dość święty, aby na niebo wskazać umiał. Inaczej nie zbawienie w wyrzeczeniu i nadziei, ale zatracenie w żalu i rozpaczy przyniesie. Ja o niebie wiem, ale go w sercu nie mam, bom grzeszna bardzo, i na pociechę, na ucieczkę pokazać go nikomu nie umiem, nie umiem. Słowo, marny dźwięk, do serca nie przenika. Nie masz łaski we mnie niegodnej. Mówi jedno z was: dość płakać, Nisiu, niech te łzy grzeszne oschną raz na zawsze. Prawda, wiele, wiele łez było grzesznych, bo upo-

minających się jak o zatrzymaną należytość, o szczęście którego niemasz na świecie nikomu, a tembardziej mnie grzesznicy. Myślałam w szaleństwie, że jest na ziemi drzewo życia co karmi. Biedna ziemia wszystko mi z ubóstwa swego znosiła tak uprzejmie, a mnie się zawsze zdawało, że ona mi coś kryje i żal miałam do niej niesprawiedliwy. Miłość wszelka na niej płytka, młodość smutna i piękność poszpecona. Na niej tylko imiona wszystkiego, a rzeczy niema. Chyba u tych co Boga jedynie kochają i Jemu służą samemu. Ale ci nie z ziemi, kochani, dawno już dawno za ziemią nie płaczą i nic na niej nie nęci. Czy wy mnie jeszcze nie znacie, nie rozumiecie rodzaju grzechów moich? Rzadko kiedy Bóg miłosierny dopuszczał aby się brzydkość i błoto w tak cudną szatę przybrało, iżby aż pokusą się stały. Wina moja złe zrozumienie wiary naszej. Od dzieciństwa w moc niby jej świętej, z jej prawa, pragnęłam tego na ziemi co tylko w niebie być może i nie szukałam, bo zdało mi się, że to szczęście już mam. Wystawcie sobie to zachwycenie wewnętrzne, tak ciągłe, spokojne, zupełne, że mogłam uwierzyć niebu na ziemi. Biedne dziecko zapomniało o grzechu, dlatego tak błogo śniło, i pierwszy, nawet się mnie osobiście nie zupełnie tyczący, splamił piękność, rozwiał niebo na zawsze i został czyściec straszny, bo jak u tych dusz co niewidzą, święta mówi zakonnica, gdzie się znajdują i których cała ostatnia nadzieja, że nie pamiętają odtrącającego wyroku. Ale kochani, czyściec jeszcze, jak ta zakonnica o innych duszach mówi, czyściec to miłości, nie czyściec zmysłów. Męka, że w kochanych nie dość świetna szata niewinności czasem rozdarta, po różnych drogach spruszona i swoja własna aż szara, że już i nie znać pierwotnej jej barwy. Och! męka i nie płakać? Nie można, kochani, nie można. Wyrok to nieodzowny. Gdzie plama, tam łza, och i niejedna. Znać jeszcze ich niedość, bo plam jeszcze przybywa. Boże, Boże zmiłuj się. Niby obiema rękami cisną się piersi. Cicho tam serce, cicho. Nie rozumiesz, ale wierz. Na-

dzieja przeciw wszelkiej nadziei wolą przynajmniej powtarzaj. Póki Pan nie wejrzy, bo on jeśli zechce, oczyścić może. Głęboko ubodły mnie w sumieniu słowa Bohdana. W rozpamiętywaniu Nisi dziejów i pamiątek domowych, duchowych, przeniosę się myślą w świat lepszy, piękniejszy. A więc wiele tu sobie chwil osłodzę. Prawda, takby być powinno. A jakże bardzo nie jest! Wszystko cudne zamierzchło mi w oczach, tylko skwarna pustynia, w której ochłody ni spoczynku nikomu, to piętno egoizmu. A widzicie, kochani, na mnie zawsze zawód. Cóżby to było, gdyby trzecia jeszcze była część, jak czasem pokusa przychodziła napisać? Za łaską Bożą nic i nie mogłabym nawet. Gdyby nie różne zewnętrzne przeszkody, a bardziej jeszcze duchowe, ułożyłby się może obrazek ze ślicznych barw, co się w koło mnie jak tęcza na ciemnem tle świata promieniły. Na łzach jeszcze niespłakanych, ale nic nie potrafiłabym.

Gniazdko nasze kochane, gdzie, jak Józef wie, tyle było zawsze kochających, małym było wyjątkiem. Ogólnie, więcej, daleko więcej od niemowlęctwa widziałam rozpaczy niż nadziei w nieszczęściu. Więcej słyszałam przeraźliwego krzyku w męce niż cichego płaczu, więcej wspomnień gorzkich niż rzewnych, w cnotach więcej siły niż czułości, w kochaniu ogień tylko pożerający a szczęścia i pokoju nic. Wychowałam się w dziwnej sferze gwałtowności i stoicyzmu, gdzie wszystkie powierzchowne oznaki przywiązania za udanie miano, a przynajmniej za nieprzyzwoite i śmieszne egzaltacye, tak, że naprzykład matka (tylko nie myślcie że mamcia nasza biedaczka, jej straszliwe systemata nigdy do główki nie przychodziły, a zresztą ją znacie) matka, ku wielkiemu zbudowaniu otaczających kobiet opowiadała, iż aby je nie popsuć, nigdy dziecię swoje nie pocałowała chyba śpiące. Kto jako młody i podwładny krzyknąć z bolu nie miał prawa, choćby skonać miał w wysiłku, uśmiechać się musiał. A biada mu jeśli zbladł, bo cierpienie zupełnie za nic się liczyło. A pieszczota?

Była to niby rozkosz niebieska, której ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani rozum ludzki pojmuje. I tak przywykłam była do tego stanu, że nawet dumki długo bardzo stopić nie mogły zakamieniałej boleści. Bo na co się skarzyć? A boli? Nocą ręce pogryść a nie jęknąć, to też, kochani, u wszystkich prawie w tej epoce wychowanych, ledwie z dziecińśtwa zaświtała młodość, serce pękło i została tylko straszna wiedza, jak po śmierci.

Goście nadjechali, musiałam przerwać, a teraz czasu nie ma kończyć, bo na pocztę list oddać trzeba taki, pomimo mojej grzesznej pamięci, na której złe i przykre głębiej się ryje od dobrego, pomimo niegodności mojej, kto wie może wam kiedyś pokażę, jak gniazdko nasze śliczne i nie ono jedno tylko. Moi, moi, żal was rzucać, bądźcie mi pełni zdrowia i pokoju. Dobra noc. Niech wam anieli zeszlą święte i błogie sny. Kto wam pocałowanie moje serdeczne zaniesie? Aniołków poprosić nie śmiem. A wietrzyk trzpiot. A potem, on taki zimny teraz. Stopił wszystkie śniegi i na czarną ziemię dmucha, aż żal. Ludzie mówią, że zboże wysmoli i będzie nieurodzaj. Nie daj, Panie. Ubogich tyle! Co wy tam robicie, moi najmilsi? Co to za bieda, że świat nie przeźroczysty? Tobym dopiero długie listy bazgrała, gdybym choć przez szparkę do was zajrzała czasem. A tak niewiedząc jak tam u was, chmurno czy pogodnie i ochota do gawędki odpada. Wiem ja o was to, co ludzie wiedzą, ale to wcale niewiele i wcale nie to, coby się wiedzieć chciało. Moi, moi, rodzeni, kochani, Bóg z wami, jeszcze czołka, łapki całuję, całuję tysiąc razy.

Nisia.

Kłaniajcie się ślicznie dobrym znajomym, panu Stefanowi [1]). Pusty mnie śmiech mimowolnie bierze jak sobie kilka

---

[1]) Witwicki.

tygodni naszej znajomości przypomnę, bo ręczę, że mnie za wielką ma elegantkę i nie lada światową, a kto wie może i arystokratkę! Wiem, że jeśli istotnie tak jest, to doskonała mistyfikacya. Ale go to pewnie zaboleć musiało poczciwego i z tego względu mi przykro. Może Bóg da, jeszcze się kiedy spotkamy w świecie na rozwiązanie zagadki. Niechby się przynajmniej modlił za mnie, bo jeśli nie w tem, to w wielu innych rzeczach bez żartu nawrócenia potrzebuję. Dobranoc, wam, dobranoc.

Do pani Konstancyi Rzewuskiej.

Z domu, 12 marca 1846.

Dzień pocztowy, a więc oczywiście do Kici kartka pójść musi. Ale z czem, kiedy u nas głucho, cicho, spokojnie, że chyba wymyśleć wiadomości? Wielkie słowo post, nawet co się w około na takie huczne pohulanki zbierało, przycichło zupełnie. Pomiarkowano się podobno, że zgorszenia byłoby to powodem. Czy uważałaś, Kiciu, że czasem jak szał napada bawić się i bawić bez względu, bez myśli, bądź co bądź, byle pohulać. Dla mnie smutny to widok okropnie. Iluż to szaleje na śmierć i ani ich zbudzić do rzeczywistości, ani upamiętać, aż polecą w przepaść, którą wykopali sami. Ale nie dla siebie tylko, bo każdy co moralnie ginie, nie ginie sam, ale cały świat nadziei zabiera z sobą. A my co robim? zapytasz może. Jak zwykle, kajamy się i modlimy. A ja co robię? Modlę sercem do Ojca w niebiesiech, patrząc w oblicze najukochańszego, którego dzień w dzień nie mogę powiedzieć więcej kocham, to niepodobieństwo, tylko mi się serce rozszerza, patrząc w myśl jego głęboką, tak głęboką, że aż spokojną. Czytamy mało, więcej rozmawiamy, wieczorem dzieci śpiewają, a puste to i rozśmieszą. Wczoraj była na placu może tobie

znana szumka: „Oj posijaw kozak hreczku, na dubaczku, na werszeczku, zirwała sia szara bura, kozakowi hreczku zdała“. Widzisz, że przy śmiechu i nauka, a doprawdy nie idzie w las, a szczególnie u najukochańszego (tylko proszę się nie śmiać, że co tylko dobrego, ja zawsze w nim widzę). Choć jaka czasem pokusa posiać na werszeczku, rozum szepnie coś na nebo i usłucha.

Kiciu, goście wkoło siedzą, gwarzą i ja gawędzę. Niepodobieństwo pisać. Jeśli co nabazgrałam bez sensu przepraszam, ale nie mogę inaczej, a innego listu pisać nie chcę. Do zobaczenia, koteczko, Bóg z tobą.

Domek mój cały i co w nim żyje pozdrawia ciebie, całuje, pieści, jak komu wolno.

Nisia.

Do pani Konstancyi Rzewuskiej.

Z domu, 19 (6) marca 1846.

Kostuniu moja, nie bardzo dziś zdrowa jestem. Jednak chce się koniecznie pomiłować ciebie, popieścić i choć słówko ci posyłam i nie tobie jednej, ale razem całemu gronku twemu. Nie będę, jak dotąd, pisywać osobno, chyba kiedyś, kiedyś. Ale za to każda kartka do ciebie będzie razem i do nich [1]), proszę Kici dzielić się sumiennie jak przystoi grzecznej siostrzyczce, bo już nie chcę pisać do kogo, ani odbierać od kogo listów tylko do Kici i od Kici, bo to wielki post, czas pokojania i modlitwy. Ułożyłyśmy, aby zawsze był ktoś modlący o przebaczenie za przeszłość, o łaskę na przyszłość. Kto wie czy długo iść będzie głos nasz do góry? Błagajmy póki czas. Niech Kicia się nie śmieje, nie mówi, że na mniszkę się

[1]) Józefa i Bohdana Zaleskich. Z powodu prześladowań w kraju, pisanie listów do emigrantów narażało na niebezpieczeństwo.

kieruję. Jak tu nie modlić, kiedy tylu o Bogu nie myśli. Czy myślisz, że wszędzie pokutują tylko w ten święty czas? Gdzie tam! Pohulanki i pohulanki.... Serce się kraje, patrząc na radość bez Boga, co się więc tylko karą okropną skończyć musi. Gospodarze ogrody stroją a stroją, rośliny zwożą, aby na bale pałace ubierać. Oj! Kiciu, Kiciu, módlmy się za tych, co się nie modlą. Chciałam teraz pojechać do mamy, ale i drogi złe i rzeki porozlewały. Czekam więc spokojniejszej pory. Nie wiem ogólnie co tego lata robić będę. Zależy to oczywiście od mego męża. Jeśli mu się na co przydać będę mogła, jeśli nie odtrąci mnie od siebie, bezwątpienia zostanę przy nim. Ale jeśli mnie Bóg zechce gniewem jego dotknąć, zapoznaniem miłości co dla niego wierna i zupełnego poświęcenia pełna w biednem sercu mojem, zawsze była i będzie. Pomimo wszystkiego, czemby najboleśniej miał ugodzić, pomimo — pojadę sobie gdzieś, może do Odessy, byle gorzkie dnie przegościć. Mamę radabym wziąść z sobą. Miałam od niej wieści niedawno. Odebrała od ciebie aż 6 listów razem. Bardzo pragnie, a ja, Kiciu, proszę i zaklinam, abyś o zdrowiu swojem pamiętała i nie rwała się do domu, kiedy ci Karus pomaga i nie wracała aż po kąpielach, które ci przepisuje, bo, koteczko, czemuśby nie korzystała z tego, że bliżej wód jesteś i nie poleczyła się jeszcze trochę. Rób jak ci się zdawać będzie najlepiej. Ale Kiciu, ile mogę, błagam ciebie, kąp się, lecz spokojnie i nie rwij się. Jak wyzdrowiejesz, to co innego.

. . . .

Całem cię sercem ogarniam i pieszczę i już kończę, bo nie bardzo dziś schylać się mogę. Twoja

Dyzcia.

Do pani Konstancyi Rzewuskiej.

22 marca 1846.

Kostuniu moja, znowu od ciebie nic nie ma. Chodzę, krzączę się koło domu, który na parę miesięcy opuścić mamy i koło ogródka, gdzie sadzą drzewka, a sadzą bez końca, aby kiedyś komuś, którego nie znam i nie wiem, cień był i owoc, koło dzieci, którym na lato sukienki szyją, ach! Kiciu, koło wielu rzeczy. A jednak jednego tylko potrzeba. Czy uwierzysz, że tygodnie mijają, a ja książki do ręki nie wezmę, ani roboty żadnej. Zaczęłam była ogromną makatę, ani myśleć kończyć. Ani rozumiem, jakim cudem dawniej przemarzyło się tyle dni z igłą w ręku, czy przeczytało. Niewola mi teraz wprawdzie, ale jej nie czuję. Co mi dawniej było po wolności mojej głuchej, jałowej pustyni zaludnionej tylko chmurami i burzą, co się po niej bije sama jedna? Szkoda mi wielu lat zmarnowanych. Mówią znajomi niektórzy z tych, co zbliska bardzo w serce patrzą, żem tak się zmieniła we wszystkiem, że dość nadziwić się nie mogą. Ani pojąć i zrozumieć co się to dzieje i że prawie nową znajomość zabierać ze mną muszą. I przypisują te zupełne zmiany we mnie niesłychanej mocy charakteru, woli nieugiętej. A jam glina martwa, którą Bóg dłonią swą miesi i kształci. Ach! czy mimo oporu mego wykształci do końca, czy łaska zechce niegodność zwyciężyć? Pisał kiedyś Bohdan „tyle strat, tyle zmian tego roku“. Jakże on wie o zmianach? Prawda. Może ostateczne. Ale prócz Boga i mnie, nikt o nich nie wie. Zamknęła się młodość, niby z wysokiego brzegu, ze świata innego patrzę na nią co była, na dni jej najśliczniejsze i nic mi jej nie żal bo jak kwiat opada. Nie żal, och! nie żal! Piękniejsza będzie młodość siwizny, bo ona Chrystusa więcej ukocha, Chrystusa życie, śliczność i świętość nad wszystko. Cicho mi jak nigdy, chyba może w wielkiem dzieciństwie i czemuś boleść nie ima się cierpko jak dawniej. Nawiedził Pan i rękę co ogołaca, po-

łożył na serce, zimną i od dotknięcia ustały szaleństwa. Przytomna widzę wszystko jasno i jako zdrowa już, pracuję co mogę i nawet chłodem niebardzo drżę, czekając na nową szatę, w jaką opatrzność jego obłoczy. Nową? Nie, tylko przemienioną, jak po Zmartwychwstaniu. Ale chcę do Chrystusa, chcę, chcę i wszystkich chcę do Niego, jak Bohdan mówi, aby mi nikogo u Niego nie brakło, nikogo, nikogo. Wszyscy święci na ziemi i w niebie uproście kilkoro nas grzesznych. Nie, nie kilkoro, tysiące, miliony. Już się ani obejrzę na ziemię, tylko w górę patrzeć będę, wypatrywać czasu zmiłowania i ufać. Jaki Bóg dobry, że z życia nie zostało mi żalu do nikogo, nic nikomu nie mam do odpuszczenia. Grzeszyli kochani wiele ale nigdy przeciw mnie. Boże im błogosław, resztę dni przemodlę za nich w samotnej celi mego ducha i przepracuję, jeśli Bóg pomoże. Byleby tylko oswoili się ze mną. Zdaje im się, że zawsze jak niegdyś zazierać mają prawo, choć przez szparki do wnętrznego świata, co pod wpływem jest tylko Bożym i chmurzą się, jak wejście do niego kamieniem zawalone zastaną Jakby kamień taki w mocy było czyjej przynieść sobie samemu. I usunęli się zupełnie. Niemniej mi oni kochani, porozumiemy się kiedyś, kiedy już nic zakrytego nie będzie. Iluż to kocha nie nas, ale kwiat, którym kwitniem. Inni nie zrozumieją nigdy, iż zmiana z wewnątrz przyszła skutkiem życia i podziwiać będą bohaterstwo ciągłego przełamywania się. Ach! kiedy nie ja siebie, ale Bóg mnie łamie, różnie będzie, a różnie. A prawdę jeno Bóg wie.

Wybieram się do mamci z cząstką dzieci, które się cieszą jakby do nieba jechały.

Moja Kiciu, jak się ja dziś rozgawędziłam i to o sobie. Wstyd wielki, niech ci to na dowód służy, że nic wcale ciekawego u nas niema, na coby obejrzeć się można; powszednia cichość, to i na siebie samą mimowolnie zwróci się myśl. Gdzie tam na siebie? Sami sobie za pretekst służym. Przypominamy, że ziemia i szczęście jej niby naszą dziedziną i że

je tylko niby dobrowolnie rzucamy, aby mieć prawo odchodząc nawet od niej, wejrzeć na nią okiem, czasem już nie miłości, ale nigdy obojętnem, przynajmniej, Kiciu, kiedy kto grzeszny i ułomny jak ja biedna. Aby ci więc nagrodzić nudę, moja ty najmilsza, posyłam winietkę. A widzisz? ty już pewnie myślałaś, bo dawno nie miałaś żadnej odemnie, że i nie myślę o tem, co tobie miło i ogólnie kochanym. Baw się sobie winietką, a ja rzucić cię muszę, bo, jak cię kocham, na list nawet czasu nieraz nie mam i teraz stukają i stukają do drzwi. Dobranoc, koteczko; dobranoc, dziecinko.

Do zobaczenia, ty moja droga kochana, ciebie i całe gronko kochane sercem ogarniam.

Nisia.

Do pani Konstancyi Rzewuskiej.

. . . .

Cudnie piękny sztych pana Jezusa, aż się grzesznemi oczami nie śmie na tę twarz przenajświętszą patrzeć. Zdaje się, że wejrzeniem wyrzuca zbrodnię, tylko co za nią niepłacze. Ach! jakbym sobie chciała pójść daleko, gdzieś daleko, żeby o mnie ani wiedział nikt ani słyszał, służyć zakonnicom jakim, żeby już usta moje nie mówiły i myśl nie myślała i serce nie patrzało jeno w górę i w Bogu tylko miłowało. Jak mnie już znużyło grzeszyć! Jak mi nudno i pusto bez Pana! Bo jakże Pan mieszkać ma ze mną, któram mu nigdy obietnicy nie dotrzymała, któram go opuszczała ile razy zabłysnął mi lada promyk niby szczęścia ziemskiego. Ile razy zawołam, wiem, że przybędzie, a ja go znowu porzucę za lada myślą co mi przez serce przemknie. Jednej godziny w życiu mojem niema bez winy. I to źle, że ci to piszę. Ty mnie nie uwierzysz, bo jak wszyscy, za lepszą tysiąc razy mnie masz niż jestem i tylko ci się w biednej duszce zachmurzy, bo ci

się zdawać będzie, że się dręczę. Gdzie tam, Kiciu? Dnie i tygodnie mijają, ani pomyślę o sobie. At! stajało serce mówiąc z tobą. Obetrę łzy i pójdę jak zwykle kręcić się po domu, czytać i t. d.

A mnie zawsze coś goni. Zawsze mi się zdaje, że ja z memi sierotami niedługo, że nie będę miała czasu pokształcić trochę te duszki dla Boga i dla bliźnich, że gdzieś wyjadę, czy nie wiem już co? Tylko nie myśl, że mam przeczucie śmierci. Gdzie tam? Nigdy. Tylko wyrzucenia gdzieś na świat szeroki, tylko boleści inszych, niż te co były. Stań się wolo święta! Kiciu, przepraszam za ten list. Inszego bym dziś nie potrafiła napisać. Jak cię kocham, zwykle się nie smucę, ani weselę. At sobie chodzę do niczego stworzenie.

Irenka [1]) już z łóżka nie wstaje. Jeśli widziałaś Sewerkę przed śmiercią, możesz ją sobie wystawić. Opuściły ją siły, blada, cicha, nieruchomie leży. Może jeszcze, mówi Trütfehl, kilka tygodni pociągnąć, ale też i za kilka dni ręczyć nie można, to już od woli Bożej; jedno wiedzieć można tylko to, że już nie wstanie. Czuje brak życia w sobie, modli się, spowiada często, wczoraj prosiła o olej święty i jutro ksiądz przyjedzie. Och! moja Kostuniu, jaka ona szczęśliwa! Nigdy wielkiego grzechu, nigdy też wielkiej męki ni na duszy ni na ciele. Święta jej matka uprosiła jej to w niebie. Zerwaną będzie jak lilia i do stóp Chrystusowych rzucona. Och! ja jej nie zazdroszczę, nie zazdroszczę, uchowaj Boże! ja, któram nawet wiedzieć o takiem szczęściu niegodna; tylko, Kiciu, popłakać troszkę, wszak wolno? Tylko z uczucia nędzy i oddalenia od Pana....

Nisia.

---

[1]) Irena Żurakowska, wychowanka pani Iwanowskiej, śliczna i rozumna dziewczyna; w tańcu rozegrzana, wybiegła na werandę żeby się ochłodzić, przeziębiła się i dostała suchot, z których wkrótce umarła.

Do pani Konstancyi Rzewuskiej.

27 oktobra 1846.

Kostuniu moja . . .

. . . .

Gdzie się ty myślisz na zimę ugnieździć? Co robią kochani?[1]) Niech z niczem się nie spieszą, a patrzą w górę, gdzie wola Pańska? Niech na zwłoki się nie niecierpliwią. Niech wielkich na życie całe postanowień w chwili namiętności nie robią. Niech pokorę, cierpliwość i cichość w wielkiej mają cenie. Niech pokój co na pokorze i wytrwaniu się opiera wyższym sądzą od uniesień nawet najcudniejszych i najwyższych. Niech zamiłowania w miotaniach ducha pilnie się strzegą, bo jakkolwiek burza uczuć piękna ludzkim oczom, Bóg mieszka tam gdzie pokój. Niech na pokój w sobie i w koło siebie pracują bezustannie. Niech ustalają go teraz i na przyszłość. Niech się uchylają od wszystkiego co się go obiecywać nie zdaje, bo szczęście czy dobro jakiekolwiek bez pokoju, to marna ułuda na zgubę, a piękność bez pokoju, to pokusa, umajony brzeg przepaści. Bo piękność, która sąd sumienia wytrzyma, spokojna jest i poważna, bo wielki początek swój z Boga, cicha i pokorna, bo czuje nieistnienie swoje bez twórczej łaski Jego i choć najwyżej leci, wznosi się nie trzepiąc skrzydłami, bo ku jedynemu celowi wprost ostrzem dąży, niosąc ze czcią i w zebraniu ducha siebie Panu ofiarą, mówiąc mu: weź, Panie, co twoje, a zniszcz co mego we mnie, boś wielki we mnie jak we wszelkiem stworzeniu twojem, a jam nicość grzeszna — i wraca spokojna na nikczemności jej rodzimej należny padoł i dobra i poufała obcuje z prochem jak z bratem. Cierpienie jak ojca co niby karci, a tajemnie darzy słodko, przyjemnie i nie targuje się nań nigdy, aż wejrzenie

[1]) Józef i Bohdan Zalescy.

Boże znów ją ku sobie pociągnie i znów się wzniesie w niebiosa, na chwilę, bośmy tu na pracę, nie na szczęście.

Kochani, pokój wam w Panu, pokój i cierpliwość. Nie chwytajcie sercem przyszłości waszej ziemskiej, nie pragnijcie dni, które nie są i rzeczy, które się jeszcze nie stały. Przyjdą w swym czasie, a nikt z nas nie wie, ile ziszczonych nadziei przyniosą, łaska i siła na przyszłość w teraźniejszości. Nie wybiegajcie naprzeciw przyszłości. Czekajcie na nią raczej, strojąc się w szaty białe jasne. A pod niemi niech będzie zbroja. mądrość cierpliwości i wyrzeczenia. Uzbrójcie też oko wasze w światło, aby prawdę serc przejrzało, a ułuda nie usiadła koło was jako piękność, a niknąc nie zostawiła na długo, może na zawsze, zamieszania i smutku. Patrzcie, iż ułuda nie zawsze obłuda, że może być tylko w sercu waszem, nie w sercu bliźnich, a niemniej dlatego bolesna i szkodliwa. Patrzcie, iż nie wszystko co dobre, dobrem jest dla każdego, nie wszystko co piękne szczęście przynosi, bo różne są rodzaje duchów i różne ich stosunki i biada kto się na nich pomyli i wbrew przeznaczeniu ich pójdzie. Kochani, surowe to może smutne prawdy. Nie wiem skąd mi pod pióro przyszły po wielkim płaczu wobec nędzy mojej, nikczemności i grzechów, które mi dobroć Kostuni przypomniała. Kiedy napisane, niech do was pójdą. Może to ze zrządzenia Bożego. Jedno wiem to, że was kocham. Bóg z wami i z tobą, Kostunio moja. Tulę was tam wszystkich kochanych, znanych, oczom ciała i znanych oczom ducha tylko. Bądźcie mi błogosławieni teraz i zawsze wasza

Nisia.

Do pani Konstancyi Rzewuskiej.

Z domu, 5 listopada 1846.

Najmilsza moja, karteczkę, którą przy tym liście znajdziesz, odeszlij zaraz. Niech nie myśli [1]), że mu na błogosławieństwach zbywa. Ledwie wiem com mu napisała, bo mi łzy oschnąć nie chcą, ile razy wspomnę o nim. Nie dlatego, abym, uchowaj Boże, niedowierzała sercu Zosi [2]) i dlatego o przyszłość jego się bała. Ależ życie ukrytych kolców ma tyle. Spojrzeć przed siebie dreszcz. A on już tyle wycierpiał. Jeśli ona dobrze zna anielską piękność tej duszy i nietylko nie zraża się teraz, ale czuje, iż nigdy ją nie zrażą narowy samotnika, jeśli on ją kocha, ale ją samą, nie ideał wymarzony, jeśli się niedoskonałości spodziewa, a jak się w pożyciu okażą, nie wyziębi, nie zmartwieje niemi, nie będzie je do serca jak coraz nowe urazy przyjmował. Ach! jeśli kochać będzie tak jak my tylko, kobiety, umiemy cierpliwie a wiecznie, pomimo wszelkich boleści, będzie mu raj na ziemi. Módlmy się, módlmy o dar takiej miłości dla nich. Niech on już sam nie będzie. Niech mu już tęsknota utuli się w sercu. Wytłómacz Zosi, że ona już nasza, jakby z nami wzrosła, postaraj się o portrecik jej dla nas. Boże, Boże, Kiciu, kiedy kilka miesięcy temu dla różnych ważnych przyczyn musiałam przestać pisywać do niego, czy myślałam, że pierwsza kartka pójdzie z błogosławieństwem na życie nowe? Wie Bóg co robi. Jemu rodziny trzeba koniecznie, kogoś, coby pieścił i hołubił. On zamierał z osamotnienia i tęsknoty na pustyni swojej. Boże, daj Zosi niewyczerpane źródło miłości, bo na śmierć spragniony, a jeszcze przywykł z nami do tego życia sercem co nieustaje nigdy na chwilkę, jak uderzenia jego nie ustają. Moja, moja Kiciu, wszystko mi straszne dla niego, nawet co

---

[1]) Bohdan Zaleski.

[2]) Zofia Rosengardt, narzeczona Bohdana.

zdaje się szczęściem, taki dotkliwy i zbolały. Ach! ale Bóg wielki i dobry, wejrzy na niego biednego. Gdyby ptakiem do nich polecić! toż Józef musi być szczęśliwy, jak dziećmi musi się cieszyć. U nas kto się dowie, rzewnie i uroczyście wieść przyjmuje, błogosławią wszyscy serdecznie. Pisz, Kiciu, jak najwięcej, gdzie i jak się osiedlają? Czy odżył? Czy choć trochę rozjaśniło mu się czoło? Żadna matka nie głaskała, nie błogosławiła syna, jak ja mu błogosławię. Gdyby Bóg wysłuchał!

Mnóstwo, Kiciu, mam do ciebie interesów, ale dziś nie mam głowy do tego... Bóg z tobą, moja ty droga, kochana, pieszczotka tobie i utulenie twoja

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Z domu, 5 listopada 1846.

Ze złożonemi rękami oto nad kartką dumam już dawno, kochany, w jakie słowa dość święte, dość tobie zrozumiałe, dość ku Bogu rozgłośne, wcielić błogosławieństwo co łzami z serca płynie. Co tylko zacznę, modlitwą się kończy. Kochany ty bracie mój rodzony, którego mi Bóg w nadmiarze łask swoich dał, jak żywe rodzinne źródło, na ochłodę, na ozdobę, na radość piękności twojej, ty, do którego serca tyle się łez naszych stoczyło i czeka tam na zmiłowanie Pańskie, od ciebie nie przyszło nam nic prócz miłości i więcej stokroć niż miłości nas, boś ukochał cośmy ukochali, bośmy się spotkali nietylko w zrozumieniu wspólnem, ale wyżej, w miłości Tego co nad nami, niby w proroczem widzeniu pochwyceni, poznaliśmy się u stóp Chrystusowych, jak przystoi na dzieci Jego po miłości i dar nadziei od Niego ze czcią najukochańszemu nieśli.

Kochany, drogi, to szczęście, o któreś tyle dla nas mo-

dlił, coś mimo wiedzy nawet swojej, tyle na nas zlewał, niechże teraz na ciebie spłynie, niech miłość w Chrystusie zamieszka dom twój i błogosławieństwo pokoju niech spocznie na głowach waszych.

Kochany, och! teraz dopiero przystrój dom, wyszukaj kwiecia, bo gość święty zawitał ci z nieba. Niema w niem skazy, ni żalu, ni sromu. Rozraduj się całem sercem twojem. Małoż bo mało komu ziemskie szczęście Bóg łaską na niebo przemienia. Ty może sam jeszcze nie wiesz co to prawo kochania, prawo pracy na kogo, tej pracy dusznej co to niedoskonałość każdą poświęceniem własnem z taką rozkoszą okupia. Oby ci w tem szczęściu wszelka boleść znikła, jak może serce wie pewnie, że zniknąć może. Niech ci to szczęście nie w złudzeniu będzie, nie w marzeniu niepodobnych doskonałości, po którem zawód, najbardziej gorzka z goryczy, ale w rzeczywistości na ile piękna, a na ile zwykle po ziemsku mętna i nie anielska, w pewności niczem niezachwianej iż prędzej czy później ufna modlitwa obficie czerpie ze skarbów wszechmocności i wszystko uprosić może.

Kochany, powiedz wybranej twojej, a raczej powtórz coś pewnie mówił jej oddawna: że nieznana jej rodzina kocha ją jak swoją, przyjęła ją sercem jakby ją wyhodowała wśród siebie, że jej równie jak tobie modlitwą i łzami błogosławi. Oto znak krzyża świętego zdaleka na głowach waszych składam w imieniu gniazdka naszego, w imieniu Ukrainy całej. Wszyscy modlić się za was będziem. Dzień szczęścia waszego, wielkież to i uroczyste święto dla nas. Boże was błogosław, błogosław, błogosław na sercu, na duszy, na wszystkiem co was otacza, na wszystkich co was kochają, na wszystkich i wszystkiem co wy kochacie. Ach błogosław, błogosław na rdzennych dumach serca waszego, tych głębokich łzami zlanych, o których usta nie mówią. Bóg z wami, Bóg z wami na życie i na wieczność.

Nisia.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Z domu, grudzień 1846.

Najmilsi, najdrożsi, trójlistku mój kochany. A widzicie, Bóg dobry, już wy nie dwie rosy kropelki. Zjawiła się wam trzecia, świeża, śliczna. Zachowaj wam ją Boże jak widomego anioła stróża, jak żyjący dowód, że jest niebo, którego wam ona oby cząstkę przyniosła. Nie całe wprawdzie, bo ziemia, choć jak ją opromienić, zawsze ziemią zostanie. Ależ dobrze choć i odrobinka. Moi wy, moi, czy to przeczucie, że wam zajaśniało w sercu, bo i mnie dziś weselej i piszę choć nie bardzo schylać się mogę. Dobrze, że do was trojga pierwszy raz piszę do Rzymu.

Kochani, kochani, czy wy pamiętacie, ile my się tam wymodlili? Pamiętacie St. Andrea della Frate? Czy jest jeszcze moja kochana Matka Boska w bocznym ołtarzu, co to ją z wielkim moim żalem na piękniejszy obraz zamienić miano? Ale pewnie nie tak spokojnie, jasno w serce patrzący jak ta postać biała, sama jedna spuszczająca się z nieba z rękami pełnemi promieni dla nas biednych. Gdyby nietyle dziatwy w domu, nietyle różnej wielkiej pracy, jakbym poleciała pomodlić się z wami. Daryusz od roku już pokusę ma niesłychaną, ale za fałdy trzymam jak mogę i on sam wie dobrze, że tam uradowanie, ale tu powinność. Najmilsi, odbądźcie za nas pielgrzymkę, zacząwszy od Scala Santa i słupa ubiczowania Pańskiego, aż do kościółka świętego Klemensa, w którym nie byłam nawet, tylko się przed nim zamkniętym w sam dzień wyjazdu pomodliłam z ojcem T... do tego patrona naszego, co nam Czarne Morze śmiercią swoją uświęcił. Obejdźcie wszystkie miejsca święte, gdzieśmy dopłakali tyle, za tak wielu. Zdaje mi się, że was widzę, kochani, czworo was i M.... piąte, jak się suniecie po kościołach i willach, modląc na przemiany, to gawędząc, rzewną myślą zalatując do wszystkich kochanych znanych i nieznanych, i tych co

z nieba ramiona ku nam wyciągają i tych, co w czyścu ogniem winy swe zmywają i tych co po szerokiej ziemi wojują i płaczą rozpierzchnięci. I u nas często ona gości, do chatki wejdzie, to do którego z domów naszych takich ludnych, a takich cichych, to spojrzy na obszar stepu rodzinnego i lepsze dawno upłynione lata przypomni i mokro w powiekach. Oj! młodość, młodość! Nic dobrego. Sama wszystko przemarzy, starości nic nie zostawi. Wprawdzie zaradził Bóg temu; dał starości blizkość nieba i opromienił białe jej włosy światłem, które bije z napół otwartych dlań podwoi.

Czemuż nam tak żal zawsze za snem naszym dziecinnym? Cóż ma młodość, czegoby jej starość zazdrościć mogła? Starość śpiewniejsza prawdą, niż młodość złudzeniem, potężniejsza wiedzą, niż młodość marzeniem; ozdobniejsza bliznami, niż młodość niewypróbowanym zapałem i nadzieja jej cudowniejsza, bo wiele przetrwała. Czemuż więc, czemu za młodością tęskno? Młodość jak kwiat nie pożywi, nie ochłodzi, ni ocieni, ni obroni. Darem jej jest jej piękność i miłujem ją, bo nam jest proroctwem przyszłego szczęścia w niebiesiech. Tam już próby ni pracy nie będzie i zabłyśniem wywalczoną świętością nie na pożytek, coby ziemskie przypominał nędze, ale na piękność i chwałę, tylko na ziemi kwiat i młodość na owoc więdnąć muszą, w niebiesiech przeciwnie. Z gorzkiego owocu życia wiekuisty wystrzeli kwiat. Cieszmy się, kochani. Im dalej od proroctwa, tem bliżej do ziszczenia. Szczęśliwy, kto młodości swojej pożałować może. Ja mojej nie żałuję. Póki wieniec marzeń skrzył mi się na skroni, dziwne światła rzucając do koła, szli ludzie za mną, krok w kroku patrząc i podziwiając co jednak bardzo proste i zwyczajne było. Ale biedny świat tak przywykł do sztucznych i kłamliwych uczuć, iż od rzeczywistych jak od zjawiska oczu oderwać nie może. Paliło się długo, aż spaliło do ostatka i ze zgasłą ostatnią iskrą rozbiegli się ludzie, wszyscy, niektórzy wracali z podziwem i rękę przykładali sami nie wierząc, iż

popiół już zimny. Och! nie wiedzieli gdzie dotknąć, prawda, głowa już zimna, ułudy już ni jednej i obłoki i widzenie gdzieś znikły, sam na sam z rzeczywistością jedne po drugich przyglądam dawno znane myśli i rzeczy, zapoznając się z niemi na nowo, od kiedy jak blask wieńca mego już nie oświeca i nowe już imiona nadając, zimne i twarde jak rzeczywistość zimna i twarda tym, którzy na nią z dołu jeszcze patrzą. To glina na przyszłą pracę. Serce, bo nie ułuda.

Z marzeniem nie rozwija się miłość tylko szczęście. Ale szczęście, to rzecz podrzędna i bez niego pokornie, pospolicie przypaść można na kolana i rękami niegdyś tak białemi, co się nigdy niczego nie tknęły, cierpliwie niezmordowanie misić tę glinę rzeczywistości, gorącem ją żywiąc tchnieniem, aż wzrośnie nowa latorośl w winnicy i nowym głosem pochwalon będzie Pan. Kochani, owej Nisi waszej dawnej, dawnej, ni śladu, że mi się ledwie wierzyć chce, żem ja ta sama. A jednak nie zwiędło w niej nic prócz tego, co nigdy na ziemi zakwitnąć w pełni nie może. Szczęście z uczucia, piękności własnej i braci i z jakiejś istoty światłej, powietrznej, ale na nic niezdatnej. Stałam się, kochani, prostą, dzienną wyrobnicą. Z zapomnieniem, ile tylko zdołam, wszystkiego na świecie kuję, a kuję bez przerwy, piękność, bo nie śmiem ja niegodna, powiedzieć świętość, świetność na ile ją biedna rozumieć zdołam. Cień jej tylko zapewne daleki.

Jeśli szczęście młodości mojej było tylko marzeniem, niechże się to marzenie rzeczywistością stanie, przynajmniej ile tylko duch mój sięgnąć może, ile wycierpieć zdolny nietylko tu, ale i w przedniebnym, czyścowym świecie, bo inaczej szczęścia nam ani tu, ani w niebie, a co straszniejsze chwały Panu i miłości od nas nie będzie. I Bóg błogosławi, kochani. Wielu cichością, pokorą i gorącą wiarą obdarza. Wielu święte myśli zsela. Modlim się bardzo, niektórzy prawie ciągle.

2 stycznia 1847.

Dziś 2-go stycznia, pierwsze do was słówka tego roku. Niechże was przywitają pieszczotką, moi, moi, wy rodzeni, wy kochani, gronko moje śliczne a takie dziwne. Każde w niem ziarneczko inne, to z pazurkami na buzi, to niby jagódka kaliny, to dwie torenki z kolcami wewnątrz, żeby już kiedy mają ukłuć, lepiej siebie niż kogo, takie cnotliwe torenki! To znów straszny, och! jaki straszny mars. Nachmurzyło się ziarneczko. Ciom! pocałowała kalinka w same brewki. A kuku? A gdzie mars? To czary, uciekaj. Gdzie tam uciekać. Złapali wietrznika, choć jak w burzę się zwijał, patrzcie już i zdmuchnięty. Niema marsa, niema. Zaklęli nieboraka w uśmieszek i pokutować musi za dawne przestępstwa długie lata. Jeszcze mu urąga kalinka psotnica. Coraz zajrzy blisko, prosto w oczki i jeszcze główkę do niego przekrzywi, nu, nu, nu. Ach gnębi jego, gnębi, aż mnie miłosierdzie bierze. Ty kozaczątko małe co tam w spodniczce biegasz, ty kapryśnico z rodu zawadijako z praojców, idź mi zaraz odczaruj marsa, żeby ten brat mój serdeczny, jak mu za jaskrawo kiedy na tym świecie będzie, w cieniu własnego czoła skrył się po dawnemu i podumał w cichości. Och! na co ja swawolę, kiedy wy może nie razem, może nie weseli. Ciężko, że dusza, więzień w tym ciele, że was, kochani, wszystkich, ni widzieć, ni słyszeć, a nawet czasem i nie przeczuć. Co mi to Kicia wyrabia, że nie pisze. Widzę jak łapki do góry wznosi na niesprawiedliwość. Gdzież nie pisze! Otóż nie pisze, nie pisze — nie dość. Niedobra, nie milcia, nie pieszczoszka.

Jakże można, żebym ja dotąd nie wiedziała czy oni szczęśliwi czy nie i oczki duszki musiała darmo wypatrywać za niemi. Gdyby przynajmniej można jak Abraham dać domownikowi wielbłądy i posłać do swoich. Ach! jakiegobym ja wam posłała, najmilsi. Jeden z tych co dumki prześpiewywał, na serdeczniej bliższy głos, pamiętacie? przystał do gwiazdki, jakby się w niej urodził i kocha was, kocha, kocha, że na to

słów niema. Mówi, że nikt sercem w serce wasze nie wniknął jak on, że nikt was na świecie nie wie i nie rozumie jeno on, bo od dziecka kochał co wy i cierpiał jak wy. Niczego nie pragnie jak dobić się kiedyś do was, pewny, że go jak rodzonego przytulicie, bo on kość z kości waszej i że mu słodko u was, cicho i radośnie jak w rodzinnem gniazdku będzie. Polecam go wam, kochani. Jeśli się kiedy spotkacie na świecie, przyjmijcie jak swego pocałowaniem i łzą, bo przebolał na wskróś, a kochać nie zapomniał. Imię niech Kicia wam powie.

Do gniazdka mnóstwo się teraz ptasząt zlatuje różnych a różnych, i nie dziw, Junka szesnasty roczek bieży.

Chciałabym wam portrecik jej przysłać, ale o malarza u nas tak trudno. Nieładna z twarzy, tylko oczy czarne, śliczne, wesołości w wyrazie ni trochę. Słuszna jak ja, smukła, giętka i coś bardzo szlachetnego w postawie. Objęcie ma wielkie, ogromnie wiele wiadomości na swój wiek, nie co do faktów pamięcią zebranych, ale co do wyobrażeń, które się w dziwacznej, poważnej ciszy jej duszy układają zawsze. Zdaje się, że zmysł ma osobny, aby wszystko pięknem widzieć i nie masz dla niej boleści, jak kiedy przez uszanowanie prawdy, przez wzgląd na powinności życia, które się w urojonym świecie wypełniać nie mogą, ktoś jej rzeczywistość tłómaczyć usiłuje. Ileż to boleści przejdzie przez tę duszę, nim wolę swoją nauczy się skruszyć, a ile jeszcze przejdzie, nim bez tej woli, bez siebie, niby po śmierci żyć się nauczy, ale żyć z pracą, z codziennym wysiłkiem skrzętnie ważąc siłę swoją, bo siła nie do niej należy i na pracę starczyć musi.

Mówię wam o gniazdku, ale od trzech miesięcy nikogo zeń nie widziałam. Nawet piszą niewiele. Mamcia gości bawi, koło dzieci się krząta.

. . . .

Od powrotu z Odessy, żywego ducha z naszych nie widziałam, ani nawet cioci. Święta przepędziliśmy sami z do-

mownikami. Dzień po dniu równie cicho jakby jeden płynie, dawno już tak zupełnie osamotnieni nie byliśmy. Ale mnie tak lepiej stokroć. Nie lgnie świat do mnie, ani ja do świata.

Krewka i słaba niewiasta, rozumiem świat jeszcze, ale mnie świat już nie rozumie, bom go w starości wyprzedziła daleko. Tylko mi dziwno patrzeć na tęczę różnobarwną własnych ich urojeń, przez którą tak rajsko wydaje się im wszysko, a która już dla mnie kroplami łez tylko, samotnie mi z ludźmi bardzo i nie wiem jakiemi słowami przemówić do tych, co żyją jeszcze jak ja kiedyś żyłam. Czy mową ich złudzeń? Gorzka mi jak zawód i czemuś wstyd jej jak kłamstwa. Czy mową wiedzy mojej? Boleśna jak ostrze u piersi i żal dobrej ich chwilki i mimowolnie oko moje idzie dalej i dalej po za te ściany, po za te światła, po za te gwary, patrzy wzdłuż i wszerz daleko na głód i chłód i ciemnotę, i przesyt boleści i inne światy ogniste i na niebiosach krzyż promienny i pokój tym, którzy łaknęli i pragnęli sprawiedliwości i zamykają się usta ze salonowemi słowami opowiadać nie mogę i czuję, żem obca między niemi, że i im dziwna i przykra ta postać, co się wśród nich jak z innego zabłąkała światu. Tych samych ludzi spotkaj u kolebki dzieci, u łoża chorego, zrozumiesz się z nimi, zleją się dusze, tylko po salonach każdy bliźniemu obcy, bo każdy rad zapomnieć prawdę życia swego, puszcza wodze miłości własnej, sam przed sobą rolę jakąś wygrywa i z największem natężeniem wyobraźni wierzyć jej się stara i żal ma do tego, co niewczesnem słowem z obałamucenia go budzi. Kochani, nie ostatecznyż to stopień nędzy, to kara Boża na tych, co szczęścia w życiu tylko dla siebie i nie w świętości, ale w użyciu szukają.

Przychodzą po list, przerywam go więc, reszta gawędki na trochę później. Kochani, bądźcie mi zdrowi, spokojni, błogosławieni. Ogarniam was sercem wszystkich i was z dzie-

cińswa kochanych i nowo od Boga danych. Przytulcie i pokochajcie i nas.

Ciom was w czołka każde z osobna. Bóg z wami, Bóg z wami.

Nisia.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Z domu, 20 stycznia 1847.

Moi, moi, własni, rodzeni, jednym skokiem ja przy was. Na złość czarnej, ciężkiej, brzydkiej ziemi co się między nami rozpościera jakby nie wiedziała, że my się kochamy. Ale jak kochamy? Jak się jej ani śniło. Moi wy, moi, jakże to dobrze, że was Bóg stworzył, jakże mi rozkosznie z wami, a jak to jeszcze będzie, kiedy ciało nie pokutnicze już, nie więzione niemocą, ale wolne będzie i lotne jak ptaszek. Powiem jemu: prędko do kochanych. A ono leci, leci przez światy i przestrzenie i duszkę moją niesie, w mig aż do was i nuż pieścić na zabój. Proszę mi się do owego czasu ślicznie pieścić nauczyć, ale to expedyte. A tymczasem wiernego czekam sprawozdania z postępów i to karteczek nie chcę, one mi czemuś złe godziny przypominają; długich, wielkich listów chcę literkami zasypanych jak kiedyś. Jak mi bardzo tęskno za wami, to je odczytuję owe stare, kochane i zawsze, jak pierwszy raz, ze łzą w sercu i ja wam po dawnemu znów wszystko pisać będę. Wszystko co nie nadto boli, co kamieniem gdzieś w głąb nie zapada, żebyście nas niby w źwierciedle widzieli. Dziś naprzykład jakże wam niepowiedzieć jak u nas ślicznie, błękitno, jasno, ciepło jak w kwietniu. Nisia siedzi i pisze w długim pokoju przed szklannemi drzwiami i straszne ma dystrakcye, bo za niemi tysiące miliony ptaszków szarych, żółtych z czerwonemi piórkami w ogonku i różnych, różnych przylatuje do samego prawie szkła, skacze, dziobie ziarneczka

co tam dla nich zawsze rozsypane, kąpie się w roztopionym śniegu na piasku i swawoli. Ale jak swawoli! Nisia je czasem straszy, łapką w szyby dzwoni, ale to nic nie pomaga. Nisia swoje, a ptaszki swoje i w domu nie większa karność. Z trzeciego pokoju słychać jak na przepadłe świergocą, choć Daryusz woła a woła: cicho tam dzieci i zwykle się tak dzieje, że nie dzieci, ale Daryusz wynosi się jak niepyszny. Albowiem ozdobiony jest tytułem generalnego arcypieściciela wszystkich dzieci i obowiązki urzędu swego tak sumiennie spełnia, że rady czasem dać nie mogę. Tuż przy stole siedzi najdrobniejszego maczku cała garstka i zawzięcie pracuje. Stawiają się laski, krzywe wprawdzie, ale że to ochota choć mury nią łam, trzeba widzieć jak się to wszystko na śnieg wypuści, dopiero z ptaszkami w zawody. Na nieszczęście śniegu już niema, bo zima lekka tego roku. Za to rzeczki na dziedzińcu płyną, które przeskakiwać można, po kładkach różne figle wyrabiać. Szkoda tylko saneczek, w które to się tak doskonale wprzęgać było, a teraz gdzieś w kącie nieużyte leżą. Ale te saneczki wielką tego roku były pokusą i powodem tragicznych różnych wypadków, ale smutne te dzieje lepiej w niepamięć puścić.

Z domu, marzec.

Dawno, już dawno do was nie pisałam.

. . . .

Byłam w Kuryłówce, mnóstwo widziałam znajomych, mnóstwo młodzieży co się już niby z trawki na kłos wysypuje i myślałam sobie, jakie też to żniwo kiedyś będzie? Oj! pustej trawki dużo, co to zieleni, a chleba z niej nie będzie. Ale Bóg wielki i lata jeszcze przed nią, tak mało czasem potrzeba, jednego tylko poważniejszego, tylko przytomniejszego wejrzenia na świat, jednej chwilki łez, na wzbudzenie człowieka w bezimiennej istocie.

Słyszałam Liszta. Ogromna potęga jego muzyki. On tak

ra (nie mówię, uchowaj Boże, aby duchem miał z nim co wspólnego) ale on gra jak Don Juan myśleć musiał w przedostatnich chwilach życia swego. Wiedza, boleść, przesyt i namiętne usiłowanie wydarcia się z siebie, stąd szał i niby wieczna hulanka. Za nieskończonością jednak jak Don Juan już nie goni, ani nawet na ziemi. Szalone swoje życie, w którem próżń mu już tylko i nuda prowadzi jak z obowiązku, a obejść się bez niego możeby mu trudno. Ale ma czego Don Juan nigdy nie miał. Dziecię powiedziało, że to geniusz, który dobry jest i prawda, dobroć to grunt i podstawa tego ducha, którzyby wysoko był poszedł, gdyby choć raz był przypomniał, że świat lepszy, nie w mgle prawdopodobieństwa, ale w prawdzie rzeczywistej jak myśl i miłość. Rozmawialiśmy nieraz długo. Ale nigdy nie mogłam przebić pancerza salonowości, dobrze robi, że się nim osłania, bo świat boli, jednak poznać go łatwo, bo czuje i gra, a samodzielnie myśli mało.

Z domu, 5 kwietnia 1847.

Kochani, nikt wam nie opowie co to się u nas przed kilku dniami działo. Przyszło razem aż dziewięć listów od.... W nich jeszcze, kochani, że oczkom swoim ledwie Nisia uwierzyła, tak z radości zadrżała, karteczki od was, od trójlistka i do Nisi. Wy już nie pamiętacie może, ile to lat minęło od takiego szczęścia, od kiedy to już Nisia, jeśli czasem zasłyszy słówko od was, to zawsze do inszej jakiejś duszki, a Nisia zła p a k u n i a, nic się z laty nie poprawiła. Zazdrośno i smutno jej było. Aż tu głoski wasze do Nisi, doprawdy do Nisi, i miłe, słodkie jak w śnie rajskim, och jak zawsze od was. W mig cały dom zbiegł się do Nisi, daj i nam co z ich słówek, jedni proszą grzecznie, drudzy w łapki całują, Józia się przymila i w oczki zagląda, a Nisia nic niby nie słyszy, pierwej sama wszystkie a wszystkie słówka do serca wyzbierała, wszystkie a wszystkie literki i kropki i znaczki pokochała i papierek także co je przyniósł z daleka prosto z pod wa-

szych rączek. Dopiero co było dla kogo, rozdała: błogosławieństwa, całunki komu w rączki, komu w nóżki, słówka z pod serca. C...., ten co to was tak kocha, myślałam, że wyrwie się z ciała i poleci do was jak posłyszał, że go jak brata czekacie. M... przeczytało się wszystko, innym choć po odrobinku o łasce Bożej na was i zrobiło się cicho między nami uroczysto. W łzach każda z nas pomodliła się gorąco dziękczyniąc za wszystko, i cały ten dzień było jakby w wielkie święto. Wy to nie wiecie, kochani, co to za strumień miłości płynie od was, co pochwyca z ciałem i unosi tam, gdzieśmy modlitwą i dążeniem zawsze i za życia razem. Was posłuchać, to zdaje się, że przeźroczystsza zasłona przyszłości i że bardziej po widomu schyla się ku nam z góry miłosierdzie.

Jedna tylko Zosia [1]) moja, Zosia młodsza, źle pisze do mnie. Ale nim jej to wymówię, niech popieszczę duszkę, my się jeszcze w życiu nie napieściły, Zosiu. Chodź więc tu blisko, bliziusieńko usiądź koło mnie. Niech cię obejmę, przytulę, podziękuję tobie za Bohdana, że ty dla niego pocieszeniem, ukojeniem, że ty pięknością ducha twego błogosławisz jemu i błogosławić będziesz po wszystkie jego dnie i od złego obronić i łaskę Pana na niego ściągnąć. Dziękuję tobie, że brat mój na tobie się oparł i spoczął. Dziękuję tobie za mnie także, że ty mnie na wiarę dobrego serca twego odrazu przyjęła za siostrę. Chociaż, jak ciebie kocham, ja wcale nie taka jaką kochani ci mówią. Oni mnie widzą przez miłość swoją i przez cnotę jak przez podwójne śliczne światło i w tym blasku wydaję się im czysta, biała, świetna. Ale nie wierz temu, Zosio. Bóg jeden widzi, ile brzydoty pod tą anielską powłoką i dlatego tak boleśno kiedy mnie kto dla dobra kocha, które niby we mnie. Niech raczej kocha pomimo ułomności i grzechu na siłę dźwigania. Dlatego słowa twoje, Zosiu, uderzyły jak zgry-

---

[1]) Żona Bohdana Zaleskiego.

ota sumienia. Nie przez pokorę, ale wprawdzie ci mówię, 'osiu, siostro moja, nie pisz i nie myśl nigdy tak o mnie, ja obie powiem co to Nisia. Nisia wprawdzie kocha i całe ży-ie kocha i musi kochać, choć nie chce, bo już ją tak Pan 3óg stworzył, ale że przytem pyszna, niecierpliwa i wielogrze-hami zła, miłość jej zawsze jałowa. Nic nigdy nikomu do-)rego przynieść to nie umie, to nie może i jest jak groszek)osiany w pełni księżyca, kwitnie do jesieni, ale ziarnka nie łaje ni jednego. Oto już, Zosiu, jesień moja przyszła, a owocu :ycia niema, ani nawet nadziei na niego. Ale pracuje się ślepą wiarą, z posłuszeństwem, z jakiegoś czucia wnętrznego, :o budzi i podnieca co chwila, że pracy na gwałt potrzeba i drugiego jeszcze czucia co ciągle szepce: Zmarnowałaś mło-dość, nie traćże czasu, bo go już niewiele. Niedość czystemi rękami pracuję i praca moja niegodną jest błogosławieństwa Bożego, ani pochwały ludzkiej, ale że tej pracy wielu potrze-buje, ufam w cud, iż nawet Bóg im w pokarm pożywny za-mieni. A na mnie kiedyś wejrzy i przetworzy w miłosierdziu swojem? Czy dobrze, Zosiu? Prawda, że ty już nigdy spra-wiedliwości Bożej na biedną głowę moją niezasłużoną po-chwałą nie wyzwiesz? Nie, już nigdy, bo ty do mojej gwiazdki dorzucony promyk, kochać mnie będziesz, nie gniewaj się na mnie i niech żal tobie nie będzie, lepiej wiedzieć prawdę, choć złą, niż odczarować się kiedyś na tym czy na tamtym świe-cie. Niech ciebie Bohdan pogłaszcze, pocieszy, że na tym świe-cie nie wszystko piękne jak się nam roi za młodu i Nisia nie piękna, ale może kiedyś, jeśli się Bóg zmiłuje, będzie piękną po zmartwychwstaniu, kiedy się wszyscy, wszyscy kochani złączym. Zosia o spotkaniu na ziemi mówi. Gdybyś ty bardzo chciała, alboż to tylko idzie o chęć. Czy wierzycie, że Daryusz od niepamiętnych czasów napiera się w tamte strony, a Ni-sia okrutnem sercem nieprzełamany opór stawia, bo nie mo-żna, nie można jeszcze, kochani, nie można wszystkiego po-rzucić, kiedy mamcia i wszyscy blizcy po świecie, bo wiecie,

że mamcia na dobre się wybiera. A któż tymczasem domu i czeladki pilnować będzie? A jeśli Bóg zdrowie da i życie, gdziebyśmy do was, na spoczynek sercom, nie dobili się kiedyś. Wszak wy rodzeni, jeszczem was nigdy w trójlistku nie oglądała.' Ślicznie wam być musi młodym pod macierzyńskiem skrzydłem Józefa. Co wy szukacie, kto się za was modli, że Bóg pokojem i obfitością dobrego czucia błogosławi. Wszak Józef przy was. Małoż on modli pokorą, modli wyrzeczeniem, modli gotowością na wszelkie ofiary. Józefie mój, kolana twoje ze łzami całuję, ja twoje dziecię. Ale ci nie mówię, wstaw się za mnie do Pana, bo ja wiem, że Mu o mnie co rana mówisz i co wieczór, o drugie twoje dziecię czemu ty się tak niepokoisz? Nie wiem skąd ci zawsze złe wieści zalatują, powiększone, jakieś straszne? Wszak wiesz, że w niebie czuwa Bóg nad sierotą, a na ziemi dobra, uczciwa i wcale niepobłażająca dusza. Gdyby istotnie tyle złego było co ty sobie wystawiasz, nie robiłby i przed nami tajemnicy. Ma on wędzidło w pracy.

Dzięki wam za wieści o Pawle i innych. Posiadaż on dość rdzeni, aby z świata fantasmagoryi zstąpił do prawdy serca swego i już nudno mu w niej było, dość rozumu, aby nicość pomysłów swoich poznał wobec pomysłu Bożego kościoła! Będzież on dość wielkim, aby w pokorze ducha wrócił na drogę prostoty i posłuszeństwa, dość pojętym, aby w niej wytrwał? Czemu by nie? Mnoży Pan cuda teraz. Oby nawrócenie jego oświeciło tych, którym zgorszenie przyniósł. A jest ich wiele, bardzo wiele. Ogółu nauki jego nikt nie przyjął, bo nawet mało kto wierzył, iżby naprawdę ją głosił. Ale śpiewem dwuznacznej swej mowy, która niby w zachwycie miłości bluźni pobożnemi słowy struł u wielu prostotę wiary. Dotąd mieliśmy niewierzących zgoła, to jest usiłujących nie słyszeć głosu sumienia i wmawiających sobie gwoli namiętnościom, iż niewierzą, lecz którzy pokoju znaleść nie mogli. Była więc na nich nadzieja. Mieliśmy ogół wierzący, który

ednak wiary do życia nie stosował, lecz wiedział, że źle czyił i także pokoju nie miał. Była więc i na nich nadzieja, teaz nauczyły się tysiące, iż można niby dobrym być katoliiem, a spokojnem sumieniem przez cnotę, nawet powstawać a kościół, tłumaczyć nauki jego dowolnie, rozwijać ją, niby ɔ jest przekształcać i niszczyć, wierzyć w co nie naucza, spoziewać się, czego on na ziemi nie obiecuje, światło mieć nie jego ogniska, siłę nie z jego daru, miłość nie z jego uczestictwa. Oswoiły z myślą, iż można być świętym bez pokory posłuszeństwa, gdyż zapał ku wielkim rzeczom uprawnia wszystko, iż dziecięciu matkę sądzić wolno i rękę nad nią odnieść już zbrodnią nie jest, ale gorliwością. Spokojni, bezpieczni, okrywając się przed własnem sumieniem płaszczykiem edności imienia i jedności wyrażeń kilku dogmatów, rozsypali się w tłómaczeniu ich na tysiące jednostek i tak z obrazą Bożą przybył nam jeszcze nowy żywioł rozprzężenia. I cóż dziwnego? Prawdzie jest tylko dano jednoczyć w duchu, dlaczego kościół nasz jeden na całej kuli ziemskiej zupełną jest jednością. Błąd nie jednoczy, bo z nicości jest. Pokory tak głębokiej, iżby cały rozum swój na zawsze poddał ślepej wierze w słowa bliźniego, nie otrzyma nigdy człowiek od człowieka, choćby się i natchnionym mienił, bo ta pokora to dań nasza Bogu, jedynie Bogu zawarowana w kościele od wszystkich postępów ludzkich i wszelkiego omylenia. Nikt długo nie uzna nad sobą prawa, którem mistrz jego nie czuł się związany, ani długo uszanuje jako świętość słowa nieposłanego, przyjmuje je, lecz prawem równości z mistrzem, który posłannictwo swoje także sam w sobie zaczerpnął, zastąpi wkrótce swojem własnem i staje się, iż ile piersi, tyle serc różnych, tyle dążności na wsze strony rozstrzelonych i z narodu motłoch. Wiarę, a przez nią jedność, a przez nią życie, siłę i przyszłość na ziemi i w niebie daje tylko Bóg przez kościół, którzy na cuda go wyzywają niech się temu wiecznie

trwającemu cudowi przypatrzą i niech ręce załamią na śmierć, którą z takim zapałem rozsuwają między swoich.

Kochani moi, oniż serce mają przecie. Niech serce ich oświeci, jeśli nie widzą, niech przeczują tę straszliwą karę Bożą, iż zabijają mieczem, którym zbawić chcieli, bo miecz ten ognisty do kościoła należy. Biada niepoświęconej ręce, która go dotknie, biada sprawie ziemskiej, dla której podnieść się go ośmieli. Słowo Boże to nie igraszka ludzkiej woli, to nie narzędzie ziemskiej chwały ani ziemskiego szczęścia, to szczęście dane będzie nadmiarem, ale tylko nadmiarem. A kupować je sobie zań, ważyć na szalę tego szczęścia i wedle niego przekształcać za świętokruchą myślą, och! to nadmiaru nie będzie, bo nie świętość tam, ale zbrodnia i przekleństwo. Wybaczcie co ja wam tu piszę, boliż bo serce patrząc, ilu pije szaleństwo w pragnieniu życia i prawdy, kochani, ja zawsze to samo mówię, już nim list otworzycie, zapewne co do słowa wiecie, co w nim będzie, bo, kochani, jam tylko dzwon na oznajmienie że przyszedł czas modlitwy.

Ktoby myślał, iż cały mistycyzm Paweł doprowadzi jak wszelkie inne sektarstwo prosto do filozofowania, jednak wynikłość jasna, skoro sądzi kościół, rozum swój wznosi nad wiarę, a czy ten rozum w uniesieniach wyobraźni buja czy zatapia się w sobie, znamie jego jedno, świętokradztwo i owoc jeden i rozproszenie. Nikt nauki Pawła nie przyjął, każdy tylko sławiąc ją katolicką, szukał w niej upoważnienia do własnych rojeń, bo zdjęła święte jarzmo poszanowania kościoła i puściła na oślep w obszary wyobraźni i namiętności.

6 kwietnia.

Mamcia pojechała temu dni kilka.... Znów u nas cicho i tylko myśl podróżnych sięga. Czemu my nie wszyscy razem, kochani? Dante mówi, że niebo wielka róża biała wybranych, nad którą niezgłębiona jasność, Bóg. Czy poeta wyrazić chciał, iż tam wszystkie pamiątki ziemskie łez i szczęścia pochłonięte

w uczuciu miłości przytomnego Boga? Dzień każdy opada ogniem życia spalony, bo dzień skończoności pylinka, a życie potęga wieczności. Jednak radosną pamięcią zmartwychwstać musi nam każdy, bo inaczej nie zmartwychwstalibyśmy cali, brakłoby wieńca promiennego, który duch w zapasach boleści, skończoności wydziera, brakłoby zasługi. Ziemia, jak dumka mówi, myślą naszą zbrana, miłością zasiana, łzami polana, na przyjęcie tu w czasie na kolanach, w pokorze ducha wiekuistej myśli i wiekuistej miłości. Czy ta ziemia kiedyś, kiedy gościnnością za gościnność płacąc wezwie nas Pan ku niebu, ze wszystkiemi skarbami piersi naszych w ogniu pożartą zostanie? Och! nie. Co skończone, skończy się i zepsucie i brzydkość. A co miłości było i piękności pójdzie z nami, bo z Boga przecie było i do Boga wrócić musi. Wszystkie cząstki kościoła, które ręce chrześcijańskie krwawo dźwigały w górę, zdobiły i strzegły, pójdą więc z nami do nieba. Każda pieśń Panu zaśpiewa pieśń miłości, a jednak pieśń własną do żadnej innej niepodobną, bo miłości inną pracą objawionej, inną boleścią stwierdzonej, aby Panu ni jednej chwały nam, ni jednego szczęścia nie brakło i wszystko jak gwiazdy w dzień biały w blasku miłości Bożej zatonie. Józefie, to słowo radości do ciebie, na otarcie łzy, która się może do oka cisnęła.

7 kwietnia.

Trzeba już wyprawiać te kartki, bądźcie mi zdrowi, kochani. W kolej niech idzie pieszczotka, naprzód Zosi, ona najmłodsza, jej pierwszeństwo we wszystkiem. Zosiu, ty się nie gniewasz na mnie? Ty wierzysz, że ciebie Nisia kocha? Ty wiesz, że Nisi tak bardzo trzeba, żeby ty ją kochała, bo jakżeby Nisia mogła jednym ogniwkiem właśnie najserdeczniejszym oderwaną być od kochanych? Zacząć by to było umierać sercem, ale Boże broń i myśl sama straszna jak zmora, idź precz. Zosieczko moja, niech ciebie Bóg ubłogosławi wszelką pięknością i wszelką miłością. A ty Bohusiu, chodź, naprzód

ciebie ciom w czołko, a potem słuchaj: nie wolno się tobie chmurzyć, nie wolno dniami całymi milczeć, nie wolno na ludzi nie chcieć się patrzeć, nie wolno z ludźmi się nudzić, choć oni czasem nudni i, jak dziki człowiek uciekać, nie [illegible]no żadnym sposobem chimerować, bo tobie Bóg Zosię dał. Co uchodziło na pustyni, teraz nie uchodzi, kiedy na tej pustyni aniołek. Aniołek kaprysów pewnie i nie widział nigdy, a jak zobaczy, to się jeszcze przestraszy i weźmie ciebie za tygrysiątko i cóż z tego będzie? Bądźże także aniołek, dobry, miły, słodki, łagodny jak mój Daryusz, pochowaj ślicznie pazurki. Żebyś mi jej nie udrapnął ani razu, ani troszeczkę. A Zosia tobie pokaże kiedy się pazurki we środek schowają, jaka się śliczna robi krągła łapka.

A teraz pomóżcie Józefa upieścić. Do kolan twoich Nisia przypada i tuli się do nich, dziękując za miłość, dziękując za modlitwę i modląc także za ciebie. Boże zgarń nas wszystkich pod skrzydła twoje tam, gdzie tęsknoty już niema. Bóg z wami, trójlistku mój, niech was owieje błogosławieństwo Jego święte.

Nisia.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

SPIS RZECZY.



LISTY

DYONIZYI PONIATOWSKIEJ

DO

BOHDANA I JÓZEFA ZALESKICH

TOM II.

KRAKÓW
G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1900

LISTY

DYONIZYI PONIATOWSKIEJ

DO

BOHDANA I JÓZEFA ZALESKICH

TOM II.

KRAKÓW
G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1900

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

Do pani Konstancyi Rzewuskiej.

Z domu, 9 stycznia 1847.

Kostuniu moja, płacz bierze, że cię listy moje nie dochodzą, przez lato dla podróży i zajęcia częste nie były jak dawniej, jednak czterech miesięcy niepisania na sumieniu nie mam. Serce się kraje na wspomnienie, jak bardzo ty tam osamotniona. Miałam nadzieję, że dotrzesz do Rzymu, że tam wśród naszych będziesz jak w domu, raik dla ciebie choć na kilka miesięcy roiłam, a tu Bóg tyle cierpień nowych i niespodziewanych zesłał. Moja, czemu ja nie z tobą, jak tobie smutno i pusto tam musi być. Gdyby ci Bóg dał zdrowie i siły po temu, lepiej abyś w Rzymie mieszkała, jest tam teraz Aurora [1]). Jeśli się tam dostaniesz, zbliż się do niej, zbliż się na poufałe i bardzo częste widywanie, jakkolwiek to z nią trudno, bo po całych dniach po ubogich, klasztorach i kościołach. Ona ci się rodzajem rodziny stanie. Ale nie wyrywaj się z Wenecyi, dopóki ci tego lekarz nie pozwoli, bo jeszcze gorzej zachorować gdzieś w drodze. Boże cię natchnij, pierwsza rzecz zdrowie. Moja, uzbrój się w pokój, coby nie przyszło, zewnątrz to nas, niechże i zewnątrz zostanie, nie dopuszczaj mu przystępu do serca. Żeby ty wiedziała jaki ze

[1]) Buturlinowa, z domu Poniatowska, siostra Daryusza.

mnie teraz na wiele rzeczy filozof się zrobił. Czemu ja tobie tego pięknego przykładu pokazać z daleka nie mogę? Gdyby duszkę twoją biedną w zbroję jaką ubrać, na którejby się odbijało wszystko. Wierz mi, Kiciu, że do pewnego stopnia zbroję taką można w sobie wyrobić za Bożą pomocą. Dręczą, dręczą, a dusza się cieszy, że dla Chrystusa Pana znieść coś może. Dobierają słów najboleśniejszych, coby do żywego ubodły, a na duszy ześlizgną się, jakby nie do niej mówione, że nawet żyłka żywiej nie uderzy, bo też, moja Kiciu, jakiemby to prawem boleć nas mogło? Wszak przegadać nie chcemy, usprawiedliwienia czekamy od Boga, nie od ludzi. To niech sobie gadają co chcą, a my się tymczasem módlmy z wielką radością i za nich i za siebie. Powiedziano w brewiarzu, że cierpienie niedość jest znosić cierpliwie, ale jeszcze z egzaltacyą trzeba. Wielka to prawda. Nie podołamy mu bez egzaltacyi, jeśli się całą duszą, jednym niby skokiem ku niebu nie wzniesiem i nie przyjmiem je z radością, to nas najpewniej pokona. Mam przekonanie, że najwyższy stopień cnoty to radość, kto do niej nie doszedł, jeszcze nie doskonały. Kiciu, przystrój się, uzbrój radością i w sercu i na twarzy. Wszak Bóg dobry i wszystko na dobre wybranym swym zsyła i dopuszcza. Ufajmyż mu i cieszmy wbrew prześladowaniom i cierpieniu wszelkiemu.

Nie masz pod słońcem nędzniejszego stworzenia odemnie. Nie wartam była nawet krzyża, tylko, jak na pośmiewisko przed aniołami, wszyscy kochają a kochają. Ty nie wiesz co to za upokorzenie, kiedy się czuję taką brzydką na duszy i taką niegodną tej miłości. Świat już zdaje się odwraca, ale co bliscy po dawnemu, serce by z piersi dali. Chryste Panie spłać im dług miłości za mnie tam w wieczności, bo cóż ja im dać mogę, coby im szczęścia trochę przyniosło. Ani nawet modlitwy trochę, bo cóż modlitwa moja warta?

Kiciu moja, jak mi smutno, że ty sama. Dziękuję ci za

wieści o kochanych [1]). Błogosławieństwo na nich wszystkich. Niech się cieszą i radują, ale nie dziś tylko, nie jak zielona gałązka na zielone święta w piasek posadzona, ale niech się m wkorzeni i rozkrzewi na zawsze. Wszak dość ją łez polało, może bujnie wystrzelić ku niebu.

Zapewnie wiesz już dawno o stracie, jaką mnie Bóg dotknął. Wiesz, że Maraja moja biedna już na innym gdzieś świecie. Oprócz ujęcia mi części szczęścia ziemskiego, dla różnych przyczyn, które ci może powiem kiedyś, ta śmierć jej jest mi kamieniem na sercu. Że to tylko Bóg jeden wie i rozumie. Ona umarła w Wenecyi. Matkę jej wziął był w opiekę jakiś pan Manteuffel, dowiedz się co się z nią dzieje, gdzie jest teraz.

Bądź mi zdrowa, koteczko. Pokój tobie i błogosławieństwo. Tak ty mi już dawno nic o Marylątku nie mówisz, a nieraz mi się o niej marzy i ciągle się boję aby gdzieś z gondoli czy z okna w morze nie wpadła. Bóg z tobą, wszędzie, zawsze Bóg.

Całuję cię, nie, nie całuję, jakoś inaczej, zbieram ciebie całą i sobą okrywam od złego i nie daję. Bóg z tobą.

Dyźcia.

Do pani Konstancyi Rzewuskiej.

Pielawa, 11 lutego 1847.

Kostuniu moja kochana, czy odebrałaś już długi list mamci z Kijowa z moim przypiskiem? Kochana moja, cząstko moja duszy i ciała, kto tobie wypowie niepokoje moje o ciebie, o te dni co zbliżają się, nie wiem chmurne czy cudem łaski Pańskiej pogodniejsze od tych, co przeszły. I chciałabym mówić ci o nich i nie śmiem, nie umiem. Chciałabym anioła

[1]) Józef i Bohdan Zalescy.

ci posłać, coby ci nowe życie zwiastował, nowe prawdy w prawdach co znasz, coby ci w krzyżu nie boleść ale szczęście i chwałę dał uczuć tak, iżby on lekkim był tobie niezmierzoną i niczem nienasyconą miłością Bożą. Nie zatrzymuj się uczuciem nad tem, co tylko przykrością, niech wiele pocisków ześlizga się na tobie, bo niegodne, aby chrześcijańską duszę dotknąć mogły. Niech tobie nieprzestannie będzie na myśli, że pokój to cnota, wielka, ważna, święta, niezbędna wszelkim innym, którą ciągłem usiłowaniem wyrabiać w sobie musim. Kiedy się chmurzy w koło ciebie, zostań pogodną. Kiedy u innych burza, niech w tobie będzie cisza i miłość i przygarnienie się do stóp Chrystusowych. Niech on ci świadkiem będzie, że ty kochasz i tych nawet co kamienują. Może, Kiciu, lepiej będzie, niż my się spodziewać śmiemy. W takim razie bez żadnych marzeń na przyszłość, bo w ręku ona Boga, niech się obecnością duszka twoja biedna uraduje, odświeży choć chwilkę. Bóg dobry, Kiciu, Bóg dobry i na dobre wybranym swoim wszystko kieruje, a wybrani jego nie sami tylko niewinni ale i pokutujący. Moja, wracaj nam już prędko. Odżyjesz z nami, co cię kochamy. Źle się stało, żeś tak sama jedna, biedna, biedna błąkała się po świecie.

Jak ja ciebie kocham, jak ty mnie bolisz. Ale w tej miłości, w tej boleści jest i szczęście, bo wiem, ufam gorąco, wiem pewnie o łasce Bożej, że ty kiedyś chwałą w niebiesiech zabłyśniesz, że się tobą anieli wszyscy ucieszą.

Moja rodzona, kochana, zdrowie duszce i ciałku twemu. Bóg z tobą, zarzucam łapki na twoją szyjkę i całuję, całuję.

Dyściu.

Do pani Konstancyi Rzewuskiej.

Z domu, 1 marca 1847.

Droga moja, kochana, jak się ty masz? Czy odżywasz wiosną, która już do was przyjść musiała? Czyś wstała już z łóżka? Jak ja mam niepokój o ciebie? Dziękuję ci za kartki twoje. Wiem co cię one kosztować muszą w niemocy i cierpieniach twoich. Kiedy ja ciebie obaczę? Prawdę ty mówisz, Kiciu, że się ledwie poznamy, trzy lata więcej ciężaru życia, to bardzo wiele, a nasze jedno lato to czemuś takie, jakby życie całe u innych większym pokojem obdarzonych. Ale, Kiciu, mnie już odtąd tak nie będzie. Nietrzeba, dziecinko, żeby się ty już troskała o mnie. Tym, co dzieci nie mają, życie osobiste, ziemskie, kończy się z młodością, a po niej pokój, głęboki pokój, jak wszystkim umarłym. Przyszłam już, Kiciu, do tego szczytu życia, na którym każdy zatrzymuje się chwilkę i ogląda przeszłość swoją jako całość już zamkniętą. Może na nią ostatnia krwawa łza spłynąć, ale przyszłość jasna, cicha, bo w niej już mnie niema. A miłosierdzie Boże wielkie, ufam w nie, Kiciu, jeśli ono mnie nawet nie opuściło, obejmie was w ramiona i przytuli bardziej łagodnie, bardziej słodko i miłośnie niż matka dziecię. Moja, kiedy ja ciebie obaczę? Mamcia się ciągle do ciebie wybiera. Czeka na paszport ale wątpię, aby go mogła otrzymać. Tymczasem wiosnę u nas przepędzi. Gdyby ty, z daleka na osadę naszą spojrzeć mogła, wśród stepu, nad rzeką, pięć ogromnych pokoi (bo się jeszcze od wyjazdu twego powiększyły), bawialne niby gaik, tyle kwiatów i zieloności, a w niem rój dzieci, i drugi rój młodziusieńkich chłopców smukłych, żywych, rozprawiających, ale nie bardzo wesołych, bo nie w wesołe dnie wzrosłych. Z niektórych będą ludzie. Wszyscy razem, starzy, młodzi, dzieci, od rana do wieczora uczym się to w książkach, to z własnej myśli, a na odpoczynek pieścim twego Adasia, najmłodszego z całego gronka.

Garnę ciebie i tulę do serca, moja biedna i kochana, twoja

Dyzcia.

Do pani Konstancyi Rzewuskiej.

22 czerwca 1847.

Kostuniu, tęskno za tobą, moja rodzona. Kiedy ja już ciebie obaczę? Jednak wiem, że tobie dobrze tam teraz i nie chciałabym ująć ci szczęścia ani pół chwileczki. Och! nie, uchowaj Boże, Kiciu, napoj się miłością i napoj miłych, odetchnij tam między niemi, naczerp życia dużo, dużo. Co listów twoich musi czekać na mnie w domu, bo, Kiciu, niepamiętne czasy jak wędruję po świecie i ani czytam, ani pracuję, ani wieści mam od kogokolwiek; byłam u mamci, ale niedługo, bo mamcia domek przerabia i sama dość wyjeżdża, a mnie także niejedna gospodarska konieczność do domu naglila. Ale się inaczej stało; wypadła mi droga na Żytomierz, tam oczywiście serdeczne odwiedziny pań naszych kochanych nad rzeką, znajomi, potem droga na Kiczkiry [1]). Zmienione do niepoznania, oficynka wygodna, domek się poprawia, maluje, prawie gotów. Chwała Bogu, że niepotrzebny ci będzie. Dalej do Maurycego [2]), który, jak powiada, tysiąc ośmset ma synów i tyleż córek, pracy więc mnóstwo. Co to za godny człowiek, Kiciu, jak Boży dzień na polu, to w borze z robotnikami, wszystkich zna, o każdym pamięta. Każdemu u niego pomoc i uczczenie dobrem słowem. Zdaje się, że oni teraz jedynym celem, jedyną myślą jego; po tylu bolesnych stratach, tylu zawodach zrozumiał, że tyle to i naszego co zostawim dobrego po sobie. Kilka dni przepędziliśmy u niego, teraz dru-

---

[1]) Majątek pani Rzewuskiej.

[2]) Poniatowskiego, brata Daryusza.

gie kilka u cioci Józi, u której wypoczywam, kaprysuję i rozkoszuję na przepadłe, wszędzie nas pełno w ogrodzie, w lesie. Darcio do Kijowa pojechał, a ja tu próżnuję. Z jego to łaski, kilka tygodni przewędrowałam jak konik polny w bajeczce, bujam sobie, ale jak przyjdzie zima, a ja domku nie pilnuję, a on się nie skończy, chociaż gromadka coraz się powiększa, będzie źle, bardzo źle. Liczę na ciebie, Kostuniu, musisz nie w jednem mi pomódz. Chciałabym ci o znajomych co donieść, bo widziałam ich dużo teraz. Ale nic dobrego niema. Wiele w tym roku było pożarów, a więc i ogromne straty niektórym. Dyonizemu wielka część wsi, Michałowi fabryka cukrowa, i nam tok zgorzał, dobrze to jeszcze póki nieszczęściu majątkową stratą okupić się można, ledwie się ją śmie stratą nazwać. Zresztą nic u nas nie słychać tylko o cukrowarniach, o pszenicy, fabrykach, machinach, łanach buraków. Jeszcze nas nigdy nie była przemysłomania tak zupełnie ogarnęła, a ma ona i niezłą swoją stronę, przebudziła najuporczywiej dotąd śpiących i w ruch wprawiła, a o człowieku rozpaczać się nie godzi, skoro jakikolwiek znak życia daje. Co większa, niewątpliwie poprawia się stan włościan, gdziekolwiek stanęły fabryki, dotąd przynajmniej.

Za miesiąc, Kiciu, wyjeżdżamy do Odessy, à mon corps défendant, bo choć płacz, tak mi się nie chce, dla różnych przyczyn, których ci nawet wymienić nie mogę, oprócz domu dzieciąt i nudy, która tego roku będzie ogromna dla mnie w Odessie. Nabiorę książek, zamknę się i będę czytać; po naradzie z mamcią stanęło, że podobnie Adasiek z nią zostanie, ale to jeszcze Aleksander [1]) rozstrzygnie. Juncia [2]) także zostaje. Sama więc jedna z Daryuszem wyjadę. Przyjeżdżaj, Kiciu prędko, to do ciebie wrócim, a bez ciebie obaczysz, że

---

[1]) Orłowski.

[2]) Siostra pani Poniatowskiej, żona Aleksandra Orłowskiego.

do późnej jesieni ugrzęziem. Nie myśl, że ogólnie Odessy nie lubię. Owszem bardzo, tylko nie tego roku.

Dobranoc, Kiciu, ciocia Juncia przysyła mi zegarek na dowód, że to już straszna godzina. Moja, co to będzie do gawędki jak wrócisz. Od kiedy wiem, że cię już prędko obaczę, czemuś i pisać nie mogę, bo też i namnożyło się tych rzeczy, co to tylko mówić o nich można. Jedynaczko moja rodzona, do kogo adresować listy będę, jak ty z Wenecyi wyruszysz. Już em ci o tem kilka razy wspominała. Bóg z wami i pokój Jego święty. Jeszcze pieszczotka tobie od twojej własnej.

Dyźcia.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

25 czerwca 1847.

Zgadnij skąd piszę do ciebie, Józefie? Zacisznie tu, spokojnie, zielono jak w raju, i jak w raju, o biednej ziemi tu nie słychać i modlić się tak dobrze, bliżej niby do nieba, ledwie skrzydeł anielskich w przelocie nie dojrzysz. Domek stary nic się nie zmienił, tylko się cząstka salki szklanną oddzieliła ścianką, dały się za nią ogromne do dołu okna i tam oranżerya. Z niej, że ciepło, emigrowały wszystkie kwiatki na podwórze, a na ich miejscu korzystając ze słońca, które tak doskonale tu dopieka, kąpie się Nisia w promieniach jasnych i skwarnych. Aż jej lepiej. Zimno ciałku, bo cała krew w sercu. A dużo jej, dużo i gorąca, że ledwie piersi czasem nie prysną. Czemu jej Bóg za gwiazdkę moją nie weźmie? Prawda, że nie warta. Otóż, najmilsi, wypoczywam tu od dni kilku przy naszej kochanej cioci, dobrej jak zawsze była, macierzyńsko miłosiernej. Już od dwóch lat zamknęła się tu i pracuje niezmordowanie, aby, jak mówi, po śmierci o niej pamiętali. Żywego ducha z salonowego świata nie widuje, za to jak Boży dzień na polu, w ogrodzie, po chatach. Spaliło

się ich kilka tego roku, o tyle jej pracy przybyło. Sama pilnuje, planiki robi, ale najważniejsza sprawa zaprowadzenia sadu przy każdej chacie, to jest polepszenie bytu w dwójnasób, bo sad teraz to prawie lepiej niż pole. Och! dobra ona, dobra, Józefie, zdrowa i pogodna, straszne smutki dawniejsze ustąpiły przed uporczywą pracą dla bliźnich, praca bo po modlitwie jedyna od szaleństwa obrona. Ona jedna do rzeczywistości zwraca biedne nasze dusze, co ku niebu wznosić się nie mogą, bo ziemi nie tknęły ni razu. Ale niech nie podbiegą młodzieńce, niech nie pochwycą za ręce, bo młodzieńce rzeczywistości nie znają, choć cudniejsza stokroć od ich marzeń. Wprawdzie z marzeniem żyć łatwiej, niż z rzeczywistością i weselej. Biedni, to kropla miodu na brzegu gorzkiego kielicha. Żal mi tych co marzą, niby widzę dziewczynę, co szczęśliwa na brzeg morza wybiega, czekając miłego co chwila, kiedy ja wiem, że on dawno, dawno już śpi na dnie fali i nie wróci do niej nigdy; darmo czekać na ziemi, bo choć jest szczęście, serce gościowi temu nie starczy. Uważałeś dziwną rzecz, Józefie, że szczęście człowieka boli. Kiedy błyśnie przelotem, to jak deszczyk na zwiędły kwiatek do reszty listki osypie. Człowiekowi ni szczęścia, jeno pokoju. Niech już myśl nie lata, niech już serce nie bije, dość już dość wszystkiego. Cichej tylko pracy i cichszej modlitwy dla kochanych, za kochanych, ale od kochanych daleko, bo zbliska taje serce w miłości, a odlecić jeszcze nie wolno, jeszcze dzienna nieskończona praca.

Z domu, 22 października.

Od cioci wróciłam do domu, pogospodarowałam trochę, potem przez stepy wzdłuż Taszliku i Limanów do Czarnego morza. Ale nam zły rok teraźniejszy i tam Bóg udręczenie zesłał. Biedny mój Daryusz pośliznął się w łazience zawsze słoną morską wodą zlanej i nogę zwichnął. Całe sześć tygodni z fotelu ruszyć się nie mógł. Ale już teraz, kochani, za

pomocą laski wprawdzie, ale śmiało i pewno stąpa aż mi słuchać miło jak idzie z drugiego pokoju. Po całych więc dniach w jego pokoju mnóstwo znajomych było różnych, i mili i szorstcy i kochani mimowolnie i kochani z obowiązku, ale nudnych nie było, bo to grzech Nisi kiedy bliźni nudni. Niema nudnych na świecie (choć ja kogoś znam co temu nie wierzy). Tego roku większość była szorstkich jak niegdyś w Odessie i nie swojo, nie domowo, i ciepło sercu Nisi było, aż przyjechała Kostusia moja biedna rodzona. Moi, moi, nikogo się tak dziwnie nie kocha, jak tę co z nami pierwszem, najlepszem życiem naszem żyła, której od urodzenia to samo słońce, te same kwiatki, ten sam śnieg błyszczący, to samo o tej samej godzinie mówiły co nam, której pierwsze łzy, pierwsze wtajemniczenia w ciężkie i trudne życie, te same były co nasze. Czasem mi się zdaje, że ona więcej niż ja, bo się od owych dziwnych naszych na pół bajecznych, mniszo-rycerskich czasów dzieciństwa, daleko mniej zmieniła odemnie, lepiej je pamięta. Kiedy jak o zaczarowanym kraju opowiadać zacznie, że się powoli ze snu zapomnienia, jak w dzień sądu budzi i przesuwa powoli przed myślą tak zupełnie inszą, po sercu co już nie czuje, tylko patrzy jak po śmierci, straszno, straszno, bo przepaść co nas od niego dzieli, nikt nie wie co nam pochłonęła. Stoim tak ogołocone obie, że prawdziwej nędzy naszej nigdy jeszcze ani jednego razu, żadna z nas, nie wyspowiadała nikomu, bo są odczarowania, które zgorszenie przynoszą, tak je ludzie trudno bez ubliżenia miłości bliźniego pojmują, o których więc pod grzechem milczeć należy i litości tylko Bożej przez usta spowiednika powierzyć. Przyszło nam powoli do tego dziwnego stanu, który sobie kto nie doświadczył, wyobrazić trudno potrafi, iż nie wierzym w nic, prócz w objawione prawdy wiary. Nie liczym na nic nigdy, tylko na wpływ Boży, na cuda. Dla nas prawdopodobieństwa ludzkie nie istnieją. Ani nam na myśl przychodzi zaufać po ludzku jakiemukolwiek uczuciu, oprzeć się na czy-

jemkolwiek męztwie. Wszystko jest jakby nie było, bo się lada nieprzewidzianej chwili zmieni, ulegnie. Najpotężniejszego zwalczy nuda, najczulszemu straszna przyjdzie godzina próżni i na siebie liczyć nie można, jak drudzy tak i my sami opuszczamy siebie i nas toczy nuda wszystkiego, nawet miłości.

Jedno tylko nasze co się nam nie odejmie, chyba umyślnie szataństwem zamorzym w sobie, głos, krzyk bolu do nieba, A Bóg, który go sam wzbudził, bo i głos to pierwszy cud odpowie tchnieniem ducha światłości w ten odmęt boleści w próżni, wiarą. I stworzy świat nowy temu, któremu świat w objęciu niknął, świat bezwzględnej pewności i większego trwania, na szczęście w tym świecie da mu miłość Bożą, aby rozkosznie mu było w wyrzeczeniu i mękach, a na moc da modlitwę, rózeczkę co światem rządzi, cuda na nim siejąc, i jak po ludzku na nie liczyć nie można, tak po Bożemu nic niepodobnem nie jest. Ogromne pole działania roztacza się przez ziemię całą od piekielnych otchłani do podwoi niebieskich, jest pociecha na każdą boleść, nadzieja na każdą zbrodnię. A ludzie dziwią się pracy i że kochać tak gorąco można niedobrych i nikczemnych. Biedni, oni proroczej miłości nie znają.

Myślałam, że lat kilka między obcemi zatrze cokolwiek wrażeń młodości u mojej Kostusi i że, choć trochę, pogodzi się z ludźmi po ludzku. Nie, gdzie raz przejdzie zwątpienie, tam nie porośnie ułuda. Wzrok ostrza nabywa i przenika do głębi, gdzie ułomność. Moja Kostusia droga zmieniła się mało, schudła tylko, zmarniała i do mamci się podobna zrobiła.

Od powrotu swego nie chorowała Kostusia, choć podróż utrudziła ją bardzo. Nie blada, oczki po dawnemu świecą, główka i rączki po dawnemu czynne, serce po dawnemu kocha. Jak ona was kocha, najmilsi, opowiadała o was długo, ale nie dość i zasmuciła się Nisia, bo obrazka Zosi nie przywiozła. Ja ją sobie tak ślicznie wymalowałam w myśli jak żywą, a teraz nie wiem czy podobna. Kiedy ja ją na prawdę

obaczę? Moi, moi, ale do was, do was. A surowa cnota zdaleka stoi, taka sroga i mruczy: Mieliście dwa pożary tego roku, niechno się szkody trochę powetują, dziecięta małe niechno trochę podrosną, a wyuczysz kogo chodzić koło nich na twojem miejscu.

Okropnie kiedy wielkie serce z długiej zadumy i z bolu szaleje, a ludzie, jak złe duchy, szepcą mu wciąż: jeszcze, jeszcze, bo nie wierzę, nie wierzę aby nie szeptali. Boleść siła, na pochlebcach jej nigdy nie zbywa, a potem są istoty, którym się zdaje, że na wszystko złe, ogólne i jedyne leki, burza. Zapewne za leki bo po niej śmierć. Zapomnieli tylko, że w fizycznej jak w moralnej śmierci niemasz pokoju, jeno świętym, a grzesznym katusze. Zapomnieli, że samobójstwo to, nie męczeństwo. Zapomnieli Chrystusa i że nie masz owocu dobrego na złem drzewie, że najstraszniejsza pomsta Boża nie zawsze z zewnątrz przychodzi, ale ją w dziełach naszych zasiewamy sami, pielęgnujem sami, aż dojrzeje i pozrze nietylko nas, ale i te dzieła, w których wzrosła.

Z domu, 10 grudnia 1847.

Powiedzcież sami, jak tu na cuda Boże nie liczyć? Czytam i odczytuję ostatnie wasze kartki, kochani. Czy wy sami zrozumieli dobrze, co wy niemi zwiastowali? Czy wy nie na kolanach pisali? Czy wam się cień smutku mógł zostać? Zbieram ducha i ważę w cichości wszystkie boleści, troski, zawody, wahania, sromoty, wszystkie krzyże najcięższe, moje i nasze, i pomimo wszystkich, mówię uroczyście: teraz umrę spokojnie, bo dożyłam miłosierdzia Pańskiego. Opuszczeniż bo my byli jakby i aniołowie stróże zapomnieli o nas? Byle ofiara, byle zasługa przed Bogiem, kochani.

Drży mi serce i w piersi pieśń głośna, że się aż o próg nieba obijać musi, bo przed oczyma Nisia ze słowem pokoju i zgody na ustach, przywykła do goryczy, starej naszej

wasni. Zdaje mi się, że marzę, porozpisywałam do moich, cieszcie się, cieszcie wy nie wiecie jaki Bóg dobry.

Poszaleli na filozofii niemieckiej, a wiecie jaki to straszny ma wpływ na wszystko, jak serce wysusza. Nie podołamy ludzką naszą tylko mocą, trzeba nam modlitwy, trzeba błogosławieństwa, któreby nas upoważniło przed Bogiem do tego dobrego uczynku i nadało siłę, sprawcie nam to. Boję się wprawdzie czy nie nadużyjecie łaski, wzywając jej na to źdźbło słomy, na to nic, ale znów myślę, że łaska stwarzać może z niczego, bo inaczej nie byłaby łaską. Proścież o modlitwę, o błogosławieństwo, aby zajaśniał nam cud, aby wątli wiele uczynili, mało wiedzący nie błądzili, grzeszki na proste ścieżki braci naprowadzili i razem się z niemi zbawili. Proście szczególnie szanownego naszego, kochanego P...., któremu ze łzami miłości i wdzięczności do nóg się składam, jego Bóg pewnie wysłucha.

Z domu, 10 stycznia 1848.

Cóż to za złote serce waszego Ludwika [1]). Przylgnął jak swój i niby my od wieków jedna myśl. Wychowujem się wspólnie, kształcim, modlim, pracujem i Bóg zdaje się błogosławi, i jak umiemy, godową oblekamy szatę. Nie myślcie jednak, że jak braciszki zamykamy się w celach. Wszak nam w świecie żyć wolno. Braciszki więc nie stronią od znajomych i przyjaciół. Owszem, zaśpiewują z niemi serce. My, kobiety, mamy teraz ręczną ogromną pracę. Ludwik stawia śliczną kapliczkę, ale śliczną w całem znaczeniu tego słowa, gotycką. Brakuje mu tylko różnowzorowych okien. Robim mu więc surpryzę, do której nam rad swoich udziela, ale się niby niczego nie domyśla. Wypisałyśmy z Genewy przepis przekła-

---

[1]) Jankowski.

dania sztychów na szkło, bo żadna z nas dość wielką nie jest artystką, aby się na rysunek obrazów całych odważyła i te przeniesione sztychy kolorować się będą olejno. Ogromna robota do całego kościółka, ale za pomocą Bożą musim jej podołać.

Gdyby wy okiem rzucić mogli w nasze zakątki! W żadnem mrowisku tyle niema ruchu, pracy, życia. Patrzym w niebo i bijem się ku niemu. Nie wesoło nam jednak. Pan kazał żyć i pracować, to żyjem i pracujem, ale czy pracujem dobrze, któż z nas wie? I smutno nam, chyba Pan wejrzy tem wejrzeniem, co się go czuje aż do ostatnich głębi istności swojej, że się człowiek rozradować musi, choćby się na brzegu przepaści czuł. Czy wam się nie zdarzało rozradować tak jedynie z obecności Jego na ołtarzu? Ufamy, iż biednych, ciemnych, niemocnych ręką swoją prowadzić będzie i idziem śmiało, śmielej może i prędzej, niżby się po nas spodziewać można.

21 stycznia.

Toż więc prawda, kochani, że wam Bóg pobłogosławił, że gość nowy przybywa, kochany, czysty dar Boży. Pierwsza myśl o nim niech będzie modlitwą, błogosławieństwem, bracie mój drogi. Patrz czy Bóg dobry i czy o swoich pamięta, czy wie czego komu trzeba. Módlmy, módlmy wszyscy razem, Marya niech opieką was swoją osłoni.

23 stycznia.

Bazgrzę te kartki, kiedy za wami już aż w duszy boli. Ani wiedząc czy obaczycie je kiedy, ale nudno niby z wami gawędzić, a wy nie słyszycie i opowiadać się nie chce. Idźcie sobie, kartki; puszczam was na wiatr, dojdąż do was? Doniosąż wam wierne pocałowanie?

Najmilsi, czy wy rozumiecie te łzy co się o was zbierają w sercu i ciągle upominają o was? Mniej smutne jednak

eraz nieporównanie; od kiedy wy trójlistek, kamień mi spadł duszy. Jest ktoś co popieści. Jak Bogu podziękować za Zosię? Zosieczko, rączki twoje ze łzami całuję za to, że ich kochasz. Błogosławieństwo na ciebie, na całe gronko kochane. Garni was, tuli, pieści, całuje każde z osobna po starszeństwie.

Nisia.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

15 lutego 1850.

Serce za wami płacze, płacze, kochani. Jakby was przygarnąć, przytulić, od złego obronić? Wy gdzieś daleko tacy smutni sami, że umrzeć się chce, bo może wyzwolonemu duchowi więcej dano będzie uprosić dla was i dla wielu. Kochani, czy wy mnie jeszcze choć troszkę kochacie? Mnie się zdaje, że już nie, bo już może nie wierzycie miłości mojej dla was, choć ona tak wzrosła w duszę, że z nią jest jedno i kto mówi Nisia, mówi ta co was kocha. Od kiedy mi ta myśl przyszła, że wy o mnie zwątpili, to jest Bohdan, bo nie mam tego przeczucia o Józefie, on mnie na ręku wynosił, podsłuchał każde uderzenie serca i wie o mnie wszystko, otóż od kiedy mi ta myśl przyszła, podobieństwa niema pisać do was. Co zacznę, urywa się, bo widzę jak przedemną stoicie smutni na mnie i nic nie mówicie, tylko patrzycie jakby ze skargą.

Kochani, kochani, nic ja wam nie zawiniłam, liczę się z sumieniem, nic, och! nic. Co mam najdroższego, ciężko wywalczony pokój, który mi czasem na dni kilka serce ukołysze i to największe, jedyne dobro moje, oddałabym za was, kochani i oddaję Bogu, jeśli nim dla was pociechy trochę okupić można. Lżej mi teraz, popłynęło łzami co ciężyło oddawna, teraz odważniej przyjdę do was na gawędkę. Dawno jej

nie było, od ostatniej tak się na pozór nic nie zmieniło, że gdyby o tem tylko mówić co ludzie widzą, nie byłoby wam co donieść. Wielu zesmutniało, wiele myśli, które się coraz gwałtowniej wytężały w przyszłość, wyglądając tuż przybywającego królestwa Bożego, tak dziwnie, tak ziemsko zrozumianego, opadło na rzeczywistość i jakby nieznaną dotąd, przeraziło. Obrana z marzeń za ślicznych na tę ziemię, zdaje się już zimna, opustoszała jak nigdy, niby step nasz w jesieni, bezbrzeżna, szara, ni przytułku w niej, ni drogi, ni kwiatu na grobach; gruba, jednostajna chmura zdaje się, że od Boga samego dzieli. Ale dobra człowiekowi boleść. Co krępuje to wzmacnia, mówił stary de Maistre, który choć na ten raz przynajmniej prawdy nie przeskoczył w zapędzie, wzbujała była nadto wyobraźnia nasza, cała siła szła w tęczowe widziadła. Zamieszkaliśmy w snach, jakby w rodzinnym domie, rzucając z pogardą prawdę życia tym, którzy się tylko wlec umieją w prochu doczesności. Dla nich ta prawda tak pozioma, że na jej poznania dobrej woli tylko trochę potrzeba i łaski Bożej nie zbywającej nikomu, tak pospolita, że tylko serce uciszyć a ozwie się przekazaniem naddziadów, gdzieś na dnie ducha mimo nas żyjącem, tak w obietnice uboga, że tylko na ziemi o cnocie mówi, walce i piękności, o lepszem tylko w przyszłości, a zupełną sprawiedliwość zostawia wieczności. Dla nas jasnowidzenie, prorokowanie, iż spełnią się czasy, extazy. Jak święci na widok Bożej chwały, tak my w rozpamiętywaniu własnej wartości i oczekiwaniu, o tak prawdziwie w dobrodusznej naszej pysze, w oczekiwaniu, już to wniebowzięcia nie, bo trzeba by się z tą ziemią rozstać, czego żadnym sposobem nie chcemy, ale co wygodniej, spuszczenia się niebios ku nam, jakbyśmy czyści byli i święci. I kiedy tak w nibyto jak dzieci bawim się na seryo, kiedy marzenia za objawienia dajem, zapominając w bluźnierczem szaleństwie naszem przekleństwa na fałszywych proroków, czas bieży marnie, jedyny może. Bodajby ból nasz choć na przebudze-

nie posłużył, bodajbyśmy choć raz trzeźwo na świat i na siebie spojrzeli i poczciwie, wytrwale, pokornie, a ufnie w Bogu rękę do pługa przyłożyli, oczu za siebie nie obracając. Wielka plaga wieku naszego, przepaść przed nami otwarta, to nie racyonalizm ale mistycyzm[1]). Suchy racyonalizm sercu nie starczy i spragnione prędzej czy później szukać musi źródła żywej wody. Mistycyzm to woda, ale zatruta, gasi pragnienie ale na śmierć; co najpiękniejszego w człowieku, wiary, nadziei, miłości nie ściera, ale je od właściwego ich celu odwraca. Racyonalizm odzierał człowieka ze wszystkich władz i piękności, rzucał go złemu na pastwę, niby machinę do myślenia z popędem tylko ale bez woli; mistycyzm rzuca mu go w całej jego potędze i krasie, w uczuciu szczęścia, iż używa najrzadszych darów Bożych, tak, iż nic opamiętać go nie może, nic oczu otworzyć, chyba cud łaski Bożej, prawdziwie ułuda, której, gdyby być mogło, i wybrani daliby się uwieść. Módlcie, kochani, módlcie dzień i noc. Niech ten szatan straszny, jakby antychryst zwiastun, oddali się od biednej krainy naszej; przychodzi niby pobożny, śpiewny, smutny z niebieską nadzieją na ustach, kładzie rękę na ranach, liczy i rozdziera głębokości niby probując, a jak otwarte krwawią na świeżo, pocałowaniem jad wlewa. Znacie nowe tłómaczenie modlitwy Pańskiej? Odpowie przed Bogiem, kto słów Chrystusa użył jak kamieni przeciw niemu. Kto w prośbie własnej Jego: przyjdź królestwo twoje, uczy, iż prosim o królestwo nie Jego, bo o królestwo tego świata, iż proroctwa ściągają się do ziemi nie do nieba, jakby ona w jakimkolwiek czasie przestała być kiedy ziemią wygnania, iż przez ośmnaście wieków nie wiedział kościół o co prosił, iż dotąd kościół ten Ducha św. nie miał, bo on dopiero obiecany jest i oczekiwany, a więc prostem następstwem i omylnym być musi, że teraz dopiero spełniają się czasy o proroku. Skądże wiesz,

---

[1]) Towianizm.

że się spełniają? Skąd wiesz czego kościół, jak mówisz, nie wie? Kto cię posłał? Przeciwko tobie i tobie podobnym jasne w Ewangelii ostrzeżenie. Choćbyś i cuda robił, nie dowiedziesz posłannictwa, bo pasterz drzwiami tylko wchodzi, bo antychrysta cuda niby czynić będzie. Kochani, serce drży o nieumiejętnych i słabych, a najbardziej o pysznych.

2 lutego 1850.

Dziś twój dzień, kochany, daleko od kościoła, w braku księdza, który się dziś od parafii oddalić nie może, wczoraj przynajmniej uprosiliśmy go sobie i Mszę św. mieli, a dziś całym domem za ciebie i twoich co cię poprzedzili i tych co z tobą pracują i modlą, posłaliśmy wiele, wiele miłości do Matki Boskiej, do podwójnie Matki waszej, bo wy sieroty. Jakież ci błogosławieństwo posłać, mój rodzony? Pokój tobie, pokój z Bogiem, pokój w twoich. Niech serca twego nie zalegnie nieprzebita chmura, smutek wielki co jak kamień odchylony grobu zapadł na nowo, bo Bóg może czego człowiek nie zdoła i nie trudniej mu dziś niż było kiedyś. Niech Zosia rękę na piersi twojej położy i niech się tam wszystko uciszy, ukoi, bo ona posłannictwa ma pokoju, niech głoski dziecięce ukołyszą co jeszcze wre i boli. Niech one mirem będą między tobą a Bogiem. Kochany, drogi, ty druhu mój po łzach, dopókiż boleć i chmurzyć? Przypomnijno, przypomnij ile to my już przeżyli, ile nam szczęścia, jak róży żółtej, przekwitło w pączkach, ile siły się zużyło, ile mądrości nabyło gorzkiej, ciężkiej, co jak naga pustynia oddziela od ludzi, ileśmy samotni przedumali na tych wyżynach, gdzie nikt nie słucha, prócz Boga i konali z pragnienia miłosierdzia. Toż i koniec już, kochany. Już młodość i wiek męski i starość i śmierć przeżyta. Dla nas już niema jeno zmartwychwstanie. Jak u nas w lutym śnieżno i pusto na ziemi, a niebo jasne, promienne, bo wiosna ot tuż, tak nam choć zamieć wokoło, pokój niech będzie w sercu, pogoda na licu, bo czyżmy o wio-

śnie nie wiemy? Przeznaczenie do walki, miłości i pieśni niech jak Cherubinowie z mieczem w dłoni, czyści będziem, piękni, łagodni i cierpliwi, bo czyż my już nie po śmierci? Czy miłując miłujem dla siebie? i pragnąc pragniem dla siebie? Czy gniazdka nąsze nie czujem za tymczasowe? Czy nie łamiem chleba jak Chrystus w Emaus z wiedzą, że wkrótce odlecim? Boże, bądź nam litościw jak kiedyś wrócim do Ciebie i daj abyśmy ci wielu, wielu do godowej twej sali przywiedli, a dopóki na ziemi, bojownikom twoim daj moc.

Czytasz z uwagą i myślisz sobie czemu ona mówi do walki, miłości i pieśni, jakby to każde z nas śpiewać umiało. Każde, kochany. Kto kocha, ten zawsze prześlicznie śpiewa, jednych słyszą tylko aniołowie, a drugich i ludzie. Niejednakie też pieśni, jedni je z marmuru kują, drudzy tworzą z mowy ojczystej jak z rosy kropelek, w których się światło mądrości Bożej odbija; inni z kamienia serc ludzkich.

12 lutego.

Dwa tygodnie prawie nie wróciłam do zaczętego listu i rzuciwszy okiem na to, co napisane, zaśmiałam się, że po tak długiem milczeniu pierwsze prawie uczucie co mi z serca ku wam wylało, to skarga na mistycyzm. Dziwne to tylko na pozór, w istocie bardzo proste i naturalne. Co pierwszą i ostatnią myślą jest naszą, jeśli nie chwała Boża? Co jedynem dobrem kochanych, znanych i nieznanych, jeśli nie zbawienie? Co najgorętszą nadzieją, jeśli nie jedność w Bogu na ziemi i złączenie w Bogu w niebiosach? Najbliższa troska wychyliła się więc pierwsza.

Moi wy, moi, jak tam u was zmieniło się? Ilu was przybyło mi do kochania, od kiedy was niewidziałam? Troje ślicznych jak kwiatków na wiosnę. Nie umiem was sobie teraz wyobrazić. Gdyby to wy dobrzy byli a napisali, żebym was teraźniejszych zrozumieć mogła. Zrozumiałam ja trochę z włosków przysłanych, ale nie ze wszystkiem. Och! te wło-

ski! Zosiu, Zosiu, jak cię kocham, kokietka z ciebie, już ty wiedziała, że jak Litwa i Korona, takich włosków nigdzie nie ma. Dobrze, że na siłę czarne u chłopczyka, a na anielstwo jasne u dziewczynki. Zabrałam je od Kici do tego pularesika co to moje najmilsze zawsze mieści i z którym się dzień i noc nigdy nie rozstaję. Kicia je ma za swoje ale jej nie oddam, i to bez skrupułu żadnego bo mam czucie pewne, niezawodne, że one moje i dziecięta moje. Zosia moja, i wy moi, wszyscy moi, moi, moi i nikt mi was nie odbierze, bo mi was Bóg dał sam, powtarzam to sobie i Bogu ze łzami bo gorzko mi było długo, kiedy mi się zdawało, że wy się mi odebrali.

Teraz wam trochę o nas powiem.

. . . .

. . . .

Przypomniałam sobie w ten moment jak poczciwe nasze antenaty kładli zawsze na początku listów do rodzeństwa: „sercem kochany bracie dobrodzieju“ i zawsze mi się to trochę dziwacznem zdawało. Otóż z latami przyszłam do rozumu i widzę, że mądrze kochali. Pomyliłam się niechcący, miało być pisali, prawda i jedno i drugie, i mądrze kochali i mądrze pisali, bo tylko sercem kochanie dobre, prawdziwe i szczęście przynosi, a jest drugie wyobraźnią, na pozór świetniejsze, czulsze, poetyczniejsze, a z którego bicz tylko straszny na nieszczęśliwą wybraną istotę. Niewyrozumiałe, wymagające zawsze w tragicznem usposobieniu, w wymówkach, albo znów chodzi jak ofiara, bo nigdy o sobie zapomnieć nie może. Boże odpuść, nie wierzę takiej miłości.

U mnie pierwszy dowód miłości nie dręczyć, choćby i z najpiękniejszych pobudek. Pierwsze znamię prawdziwej miłości pokój w pożyciu, bo miłość to siła.

Wracając do dzieci; drugie także na odlocie, te najlepszą cząstkę obrało. Chce być księdzem i tak zdaje się wyraźne powołanie, z takiem szczęściem wygląda godziny kiedy świat opuści, że sprzeciwiać mu się byłoby grzechem. Nie ze wszyst-

kiemi tyle pociechy. Ale Bóg wszechmocny tchnie i zmieni się. Znałam staruszkę, której kiedy winszowano, że dzieci na świętych prawie wychowała, mówiła: bywało, to nie ja wychowałam, tylko Zdrowaś Marya. Jak z którym rady dać nie mogłam, prosiłam Matki Boskiej i ona za mnie pracowała.

Matka Boska i mnie pewnie pomoże, bo ona widzi, że ze mnie licha robotnica i źle będzie jak swoją głową robić będę. Na nią liczę we wszystkiem. Ona wszystko wie i rozumie Ona nietylko w ważnych wypadkach, ale i w mniejszych miłosierna słabościom naszym i potrzebom. Was polecam Jej szczególnie, bo dziatki wasze ona pewnie bardzo kocha i dla nich i dla cierpień waszych osłoni was opieką swoją.

Kochani, drodzy, najmilsi, Zosieczko, moi, czemu ja was nie widzę? Daryusz mnie zawsze oskarża, że z Ukrainy nigdy wyjechać nie chcę. Kiedyż bo nie mogę. Co Bóg powierzył, dochować trzeba, dopilnować wiernie. Gdybyż to do was wprost i wrócić. Kilka miesięcy znalazłabym wolnych, ale z moim Daryuszem nie można, bo nim on przy tej zręczności fabryki obejrzy, a wszystkich swoich starych Niemców poodwiedza, a mnie w Pyrimoncie żelazne wody sześć tygodni pić przymusi, a tylko do Liége pobiegnie nową machinę obejrzeć, cóż to ledwie kilka dni zabierze, a drugą jaką w Verviers, a raz w Europie warto jedną zimę na południu przepędzić itd. itd., to i parę lat minie. A na lata z domu oddalać się nie mogę, doprawdy nie mogę i dla rodziców i dla dzieci i dla wielu obowiązków. Gdyby jednak udało się wyrwać na zimę jedną, konieczniebym przywiozła wam mamcię, pobłogosławiłaby i was i dziatki i sama odżyłaby z wami.

17 lutego.

Dziś pocałowanie wam tylko, najmilsi, bo list się wyprawia. Niech idzie prędzej, bo z nim i dusza moja idzie tu-

lić się cichutko do was. Pokój Boży wam i pogoda z wami i łaski wszystkie.

Rączęta i nóżki aniołkom obcałujcie za mnie.

Wasza *Nisia.*

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Rzym, 27 stycznia 1853.

Kochani, kochani, my tu już w Rzymie po długiej nadspodziewanie podróży, w ogólnej wszystkich nas ojczyznie, gdzie mi dziewięć lat temu, Bóg dał niewymowne szczęście oglądania was dwóch. Ten Bóg wielki i szczodry sprawił od tej pory, że was nie dwóch już tylko, ale mam sześcioro. Wiem, że zimą malusieńkie aniołki wieźć trudno, zwłaszcza na krótki czas, który tu zabawić mamy, ale czyż z sześciorga, choć jedno do Nisi nie przyjedzie? Nisi tak już bardzo, tak bardzo do was tęskno, i to jedno wróciłoby do waszego gronka z Darciem i Nisią razem, bo jeśli do wiosny nic się nadzwyczajnego nie stanie, chcemy was koniecznie w waszem gniazdku odwiedzić. Ach! tak bardzo, tak bardzo chcę do was, choć raz jeszcze oglądać was na tej ziemi, odnowić z wami przymierze, aby w całej sile zastało je królestwo Boże, bo królestwo Boże bliskie jest, mówił Chrystus, a kto wie jak bardzo bliskie jest dla nas. Wszyscyśmy starzy. Anioł, który uderzenia serca i łzy liczy, wie, żeśmy matuzalowe lata przeżyli i może wkrótce powie o tem Bogu. Kto wie? Choć jedno, choć jedno, niech do Nisi przyjedzie. Nisia bardzo prosi. Od dziś dnie liczyć będzie. Pokój wam Boży, moi, moi kochani, rodzeni, każdemu z osobna pocałowanie i pogłaskanie i pieszczotka i serdeczność.

Nisia.

Do pani Zofii Zaleskiej.

Rzym, 2 marca 1853.

Zosieczko moja, siostro, błogosławieństwo na ciebie, że ty mi na chwilkę dałaś co miała najmilszego w świecie [1]). Jaka ty dobra. Rozumiem i czuję całą twoją ofiarę. Cieszę się twojemi kochanemi, cieszę się twoim ślicznym, prześlicznym aniołkiem. Z początku bał się cioci, aleśmy się teraz poznali dobrze i ciocia może pieścić do woli.

Co ty z Bohdana zrobiłaś, Zosiu? Ledwie go poznaję. Pogodny, jasny na sercu, boś pokochała sierotę, stała mu się widomem miłosierdziem Boga. On dziś przez ciebie tego Boga ochotniej błogosławi. I mego Józefa biednego ty przytuliłaś, Zosieczko, że mu starość nie taka ciężka. Co tam u mnie w sercu dla ciebie, ty tego nie wiesz. Chrystus wie, u którego nóg całując rany krwawe, szepcę niegodną moją modlitwę. Nie zatrzymam ci naszych ani dnia jednego dłużej niż zabawić mieli, ale mam nadzieję, po ludzku mówiąc, pewność, że was w kilka tygodni później wszystkich obaczę.

Ogarniam cię obiema rękami, cisnę piersi do piersi, a Bóg niech uczyni, abyśmy zawsze przez wieczność całą jedno byli w miłości. Twoja

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Rzym, 5 maja 1853.

Co się z wami dzieje, moi najmilsi, najdrożsi? Zdrowi wy tam wszyscy? A Zośka co pod skrzydłami tuli wszystkie pisklęta, bardzo się wami cieszy? A mnie czy bardzo admiruje, że nie zatrzymałam was ni dnia jednego? Wprawdzie

[1]) Bohdan Zaleski bawił w Rzymie.

obiecałam była, ale dotrzymać trudno. Niech Józef wiarogodny zaświadczy, czy szepnęłam marne słówko. Ani mru mru. Za to w Bogu nadzieja, że się wami jeszcze ucieszę. A tak pusto było tu po was. Zwinęło się serce jak listek zwarzony, tylko listek oczu niema, a serce ma, popatrzało więc w świat inny, gdzie znowu was ujrzało. Ale to moje serce jak w piosnce: czarne oczy miało, czarnemi patrzało, bo innych nie miało. Ach po zmartwychwstaniu pewnie mu Bóg da błękitne, bo te czarne tak czarno widzą, kochani. Uczę się, uczę pogody, nie dla mnie, tylko dla kochanych i wyuczyć się nie mogę. Czasem dobra chwilka przyjdzie ni stąd ni zowąd jak promyk, niewiedzieć z pod której chmury, ale rozsądnie, rozumnie, na wyedukowanie duszy nie mogę sobie tak rzeczy ustawić, takie stanowisko znaleść, takie uczucie wymyśleć, aby patrząc na ziemię, była mi pogoda. Niedarmo Chrystus nie uśmiechnął się na niej ni razu, rozumiem pokój, bo on jest tylko zgodzeniem się z wolą Bożą, ale pogoda chyba w zapomnieniu. A ja co boli zapomnieć nie chcę. Niech boli do śmierci. Bogu memu na ofiarę, bliźniemu na pomoc. Szkoda, żeście się tu Beatyfikacyi nie doczekali, nie widzieli jak się kościół cieszy, kiedy wie, że które z dzieci Jego do ojczyzny dobiegło, jak się korzy cały przed tym ubogim co żył z jałmużny i życie za braci przemodlił. Dziś zadekretowano beatyfikacyę naszego męczennika Andrzeja. Jakby nam zły duch zepsuć chciał radość, rozeszły się wieści, że krzyż nasz tam w kraju cięższej się na nas stoczył. Ale nie dopnie swego, naprzód może kłamie, a potem choćby i prawdę mówił, chwała Bogu naszemu, piękniejszy tam wieniec będzie w wieczności.

Co wam powiem więcej? Modlim się, modlim i jeszcze modlim. Co jest siły i piękności w Świętych Pańskich, radzibyśmy wchłonąć, oblec. Co innego, zdaje się, nic nie robimy. To czas wytchnienia. Za kilka miesięcy wrócim do pracy. Dziękuję wam za karteczkę z Marsylii, moi wy najmilsi. A widzisz, Bohusiu, jak to się jeszcze rozśpiewać można. Lada wi-

:her trąci, pieśń jęczy zaklęta w piersi, wyrywa się ku pustyni, gdzie Bóg tylko mieszka. Kochany, co zaśpiewasz Bogu, usłyszy tylko drobna garstka wybranych i cicho będzie o tobie na świecie. Lepiej to niżbyś zaśpiewał światu i posłyszeli potępieńcy i gwar uczynili wielki, a w niebie głuchoby było o tobie. Ach! nie, potępieńców niema na ziemi, dopóki żyją, tylko biedni szaleńcy.

Do zobaczenia, Bóg z wami, pokój Jego i błogosławieństwo.

Nisia.

Do Józefa Zaleskiego.

Rzym, 8 maja 1853.

Józefciu, Bohusiu, Zosieczko, trójlistku mój nierozłączny, wieczna wiosno moja taka świeża, pogodna, ciepła, śliczna. Posyłam wam biedną jagódkę rodzimą, abyście na nią dmuchnęli życiem przez chwilkę, którą z wami przepędzić będzie mogła. Dobre dziecko, pobożne i chore.

My jeszcze tu. Co dalej robim, nie wiem. Darcio, jak zwykle, nie mówi, w którą stronę się obrócim, aż na samem wsiadanem. Czy tu czy owdzie, „co mi potem, co mi potem! ja tu przybysz pod namiotem". Ni moich rodziców starych, ni mojej dziatwy, ni mojej pracy, ni mego krzyża, utkwiony w ziemię moją, tu na ramionach nie cięży, tylko serce krwawi. Tęskno za ciężarem, bez niego życie puste i niepokój, że mija marnie. Do krzyża, do krzyża mego, na wschód, gdzie czerwieni jutrzenka mojej wieczności. Tylko pierwej gdyby was uścisnąć jeszcze choć raz. Może Bóg da, mam nadzieję, kochani. A więc do zobaczenia, kochani, bądź co bądź, zawsze do zobaczenia. Opiece Matki Boskiej polecamy was wszyscy i kochamy i pieścimy.

Niegodziłoby się, aby ta kartka poszła i wam też choć

okruszynki serca mego nie zaniosła. Całuję was wszystkich bardzo, Bohusiu, tobie wielkie długi sercowe, daj Boże, choć kiedyś wypłacić. A tymczasem wierz, że pamiętam o nich i modlitwą przed Bogiem, choć po trochu, staram się wypłacać.

Jeszcze raz całuję, kocham i błogosławię was od najstarszych do najmłodszego, nawet tych, co kiedyś jeszcze może będą za łaską Bożą.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Cauterets, 16 lipca 1853.

Moi najmilsi, dziś dzień Najświętszej Panny, w którym dzieci Jej dziękujem za sukienkę, w którą nas oblekła. Uspokojeni, rozweseleni, wracamy z domu Bożego, gdzie Syn Najwyższego przyjmował nas sam. Widząc, że wchodzim ubodzy goście do gospody Ojca, wybiegł naprzeciw nas, ramiona roztworzył i odpuszczając i błogosławiąc każdego z nas zosobna do serca przycisnął i już nie puścił. Chyba my sami wyrwiem mu się z objęć, on nas nie porzuci, ramion, któremi nas ogarnął nie rozplecie, tuli i do snu na łonie kołysze, ciałem i krwią na wieczność hodując. Chwała Jemu, miłość Jemu. Ach! to mało, gdyby w nim i dla niego zaginąć.

Czemu was tu niema, najdrożsi. Wysoko w górach, jar wązki, w którym pieni i szumi prześliczny potok, wśród tego jaru, ciasna a długa uliczka tak, że z jednej strony okna domów wychodzą na miasteczko, z drugiej na świeże i bujne zarośla. Nad nami, wysokie szczyty na pół zielone, na pół ubielone śniegiem. Trochę na uboczu kościółek ubogi, tak się w nim dobrze modlić. Powietrze zimne, ale mówią zdrowe. ledwie o południu trochę mamy ciepła. Ludzi mnóstwo, ale z naszych nikogo i jesteśmy nas czworo jakby na pustyni.

Dopiero się zagospodarowujemy i dotąd odpoczywamy po podróży, która nocami odbyta, wszystkich nas zmęczyła. Nikt z nas jeszcze wód nie pije, ani się kąpie. Po całych dniach leżę na kanapie jedynej, jaką tu posiadamy (bo już to zbytkiem w Cauterets się nie grzeszy) a oni siedzą i gawędzą w koło mnie. Jeden Darcio pracowity wziął się już do jakiegoś tam pisania. Ojciec Hieronim [1]) dopiero zamierza, Józef [2]) nic nie mówi tylko po swojemu, nie chwaląc się i sam niby nie zważając wszystko za nas robi, a ja takie mam głębokie przekonanie, żem do niczego, że nawet postanowienia żadnego (oprócz nie grzeszenia) na przyszłość nie mam. Obaczymy co dni przyniosą, zapewne nowych znajomości. Ojciec Hieronim jedno dziecię swoje tu znalazł i zaraz już dziś wyspowiadał. Oto wszystko u nas, najmilsi. Jeszcze dodać można, że deszcz tu jak w ojczyznie swojej mieszka, niby woda, niby mgła raz wraz coś mroczy, w nocy czasem pluszcze ulewny bez grzmotów ni błyskawic, a mieszkańcy tutejsi tłómaczą, że zawsze tak w górach. Żeby to nasza ukraińska natura znajdowała pięknem i miłem, to nie, bo już albo burza, albo mróz, albo upał, że na wzgórzach po suchej trawie ślizgać się można jak po lodzie, człowiek przecie czuje co jest zimno czy gorąco, ale to pora nijaka, to chyba dobra dla duszy, cierpliwości uczy. Biedny ten potok co bieży w słotę. On biedny, ale bez niego nie byłoby jaru. Cierp, potoku, choć nigdy atamanem nie będziesz, płyń czysty, jak łza, szumiąc pieśnią ku niebu, służ temu słotnemu i kamienistemu jaru. Im on twardszy, tem ty czystszy i piosnka twoja dzwięczniejsza, bo na ziemi tylko piękne, co na krzyż wbite, tylko wielkie i szlachetne co pokornie służy ziemi, nie dla ziemi, ale w miłości samemu Bogu. Kochani, piszcie często. Niech ja wiem, że wy blisko.

---

[1]) Kajsiewicz.
[2]) Zaleski, wuj p. Poniatowskiej.

Do zobaczenia, moi ukochani, własni, rodzeni, wszystkie łaski Boże z wami.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Cauterets, 12 sierpnia 1853.

Dotąd jeszcze nie podziękowałam wam za kartki wasze, moi najmilsi, bo miałam od ojca Hieronima zadane pensum, robotę do ukończenia w mig, ledwie wykradłam od niej dzionek na list do mamci, aby ją niepokój o nas nie dręczył, zresztą cały czas, który na niemocy zdobyć się udało, wiernie był na nią obrócony. Dziś dopiero kiedy wszystkie szpargały w ogromnej kopercie zawarte, w świat daleki wyruszyły, mogę pogawędzić z wami. Już to prawdę mówiąc, byłabym mogła i wczoraj, ale, ale skusiło coś. Jakiś traktat świętej Katarzyny Sieneńskiej tak cudownie piękny. Gdyby tym promieniem z nieba ożywić, uweselić, podnieść biedne dusze tam nasze takie smutne i zniechęcone, nuż próbować tłómaczyć zaraz w ten moment.

Szepce coś w sercu: kochani czekają listu. Nic, niby się nie słyszy i tłómaczy się dalej. Żadna kaźń na tej ziemi nie czyni zadość, choćby za najmniejszą winę, bo nie jest nieskończoną. Będą niespokojni. Nie, bo Józef pisze. Ale kaźń połączona z żalem i miłością zadość czyni. Zosia się skarży. Zosia niesprawiedliwa, bo żal i miłość są nieskończone, wszakże i jutro tłómaczyć można. Howory! Jak w którą stronę myśl popędzi, łatwiej zawieruchę zwrócisz. Bzik Iwanowskich, mówi Darcio. Wiem ja, że to bardzo źle, bo to nieumartwienie ducha, jedna z tysiącznych niedoskonałości, z których poprawić się trzeba, i tak zszedł dzień cały, pomimo jeśli nie zupełnie takiej, przynajmniej tego rodzaju rozprawy, niewiem już czy z sumieniem, które upor wyrzucało, czy z miłością ku wam.

Dziś już ochłonęłam z zapalczywości, bo próba zrobiona i trochę ze wstydem przychodzę was przeprosić, prawda, że wy się na mnie nie gniewacie? Jeszcze wam za kartki wasze dziękuję, choć niedługie i choć nie takie słowa zawierają, jakieby oczy moje wyczytać rade. Kochani, kochani, co się wam w duszach zamgliło, czemu jedno i drugie skarży na powszednie prace i kłopota, pomiata niemi i jak z niewoli radeby się z nich wyrwać. A cóż jest na ziemi, coby w sobie skończonem, a więc równie lichem nie było jak najdrobniejsze zajęcie domowe? Ale też cóż jest tak niskiem i podłem, ażeby ożywione miłością i dla Boga czynione nie podniosło się do nieskończoności? I do prac ludzkich stosować się może Chrystusowe słowo, że kto się uniża, wywyższonym będzie. Prace najpospolitsze zwykle są najpoważniejsze i najwznioślejsze, bo służąc do zaspokojenia niezmyślonych z niekarności, ale istotnych potrzeb, wchodzą w obręb przeznaczenia naszego. Piękniej jest, szlachetniej i wznioślej chleb miesić własnemi rękami niż bogate jedwabie snuć na wezgłowia, bo jedno, spełniając konieczny warunek życia służy duszy, drugie z najlepszej nawet biorąc strony, służy jako piękność zewnętrzna tylko, tylko zmysłom, a mogłoby tak łatwo służyć pysze.

Zosiu, Zosiu, czemu ty się skarzysz? Część twoja tak piękna, cóżbyś przy fortepianie wymarzyła cudniejszego jak szczęście, nietylko służenia Chrystusowi w członkach Jego, ale hodowanie mu chwalców nowych, rozmnożenia jednej pieśni serca twego w chór cały pieśni dziś niewiniątek, jutro może żołnierzy Jego i męczenników? Wiem ja to, może powiesz. Cel wysoki ale daleki, a tymczasem praca nudna, przykra i pozioma. O Zosiu! toć toż właśnie dlatego i piękna, że nudna i przykra, bo inaczej miałabyś zabawkę sobie nie ofiarę i dowód miłości Bogu. A mułu się nie wzdrygaj. Bóg sam nie pogardził uczynić zeń stworzenia swego, jakkolwiek duszę Jego stworzył na obraz i podobieństwo swoje, jakkolwiek wiedział, że ten muł ciałem się stanie Syna Jego Jednorodzo-

nego. Dziś ten muł króluje na prawicy Ojca. Jeśli muł ziemi ogarniem miłością, dla mułu samego, dla doczesności i próżności, o pewnie zgrzeszym, i sercem wyrwani z koła wieczności, zaginiem, ale jeśli z pragnienia chwały Bożej wyrabiamy go w sobie i w drugich na wiek przyszły, to się nie wahajmy ręce zanurzyć w to, co teraz jest błotem, a w ostatni dzień stanie się jako słońce. Przypomnij sobie jak bardzo cenili sobie święci wszystkie poziome zatrudnienia, bo nic tam z Chrystusem wywyższonem nie będzie, co pierwej na ziemi przez poniżenie Jego nie przeszło. Nie żałuj, Zosiu, godzin marzenia bo rzadkie są, któreby się później przed Bogiem nie opłakały. Kto marzy, jeszcze z siebie się nie wyzuł. Kto sobie już zamarł, a Bogu tylko i bliźnim żyje, nie marzy, tylko modli i czyni, modli myślą, usty, pracą, cierpieniem, wszystką istnością swoją. Mówisz, że czasu na modlitwę nie masz. Wszak nam zawsze modlić kazano, każdy więc czas na modlitwę dobry. Klęknąć i wszystkie władze ducha od zewnętrznego świata odwołać i zaginąć w jednem tylko uczuciu obecności Boga możesz ledwie chwilkę rano i wieczór, za to dzień cały modlisz się trudem i poświęceniem, a nieraz i noc całą. Byleby tylko ta przytomność Boga (której się dać pochłonąć nawet wśród życia czynnego, jak to umieli święci, jeszcze możesz), lśniła ci jak gwiazda zawsze i wszędzie, byleby ci Imię Chrystusowe tkwiło w sercu tak, żeby drgnęło za każdem wrażeniem co się doń ciśnie, modlisz się. Nietrzeba być świętym, aby olśnić i ogłuchnąć na wszystko i nie widzieć już i nie słyszeć we wszystkiem jeno Chrystusa, daje tę łaskę Bóg i niedoskonałym i grzesznym, byle kochać i prosić, bo komuż on dobra skąpi? Naprzykład powijasz dzieciątko, a serce twoje mówi: Panie nie dlatego, że ono moje, ale że jest na obraz i podobieństwo twoje, dlatego, żeś i Ty był dzieciątkiem, służę jemu, nie jemu ale Tobie u żłobka twego. Oto karmię ciebie i usypiam ciebie i tulę ciebie i płacz twój koję, i da ci on czasem w nagrodę choć nie zawsze, że ci się tak uprzytomni,

:e się aż rozrzewnisz. Szum i gwar wkoło ciebie, że upadasz :e zmęczenia, przypomnij tłumy wkoło Chrystusa, a staniesz obok Niego jako jedna z niewiast co chodziły za nim i nie :echcesz usunąć się od przykrości, którą on znosi. Robisz ty :ak zawsze zapewne, ale kiedy robisz, nie skarz ani przed sobą samą, jakbyś pożałowała dowodu miłości, bo szkoda zasługi i żal Chrystusa, kochana. Służmy mu radośnie z wszelką ochotą i poskokiem. Alboż on nie wszystko nasze?

Kochani moi, jest jedna wielka prawda, o której zapominamy i dlatego życie się nam zdaje tak ciężkie i trudne. Chrystus żył tu na ziemi nie dla jednego tylko pokolenia, ale dla wszystkich. Jako człowiek, potrzebował posługi, zdolnym był smutku i pociechy, jako Bóg widział serca i myśli wszystkich, którzy byli i być mieli od początku aż do końca świata, żył więc w styczności w towarzystwie ze wszystkiemi. Obcował ze wszystkiemi, obelgi czy obojętność każdego człowieka który istniał czy miał kiedyś istnieć, krwawiły mu serce. Miłość każdego pociechę mu przynosiła, dlatego każdy z nas osobisty ma z nim stosunek, nietylko jako z Bogiem w chwale niebieskiej, nietylko jako z Bogiem-człowiekiem niecierpiętliwym także w Przenajświętszym Sakramencie, ale jeszcze, rzeczywiście i prawdziwie z Chrystusem żyjącym na ziemi życiem naszem, czującem potrzeby duszy i ciała i wszystkie boleści nasze. Każdy z nas przyłącza się, według woli, do orszaku, który go kochał i nigdy go nieopuszczał, ślad w ślad za nim chodząc i służąc mu, albo do tych, którzy, jeśli go nie znieważyli, przynajmniej o nim nie myśleli i za tyle miłości nawet mu pocałunku nie dali. Dziś, jakbyśmy wówczas żyli, Chrystusowi pociechę przynieść możem, ran mu oszczędzić albo mu ich przymnożyć, dosłownie jest prawdą, że grzech każdy rany mu zadaje, bo gdyby popełniony nie był, Chrystus, który za każdy poniósł karę, o tyle mniejby był cierpiał, to samo co do pociechy i ulgi sercu Jego. Dziś jeszcze ona w mocy

jest naszej, myśleć więc o nim, kochać go, służyć mu nie jest czczą igraszką wyobraźni, ale prawdą.

Służmy mu więc, a przynajmniej u stóp Jego się połóżmy, słów Jego słuchając i miłując. Jaka ty szczęśliwa, Zosiu, że pracować możesz, praca to dowód miłości, a ja biedna czem jej dowiodę? Słowa i słowa i zawsze słowa. Gdyby nie owa droga praca w sobie i na sobie każdemu dana, nie byłoby czego żyć na świecie i ta druga u mnie tak leniwo idzie. Owa postać żywa, którą w sobie wykształtować trzeba wolą, niby dłutem, ręką Bożą prowadzonym, nie kończy się i nie kończy, bo dłuto biernem narzędziem stać się obiecuje zawsze, a nigdy nie dotrzymuje. Bierze je Bóg sam i naprzykład wyrabia nim oko ducha. Zwraca w pewnej mierze wejrzenie jego na własną stworzenia upadłego istotę, aby samo znać się mogło. W tem zapomina dłuto, że bierne być powinno i w myśl niby Bożą jak zatnie traf. Ze wszystkiem przywrócone oko, tak, że wprawdzie siebie widzi jak mikroskop z najstraszliwszą dokładnością placu i szkarad swego mułu, ale tylko siebie już w górę ku Panu miłosiernemu spojrzeć nie może. Biedny duch sam w sieroctwie swojem, a szatan pokusę rozpaczy przesuwa przed nim powoli. Ileż trzeba modlitwy i pracy, nie licząc już bolu, aby dłuto wolę jak w ogniu przetopić, zahartować na narzędzie posłuszniejsze i Bogu w rękę oddać. Bóg dobry znów bierze i znów zaczyna aż tu w najżywotniejszem miejscu dłuto wola, owe zahartowane w płomieniu i wodzie pryska w kawałki, i choć płacz, niema czem pracować, cały człowiek do niczego, miękki, wrażliwy, coraz płaszczy się na ziemi, a świat i szatan kładą na nim znamiona jak na swoim, ileż znów pracy trzeba i modlitwy i łaski darmo danej, aby już nietylko narzędzie, dłuto wolę, ale całego człowieka przetopić. A czas ucieka, już drogi przedemną niewiele, a stanąć trzeba czystą jak łza, na każdy podmuch Bożej woli powiewną jak liść suchy, a płomienną jak Serafin. Och! ja chcę więcej, goręcej niż Serafin, bo Serafin

tylko stworzony i uwielbiony, a za nas krew i łzy Boga popłynęły.

Moi serdeczni. gdyby wy wiedzieli jak tu w tym Cauterets dobrze. Ciasno, gwarno i niewygodnie, ale to tylko pozór. W istocie cicho, spokojnie, samotnie, a sercu syto i szeroko jak w raju. Każdy z nas ma swoją celkę zupełnie osobną, nawet korytarzem od innych przedzieloną. Zbieramy się na modlitwę, w kościele, na przechadzki, obiad i herbatę, zresztą każdy u siebie pracuje, zwłaszcza ojciec Hieronim, który niby na odpoczynek z nami tu przybył, a wytchnąć sobie nie da. Za to jak się zejdziem, gwar w saloniku, jakby dziesięciu studentów ze szkoły wypuszczono razem. Każdy ma niezmiernie mnóstwo rzeczy do opowiadania i śmiejem się czasem jak za dawnych czasów. Józef spotwarzał Cauterets w swoich listach, już ja to po wszystkiem wnioskuję. Nawet woda nie tak bardzo zła, jak utrzymuje. Jest ona trochę wprawdzie jakby gdzieś blisko czyśca przebiegła (nie koło piekła, bo czyściuteńka i przejrzysta), ciepła i siarczysta, jednak można się z nią obyć. Za to góry, potoki, zieloność, kwiatki nie do opisania piękne. Zupełnie wieś. Za kilka dni napiszę wam od godziny do godziny co robim zwykle, a teraz do zobaczenia, kochani. Błogosławieństwo pokoju nad wami. Obdzielcie pieszczotką dziecięta, do zobaczenia jeszcze. Wasza rodzona

Nisia.

Do Józefa Zaleskiego.

Rzym, 7 listopada 1853.

Kilka słówek wam tylko, ukochani, na przyjezdnem do Rzymu, aby was uspokoić, pomiłować i pogłaskać, niby się z wami przywitać, bo jak u stóp Chrystusowych, tak i u progów apostolskich my duchem zawsze gościm, my tu razem.

Oto tu na papierku pocałowanie dla każdego z was z osobna, pokój wam i błogosławieństwo.

Po burzy wielkiej, a potem całym jednym dniu ślicznej, jasnej pory, przybyliśmy zdrowi do Civita-Vecchia, a teraz do Rzymu. Darcio z wielkiej radości pierwszej nocy usnąć nie mógł. Stoimy na Capo le Case 79. Wszystkie dzwony Rzymu dzień i nocą słyszymy. Jeszcześmy nigdzie prawie nie byli, nawet u św. Piotra się nie pokłonili, tylko u św. Klaudyusza oskarżyć się chodziłam do Ojca o wszystko, co przez te kilka dni nabroiłam. Ojciec Hieronim lepiej, dzięki Bogu, na zdrowiu.

Dziękuję tobie, żeś mi swoje kochane literki dał obaczyć zaraz na wstępie, brzydki Bohuś, żeby też jedną dodał. Zosieczce biednej nie wymawiam, bo ona zawsze taka zajęta i zakłopotana, że nie mam serca. Będziem, Józefie, modlić się jak żądasz i jeszcze tu święte dusze poproszę, aby się modliły. Ufaj, bo choćbyś nawet na tej ziemi skutku prośby nie widział, to nie znaczy, że niewysłuchana. Niezgłębiona przepaść miłosierdzia Bożego.

Do zobaczenia, najmilsi, łaska Boża z wami. Niech dziecięta wszystkie anioł stróż obdarzy pieszczotką, którą wam przez niego posyłam.

Dyzcia.

Do Józefa Zaleskiego.

Rzym, 23 listopada 1853.

Nam tu, Józefie, doskonale by było, gdyby człowiek oczy ducha mógł zamknąć, aby przez czas i przestrzenie nie patrzały. Ciężki krzyż własnego zepsucia, w bliznę jeszcze niezgojonego, cięży wielki, Bóg jeden wie, jak wielki krzyż rodzinny, cięży na duszy kamieniem, w dzień mi da uśmiechnąć się szczerze, w nocy zmorą dręczy. Ale się o mnie nie troskaj.

Józefie; skorzystałam troszkę z pobytu w Rzymie i samotności w Cauterets. Nachylił się Pan mój ku mnie i nauczył cierpieć po chrześcijańsku, — ciężko, — ale cicho w sercu i żal, że nie dość boli. Tyle przez życie wybolałam dla ziemi, tyle wypłakałam łez, z których śmierć, że dziś, naczynie sponiewierane, niegodnam cierpieć, jak cierpią dzieci Boże. Daleko mi, daleko aż do dna kielicha Pańskiego, w którym odpokutowanie za siebie i za wielu, ledwiem usta dopiero do brzegu jego zbliżyła. Jak pisklę do lotu, tak przyucza mnie Pan boleści, aby po dawnemu w głowie się nie zmąciło i nie roztrąciło gdzie o pierwszą zawadę. Czuję, że tu odpoczynek mój — nowicyat. Boże, Boże, daj siłę i wytrwanie we wszelkiej cierpliwości i miłości na przyszłość.

Wiecie już zapewne o nieszczęściu Chłapowskich, stracili córkę starszą, która była za Koźmianem. Oto ci po chrześcijańsku cierpią. Ani jednego dnia marnemu rozrzewnieniu nad sobą nie dali. Pod niespodziewanym ciosem uchylili głowę w pokorze i w pokoju zaczęli się modlić; tego samego wieczora odbyli via crucis w Colizeum, zaczęli Nowennę Komunii z przyjaciółmi, myśleli o Bogu i o dziecku, które zapewne pomocy ich potrzebuje, nie o sobie. Z uwielbieniem słuchałam wczoraj, z jakim żalem staruszka o ranach kraju mówiła, jakby ona sama żadnej nie miała świeżej, krwawiącej. Koźmian przyjechał tu sam oznajmić im nieszczęście, zabawił tydzień i wraca do Księstwa. Ojciec Hieronim odprowadza go do Lorety.

Uściśnij Zosię odemnie serdecznie, jak rodzoną siostrę. Co Bohuś robi? Czy pracuje, czy próżnuje? Czy Zosi pomaga, czy w pustelniczej celce na górze siedzi? Czy się pokoik tego roku przybudowywać będzie? Jak się popisujesz w talencie Piecznika? Szkoda, że mnie tam niema, bo doskonale umiem kominki stawiać, takie co się w nich śmietanka nie przydymia.

Do zobaczenia, Józefie. Bóg z wami wszystkiemi, dziecięta popieszcz i pobłogosław. Twoja własna

Dyzia.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Rzym, 1 stycznia 1854.

Kochani moi, jak się mają biedne pisklęta? Czy już odżyły trochę? A Zosieczka, co za wszystkie cierpi, koło wszystkich dzień i noc chodzi, jak tam jej siły? Modlim za was, jedni drugim udzielamy wiadomości, jakie kto ma z Paryża, ale zawsze ich niedość i niepokój wraca.

Nowy rok, kochani. Jaką modlitwą, jakiem błogosławieństwem go zacząć, aby wszystko złe zaklętem zostało i niebo się ku wam nachyliło. Prawdziwie, zemdlały oczy moje spoglądając ku górze, na błaganie serca już nie starczy, tyle bo was jest znanych i nieznanych, u każdego boleści tyle, a kto wie gdzie i w czem miłosierdzie Pańskie, to też powtarzam: Stań się wolo twoja, nie jako słowo wyrzeczenia się, ale jako prośbę gorącą, w której wszystko, w Bożej woli tylko dobro. gdzieindziej go niema, a więc stań się, stań się, ty, którą znam tylko z celu, a nie znam z dróg i środków, ty wszechdobra i wszechpotężna, a której jednak nam, cośmy proch, oblicze nieraz tak straszne i która się przed lada veto tego prochu uchylasz.

Smutny i przeraźliwy jest dla mnie zwykle dzień Nowego Roku. Ruch i niby wesele ogólne, a na dnie serca troska. Jeden drugiemu życzy pomyślności, myśląc o boleściach, które go czekają. Czemuby rok nowy nie zaczynać z kościołem pierwszej niedzieli adwentu? On, który zawsze jest w prawdzie, widzi w przyszłości jedno tylko, tak wielkie, że wszystko inne pochłania sąd ostateczny, drży więc, w pokorze pości, przed świtem na modlitwę się zrywa i bijąc się

w piersi wola Zbawiciela. I Zbawiciel przychodzi jako rosa z obłoków i chociaż umęczony umiera, zmartwychwstaje rychło pierworodny między umarłemi. Kochani, ten rok cały minął mi jak sen, pierwszy taki od kiedy żyję. Wziął Chrystus w ramiona i kołysał jak niemowlę rok cały, rok, to już może odłączy prędko i na chleb twardy, na znój znowu puści samą, gorzej niż na chleb i na znój, na ciemność, na brzydkość, na niemoc, na ból, byle po śliskich ścieżkach strzegł upadku i zwątpienia o miłosierdziu. A może jeszcze, jeszcze troszkę potuli, im dłużej, tem więcej sił na później będzie, tak mi się przynajmniej zdaje i niby przekupiam mego Pana i mówię mu, że to dla niego samego koniecznie potrzebno. Przyciśnij mnie, Panie, mocno do siebie, abym to uściśnienie już zawsze czuła, jak szatę, jak tarczę, jak ciepło, jak jasność wkoło mnie, jak obecność miłości twojej we mnie kiedy znowu pójdę sama na zapasy z grzechem czy nieszczęściem, chorobą czy śmiercią, bo inaczej, Panie, upadnę pewnie. A jak upadnę, wejrzyj na siebie na górze Oliwnej, jak bardzo smutno ci będzie, a jeśli mnie obleczesz sobą, będzie sercu twemu radość i będzie chwała tobie nowa. Pan mój wie, że ja prawdę mówię, bo na cóż i ja i moi i naród mój i kościół i świat i aniołowie i Matka najświętsza i cała czystość i cała piękność i całe szczęście stworzenia, jeśli nie na to, aby się On rozradował.

Kochani, wiecie wy co to niebo? To uśmiech Chrystusa. Czy wystawiacie wy to sobie, kochani? On, który tak niewymownie bolał przez cały ciąg żywota tu swego, który nam na chuście Weroniki wyobrażenie twarzy swojej najświętszej zostawił tak bez miary smutne, że kto się w Nim patrzy, nie pocieszy się już na tym świecie, jak się on nie pocieszył do końca, on którego uśmiechu nigdy ziemia nie widziała. On pogodny i rozradowany, błogosławiony ogień boleści, pracy i nędzy, który wszelkie skazy wypala i błogosławiona śmierć, która w proch rozkrusza wszelką brzydkość i znikomość i bło-

gosławiony ogień czyścowy, który bieli do ostatniej śniegowej białości, bo wobec takiego szczęścia, jakiejże godowej szaty potrzeba.

Dziękuję wam, kochani, za listy wasze; nie odpisałam zaraz, trochę dla braku czasu, bo w święta wiele go zabierają nabożeństwa po kościołach i znajomi, trochę dla niemocy, mniej ciała niż duszy. Miałam dość długie chwile spokojne, Bogu dzięki, ale tak ciemne i ciężkie, że oprócz króciutkich kartek, nawet do mamci, nietylko do was, nie pisałam. Ale wejrzał Pan mój i od wczoraj minęły. Oby wszystko złe przeszłe przywalił Pan kamieniem i pieczęć swoją położył na niem na wieki, aby nie powstało aż w ostatni dzień na świadectwo miłosierdzia, które je uczyniło jakoby nigdy nie było. Amen, niech się stanie.

Z domu miewam często ogromne foliały, dziwnie tam Bóg zrządza. Czy nam śmierć, czy daleką bardzo i długą gdzieś podróż przeznacza, bo wszystkim, którzy po ludzku mówiąc, niezbędnie nas potrzebowali, Bóg nowe i lepsze schronienia obmyśla. Dwoje umarło, jedno za mąż wychodzi, jedno najniespodziewaniej, najnieprawdopodobniej znalazło sobie doskonałe miejsce w okolicy. Z innemi domowemi dawne stosunki rozwiązują się powoli. Co Pan mój nowego przeznacza, że tyle obowiązków z ramion zdejmuje? Czy dzień robotnicy się kończy, a teraz chwila odetchnienia cicha, wieczorna, nim zamkną się powieki? O śmierci siostry twojej wiedziałam już, długo po niej pusto będzie w okolicy, wielu osierociła, cała jej liczna rodzina w pobliżu osiadła żyła jej radą i pociechą. A najgorzej żal mi biednej Antosi i tobie po niej smutno i pusto, chociaż jej prawie nie znałeś, mój Bohdanie. Znikają nasi jedni po drugich, bo czas lepszy niedaleki i dla nas. Więcej dni minęło, niż ich jest przed nami. Zbiegniem się już prędko wszyscy jak dzieci do ojca na święta.

3 stycznia.

Nie poszedł list na pocztę i jeszcze dziś mogę wam pieszczotkę posłać, kochani, każdemu z osobna zacząwszy od Zosieczki. Daryusz się jej z uszanowaniem ślicznie kłania, także jenerał Szymanowski, który w ten moment koło mnie gawędzi. Obaj pozdrawiają was serdecznie. Pokój wam i pociecha. Niech aniołki stróże pokochają za nas dzięcięta. Do zobaczenia, kochani.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

1854.

Narodowość jest to prawda Boża w stosunku do jednego z kształtów skończoności. Prawda nikomu nie jest daną jako skarb martwy do zakopania, lecz jako ziarno, z którego choćby kosztem łzy ostatniej i krwi kropli ostatniej dobro wyhodować się powinno, to jest prawda wcielić się powinna w czyn i czynem rozwijać się do ostatniej swej wynikłości. Narodowość, jest to więc piastunnictwo słowa Bożego na pewnych drogach doczesności, na których ten tylko lud zwycięztwo wywalczyć mu zdoła, który w usposobieniu wewnętrznem od zawiązku swego na łonie wieków łaski ku temu odebrał. Narodowość zbrojne to apostolstwo, namaszczenie, świętość.

Są ludzie, co marzą o jakiejś Polsce oderwanej od przeszłości, jakby mógł być skutek bez przyczyny, owoc bez drzewa, jakby rzeczywistość całego narodu na wymyślonym przez kilka głów systemacie opierać się mogła, jakby systemata nie były rzeczą martwą, bo z wyrachowania tylko powstałą, a widzim przecie oczywiście z faktów, iż od początku świata czegoś więcej człowiekowi trzeba niż wyrachowania. Człowiek ni sobie ni bliźniemu wymyśleć czy wybrać nie może przeznaczenia, celu, dla którego zesłanym był na ziemię. Cóż

dopiero narodowi całemu? Nie na posługę marzeń człowieczych dana jest narodom siła postępu.

Z drogi, którą do wielkiego celu swego każdy z nich dąży, nikt zbić ich na inną nie potrafi, chyba nadużyciem woli, to jest zepsuciem skieruje w przepaść, w śmierć. Jedyną bowiem moc, którą posiada samowola człowieka, to jest wola jego oderwana od woli Bożej, a tem samem na stronie złego stojąca, jest to moc zniszczenia, zniszczenia zepsuciem, podłością, brzydotą, błotem.

Wolę Bożą co do powołania i celów dążności narodu, oprócz w myśli żyjącej ludu, szukać trzeba w dziejach przeszłości jego, sądzonych światłem objawienia chrześcijańskiego. Powiedzą nam one, ile już ubiegł w przeznaczeniach swoich, na jakim stopniu stoi, i w którą stronę dalej kierować się ma, iżby wiernym przeznaczeniu swemu został i żył. Utworzony na początku dla pewnego celu, ukształcony był, oświecony, uzbrojony, czuciem natchniony wedle potrzeb dążności do tego celu, to jest myśl prawda, której wiedza naród stanowi, rozwinęła się już w życie, wcieliła w kształty.

Kształty, owoce wiedzy, odpowiednie zatem celom dalszego jej rozwinięcia, są narodowością, uosobieniem; stanowią indywidualność jego różną od wszelkich innych indywidualności w ludzkości i jedynie roztworzenie się tych kształtów śmiercią jest narodu.

Naród więc, który przestał do przeznaczonego celu dążyć nie istnieje, bo życiem narodu jest to zebranie sił wolą i ruch, pchnięcie się ciągłe ku celowi, ku doskonałości na ile się ona tylko zgodzić może ze światem naszym materyalnym, z doczesnością. Cel absolutny nie może być jak tylko dobro. Ono bowiem jedne jest rzeczywistością, istnością. Wszak wiemy, iż złe jest zaprzeczeniem, próżnią; w organizacyę życia wchodzić tylko może jako określenie sił, doczesność ograniczeniem tylko tworzy kształty. Gdyby złe świat ducha zu-

pełnie zajęło, nie byłoby prawdy, bo prawda dobrem jest, a zatem istności tylko fałsz, nicość.

Piekło byłoby nicością, w całem znaczeniu tego słowa, gdyby nie sprawiedliwość Boża w wiecznem cierpieniu złego, które wolą szatańską czy ludzką, z bierności swej rodzimej wywleczone, miotało się na dobro. Piekło więc nawet istnieje dobrem, sprawiedliwością Bożą, bo złe jest to śmierć, nicość.

Ażeby naród żył, trzeba mu życia, to jest dobra. Dobrem jest wola Boża, bowiem Bóg jest istnością, źródłem życia. Dobro, doskonałość, w absolutnem znaczeniu tego słowa, jednością jest nieograniczoną. Jeden też jest tylko Bóg. W stworzeniu doskonałość jest to odbicie przymiotów Bożych w skończoności, które nazywamy duchem, życiem, darem i w ograniczeniu swojem byłoby także na wzór stworzyciela całością, jednością, gdyby nie poddanie się człowieka pierwszym upadkiem pod wpływ złego, pokusy, postawienia się między dwoma sprzecznemi siłami, z których wola jego pierworodnym grzechem od jedności i dobrem oderwana co chwila i chwilka żywota ciągle jedną obierać musi, to nieustanne nigdy obieranie, ten nieustający nigdy akt woli, walką jest jego, pracą i cierpieniem.

Obiera nieraz złe, bo w oderwanym od dobra duchu jego, światło prawdy zamierzcha często. Rozdziera się więc w nim jedność, doskonałość obrazu Boga i tę jedność z największem wysileniem, kosztem najboleśniejszych ofiar, ciągle wywalczać w sobie musi jako konieczny warunek życia. I nie wywalczy jej nigdy zupełnie. Duch jego, dopóki więziony materyalnym światem, złożonym i doczesnym, jedności swej i wieczności używać zupełnie nie może, chyba w nadprzyrodzonych zdarzeniach łaski Bożej, doskonałości swej rodzimej, inaczej jak przeczuciem w całości jej nie pochwyci. Rozdrabia się mu ona, wedle jednostronności i skończoności zdarzeń tego zewsząd określonego światu materyalnego. Każda chwila

życia różną jest od innych, a żadna z nich całej doskonałości nie ogarnia w siebie, tylko cząstkę, cnotę jej jakąś, coraz to inną, wedle potrzeb swoich, jak materyalne przedmioty z promienia nie po cząstce światła w jedności jego przyjmują w siebie, ale je roztwarzają na barwy. Otóż barwy te, doczesne roztworzenie doskonałości. są co nazywamy powołaniem, przeznaczeniem. Wszystkie odcienie cnót znajdować się w ludzkości powinny, ażeby kiedyś doskonałe światło królestwa Bożego utworzyć mogły i nie przeminie świat, dopóki jednego odcienia najdrobniejszego brakować będzie do doskonałości światła.

Narodowość żadna umrzeć nie może, nie ujmie jej materyalna przemoc, bo jest jedną z barw doskonałości, cnotą, to jest wiedzą, dążeniem, przeznaczeniem, świętością. Zginąć tylko może rozprzężeniem moralnem, zepsuciem.

Najciemniejsi ludzie we względzie duchowych rzeczy, niedowiarki nawet, z urzędu mają zawsze niczem niestarty instynkt, że niechybne zwycięstwo li tylko świętości się należy. Jeśli więc, w bardzo znacznej części, nie wierzono w sprawę narodową czasu ostatniej rewolucyi, jeśli ją niektórzy czasem nieprawymi środkami kierować zamyślali, to jedynie dlatego, iż świętości jej nierozumiano. Wielu przychodziły na pamięć, jak proroctwa własnego losu, ludy, które poznikały z przestrzeni ziemskiej, a niezważano, iż te ludy, nim je broń obca ku innym narodowościom nagięła, motłochem, nie narodem już były, bo narodowość jak wszelka świętość w ludzkości, czynem własnej woli tylko, samobójstwem, to jest zepsuciem zginąć może. A gdzie jedne przekonanie, jedne żywe czucie sprawiedliwości, najsłabsza iskra narodowości została, choćby przewagą materyalnej siły gnębiona wiekami pod gruzami dawnej swej potęgi zagrzebana, znikła nawet z pamięci najezdników. Patrzmy w dzieje. Prochy stu pokoleń przebiła kiedyś, wystąpił duch z grobów i panował jak niegdyś, mściwiej tylko czasem i nieubłagalniej. Byli tacy co

niepoznawali mary, co ginąc jej mieczem, uwierzyć w nią nie chcieli. I nie dziw, żyjących ojce i praojce inaczej jak w grobie jej pamiętali. Roku rewolucyi mieliśmy w ręku wszystkie materyalne środki zwycięstwa, ale doskonałość duchów w ogólności nie była w równowadze z potrzebą ofiar, dlatego upadliśmy.

Rozum, dla którego słowo „świętość sprawy“ było tylko patryotyczno-poetyckim, bez właściwego znaczenia, wykrzyknikiem wznieść się nie mógł, do zrozumienia jakiego rodzaju ofiary potrzeba. Oddawaliśmy tylko życie i mienie, ale nie było poświęcenia namiętności w niechęciach osobistych, które się za lada okolicznością odzywały, poświęcenia próżności, a może i chciwości w wahaniu się czy zupełną wolność i posiadanie ziemi odrazu ludowi litewskiemu i ukraińskiemu zapewnić można; w tej jakiejś niepewności, nieśmiałości w umysłach, kiedy szło o zrzeczenie się wieczne przywilejów, nie było poświęcenia względów ludzkich, kiedy szło o jawne wyznanie i uszanowanie wiary ojców. Wstydzono się wiary w Boga i Kościół Jego i koniecznym skutkiem tej zbrodni wyschła w sercach wiara w sprawiedliwość i opiekę Jego na ziemi. Rozumowali, wyrachowywali wszyscy i rozsądnie doszli do przekonania, że Polska zmartwychwstać nie może własnemi siłami, iż broń nadaremnie porwała i nadaremnie strumieniami płynie jej krew.

Wiara została tylko u ludu, u żołnierzy, u wykonawczej wówczas siły w narodzie, jej też jedynie, ostatnie bohaterskie karty dziejów naszych winniśmy. Naczelnicy sami dziś przyznają, iż dla honoru tylko raz zaczętą sprawę popierali.

Narodowość żyje więc głównie u ludu wieśniaczego, u szlachty ubogiej, która się już prawie z wieśniaczym ludem prostotą i wiarą zrównała, bo skarb świętości prostota tylko i wiara zachować potrafią. Odwiecznej wiedzy swojej nie usymbolizował lud w słowa teoryi, lecz ona duszą jest jego

życiem. On definicyi narodowości nie zrobił, ale ziemię swoją kocha i w głębokiem ma poszanowaniu jako proch kości ojców. Jakkolwiek mu na niej gorzko, nierad się z niej wydala, choć o powinności wytrwania nie rozprawia, święcie chowa zwyczaje, spuścizny mądrości ojców, hieroglify myśli wieków, święcie wierzy w lepsze kiedyś czasy, bo jakkolwiek nie uczony, o sprawiedliwości Bożej w sumieniu swojem wieści ma pewne i na pierwszy okrzyk: Polska czy Przesławna Hetmańszczyzna, pójdzie na długie znoje i śmierć, nie z chwilowym zapałem, gorączkowym stanem wyobraźni, ale z tą samą starą swoją niezłomną, niespożytą wiarą, przed którą nic się nie ostoi, bo jako na pewne ona bez wyjątku wszystko naraża i wszystko poświęca. A któż nie wie, iż na tym świecie potęga w miarę jest tylko ofiar, u ludu korzeń żywy przeszłości, nadzieja lat co przyjść mają.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Rzym, 3 marca 1854.

Kochani moi, wczoraj odebrałam kartkę Józefa z wesołą wieścią, że nowy sługa Boży, aniołek w trochę ziemi powity zstąpił na nasz biedny padoł pomagać nam chwalby i pracy. Oby chwalił i pracował długo jeszcze na zasługę sobie, na zbawienie bliźnim, kiedy my wszyscy spoczywać już będziem w Panu. Powinszujcie Zosieczce od nas też, kiedyś śliczny będzie orszak jej w niebie. Wejdzie jak w wianku i będzie o niej można powiedzieć jak o Matce Boskiej: otoczona różami. Nie archaniołów wprawdzie ale jakiemiż? Czerwonemi czy białemi? Męczenników czy wyznawców? Bóg to jeden wie.

Nie pisałam na twoje święto, Bohdanie, ale za to obchodziliśmy je dwa razy w komunii świętej, w dzień nawrócenia św. Pawła i na Matki Boskiej Gromnicznej. Chociaż prawdę

mówiąc, kiedyż je tym sposobem nie obchodzę? Kiedyż gronko wasze nie stoi z najbliższemi mojemi u drzwi przybytku serca mego, kiedy go Pan mój nawiedza? Rzucam was wszystkich pod stopy Jego najświętsze, aby ku wam się nachylił, ogarnął i przytulił. To się nie znaczy, że wy mnie za to kochać macie, bo to prawie mimowolne. Bóg, któremu was polecam, wiem, że wielki i w miłosierdziu niepojęty, ale niegodność, lichotę samego położenia czuję głęboko. Mówię mu też nieraz aby się zmiłował nie dla mnie, ani dla prośby mojej, ale dla niego samego, dla chwały Jego miłosierdzia.

Ty mi się tak szczerze spowiadasz ze mdłości ducha, mój Bohdanie. Ach! ja ciebie tak dobrze rozumiem. Niemasz niemocy, przez którąbym nie przeszła. Znam wszystkie obłędy smutków, wiem i twoje. Różne są dary i powołania dzieci Bożych, Bohdanie, bo rozmaite zajmują stanowiska w służbie Bożej, która się nieustannie odprawia jedną wielką wiekuistą modlitwą, otaczającą jak wonią kadzidła, ofiarę bezkrwawną tu na ołtarzach, a pośrednictwo Syna Bożego tam w niebie. Wszystkie rozumne stworzenie zawołał Pan z nicości, na modlitwę i na tyle tylko żyje życiem, na ile się modli i na wieczność nic nie skarbi prócz modlitwy, i w wieczności pokojem jego, modlitwa. Ale modlitwy są różne, bo z różności głosów jedność pieśni się składa i dla tej różności głosów, serca Bóg jak arfy nastroił rozmaicie, i nietylko serca nastroił, ale głosom ich w przestrzeniach różne a różne drogi powyznaczał. Jedne strzałą wprost lecą ku Niemu i błogo sercom, z których idą, bo płomienne i wolne, ani chłodu ziemi czują, ani więzów jej znają i najmniej sieroty, bo im do ojca najbliżej. Drugie, nim do góry się wzniosą, muszą pierwej o ziemię się odbić; droga im dłuższa, żmudniejsza, pełna zawad i zgryzot i sideł i ulud. I świat i szatan to proszą, to straszą: nam śpiewaj, nie Bogu; prawdziwie bardzo ciężka i ciemna droga nim się w czystości swej całej przedrą głosy do Boga. Ale sercom, z których idą, spokojnie, bo innej drogi

nie znają; choć widzą, nie pojmują, dobrze im w ich przeznaczeniu i chwalą Boga pracą ochotną.

Są jeszcze serca inne. Czy od początku na dwa głosy nastrojone, czy może głos ich jeden, a tylko z wyższej, przeznaczonej mu drogi, dla własnej jakiejś winy wydziedziczony, nie wiem, ale czy go w tą puszczą czy w tamtą, niepokój im jakby przeznaczenia swego nie dopełniły. Odbiją go o ziemię, to szepce coś po cichu: szkoda czasu, szkoda daru; darmo głosem dźwięczyć o głazy. Stoją głuche, nieruchome, a tam wysoko smuga prosta jak myśl o Bogu jasna, jak miłość co przedziału nie zna. Alboż nie czujesz, że to głosu twego droga rodzima? Puść go po niej, niech leci i poskarzy się Panu, że są głazy tu na ziemi, a Pan mocą swoją zdziała co ty nie wiesz, cuda, kiedy ty znasz tylko pracę. I sercom niepokój i sercom tęsknota i głos się ich mąci i modlitwą Panu już nie jest, bo się o głazy odbija martwo. Skonały ufność i nadzieja. Aż rzuci marną pracę, aż wolny, szczęśliwy, strzałą poleci w przestrzenie, to sercom znowu coś szepce po cichu: w szczęściu miłować i szczęściu służyć łacno, na szczęście i wolność, wieczność będzie cała. Pan twój po ziemi stąpał, Pan twój na ziemi cierpiał. Czy cię w szeregi aniołów policzył, co w murach klasztornych zagrzebali ciała, aby duchem wieczność uprzedzili i zawiedli Panu pieśń co się nie skończy? Im wyżyny i jasne przestrzenie, postawionym na padole znój, poniżenie i ból. Skarb, którego zazdroszczą cheruby, cudu Pan nie czyni tam, gdzie praca starczy, biada robotnikowi, który nie sieje, bo nie ufa żniwu. I sercom niepokój i sercom tęsknota i głos się ich mąci, i modlitwą Panu już nie jest, bo omdlały, upada i milknie. Mój Bohdanie, i ty i ja i wielu z naszych tam od stepu, między temi ostatniemi.

Ach! Czyż Bóg tak rozedrzeć się dał tym sercom, że się już nigdy same z sobą nie zjednają? Nie, Bohdanie. Co do chwały przeznaczone, prędzej czy później, do strojności i doskonałości przyjść musi. Już dusze nasze Bóg tak stworzył,

:ycie wnętrzne zawsze u nas będzie przemagające. Ten ıt ducha, w którym się od dziecka tyle miłowało, tyle k przetrwało, tyle mąk wycierpiało w obliczu tylko Boga, i śpiewać darmo, człowiek nie zrozumie co wre w piersi giego człowieka, chyba kiedyś, kiedy się wszystko odsłoni, świat ducha, tę świątynię w każdym z nas na przybytek :y przeznaczoną, można czczem marzeniem rzeczy znikoch zapełnić, można ją znieważyć, ale zniszczyć nie można. niej stoi Jakubowa drabina, po której aż do nieba sięgać my, w niej Duch św. mieszka, do niej Chrystus Pan goem przybywa. Boża to gospoda, której my strażnikami, której miejsce i służba nasza dniem i nocą; jeśli ją rzucim, ɔćby dla najświętszych obowiązków zewnętrznych, będzie m udręczenie, bośmy ze stanowiska naszego zeszli. Wszystko wnętrzne spełniać trzeba, nie wydalając się ze świątyni, to st w zebraniu ducha przed Bogiem, a modlitwa nasza powójna, jakby dwoma głosami, chwalić będzie Pana. Inaczej koju nam nie będzie, bo i zewnętrzne obowiązki bez ciąej wnętrznej modlitwy, będą nam suche jak piasek, nudne, ecierpliwiące i przed Bogiem bez zasługi i wnętrzna moitwa z zaniedbaniem zewnętrznych obowiązków, czczem użyem, ułudą szatańską, a nie chwałą Bogu. Przypomnij sobie w. Katarzynę Sieneńską, która sobie komórkę w sercu wyudowała na samotność z Chrystusem wśród zajęć domoych. Dopóki ta komórka niezbudowana, daremne wszystkie siłowania poprawy, bo na poprawę baczności trzeba na sieie, a jakże baczyć można, jeśli niema zebrania i uciszenia.

Bohdanie mój kochany, wiesz ty czemu tobie jeszcze ak trudno idzie i mętów i smutków w duszy jeszcze tyle?)to, że jeszcze wyrzeczenia dość niemasz. Zaparłeś się i pyhy złośnej i świata i zdaje się wszystkiego co dziecku Bożemu nie przystoi, ale to nie dość. Ach! to dopiero mniejsza połowa. Jest boleśniejsza ofiara, którą spełnić trzeba: wyrzec się pociech ducha, to jest przyjmować z dziękczynieniem je-

śli je Bóg daje, ale się za niemi nie oglądać, nie liczyć na nie, ani ich czekać. Skarzysz się, że skąpo łez. Może właśnie skąpo dlatego, że błogi stan rozrzewnienia i uczucia miłości Boga bierzesz za zwykły, normalny chrześcijanina. Bóg cię w błędzie utrzymywać nie chce. Może się nudzisz i smucisz i dręczysz i niecierpliwisz i zawieszasz życie twoje duchowe dopóki nie wrócą? A wszak to łaska, Bohdanie, czasem tylko na pokrzepienie zesłana, z której jeszcze kiedyś liczbę zdać trzeba, jak się jej użyło i gdyby trwała ciągle, gdzieżby zasługa była? Chwile, w których Bóg oświeca, ogrzewa, to chwile przygotowania, postanowienia. Chrystus na własne ramiona przyjął krzyż nasz, a my tymczasem u stóp Jego dziękujemy, pragniemy, prosimy, obiecujemy. Cóż dziwnego, że taka chwila zawsze trwać nie może? Nigdyby owocu nie było, gdyby kwiat nie opadł. Chrystus więc oddaje nam krzyż nasz abyśmy obietnice spełniać zaczęli, z uczucia w czyn przeszli, a sam uchyla się sercom naszym, bo nam powiedział w osobie apostołów, że pożyteczne jest aby odszedł od nas; próba najcięższa ze wszystkich na tym świecie, ale bez niej cóżby wszelkie było cierpienie? Rajem nie męką. W czasie więc pociechy dumać i postanawiać trzeba, jak sobie postępywać będziem jak minie za lada chwilkę. Że jak przyjdzie suchość i nuda i rozerwanie myśli i pokusa niecierpliwości, do wnętrznej świątyni złemu duchowi wedrzeć się nie damy, ani pokoju zakłócić, ani ciągłej modlitwy zagasić; że jeśli przemoże na chwilę, nie ustraszym się, ani zniechęcim, ani czekać będziem, aby się podnieść na powrót chwil pociechy, ale się zerwiem skoro poczujem, żeśmy upadli i wszystko w świątyni naprawim i pokój nakażem wolą i modlitwą rozpalim na nowo, czy nam smutno i przykro czy nie, bo tu wcale o przyjemność naszą nie idzie, tylko aby przybytek Pana znieważonym nie był i nieustał głos chwały Jemu. Nie bój się, miły mu on będzie, choć szczękiem broni w walce twej przerywany, milszy niż gdybyś mu śpiewał w zachwytach rozko-

szy. Kochany, nie pragnij zachwytów, bo to miękkość ducha. Nasza droga sucha, ostra, samej czystej wiary, miłości w woli i czynie, nie w uczuciu, bo uczucie nie od nas zależy, modlitwy nieustannej, ale modlitwy w pocie czoła, nie modlitwy łatwej i rzewnej, bo łagodny pociąg łaski, to mleko niemowląt, a nie chleb dorosłych. Dany każdemu z nas lemiesz, ziarno i miecz. Płuż, siej i broń dopóki nie skonasz. A jako anioł gdziekolwiek posłany obecności Boga nie traci i nieba swego nie rzuca, tak ty, pracujesz czy walczysz, stój także w obecności Jego i przybytku ducha twego, w którym mieszka, nie rzucaj. Powiesz może że ciężko i trudno, prawda, bo usiłujesz sam, a sami nic nie możem. Módl się zawsze jako nakazano, a doznasz jak słodkie i lekkie jarzmo Chrystusowe. O kochany, żołnierz cieszy się na wojnę. I ty zadrzyj radością aż do głębi ducha, kiedy sucho i nudno i przykro, bo to ślad, że w tem oto miejscu, w tej oto chwili, skarb na twej drodze. Nie przejdź zniecierpliwiony, ale się zatrzymaj ochotnie pełen nadziei, zakosztuj z dziękczynieniem pracy i męki i wieczór pomyśl radośnie, że dzień twój nie stracony. Kochany, pomnij tylko ile to teraz trzeba pokory i pokuty na ubłaganie miłosierdzia Pańskiego, nietylko dla siebie i bliskich, ale dla narodu, dla kościoła, dla świata całego. Czyż się z każdą kroplą goryczy targować będziem? A prawdziwa ta tylko, która nieśpiewna i nieświetna, o której albo świat nie wie, albo się od niej z odrazą odwraca. Niech wszystkie, wszystkie sączą się Panu na przebłaganie, powoli, długo, wygryzając w sercu wszystko co ziemskie, do ostatniej. A niech Panu będzie dowód, że nie darów Jego, ale Jego samego pragniemy.

4 marca.

Dziś dopiero idzie ten list na pocztę. Jak się tam ma Zosieczka biedna? Nie zostawiaj nas bez wiadomości o niej. Jak się będzie nazywał nowy aniołek? Napisz też co się wkoło

was dzieje? Czy dużo z naszych w świat wyruszyło? Bodajby nie. W naszem tu gronku wszystko po dawnemu. Modlim się i jeszcze modlim za tych co się nie modlą, ludzi mniej niż kiedykolwiek widujem. Za parę miesięcy co zrobim? Albo my wiemy? Od wielu to dziś rzeczy zależy. Jeśli nic nadzwyczajnego nie nastąpi, wrócim w góry na kąpiele jak przeszłego lata. A potem, jednym lotem puścim się aż ku Czarnemu Morzu, zimować na swojej ziemi. Tu, jak w gniazdku rodzinnem, odrosły skrzydła, trzeba spróbować czy je wichry nie porwą.

Do zobaczenia moi najmilsi, najdrożsi. Matka najświętsza niech was otuli. Łaska Boska z wami.

Nisia.

Do Józefa Zaleskiego.

Ems, 25 sierpnia 1854.

Zgadł Bohuś. Nie zastała nas już kartka wasza w Rzymie i aż tu nas dogoniła. Bogu dzięki, że się już Zośka nasza, ta ziemska Opatrzność tylu aniołków, dźwignęła przecie. Z wielką miłością skłaniam się przed nią głęboko i zdobycia nowej korony radośnie winszuję. Co wycierpiała, co zasłużyła tego już nikt jej nie odejmie, to już złożony i zapieczętowany skarb w wieczności, który na nią czeka pod Chrystusową strażą. Czy zupełnie minęła niemoc? Czy się duszka koło dziatwy krząrze? Nie wiem czy wszystko do dawnego stanu wróciło i nie umiem was sobie wyobrazić. Czego bardzo nie lubię, niewyraźny mi obrazek gronka waszego, to jest w szczegółach, bo ogólnie widzę doskonale, zwłaszcza ranki wasze.

Widzę was tam jak źródło żywe wśród suchej pustyni. Widzę w głębi twarde i ostre kamienie, po których czystą falą pieni i szemrze aż je ogłaszcze. Widzę niebo całe jak się w niem odbija, i słońce, słońce w południe jak patrzy z góry

i tęskno mu do źródła i nie wytrwało czekać aż zacznie się wieczność. Orłem zleciało i pochłonęło źródło, i źródło stało się słońcem na chwilę, bo to ziemia i czas, i życiem wezbrane, światłem roztlałe, znów podróżną piosnkę swą szemrze miłośniej całując kamienie. Serdeczni, prawda że tak? I dla nas niegodnych Bóg dobry jak zwykle. W ubogim kościółku przyjmuje i tuli. Cichuteńko zbiegło nam kilka tygodni. Mało było znajomych, jeszcze mniej listów zwłaszcza z domu. Nie pojmuję co to znaczyć może. Serce drży ale powtarza Panu swemu: Bądź wola twoja święta we wszystkiem. Co nam dalej przeznaczono, nie wiem, ani w którą stronę się puścim. Wolno nam jeszcze rok jeden na Zachodzie przepędzić. Wolno, ale czy się godzi? I zawodzi się domowa wojna między Daryuszem a mną, gorzej, bo między mną a mną. Z jednej strony on i ja chcemy do Rzymu, a potem jeszcze do was, jeszcze choć raz na was popatrzeć. Z drugiej ja i pociąg ku tej bezdennej przepaści smutków i boleści co się Ukrainą nazywa. Kto zwycięży? Nie wiem. Ach! trzeba, trzeba wracać. Bóg i stamtąd modlitwę usłyszy. Na czem ostatecznie stanie, doniosę wam wkrótce, kochani.

A pewnyż ty, Bohdanie, że się sąd Boży rozgrzmiał już nad światem? Patrz czy to mocarze tego świata o skarby się tylko nie kłócą.

Zygmunt [1]) zawsze w Heidelbergu. Męczennik duszą i ciałem. Posyłam wam tłómaczenie Jego Glossy św. Teresy. Tak cierpiał, że dotąd dokończyć nie mógł.

Do zobaczenia, Józefciu, do zobaczenia, kochani, najdrożsi, wszystkich was ogarniam, pieszczę, Bogu was i Matce Jego najświętszej oddaję.

Dyzcia.

---

[1]) Krasiński.

Do Józefa Zaleskiego.

Frankfurt, 29 lipca 1854.

Mój Józefie kochany!

. . . .

Tylko was, kochani, ufam że mi Bóg da na pociechę mego smutnego próżnowania, bo próżnuję okropnie. Pracy tu niemam żadnej, licha modlitwa moja liczyć się za coś nie może, nawet oczom moim odjął Bóg widzenie grzechów i rozpaczy ludzkich. Niby się przepaść, nad którą klęczę przymknęła i jęk i bluźnierstwa dolatują tylko przez szczeliny. Głucho, szaro i szeroko wokoło jak na pustyni. Zdala odemnie grzesznej, tu i owdzie, święci na ziemi chwalą Pana gronami, szukam moich między niemi, łzami liczę tych, których nie masz i szepcę po cichu: Panie, miłości, miłości!

O moi drodzy, niedługo tak potrwa, jeszcze trochę, a przepaść otworzy się znowu przedemną. Niech przerażenie i boleść idą Panu na okup. Niech się ta kropelka złączy z morzem Chrystusowych boleści.

Kochani, którejś bezsennej nocy, stanęliście przedemną wszyscy troje, i tak jasno was przejrzałam. Mogłabym was wam samym jak na obrazku pokazać, ale tego nie zrobię nigdy, bo są tajnie w duszy ludzkiej, które na jaw życia doczesnego nigdy wychodzić nie powinny. Ale mogę wam powiedzieć niektóre praktyczne wnioski, które mi z przejrzenia wynikły.

Bohdanie, czytaj wiele. Nikt z nas, którzy objawień nie mamy i w wysokich strefach bogomyślności nie mieszkamy, duchowie sam żyć nie może. Nas na nizinach stojących Bóg prawdą swoją karmi pośrednio, probujem starczyć sobie, wzbudzając lada czem wzruszenie w duszy, kiedy głód czuje, ale wzruszenie nie nasyca. Zapomniem tylko chwilkę o głodzie, a jak się uciszy wycięczenie większe i szukamy znowu czemby się wzruszyć i coraz nam trudniej i na końcu ledwie

drgnie w sercu, bo niemoc coraz większa i mdłość. Biorąc tę rzecz nawet z jej przyrodzonej strony, myśl nuży się w ciągłym, choć drobnym ruchu. Musi czasem spocząć na myśli cudzej. Uważałeś to dziwne zjawisko jak czytając dwie, trzy godziny wciąż, nasza osobistość zupełnie usypia, dusza staje się jakby nieruchoma, myśli ludzi odbijają się na niej jak na zwierciedle, czucia żadnego nie budząc, tylko nie znikają jak na zwierciedle, ale zostają i dopiero po złożeniu książki, kiedy do zwykłego życia wracamy, czujem gdzie myśl, która ugodziła.

Mój Bohdanie, wiem z doświadczenia, że snu takiego niektóre umysły potrzebują koniecznie, i nawet potrzebują go często i regularnie, inaczej suchość i niesmak, które przychodzą ze znużenia, staną się fizycznem rozdrażnieniem, którego skutki mogą być złe, bardzo złe. Powiesz może: ale co czytać? Jeśli zawsze szukać będziesz arcydzieł, któreby w uniesienie wprawiały, bez wątpienia zabraknie ci ich rychło, (o Piśmie św. wcale nie mówię, bo ono jest raczej na rozmyślanie i modlitwę niż na czytanie). Czytaj wszystko o czem sumieniu powiedzieć można, że złem nie jest, znajdziesz nieraz perłę wśród piasku i Bóg pobłogosławi pokorę twoją, że nie zawsze szukasz orłów do towarzystwa, ale z ptaszętami przystajesz chętnie. Przemóż nudę z początku, obaczysz jak czasem z odświeżonym umysłem wstaniesz od lada jakiej książki, bo ci ona dała zapomnieć, usnąć duchem.

Zosiu kotko, śliczna, dobra, tobie na świetność stroju twego godowego trzeba pokoju i pogody, aby niepowiedziano było kiedyś, że praca twoja tak wielka, tak święta, niewolnicza była, ale chętna i radosna, jak dziecka, które szczęśliwe że ojcu służy i trudu mu swego nie żałuje. Zosiu, twoje miejsce na ziemi, miejsce dziecka ukochanego, wybranego między wielu, rzadko a rzadko dane ono komu, ty na grzech nie patrzysz, zmęczona dzienną pracą usypiasz spokojna o swoich i przez sen serce ci trwogą nie bije. Gniew Pański

dniem i nocą nie stoi ci przed oczyma, nie chodzisz zgięta pod ciężarem win wielu, wielu, ociemniała, osłupiała, długie lata żebrząc cudu. Rozradujże się Panu, który cię pogłaskał i dał część jasną i piękną.

Józefie, myślisz, że tobie nic nie mam powiedzieć? Och! mam, Józefie, mam, i to czego się najmniej spodziewasz. Gdzie o spełnienie obowiązku nie idzie, Józefie, szanuj zdrowie, bo człowiek jedno tylko ma życie, w którem Boga swego wolnym wyborem pochwalić może i skutecznie za winy pożałować. A powoła Chrystus Pan do siebie? Poskoczym radośnie, ale dopóki nie woła, uszczerbkiem na wieczność jest każda chwila ujęta sobie dobrowolnie. Bóg czyni wszystko pod liczbą, miarą i wagą, tego nas Pismo św. uczy; policzone więc dni nasze i ani jednego niemasz danego bez celu, ani jednego, bez którego dusza nasza obejść by się była mogła. Kto wie czy te dni kilka, które sobie lekceważeniem dobrowolnie ujmujem, nie były nam koniecznie do oczyszczenia z grzechów potrzebne. Józefie mój drogi, serdeczny, nie choruj ty, niechaj ciebie będzie póki mnie biednej, już sobie kiedyś razem pójdziem. Jakeś mnie Panu na chrzcie świętym poświęcił i na drodze Chrystusowej dzieciątkiem postawił, tak po skończonej wędrówce sam oddasz mnie Panu, przepraszając, że brzydka i brudna twoja owieczka obrała się bodiaczków, bo wiele po manowcach biegała za lichą paszą tego świata, ale Pan, jeśli zechce, może ją omyć i wybielić.

Moi wy najmilsi, jacy wy dobrzy, że pozwalacie wszystko wam pleść co do głowy, gdzie tam do głowy, co do serca przychodzi, że się za nic nie gniewacie, nawet kiedy jak ojciec spowiednik peroruję, radabym być inszą, ale mi się nie udaje. Ja siebie znam i wiem, że jestem troszkę co to nazywają postrzelona, najzupełniej niedołężna do wszystkiego na świecie, marzy mi się, marzy, boli i plotę, a wy miłosierni słuchacie. Niech miłosierdzie wasze wróci na was błogosławieństwem.

Kochani moi, za dni kilka wyruszamy na Zürich, Genewę do Włoch.

Do zobaczenia, ukochani, najmilsi. Całą dziatwę, Józefie, obdziel pieszczotką. Bóg z wami, najmilsi. Wasza

Nisia.

Do Józefa Zaleskiego.

Rzym, 15 marca 1855.

Pewnie, kochani, wy gdzieś blisko nieba, bo jak listy od was przyjdą, rozjaśni się i rozwesela w duszy, jakby wśród zimy błysnęło słońce wiosenne. Niech Chrystusowi Panu naszemu chwała będzie i błogosławieństwo na wieki, niech go święci Jego kochają i aniołowie wszyscy za to, że on was ukochał, że was wybrał przejrzeniem swojem pierwej niżeście byli, że wam na okup dał wszystką krew swoją pierwej, niżeście zgrzeszyli, że was dzieciątko ledwo narodzone chrztem św. wziął sam na święte ręce swoje, że za wami gonił, że za wami wołał, kiedyście uciekali od niego, że w cierniach i przepaściach was szukał, aż znalazł uradowany i teraz w każdej komunii ciśnie jak swoich rodzonych do piersi i mówi: niedam już ich, niedam bo oni moi. Gdzie ja jestem, tam chcę aby i oni byli. Powiecie: wszak to samo i dla ciebie uczynił. Prawda, ale jeśli uczynił jeszcze i dla każdego z kochanych moich, żadnego w cieniu śmierci nie porzucił, a tym nawet którzy mu się opierają, nadzieję cudów swoich zostawił, o ileż miłosierniejszy! Cóż jest miłość nasza, którą się, my ludzie, wspólnie kochamy, i najgorętsza w porównaniu tej miłości? W niej tylko pokój, bo w nieskończonych obawach, troskach o tych co daleko, co w boleściach, co w pokusach, gdzież by kres był trwodze, gdyby nie myśl: Chrystus lepiej kocha odemnie, nieustanniej czuwa i wszystkiemu za-

radzi, bo w zasługach męki Jego niedostatków niema. Może mało komu ile mnie ciężkim było krzyżem wszechniemoc, teraz uczy się leżeć spokojnie u stóp Wszechmocy, modlić się i wszystko rzucać w rozdarte szeroką raną serce Chrystusowe. Jaki ten Chrystus dobry, że w gniazdku tam waszem spokojnie, że pisklęta wasze świergocą wesoło, że jest chwila wytchnienia między krzyżem a krzyżem, niby zstąpienie w zaciszną dolinkę, w cień duszy po blasku, na ukrzepienie między chwałą a chwałą, bo krzyż a chwała, chwała a trud, jedno dla duszy człowieczej.

I my, kochani, wypoczywamy sercem. Oszczędza Bóg wielkich wstrząśnień, położył dłoń swoją na dawnych ranach, aby choć otwarte i żywe, nie krwawiły. Uczy tak kochać Chrystusa, tak się w niego wpatrywać, że kiedyś jak dłoń odejmie i znów krwawić na nowo rozdzierane zaczną, myśl się już do nich nie zwróciła, jakby ich nie było. Kiedy już wyjdziem z siebie tak zupełnie, że i wiedzieć nie będziem czy cierpiem czy nie? Kiedy już, kiedy? Oby długo, długo przed śmiercią, aby długo służyć Chrystusowi Panu wolną wolą naszą, nim zaczniem koniecznością błogosławionych.

Najdrożsi, niepisujem często, bo ciągle to jedno z nas, to drugie niedomaga, chociaż bardzo ani długo nie chorujem, nawet Daryuszowi zdarza się po kilka dni leżeć na swoje biedne nogi, które czasem nielitościwie męczy po schodach i bruku. Oprócz niemocy, jest druga ważniejsza przyczyna, której nie wiem czy wierzyć będziecie, a jednak prawdziwa: taki brak czasu, że nawet do mamci już nie książeczki po dawnemu, tylko kartki idą. Od rana do wieczora, nachodzą znajomi, siedzą, gawędzą, jak się od nich godzinka wykradnie, trzebaż ją dać Bogu, któremu tej zimy z naszej strony ogromna krzywda się dzieje, bo im więcej ludzi razem (nie habitowych), tem mniej czasu na modlitwę i czytanie, a co gorsza, tem mniej zebrania ducha. Wiem, że nie ludzi i zatrudnień zewnętrznych w tem wina, bo uczniowie i święte nie-

wiasty i wśród tłumu tylko na Chrystusa patrzali. Życie nie na powierzchni zmysłów, tylko w głębi serca. Cóż kiedy ta głąb tak długo rzeczami stworzonemi zapełnioną była, że dziś lada dotknięcie światu budzi widma ich w pamięci i wstają niezliczone, straszne, to rzewne, to tylko próżne i dziecinne, zalegają świątynię Pańską, wichrem kolują, szumią, wzajem się roztrącają i mącą, i Pan który w pokoju tylko mieszka, ustępuje i po nim sieroctwo, aż widma opadną i serce pożałuje, że Panu swemu gościny nie dało, że głowy swojej nie miał gdzie w nim złożyć i poszedł biedny, bo nikt go nie przytulił. Gorzko potem, kochani. Aż wróci i upadnie się przed nim płacząc twarzą na ziemię i stopy Jego najświętsze w oba ramiona obejmie. Och! co uczynić? Co uczynić, aby od Pana nigdy nie odejść?

Żyjem zupełnie po ukraińsku. Wzięłyśmy Rzym w posiadanie jak swój własny i tak: od czasu do czasu zgromadza się gdzieś w kąciku sypialnego pokoju cały wielki Sanhedryn (do którego oczywiście nigdy płeć brzydka przypuszczoną nie bywa) i radzi po cichutku. Czasem mniej tajemnicze obrady odbywają się z większą ilością członków, poszepce się chwilka, wezwawszy w duchu pomocy Matki Boskiej, pośmieje się druga i każda w swoją stronę na robotę. Cezia [1]) jako najzdrowsza ma wydział szpitalu i bodaj czy i Kostusia w pomoc jej nie pójdzie, bo jest wiele do nauczenia się. Za to co my mamy dobrego, im dajem i bodaj czy w jednym ze znaczniejszych nie zaprowadzi się przez Cezię nasz ukraiński sposób uczenia katechizmu opowiadaniem. Tygodnie całe zabierają nam czasem nasi własni chorzy, prawdziwe zgromadzenie Łazarzów. Jeszcze nigdy osada nasza w Rzymie ani tak ogólnie cierpiąca, ani tak ogólnie modląca nie była. Jedni cisną się w serce Chrystusowe, tak kochają, tak modlą, że zapomnieli że cierpią i że żyją patrząc na Niego. Drudzy

---

[1]) Pani Gruszecka.

ręce Jego całują, służąc Mu w bliźnich, a ja niegodna ani chwały Bogomyślności, ani szczęścia pracowania dla Pana mego, leżę u stóp Jego nic nie robiąc i czekając zmiłowania i skinienia. Jeśli nie skinie, niech da przynajmniej nie ruszyć się do końca od stóp swoich i umrzeć, błagając za siebie i braci grzeszników. Wszyscy wypoczywamy, niewiem czy po przeszłości czy na przyszłość. Listy z domu rzadkie i krótkie. Skarzą się, że nasze nie dochodzą i po pięć tygodni nic od nas nie mają. My jeszcze o jutrze nie myślim. Proszę tylko Matki Boskiej, aby się z wami jeszcze gdzie obaczyć i pomodlić dała. Józefciu, za trzy dni twego patrona święto i twego i Bohdana i tylu naszych. Gdyby to się nam tego dnia na jedną chwilkę oczy ducha otworzyły, gdybyśmy się wszyscy u Chrystusa ujrzeli tak jak przy nim będziem istotnie! Nie da Bóg tego, bo byłoby wykradzenie jednej złotej iskierki z wieczności. Tyle dla was pragnień i błogosławieństw, dla was i dla waszych wszystkich, tego nikt nie wypowie i jeden Bóg tylko pojmie, bo jeden z drugich ogromnym zdrojem płyną aż w wieczność.

Do zobaczenia, kochani, najdrożsi, trójlistku co pięć pączków ślicznych ocienia. Bóg z wami, pokój Jego i radość.

Wasza dawna własna, zawsze ta sama

Nisia.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Rzym, 8 czerwca 1853.

Dziękuję wam za wasze kartki, moi wy serdeczni, kochani. Coś mają wasze literki drobne, że na ich widok rozjaśnia się w sercu. Nie odpisałam zaraz, bo wiecie już zapewne. długo nasz poczciwy Buturlin chorował, nim go Bóg do siebie powołał. Darcio dzień i noc go pilnował, a ja chociaż niepotrzebna, przeniosłam się była do nich na Monte Cavallo, aby być bliżej i wiedzieć w każdej chwili co się dzieje i przynajmniej pomodlić z niemi. Tak umierał, kochani, że przyto-

mni, serca nie mieli smucić się i żałować, ale ich ogarnęła błogość i przychodziło na usta dziękczynienie temu Bogu dobremu, który tyle piękności dał stworzeniu swemu.

. . . .

. . . .

Teraz wszystko po dawnemu, wróciliśmy na naszą siedzibę Palazzo Lozano, ale za to mi mojem przeznaczeniem zawsze i wszędzie być zawadą; w sam dzień Bożego Ciała, parę godzin po skonaniu Buturlina, kiedy zdrowiuteńka, rozmawiałam z jenerałem Szymanowskim, jedną razą mdło mi się zrobiło i puściła mi się krew ustami dość mocno. Od tej pory, lepiej mi już znacznie, ale mówić mi trudno i dla schodów nie puszczają mnie nawet do kościoła.

Z domu, Bogu dzięki, wieści dobre. I mamcia zdaje się spokojna, dzieci hoduje, kościółek swój kończy, kwiatki sieje. Kostusia pisała do mnie na samem wyjezdnem do Petersburga, przysłała długą nową poezyę panny L.... pod tytułem: „Kamienie". Jak forma, tak i duch tenże sam co dawniej, te same błyski i cienie. Szkoda jej, na korzyść sztuki bierze fałsz i prawdę, a Bóg świętokradzkie ich zbliżenie, zrównanie, pomieszanie, karze ujęciem daru sprofanowanego. Zwykle zaczyna śpiewać błąd i dar jej całym blaskiem jaśnieje, potem z kolei chce nim prawdę uczcić ale dar omdlewa i ująć jej niema siły. Za świecki na jej piastowanie. Boję się czy ona nie myśli, że wyobraźni wolno wierzyć w co sercu nie wolno. Jeśli rozszczepi, rozdwoi istotę swoją, zgubi ją.

Moi serdeczni, jak się macie? Jak się ma dziatwa? Czy jeszcze kaszle? Piętnastego maja mieliście przymrozki, to chorym nie pomaga. W Rzymie szaro, dżdżysto. Ani się domyśleć, że czerwiec. Kładziem się po kolei, Łubieńska, Józia Karska, Odescalchowa i ja, ale winy własnej nie składamy na porę, kładziem się, bo muł ciała naszego do niczego, niechce nam służyć, raz w raz się przypomina i po swojemu mówi: „dosyć już". A dusze, niby takie pracowite i bardzo na świe-

cie potrzebne odpowiadają: „Potrudź się jeszcze troszkę". Ot dzieciństwo. Łubieńska i Odescalchowa, matki, dzieciom życie ich tu potrzebne, ale Józia i ja na co my na świecie, chyba doprawdy jak mówiła mała Jaczewska, egzaminowana przez babcię, na hrycki. Jeśli nas Bóg jeszcze trzyma, to tylko dlatego, żeby matki nie płakały po nas, choćmy niewiele warte.

Bohdan wymawia, że zaniedbaliśmy sztukę, że galeryi itd. nie zwiedzamy. Kiedyż bo na to siły potrzeba, a jej nic nie ma, ani krzty prawie, a potem, a potem. Człowiek nie stoi na miejscu, leci, leci. Cóż dziwnego, że się stosunki jego z wyobrażeniami ludzkiemi zmieniają. Co mu wczoraj pomocą było, dziś przeszkodą; co wczoraj zebraniem ducha, dziś rozproszeniem. Lada obrazek licho sztychowany, na którym w całej prostocie jaśnieje jakaś myśl chrześcijańska zachwyci i przez dni kilka do modlitwy pomoże, a roztargnienia nie da, bo tę myśl prawie bez materyalnych środków za pomocą ledwie kilku czarnych kresek wyraża oderwaną od wszelkiej rzeczywistości ziemskiej, światowej. Obrazy mistrzów, oprócz bardzo nielicznych wyjątków, przeciwnie. Mistrze biorą myśl z zaświatu, w światową szatę stroją i wśród rzeczywistości światowej aż do złudzenia naśladowanej, stawiają. Jeśli duch mój rzucił świat, niechce doń wracać drogą sztuki. Im mniej przedmiotów zewnętrznych w myśli, tem lepiej, tem prościej, równiej, chyżej, jak strzała pójdzie duch w niebo. Nie myślcie, kochani, że przyszłam do zupełnego zastosowania tej prawdy, daleko mi jeszcze do tego. Dał mi Bóg dopiero głębokie jej czucie i bojaźń uczynienia czegokolwiek jej przeciwnego. Co tylko jest we mnie ludzkiego, burzy się i buntuje przeciw niej, rozum dniami i nocami niedorzeczność jej niby przekłada i ostateczności na jakie narazić mnie może. Niech męczy i dręczy jak chce, nie on zwycięży ale Chrystus. Rozumiesz teraz, Bohusiu, czemu nie zarzekam się wprawdzie zupełnie galeryi, ale też i nie bardzo do nich spieszę? Jaśniej

mi, spokojniej, kiedy myśl moja jak biała karta przed Panem, z której wszystko starte przez słowa Jego.

Do zobaczenia, najmilsi moi, da Bóg wkrótce. Józefie mój, wierny, poczciwy, Zosieczko, kochana, droga, aniołki śliczne, pieszczotka wam i błogosławieństwo na was niech Bóg z nieba zeszle. Do zobaczenia, całe gronko kochane. Łaska Boża z wami.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Florencya, 12 lipca 1855.

Moje gniazdko śliczne, kochane, gdzie ja cię mam szukać? Czy w Fontainebleau, czy gdzieś u wód, jak mi Józef pisał? Tak już dawno nic o was nie wiem? Czyście zdrowi? Przynajmniej ciepło letnie powinnoby służyć i Zosi i Józefowi.

Nasze zamiary rozwiały się wszystkie dla przyczyn, których się po części domyślicie. Mieliśmy jechać do Cauterets, potem do Ems. Ale mnie podróż tak męczy, że się mój poczciwy Daryusz zmiłował nademną i pozwolił pić sprowadzone wody tu w willi niegdyś zamieszkałej przez Eugeniusza [1]). Przenosimy się do niej za parę dni. Dość to daleko od miasta, będziem przez kilka tygodni zupełnie sami z Bogiem, z Chrystusem, bo mamy tam kaplicę i Przenajświętszy Sakrament będzie z nami ciągle.

Mnie jak zwykle straszno patrzeć w przyszłość. Aż dreszcz pomyśleć o jutrze. Ale to uczucie ludzkie wrodzone przeciw cierpieniu, które Bóg dopuszcza, może na to tylko, aby je łaska zmogła. Cóż Bogu memu dam, jeśli nie wolę moją na zjednoczenie z Jego wolą? Nic nie mam jeno wolę,

---

[1]) Eugeniusz Poniatowski, brat Daryusza.

niechże mu służy i mówi szczerze: kielich, który mi dał Ojciec, pić go nie będę?

Kochani, kochani, gdyby się przedrzeć przez chmury i gwiazdy i twarz Chrystusa choć raz obaczyć. Wszystko by potem lekkie było. Nie;—lepiej Chrystus obmyślił, lepiej spojrzeć wtenczas, kiedy już grzechu nie będzie. A teraz czekać i kochać. Gdyby choć usłyszeć od niego że prawda że ja jego kocham, toby się potem chciało o każdym z kochanych to samo usłyszeć, a kochanych wkoło mnie jakże wiele. Kręg za kręgiem coraz dalsi a dalsi, a zawsze kochani, i gdyby jeden z ludzkości został za tym jednym, życie by się przepłakało. I co chcesz wymyślaj, zawsze na płaczu skończysz, bo to ziemia; tylko, że dzieci Chrystusowe płaczą z uśmiechem, bo im wola Pana zawsze miła, bo kiedy się modlą, wierzą, że otrzymają i staje się im. My nie dość ufamy, dlatego nie prędko skutek prośby mamy. Wiecie jak robił Pallota, którego to kanonizować myślą? Naprzód prosił usilnie a pokornie, a potem zaraz nie wstając z kolan dziękował, jakby już był wysłuchany. W świecie ducha wszystko nasze, bośmy współdziedzice Chrystusa, prośmy Ojca wesoło, pewni, że nas kocha i nigdy nie odmówi tego co nam dobre. Ufności, ufności, uśmiechu na rozbrojenie i rozrzewnienie Ojca.

Do zobaczenia, kochani, pieszczotka całemu maczkowi. A trójlistek do serca tulę, Matce Boskiej oddając.

Dyscia.

Do Józefa Zaleskiego.

Florencya, Villa Dante, 17 października 1855.

Czemu wy dla mnie tacy dobrzy, moi wy najmilsi? Gdybyście mogli zajrzeć do duszy mojej i obaczyć jakie ze mnie nic dobrego, tobyście zdumieli nad tajemnicą miłosierdzia Bożego, które umie nawet ku takiemu lichemu stworzeniu na-

chylać serca dobrych ludzi. Dziękuję wam za życzenia i modlitwy. Ale czyż być może, aby wam naprawdę smutno było bez listów od Nisi. Nie chmurzcie się, brwi ani czarnych, ani płowych nie marszczcie, bo ja z waszej strony niczemu się nie dziwię, nawykłam jak do rzeczy najprostszych do wszelkich cudów miłości waszej. Tylko jak spojrzę na własnego ducha, któremu mgły ziemskie tak często niebo zasłaniają i niskie, szare więzienie sklepią, myślę sobie: skąd mu, że słowo jego czasem promieni? I doszłam. Odemnie idzie czarne i zimne, ale waszym duchem gorąco przyjęte. własnem waszem odbitem światłem wam promieni, to idźże moje słowo nędzne. Oni cię purpurą miłości obloką i będziesz mocarz. Królujże im wdzięcznie, rozgrom smutki, dzielnice myśli rozszerz, pokój jak cisza wieczorna niech padnie na serca i niech zabrzmi modlitwa: Panie, dziękujem Tobie, żeś ty jest. Objaw się nam w sercu, niech my Ciebie ujrzym nie kiedyś na sąd, ale teraz na miłość.

Bohdanie, ty mi kiedyś pisał, że dumasz nad latami co zbiegły. Żal się Boże, kochany! Wynijdź z Egiptu, piękniejsze niebo niźli nasza młodość, piękniejszy Chrystus niźli sny nasze. Zapłacz za wszystkie, bo niebyły o Nim, który kochał i czekał, podziękuj, że minęły i tych dni które ci jeszcze dane, nie zmarnuj. Patrz w Niego, patrz, patrz dopóki ramion ku tobie nie wyciągnie i powieki się twoje nie zamkną. Kocha go mój trójlistek i modli się, tylko jest szparka do nieba, przez którą niewiem czy często zagląda, a do tej szparki, z której światło i szczęście potokami płynie, świat cały przygarnąćbym chciała, a cóż dopiero was, kochani? Musiałam już kiedy do was o tem pisać. Uśmiechniecie się, że jak o dziwie rozpowiadam to, co wszyscy wiedzą. Cóż chcecie? Dla mnie co dnia nowy cud. Niechże o nim na radość mówię. Chrystus kiedy żył na ziemi, ponieważ był Bogiem, nietylko człowiekiem, prócz otaczających go współczesnych ludzi, widział jeszcze wszystkich, którzy od początku świata żyli i żyć

będą do końca. Nieprawdaż? Wszyscy byli mu przytomni, jakby istnieli z nim razem w tem życiu doczesnem, wszystkich widział usposobienia i myśli, i wedle nich radował się lub bolał, dano więc nam wszystkim uczestniczyć nie wyobraźnią tylko, ale najrzeczywiściej doczesnemu życiu Chrystusowemu na ziemi, być mu powodem smutku czy pociechy. Jeśli naprzykład opuszczonemu w ogrojcu towarzyszym myślą, współ z nim bolejąc, kochając go i ciesząc, widział nas wówczas i wierna miłość nasza była mu wówczas pociechą, jak znów niedbanie nasze i zapomnienie dzisiejsze było mu wówczas boleścią. Jeśli więc każde wspomnienie nasze, każda myśl miłości była mu przytuleniem, pogłaskaniem, pieszczotą w niezgłębionych jego niepojętych cierpieniach ciała i duszy, czemużbyśmy mu tego przytulenia, tej pieszczoty skąpili? Skoro on pocałowanie nasze w życiu swojem przeszłem na ziemi czuje na ulgę sercu, jakżebyśmy go nie całowali? Każda luźna myśl o nim w roztargnieniu dziennem jest mu miła, im częstsza, tak częsta, że się prawie ciągłą staje tem milsza. Ale to nie dość, temu co się cały dał, choć chwilę w dniu dać się trzeba całym. Mamy godzinę wolną, pół godziny, kwadrans nawet, zamiast innych modlitw zbierzmy ducha na osobności, jak apostołowie mówili kiedyś: Otośmy wszystko dla Ciebie opuścili, tak i my w duchu opuśćmy wszystko, dom, rodzinę, kraj; wyzujmy się ze wszystkiego i wezwawszy pomocy Ducha św. i Najświętszej Panny, wolni pójdźmy za nim w jakiejkolwiek chcemy chwili Jego życia. Dajmy na to kiedy stąpa po fali morskiej i mówi uczniom: nie bójcie się, to ja. Zapomniawszy o wszystkich troskach naszych i pragnieniach, jakby osobistość nasza nie istniała, żyjmy Jego życiem w Jego czasie, patrzmy w Niego, starajmy się ważąc słowo i ruch Jego każdy, zrozumieć serce Jego aż do głębi, rozmawiajmy z Nim jak gdybyśmy obok Niego stali; jeden z uczniów na czółnie, On się ku nam nieraz nachyli miłosiernie i tchnie odpowiedź. A jeśli rozmyślanie nasze będzie przed Przenajświęt-

szym Sakramentem, nietylko my, w moc Jego Bóstwa, będziem w przeszłości człowieczeństwu Jego przytomni, ale w moc drugiego cudu, Jego Bogo-człowieczeństwo nam będzie przytomne rzeczywiście i stanie się jakby początek wieczności, w której wszystkie czasy są współczesne i niczego już nam potrzeba nie będzie, jeno rozdarcia zasłony i oglądania Pana naszego twarzą w twarz. W tych chwilach prośmy też, ale nie prośmy dla własnego czy kochanych szczęścia, tylko dla Jego pociechy i chwały. Niech świat cały i kraj i kochani i my sami w drugim stoim rzędzie, jak gwiazdy w obec słońca, które są przecie, tylko ich za blaskiem światła jego nie widzim. Kto myśli że to niepodobna, znać, że nie spróbował; to świat nowy, inny, którego nic wyobrażenia dać nie może, do którego im kto z głębszą pokorą przystępuje, bliżej się z Panem swoim poznaje i miłość Jego widzi, tak niepojęcie wielką, że mu wszystko wobec niej maleje i niknie i tylko Pana swego kocha i mówi mu: Panie, co chcesz abym czynił? i potem wstaje, idzie i czyni co mu Pan Jego do serca podał. Nie myślcie że tacy ludzie zimni dla bliźnich i nieużyteczni, bo takiemi tylko ludźmi świat stoi, jedno słowo ich prośby więcej u niego waży, niż długie modlitwy tych, co klęcząc nawet przed nim o sobie tylko myślą. Była na świecie jedna święta dusza, wiecznie w Panu zatopiona, wiecznie Jego życiem żyjąca, Jego cierpieniem bolejąca, Jego sprawami zatrudniona; tłumy się do niej uciekały, prosząc o wstawienie w rozmaitych potrzebach, ona chętnie i z wielką miłością obiecywała, ale zawsze zaledwie wyszli, duch jej spolił się z Panem, zapominała; po niejakim czasie wracają owe tłumy, ale już dziękując każdy za otrzymaną łaskę. Zdziwiona mówi: Panie, czemu już oni dziękują, kiedy ty wiesz, żem ciebie za niemi nie prosiła. A Pan jej odpowiada: ponieważ zawsze pragniesz wolę moją pełnić, i ja twoją spełniam, nawet kiedy o niej zapomnisz. Zapomnieć siebie i swoich dla Pana, poświęcić ich, na tem nigdy nie

stracim ani my, ani kochani, bo błogosławieństwa kochanym nie wypraszamy dla nich w miarę miłości naszej ziemskiej ku nim, ale w miarę miłości naszej ku Panu. Jeśli prosim o łaski dla nich, nie dla nich w ostatecznym celu, ale dla utulenia palącego pragnienia Chrystusowego na krzyżu; jeśli w nich dla Chrystusa miłosierdzia wołamy, aby krew Jego marnie się nie lała, otworzy Bóg dłonie i da stokroć, tysiąckroć, milionkroć więcej, niźliśmy się spodziewali, bo pociechy synowi swemu Ojciec da bez miary. Chrystus tylko godzien jest wejrzenia miłości. Cierpi i pragnie sam opuszczony, wyglądając ulgi, mąż boleści. Kto się nad nim zlituje i pójdzie do Ojca ze łzami, żebrząc miłosierdzia dla niego, wróci z taką obfitością łask wszelkich, że i sam i kochani jego i znajomi i nieznajomi przepełnieni zostaną i na ziemi nie zliczy aż na ostatnim sądzie pozna skarby, jakie rozsiał. A kto przejdzie z zimnem sercem, bo się tylko o siebie troszczy w sobie i w swoich, darmo wołać będzie. Wszak grzesznik i blizcy jego grzeszni, jakżeby na nich paść mogło wejrzenie miłości tego, który święty, święty. Na grzesznych Pan tylko przez Chrystusa spojrzeć może, przez niewinność Chrystusa o winach naszych zapomnieć, przez miłość dla Chrystusa nas ukochać, przez uwielbienie Chrystusa nas ubłogosławić. Wszystko nasze w kochaniu Chrystusa, bo kto miłuje, ginie w miłowanym i jednym się z nim staje? Miłujmyż, miłujmy i gińmy, aby nie my już żyli, ale Chrystus w nas żył.

Kochani, przepraszam was za ten list. Ale jeśli nie o Panu, o czem mówić będę? Od wielu lat, tych ostatnich więcej niż kiedy, oddziela Bóg, oddziela powoli od wszystkiego i w siebie tylko patrzeć każe. Długo buntowała się i rwała na zewnątrz krnąbrna moja dusza i zrozumieć nie mogła. Czy nie chciała woli Bożej? Teraz, w samotności naszej willi, zdaje się że pojęła trochę niektóre prawdy. Twardą mam głowę do mądrości Bożej, jak niegdyś Izraelici. Nie daj,

Panie, abym, jak oni, zawsze błądziła sercem. Chętniebym o nas wam co powiedziała. Kiedy nie ma co, kochani.

Na wsi, niby na Ukrainie, cicho i samotnie. Walki, boleści czy pociechy, rzadko kiedy z zewnątrz, zwykle powstają z głębi ducha, w którym jak w źwierciadle przeszłość i teraźniejszość się odbija. Kaplicę mamy w domu i Przenajświętszy Sakrament ciągle. Daryusz modli się nieustannie. Mało w kim, nawet z duchownych, tak wielki widziałam dar modlitwy. Ma to właśnie co stanowi tło życia kontemplacyjnego, zdolność utrzymania się w przytomności Bożej i nieprzerwanej modlitwie w duchu, przy zatrudnieniach dziennych i obcowaniu z ludźmi. Moi najmilsi, bardzo ten człowiek wysoko będzie w niebie. Ustanie zapewnie wkrótce nasza samotność.

. . . .

Bardzo pragniemy wieści z kraju, bo po onym wielkim ruchu, o którym Bohdan pisał, bodaj czy jeszcze coś nie było.

Wiecie, że biedny nasz Jeżowski[1]) już u Boga. Po kilkotygodniowej gorączce skończył u mamci. Wiem to tylko przez dzieci, a zatem bez szczegółów. Oczywiście musiał jeden z listów mamci gdzieś zginąć. Dotkliwa to bardzo będzie dla niej strata. Wszak to ośmnaście lat ścisłej przyjaźni, pusto i smutno będzie jej teraz.

. . . .

Kiedy wy już te całe nowe pokolenie poznacie? Zosieczko moja droga, dziękuję za kilka słówek przypisku takich serdecznych dziękuję, trójlistku mój kochany, za każdą myśl miłosierną, za każdą modlitwę, za każde między wami wspomnienie o nas, za całe szczęście, które przez was spływało na mnie niegodną przez lat tyle.

---

[1]) Józef Jeżowski, kolega Bohdana Zaleskiego z Humania, zmarł w Kuryłówce, gdzie długie lata przepędził.

Dziecięta, mego chrzestnego na czele, upieśćcie za nas. Wszyscy was pozdrawiamy i kochana wasza rodzona

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Rzym, 9 kwietnia 1856.

Najmilsi, najdrożsi, Nisia jeszcze raz zmartwychwstała. Czy na długo? Niewiem. A jak znowu zapadnie, to nietrzeba się będzie martwić i niepokoić, moi, moi rodzeni, bo niemam uczucia, jakby mnie już wołał Bóg do siebie. Przemarnowałam życie prawie całe, nie ma po czem odpoczywać, a Pan Bóg zdaje się troszkę czasu zostawia na pożałowanie straconego, tylko coraz do wrot wieczności zbliża i każe przez szparkę patrzeć co się tam dzieje, bo Nisia wielkie nic dobrego, zawsze była do niczego, teraz gorzej niż kiedykolwiek. jakby raz wraz próby nie robiła, toby, jak przyjdzie godzina, i umrzeć nie umiała. A wiecie wy, co to uczyć się umrzeć? To uczyć się kochać, bo na jakim stopniu miłości śmierć kogo zastanie, na takim wieczność całą przetrwa. Więcej więc, coraz więcej Chrystusa pragnąć, miłować, miłować, miłować, drzeć się do niego, oczy do niego wypatrywać, serce z piersi do niego wyrwać. Królestwo niebieskie gwałt cierpi, a w Chrystusie was kochać, bo wy członki Jego, bo jakże go ucieszyć, jeśli nie w was, braci? Sunie się w duszy pojęcie miłości, jakim był, młodość moją Bóg opromienił i gorzko sercu, że się je w życiu nie urzeczywistniło, że twarde i chmurne łaskę Bożą zaniedbało i zapomniało, że teraz dopiero na końcu Chrystus przypominał i łzami spłynęło.

Wy teraz tego nie zrozumiecie, aż chyba obaczycie na sądzie ostatecznym. Abyście bezdno miłosierdzia Pańskiego dla grzesznicy uwielbili i umiłowali.

Każą kończyć, muszę iść sobie precz od stolika. Całuję was.

Nisia.

Do Józefa Zaleskiego.

Rzym, 3 czerwca 1856.

Zosia zdrowsza i już nie leży. A widzisz, Józefciu, czyja prawda? Widzisz, że się Bóg zmiłował. Czemuś od początku było przeczucie miłosierdzia. Niechże ten Bóg dobry błogosławiony będzie i mnoży wam łaski bez liczby i miary. Dziękujem tobie wszyscy, mamcia na czele, za kartkę na przyjezdnym napisaną i przypominamy obietnicę długiego listu. Nas już rozdmuchnął Bóg prawie wszystkich po szerokim świecie. Aleksandrostwo [1]) muszą już być w Paryżu, Łubieńscy w Marsylii, Odescalchi w Bassano, Lenartowicz, Pol i Andrzejewski we Florencyi itd. itd. Zostajem ostatni i dotąd nie wiemy, w którą stronę powiejem. Kicia bardzo niesilna, najczęściej w kościele albo u siebie w domu. Mamcię poczciwy ale straszny Onufry [2]) jak pochwyci zrana i zacznie wodzić z kościoła do kościoła, bo tu wielka święta, a tam patron jakichś chorób, a tam znów odpusty, a dalej o kilkanaście kroków tylko, małą rzeczą duszę z czyśca wyzwolić można. Biedna mamcia wraca ledwo żywa, pada na moje łóżko i śpi resztę dnia. Darcio nie hałasuje zwykle. Więc do trzeciej cicho, że muszkę usłyszysz jak leci i tak mi się Pielawa przypomina w lecie, kiedy skwarno i blask przez ogromne okna bije i cicho jak na stepie, bo też step. Oczy tylko podnieś, a wzrok twój i serce twoje poleci, poleci w nieskończoność. Józefie, kiedy my już wszyscy razem będziem w niebie? Jaki z tego Bohu-

---

[1]) Orłowscy.

[2]) Korzeniowski.

sia miluś, że się do mamci po dawnemu podpisał. B o h u ś; patrzałam, patrzałam na te jego kochane, takie znane literki i płakać mi się chce. Latami całemi tak się zachmurzy, zasępi, tak czegoś srogo wokoło, że jak kto pieszczone słówko wymówi, niby się uśmiechnie, niby zaswawoli, to jakby naraz wszystko zmartwychwstało i wiosna w sercu jak ongi, boć przecie była wiosna, choć krótka. Ale dobrze, że sobie przeszła, bo była ziemska, a ja chcę niebieskiej.

Kochani, kiedy my już będziem młodzi?

Widziałam wczoraj Paulę Chłapowską w klasztorze. Smukła i biała, czysta lilijka. Aż mnie ochota wzięła do nieba. Kiedyż już o Boże mój, kiedy? Kiedy już z mojej poczwarki się wydrę taka śliczna i lotna i śpiewna ku memu Panu na wysokiem niebie?

Do zobaczenia, kochani. Miłosierdzie Boże niech tuli was wszystkich i głaszcze i pieści; wasza

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Rzym, 4 kwietnia 1857.

Bohusiu, Zosieczko, prawda, że Nisia nic dobrego, ale nie w tem, żeby was nie kochała. Nisia was kocha, kocha, biędna, ale gdyby wy wiedzieli na co jej przyszło, tobyście się nie dziwili, że nie pisuje. Jednak żeby pieszczotki zapomniała niema niebezpieczeństwa, bo kiedy kurki rodem czubate, to czubate do śmierci. Otóż całą zimę i całą wiosnę nic nie robię, tylko ludziom dowodzę, że jest szatan na świecie, a oni wierzyć nie chcą, jakby to była nowina, i że Moskwę wprawdzie trzeba kochać, ale Pana Boga jeszcze więcej. Piersi wygaduję na tej żmudnej pracy.

Wieczór czasem jak się wszyscy rozejdą, zdaje się, że już tchu do życia niema. Nazajutrz idę do domu Bożego po

siłę. Zwykle Bóg znowu daje, a czasem już niechce, to kilka dni w łóżku. Żadną łaską ruszyć nie mogę i jestem cywiliter mortuus. Mądrzy ludzie utrzymują, że trzeba mówić mortua, ale to nieprawda, bo ja wcale nie jako białogłowa, tylko jako rycerz leżę. W tej chwili tylkom na pół mortuus, bo już niektórzy powyjeżdżali, nie w łóżku ale na fotelu wzmagam się w potęgę na przyszłe walki i do was bazgrzę na pociechę, że świat ślepy i szalony. Moi, moi własni, moi rodzeni, moi dawni, zawsze ci sami, dzieci Boże, błogosławieni, miłość wam. Obyście jeszcze na ziemi lepsze dni dojrzeli, gdyby oczy moje na was weselszych popatrzyły, nadto by szczęścia było. Gdyby choć z czyśca, bo niebo daleko.

Na ręce Matki Boskiej oboje was z dziecięętami składam, całuję i kocham, kocham, kocham.

Dyzia.

Józef zdrów, ale się nim tą razą nie nacieszyłam, bo i on ze swojej strony zawzięcie apostołuje.

Do Józefa Zaleskiego.

Liwurna, 7 sierpnia 1858.

Tyleś napłakał przed Bogiem o twego jedynaka, Józefie mój drogi, niechże się dziś serce twoje rozraduje.

A widzisz, widzisz, Józefie, jaki Bóg dobry. Ogólnie mówią, Duch św. powiał na kraj nasz, łaska spadać zaczyna z oczu wielu i po wszystkich zakątkach jak iskierki świecić zaczynają uczynki z miłości Bożej pochodzące. Nie ustawajmy w modlitwie, dzień i noc wołajmy: „Emitte spiritum tuum et creabuntur, et renovabis faciem terrae“. Jak będziem krzyczeć do niego, przyjdzie pewnie i stanie jak płomień jasny i gorejący i wciąż do góry idący. Ach, jak ja pragnę, kochani,

aby Polska Panu służyła, cała jako jeden Rycerz — Dusza — Serce, każda zdaje się krwi kropelka drży i pragnie.

Pisemka Padalicy, o którem mi mówisz, Józefciu, nie znam. Jest on jeszcze z tych, którzy potrzebują, aby Matka najświętsza powiedziała o nich Synowi: „Światła nie mają". Chęci ma dobre, jest więc na niego nadzieja. Boję się tylko aby go kto za ostrą odpowiedzią nie zraził.

Co mój Bohuś porabia? Czy już zamilkł dla braci na zawsze? Łzy mi przyszły do oczu, co otrę wracają, bądźcie mi zdrowi. Lepiej Chrystusowi Panu coś w samo serce powiem.

A teraz wracam, ale nie do was, tylko do Zosi i do dziatek na pokochanie i popieszczenie. Czy ja was obaczę kiedy? Wasza

Dyzia.

Do Józefa Zaleskiego.

Viareggio, 28 sierpnia 1859.

Winszuję ci wnuka, drogi mój, kochany Józefciu. Niech ci Bóg w świętości ducha Jego da spełnienie wszystkich pragnień twoich i więcej jeszcze, niech mu da stopień miłości jakiego i nie pojmujemy, my starzy grzesznicy, aby ukochał Pana za wielu i wielu, tarczą stanął od sprawiedliwej pomsty. Surowego Słowianina dano mu imię. Czemu? Czy je sobie przyniósł? Mój Józefciu, daje Bóg pociechę z jednej strony, ale bez krzyża zostawić nie chce.

Ścisnęło mi się serce na wieść choroby mego chrzestnego. Jak mnie was żal, kochani, Zosi, Bohdana i ciebie, mój Józefciu, który go jak rodzonego kochasz. My tu wszyscy zgromadzeni od sześciu tygodni, rodzice i my z Adasiem w jednym domu, po innych Kostusia z dziećmi, Buturlinowa z rodziną, August, dwaj Zapolscy, Seminarzyści rzymscy. Odpoczywamy trochę w ciszy i swobodzie na pół wiejskiej. Morze, piasek;

dzieci wykąpać się, wybiegać mogą do woli, my wymodlić w kościele tuż obok.

Czemuś mi do was strasznie tęskno, kochani. Obudziła się do was potrzeba serca żywsza niż kiedy. Czemu wy do serca zajrzeć nie możecie?

Wkoło nas dotąd dość cicho. Obaczymy co dalej będzie. Bezwstydne intrygi Piemonckie trwają zawsze. Nic prostszego jak sposób, jakim cudze zabiera. Do bezbronnych miast Papieskich w biały dzień przysyła urzędników, którzy w ręce swoje rząd biorą, a jeśli jednych Francya odwołać zmusi, przysyła drugich, potem oficerów stawi, którzy organizują wojsko, i z Toskanii, która oddawna jest niby prowincyą Piemoncką, sprowadzają broń. Potem mieszczanom każą wotować na króla Emanuela, ale wieśniaków nie przypuszczają do głosowania, bo trudniejby ich przymusić, a oni ze stanu swego kontenci. Jednem słowem, bezczelne korzystanie z bezbronności sąsiada i zabieranie sobie cudzej własności. Obaczymy na czem się to skończy.

Ręce twoje całuję, Józefciu, mój wujciu, mój chrzestny i kolana i nogi, mój dobry, kochany, i modlitwom się twoim polecam.

Nisia.

Do Józefa Zaleskiego.

Sienna, 3 listopada 1859.

Na samem wyjezdnem do Rzymu odebrała mamcia list, w którym jej donosisz o nieszczęściu Bohdanostwa[1]), a więc i twojem, Józefciu mój kochany. Dziś, na pierwszym noclegu w drodze, wyprawiam te kilka słów, nie pociechy, bo ta jest tylko w mocy Bożej, ale współczucia w waszej boleści, współ-

[1]) Śmierć Kazimierza Zaleskiego, najmłodszego syna Bohdana.

żalu za waszym aniołem. Chciał Bóg sam stróżem być waszego skarbu, sam podjął się hodować dziecinkę i kiedyś, tam gdzie wszyscy młodzi i wszyscy święci i dzień nie zachodzi, wyszle naprzeciw wam promienistego młodziana i oschną łzy wasze na wieki. Tymczasem serca bolą, bolą. Niech je słodka dłoń Chrystusowa dotknie i ukoi pamięcią szczęścia, które dziecince krwią swoją okupiła.

Czy Zosia jeszcze w Paryżu? A Bohdan że mój biedny? Łzami serce zachodzi myśląc o nich.

Wszystkich was na łono Matki Najświętszej składam. Niech was przytuli i pociechę wam wymodli.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Rzym, 25 stycznia 1860.

Bohdanie mój, niech ból twój ojcowski stanie ci się źródłem ufności i siły. Prawdziwem nieszczęściem jest tylko grzech. Twoja boleść jest ziarnem chwały i Bogu i dziecku twemu [1]), które on przygarnął do szczęścia swego i Matce, która po nim tęskni i tobie, który podwójną, bo za swoją własną i jej mękę, współcierpisz. Bóg posłanników swoich. nim ich na trud i męczeństwo między lud wyprawi, odrywa od ziemi. Tobie, aby ci serce nawykło zwracać się do góry, postawił dziecię twoje w niebie. Niechże ci ono będzie pomocą do wzniesienia się nad wszystkie osobiste cierpienia i do zrozumienia drogi jaką masz przed sobą. Bohdanie, wierzysz, iż życie nasze na ziemi, jak aniołów w niebie, powinno być ciągłem spełnieniem woli Bożej. Wolę Bożą poznajem prawami objawienia w kościele i przez okoliczności, w których stawia nas Opatrzność, abyśmy te prawa wykonali. Przypominam te

---

[1]) Kazimierz, syn Bohdana, umarł 23 października 1859 r.

prawdy katechizmowe abyś na karb wyobraźni mojej nie położył co ci mam powiedzieć.

Bohdanie, spojrzyj koło siebie. Naród przewodzcy dziś niema. Obłędem porwany chyli się nad przepaścią, jeśli w nią runie, zginie bez zmartwychwstania. Rosya korzysta z pory, aby nas przeciw Stolicy Apostolskiej postawić. Co na poniżeniu kościoła i na oderwaniu nas od niego zyskuje, zgadnąć łatwo. Uwodzi nas i Europę najrozmaitszemi kłamstwami. Dyplomacya jej niby za Ojcem świętym przemawia, agenci powtarzają, iż na ogołocenie go z władzy świeckiej, cesarz jako naczelnik Prawosławia, zezwolić nie może, gdyż tyleby się tem podniósł katolicyzm, iżby prawosławie niezmiernie na tem ucierpiało i inne tego rodzaju brednie, a w kraju jawną propagandę przeciw Papieżowi zaprowadziła. Zabroniła wszelkich pism za nim, powtarza bez końca po dziennikach: narodowość, narodowość, a my na te słowo lecim za tym, który na zgubę nas wiedzie. Pierwszy raz od lat tysiąca jak chrześcijańska Polska istnieje, oddzielamy się dobrowolnie i jawnie od sprawy kościoła katolickiego. Na odgłos zamierzonego rozbioru czy zaboru Państwa kościelnego, z całego świata powstały głosy świadczące przeciw krzywdzie rzeszy Chrystusowej w osobie Pasterza jej wyrządzonej. Od wieków, już nie było tak cudnego objawu ducha nietylko jedności, ale szlachetności w świecie katolickim. Skoro zasłyszał, że bezbronny zastępca Chrystusów znieważony jest i krzywdzony, kto tylko z kościołem szczerze trzymał i nie z imienia, ale w rzeczy był katolikiem, za zaszczyt sobie policzył głośne przyznanie się do synowstwa i uczczenie znieważonego Chrystusa w osobie jego zastępcy. Sypią się adresa i listy tak, że dziś już dwie duże izby zapełnione są papierami odbieranymi od miesiąca. Niektóre po 80.000, 100.000 i 150.000 mają podpisów, inne wyrażają współczucie i wierność pojedyńczych indywiduów i rodzin. W tem ogólnem wyznaniu wiary katolickiego świata, dwa listy zaledwo przyszły z polskim podpisem. Kiedy idzie

o obudzenie współczucia dla nas samych, krzyczym głośno, żeśmy katolicy i że ojcowie nasi służyli kościołowi, a kiedy trzeba w chwili ucisku kościoła dowieść, żeśmy tych ojców nieodrodne dzieci, kiedy trzeba prostego tylko wyznania wiary w kościół, którego przedstawicielem jest Papież i który dziś chcą obedrzeć, a tem samem niepodległości pozbawić, nikt się nie odezwie; każdy widzi, że dotychczasowe naleganie o reformy, poparte intrygami agentów Piemontu, jego pieniądzmi i przysyłaniem przez niego prowincyom broni, oficerów i naczelnych wodzów jest komedyą taką samą, jaką wygrywała Katarzyna, kiedy się tak bardzo swobodami w Polsce opiekowała. Stolica Apostolska wówczas przeciwko rozbiorowi Polski protestowała. Czyliż Polska dziś nie zaprotestuje przeciw rozbiorowi Państwa kościelnego, które, prawdę mówiąc, jest w pewnym względzie jej dobrem i jej korzyścią, jak jest dobrem i korzyścią wszystkich katolickich ludów, bo zabezpiecza to, co dla niej jest najniezbędniej potrzebnem, niepodległość tego, który z woli Chrystusowej sumieniem jej kieruje, i z którego wypływa moc odpuszczenia grzechów. Albośmy już nie katolicy, albo nas przecież obelga i krzywda wspólnego Ojca obejść musi. Zasmucił się Ojciec św., zadziwia, że wśród głosów z całej kuli ziemskiej dolatujących, głosu polskiego nie słyszy. W Watykanie mówią o tem nieraz jakby pytali, a gdzież wasza wiara, o której tyle mówicie. Nam wstyd niezmierny, i ten wstyd na czole naszem po wszystkie wieki zostanie, bo dzieje go zapiszą, krocie adresów i listów odbieranych Ojciec św. ułożyć w tomy i drukować kazał, wszystkie tam są imiona, oprócz polskiego. Boże odpuść, posądzam, że u wielu powodem milczenia jest obawa narażenia się człowiekowi, od którego marzą, iż niepodległość w darze otrzymamy. Samolubne to i podłe wyrachowanie, które ciężką krzywdą Ojca własny dobrobyt okupić myśli, które sprawie własnej sprawę kościoła powszechnego poświęca. Nie pobłogosławi mu Bóg i okaże światu, jak okazał za pierwszego ce-

sarzą, że nie skała Piotrowa, ale nikczemnik, który się na nią targa, w proch roztrąconym zostanie. A choćby się tak i stało, żeby niegodziwem pochlebstwem i poświęceniem obowiązku, Polska niepodległość swą zyskać mogła i zyskała, a któżby się już w takim razie szczycił być Polakiem.

O mój Bohdanie, rozważ co masz czynić w tym wielkiem rozbiciu naszem. Kiedy okręt na dno idzie, nie czas rozumować, że się z rzemiosła majtkiem nie jest, ale każdy rzuca się do pracy, choćby ocalenia niewiele miał nadziei. Gdyby nam był Bóg Zygmunta nie wziął, brzmiałby już dawno głos jego na kraj cały, śmiało wbrew błędom i namiętnościom jak owych lat, kiedy była rycerską Polskę zbeżcześciła demokracya nożów, i wywołałby może z odrętwienia tych, dla których słowo narodowość nie stało się jeszcze bożyszczem ślepem i głuchem, uprawiającem wszelki egoizm, wszelkie podłe odstępstwo i wszelką krwawą zbrodnię.

Bohdanie, Zygmunta już niema, nikt cię już nie zastąpi. Nie mów nic nie mogę, bo możesz przed niebem i przed ziemią wierze twojej świadczyć, możesz okazać, że się męczeństwa nie boisz. Możesz pójść sam z krzyżem w ręku, naprzeciw, choćby całemu narodowi, aby go zatrzymać na drodze hańby i zatracenia. Jeśli nie zatrzymasz, niech po trupie twoim przejdą.

Dał ci Bóg królestwo słowa, jeśli masz ginąć, gińże po królewsku, nie umywając rąk jak Piłat, ale jak Chrystus-król, dając się pośmiewisku i obelgom na świadectwo prawdzie ku zbawieniu tych, którzy nie wiedzą co czynią, a kiedyś, w wielki dzień odpłaty, Chrystus wyzna ciebie, jakieś ty go wyznał, poznasz tych, dziś nieznanych, których poświęcenie twoje od przepaści odwiodło i aniołowie, którym nie dano jest cierpieć za prawdę, pokłonią się przed tobą.

Bohdanie, nie mów, nikt za mną nie pójdzie. Zapewne wiele namiętności na siebie poburzysz, ale też wątpiących wielu utwierdzisz, w dobrej wierze błądzących wielu oświe-

cisz. Znaczna część Ukrainy pójdzie za tobą i u potomności głos twój pokryje wiele głosów, których się przed nią wstydzić trzeba będzie. Na długie wypracowane pisma nie pora. Trzeba, od czasu do czasu, artykułu krótkiego a treściwego i jasnego w dziennikach poznańskich, krakowskich i paryskich, gdyby je przyjmować chcieli. Trzeba przedewszystkiem prędko, prędko, bo czas nagli, aktu świadectwa wiary. Napisz tak jak wszyscy teraz piszą do Ojca św. kilka prostych słów zapewniających o wierności twojej i współczuciu w nieszczęściach jego i kościoła. Podpisz nietylko ty, ale i żona i wszystkie dzieci, bo tak rodzinne adresa się robią. Józef niech to samo zrobi w imieniu swojej rodziny. Niedość na tem. Niech się mój kochany poczciwy Józef rzuci i takich listów od pojedyńczych osób i od rodzin jak najwięcej zbierze i na moje ręce przyszle. Niech nie będzie powiedziano, że Polacy zupełnie zamilkli. Listy mają być na zwykłym, tylko nieco dużego formatu, papierze i wszystkie po polsku, bo każdy naród we własnym języku wyznanie wiary zwej przysyła i są wyznaczone osoby do ich tłómaczenia. Zresztą krótkie, długie jak kto chce. Kto się boi zakompromitowania w kraju, może przysłać bez podpisu, bo się zjawiają i takie, tylko się wyraża kobieta, artysta, sierota, żołnierz.

Józefciu, porzuć wszystko i do roboty, bo już za naszego życia równie ważna okoliczność się nie zdarzy. Tyleś o męczeństwo błagał. Może cię Pan wysłucha i na męczeństwo krwi przygotuje i uświęci męczeństwem ducha, bo rzeczy na chwałę Bożą czysto przedsięwziętej szatanowi łatwo udać się nie da. Nie idźcie darmo do mędrków i wielkich polityków, aby ile można bez kłótni się obeszło, ale po prostu do chrześcijan. Kto wie czy najwięcej listów nie zbierzecie na poddaszach. Ze szczególną miłością Ojciec św. przyjmuje pisma ubóstwa i ledwie nie ze łzami mówi o liście, który do niego żebracy jakiejś mieściny irlandzkiej napisali, przysyłając mu zebranych między sobą kilka szylingów. Do pracy, Józefciu, a prędko,

rędko, bo może wkrótce droga zamkniętą zostanie. Przysyajcie w miarę jak będziecie mieli.

Dziś nawrócenie św. Pawła, twój dzień, mój Bohdanie. Gorącośmy się za ciebie przy komunii św. modlili.

Gruchnęła wieść po mieście, że idzie pułk Polaków na obronę Ojca św. Krwawemi łzami zapłakało serce. Nie gońiśmy dziś tej chwały i tego szczęścia. Szacują nas jeszcze udy wedle dawnej naszej wartości. Czy im pokażem, o Boże, e się zawodzą?

Zresztą niema co mówić o nas. Serce i myśl w tej hwili nie w nas, ani o nas. Miłosierdzie Pańskie niech was osłoni. Duch światła i mocy niech na was zstąpi. Matka Boka niech tarczą wam od złej potęgi będzie.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Rzym, 20 marca 1860.

Tylko co listy od was odebrał Józef i powiada, że donosisz jakobyś nic nie miał do druku oprócz dawniej wydanych już pieśni. O Bohusiu serdeczny, wiesz ty, że to nie pięknie kłamusiać. A kto to ma trzy pieśni Hanki [1]) wiośniane, świeże, prześliczne, ażby step ponury zakwitł od nich jak ongi. A kto to ma Potrzebę Zbaraską tak cudowną, że i to co umarłe powstałoby z grobu? I coś jeszcze i coś jeszcze, co ja wiem a nie powiem, bo mój Bohuś zdziczył, taj boju sia. Bohusiu, Bohusiu serce, Bohusiu kiciu, daj no, daj skarby twoje. Co one tam u ciebie próżnują? Biedna Polska zamiera obcym szałem zatruta, daj jej pieśń własną, rodzimą na leki. Niech w niej dawnych dziejów swych upuszczoną nić schwyci i przypomni dawną godność, dawną piękność swoją. Niech

---

[1]) „Złota Duma".

sobie przypomni czem jest. Kochany, niech ona sercem twem ożyje, niech się dowie na radość, że jeszcze nie sierota po tobie. Mozołu i trudu dziś dla ciebie niepodobnego wymagać to nie będzie. Poszlij tylko przez kogo pewnego, najlepiejby przez jakiego księdza, do Jana Koźmiana, a on ci wydrukować każe i dopilnuje wszystkiego sumiennie. Tylko w domu egzemplarz przepisany zachować koniecznie potrzeba na przypadek, gdyby się, broń Boże, zgubiło. A nie chmurzysz się ty na mnie? Napisz prawdę, jeśli chmurzysz. Nisia przeprosi serdecznie, a potem znowu dla biednej Polski żebrać będzie. Bohusiu daj, daj co z nieznanych skarbów twoich. Ona dziś tak uboga. Bohdanie, jeszcze mi o nią w sercu nigdy tak gorzko nie było.

Pod pozorem sprawy średnich Włoch, rozsiewane zasady wyżerają wszelką w niej siłę organiczną. Co się za Piemontem, z pogardą udzielności mniejszych państw po kraju trąbi, przemawia za panslawizmem na Litwie i Rusi, i straszliwe są tam objawy. Bóg nas karze tą samą bronią, którą piśmiennicy nasi Ojca św. wojują. Nie dziw się oburzeniu na Odyńca, Chodźkę. Zasługują i na więcej. Zabijają Polskę. Dziś, Bohdanie, nie krwi za nią trzeba, ale kto ma w piersi żywotnego ducha, niech go jej nie skąpi. Dlatego ja znowu do Bohusia w żebry, daj, daj Bohusiu. Aż do kolan się twoich schylam dziękując za poczciwy, prawdziwie chrześcijański list do Ojca świętego. O, kochany! dla dziesięciu sprawiedliwych Bóg miastu całemu byłby przebaczył. Zbierajmyż wiernych, choć po jednemu, aż ich dość będzie na przeważenie szali na stronę miłosierdzia.

Bohusiu, a wiesz ty, że my już blisko ćwierć wieku jakby jedna dusza przed Bogiem?

Ze Lwowa przyszedł adres biskupów trzech obrzędów: ormiańskiego, unickiego i łacińskiego razem, prawda? Ślicznie, że razem i jeszcze sobie dobrali czwartego wyznawcę, biskupa Gutkowskiego. Przy tym adresie dwa tomy podpisów świec-

cich. W Poznańskiem zebrano już podpisów 40.000, ale jeszcze u nie przyszło. Bodaj to poczciwy nasz rolniczy lud.

Przyciśnij za mnie Zosię do serca, dziatki przeżegnaj. Duch święty z tobą.

Nisia.

Do Józefa Zaleskiego.

Vichy, 2 sierpnia 1860.

Bardzo to Nisia brzydka i niegrzeczna, mój Józefciu drogi. Od swego wujcia miała list taki miły i nie odpisała, bo widzisz roztrzepała się strasznie. Wieś, a trochę znajomych, a jak się z nimi zmęczy, to leżeć musi, a jak ma chwilkę, to do mamci bazgrze, żeby tam niespokojni o nas nie byli, jednem słowem, powodów tysiąc a żadnego dobrego.

Wujcio Józef wielkie słowo, kiedy jemu krzywda, Nisia zawsze winna. Obejmuje więc kolana i cichutko przeprasza i obiecuje poprawę, a na zadośćuczynienie przeszłości posyła dobrą nowinę, że Darciowi kąpiele bardzo pomogły..... Nie będziemy w Paryżu przed 12-tym. Daj Boże, abyśmy pociechę u was zastali i o Zosi dobre wieści z Bourbonne les Bains.

Bohdanowi powiedz odemnie serdeczne słowo, Józefie, dziecięta popieść i pokochaj z daleka.

Choć niewiele warta, ale wiernie i rzewnie kochająca was

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Grudzień 1860.

Serdeczny mój Bohusiu! Zrób sobie z owym artykułem co chcesz, jeśli niema go komu przetłómaczyć i gdzie umieścić, mniejsza z tem. Możesz go choć spalić.

Projekt Duchińskiego niewiem czy się uda, bo nic trudniejszego jak rozpowszechnić przegląd czy dziennik, które o jednym tylko przedmiocie zawsze mówią. Widzi mi się, że za pomocą Viquesnela, od czasu do czasu po różnych dziennikach umieszczane artykuły historyczne, w jego duchu pisane, dalekoby większy wpływ miały. Jabym nie spowiadała publiczności celu, w jakim są wydawane i barwy politycznej im nie dawała. Jeśli prawdy przyjęte będą, same z siebie dobry polityczny owoc wydać muszą, ale jak ludzie nie przyjmą i najoczywistszej prawdzie nie uwierzą, skoro wiedzieć będą, że na korzyść z niej liczą ci, którzy ją głoszą. Powiedzą: intryga polska i odrzucą, i może na zawsze przeciw tym prawdom uprzedzenie zostanie. Jabym też ani nawet w polskim, ale szczególnie w obcych językach, polemiki z Polakami nie prowadziła, bo wywoła ostre odpowiedzi i będzie przeciw nam broń wrogom i zgorszenie przed światem. Cóż z tego, powiedzą, że z jednej krwi pochodzą? Kiedy żrą się między sobą jak dawniej, tak i dziś; powinna, logicznie mówiąc, być spójnią między nimi, cóż kiedy jej niema? Przeciw faktowi rzeczywistemu żadne rozumowe dowody nie pomogą. Polska istnieć nie może, bo Polacy żyć bez kłótni nie mogą. Cóż dziwnego, że ludzie błądzili, nie wiedząc w nieszczęśliwych kolejach narodu zatraconej prawdy, którą jeden dopiero teraz odgrzebał napowrót? Albo że tej prawdzie odszukanej odrazu nie wierzą? Postawić światło, a o ciemnościach mówić nie trzeba, one same powoli znikną, na co je przypominać i wymawiać? Chyba na to, aby rozdrażniona miłość własna prawdę odrzuciła. Kto tam pamięta, co który z belletrystów czy

historyków o tem mówił? Zna się ogólny pogląd publiczności o tej rzeczy, wedle którego owi belletryści pisali i ten ogólny pogląd wyłożeniem prawdy powoli się zmieni. A zmieniać się będzie tem trudniej, im więcej będzie wymówek drukowanych. Prawda największe robi wrażenie, kiedy powiedziana prosto jako pewnik naukowy z dowodami, nie oglądając się czy kto błądzi względem niej lub nie. Polemika osłabia powagę prawdy. Ona sobie sama najlepiej toruje drogę w świecie. Wiem, że codziennie czytając i słysząc szkodliwe bezsensa, podnieceni jesteśmy do zbijania każdego z nich prawdą. Ale patrząc na ogół widzi się jasno, że prosty wykład prawdy daleko lepsze skutki sprawia, nawet w przedmiotach religijnych, a osobliwie w historycznych. Kiedy idzie o szczegóły nie mówię, ale ważność treści wymaga, aby przedstawiona była światu nie jako zaprzeczenie błędu (chociaż zaprzeczenie błędu zawiera się w każdej prawdzie) ale jako twierdzenie, nie jako rzecz ujemna ale dodatnia.

Próbuję teraz streścić naukę Duchińskiego tak jak ją rozumiem, z dodatkiem tego, co własne czytanie nastręczyło w życiu. Byłby tomik francuski. Obaczymy czy się uda, ale mi na tem pustkowiu niektórych książek brakuje.

Bóg z wami.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

21 grudnia 1860.

Kochany mój Bohusiu, wczoraj wieczór odebrałam list od pana Duchińskiego i spieszę z odpowiedzią tembardziej, że wyprawiłam kilka dni temu kartkę do ciebie w myśli, abyś mu ją pokazał, a teraz przychodzi mi obawa, czy się w niej dość jasno wytłómaczyłam i czy on tego co mówię względem sposobu, weźmie za niechęć do rzeczy. O ile znam świat,

zdaje mi się, że broszurki często wychodzące większe czynić będą wrażenie niż Przegląd peryodyczny. Broszurki każdy przez ciekawość kupi, rozrzucać je nawet bezpłatnie łatwiej, bo tego już stronnictwa polityczne przykład dały. Na pismo zaś peryodyczne, które o jednej tylko sprawie mówić będzie, nikt się prawie nie zaabonuje. Nietylko dlatego, że teraz sprawa polska publiczności nie zajmie szczególnie, ale choćby nawet opowiadała o tak fanatycznie lubionej sprawie włoskiej. A to poprostu przez oszczędność. Bardzo rzadko kto dwa pisma peryodyczne abonuje i każden w tem co ma pragnie znaleść wiadomości mniej więcej ogólne o wszystkiem co się na kuli ziemskiej myśli i pisze. Bezpłatne też rozsełanie dziennika nie jest w zwyczaju i uderzy jakby gdzieś przez kogoś płacona intryga. Tytuł broszurki czy Przeglądu, podług mnie, powinien mówić raczej o Rosyi niż o Polsce i nie zapowiadać z góry, ani co dowodzić będzie ani konkluzyi swoich, bo inaczej tylko Polacy czytać będą, Moskale do ręki nie wezmą. Cudzoziemcy nawet tytułem o Rosyi prędzej się złowią. O Polsce oni nie ciekawi, bo wiedzą naprzód bez czytania, czego ona chce. Są to moje widzimisie, przy których rozumiesz, kochany, że się nie upieram. Jedno tylko o co ze złożonemi rękami proszę, to jest, aby polemiki z Polakami nie zaprowadzać po francusku. O to, o ile w mocy mojej proszę gorąco i zaklinam, bo widzę jasno, że niezmierne złe i nigdy dość opłakane powstać stąd może. Ze swojemi po swojemu tylko i to jak najmniej. A szkody stąd dzieje mieć nie mogą, bo zbijając źródła, zbija się wszystkich, którzy z nich czerpali, złych źródeł polskich mało.

Dobra historya polska dla młodzieży jest to jedna z wielkich nieodzownych potrzeb naszych. Ależ na to trzeba umiejętności, sił, czasu i swobody, których niema. Wielki krok będzie uczyniony, jeśli się zbiorą materyały i chronologicznie uporządkują. Między nimi jednym z ważnych jest wyjaśnienie, który z Rurykowiczów panujących na Rusi (przynajmniej

znaczniejszą rolę grających) był w jedności z Rzymem a który nie. Bez tego nie dójdziem przyczyn i znaczenia wielu faktów. Wiara bowiem wówczas była osią główną, w koło której obracał się świat polityczny. Kierunek przeciw lub ku Rzymowi jest niezawodną wskazówką kierunku przeciw lub ku cywilizacyi zachodniej. Ważne w tej rzeczy dowody powinne by się znajdować w pierwszym tomie dokumentów watykańskich, tyczących Polski, wydanych przez Theinera kilka miesięcy temu. Nie wiem czy już to dzieło jest w Paryżu. Byleby materyałów nie brakło, znajdzie się zawsze ktoś na obrobienie ich.

Powiedz proszę cię panu Duchińskiemu serdeczne „Pomahaj Bih!“ odemnie, pomodlę się bardzo i nieraz, aby mu na jego pracę przyszło błogosławieństwo z nieba.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

23 lutego 1861.

Co to za prześliczna myśl obchodzenia tysiącznej rocznicy dnia błogosławionego, w którym nas światło Chrystusowe nawiedziło. Żadne plemie podobnej nie miało. Oby się na chwałę Bożą ziściła. Zamiar, aby w Wyszehradzie nabożeństwo cały rok trwało, przewyborny, jeszcze trzeba aby się podobne odbywało w Gnieźnie i Krakowie, a postaramy się aby było i w Kijowie, choć może nie publiczne. Tylko czyńmy nie hałaśnie aby przeszkody nie położono. Jeśli szyzmatycy zechcą taką samą rocznicę obchodzić, my im wzbraniać nie będziem, ale ich zapraszać lub przypuszczać do wspólnictwa z nami nie godzi się, bo to światło o ile z nich było, zgasili dobrowolnie, pomiotli i pomiatają dotąd darem Pańskim, przebierając w nim jakby w rzeczy ludzkiej i przyjmując z niego to tylko co wola ich zachciała. Dopóki na łono jedności nie

wrócą, my uczestnictwa modlitwy mieć z niemi nie możem. Katolickie narody Słowian niech padną na kolana, uproszą może tym aktem upamiętanie błądzących. Ale trzeba pieśni, Bohdanie! On ma prawdę kto jeno tchu ma trochę w piersi, niech Panu dziękczynieniem zanuci i błaganiem, aby to światło w nas po wiek wieków nie zgasło. Ostatniśmy przyszli, niechże ostatni dotrwamy. A w strasznej próbie, która koniec świata i królestwo Boże w niebiesiech poprzedzi, niech pogardzim złudą antychrysta. Niech się purpurą męczeńską oblečzem i z wieńcem na skroni wejdziem do wieczności.

Bohdanie, bracie, który na ziemi i w niebie kochasz to co i ja kocham, pracujmy co sił aby narodowa cześć Panu naszemu oddaną została. Odpisz prędko, prędko na list ów poczciwy, aby nie zgasła iskierka, która w płomień rozgoreć może i aby kto nie posądził, że się namyślamy kiedy serca odrazu poskoczyły radośnie.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Vichy, 22 lipca 1861.

Bohdanie mój, ze łzami dziękczynienia Chrystusowi Panu, który wspomniał na biedną Polskę, czytałam kartkę twoją. Drukuj na świstku jak najśpieszniej, tak jednogłośnie tu zawyrokowano. Nie spodziewaj się aby cię wszyscy zrozumieli, byłby to nowy i największy cud, bo na nieszczęście niewielu zna Ewangelię, a więc czci duchem ustęp gdzie w „Paralityku" typ narodu naszego znalazłeś. Przypomnisz go tym co zapomnieli, u tych co pamiętają mimowolnie, jak u mnie, porwie się serce ku Panu. Nie obaczysz tego w czasie, bo to na ziemi tajemnicą, której świadkami tylko aniołowie, ale miłość obudzona wzbije się modlitwą za Polską i Pan w dzień odpłaty pokaże ci ileś mu czci przysporzył, ileś dla Polski zasłużył.

Jedna tylko uwaga. Czy nie możnaby temu zaradzić, by Rosya nie była nazwaną Rus. Wiem ja, że to *s* bez kreki; tę różnicę jednak nie wszyscy dojrzą, a teraz ważną barlzo jest rzeczą, aby w pismach naszych, zwłaszcza twoich, nigdy Ruś za Rosyą, a Rosya za Ruś braną nie była. Źli udzie mogliby z lada roztargnienia korzystać.

Im wyższe i świętsze natchnienie twoje, tem goręcej pragnę aby wyjść mogła „Potrzeba Zbaraska“. Wiesz czemu? Abyśmy zrozumieli, że zbożność od czynów nie odwodzi, że ten co się modli i świat niebios poznał, na świecie też ziemskim rozumie działanie, rycerstwo, słowem życie doczesne, jeno wedle Boga. Mój drogi, nie mamy jeszcze dość światła abyśmy zrozumieli Maryę samą bez Marty. Maryę samą gotowiśmy posądzić o miękkość i zniewieściałość, bośmy niemal tradycyę zatracili samoistnej mocy ducha i działania jego bezpośredniego, gotowiśmy odtrącić ją jako niepożyteczną, bo grube, cielesne oko owoców które przynosi na razie dostrzedz nie umie. Przy Marcie ją przyjmiem, mam nadzieję, wszyscy. Dlatego przed wydaniem dawnych pism, puściłabym w świat nowe, to jest w jednym tomiku pieśni twoje i „Potrzebę Zbaraską“. Wierz mi, przebolałam lud mój wiek cały, jak matka dziecku, czuję czego mu potrzeba i żebrzę u ciebie chleb dla niego taki, jaki wiem że pożyteczny mu będzie.

Błogosławionyś, przez którego serce Bóg mu go posyła. O ile pamiętam, „Potrzeba Zbaraska“ nie zdaje mi się aby w niej było cokolwiek niezgadzającego się z sumieniem względem Unii i Szyzmy. Nie opierajże się, nie ociągaj i oddaj braciom wiernie wszystko co ci Bóg dla nich udzielił.

Natchnienie Jego i łaska z tobą. Ach wielką ty mi pociechą, Bohdanie.

Nisia.

Do Józefa Zaleskiego.

. . . .

Pewnie, Józefciu mój drogi, że przyjmuję „Kijowianina" z wielką radością, byleby tylko był kompletny. Ale mi tego pisma nie wyprawiaj, tylko je daj panu Franciszkowi, który obaczysz jak się niem ucieszy i poproś go, aby mi kazał przetłómaczyć „Biografie książąt ruskich", zwłaszcza Mścisława, to jest Mścisława naprzód, ale je chcę mieć wszystkie przetłómaczone ile ich tylko jest, oprócz św. Włodzimierza, o którym wiem już zdaje się wszystko.

Gdybym cię już tu mieć mogła, mój Józefciu, zaraz byś się z grypą twoją nieznośną rozstał. Dotąd wcale zimy nie mamy, ani nawet corocznych wichrów, pora słoneczna, cicha, ciepła jak w kwietniu. Wyglądam cię z podwójnem pragnieniem, bo mi się zdaje, że byś ozdrowiał. Napisz kiedy się mamy ciebie naprawdę spodziewać. Darcio kazał się o to ciebie zapytać.

Jak u was tam wszyscy? Nie pytam w sercach, bo to wiadomo, jak nam dziś być może, ale na tej glinie ciała, która z duszą cierpi.

Ręce i nogi twoje całuję. Własna twoja

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères, 3 stycznia 1862.

Jakąż ty nam śliczną gwiazdkę[1]) przysłał, Bohusiu, żywcem z serca mi wziętą. Polska, to rozłożyste, krzyżowe drzewo. W konarach jego duchy nieśmiertelne zatrzymują się chwilę, zaśpiewają, zapłaczą, zakrwawią i lecą dalej ku ojczyźnie wiecznej. Polska ma więcej dzieci w niebie niż na ziemi. Polska ciałem na ziemi, pragnieniem, dążeniem i nadzieją w niebie. Polski piękność w wiedzy, że przystanią jest

---

[1]) Pieśń p. t. „Cedr".

tylko w czasie, w jej niebem promieniejącej pewności, że nie wiekuista i że ustąpi Polsce niebieskiej u Ojca, u Boga, który dzieci jej w łzach i krwi piastowane kolejno, zgromadzi razem na królowanie bez końca.

Polska to, między narodami, głos Jana apostoła zamykający księgi święte. Głos brzmiący w kościele aż wysłuchanym zostanie. Przyjdź Panie Jezu! Przyjdź na dzień usprawiedliwienia twego, na dzień zwycięstwa kościoła twego, na dzień, w którym stopy wiernych twoich rzucą ojczyznę doczesną i w powietrze się ku Tobie uniosą ci, którzy Cię kochali, a Ty ich wiedziesz w bramy ojczyzny wiecznej, gdzieś już miejsca zgotował wszystkim, aby byli tam gdzie Ty jesteś.

Bohdanie mój, całuję czoło, które pomyślało, ręce, które napisały. Ale, kochany, ostrożnie z przedostatnią strofą. Nie wiem czy dość jasna. W teraźniejszych czasach, kiedy jakby na zbliżenie się antychrysta, każdy jakiegoś Mesyasza oczekuje, to nowego przyjścia Ducha św., to Chrystusa Pana nie na sąd jak wierzymy, ale na panowanie ziemskie, to ducha ludzkości itd. itd. Czy nie wezmą prorokowania kwiatu nieśmiertelnego, którego dotąd Polska nie miała, za spodziewanie się jakiegoś mistrza, proroka nowego kościoła czy Boga? Mało kto w prostocie serca zechce zrozumieć, że myślałeś o nowej czystej piękności, wynikającej z doskonalszego zastosowania wyobrażeń chrześcijańskich, do stosunków społecznych i o zbawieniu obfitszem dla wielu w skutek rozbudzenia ducha wiary i poświęcenia. Zdaje mi się, że powodem trudniejszego rozumienia jest tylko wyraz n i e ś m i e r t e l n y, który wskazuje na coś niedoczesnego, a w czasie, jakby na objawienie jakieś nowe, którego pąk oto już rozwinąć się ma, bo w tem miejscu niedość wyraźnie odnosi się do pasma ciągnącego się po skończonem życiu. Można rozumieć, że mówisz o czemś nieśmiertelnem co ma z wieczności przyjść w czas, kiedy przeciwnie chcesz mówić o piękności, która wyrobiona tu w czasie przejdzie do nieśmiertelności w wie-

czności. Rozmyśl nad tem, bo ten twój wiersz jest tak szczytnie cudny, że najmniejsza dwuznaczność i ciemność zostać w nim nie może, osłabiłaby potęgę myśli i całość zepsuła. Stoisz na takiej wysokości, że forma, choćby najśliczniejsza, jest tylko osłonką, owem ciałem powietrznem, które przyodziewają aniołowie, aby się ludziom widomymi uczynić, a myśl twoja, jak poseł Boży, powinna być jasna i pewna. Serdeczny, niech będzie błogosławiony Bóg mój, który cię ukochał i wyniósł.

Bielowski już w ręku Bronisława, który go jutro wyprawia. Oprócz Duchińskiego, nikt go pewnie tak nie przewartował. On sam już pewnie w swej książce tak nie pamięta złe i dobre, mądre i niedorzeczne.

Zosię, dziatki pokochaj za mnie.

Nisia.

Do N. N.

Hyères, 27 kwietnia 1862.

„Revue Contemporaine“ nieznam, oprócz jednego numeru, w którym wyłożone były zasady Duchińskiego. Jeśli się o to gniewają, cóż robić? Trzeba się było tego spodziewać i spokojną stałość na wszelkie obelgi w sobie wypracować. Wojujem, oni od 60 lat zaczepnie względem narodowości naszej, my odpornie. Dawniej na szablę, dziś na myśli; my o ile wiemy i rozumiemy prawdę, oni najczęściej nieprawdą i obelgami. Nie można ustępować z placu dlatego, że kule latają. Gdyby na dnie całej sprawy nieleżało zupełne oddzielenie Polski po Dniepr, nie zżymaliby się tak bardzo. Trudno od tego żywotnego celu dla ich obelg odstąpić. Może kto poradzi niemówić dziś o nim! Niepodobna. Naprzód, byłoby to iść wbrew narodu, który właśnie cały główny ruch swój teraźniejszy i walkę, na głośnem wypowiedzeniu pragnień i dążności

swoich zakłada, a potem w głaskaniu nas przez Moskali jest ogromne dla nas niebezpieczeństwo. Z jednej strony oni (nie rząd, ale co uludniejsze, liberaliści) wyciągają do nas ręce, z drugiej stronnictwo nieliczne dotąd, ale dobre głowy i uczciwych zresztą ludzi mające, śród narodu rozczyn panslawizmu szerzą. Trzebaż więc cele nasze wyrazić jaśniej i dobitniej, dzisiaj niż kiedybądź i podnosić wszystkie wyobrażenia, które im w pomoc iść mogą, aby masa o nich nie zapomniała, a naczelnicy pomieść niemi jak w 1830 r. nie śmieli, i dla wypróbowania też prawdziwej myśli liberałów moskiewskich. Jeżeli niepodległości naszej pragną prawdziwej, to jest takiej, iżby się sama przez się wobec innych państw utrzymać mogła, oburzać się bardzo nie będą. A jeśli nas kochają tylko jako przyszłych federalistów swoich, inaczej mówiąc, jako prowincyę nie już z musu, lecz dobrowolnie przyłączoną do ich państwa, w którego ogromie oczywiście zatonęlibyśmy, lub jeśli nas kochają jako dziedziców jakiegoś kęsa ziemi na łasce ich potęgi zostającego zawsze, to niechże to Polacy wiedzą i jak głupi zwodzić się nie dają. Moskwa straszna nie jako wróg, ale jako przyjaciel. Nie byłaby pochłonęła Polski, gdyby jej była Polska, od czasów jeszcze Augusta II., nie zawierzyła i wspól z nią nie działała. Istniejem dziś jako naród dlatego jedynie, że własną, a nie wspólną z nimi drogą idziem. Ich droga — zła, bo niesumienna i wiedzie do rzeczy złej, do opanowania Słowiańszczyzny. Cała między ich stronnictwami różnica, że jedne miodowo wciągają, drugie gwałtownie ujarzmiać myślą. Pierwsi niebezpieczniejsi. Drudzy wywołują upór, który na korzyść narodowości wyjść może, tamci jak trucizną rozkładają w duchu narodu to właśnie co narodowość stanowi. Lepsze ich kłamstwa i obelgi od podchlebstw. Są między nimi i szczerze przychylni, powie ktoś, nie wszyscy przecie pochlebiają. Wszyscy. Czem jest pochlebstwo? Używanie oznak przyjaźni dla korzyści własnej ze szkodą przyjaciela. Żaden z nich, którzy niby nas kochają, nie oddaje Pol-

ski jaką wziął, całej po Dniepr. Każdy wytargować myśli przynajmniej oddzielenie Rusi, bo wie, że nie połączone z sobą, ani Polska, ani Ruś Moskwie długo się nie ostają. Wszakże niedawno jeden z nich pisał, że na głosowanie na Rusi nalegać trzeba, bo my ich pewnie przegłosujem. Są między nimi, którzy jak dobrzy aktorowie na scenie, własnemi słowami się wzruszają i sami płaczą szczerze, przyjazne nam i liberalne mówiąc słowa; wiedzą jednak, że wskutek tej przyjaźni i liberalności nasz się kraj okroi, a ich zwiększy. Niech to co na dnie, wyjdzie raz na wierzch. Dobrze ktoś powiedział, że z każdego złego położenia wybrnąć można, ale pod warunkiem, że się to położenie jasno widzieć będzie. Nam tego jasnego widzenia koniecznie potrzeba. Ułudy dla nas łatwiejsze niż dla inszych narodów, gdyż miłości własnej mamy nadmiar. Pogłaskani od tych, których mieliśmy za wrogów, widzim sprawę przez mgłę przychylności, jaka się w nas osobiście dla nich budzi, przychylności w sobie dobrej, ale dla ktorej sprawy biednego narodu poświęcać się nie godzi. Czy kto Moskwie w rządzie jej, czy w liberałach jej służy, wszystko to jedno. Czy za pieniądz, czy za przyjaźń, zawsze Polska sprzedana. Prawdziwy zbawca nasz Mikołaj. Nie martw się, dobry panie, temi złośliwemi broszurami. I ten cierń może nam Bóg obrócić na dobre. A odpowiadaj silnie i łagodnie.

Dyonizya Poniatowska.

Do Józefa Zaleskiego.

3 maja 1862.

Liczę dnie od twego wyjazdu, Józefie mój kochany. Zdaje się tak już ich dużo, tak pusto bez ciebie, u stołu miejsce twoje próżne, ciększe też i smutniejsze nasze kółko. Jak ty zajechał? Czy zdrowo? Czyś zdrowych wszystkich zastał? Co tam u was gawędzą? Tu głoszą o wielkich zamiarach cesarza

Aleksandra. Proszę cię, Józefciu, napisz odemnie do Bronisława „obiecują na jesień konstytucyjne ustawy w cesarstwie a w Królestwie zwrócenie do konstytucyi 1815 r.“ (bez wojska). Mówiliśmy kiedyś, że jeśli będą Izby w Moskwie, zabrany kraj posłów na nich mieć może, jak Poznańskie w Berlinie. Ale jeśli Izby i w Warszawie będą, rzecz cała się zmienia. Nie możem obradować z Moskalami kiedy obradują bracia w Warszawie, uznawalibyśmy *de facto* przyłączenie zabranych prowincyi do Rosyi, i wycofać się z tego fałszywego kroku trudnoby już potem było. Najlepsza, prawdziwie opatrzna to będzie pora do wystąpienia Litwy i Rusi z domaganiem się jednomyślnem, stałem i choćby lata całe trwającem o przyłączenie ich do Królestwa. Trzebaby wcześnie przygotowywać, aby od Baltyku do Czarnego Morza wszystkie prowincye stanęły razem jak jeden człowiek, bo zupełnie inną będzie miało wagę i inne uczyni wrażenie działanie wspólne Litwy i Rusi, jak gdyby każda zosobna się upominała. Trzeba nam się kupić, bo ponieważ iść będzie o całość Polski, staną przeciw nam liberaliści moskiewscy równie jak rząd. Takie postawienie się Litwy i Rusi, byle zgodne a wytrwałe, bardziej nas do niepodległej Polski zbliży, niż wszystkie manifestacye warszawskie. A jeśli dopniem, że nas jakiemkolwiek prawem czy konstytucyą złączą, to trzy części drogi zrobimy“.

Bóg z wami.

Dyzia.

Do Józefa Zaleskiego.

Piątek 1864.

Józefciu mój drogi, odzyskany! Schylam się do kolan twoich i witam ciebie znowu w tem życiu ziemskiem, o któreśmy dla ciebie tyle i tak gorąco błagali. Miłosierny, dobry Pan dał o cośmy u niego ze łzami żebrali, oczy moje oglą-

dały kochane literki własną twoją ręką do mamci pisane. Niechże będzie pochwalony i pokochany przez wszystkich świętych i aniołów, nim kiedyś podziękujem mu w niebie sami, bo ja na ciebie liczę, mój ojcze chrzestny, że ty wejście tam wymodlisz swemu marnotrawnemu dziecku i że ono kiedyś tam na szczęście twoje patrzeć będzie i śpiewać z tobą chwałę Chrystusowi.

Broń Boże, nic mi nie odpisuj bo to tylko kartka na pieszczotę.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères 9 lutego 1864.

Moi najmilsi, bolejem duszą i sercem, płaczem z wami po tem strasznem osieroceniu [1]). On szczęśliwszy od nas, bo już raduje się wiecznem szczęściem widzenia Boga i wstawia się za wszystkiemi, których kochał na tej ziemi. Wasz

Daryusz.

W niewymownej boleści łączym się z wami przed Bogiem. Mamcia nic jeszcze nie wie, bo tylko co telegram twój przyszedł, jest w kościele, tam jej powiem. Wobec Chrystusa łatwiej ciężki krzyż przyjmie. Niech was łaska Jego najświętsza wspiera.

Dyzia.

---

[1]) Mowa tu o śmierci Józefa Zaleskiego, wuja pani Dyonizyi Poniatowskiej.

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères, 14 lutego 1864.

Drogi mój Bohdanie, dusza ku tobie ciągnie, a usta zaniemiały. Wielem przeżyła i wiele przepłakała. Nigdy tak sieroco po nikim nie było. Zdaje mi się, że stoję na jakiemś innem stanowisku. On [1]) mnie, Bohusiu, tak wyniańczył do lat czternastu, jak później twoje dzieci. Nawykłam liczyć na te serce ojcowskie.

Dziwna rzecz, nie był z nami w ostatnich tych czasach, a od kiedy poszedł do Boga, stał mi się dom mój pusty, puste miejsce jego zostanie na zawsze. Nikt je nie zapełni. To też odwraca się coraz bardziej dusza od tej ziemi. Nawyka mimowolnym popędem iść tam, gdzie poszło tyle już kochanych i żyć z niemi gdzie oni żyją u dobrego Boga, naszego Chrystusa. Jak się Juncia [2]) moja ucieszyła kiedy swego wujcia ujrzała, jak go wszystkie dziatki jego otoczyły, a pomarli ubodzy, którym służył, jak oni tam wszyscy do nóg Chrystusowych upaść musieli i dziękować za krew, która zbawiła. Kiedyż już i na nas kolej przyjdzie? Kiedy się już szaty godowe wybielą?

Bohusiu, ty dar Józefa. Gdyby nie on, mybyśmy się nie znali, ty i twoi to spuścizna po nim i ściślej między nami, od kiedy go niema, jak między sierotami, kiedy ojciec w grobie. Oto tę kartkę posyłam do was z potrzeby serca popłakania z wami, bo zwykle nie płaczę. Nie do siebie należę i krzyżem moim cięższy czynić krzyż drugich niemam prawa. Biedni dość mają swego. I oni i ja ciągle myślą z wami, z wami i za was się modlim. Zosię z nowem, nieznanem do-

---

[1]) Józef Zaleski.

[2]) Orłowska, z domu Iwanowska, siostra pani Dyonizyi Poniatowskiej.

tąd uczuciem do piersi przyciskam. Dziatek waszych także mi żal. Boże pociesz was wszystkich.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères, 24 lutego 1864.

Mój Bohdanie drogi, wyglądaliśmy go [1]) tej zimy tak długo i przybył nam cień martwych zwłok jego [2]). Boże, bądź wola Twoja! Zdaje się na tym obrazku, że jak to czasem za życia z wnętrznem, tłumionem uniesieniem coś mówi. Teraz już tam uniesienia nie tłumi, śpiewa Panu pełną duszą. Piszesz: „mąż to był pokoju, cichy, cierpliwy i pokornego serca, a więc bodaj nie dorównamy nigdy swemu wzorowi". Józef nasz posiadał i inne chrześcijańskie cnoty, dostępniejsze dla nas, dłoń w dłoni pielęgnujmyż je w sobie. Och! nie, nie tak, Bohdanie. Jeśli naprawdę chcemy śladami iść świętego, który sam po śladach szedł Chrystusowych i dojść tam, gdzie on doszedł, nie wybierajmy z cnot, które łatwiejsze, ale które Bogu milsze i nie myślmy nigdy, że są, którym nie podołamy, bo chociaż nic sami przez się nie możem, możem wszystko w tym, który nas umacnia, jak mówi św. Paweł. A cóż za cnoty zastąpią pokój, cichość, cierpliwość i pokorę? Jakież bez nich cnotami zostaną? One są wzdłuż życia jasną smugą dowodzącą, iż miłość nasza dla Chrystusa jest rzeczywistą, a bez tej miłości ty wiesz co powiedziano, iż choćby kto wszystką majętność ubogim rozdzielił i własne ciało dał na spalenie, nic mu się nie zda. Jak Piotr św. ufając w cud puścił się pieszo na rozhukane fale, byleby do Chrystusa doszedł, tak i my ufając w cud puśćmy się z niemocą naszą na

---

[1]) Józefa Zaleskiego.
[2]) Fotografia Józefa na łożu śmiertelnem.

trudne życie cichości, cierpliwości, pokoju i pokorze, bylebyśmy do Chrystusa doszli w niebie, a na ziemi do męstwa dorośli i wolności dzieci Bożych, bo któż jest mężny, jeśli nie człowiek cierpliwy, który nawiedzającego cierpienia nie odtrąca gwałtownie, by się go nie dotknęło, lecz w mocy je swojej trzymając, nie boi się go i dopóki Bóg przeznaczył w pokoju z nim żyje. I kto jest wolny, jeśli nie człowiek pokorny, który dla siebie nic, prócz spełnienia prawa Bożego, nie szuka? Im cichsi i pokorniejsi będziem, tem łacniej Pan braci wysłucha. Pamiętasz, iż ziemia obiecana cichym. Młodzież, nie mówię naród, młodzież, która losy ojczyzny samowolnie w ręce wzięła; zasadę sobie uczyniła była wiary tylko w rozum własny, a pomiatania siwemi włosami i ojcostwem duchownem w kościele. Musiała zginąć, bo się słowa Pańskie spełnić muszą. Wiedział to duch mój od początku i wśród oklasków bohaterom, krwawo bolał w milczeniu. Wbijmyż czoła w ziemię. Krwi dotąd przelanej dodajmy co jedno usprawiedliwiającą czynić ją może, żal za złe wnętrzne, którego świat nie widzi, ale które Bóg sądzi i pokorę. Im więcej nas będzie pokutników, tem rychlej zmiłowanie wyprosim, a jeśli Pan jeszcze na kiedyś dobro ziemskie odłoży, może nas ustrzedz raczy od pokus, zawsze w ślad pychy idących, rozpaczy i odstępstwa. Bylebyśmy królestwo Boże przechowali, przechowa się i Polska, bo ugruntował ją Bóg od początku na kościele. Czcij ojca twego i matkę twoją, abyś żył długo na ziemi. Od czci najwyższego ojcostwa na tym świecie, od czci duchowego ojcostwa w kościele zależy życie Polski na ziemi. Wszak upadek jej poszedł stopniowo za ostygnięciem w katolickiej wierze; za wyzwoleniem z praw kościoła poszła niewola praw wrogów. Mało to ludzi rozumie, bo mało ludzi ze światła objawienia do rozświecenia myśli swych korzysta. Nie dojdzie ich głos nasz, choćby doszedł, nie przyjęli go zapewne, ale Duch wieje gdzie chce. Wołajmyż dzień i noc: *Emitte spiritum tuum et renovabis faciem terrae.*

Bądź mi zdrów, kochany, uzdrowiony z boleści i pocieszony natchnieniem z nieba. Pokój biednej Zosi i całemu domowi twemu.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères, 17 marca 1864.

Bohdanie mój, pojutrze dzień naszego świętego[1]), i dzień mojej Junci i dzień ojca Daryusza, który i mnie był ojcem, i twój. Niech ci ta kartka przypomni, żeśmy sercem wszyscy tam z wami, że święcim razem pamięć kochanych i tych, którzy już doszli w jednej miłości. Wy u mnie nierozdzielni jak nierozdzielni będziem kiedyś w niebie. Tego dnia, Bohdanie, nasz święty pójdzie do Chrystusa, poranione promienne stopy jego pocałuje i powie: Panie, pomnij na druha mego, ale nie zapłacze, jak niegdyś, bo mu w widzeniu miłosierdzia rozpłynie się serce rozkoszą i Chrystus spojrzy na ciebie i twoich. Spojrzy, mój Bohdanie, spojrzy pewnie. Będzie to wiązanie Józefa tobie, biedny mój drogi. On już pewnie w ścisłą wszedł przyjaźń z twoim aniołem stróżem i ciągle z nim obok ciebie stoi. Niech on sam boleść Zosi i dziatwy ukoi. Pokochaj ich, Bohusiu, za nas oboje, opieka Matki Najświętszej nad wami. Wasza

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Wielka środa. 1864.

Co się tam u was dzieje, mój Bohusiu? Czy Zosia i dziatki zdrowe? Serce tak przerażone, że niech tylko kilka dni wieści o kochanych niema, już trwoga. Każe mi Ojciec

[1]) Józef Zaleski.

Hieronim[1]) prosić cię o notatkę zdarzeń życia naszego kochanego świętego[2]). Chciałby po Wielkiejnocy uroczyste nabożeństwo za niego odprawić z mową, bo jeśli nie takiego człowieka na przykład ludziom stawić, to — kogóż? Nie spóźń że się z tem, mój drogi. Nie idzie o rzecz długą, ja tego zrobić nie mogę, bo oprócz 1814 roku, nie bardzo wiem na jakich był wojnach. Prawdziwie Polaka życie, pierwsze wspomnienie rzezi Pragskiej, ostatnie łzy i modlitwy wywołało powstanie 1863 r.

Obdzielam was wszystkich wielką, wielką miłością. Chrystus ukrzyżowany z wami.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

13 kwietnia 1864.

Mój Bohusiu drogi!

Powiedz panu Franciszkowi[3]), że długim szeregiem szykują się Metropolici jak jeszcze nigdy, z oznaczeniem, który był katolikiem, który szyzmatykiem, jak i dlaczego. Aż się sam zdziwi jak obaczy. Nic takiego światła na dzieje nie rzuca jak daty. Z nich to dopiero prawdziwe przyczyny zdarzeń poznać można... Dziś przed nami dzieje Polski, a raczej Rusi, jak szachy po grze z szachownicy zrzucone, które do gry innej nowej, na nowo inaczej ustawiać trzeba. Kształt ich prawdziwy, świat, który tworzą w przeszłości przed okiem Boga niełatwo dojrzeć. Długo wpatrywać się trzeba, nim się zarysuje w mglistej oddali i odbije w myśli.

. . . .

Proszę na swoje pisanie nie wymyślać. Byle łopatką, to wszystkie literki będą śliczne, czytelne, aż mamcia pochwali (co rzecz bardzo rzadka). Jedną tylko mają wadę, że są mi-

[1]) Ksiądz Kajsiewicz. [2]) Józef Zaleski. [3]) Duchiński.

kroskopiczne. Nie możesz je dość wielkie stawiać. Im ogromniejsze, tem się mamcia bardziej radować będzie.

Może pan Franciszek ciekawy skąd teraz mi przyszło do Metropolitów wrócić. Powiedz mu, że jak żupnik szukając czego innego, natrafiłam na żyłę i kopię w niej. Wyprawię na twoje ręce w tych dniach dla niego książkę o kozakach wedle Skalkowskiego. Tylko niech mi jej nie zgubi, bo on wie co za trudność książki od nas dostać.

Łaska Boża z wami tam wszystkimi.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

25 kwietnia 1864.

Drogi, kochany Bohusiu! Mamcia posłała ci prośby swoje względem nekrologu, ja moje dodaję. W miejscu gdzie wspomnienie o rozpierzchnięciu się duchowem emigracyi na różne złe drogi, jest słowo o d s t ę p s t w o. Wymaż je, bo chociaż prawda na nieszczęście, że bardzo mało kto wówczas od kościoła w wierze swej nie odstąpił, lepiej tego teraz bez koniecznej potrzeby nie mówić.

Jaki ty dobry, mój Bohusiu, żeś już się o moje posyłki do pana Franciszka dowiedział. Ale czemu jest zwarzony telegramem wielkanocnym kiedy mu nikt z nas o tem nie pisał? Czy ty mu, Bohusiu, co mówił? Bóg przychylność jego ku nam pobłogosławił. Nie dopuścił aby co złego wynikło, a stało się to co zapewne wyprawiając go, pan Franciszek pragnął. Obudziło się rzewne uczucie pociechy z tego dowodu, że się poczciwa dusza jego przywiązała. Przyszlij mi adres jego, bo są rzeczy, które wprost do niego wyprawiać mogę.

Proszę, mój Bohusiu, nie oszaleć czytając Gliszczyńskiego[1]) bo mnie się już po dawnemu zawracać w głowie poczynało. Wyrzeczeniem jak mogilną ziemią ledwo zasuć zdołałam na

---

[1]) Dzieło o Kozaczyźnie.

pokój to biedne serce, które od niemowlęctwa żyje życiem pokoleń śpiących tam na stepach i bolem ich nieprzebolałym boleje. Wstrętne mi Zaporoże, świetne z dala, nikczemne z bliska. I Zaporoże to najazd, obczyzna na naszej ziemi. Ależ ziemia, w której tyle kości leży, tych co nie z rzemiosła i nie o łup się bili, step Humański, Białocerkiewski, Smilański? Zdaje mi się czasem żem już zapomniała, a kiedy go, jak w tej książce, w obrazku tylko obaczę, coś w sercu się dzieje czego nikt nie wyrazi, i miłość i żal do szaleństwa, bo tam po tylowiecznej walce złe przemogło. Nie Chrystus, ale błąd zapanował, i na wielkiem pogrobowisku już tylko cisza.

Chrystus, zmartwychwstanie i życie. Umarły Łazarz o wskrzeszenie nie prosił, lecz wierzyły siostry, wyznawały i miłowały więcej niż brata, Chrystusa, którego jako Boga czciły i życie bratu wróciło. Och! Łazarz martwy, bo nikt Chrystusa dość nie kocha.

Do zobaczenia, drogi mój, łaska i nadzieja Boża z wami tam wszystkimi.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

4 maja 1864.

Drogi mój Bohusiu, Daryusz ci serdecznie dziękuje za pamięć o dzień jego urodzin. Duchem ty zawsze z nami. Bóg tobie i twoim nagródź. Wczoraj rano przybył Bronisław Zaleski z Rzymu. Nierównie zdrowszy, lepiej wygląda, wybiera się za parę dni do Paryża, ale gdyby się spóźnił, nie dziwcie się i nie niepokójcie. Świętorzecka coraz na siłach opada, więc może dla niej, a raczej dla jej męża trochę się tu zatrzyma.

Pokochanie wam wszystkim, tobie, Zosi i dziatkom.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

20 maja 1864.

Drogi mój, tęsknisz do ojczyzny niebieskiej, to dobrze, kochany, bo się ona tylko tęskniącym otwiera, ale nie rozpaczaj o ziemskiej. Albo się ona wynurzy z łoni, chrześcijańska, albo zbliżają się antychrystusowe lata, a z niemi i koniec wszystkiego co doczesne. Co do tego co tam w kraju robią, trudno sądzić na śmierć znużonych nam bezpiecznie zdala patrzącym.

Po siedmiu dniach walki żywcem wzięli Tatarowie nad Kałgą naszego Mścisława dobrego i 300 pozostałych rycerzy z 10.000 Kijowian, bo, mówi kronika, znużone ich dłonie bronią już nie władły. Z duszą jak z ciałem, boleśnie dojmowano z dwóch stron, nietylko z jednej. Cóż więc dziwnego, iż się wyczerpały siły prędzej niżby mogły? Boże, nas uchowaj godności narodowej w czemkolwiek ubliżyć! Trzeba się nam owinąć nią jak płaszczem nagość i rany przykrywającym, aż ta zła i ciemna noc przejdzie, a zabłyśnie zaranie, jeśli jeszcze jeden dzień wieków przeżyć ma ta ziemia, ale wierz mi, wymuszone adresa nie zwiodą nikogo.

Czy słyszałeś, że w kilku miejscach Kongresówki lud rzucił się na wojsko zmuszające do wypłaty zaległych podatków? i że tak się ruszać zaczął z powodu obioru wójtów, że do czasu wybory te wstrzymano?

22 maja.

Anioł [1]) już odleciał, spokojnie bez wielkich cierpień ciała ni duszy. Na Bolesława straszno patrzeć. Zmienił się do niepoznania. Milczy, płacze chwilami i dzień i noc chodzi po pokoju bezustannie. Chwili spoczynku znieść nie może. Ocze-

[1]) Pani Bolesławowa Świętorzecka.

kujem Bronisława niecierpliwie, on go kocha i lżej mu będzie jak go obaczy.

Niemam czasu ni głowy do pisania, pomódlcie się za niego biednego, aby mu Bóg w cierpieniu ulżył.

Boża łaska z wami, moi najdrożsi.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Vichy, 7 lipca 1864.

Drogi mój Bohusiu, któżby miał serce wymagać od ciebie biednego ciągłego listowania. Wstydzę się, żem ci znać nie dała o odebraniu pisma pana Franciszka. Chciałam zarazem posłać żądane notatki i więcej czasu zabrały niż się spodziewałam. Chociaż to owoc niezmiernie długiej i żmudnej pracy, jak przyszło dać na czysto, dosłownie w głowie się kręciło. Pomyślisz pewnie: zimna kobieta, świat w łzach i krwi a ona swoje, swoje. Bohdanie! kto czci groby, ten wierzy w przyszłość. Człowiek nic z niczego nie stwarza i na tej ziemi nic z niczego się nie staje. Drzewo nie wyrośnie chyba z korzenia lub z ziarna i naród nie zawiąże się jak pieniężna lub rozpustna spółka, ale musi, jeśli naprawdę i na długo ma istnieć, snuć wiekową nić swoją z przeszłości swej z którą ma powinowactwo konieczne, bo z niej wyrósł i stał się czem jest, wątek wziąść, w którymby się wszystkie umysły skupiły, jako w rdzennym, własnym i do jedności przyszły. Inaczej nie naród, ale garść piasku, którą lada wiatr rozdmuchnie. Jak nie rozumiem tych, którzy kochanych swych opłakują, ale im niesłużą modlitwami i odpustami pod wygodnym pozorem, iż tego nie potrzebują, tak nierozumiem tych, którzy dziś w boleści o pracy zapominają. Czy o siebie idzie i o to co nam miłe czy niemiłe? Idzie o posługę, każdy jaką może, bo naród nie umarł. Zawsze przed sobą mam słowa modlitwy

Ojca św.: „Ażeby nie tracąc nigdy znamienia swojego, trwał na zawsze wiernym posłannictwu danemu od Boga, posłannictwu nietylko strzeżenia lecz oraz zachowywania nietkniętej i nienaruszonej z jednomyślną zgodą wszystkich członków tego narodu, chorągwi wiary katolickiej, wiary ojców jego". W dzisiejszym dzienniku nowe jego słowa: „Myślę, iż pomocy od ludzi mieć nie będzie, ale ją zaczerpnie w Bogu modlitwą". Czy znaczy to, iż na pułki niebieskie liczy Ojciec św.? Nie, ale na obrót okoliczności od świata niesprawiedliwego ani pragniony, ani spodziewany, a od Opatrzności modlitwą wybłagany. Nie mogę zwątpić, Bohdanie, nie mogę. Mówię Panu słowa Psalmu: „Choćbyś nas, Panie, zabił, ufać będę w tobie i pracuję na pewno".

Przejrzyj kartki przyłączone, ale uważnie i rozumnie jak ty umiesz. Suchy spis imion. A cała przeszłość inna, jasna i piękna jak bohaterski śpiew. Daruję tobie, Bohusiu, wszystkie te kartki własnoręczne, na pamiątkę uderzenia serca kiedy się ta przeszłość z po za mgły zapomnienia i fałszu pierwszy raz odsłoniła, taka piękna i prawdziwa i jako prawdziwa, w następstwa bogata. Pan Franciszek je sobie, jeśli potrzebować będzie, przepisze i użyje jak zechce.

Do zobaczenia, drogi, łaska Boża z tobą i wszystkimi twoimi.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Vichy, 21 lipca 1864.

Czy przyszły kartki na koniec, drogi mój Bohusiu? Jeśli przepadły, poszukiwań robić nie będę. Kiedyś drugi raz przepiszę i przyszlę. Dziwnie Bóg człowieka stworzył. Odgrzebie kości i widzi życie, ale widzi on jeden. Rzadki ktoby miał moc oczy drugiego na widzenie swe otworzyć. Ja tej mocy

niemam i widzenie moje zniknie ze mną. Niech będzie Bóg pochwalony, zniknie tylko do czasu, do dnia wielkiego objawu, w którym odźwierciedli się wszystkim przeszłość w strasznej a cudnej swej rzeczywistości i zabrzmią wszystkie pieśni w człowieczej piersi uwięzione niemocą, to boleścią.

Przyłączona drukowana kartka jest dla pana Franciszka [1]). Donieś mi gdzie teraz stoi. Wyszedł numer lipcowy *Des Etudes religieuses, historiques et littéraire par des Pères de la Cie de Jésus,* w którym jest coś Martynowa, o jakiemś dziele o Smotrzyckim. Kupować nie warto, ale gdyby można dostać gdzie na parę dni, bardzo bym mu wdzięczną była. Pozdrów go serdecznie odemnie.

Pokochanie tobie i wszystkim twoim.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

10 sierpnia 1864.

Drogi mój, prawdziwą mi jest zgryzotą wyjazd pana Franciszka do Niemiec, boję się tam nieszczęścia dla niego.

Biedny ty z nudami i kłopotami, Bohusiu. Chleb to powszedni wszystkich nas na ziemi. U każdego z nas jest całość boleści i rozłożenie jej na cząsteczki, a doskonałość w cierpliwości pogodnej. Jak do pieśni każde słowo dobierasz, tak w wielkiej epopei życia, każdej godzinie przeznaczona jest właściwa jej piękność. Nie psujmyż jej. Niech będą wszystkie strojne i dźwięczne, niech perłami jak twoje zwrotki zapadają w przeszłość, aż do ostatniej, kiedyś która pieśni dokona.

Kiedy my się obaczym? Choć z daleka pieszczotka tobie i twoim, drogi mój.

Nisia.

---

[1]) Duchiński.

Do Bohdana Zaleskiego.

Wrzesień 1864.

Drogi mój Bohusiu!

Jak wam smutno musi być w Fontainebleau, nie patrzcie w przeszłość. Minęła w twardym, boleśnym swym ziemskim objawie. Patrzcie raczej w przyszłość, gdzie wam przeszłość wasza wróci przeobrażona, promienna, radośna i wieczna, a ta sama. Nie szukajcie umarłych waszych w grobach. Niemasz ich tam. Wznieście oczy i serca w górę. *Sursum corda!* Tam wasi żyjący czekają was w ojczyźnie. Uczcijcie pogodą dusz waszych dobrego Pana, który rzekł: „Chcę, aby gdziem ja jest i oni byli, i niepłaczcie jakoby ci, którzy nadziei nie mają“. I my tu nie wiecznie, Bogu dzięki, i świat cały niedługo wieczny. Rychło, już rychło będzie królestwo Boże, gdzie wszyscy piękni i wszyscy młodzi, Bohdanie. Nie mam tej twojej pieśni, przyszlij mi ją przepisaną, bo mi ona zawsze do serca mówi dziwnie. Zdaje mi się, że od niej skrzydła rosną prędzej.

Miłosierdzie Boże z wami wszystkiemi.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

17 września 1864.

Czas to, Bohusiu mój drogi, w którym przeznaczono nam pochwalić Pana troską. Dowiedzmy cierpliwości stałej łagodnej, pełnej miłości i wyrzeczenia. Z przyłączonego listu zrozumiesz co się u mamci dzieje. Wszyscy pobrani, Paderewski, brat jego i ekonom. Razem z tym listem przyszedł wczoraj wieczór drugi od Cezi, w którym powiada, że w miasteczku obok, tak mocna cholera, że tłumnie do Hyères uciekają. Przy gorącach oczywiście naniosą choroby. Więc jadą

trochę na północ do Grasse, które nie jest na trakcie. Druga to i wielka dla mnie troska. Co ja na zimę z moim biednym ojcem zrobię, dla którego dłuższa podróż jest niepodobną? Niczego wcześnie nie postanawiamy, bo przewidzieć nie można, w którą stronę plaga Boża pójdzie. Mnie się zdaje, że będzie ona wszędzie. Jużeśmy ją dwa razy w życiu widzieli. W oczach ludzie padali, raz w Pilawie, drugi raz we Florencyi. Nie uciekamy z miejsca, gdzie nas zastaje. Ale umyślnie, bez koniecznej potrzeby, jechać tam gdzie grasuje, byłoby to kusić Pana Boga. Dlatego wątpię abyśmy do Hyères wrócili. Przykro mi to, jużeśmy tam byli niby osiedli, znów koczownicze życie rozpoczynać trzeba. Gdyby tylko nas dwoje, to mniejsza, ale gronko, które się zawsze wkoło nas zbiera, złożone ze starych, chorych, smutnych, których potrzeby ciała i duszy zaspokojone być muszą. Niech Opatrzność Boża kieruje sama wszystkiem.

Drogi mój, nie dziw się i nie martw oschłością. I święci próbowani tak byli. Staraj się tylko wyrabiać w sobie pokój, a oschłość minie łatwiej, bo w pokoju Pan.

Do zobaczenia, kochany, pociecha dobrego Chrystusa z tobą.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères, 16 października 1864.

Powitała mnie tu kartka twoja, drogi mój Bohusiu. Bóg zapłać wam wszystkim za serdeczne słowa pamięci. Między głosami naszymi brakuje jednego, ale tylko cielesnemu uchu memu, bo serce go słyszy i wie, że dla chrzestnego dziecka o miłosierdzie zawołał. Zastałam rodziców, Bogu dzięki, zdrowych. Wielki ruch, gwar, życie, od kiedyśmy wrócili. Niby u was czas wakacyi chłopców. Ściąga się powoli cała nasza

osadka: Borowska, Zdziechowscy itd., bledzi, wycieńczeni, istne mary. Nowego mamy księdza, Byszewskiego, Litwina, któremu tutejsze duchowieństwo daje miejsce w Hyères. Przysłał go na ich prośbę ksiądz Jełowicki. Jest niby domowym i dopomaga i do modlitwy i do gawędki.

A u was co tam? Cicho zapewne, bo dziecięta już przy książce. Musi wam być tęskno.

Opieka Boża nad wami, kochani. Wasza

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

1864.

Odsyłam ci rękopis Bronisława[1]), drogi mój Bohusiu. Zdaje mi się myśl prawa z wielkim taktem wyłożona. Straciłaby na całości, gdyby ją kto inny rozszerzał, tłómaczył, rozwijał. Można to później w innych pisemkach uczynić. Zmieniłam jeden tylko wyraz „kościół Wschodni“ na prawosławie, bo u nas kościołem wschodnim zwie się katolicko-grecki nie szyzma, i dodałam dla łatwiejszego zrozumienia kilka słów o głosowaniu. Przykroby było Bronisławowi, gdyby tę jego odpowiedź wraz z innymi artykułami w jednej broszurce wydrukowano. On tym wszystkim Panom osobiście znany, mówi do nich jak do bliskich sercu przyjaciół, przyzwoito więc, aby ten niby list do nich wyszedł osobno, nie wraz z innemi, mniej może miłosnemi. Z innej jeszcze strony rzecz ta zanadto uroczysta i wielka, aby między polemicznemi pisemkami na świat się pokazała.

Pierwszy raz jasno i stanowczo Polska hasło swoje wobec nie już rządu rosyjskiego, ale narodu rosyjskiego wypowiada i stawia swoje Bóg i Ojczyzna przeciw jego Zie-

---

[1]) Zaleski.

m l a i W o l a. Z tego względu równie jak i dla szczegółów zawartych jest to może najważniejsze pismo jakie oddawna wyszło. Trzeba je koniecznie na francuskie przetłómaczyć i wydać pod tytułem: *La Pologne et le liberalisme Russe.* Nie prawdaż, Bohusiu, aby nas z komunistami moskiewskimi nie mieszano?

Napiszę do Bronisława, winszując mu głosu, na który co jest poczciwego w Polsce odpowie Amen.

Bóg z wami. Wasza

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères, 1 listopada 1864.

Tylko co przyszła kartka od ciebie i chociaż późno, zaraz tobie posyłam pokochanie. Co się tobie marzy, mój drogi? Gdzieżby kto z nas mógł żal mieć do was, do ciebie, pomiarkujno sam. Wszak ty Bohuś, nasz rodzony, duch z ducha. Niech ci nigdy, nigdy ta dzika niebylica do serca nie zaziera. Opóźnia się czasem mamcia z pisaniem dla tysiącznych drobnych przeszkód, to ludzie co nachodzą, to zmęczenia, to trochę niezdrowia, to pracy pilniejszej. Od miesiąca naprzykład różne biedactwo oszywa, kręci się po sklepikach, kraje, mierzy, kapelusze lepi z gałganków, ciepłe spodnice ze starych sukien. To się może zbałamuciła i nieodpisała na czas, ale czyż dlatego swego Bohusia nie kocha, z całem jego gniazdkiem i czyżby ona paluszkiem na niego zakrzywiła.

Im bardziej ścieśnia się nasze kółko, tem my siebie bliżej kochamy. Jutro dzień zaduszny, będziem wszyscy przed Panem jak jedno serce. Pokój wam, najdrożsi. Wasza

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

5 grudnia 1864.

A co ty porabiasz z Radymem i Bojanem, Bohusiu? Powiedz no to Nisi do uszka. Mnie, duszko, koniecznie trzeba Bartoszewicza historyi literatury na chwilkę, zaraz odeszlę.

Dziękuję za przesłanie listu pana Franciszka. Zdaje się szczęśliwy [1]. Na świecie już nie było większego sieroctwa. Ni rodziny, ni chaty, prawdziwy Zozulicz. Bezustanna praca i walka o chłodzie i głodzie i szyderstwie gorzko czutem. Niechże będzie Bóg błogosławiony, że przynajmniej gniazdo ma na spoczynek i poczciwe serce na przytulisko sercu. Jeszcze cię muszę prosić o odesłanie mu odpowiedzi mojej, bo mi adresu swego nie dał.

Całuję ciebie w czoło na jasnowidzenie w teraźniejszości i przeszłości. Przyszłość do Ojca należy, który jest w niebiesiech.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Sobota [2]) 1864.

Drogi mój Bohusiu!

Kartkę twoją i książkę dziś odebrałam. Dziękuję, drogi. Szajnochy „Dwa lata“ mam, alem jeszcze nie czytała. Jako historyk ma tę wadę, że wszystko złe, nieszczęśliwe niezmiernie przesadza. Z tej jednej tylko strony wszystko widzi, zacząwszy od przedchrześcijańskich czasów. Dodaje to dramatyczności książce. Dzieła jego pod względem sztuki są bardzo piękne,

[1]) Ślub Franciszka Duchińskiego z panią Seweryną Pruszakową odbył się 26 listopada 1864 r. w Paryżu.

[2]) Bez daty.

ıle z historyczną prawdą często się mijają, a zatem zdrowego sądu o przeszłości w publiczności nie wyrabiają. Dziejów Rusi nie zna ani kszty i niebylice o nich prawi. Żal mi, że nasz malarz także wybiera tego rodzaju sceny jak Sejm Grodzieński na przedstawienie Europie. Od kiedyśmy zmysł chrześcijański stracili, nic pięknego w przeszłości naszej nie widzim. Ślepiśmy na najcudniejsze strony, a widzim same brzydkie, albo które istotnie były, albo które się brzydkiemi zdają dlatego, że nie zrozumiane. Jeśli zawsze i we wszystkiem tak ohydna była Polska, to czemuż ją wskrzeszać? Niech się sobie przerobi na Moskwę albo na Niemcy. Wielu z teraźniejszego pokolenia nie może darować szlachcie przeszłych wieków, iż część jej była bogata i potężna. Inaczej być nie mogło, ponieważ Rzeczpospolita była zjednoczeniem kilku państw, których udzielni książęta dobrowolnie dla dobra kraju zrzekłszy się prawa do panowania, stali się szlachtą i przez małżeństwa wnieśli w inne domy ogromne swe ziemskie posiadłości. Gdyby szlachta, choć w części, nie była potężną i bogatą, przy ówczesnych okolicznościach nigdyby Rzeczpospolita i pięćdziesięciu lat nie wytrwała, bo obrona kraju była z konieczności najzupełniej zdecentralizowaną i ta obrona, która nam się dziś tak złą wydaje, była niezmiernym a ciągłym wysiłkiem. Ale kto wie jakie były istotne siły i budowa Polski? Nie patrzą na kilka wieków o tyle chwalebnych o ile być może na ziemi, a tylko na sto ostatnich lat upadku. Człowiek wielbić nie lubi, zdaje mu się że go to upokarza, woli potępiać, a nie rozumie, że w narodzie, zasługi i przed Bogiem i przed ludźmi są prawem do istnienia, daleko większem niż obietnica że sami będziem lepsi. Tamto jest bo nic nie ginie, a to drugie nie jest jeszcze i może nigdy nie być.

Do zobaczenia, drogi mój, kochany.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères, 18 stycznia 1865.

Albumy przyszły cało, dziękujem, Bohusiu. Ale jakbym ja tobie chciała moją pracą posłużyć, tożby było szczęście. Wystaw sobie. Owoc niesłychanie mozolnych poszukiwań o św. Michale, spisałam sobie była maczkiem, ledwie dojrzanym, na przyszłe obrobienie i przepisanie: teraz rozstąp się ziemio, niema. Przerzuciłam gdzie były jakie papiery, trzeba będzie wszystko na nowo zaczynać.

Pamiętasz św. Parasiewią Stebelskiego? Odkryłam, że ona nie od Tatarów, ale od Moskali do Rzymu uciekła, bo za Batego czasów, w Połocku litewscy bałwochwalcy panowali, a ona żyła za czasów Andrzeja Kitona, wzięcia i zburzenia Kijowa i zagrożenia Nowogrodu. Może ci parę obrazków przyszlę króciutkich. Monumenta Bielowskiego wypisałam i czekam z Wrocławia. Żywoty św. Metodego i św. Wojciecha znam w ustępach i mam przekonanie, że wcale tak stare nie są jak literaci utrzymują. Ciekawe szczegóły zawierają, ale też i fałsze. Co tam ślicznego to listy Brunona do św. Henryka, cesarza, zachęcające do pokoju z Bolesławem Chrobrym, tym wielkim obrońcą kościoła i opowiadające pobyt w Kijowie u św. Włodzimierza. Co to było razem ludzi wielkich, prawdziwie wielkich, bo i przed Bogiem i przed ludźmi.

Względem Encykliki znalazłeś wyrażenie genialne, Bohusiu. Ale czegoż się muchy szamocą, jakby to było coś nowego. Niech otworzą dzieje, a obaczą czy kościół uczył kiedy inaczej.

Bóg z tobą i z twojemi, drogi mój.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

8 maja 1865.

Bohusiu, serce poczciwe, kochane, kiedy my ciebie wyuczym, że jeśli jaki czas kartki niema, to się nie znaczy, że ktoś sobie do ciebie coś upatrzył? Alboż ty nie wiesz co to życie, zwłaszcza kiedy razem pędzi je cztery rodziny: rodziców, Kostusi, Cezi i nasza. Co się gdzie na drugim końcu świata u czyich kochanych zdarzy, godzi tu we wszystkich. Smutki, kłopoty, niepokoje wielkie, czasem błysk pociechy, tak tego dużo i nieustannie, że ja przynajmniej, Bohusiu, pamięć prawie tracę i już nie wiem ni jak, ni o co pierwej się modlić, fala po fali, wir. Wystaw sobie jak się to wszystko wzmogło wyjazdem mamci do kraju.

Bohusiu mój, Bohusiu, jakbym ja ciebie mieć chciała, choć na tydzień, na odpoczynek troskom, na usunięcie powszednim sprawom, na odmiłowanie, na odżywienie. My, kobiety, gniem się do ziemi jak trzciny i powstajem, wy się łamiecie. Od czasu do czasu trzeba wam ciszy na ukrzepienie.

Kto wie, Bohusiu, czy nie opatrzna wola wstrzymuje ogłoszenie pieśni twoich. Dziś tak jeszcze huczą namiętności, iż przebrzmiałyby prawie niesłyszane. Za lat parę kiedy nastanie milczenie, przyjdą w sam czas i rzucą ziarno na owoc w przyszłości. Ale gdzież ty się mógł spodziewać, iż je w kraju wydrukują teraz? To już złudzenie było niepomierne.

Pokochanie tobie, pogłaskanie, mój dobry, biedny. Miłosierdzie Boże z wami wszystkimi.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères, maj 1865.

Bohusiu mój drogi, już biedna mamcia pojechała pozawczoraj wieczór na Strasburg, Lipsk i Kraków. Tak się jej chciało na Paryż, tak się na samem wsiadanem dopiero rozstrzygło, którą drogą pojedzie, że anibym się zdziwiła, gdyby, pomimo postanowienia, rozmyślała się w Lyonie i do was zawróciła. Odważniej wyjeżdżała niż śmiałam się spodziewać i dość, Bogu dzięki, zdrowa. Może Bóg miłosierny odda mi ją przed zimą. Daryusz odprowadził ją do Marsylii, wróci dziś albo jutro. Ciężko mi na sercu, i nietylko z powodu mamcinego wyjazdu. Gnie się ciało ku ziemi i myśl szuka spoczynku, snu. Ale przypomniał dziś ksiądz na ambonie, że Marya pod krzyżem stała. Woli Chrystus Pan kiedy w boleści stoim. Stójmyż mężnie do końca. Wolni duchem jako dzieci Boże, nie okowani, ani nawet boleścią. Niech oczom naszym Chrystusa nie zasłania ani nawet łza.

Jak się ma Zosia? Czy się jej polepszyło trochę, czy mniej na bok cierpi?

Pokochanie wam wszystkim. Błogosławieństwo pokoju na ciebie, mój Bohusiu.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Vichy, 29 czerwca 1865.

Wczoraj dopiero późno stanęliśmy tu, drogi mój Bohusiu, bośmy kilka dni nadspodziewanie zabawili w Lyonie dla Matyldy [1]. Zrządzeniem różnych okoliczności, wiedziałam o pobycie w Lyonie jakiegoś księdza Colomb, niezwykle pobożnego

[1]) Szymanowska, z domu Poniatowska.

i o zakładach jego. Pojechaliśmy więc do niego i wrócili z podniesionem i uradowanem sercem jak już dawno. Wystaw sobie gdzieś aż za Croix-Rousse, prawie na wsi, mieszka ksiądz i wpisuje wszystkich, którzy chcą do bractwa pięciu ran Pańskich należeć. Celem tego bractwa oddawna potwierdzonego w Rzymie, jest obudzenie miłości do osoby Chrystusa Pana, rzeczywistej, istniejącej, Bożo-ludzkiej, czującej, miłującej i bolejącej jak my, która, kiedy była na ziemi, Bożą mocą widziała nas dziś żyjących i którą w człowieczych jej smutkach i boleściach ówczesnych, my dziś żyjący pocieszamy lub gorzej smucimy istotnie rzeczywiście, wcale nie w żadnem figurycznem lub oderwanem znaczeniu. Jeśli, naprzykład, kto z nas klęczy przed nim i podziela boleści jego na Górze Oliwnej, on wówczas widział i pocieszony był. Jeśli o nim zapominamy, on wówczas opuszczenie nasze czuł, jak czuł opuszczenie Apostołów i powiększenie mu było boleści. O Bohusiu, od tylu, tylu lat, to cała moja wnętrzna wiedza. Całe życie ducha miłość jak ją nazywałam osobista Chrystusa, to prawdziwa a tak mało znana tajemnica, przez którą oprócz przytomności swej osobistej w Przenajświętszym Sakramencie, lecz już niecierpiętnej, Chrystus Pan w życiu swem ziemskiem, współczesnym jest wszystkim pokoleniom od Adama do ostatniego na ziemi żyjącego i wszystkie pokolenia miłować go, cieszyć lub smucić mogą. Dał mi Pan ujrzeć świątobliwego sługę swego, który modlitwy i prace całego życia na rozszerzenie miłości tej poświęca. Mówią, że ma natchnienia i objawienia. Może być, ale choćby i nie miał, niemniej to gorliwy i pełen wyrzeczenia sługa Boży. Do bractwa po różnych krajach przeszło sto tysięcy już należy. Odmawiają pięć pacierzy do pięciu ran. Ale mówi ksiądz Colomb, niezmiernie z nich mała liczba rozumie ową osobistą miłość. Uważał jednak, iż wskutek połączenia się we czci ran Chrystusowych, zrozumienie to u niektórych łaską przychodzi.

Polskę niezmiernie kocha. Zdaje mu się widzieć w Bogu,

iż wielkie ma w przyszłości przeznaczenie, a co dziwna, mój Bohusiu, powtórzył nam słowa przed 20-tu kilka laty z ust księdza Bernarda słyszane. Zmieni się dla niej wszystko w oka mgnieniu. Aż podniósł się i rękami zaczął pokazywać jak będzie w błysk. A juściż się z ojcem Bernardem nie zmówili. Nie wiedział nawet o nim jak się później pokazało. On po ludzku wnosi, że zapewne wielka ta zmiana nastąpi przez nawrócenie którego z carów. Bóg to wie. Wszak Ludwik IX jako święty oddał prawemu właścicielowi dwie prowincye, które odkrył, iż niesprawiedliwie posiadał. Jak się stanie, nie wiemy, ale święte dusze o nas nie wątpią. Wkoło prostego tego księżyny, żebrało się kilka poczciwych dusz pod nazwą *Coeurs dévoués*, szczególnie miłości osoby Chrystusa poświęcone. Chodzą w zwykłem ubogim odzieniu, niemają klauzury i oddane są wszelkim dobrym uczynkom jakie się nadarzą. Mają kilkadziesiąt dzieci opuszczonych, dają przytułek kilkunastu młodym dziewczętom, które do zakonu mają powołanie a na sposobach wejścia im zbywa. Włożyły w ten niby zakład wszystko co miały. Ubogie to i proste nad wyraz. Na czele jest bardzo do rzeczy kobieta, z ojca Francuza, matki Niemki, ale urodzona w Litwie gdzie do 12 lat się chowała. Nawet między Polkami tak gorącej i stałej w modlitwie miłości dla Polski nie znalazłam. Powiada, że wszystko dobre przyszło rodzinie jej przez Polaków, że nigdzie jak w Polsce takich serc otwartych dla bliźniego nie widziała, Polskę i jej zwyczaje pamięta, jakby dziś z niej wyjechała i dodaje: „*Qui donc l'aimerait, si je ne l'aimais pas?*“ Po polsku jednak zapomniała, od tylu lat nikogo prawie z Polaków nie widząc i tylko umie na „niech będzie pochwalony“, odpowiedzieć „na wieki wieków. Amen“.

Posyłam ci, mój najdroższy, list, który od mamci zastałam. Nie gorsz się, że mnie ma za coś dobrego. Zwyczajnie matka, innemi oczami jak cały świat na puhaczątko swoje patrzy. Zaraz po przeczytaniu, odeszlij ojcu.

Zmiłuj się, Bohusiu, ostrożnie ty z twojemi oczami, o które dawno się już boję. Nie czytaj w okularach. Noś je jak najmniej w domu i nic mocnego nie pij. Bo to licho się nie zwiastuje i raptem przychodzi i patrz jak często na tych co czytają: Thierr, Szajnocha. Boże, wioń pociechą na was tam wszystkich.

Pokochaj Zosię bardzo odemnie. Czekamy i wyglądamy.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Vichy, lipca 1865.

Otóż nie ukrzywdziła ciebie Nisia, mój Bohusiu drogi. Musiałeś już list mamci odebrać. Nie dziwię się, że ci dążenie ojca Colomb do serca przypadło, kochany mój, jeśli głęboko w duszy była już wiedza u ciebie i pociąg do miłości osobistej Chrystusa, to nie wskutek wieszczego natchnienia, które, jakkolwiek piękne, jest tylko przyrodzone, ludzkie, ale nadprzyrodzonej łaski Bożej zstępującej w modlitwie i komunii świętej na prostaczka równie jak na wieszcza. Nie mieszaj tych dwóch rzeczy zupełnie różnych, chociaż łączyć się mogą i łaska Boża nadprzyrodzona oświecać ten stan ducha ludzki, przyrodzony, który niewłaściwie natchnieniem wieszczem zowiemy. Natchnieniem wieszczem to jest wrażeniem, które przyrodzonym sposobem w duszy twojej jak lutnia utworzonej, budzi rozumienie i w dźwięk pieśni je przeistacza, wiedzieć możesz tylko rzeczy ludzkie. A imienia Jezus na zbawienie nawet wymówić nie zdołasz, ani ty, ani nikt bez łaski nadprzyrodzonej, od Boga pochodzącej. Aby należeć do bractwa, niema innych warunków jak wpisanie się, noszenie medalika i odmawianie codzienne pięciu pacierzy na cześć pięciu ran w złączeniu duchownem z bractwem. Ufam umęczonemu dla nas Chrystusowi, iż za wielkie winy nasze, które odpowied-

niego zadośćuczynienia w dość powszechnej i dość gorącej miłości Chrystusa nie miały, jeszcze nas nie odrzuci, a zamarłych duchem odżywi i posłannictwo nam chrześcijańskie znów powierzy, choćby na męczeństwo. Jak za Mieczysława i Dąbrówki nawracajmy się na chrześcijaństwo szczerze, bez ziemskich celów, nie do tego chrześcijaństwa, które sobie sami wymyślamy, ale jakiego od XIX wieków uczy kościół przez Chrystusa postanowiony, przez Ducha św. zawsze kierowany. A jak za Mieczysława i Dąbrowki stanie królestwo. Ale, kochany, kochany, drogi mój Bohusiu, odrzuć na zawsze oczekiwanie jakiegoś męża Bożego. Nie masz go w Piśmie św. przepowiedzianego, nie spodziewa się go kościół. Skądże wiedza o nim? Kościół spodziewa się wielu świętych we wszystkich stanach, między którymi mogą być i będą panujący, całej potęgi swojej na obronę kościoła używający i rażący pogaństwo jak Karol Wielki, św. Ludwik, nasze Bolesławy itd. Spodziewa się za czasów antychrysta Eliasza i Enocha, którzy porwani byli żywi i wrócą, aby nauczać i być zabitymi, bo przez śmierć każdy człowiek przejść musi, ale nie więcej. Jednego tylko wypatruje, nie z ziemi, a z nieba tego do którego wołaniem P r z y j d ź, kończy się Pismo św., Pana naszego Jezusa Chrystusa, przychodzącego w obłokach na sąd ostateczny. Wszyscy święci na ziemi są mężowie Boży.

W innem rozleglejszem znaczeniu, żadnego męża Bożego nigdy nie będzie. Jestto wymysł szatański przygotowujący ludzkość do przyjścia antychrysta, a przed nim wszelkiego torującego mu drogę zwodziciela. W pogańskiem oczekiwaniu jakiegoś męża Bożego, którego Bóg nie obiecał, jest punkt zetknięcia wszystkich do kościoła nienależących narodów i zjednoczenie ich przyszłe w antychryście. Dla Budhystów jest nowe wcielenie Buddhy, dla Braminów siódme czy ósme wcielenie Visznu, dla żydów Mesyasz, dla mnóstwa sekt protestanckich w Europie i w Ameryce wcielenie Ducha św. i zaczęcie panowania jego, a dla katolików, którzy się ściśle w tych

rzeczach kościoła nie trzymają, jest to tak nazwany mąż Boży, jakiś niby prorok święty i potężny zaprowadzający sprawiedliwość na świecie. Na ten lep uwiół Towiański swoich i pierwszy lepszy wyprowadzi w pole tysiące głów niby rozumnych. A cóż dopiero antychryst, który z taką siłą omamienia wystąpi, iż wedle słów Chrystusa uwiedzeniby byli, gdyby być mogło, nawet wybrani. Bohusiu mój, od śmierci Chrystusa i ustanowienia kościoła, nie ma, być nie może i nie będzie posłannictwa człowieka w znaczeniu jakie dają słowu: Mąż Boży. Bo posłannictwo to spełnia z rozkazu Chrystusa i w ciągłem Ducha św. natchnieniu, jedynie urząd kościoła. Stąd wszystkie marzenia messyanizmu, jakieby nie były ich odcienia, są po prostu kacerstwem i wszystkie oczekiwania męża Bożego omamieniem i przygotowaniem drogi antychryście. Zupełnej sprawiedliwości i zupełnego pokoju nigdy na ziemi nie będzie, bo jesteśmy kościołem wojującym. Używanie i odpoczynek gdzieindziej. Ziemia jest miejscem pokusy, pokuty, próby, walki, cierpienia, zasługi dla ostatniego równie jak dla pierwszego z pokoleń ludzkich. Ale na niej może być lepiej lub gorzej, wedle ilości ludzi prawdziwie kościołowi poddanych i wiernych, co jest kamieniem probierczym miłości Chrystusa. Ziemia, namiot podróżny na pustyni, darmo w dworzec murowany go chcieć zamienić. Dom Ojca wiekuisty i ojczyzna prawdziwa w niebie, tu zawsze wygnanie i podróż choćby w ojczyznie. Dlatego każdy ma chwile, w których nuci sercem: „Co mi potem, co mi potem, ja tu przybysz pod namiotem". I ja, i kochani, i rodzina i naród i kościół i ludzkość cała tylko przybysz pod namiotem. I zwiną się niebiosa jako księga przeczytana i czasu już nie będzie i wszystko co żyło zalegnie łono matki ziemi, dopóki trąba nie zatrąbi i nie powstaną umarli i nie zacznie się nowe życie, ale już nie tu.

Teraz, Bohusiu, o czem innem. Czemu tyś mnie nigdy nie odpowiedział na moje tylokrotne pytanie, kiedy będziesz miał chwilę wolną na wycieczkę do nas? Później zajdą wakacye

i nie będziesz się mógł ruszyć. Mój Bohusieczku, tylko dwa słowa.

Do widzenia, drogi mój, daj Boże rychło. Zosię ucałuj serdecznie.

Miłosierdzie Boże z wami.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego

Vichy, 8 lipca 1865.

Niewielką ja ci krzywdę wyrządziłam, mój Bohusiu, dowodząc, że niektóre natchnienia twoje z wyżej pochodzą niż z poetyckiej wyobraźni. Jeślim niesłusznie mniemała, że nie odróżniasz dość w sobie co skąd pochodzi, tom cię tylko o pokorę posądziła. Niewielki grzech. Dobrze, że się o mężu Bożym zgadało. Przepadło to wyrażenie. Można go użyć co do przeszłości, co do przyszłości niepodobna już. Mówisz: „poeci nie liczą się do pisarzy kościelnych". Bohusiu, wchodzim w epokę jakiej jeszcze nie było, trudniejszą, boleśniejszą, bo końca bliższą. Co dawniej starczyło, dziś nie starczy. Co dawniej wolno było. dziś nie wolno. Wśród kwitnącego chrześcijaństwa na dziecinną rozrywkę wolno było śpiewać ludziom gorącej wiary i o Apolinie, nawet i o Dryadach i Hamadryadach. Dziś kiedy magia uroczyście, jawnie, jako ostateczne słowo mądrości, przynosi uczonym głęboko przez wieki obmyślaną religię siły powszechnej czyli ognia wnętrznego, rodziciela wszystkiego co żyje jako Boga. Kiedy ta religia, rozszerzana cichaczem między ludem, objawia się czcią słońca, coraz częściej wioskami całemi. Kiedy spirytów we wszystkich stanach liczymy już na kilka milionów w naszej Europie i wyobrażenia i zabobony przez nich rozsiewane coraz się bardziej między wierzącemi nawet rozszerzają. Co wszystko znaczy że pogaństwo, nie w skrzywionych tylko zda-

niach niektórych, ale w najgrubszem bałwochwalstwie nam wraca, przez najtęższe głowy z umysłu na korzyść namiętności wprowadzone, bawić się już w zabobony ludu nie można. Wszak one wszystkie z pogaństwa dawnego pozostały i nowemu pomogą. Zakon poetów staje się surowszy, powołanie ich wznioślejsze. Wyrastają na chrześcijany nie już tylko jako ludzie, lecz jako poeci. Bujać sobie wyobraźnią już muszą ostrożnie. Jak hetmani, na wsze strony przenikliwem okiem powodzić czy zasadzki gdzie niema na drodze, po której tłum za nimi bieży, jak anioły, zbolałych pieśnią prawdy uszanować. Niegdyś wolno było poetom jak młodzieniaszkom poigrać na przestrzeniach nieco i prawdę w bezistotne a nadobne rojenie odziewać, bo każdy w chrześcijańskiej wiedzy wychowany, prawdę od rojenia oddzielić umiał. Dziś ledwie tysiączny dość zna prawdy chrześcijańskiej, by w niebezpieczeństwie nie był rojenia wziąść za rzeczywistość. Ledwie tysiączny zna różnicę między natchnieniem poety a natchnieniem proroka Bożego. To nieszczęśliwe słowo w i e s z c z, w i e s z c z e n i e, które u narodu naszego z pogaństwa zostało i w chrześcijańskich jego wiekach używane było tylko w znaczeniu fałszywego proroka, proroka z szatańskiego natchnienia, zastosowane kiedy wiara gasła do najpiękniejszego przyrodzonego daru ludzkiego, znajomości jednak przyszłości niedającego, iluż z drogi zbawienia zwiodło na zawsze? Wrócić nam trzeba do czystej prawdy. Prawda jest Bożą, a więc rozległą, bogatą, świetną, śpiewną. Nietylko teologiczna prawda, ale wszelka prawda uczuć, wyobrażeń, myśli, nawet prawda materyalnej przyrody. Po cóż nam szukać tego co nie z Boga? Nie mówię tego do ciebie, Bohusiu, bo chociaż wszystkich ostatnich pieśni twoich nie znam, wiem, żeś w prawdzie zawsze lubował i właśnie ona blaskiem jest twej lutni. Odpowiadam ogólnie na kartkę twoją. Wstępujemy w epokę przedantychrystową, w której dlatego trudno się zbawić, iż szatan wojuje głównie omamieniem, fikcyą, kłamstwem, obałamuca ro-

zumy, zwodzi umysły. Każdy z własnem marzeniem walczyć musi i nieraz odrzucić przez posłuszeństwo kościołowi, które mu się najpiękniejsze zdaje, a zdaje się ono tak piękne przez ułudę szatańską. Jestto na pozór zwyciężenie siebie, w istocie, zwyciężenie szatana. Musi to być trudno, bo patrz, Bohusiu, jaka różnica zagrobowej nagrody. Kiedy krwawym epokom pierwszych wieków chrześcijańskich jest tylko powiedziano: „Zwycięzcy dam jeść z drzewa żywota“, i „Bądź wierny aż do śmierci, a dam ci wieniec żywota“, na naszą epokę jest obietnica: „Kto zwycięży, uczynię go słupem w kościele Boga mego, a więcej z niego nie wynijdzie, i napiszę na nim imię Boga mego i imię miasta Boga mego, nowego Jeruzalem, które zstępuje z nieba od Boga mego i imię moje nowe“. W tajemniczych wyrazach cóż zrozumieć można? Nagroda odpowiada zasługom, chociaż na Bożą jest miarę. Zbawieni więc tej epoki dźwigać będą kościół, pracować jak powszechnie w innych nie pracowano, śpiewać jak nie śpiewano, bo i do poetów równie jak i do innych wiernych, ściągają się słowa Pisma św. Niech wcielają, Bohusiu, w pieśni co lud w prostocie swej przyjął prawdy i świętości, nie zaś co zachował omamień i namiętności z pogaństwa. Epoka antychrysta najcięższa będzie, dla niej też najwyższa obietnica: „Kto zwycięży, dam mu siedzieć z sobą na stolicy mojej, jakom ja też zwyciężył i usiadłem z Ojcem moim na stolicy Jego“.

Resztę gawędy na wieczory pod drzewami, chociaż, Bohusiu, ja o tych rzeczach zawsze wolę pisać, mówić nie umiem.

Jaki ty dobry, jaki ty miły i kochany, że ty do nas choć na chwilkę zajrzysz. Już się tak koniecznie chciało ciebie widzieć, a tu ani myśleć, bo Paryż na złe czasy niepodobny. A potem ja ciebie wolę tu, prawie na wsi.

Pokochaj Zosię bardzo odemnie. Czekamy i wyglądamy.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Czwartek, 1865.

Bohusiu mój drogi, tylko co miałam pisać do ciebie, prosząc abyś już, jeśli można, dostał gdzie choć na krótko kronikę Chwalczewskiego, kiedy przychodzi wieść przez Kostunię, że bole artrytyczne wróciły biednej twojej Zosi i że się sama w łóżku ruszyć nie może. Pierwsza myśl mi przyszła, że dopilnować jej sam jeden nie będziesz w sile. A dzieci, choć z najlepszą chęcią, zawsze dzieci.

Biedni wy tam, biedni. Miłosierdzie Boże z wami.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

28 sierpnia 1865.

Jak ja ciebie przeproszę za milczenie, mój Bohusiu? To już wolę nie tłómaczyć się a przeprosić. Zosi lepiej, to i we wszystkich duch wstąpił. Niechże nam teraz Bóg ją w siły wzmoże.

. . . .

Książki odebrałam. Dziękuję ci za nie bardzo. Chwalczewskiego wkrótce odeszlę, ale pieśń Igora oddam dopiero jak przez Herta własny swój będę miała egzemplarz. Nieocenione to świadectwo dziejowe. Dziwna to rzecz, Bohusiu, jak my od dziecka jednemi oczyma patrzym w przeszłość, a jednak nie chowaliśmy się razem. Tajemnica Boża! Step i Dniepr jednakowem wrażeniem wykształtowali dusze, które rwą się w przeszłość jako we własną dziedzinę, tak piękną, tak znaną, tak strasznie kochaną.

Bohusiu, widziałeś lasy zrąbane? Na przestrzeni jak zajrzysz, niskie krzaczki gdzieniegdzie, tylko niebotyczne, gałęziste drzewo zostawione na nasienie. Otóż Bohdanie, stoim na

straży ojców, jakoby tych drzew. Bez nich przyszłości nie będzie.

Bóg z wami, kochany, siła Jego i pokój.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Piątek, 1865.

Cieszymy się wszyscy, drogi mój Bohusiu, radośną nowiną o Kazi [1]). Ciągle o tem rozmawiamy. Prawda, wyjednał tę łaskę Józef nasz święty i cicha, cierpliwa, modląca się matka.

Oddaj duszko, przyłączone kartki panu Franciszkowi [2]). Przysłał mi był dwa foliały zarzutów na spis niepodległych władzców Kijowa. Można się było przerazić. Otóż ucieszyłam się niezmiernie, bo mi ani jednej omyłki nie wytknął, co byłby uczynił pewnie, gdyby jaką znalazł, łaje tylko za nieumieszczenie pewnych faktów. Kochany pan Franciszek zapomina, że to nie historya, tylko spis imion i dat. Cóż w niem umieścić można? Usprawiedliwiam mu się jak umiem.

A co ty tam o Aryasach dumasz?

Obdziel całą rodzinkę pieszczotką, zaczynając od Zosi. Bóg z tobą.

Nisia.

---

[1]) Ślub panny Kazimiry Plichcianki z p. Horacym Delaroche, synem sławnego malarza.

[2]) Duchiński.

Do Bohdana Zaleskiego.

9 października 1865.

Przyszła mi twoja kartka, jak promyk w dzień szary, mój drogi Bohusiu. Rozradowało mi się serce ku tobie. Jaki Bóg dobry, że mi brata dał w tobie. Dziękuję, kochany, za błogosławieństwo, przyniesie mi łaskę i dary Boże. Oby one i tobie były na pociechę.

Niepokoi mnie cholera, która się u nas pojawia i myślę sobie: kiedy się wam najęcie domu kończy, czemubyście zabrawszy wszystkie dzieci, złe miesiące nie przepędzili na zdrowszem gdzie miejscu. Życie na prowincyi tańsze niż w Paryżu, a dzieciom lepiej przewakansować rok niż narażonemi być na zarazę w tem ogromnem mieście, w którem ona pewnie gorzej niż gdziekolwiek grasować będzie. Wszędzie lepiej niż w Paryżu.

Miłosierdzie Boże z wami tam wszystkimi.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Vichy, 16 października 1865.

Dziękuję, Bohusiu, za kartkę twoją dziś odebraną. Odetchnęłam, bo wielki miałam o Zosię niepokój.

. . . .

Mówisz, że tam u nas rozpada się i rozkłada w niwecz społeczność nasza. Może. Ale pod zwaliskami rośnie budowa nowa, a ta sama, przeszłość odrodzona. Podnosi się cicho niewidzialnie..... Pan o nas nie zapomniał. Dał zamiłowanie ziemi, wsi, to nic nie stracone.

W głębokiej samotności pracuję, modląc się wciąż o błogosławieństwo Boże na robotę. Od twego wyjazdu przybyło

27 arkusików. Byłoby więcej, alem pracę przerwała dla drugiej, która mi się naglejszą zdawała. Jestto niby zrąb dziejów naszych złożony z samych imion i dat w rodzaju kartek, którem ci kiedyś posłała i które ci zarzucono. Jeszcze mi ze trzy tygodnie do ukończenia tej pracy potrzeba, a potem wrócę do pierwszej. Otóż, Bohusiu, powiem tobie, żem pracowała zawsze z popędu, z potrzeby ducha. Ale mi robota miła dopiero od kiedy ty z niej coś przeczytał, i jak ją sobie w głowie układam, zawsze o tobie myślę.

Do zobaczenia, kochany, dobranoc. Bóg dobry z wami.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères, środa 1865.

Drogi mój, otośmy już w naszym cichym Hyères. Dziękuję Bogu za to wielkie dobrodziejstwo, bo zastałam ojca upadłego na siłach, chociaż zdrowego.

. . . .

Chcę koniecznie aby ty kiedyś chronologiczne spisy poprzeczytywał, a jest ich cała broszura. Strach jakie nudne. Ale ktoby nad niemi podumał, ujrzałby przeszłość w ogromnej jej całości. Jestto niby nić rozplątanego motka od wyjścia z Indyi do naszych czasów i posłuży da Bóg do lepszego zrozumienia dziejów obszerniej pisanych. Musi być do nich zawsze w przypiskach przyłączona, bo gdzie dużo szczegółów, tam główny ciąg schwytać trudno. Mało już do skończenia.

Bohusiu, ja koniecznie chcę należeć do św. Jozefata. Uczyli mnie od dziecka, że należę. Pewnie on miał jakiego brata, od którego poszła moja prababka. Koniecznie go chcieli mieć za swego Kuncewicze szlachta, a dobra i dawna szlachta, bo na Horodelskim akcie podpisana, to poczciwiej niż owa rodzina włoska, która prawnie dowodziła, że nie jest

spokrewnioną ze św. Katarzyną Sienenską dlatego, że była córką garbarza. Bohusiu, ja chcę pokrewieństwa ze św. Józefatem i mnie się zdaje, że czuję że ja jego potomstwo.

Do zobaczenia, drogi, kochany. Bohusiu mój, nie upadaj na duchu, bo Bóg dobry i jest matka w niebie i ziemska i niebieska. Gdzieżby one o swoim Bohusiu zapomniały.

Serdeczne słowo Zosi biednej i całej rodzince.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères, 18 grudnia 1865.

Chwała Bogu, że choć czasem cisza na odpoczynek, Bohusiu. Takeśmy do gorączki i do jej zmiennych widzeń nawykli, że kiedy się przerwie, zdaje się nam, że i życie przerwane. Korzystajmy z chwili na odwołanie władz z zewnątrz i wzmożenie ich skupieniem bo jeszcze drogi wiele przed nami.

Tutaj, Bohusiu, puściuteńko. Gospodarze ręce łamią, a pora jasna, ciepła, cudowna.... Ja pracuję nie nad tem do czego mam pociąg, ale nad tem co mi się zdaje potrzebnem. Owe spisy, które niby na ukończeniu, zawsze mnożą się pod piórem.

Bohusieczku drogi, proszę nie zmarnować ciszy, nie wyglądać nic na zewnątrz, poruczyć wszystko temu, który nas lepiej kocha, niźli my sami siebie i bez roztargnienia, zebrać ducha, rozwinąć skrzydła i jak orzeł strzelnym lotem puścić się w górę.

Duch św. z tobą. Ucałuj Zosię, ukochaj za mnie całą rodzinkę.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

23 grudnia 1865.

Nie pokażę nikomu kartki, Bohusiu, ale jej nie spalę. Jeśli ci Bóg dał o co prosił Tasso. „*Io sono la cetra, tu sei la mano*“. Czyś winien, że cię własne brzmienie wznosi? Pokora nie zabrania uznawać dary Boże, tylko siebie uradowanego za coś większego od innych mieć broni, bo dar to nie zasługa, owszem odpowiedzialność. Zasługa w cichości tylko i wiernej miłości. Niech nam te łaski, nad wszystkie przyrodzone dary wyższe, przyniesie dzieciątko Jezus. Niech nas w nie przystroi na bliską trzydziestoletnią rocznicę poznania się naszego. Tego pokorzącego się dla nas Boga kochajmy goręcej, módlmy, chwalmy usilniej, miłością na braci promieńmy dalej, obficiej. Niech jej nigdy u nas dla nikogo nie zabraknie. Bohdanie, u pogan starość to wieczór, u nas to przedświt życia. Prędzej, prędzej oblekajmy godowe szaty nim otworzą się podwoje dla miłujących i cichych a za Boga swego mężnych. Jezu dzieciątko, przyjmij nas kiedyś wszystkich!

Drogi mój, oto życzenia moje na święta i nowy rok i wszystkie po nim lata, które nam dano będzie przepędzić jeszcze na ziemi. Jak się ja cieszę, że ty śpiewasz, ja orzę. Dokonałam żmudnej pracy, której dotąd nikt nie był podjął. Pozbierałam wiersz po wierszu w kronikach, listach papieskich (tych, które pod ręką miałam Polonia Sacra Thejnera), co tylko wiedzieć można o Metropolitach kijowskich i stanie wiary na Rusi, od św. Włodzimierza do Florenckiego Soboru. Czy to się zda na co komu, niewiem. Jeśli ci jakiej chronologicznej czy innej wiadomości z owych czasów potrzeba, powiedz, to ci się o nią postaram.

Miłosierdzie Boże z wami.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères, 26 grudnia 1865.

Całe gronko odpowiada wam miłością, Bohusiu mój, a co w tej miłości pragnień i próśb do Boga dobrego, to już on sam wie.... Wystaw sobie, że w kraju dotąd mrozów niema i boją się o zboża. W Nimes śnieg pruszył, w Marsylii lód po brzegach, a u nas, od kiedy żyję, ani we Włoszech ani tu, podobnej zimy nie widziałam. Piszę przy oknie na rozcież otwartem, słońce piecze, wietrzyk ani dmuchnie, muchy prosperują, noce cudowne i to nie przypadkiem ta piękna pogoda, ale trwa nieprzerwanie od powrotu naszego. Wierzysz, Bohusiu? Czemuś to straszne wyjście ze zwykłego porządku. I nikt z dziwu nie korzysta. Miasteczko zawsze puste. Jest tylko Emma, królowa wysp Sandwich, mało ma dworzan, ubiera się po europejsku i niczem nie uderza.

Bohusiu, zmiłuj się nad naszemi oczami. Pisz łopatką i daleko rzadszemi liniami. Ojciec Aleksander[1]) ani słowa z ostatniej kartki, pomimo okularów, wyczytać nie mógł. Próbowali inni młodsi, nie udało się, dopiero moje mikroskopy dały radę twemu maczkowi. Z wielu względów rzecz niedobra, kiedy ten, do którego się pisze sam wyczytać nie może.

Do zobaczenia, kochany, Bóg z wami wszystkimi.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

26 grudnia 1865.

Już twój Bartoszewicz w drodze, wkrótce do ciebie zawita. A co, Bohusiu? Spodziewam się, że Nisia słowna. Tak ona sobie dobre mniemanie i względy wysługuje na przy-

---

[1]) Jełowicki, przełożony Missyi polskiej w Paryżu.

szłość. Wielką ma Bartoszewicz naukę wiadomostek dziejowych, ale niechże się nie miesza do sądów o poezyach i powieściach i o wszystkiem, gdzie piękność głównym jest żywiołem. Rozprawia biedak jak głuchy o śpiewie. Gdzie nie wrzaskliwie, utrzymuje poważnie że niema nic. I tak Malczewski, Fredro ciepła woda, za to bigos hultajski pełen jest wysokiej wartości i poglądu. Piszże tu czy śpiewaj dla takich mędrców. Mniejsząby o nich, ale krzywią wyobrażenie ogółu.

Do zobaczenia, drogi mój, łaska Boża z wami.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

19 marca 1866.

Jakże się już dawno nie odezwałam do ciebie, mój Bohusiu drogi. Przepraszam, że ze mnie takie do niczego. Muszę czasem zawiązywać oczy chustką, tak w dniu złe, najmniejszego światła znieść nie mogę, chociaż oczy mam zdrowe. Skoro bole trochę ustały, zaraz, jak pszczoła do miodu, z całym zapasem barw uzbieranych patrzeniem w przeszłość, czasu długiej, poniewolnej nieczynności, przybrzęczałam do twoich piosnek. Cudne, Bohusiu, i te którem już znała wrażenie sprawiają wśród innych, jakby niesłyszane. Mowa twoja czysta, świetna i dźwięczna jak biały marmur pod dłutem.

W „Polańskich Mogiłach" podniosły się z grobów cienie praojców. Ujrzy je sieroce pokolenie, które wzrosło biedne, niewiedząc o swoich, pozna i zadrży radośnie. Ach! Bohdanie, słodki mój piewco, nie zamilknij, dopóki tchu śpiewaj Panu. Zapomnij o bolu dzisiejszym, wpatrz się w przeszłość. Teraźniejszość z drogi swej zbita, jałową pozostać musi. Z przeszłości tylko narodzić się mogą dziedzice wielkich narodowych przeznaczeń. Niech więc wstaną z niepamięci Włodzimierz i św. Michał i Rościsławicze i Otelkowicze i Ana-

stazya Słucka, przesławna rycerka, która nie chciała korony ukochanego Kijowa, kosztem oderwania go od Polski. Niech prześliczne twoje „Oratoryum“ będzie westchnieniem ku Panu przed zaczęciem cudu.

Wzbudź przeszłość, z którejby się, Panu na chwałę, urodzili Polscy syny. Niekoniecznie długiego poematu trzeba. W jakikolwiek kształt zestroi się natchnienie, będzie dobrze, byleby w pieśni nieprosta była wzmianka o bohaterze, jakby wszyscy o nim wiedzieli. Nikt o nikim nie wie, ale opowiedzenie wyraźne jak naprzykład o Czarneckim i Zgłobickim w „Szturmie do Stawiszcz“. Ta duma twoja przetrwa wieki. Jestto arcydzieło, jakiego w żadnym języku nie znam, co do siły, rzutu, wzniosłości, a zarazem jasnego przedstawienia przedmiotu. Zdaje się, że się nań patrzy. Koło niej zaraz, we właściwej a tak różnej swej barwie, stoją Polańskie Mogiły. Gdybyś nam podobnych jeszcze wyśpiewał kilka, miałaby Ukraina, czego żaden lud zachodni nie posiada, przeszłość swoją w nieprzebrzmiałem słowie na ziarno przyszłości. Ja ci będę wygrzebywać dawno zapomniane imiona i dzieje, może na które zadźwięczą struny gęśli.

Bohuś sobie myśli: co to za niewdzięcznica. Ja jej daję cały snopek wonny a ona mówi: jeszcze. Tak jest, Bohdanie, jeszcze i jeszcze, dopóki serce kocha, dopóki myśl widzi, dopóki dusza wierzy i Panu swemu chce chwały. Drogi mój, mówiłam za Polskę, a teraz za siebie. Patrzę na podpis twej ręki na książeczce i łzawo mi. O Boże mój! Jakże cuda twoje wielkie! Nie, nie tobie, wolę powiedzieć Chrystusowi Panu. On za mnie tobie odpłaci. Mój Bohusiu, że też tobie doprawdy moja praca miła. Ty nie wiesz co to dla mnie za pobudka i nagroda. Jak zaklęta siedzę w murku od południa do nocy i wielkie poświęcenie czynię dla powinności. Nie opowiadam po polsku dziejów Lechii, a dowodzę po francusku rodowodów wypadkami dziejowemi i suchemi liczbami, liczę krew, strumień po

strumieniu, jak się nad Dnieprem lała i zastygała w jeziora i morza.

Nie umarłabym spokojnie, gdybym nie zostawiła braciom w Chrystusie swoim i obcym wiedzy, którą mi Bóg dał. Część tę lub ową obrobić znajdzie się niejeden. Podanie ciągu stosunków naszych z północą i wschodem wymaga pracy nudnej, żmudnej, której się mało kto podjąć zechce, a jednak koniecznej, bo nie obejmując całości, nikt prawdy w cząstkach nie dojdzie. Pracuję, Bohusiu, na chleb, a tęsknię do kwiecia i wypatruję chwili, w której wrócę do następców Leszka Czarnego, który już umarł, jak ci to podobno kiedyś donosiłam. Nie bez wpływu jednak będzie i teraźniejsza praca na tamtą milszą, bo jest wtajemniczeniem się coraz głębszem w przeszłość, której dziś z młodych nikt, nikt nie rozumie, bo jej nie kocha, a nie kocha, bo nie zna, a nie zna, bo nie zna kościoła. Módlmy się. *Emitte spiritum tuum.*

Udały się obrazki na książeczce. Szkoda, że nie powiedziano w przypisku o jakim Świętosławie wzmianka. Gotowi myśleć, że o tym, który się uparł w pogaństwie zostać. Bo ani wiedzą o istnieniu tego, który w Kijowie od Moskali wyzwolonym, w dwunastym wieku zapanował.

Do zobaczenia, drogi mój, Duch św. z nami wszystkimi.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

1866.

Bohusiu mój, zachód słońca w Wielki Czwartek. Rocznica niepojętej łaski Pana, który ukochał aż do końca. Niechże tej godziny świętej pocałowanie będzie między kochanymi na ziemi i w niebie. Boże mój, Boże, a któż nie kochany? Kogożby się w objęcie nie zaprosiło Chrystusowe? Przyjdzie wam ta kartka na samo Chrystos Woskres. Wo-

skres, Bohdanie, woskres! W górę serca, otrzyjmy łzy! Jest ojczyzna, której wróg nie zmoże, która się płomieniem w ostatni dzień jak liść suchy nie zwinie, w której dobrego ziarnka z ziemi ani jednego nie zabraknie.

Chwała Panu na wysokościach.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

10 maja 1866.

Dziś wielki dzień, Bohusiu, dzień tryumfu człowieczeństwa w Bogu. Dziś pierwszy raz Chrystus, Bóg-człowiek, wstąpił do nieba i pokłoniły mu się jako Bogu wszystkie chóry anielskie. Dziś Pan na wysokościach dopiął celu tworzenia, uwielbił proch z nicości uczynionej i do Bóstwa z miłości przyciśnionej, i rozgrzmiały w radość wiekuistą niezliczone tłumy wyzwoleńców. Niż dzień ten oglądać, wolała pycha Lucyfera bunt i piekło. Ale Chrystusowi jeszcze czegoś trzeba. Jeszcze się wstawia i ręce poranione do Ojca wyciąga. Wyzwoleńców liczba niedopełniona. Jeszcze są ludzie dobrej woli, wierzący, posłuszni i miłujący, którzy płaczą. I wygląda Pan dnia drugiego, ostatecznego. Przyjdź, Panie Jezu!

Do zobaczenia, ukochanie tobie i twoim od nas wszystkich.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Vichy, 1866.

Zastałam tu stolik urządzony w tym samym pokoiku na dole jakbym odjechała wczoraj. Zaraz nazajutrz zasiadłam. Myślisz, że chronologia musi się mieć ku końcowi. Gdzie tam.

Teraz właśnie najbardziej powoli idzie, bo przyszłam do Kozaczyzny. Dotąd oprócz wojen za Zygmunta III. i Jana Kazimierza, wszystko co się jej tyczyło, zbywano ogólnikami. Usługi kozackie, bunty kozackie, wyprawy kozackie, krzywdy kozackie i każdy roił sobie o nich co chciał. Staram się aby spis był dokładny wszystkich wypadków, zrachowanie i usług i buntów. Dopiero do sprawiedliwego ocenienia sprawy przyjść będzie można. Choćbym rok jeszcze miała nad tem ślęczyć, muszę na czysto tę rzecz wyprowadzić. Aż do Chmielnickiego, znaczna jest różnica między Ukraińskimi Kozakami a Zaporożcami. Mniej win ciąży na pierwszych, bitniejsi, wierniejsi; Zaporożce, od czasu Atamaństwa Dymitra Wiśniowieckiego, istna zgraja łotrów. Ostatnia ich sławna sprawka rzeź Humańska.

Mój Bohusiu, co też to Włochy sobie marzą o Tryeście i Dalmacyi? A wszak to Forum Julii, odwieczna siedziba słowiańska. Po dziś dzień lud tam słowiański i po słowiańsku mówi. A Dalmacya część przecie Horwacyi. Ileż się Wenecyanie, a jak tam mawiano Mletczanie, nie kusili o podbicie tych krain! Ileż się Horwaccy królowie przeciw nim nie bronili! Otóż po tylu stuleciach znowu te same roszczenia i rozpoczną się boje jak w XI. i XII. wieku. Że też nikt z naszych nie wykaże w artykule dziennika jakiego, że to słowiańskie ziemie. Czemu to człowiek niema dwóch głów i czterech rąk? Zmiłuj się, Bohusiu. Niech kto zaprotestuje o Tryest i Dalmacyę. Tylko mieszczanie w Tryeście mówią po włosku, zresztą na całej półwyspie nikt. Jeśli Dalmaty szczerze przeciw Włochom zbroją, to dowód, że podań narodowych nie zapomnieli.

Dobranoc, Bohusiu, bo już późno, dlatego tak niegodziwie bazgrzę. Łaska Boża z wami.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Vichy, 2 lipca 1866.

Drogi, kochany, czy ty myślisz, że ja ich nienawidzę? Każdemu radabym i ziemię umilić i niebo przychylić. Kiedy jawnie źle mówią i czynią ze zgorszeniem i pociągnieniem do zatracenia wielu braci, kamienuję co siła dążności ich grzeszne, bo tego wymaga koniecznie powinność chrześcijanina ale wymawiam ich jak mogę przed Bogiem i ludźmi słowami Chrystusa: Odpuść im Panie, bo nie wiedzą co czynią. Odpuść ich osobom, ale nie dopuść aby w złych zamiarach zwyciężyli i daj nam odwagę i stałość jaka żołnierzom twoim przystoi na opieranie się im do śmierci. Cieszyłam się z listu Wł. Czartoryskiego, właśnie dlatego, że miał na sumieniu mowę londyńską i inne rzeczy. Niech dziś M.... co prawdziwie poczciwego powie czy uczyni, ucieszę się i poklasnę. Im głębiej kto zabrnął, tem większa radość kiedy choć o krok, jeden wraca.

Serdeczny mój, poznałam się z biskupem Galvestonu w Texas. Ma w dyecezyi swojej 10.000 Polaków ze Szląska i okolic Krakowa. Niezmiernie ich kocha, chwali i cieszy się nadzieją, że mu z młodej emigracyi nowi osadnicy przybędą. Powiada, że pracownicy koło roli jakich nie masz, i że im wcale nie źle się powodzi, że z tych, którzy z rękami tylko, at temu 15 albo 20 przybyli, ani jeden gospodarz nie sprzedałby osady za mniej jak 20.000 fr. przepędziwszy ten czas w obfitości rzeczy koniecznych, bo życie niezmiernie tanie. Na gwałt proszą o nabożne książki po polsku, i biedactwo to złożyło się na 400 fr. aby im ich biskup przywiózł. Mają kościółki pod wezwaniem Panny Maryi krakowskiej i innych naszych. Oddawna wiem o nich wiele szczegółów przez ks. Leopolda Moczygębę, który im długo służył. Wielka pociecha, iż tej garstce naszej Bóg zawsze błogosławić raczy. U nas przyszło do tego, że krzyże palą po drogach, nietylko kato-

lickie ale wszystkie. Nihiliści, którym oddani jesteśmy, niechcą widać oznak chrześcijanizmu zewnętrznych. Cerkwie to co innego. Potrzebne są i konieczne tymczasem przynajmniej na zburzenie katolicyzmu, a jak ten runie w całym kraju, obaczymy. Ale prawda są jeszcze inne ludy, które przyciągać trzeba. Postoją więc jeszcze cerkwie długo.

Pisze mi Kostusia: „Niedawno byłam u mojej sąsiadki. Rozszedł się gęsty dym. Co takiego? pytają. Nic, to krzyż wsi i traktu palą. Dwie godziny potem, błysły ogniska na wszystkie strony, dziewczęta święto Kupały obchodziły skacząc i śpiewając przy odblasku tlejącego jeszcze pierwszego ogniska. Dwa dni potem, nie miałam już gdzie oczu zwrócić, modląc u siebie na ławce dziedzińca. Gromada moja zabrała swój krzyż, bo go spalić nie chciała i zawiezła jakby umarłego, to ich wyrażenie, na cmentarz". Mój Bohdanie, alboż to nie obraz tego, co się na całej kuli ziemskiej dzieje? A święte dusze zbierają się w grona, klasztory gdzie tylko można powstają, zwłaszcza najostrzejsze. Między mi znajomemi, jeden tu w Vichy kapucynek, w Poznaniu karmelitek bosych. Już matka Wielhorska, która przed kilku laty wstąpiła była do klasztoru karmelitek we Francyi, za pozwoleniem Ojca św. przybyła do Rzymu i tam zamknięta czeka, aż będzie mogła rozpocząć dzieło. Młodzież głównie grzeszy w tym czasie. Między młodymi, Bóg obiera tych, którzy sprawiedliwość Jego przebłagać mają. Szczęśliwy kto się do wielkiego tego dzieła przyłożyć może. A prawdę mówiąc, kogoż Bóg tak wydziedziczył, aby w pewnej mierze nie mógł? Chyba się kto wydziedzicza sam. Kiedy Bóg zapowiada karę, nawet w Piśmie św. przez Proroków, zawsze to warunkowo, jeśli pokutować nie będą. Stąd radość i dziękczynienie Bogu, kiedy się zjawiają pokutnicy i pokutnice, którzy nie za siebie tylko zadość Bogu czynią i kiedy sercem, cierpliwością i modlitwą jednoczą się z niemi świeccy, kiedy się ich przynajmniej nie wyrzekają, i nie odrzucają dobrodziejstwa, głosząc przed Bogiem i ludźmi, iż

uczestnictwa z niemi niechcą. Oni słupami, na których łamiące się utwierdzenie nad głowami naszemi, oprze się padając i nie zginie wielu z tych, którzy zginąć mieli. Istnieją pokutnicy, mnoży ich Pan, to i sam antychrysta wiecznego tu panowania złego nie założy i miłosierdzie zwycięży.

A jakże Zygmunt i inni w jego położeniu puszczać się mają na pole polityki, kiedy wszystko co posiadają jest w kraju? Chyba wyjść z niego na zawsze, oddając całą ziemię Moskwie. Zresztą politykowanie dziś, jak doskonale mówisz, to szamotanie się w próżni. Jedna jest tylko dla nas praca, konieczna a niewymownie trudna: Zachowanie w krwi i znoju wiary, języka, dziejów, słowem narodowości. Aby je utrzymać, nie nadto będzie poświęcenie wszystkich i każdego.

Do zobaczenia, kochany. Pozdrowienie serdeczne wszystkim twoim.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Vichy, 5 lipca 1866.

Bohusiu, Bohusieczku,.... w duszy przerażenie. Nienadeszła jeszcze chwila odpuszczenia światu. Urzeczywistnia się powoli, co zdaje mi się widzieć od tak dawna. Barbarya rewolucyi podająca dłoń barbaryi moskiewskiej, która oto w Niemczech zapanuje przez Prusy. Kościół wracający do katakumb na długo, a my z nim. Myśleliśmy, iż skończy się na groźbie Pańskiej, znać potrzebna kara. Fiat. Walki i próby kościoła i wszystkich jego wiernych przez samego Chrystusa Pana przepowiedziane przyjść muszą. Nie będzie ostatecznego sądu, dopóki nie przeminą. Błogosławiony kto wytrwa.

Jak się ma Zosia? Czy do Fontainebleau już wyjechała? My się tu jeszcze nie rozgościli, nawet w kościele dotąd nie

byłam. Darcio chodził na zwiady do Parku[1]), ale dotąd nikogo z naszych nie odkrył.

Nie mogę dziś czemuś pisać. Zrana wieść o bitwie pod Sadową. Co tam naszych zginąć musiało. Wieczór z kapucynką nagadałam się. Pójdę się pomodlić.

Miłosierdzie Boże z wami tam wszystkimi.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

29 lipca 1866.

Wielką mam pociechę, drogi mój, z kartek twoich, które mi czasem mamcia przysyła. Wiem z nich, że Zosi, Bogu dzięki, polepszyło się trochę; *ex publicis,* że krzyczą na W. Czartoryskiego za list. Niech Bóg będzie pochwalony, iż mu dał łaskę ogłoszenia go. Nic u nas rzadszego jak wyznanie jawne przekonania bez oglądania się na siebie. Gdyby nie to tchórzostwo moralne, nie byłby kraj w stanie w jakim dziś jest. Każdy się troszczy nie o to, aby głosem swoim przyłożył się do dobrego kierunku narodu, tylko aby krzyku nie wzniecił i nie stanął, bo to nieprzyjemnie na drodze bezbożnikom, którzy Polskę świadomo i umyślnie zabijają. Ci, którzy wbrew Bogu idą, którzy imienia Polski tylko jako przynęty używają, a cieszą się z wytępienia wszystkiego co polskie, bo pragną mieć w ręku jeno ziemię i lud ciemny na utworzenie potworu w ich wyobraźni wylęgłego, ci się w objawach myśli swych nie jąkają. Ta niby miłość pokoju, a rzeczywiście samolubstwo to na chrześcijany tylko pokusa, bo radby szatan aby się z pola działania usunęli. Prawdą jest niezbitą, iż w teraźniejszem położeniu naszem, trzeba nam całą siłą utrzymywać Austryę, bo w Galicyi jedynie nie do-

---

[1]) Park czyli spacerowe miejsce.

bijają Polski. Chociażby nawet zmieniono dzisiejszy systemat i wrócono ją do położenia w jakiem dawniej zostawała, byłby to jeszcze w porównaniu stanu Litwy i Rusi, stan dobroczynny, w którym przyszłość pielęgnowaniem narodowości przygotowywać można. Skoro tak jest, obowiązkiem jest każdego Polaka dopomagać do uratowania tej ostatniej cząstki, wszelkiemi godziwemi sposobami, między któremi jest głos śmiały. Podły kto się ulęknie wrzasków tej szalonej gawiedzi, której wstrętne co tylko poczciwe i która się cieszy z powodzenia ostatniego ruchu, ponieważ spowodował zniszczenie wiary i szlachty, jakby kosztem odstępstwa mogło być co pożądanego dla uczciwego człowieka i jakby trzy miliony szlachty, nie było to trzy miliony Polaków. Albo jeszcze wrzasków tej ciżby nijakiej, co to niby dobra, a zawsze złemu wtóruje i ma coś dobremu przyganiać. A oplwa ona i ukamienuje? To dzięki Bogu. Będzie piękna karta trudnego męczeństwa w dziejach, przykład dobrym a niedołężnym, i nadewszystko zasługa przed Bogiem, która się narodowi całemu na wykupienie policzy i zbliży godzinę zmiłowania. Zresztą są inni jeszcze ludzie na świecie niż ci, którzy krzyczą, a u tych wierz mi, nietylko W. Czartoryski, ale cała polska sprawa, stanowiskiem jakie dziennikarstwo i odważniejsze jednostki zajęły i oświadczeniem się Galicyi, ogromnie zyskała. Uwierzyli niektórzy przynajmniej, iż nie na to tylko odbić Polskę chcemy, aby z niej uczynić Mazynistowską Rzeczpospolitę bez kościoła i bez Boga. Rozwodzę się nad tem, bo ile razy słyszę głos sumienny między nami, drży mi serce na ten rzadki objaw łaski Bożej. Czytaj dzieje. Nic prawdziwie dobrego nie stało się nigdzie, zwłaszcza u nas, tylko przez garstkę, która uprzejmość ludzką poświęciła przekonaniu. Każde prawie dobro kiedy z życia prywatnego wynurza się w publiczne, przechodzi przez piekielny zamęt. Inaczej być nie może. To prawo walki dobrego ze złem. Dlatego tak mało osób rozumie dzieje Polski. Liczą wiry, namiętności i mówią: nie-

zgoda w Polsce panowała od początku i wszystko było złe. Nieprawda. Nie patrz jak huczało i kipiało i krzyczało i bluźniło, patrz na ostateczny wynik. Czy garstwa poczciwych kamienowanych przemogła i krok uczynił naród na drodze prawej? Czy przemogły namiętności wielu i naród krok uczynił na drodze złej? Nie, iżby zawsze większość narodu była za złą stroną, och nie, ale zwykle jest za nią większość ruchawców. Owe kroki narodu są prawdziwą treścią dziejów, bo o losie jego bezpośrednio stanowią wiry i szumy wpływają tylko pośrednio. Naprzykład krokiem narodu jest dziś oświadczenie się za państwem katolickiem i które go najmniej dobija. Jest on koniecznym na okazanie, iż z przeszłością naszą nie zrywamy, to jest, że nie jesteśmy świeżo posadzoną rózgą, z której nikt jeszcze nie wie co będzie na miejscu, gdzie zupełnie pogrzebiona leży dawna Polska, ale pniem silnym ze starego korzenia. Koniecznym jest on na samouznanie w sobie i zajęcie dawnego stanowiska naszego między narodami. Koniecznym dla życia duchowego narodu, chociażby materyalnej korzyści nie przyniósł żadnej i chociażby Austrya najczarniej się odpłaciła. Wszak czynim dla Austryi nie z miłości przedmiotowej Austryi, tylko z miłości Boga i narodu własnego. Byle się więc stał ów krok potrzebny, co znaczą krzyki choćby najliczniejszego tłumu? Rzecz zgodna z sumieniem i pożyteczna zostanie dobrem całego narodu, chociażby łaskę przeprowadzenia jej dał Bóg tylko dziesięciu potwarzanym i kamienowanym przez tych, którzy prawdziwą Polskę w zgubę radzi pogrążają, byleby z nią razem i wiara katolicka zginęła. Boże, Boże, daj nam ludzi z odwagą i z poświęceniem istotnem. Boże daj nam wyznawców prawdy twojej całej, czynnych, spokojnych, i nieustraszonych, którzyby się duchowej budowy społeczeństwa naszego na chrześcijańskich i narodowych zasadach opartej nie wstydzili i nie wyrzekali i przez małoduszność światła, które im Bóg dał w sercach, przed braćmi nie kryli.

Wołają mnie, Bohusiu, do zobaczenia. Przepraszam żem się rozgadała.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Vichy, 26 sierpnia 1866.

Tęskno mi już było za kartką od ciebie, mój druhu wierny. Ach! nie płacz, nie płacz. I mnie długo tak było, jakby się niebieskie sklepienie nad głową łamało, jakbym naród mój przeżyła i wszystko znikło wkoło mnie. Wielkiem wysileniem tłumiąc myśli, bo byłyby złe i jęk bolu, leżałam już tylko przed Panem mówiąc milczeniem: Jeśli to dla chwały sprawiedliwości twojej nad nami grzesznemi potrzebne, stań się wolo święta. Otóż, Bohusiu, od dwóch dni rozjaśniło mi się w duszy. Przejdziem przez gorsze jeszcze czasy ale nie rozpaczajmy. Kościół i my z nim wyjdziem z pod ziemi. Śpiewajmy Panu tymczasem pokutnicy w katuszach, śpiewajmy Panu, od którego dobre i złe, a który zbawia.

Drogi mój, czemuś po szczegółowie nie doniósł kto ciebie w Galicyi na rozjemcę zaprasza? Nie wydawcy Słowa, ja myślę, którzy głoszą, iż Rusini powinniby nakoniec odrzucić imię Rusi, które ich od wielkiej rosyjskiej ojczyzny oddziela, a przybrać imię Rosyan. Jest tam stronnictwo, które nic nie przejedna, choćbyśmy się z miłości i ukrzyżować dali, bo przekupione wstęgami i pieniędzmi, a które szkalować i wszelkiemi kłamstwami szkodzić zawsze będzie, boć przecie na chleb zapracować musi i na łaskę. Daj Boże przyciągnąć na naszą stronę, to jest na stronę prawdy, ludzi poczciwych, których uwiedli, ale i to trudno, bo uwiedzeni są najzjadliwszym jadem, goryczą. Są ludzie, którym się zawsze zdaje, że ich wszyscy krzywdzą i wszystko sobie na złe tłómaczą, i w nieskończonem rozrzewnieniu nad sobą i żalu do wszystkich żyją. W politycznym

względzie Moskwa to samo szaleństwo od wieków na Rusi szczepi. Najtrudniejsze ono jest do wyleczenia, bo trzebaby wyrzec się tej jakiejś ciągłej rzewnej litości nad sobą samym, która niezmiernie miłości własnej wygadza, bo zwalnia ze wszelkich obowiązków braterstwa i od wdzięczności za dobrodziejstwa. Jeśli są katolicy (jakiegobądź obrządku), jeśli wierzą, że w kościele katolickim jedynie jest zbawienie, czemuż w zapomnienie puszczają, iż to dobrodziejstwo Polsce winni? Choćby praojców ich przymuszono (co wierutne kłamstwo) niemniej oni z łaski Polski, nie z łaski Moskwy prawdy światło piastują. Bohdanie, Bohdanie, wiara u nich słaba, dlatego tyle trudności. A gorycz jest dziwnie zaraźliwą. Nasi, którzy się do nich zbliżali, zwykle nie z nami, pokój im przynieśli, ale sami w ich niepokój i obłęd wpadli. Czy oni zapraszają cię do Lwowa? Od dobrego uczynku pewnie odwodzić cię nie będę, ale przyznam ci się, że niedość ufam Austryi, abym cię rada widziała puszczającego się tam. Napisz, kochany, o tem obszernie.

Na Ukrainie cholera bardzo mocna, chociaż nie wszędzie.

. . . .

Aby naszą Polskę zrozumieć, trzeba katolikiem być gorącym, na Ruś ciągle patrzeć, łaciną władać i do rytmu umysł mieć włożony. Czemu? Za długo by tłómaczyć.

Ktoś nam przysłał pierwszy numer Niepodległości. Prawi o duchu chrześcijańskim, a katolicy, zwyczajem rewolucyonistów, nazwani partyą klerykalno-reakcyjną, w znaczeniu reakcyi przeciw, jak im się zdaje, dobremu. Z przyciskiem zapewnia o postępowo-demokratycznych zasadach swoich, nie mówiąc wcale w czem się one różnią od niezgadzających się z wiarą naszą, które pod temże nazwaniem wolne mularstwo rozsiewa. Nastaje, jak może, na szlachtę, czem pobudzając nienawiści i przygotowując do wojny domowej, zdradza pochodzenie wyobrażeń z socyalizmu, to jest pogaństwa. Co nam po samozwańcach chrześcijanach? I Moskwa chrześcijańską

prawowierną się być mieni. Ten jest tylko chrześcijaninem prawdziwym, którego wyobrażenia rodem są z kościoła Chrystusowego na skale Piotrowej opartego, a zatem przez Stolicę Apostolską uznane. Łudzą się sami. Bóg z nimi.

Do zobaczenia, drogi mój. Nie upadaj. Żyje miłosierny Bóg.

Nisia.

Do pani Zofii Zaleskiej.

1866.

Zosiu moja droga, tylko dziękować a dziękować dobremu Bogu, który wam straszny niepokój w radość obrócił. Odetchnęliśmy i my z wami. W przypuszczeniach rozmaitych, nie to mi na myśl przychodziło co tobie, droga Zosiu. Bałam się czy fałszywym patryotyzmem nie zbałamucili biedne dziecko i kazali mu ze zgubą duszy lać krew za złą sprawę, bo łowią naszą młodzież jak mogą i poszlą ją potem, dawszy jakby na uwiecznienie wstydu imię polskiej legii albo na Rzym, albo na Austryę, a nas Bóg dziś tak dziwnie postawił, że w ocaleniu Austryi jedyna nadzieja ocalenia do lepszych czasów ostatniej okruchy naszej, Galicyi. Jeśli przeznaczono ażeby i ta Moskwie na pastwę się dostała, niechże nas przynajmniej potomność nie przeklina, żeśmy przez bezbożność i głupstwo na własną zgubę pracowali. Strach co się tam w tych Włoszech dzieje. Idą w zawody przeciw wszystkiemu co chrześcijańskie, partya Garybaldiego dziś panująca prawie z Moskwą.

Przyciskam cię do serca ciesząc się z tobą.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères, 28 października 1866.

Czemu ty sobie, Bohusiu, wyobrażasz, że my tu bez żadnego polskiego dziennika żyjem. Teraz mamy Poznański, dawniej prócz niego bywał i „Czas". Nie ja trzymam, ale korzysta z nich cała osada. Bardzo pragnę „Sioła" i nowego „Przeglądu krakowskiego".

Cicho u nas, ciepło, jasno do nieopisania. Przyjęłabym chętnie chmury na całą zimę dla siebie, gdybym mogła nad twoją Zosią to błękitne niebo roztoczyć. Posyłam jej obrazek Darcia, a mego nie, bo niebardzo dobry, mnożyć go nie warto. Za miesiąc może będzie lepszy, to go pod sąd wasz poddam.

Pieszczotka wam obojgu, najdrożsi.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères, 24 grudnia 1866.

Bohusiu mój drogi, wiecie już tam zapewne co doktor Herard o Darciu moim mówi. Nam powiedział, że ze strony serca żadnego niebezpieczeństwa niema, ale uleczenia choroby zdawał się ani przewidywać. Kazał mieć cierpliwość, próbować różne zewnętrzne środki na chwilowe uśmierzenie bolu itd. itd.

. . . .

Ciężki to krzyż, mój Bohdanie. Nowy okres życia otwiera się dla niego i dla mnie. Obyśmy go bez obrazy Bożej przebyli. O pracy ani myśleć, bo on potrzebuje co chwilowej usługi i towarzystwa, kiedy ból cokolwiek ustaje. W samotności ogarniają go smutki, staramy się więc aby dom nie przybierał żałobnej postaci. Odwiedzają go znajomi, gaw

wszystko to w dzień. Od 8-ej wieczór zaczynają wzmagać się bole, wszyscy wychodzą i on biedak męczy się dopóki na jakiej kanapie czy łóżku nie zdrzymnie trochę. W nocy podnosić i obracać go trzeba. Czasem od 10-ej do 11-ej jest chwila snu, wtedy cichutko do stolika siadam niby to na pracę, rozumiesz jak to iść może, idzie jednak, bo i przeszłość boli. Kojarzą się wszystkie bole w duszy. Czasem kilka kartek w dzień urywkami przeczytam. Dziękuję, duszko, za „Przegląd“.

Dowiedziałam się z „Przeglądu“, że oddawna wyszedł trzeci tom „Szkiców“ Szajnochy, w którym coś ma być o Ossolińskim czy o Januszu Radziwille. Wypisz mi go zaraz, Bohusiu, proszę.

Drogi mój, dziś Wilia, czternaścioro nas zasiadło cisnąc się wkoło stołu do wieczerzy. Między nami, dwóch młodzieńców zrana przybyłych z Liège na święta, nie do nas wprawdzie, ale bez rodzin, więc nasi. Posyłamy wam opłatka. Chleb krzyżem naznaczony na pamiątkę śmierci a rękojmię zmartwychwstania.

Wszelka pociecha Boża z wami, kochani, drodzy, moi własni.

Nisia.

Do pani Zofii Żaleskiej.

Hyères, 31 grudnia 1866.

Blisko dwunasta. Uciszył się trochę mój biedny chory, a ja do was zabiegam sercem aby z wami rok nowy zacząć. Niech on wam wszystkie błogosławieństwa Boże przyniesie. U mego biednego Darcia doktor Allegre mówi, że idzie ku lepszemu.

Cierpi jednak wiele i sprawdzi się zapewne proroctwo doktora Herarda, że cierpieć będzie długo. Od kilku dni zupełnie w łóżku leży bo zmożony chorobą.

Za każde słówko dziękuję, Zosiu droga. Niech wam braterskie współczucie Bóg wszelką łaską odpłaci. Wszystkie dzieci pokochajcie od nas.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

20 stycznia 1867.

Napadła mnie brzydka jakaś niemoc, Bohusiu mój drogi, i od piątku nieruchomą w łóżku trzyma. Prawdziwy krzyż, kiedy mój Daryusz tak cierpi. Dziś pierwszy raz głowę z poduszki podniosłam i naprawdę oczy otworzyłam.... Pytasz czy ręka próżnuje teraz. Och! Bohusiu, dopóki mój biedak jęczy, niema sposobu o czem innem myśleć. Czasem, jak jest chwilka spokojniejsza, przeczytam co. Każ mi, duszko, znaleść gdzie Zygmunta III Niemcewicza, bo trzymać egzemplarza z biblioteki bezkoniecznie nie można, a Bóg jeden wie kiedy się do roboty wróci.

Bóg z wami, najdrożsi.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

28 stycznia 1867.

Drogi mój Bohdanie! Darcio, Bogu dzięki, mniej trochę cierpi, chociaż go zawsze w łóżku podnosić i obracać muszą.. I ja się po trochu dźwigać i siedzieć znów przy moim biedaku zaczynam. Kiedy się już żadnym sposobem utrzymać nie mogę, idę plecy oprzeć na fotelu w moim pokoju i wtedy przerzucam co mi przysyłasz. Przykre na mnie zrobiła wrażenie komedya Szujskiego „Jerzy Ossoliński". Posyłam ci karteczkę o niej. Jeśli myślisz, że można, daj ją do jakiego

dzienniczka w Poznaniu czy Lwowie, byleby nie moją ani twoją ręką przepisana była, bo cię jeszcze gotowi posądzić o tę ramotę. Tak niemają literackiego zmysłu, że wszystko do nich podobne.

Łaska Boża z wami, najmilszy mój.

Nisia.

Wyszła w „Przeglądzie polskim" komedya historyczna Józefa Szujskiego pod tytułem: Jerzy Ossoliński. Zostawując innym osądzenie jej jako dzieło sztuki, wynurzę żal mój z pogwałcenia prawdy dziejowej w rzeczy na pozór małej wagi, w istocie ogromnej. Jan Karol Chodkiewicz jest jedną z najszczytniejszych postaci polskich, a tem samem najśpiewniejszych. Starzec gorącego dla Boga i kraju serca, na poświęcenie w każdej chwili gotowy i nierozkazujący nigdy czegoby sam nie wykonał pierwszy, w nałamaniu do karności widział całą dolę ojczyzny i hetmanił groźnie wskutek przekonania bardziej jeszcze, niżeli z przyrodzonego usposobienia. Niegodzi się bohatera, który właśnie panowaniem nad sobą ojczyznie się nieraz zasłużył, przerabiać na jakiegoś gorączkę, któremu rzeczy tak ważnej, jak dokonywającego się prawie buntu w obozie odkryć niepodobna i którego bajką oszukiwać trzeba, aby się rzecz z dobrem kraju skończyła. Że z młodzików ówczesnych niejeden tak myślał, to bardzo być może, ale obowiązkiem pisarza było tak uwydatnić postać hetmana iżby na sąd młodzików, czytelnik się tylko uśmiechnął. Zacny i znakomity Jerzy Ossoliński nie dorósł nigdy Chodkiewicza w wyrzeczeniu wytrwałem i nie chełpliwem. W postaci Chodkiewicza uderza naprzód szlachetność prosta i surowa. Zajście jego z Kazanowskim gwałtowne, a poziomością nie trąci. Obaj wodzowie na końcu przed rozwiniętem wojskiem, młodszy posłuszeństwa odmawia wręcz. Na tę bezprzykładną u żołnierza zbrodnię, zapala się jak iskra sprawiedliwy gniew starca,

uderza Kazanowskiego buzdyganem, który w ręku trzymał i ciska nim za uchodzącym, iż mu ledwie czaszki nie roztrzaskał. Kazanowski skarcony, lecz nie znieważony, a w przytomnych groza. Nic tu nie ma, czegoby w poemacie umieścić nie można.

Piękność rzeczywistości dziejowej przerabia się w komedyi Józefa Szujskiego na jakąś mongolską scenę. Tryzna patrzy przez okno:

„Ha! ha! ha! Obożnego goni na bachmacie
„Dopada...
„Ha! ha! ha! bije, bije. Dalipan jak wali".

Sam Chodkiewicz uderzenie i ciśnienie buzdyganem nazywa plagami.

„Za powrotem do domu gdy plagi za duże
„Najchętniej, królewiczu, obożnemu służę".

Dalej Jerzy Ossoliński mówi:

„Marcina tuż po zwadzie i plagach posadził
„W osobny obóz".

Jestto najzupełniejsze przeistoczenie rzeczy, a co gorsza spotwarzenie ducha narodowego. Powie kto może: skoro Chodkiewicz uderzył, jakkolwiek to nazwać, zawsze zostanie, że bił, a więc wymówka Józefowi Szujskiemu daremna. Jeśli daremna, czemu nie przyszło nikomu rumienić się z wydarzenia pod Wiazmą, kiedy się w dziejach czytało, a w komedyi budzi wstręt jak do kału na widownię wyniesionego! Duch rzeczy jest inny. Orzec go, długiejby rozprawy potrzeba, ale czuje go każdy kto w sobie pojęcia piękności nie skrzywił. Czuje go bezwątpienia i Józef Szujski, ześliznął się tylko nieobacznie na szlak utarty, bo nie pierwszy to raz niestety, tłómaczą się tym sposobem karty przeszłości. Powiedziałby kto, że zmysł

piękna odbiega nas, skoro przedmiot narodowy; muszą w nim zawsze grać rolę plagi, istnie jakby na Moskwie lub w Chinach; stało się to rodzajem maniery i od czegobyśmy w obcem piśmiennictwie z odrazą oczy odwrócili, we własnem przyjmujem z zadowoleniem jakoby cechę narodowości. Bywało tak dotąd w prozie. Oswoiły się umysły z brzydotą, i oto mamy komedyę wierszem, w której występują najczystsze imiona narodowe Chodkiewicza, Ossolińskiego, Sobieskiego, całą osnutą na plagach, jednych, które przed wojskiem dostaje Kazanowski, drugich, które przed dworem dostać mają Ossoliński i Sobieski. Plagi Kazanowskiego są wymysłem. Rękopismu, w którym o zamierzonych dla Ossolińskiego i Sobieskiego mowa, nie znam. Myślę jednak, iż choćby w nim co podobnego stało, nie toby wybierać wypadało na przedmiot utworu sztuki. Zaprawdę, w piśmiennictwie żadnego oświeconego narodu nicby podobnego znaleść nie można. Nie jest w tem wina dziejowej przeszłości naszej, ale oczu, które na nią patrzą, ducha, który jej nie pojmuje, sądzi ją wedle ostatniego wieku rozprzężenia i zepsucia i oddawna już nie szuka zrozumienia piękna i siły, któremi tysiąc lat istniała, a z tła jej przesadzając jedno, przemilczając drugie, wykrawa dziwotwory, przedstawiać mające to lub owo dzisiejsze wyobrażenie polityczne. Między praojcami naszymi wielu nieodpowiedziało posłannictwu swemu, lecz mężowie, którzy od czasu Bolesławów, wiernością kościołowi, niezmordowaną pracą i poświęceniem istnienie Rzeczypospolitej wobec trzy razy potężniejszych wrogów zabezpieczali i przewództwem swem właściwie dzieje nasze tworzyli, stanowią szereg tak wzniosłych postaci, iż wiele powszednich namiętnostek zbyć potrzeba i wysoko ducha nastroić, aby zrozumieć szczytność stanowiska na jakiem utrzymywali naród, i aby o nich pisać z uszanowaniem i miłością, jakie się zasłużonym Bogu i chrześcijaństwu praojcom należą.

Do Bohdana Zaleskiego.

5 lutego 1867.

Drogi mój, chciałabym co dobrego o moim biednym chorym wam donieść, a muszę zawsze jedno i to samo pisać. Ten sam stan co dawniej, tylko dla bardzo uważnego oka, w mniejszym stopniu. Cały u mnie dom cichy, pusty.

Ruch przeniósł się na górę do mamci, której miłosierdzie przygarnia coraz nowe najróżnorodniejsze biedy materyalne i duchowe. Ja nikogo nie widzę, bo nie wychodzę prawie od Darcia i że sama nic robić nie mogę, zasadziłam do roboty młodzika D...., którego widziałeś podobno w Vichy. Z niezmierną mozołą, wedle opisów Karamzyna, rysuje karty Rusi z r. 1055 i 1174, to jest za czasów Izasława i Światosława II. Obaczysz jakie będą ciekawe. Trzeba nam do tej pracy karty Polski przed rozbiorem i karty dzisiejszego cesarstwa rosyjskiego, nie na zbyt ogromnych, ale na którychby główne rzeki dokładnie były oznaczone. Jeśli nie nadto drogie, przyszlij mi po dwa egzemplarze każdej.

Dobranoc, Bohusiu mój, miłosierdzie Boże z wami.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères, 10 lutego 1867.

Bohusiu mój miły, o Darciu nic nowego. Dzień po dniu jednostajnie schodzi w oczekiwaniu zmiłowania Bożego. Leży biedactwo zawsze bezwładnie i milczące dla bolu, który mu gardło zajął i dla wielkiej niemocy. Kiedyś słyszy, że siedząc obok niego, coś z mamcią po cichu mówim. A on do nas z łóżka:

„Mowa nasza głuchnie wszędzie,
Mowa w sercach wykochana,
Jak anielskich rąk narzędzie,
Taka strojna i ograna,
Czyż do szeptów służyć będzie?“ [1]).

Drogi mój, spal artykulik a nie posyłaj go do „Sioła“. W dzienniku tego rodzaju nie miejsce na potrzebne nieraz, ale zawsze przykre wytknięcie chorobliwości ducha naszego. O ile przerzuciłam Rocznik [2]), zdaje mi się, że są w nim śliczne rzeczy. Pozdrów odemnie bardzo przyjacielsko Bronisława.

Wiesz, że poczciwy Niemiec, von Marwitz, Biskup Chełmna, nakazał w całej swej dyecezyi przez trzy miesiące publiczne nabożeństwo za kościół w Polsce, stosując się do poleceń Ojca św.

Do zobaczenia, drogi mój, miłosierdzie Boże z wami.

Dyzia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères, 5 marca 1867.

Bohusiu mój miły, wszystko poodbierałam i mapę i Przegląd i Szajnochę i obrazki powynajdywałam i mamci, który jej był przeznaczony oddałam i za to wszystko memu rodzonemu dziękuję. Niema sposobu, Bohusiu, nic ani czytać, ani robić. Tę oto kartkę już kilka dni zbieram się napisać i nie mogę chwilki złowić. Mój biedny chory niepuszcza mnie od siebie za nic. Skoro się z pokoju wysunę, zaraz posyła po mnie. Siedzę więc przy nim nieruchomie, bo od ostatniej mo-

---

[1]) Duch od Stepu. Pisma B. Z. t. II. str. 291.

[2]) Rocznik towarzystwa literacko-historycznego wychodził w Paryżu pod redakcyą Bronisława Zaleskiego.

jej niemocy, niemam pociechy służenia mu i śledzę postęp bardzo powolny ale widoczny ku lepszemu. Noce tylko bezsenne i bardzo zawsze ciężkie. Dwoje mi leży w domu, Daryusz i kapucynka, dziecko siedmnastoletnie, które nigdy świata niewidziało.

Bohdanie, nie smućmy się jako ci, którzy nadziei nie mają. Nie zaginie naród, za który Bóg takich pokutników daje, bo kiedy jeszcze ani jednego Polaka nigdy nie widziała, związana już była ślubem, przez całe życie ofiarą być Panu za Polskę. Modlitwy i komunie ma prawo ofiarować za kogo chce, ale cierpienia ciała i duszy ani najmniejszej cząsteczki nie może, bo jest żyjącem całopaleniem za naród. Modli zań bezustannie, a nic o nim nie wie, tylko, że wiara w nim gaśnie i że trzeba ofiary aby odżyła. Kiedy się jej pytać czy w Polsce będzie lepiej, to się śmieje i mówi: „Alboż to na darmo mi Pan tak cierpieć każe?" — „A kiedyż?" — „Nie wiem, nie zaraz, wiele dusz zaginie". — „To może wieku czekać trzeba?" — „Nie, wy widzieć możecie". Więcej nic nie wie. Upatruję dnia lżejszych cierpień, aby ją do jej klasztoru odesłać, ale nie pierwej, aż fotografię jej zrobić każę, bo mam już na to pozwolenie przełożonej. Nie mówcie o tem wszystkiem nikomu, ani najpobożniejszym, ani księżom, zgoła nikomu. Mam bardzo ważne powody proszenia was o to. Możecie tylko niektórym na pociechę i odżywienie nadziei powiedzieć, że jest na ziemi zakonnica mękę krzyżową cierpiąca za Polskę, ale gdzie, kto, uchowaj Boże.

Do zobaczenia, serdeczni. Niech was królowa wasza do macierzyńskiego serca swego przytuli.

Dyzcia.

Do Bohdana Zaleskiego.

19 kwietnia 1867.

Skrzyżowała się kartka moja z listem twoim do mamci, w którym jej o nieszczęściu Zosi donosisz, drogi mój Bohdanie. Nieśmiem do niej pisać. Powiesz jej kiedyś, że zespoleni z wami duchem krwawią nam serca kiedy jej serce krwawi, i twoje, mój biedny. Ach! bo patrzeć na łzy kochanych, to rzecz straszna. Niech ją pocieszy Ten, któremu wszystko żyje. Niech rozbrzmi w jej sercu alleluja zmartwychwstania Tego, który nas wskrzesi i na wieki połączy. Niech cud ten uczyni Ten, który wszechmocny i wszechmiłosierny.

Wasza

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères, 4 maja 1867.

Bohdanie mój drogi, zmora twoja to łaska niezmierna. Roztworz serce szeroko i przyjmij ją całą. Biorąc stronę jej szarą, nie uroń promiennej. Druhu mój, bracie mój, zrozumiej komu więcej odpuszczono, ten więcej miłuje. W miarę jak przesuwają ci się przed oczami winy żywota, za każdą niech powtarza serce: Panie, i toś odpuścił, i to, i to jeszcze, zmyła krew twoja. Winęm kładł na winę, a tyś odpuszczenie kładł na odpuszczenie i jam znużył się grzeszyć pierwej, niżeś się ty znużył odpuszczać. Życie spłynęło w grzechach, a jednak czeka na mnie w królestwie twojem miejsce, któreś dla mnie zgotował. Każda złość moja stała się objawem miłosierdzia twego i przez brzydkość grzechów moich oglądam niepojętą piękność twoją. Będę je liczył życie moje całe, błogosławiąc za każdym inne zmiłowanie twoje i z pasma win moich splotę wieniec chwały tobie. Przecznik kusi mnie do

smutku, bo cię on nie kocha, Panie, straszy, bo nie wie, iż kary mniej bolą niż łzy twoje, grozi wstydem, bo nierozumie rozkoszy unicestwienia się przed tobą. Grubą skalaną glinę serca mego dotknąłeś łaską i stało się przybytkiem, w którym nawiedzasz mnie jak przyjaciel przyjaciela, nim przyjmiesz nawzajem w gościnę wierną w domu Ojca twego. Prawdziwie wszechmoc twoja przeistoczyła śmierć w życie, przepaść w szczyt. Jak głęboko ginąłem, tak wysoko tyś mnie zbawił, winy moje szczeblami do ciebie bo za każdą odpuszczoną kocham cię więcej, goręcej i nędzy mojej miłością pokrytej odpowie stopień chwały u tronu Twego. Bohdanie mój, tak trzeba mówić Panu kiedy widmo grzechów żywota staje przed tobą. Choćby straszne i mnogie były jak wszystkie zbrodnie świata, zmyła je krew Chrystusowa u spowiedzi. Odrzucenia wiecznego za nie być nie może, zostaje tylko kara doczesna tu czy w czyścu, a celem, dla którego dopuszczona zmora, jest miłość. Skoro grzech jaki przypomnisz, nie myśl o sobie, ale spojrz na Chrystusa, który na zmazanie go cierpiał i płacz, ale z wdzięczności, niech cię boli, ale ból Chrystusa. Koj, ciesz, nagradzaj całą siłą, wyznawaj mu, pragnij pogardy i cierpienia dla niego, miłuj, miłuj, miłuj, aż w pocałowaniu jego uśniesz.

Pokój tobie, ukochany, pokój wam wszystkim.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

6 czerwca 1867.

Twoja Antosia [1]), Bohdanie, z serca mi wyrwana. Jeden z ostatnich liści jesieni mojej powiał ku niebie. Kochałyśmy

---

[1]) Antonina z Zaleskich Linowska, rodzona siostra Bohdana, zmarła na Ukrainie w 1867 r. Tak była przywiązana do brata, że niechciała wierzyć, że był wygnanym z kraju i ciągle się go spodziewała.

cię we dwie razem. Jak ona ciebie bywało szuka po wszystkich zakątkach domu i wszystkich ścieżkach ogrodu, mnie jednej na chwilę czasem uwierzy jak jej powiem, że ciebie doprawdy niema i że ty daleko, daleko. Będzie Pan pewnie miłościw tej cichej i kochającej duszy. Same smutki ze wszech stron. Będziem się modlić bardzo o wyzdrowienie Zosi. Straszno mi o Bronisława [1]).

Dobrze się stało, że się różne dawne znajomości odnowiło i nowe niektóre zabrało. Bohuś kiedyś opowiadać będzie pustelnikom, którzy jak się z cel Hyerskich wychylą, niby dzicy ludzie wyglądać będą, tak z nikim żadnych stosunków nie mają.

Do zobaczenia, kochani. Opieka Matki Boskiej nad wami.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

19 maja 1867.

Mój Bohusiu, mój drogi, czemże ja sobie u Boga na taką słodką kartkę od ciebie zasłużyła? Wprawdzie tyś mój druh z tak dalekiej przeszłości, że w pamięci początek nawet się mi mroczy. Od kiedy ja, odtąd ty ze mną. Kiedy cię jeszcze oczy moje nie widziały i nie myślałam czy kiedy widzieć będą, dziecię, upatrzywszy się na obszar zielony w podróżach od Bohu do Rosi, nabiegawszy się z góry na dół ogromnych mogił przy karczmie, w której się nocowało wśród stepu, wracało do domu i w dumach twoich znów patrzało na step i mogiły. Jednako, Bohdanie, ciężym ku tej ziemi, jednako piersiami grzejem kości, które w niej leżą, by powstały na naukę, przykład czy grozę pokoleniu, które szlaków pustyni

---

[1]) Zaleski.

zapomniało i ginie w zamieci, niewiedząc już który do Tatarszczyzny, gdzie niewola, a który do Polszczy wiedzie. Jakżebyśmy się nie rozumieli wzajemnie i nie kochali.

Ale, Bohdanie, jeśli posłannictwo to same, miarą potęgi nierówna, kiedy ty mnie cząstkę czasu twego dajesz, odłamujesz cząstkę skarbu dla mnie, wartości większej niż wszystko mienie moje. Nie Bolesławowi więc i Leszkowi, tylko Nisi dajesz. I jeszcze! myśl włożenia kapitaliku swego! O Bohusiu, już też by mnie Pan Bóg karał. Alboż ty nie wiesz, że ja w żadnej rzeczy na tym świecie szczęścia nie mam. A do tego dziełko katolickie. Któż je kupi? Już mi się sumienie odzywać zaczynało względem nieboraka księgarza, który się podejmie, jeśli się podejmie, co bardzo wątpliwie. Jeśli go przeczucie ostrzeże, uczyni ono to właśnie, co jabym uczynić powinna, idąc za przykładem poczciwego Królikowskiego, który we własnej księgarni mówi: „Ej nie kupuj, bo to licha książka“. Ej nie wydawaj, bo nie wyjdziesz na swojem.

Dziękuję, Bohusiu, za „Nuncyuszów“ [1]). Jeszcze nie przyszły. Musicie mieć pod ręką „Historyę polską“ Szujskiego, przyszlij mi ją także i królodworski rękopis po polsku.

Ledwie przez trzy ostatnie noce mogłam przepatrzyć rękopis, w którym to imiona, to daty tu i owdzie brakowało. Parę kartek dodałam na dokładniejsze zrozumienie niektórych rzeczy, poznasz je po okropnej bazgraninie. Niektóre znów ujęłam, między innemi „Prawa pogańskie litewskich ludów“, bo właściwe ich miejsce w panowaniu dawniejszych królów.

Nie uspieszyłam z kilku drobnemi poprawkami, naprzykład: Książe Przemyśl czasem nazwany Przemysławem. Trzeba to przepisując poprawić, zostawując imię Przemysława dla tego, który był później królem i żonę miał Ludgardę. Inaczej łatwo ich pomieszać. Gdzie mowa o Lutaworze, praojcu Ja-

---

[1]) Dzieło historyczne.

giellonów, zdaje mi się, że jest napisano: skoro posiadał na dziedzictwo ziemię, znać, iż był z rodu książąt, czy coś tam podobnego. Trzeba poprawić, zamiast: posiadał na dziedzictwo, napisać: skoro na własność dziedziczną miał ziemię, i wyraz własność podkreślić, bo na Litwie posiadał ziemię kto chciał, ale własność jej miał tylko ród książęcy. Puste kartki nic nie znaczą i nie stanowią rozdziałów.

Jeszcze poprawka; przy końcu gdzieś napisano, że Konrad czy Bolesław Mazowiecki krewnym był któregoś księcia Wołyńskiego po matce, trzeba po matce wymazać.

Tak miałam głowę rozbolałą i zmęczoną owych trzech nocy, że pisałam bez sensu. Dopiero teraz przypominam sobie i widzę niedorzeczność. Tam gdzie opisanie z kronik ruskich buntu Bojarów przeciw Danielowi, i zamiar ich rozebrania między sobą ziemi Halickiej, piszę niewiem już jakiemi słowami, że gubili ziemię, bo niemającześrednionej siły wojskowej, stałaby się ona łupem lada przywłaszczyciela, trzebaby tak poprawić: „Niemającześrednionej siły wojskowej, zostałaby natychmiast zajętą przez Tatarów, którzy nieznajdując księcia. daliby ją w rząd bezpośredni Boskakom. A któż nie wiedział, iż ostatecznym to było kresem poniżenia i nieszczęścia“.

Mam nadzieję, że to już raz ostatni mądrość moja po niewczasie nudy tobie przyczyni.

Otóż i wszystko, Bohusiu. Nie, nie wszystko, jeszcze zostało coś nie w głowie, ale w sercu. Jeśli poczciwa była praca, Bóg mi już nagrodził, bo mi z powodu niej dał uczuć, jaki ty dla mnie dobry, Bohusiu.

Niech ci sam Chrystus łaską odpłaci. Pokochaj bardzo Zosię odemnie.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

1867.

Bohdanie mój drogi, korzystam z wolnej chwili, aby ci na twoje kilka słów o Galicyi odpowiedzieć. Niesprawiedliwie dzienniki na sejm lwowski powstają. Nie rozumieją położenia naszego. Dziś nie autonomia Galicyi, nie język i szkoły są najważniejszą dla niej i dla całego narodu sprawą, ale wzmocnienie Austryi do tyle, aby zmuszoną nie była odstąpić Galicyi Moskwie, i to wzmocnienie jej rychłe, bo za kilka miesięcy bodaj, czy się Moskwa nie ruszy, a zmiany ministeryów, a z niemi systemów, urządzeń wnętrznych, tak osłabiają, że rozebrać ją mogą w tym nieładzie nim jej podobne będzie do obrony się przygotować. Beusta zrzucać nie trzeba, bo jeden człowiek z energią. Jeśli chciał jakieś korzyści Moskwie ustąpić na Wschodzie, to tak warunkowie, że ich ona pewnieby nie przyjęła, a sprawę Galicyi zdaje się rozumieć i Świętojurców naglądać lepiej niżeli jego poprzednicy.

W mniej gorących nawet czasach, nie możemy w opozycyi rządowi stawać w jednym rzędzie z Czechami, Horwatami etc. Oni oderwaliby się od Austryi w razie tylko gdyby im z nią było źle, my zaś i w najlepszych warunkach tymczasowego jedynie związku z nią pragniem. To już stanowisko ich względem rządu odmiennem czyni od naszego i dozwala im śmiałości daleko więcej, jako swoim domownikom, kiedy my dając się za obcych, w gospodarstwie państwa jesteśmy przelotni. Mamy prawa historyczne ale nie względem rządu austryackiego. Inni Słowianie należą do Austryi wskutek naprzód połączeń małżeńskich książąt, później dobrowolnego obrania dziś panującego domu w zamian zawarowania swobód narodowych, Galicya zabrana bez jej zezwolenia, a więc bez związania jakiegokolwiek ze strony rządu. Oni są równi, my zwyciężeni. Oni na prawie pisanem i zaprzysiężonem, my na łasce. Wiem, że Galicya, równie jak Wielkie

Księstwo Poznańskie, jakieś ma zawarowania z 1815 r. Ale cóż za różnica między obietnicą narzuconą nowemu Panu przez ościenne mocarstwa, które mu bezbronną ziemię darują, a prawami zastrzeżonemi między dwoma łączącemi się potęgami, między dwoma narodami wolnymi.

Oni do boju występują w zbroi, my nadzy. Nie możem więc jednakowym sposobem walczyć. Niebezpieczeństwo niejednakie. Oni z powodu stanowiska swego i dadzą sobie sejmy znosić i na ostre długo iść będą i na końcu w dawnem swem przynajmniej, jeśli nie w lepszem położeniu zostaną, a my wywoławszy zemstę, zejść możem na te, które w państwie moskiewskiem zajmujem, i ostatni szczątek narodowości zaginie.

Żubrzyć się kiedy sił odpowiednich niema, wobec Europy jest śmiesznością, a dla nas zgubą. Dzienniki tak bardzo wojowniczym duchem tchnące idą na pewne zwycięstwo, i ani myślą obrachować co też narażają w razie przegranej. Naśladują na polu politycznem tych, którzy temu kilka lat patryotyzm na zbrojnem powstaniu zakładali. Jeśli się ich, uchowaj Boże, poczciwi ludzie ulękną i posłuchają, będzie wkrótce z Galicyą co dziś z Litwą i Rusią i dopiero ci, którzy im teraz poklaskują, poniewczasie uznają jak o powstaniu, że ich rada była szkodliwa. Jeśli ma się stać źle z Galicyą, niechże przynajmniej nie z naszej winy. Zarzuty Ziemiałkowskiemu i innym, że przemawiali za adresem a nazajutrz przeciw, dziecinne aż przykro, jakby adres był artykułem wiary bezwzględnym i pożyteczność podania go niezależała od okoliczności. Ziemiałkowski wszelkiej pochwały godzien, iż przez miłość własną przy swojem się nie upierał, a patrzał li tylko na dobre powszechne. Co myśleć o tem wyznaniu „Dziennika Poznańskiego“: „Kto jak my stał od początku do końca przy „chorągwi federacyjnej, co więcej, kto jak my w dziennikar„stwie polskiem dał jej inicyatywę, nie może bez uczucia głę„bokiego żalu i boleści spoglądać na fakt wywrócenia swego

„programu i swych nadziei przez niefortunną uchwałę sejmu „lwowskiego“. Co to znaczy? Czy sejm miał obowiązek stosowania się wczas i niewczas do programatów federacyjnych czy innych dziennikarzy? Czy mamy spełniać jakieś oderwane teorye? Czy nawet mamy obowiązek narażać się na śmierć dla dźwigania stokroć lepiej od nas stojących Czechów i Horwatów? Winniśmy im bratnią pomoc, ale tylko dopóki ta nie stawia ostatków istnienia naszego na kartę. Jedna tylko wiara. jako rzecz zbawienia, tycząca nad wszystkie względy wyniesioną być powinna, bo potrzebniejsza jeszcze ojczyzna wieczna od ojczyzny doczesnej.

Delegaci galicyjscy nie mieli prawa ofiarę czynić z ojczyzny dla Czechów i Horwatów i obiecać za nią, że się na śmierć narazi, aby ich nie opuścić, tego rodzaju obietnice nie obowiązują. Bo w dobrej sprawie człowiek ma prawo iść na jawną śmierć, a naród nie, chyba za wiarę. „Dziennik poznański“ nie rozumie nawet, że ową chorągiew federacyjną wywiesił bardzo bezinteresownie, bo ona Galicyi nie osłania. Federować się tylko mogą i będą kraje, które są jako stany przez rząd austryacki uznane, a Galicya nie jest stanem tylko prowincyą austryacką. Gdybyśmy więc nawet z narażeniem życia narodowego wywalczyli federacyą, moglibyśmy sami pozostać skazani na zniemczenie. Nietrzeba tej prawdy rozgłaszać po dziennikach, bo na złe by ją obrócić można ale ją trzeba znać, aby ostatniego tchu narodowego nie oddać za marę. Zależym najzupełniej od dobrej woli rządu austryackiego. Udawać, iż się tej smutnej rzeczywistości niewidzi, ubliża godności naszej. Wszak nie krzywdzi być nieszczęśliwym. Pokrywać ją butnością jestto dla miłości własnej poświęcać przyszłość kraju. O tyle uzyskamy autonomii, o ile rząd austryacki sądzić będzie, iż jej przeciw niemu nie użyjem, a dziennikarstwo wbrew wszelkiemu rozsądkowi drażni Beusta, od którego dziś los Galicyi zależy, grozi mu zrzuceniem z ministerstwa (z czegoby się dopiero Moskwa ucieszyła).

ogłasza rozmowy jego z jednym z posłów sejmowych, wszelkim sposobem rozszerza niechęć w kraju przeciw niemu i przeciw rządowi, chociaż nic jeszcze stanowczego nie zapadło. Cóż dziwnego będzie jeśli się z nami po nieprzyjacielsku obejdą. Trzeba nam powagi i pokoju i szukania środków pojednania na te lata, w których jedyne zbawienie szczątków narodowości naszej zależy na połączeniu z Austryą.

Pokaż tę kartkę Bronisławowi. Do zobaczenia, łaska Boża z wami.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères, 3 lipca 1867.

Zgadłeś, mój Bohusiu, czemu nie pisałam. Ale była jeszcze inna przyczyna, zmęczenie tak wielkie, że już ani się ruszyć, ani dwóch myśli skleić nie mogłam. Teraz odeszłam trochę. Myśl ciągle z wami. Biedna Zosia, biedny ty.

Mój chory gwałtownych bolów się już pozbył i od kilku dni przewożą go na krześle do trzeciego pokoju na godzinkę. Wychudł, wynędzniał aż żal patrzeć.

Drogi mój, nie dziwię się że, pomimo trosk domowych, pracujesz trochę. Są wypadki, na które umarłyby się zerwał. Ale, Bohusiu, nie trzeba było piętnować imiennie. Bardzo się boję, aby z tego jaka zła sprawa nie wynikła, co, Matko Najświętsza, odwróć. Dziękuję, duszko, za pilnowanie, przepisywania. Zmiłuj się, niech ono tobie kłopotu nie pomnaża, wszak leżeć jeszcze może będzie długo.

. . . .

I ja, Bohusiu, coś tam także niby robię. Chory mój spokojniejszy, to jaką godzinę wieczorem mam wolną. Mało co piszę, uczę się. Wertuję kartka po kartce Volumina praw. Sprawiłam sobie cały komplet praw rzymskich, które tyle

wpływu miały na nowoczesne dzieje. Ani praw bez dokładnej znajomości dziejów, ani dziejów bez znajomości praw zrozumieć nie można. Wiele rzeczy przytaczają nierozumiejąc ducha, albo chwytając kilka słów, które inne mają znaczenie w całości. Czy się na co przyda, że ja to będę wiedziała? Bóg wie, mnie się zdaje, że nie, że nic nigdy nie wykończę, a co wykończę tak będzie niezrozumiałe i ciężkie, że nikt nigdy nie przeczyta. Owej francuskiej pracy anibyś poznał, tyle różnych rzeczy pododawanych. Będzie z nią może jak z obrazem mego oszalałego malarza, który ciągle farby dokładał i widział najcudniejsze, tworzące się pod pędzlem, postacie, a dla wszystkich były to tylko farby bez rysunku, kształtu i myśli. To bude szczo bude, a to bude szczo Boh daśt. Nie patrzeć w przeszłość i niepisać nagrobków pokoleniom, które minęły, nie mogę.

Proszę nie myśleć, żem na Pandektach bzika dostała. Stoją do poradzenia się, a naprawdę uczę się naszych dawnych, dobrych i złych praw, i staram się całość budowy Rzeczypospolitej odgadnąć, a raczej rozumieć.

Do zobaczenia, mój kochany. Opieka Matki Boskiej nad wami tam wszystkimi.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères, 20 sierpnia 1867.

Myślałam sobie nieraz, drogi mój Bohusiu, że ty kartki dawno już od nas niemasz. Mamcia tak gwałtownie od rana do nocy pracowała na przejrzenie papierów swoich, że i chwilki wolnej nie miała. I ja niewiele wolnego czasu miałam, liczyłam na gwar gości i dzieci, że ci oczekiwaniu kartki przetrąci, bo, mój drogi, co tu pisać, jedno i jedno i to samo. Cicho, tylko Pan we Mszy św. przychodzi co rano, wierny

nasz gość, który wszelką próżń zapełnia. Kto tu z nas idzie do życia, kto do śmierci, on tylko jeden wie.

Teraz pocieszenie niezmierne z wieści, że Zosi jest lepiej, że wstaje. Dwa dni temu odjechała Cezia Gruszecka do męża. Dla nas prawdziwa katastrofa. Niewypowiem ile nam ona była pomocą i materyalnie i duchownie od początku cierpień Darcia. Zostaliśmy dwoje starców na górze, dwoje niedołęgów na dole, najzupełniej sami, bo nawet co było nieco bliżej znajomych Francuzów i księży rozjechało się na lato i przed końcem października nie wrócą. Pilniej za to czuwać będą aniołowie stróże. Gdyby to, który z nich przychodził do Darcia na gawędkę. Nudzi się biedak w łóżku, a długiego czytania głośnego jeszcze nie znosi. Każe mi powiedzieć tobie, że ci grzechu ugryzki panslawistów posyła rozgrzeszenie, które potwierdza całą siłą Cezia, babka kościelna.

Patrzę na was zdala. Cieszę się, że choć troszeczkę biedna Zosia odżyła. Słucham jak młodzież gwarzy.

. . . .

Dość na dziś. Do zobaczenia, drodzy moi, miłosierdzie Pańskie z wami.

Nisia.

Do pani Zofii Zaleskiej.

Hyères, 4 września 1867.

Dziękczynienie i błogosławieństwo miłosiernemu Bogu naszemu, przed wszelkiem mojem słowem niech będzie to pierwsze do ciebie, odzyskana, wskrzeszona, Zosiu droga. Nie uwierzylam sobie kiedy rozpieczętowawszy kopertę, ujrzałam trzy karteczki twoją ręką pisane. Przepatrywałam czy się nie mylę i bodaj czy nie zajrzałam do podpisu, nim czytać zaczęłam, tak mi był niespodziewany ten dowód prawdziwego dźwignienia się twego. Jeśli na dopełnienie wyleczenia, po-

komu, nikomu, ani nawet Zosi jak wróci, nie mów, że mi było tak źle. Jeśli będzie lepiej, zmiarkujesz to z listów Zosi i Józi, gdyby było gorzej, zarazbym dała znać tobie, żebyś, mój druhu, przyjechał. Na częste kartki moje nie licz, chyba Bóg wróci zdrowia i sił trochę. Nikt nie wie, że do ciebie dziś piszę, łajaliby, że się męczę, ale to nie zmęczenie.

Do zobaczenia, drogi, bo już dłużej nie mogę.

Dyzia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères, 16 listopada 1867.

Mój najdroższy, wczoraj Dyźcia ostatnie pomazanie i sakramenta przyjęła spokojna. Czeka rozkazu Pańskiego. Mizerna mży ciągle.

Módlmy się, twoja

Mamcia [1]).

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères, 18 listopada 1867.

Druhu mój kochany, żyję i mówią, że jeszcze trochę pociągnę. Nie przyjeżdżaj, że chybabym sama ci dała znać. Wiem, że masz kłopoty. Obowiązek przedewszystkiem, bo obowiązek to myśl Boża o nas, szczególny, dla każdego inny związek osobistości jego z Bogiem, ścieżka przez Boga wytknięta do przeznaczonego przez Niego celu. U tego celu zejdziem się wszyscy, my którzyśmy przed chwilą poczęcia wcale nie istnieli, istnieć będziem przez wieczność.

Bohdanie, niech cię Bóg broni myśleć i jako poetyczny obrazek podawać, że dusze ludzkie istniały przed stworzeniem

---

[1]) Felicya Iwanowska.

ich ciał[1]), to kacerstwo i niech cię ono śpiewnością w potępienie nie łudzi.

Ukochany, który szaty swe bielisz przed nadejściem Pana, ufaj mu i kochaj go, i niech ci dla niego nic nie będzie żal. Wszelką ofiarę, którą masz mu złożyć, daj nie żałując, ochotnie, a on ci rychło odda wszystko w sto nasob, nie patrz w ziemię, ale w górę, w Chrystusa, to .pójdziesz kiedyś do Niego z pieśnią radości na ustach.

Dyzcia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères, 23 listopada 1867.

Mój najdroższy, dziś był doktor Tessier z Lyonu, znalazł Dyzcię w najgorszym stanie, z obydwóch stron płuca mocno zaatakowane, nogi opuchłe. „Il n'est pas possible de conjurer le mal“ powiedział i wyjechał. Ona biedaczka zna swój stan lepiej i dawniej niźli lekarze. Codzień ociężałe powieki gwałtem podnosi i coś porządkuje, raczej każe porządkować przy sobie, wszystko to chwilami, bo zwykle mży tylko. Jak serce boli, jaki smutek, któż to wypowie? Niech nad nami się Bóg ulituje.

Łasce Boga i opiece ciebie z twoimi oddaję.

Mamcia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères, 26 listopada 1867.

Bohdanie drogi mój, ukradkiem słowo tobie miłości i pociechy. Tleję jeszcze, nie zrywaj się do mnie. Nasza kró-

---

[1]) Bohdan Zaleski wierzył, że dusze ludzkie przechodzą z pokolenia w pokolenia. „Złota Duma“, poemat zaczęty w 1836 r.. miała opiewać przechód duszy przez różne czasy, została przerwana po zapoznaniu się autora z panią Dyonizyą Poniatowską, która zapewne wskazała błędne zapatrywanie, sprzeczne z nauką kościoła.

lowa taka łaskawa i święta, niech cię do macierzyńskiego serca swego przytuli teraz i na wieki ze wszystką rodzinką twoją.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères, 30 listopada 1867.

Mój Bohusiu, zawsze to samo, zawsze coraz gorzej. Niemam siły opisywać. Bóg z tobą.

Twoja do śmierci przywiązana.

Mamcia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères, 5 grudnia 1867.

Drogi mój, pamiętasz ów romans napisany w młodości mojej, który jest u ciebie. Wolą jest moją i rozkazaniem, a do serca twego prośbą, aby był spalony jeszcze za mego życia, bo nie umrę spokojna, jeśli nie będę wiedziała, że zniszczony. Odpisz mi na to choć słowo, a oczekiwać będę drugiego słowa: Już spalone. Ale gdyby ty był miłosierny, odpisałbyś zaraz: Już spalone.

Widzisz, słodki druhu mój, że jeszcze ciągnę. Bóg tak pozwala na sprostowanie wielu rzeczy i żałowania wielu przed śmiercią. Błogosławiona jego niepojęta, nieprzebrana dobroć i litość nad niewdzięcznem i grzesznem stworzeniem. Spokojnam o ciebie i o wszystkich moich, i o kraj i o wszystko, bo On jest. —

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères, 11 grudnia 1867.

Bohusiu mój drogi, wykradam chwilkę, aby wam donieść o Darciu. Jest lepiej, ale jakże to lepiej, daleko jeszcze od dobrze. Doktor Allegre zadowolniony z postępu i my nie możem niewidzieć, że ramiona i ręce daleko są wolniejsze, że boleści coraz mniej gwałtowne. Jednak zawsze w łóżku i sam bez pomocy, ani się podnieść może, ani obrócić. Sadzają go dwa razy na dzień na fotelu, poczem zwykle bardzo zmęczony.

. . . .

A wiecie, kochani, że nam Bóg dał świętego? Nikt o nim za życia nie wiedział, a po śmierci objawia go Bóg cudami. Błogosławiony Pan, który o nas nie zapomniał.

Wszelka łaska i pociecha Jego z wami.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères, 14 grudnia 1867.

Dziś o pół do 9-ej zrana, Darcio, szczęście nasze na ziemi, stanął u Boga. Twoja

Mamcia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères, 19 grudnia 1867.

Mój drogi Bohusiu, 14-go zaraz po śmierci najdroższego mego syna Daryusza, pisałam do ciebie i donosiłam o naszem nieszczęściu. Od czasu tej bolesnej straty i po pogrzebie, który odbył się 17-go, jestem duszą i sercem przykuta do najsmutniejszego widoku jaki być może na świecie, Dyzci, mego anioła, opuszczającego tę ziemię. Nie mogę pisać szczegółów, coś w sercu i w głowie mi zamiera.

Łaska Boska z tobą, z dziatkami twojemi, po staremu do twego serca przypadam zbolała, ale poddana Bogu, twoja

Mamcia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères, 25 grudnia 1867.

Mój najdroższy, ja wiem, żebyś ty mnie rad pocieszyć, ale niema dla mnie pociechy na ziemi. Dyzcia w okropnym stanie, raz spojrzawszy na jej opuchłe i poranione nogi, dość jest dla matki aby póki życia, nosić je w sercu, a cóż dopiero patrzeć na inne symptomata ostateczne prawie. Nie mam łzy, nie mam wyrazu, ni słowa, skupiona jestem w jej męce. Mówi, że miłosierdzie Boże sprawia, iż niewiele cierpi, ale temu trudno wierzę. Rezygnacya sprawia, iż jej się niedość jeszcze wielkie zdają. Ciągle w uśpieniu, ledwo na chwilę kiedy oczy otworzy. Chciałam w nocy przychodzić, ale nie mogąc mówić, rozpaczliwą do mnie napisała kartkę: „Il faut que je sache que la vie du coeur est loin de moi. Niech mi mama wierzy, inaczej jest to z uszczerbkiem mego życia. J'ai trop abusé de la vie de coeur". Oto przyczyna, dla której nikt do niej nie chodzi. A któżby chciał szczerbić tę resztkę jeszcze życia? Tak biedna wypluła płuca, że słowa przemówić nie może.

Ręce, serce twoje całuję, modlitwom się twoim oddaję.

Mamcia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères, 30 grudnia 1867.

Druhu mój kochany, jak ty tam zajechał? [1]). Czy zdrowo i szczęśliwie?

U nas nic nowego. Znacznie słabnę ale nic więcej. Pozdrów kochanych wszystkich, szczególnie Bronisława[2]). Niech on serce rozszerzy, niech zrozumie co to Chrystus, niech zrozu-

---

[1]) Bohdan Zaleski przyjechał do Hyères by przywieść żonę i córkę z Hyères do Nicei i wrócił do Paryża.

[2]) Zaleskiego.

mie, że uczcić go nie jest w naszej mocy inaczej jak w kościele, który on sobie krwią swoją przysposobił, i który jest prawdziwą oblubienicą jego, wyszłą z przebitego boku jego, jak Ewa z boku Adama. Niech nie patrzy na ludzkie ułomności, bo w tem właśnie jest cud, iż w tych ludziach do nas wszystkich podobnych, złożył wiedzę prawd Ducha św. i skarb łask swoich dla wszystkich, którzy żyją i przyjąć je chcą, a zatracić ich nie mogą. Niech nie kładzie granic prawom kościoła i nie mówi w tem może, a w tem nie może rozkazywać, bo dla tej rodziny Chrystusa, która się pod skrzydła jego zgromadza, cały ogrom słońc i ziemi jest stworzony. Wszystko inne jak plewa się osypie w zatracenie, w śmierć wieczną, którą dobrowolnie przenieśli nad zbawienie. On jeden na wieczne królowanie z ciałem i z duszą do niebios się wzniesie. Na ziemi, w którą stronę rzucić zechce światło Ducha św., które posiada, powinniśmy je przyjąć z twarzą ku ziemi pochyloną, czy je rozumiemy czy nie, czy nam do przekonania przemawia czy nie, bo jest niemylne, jako światło Boże. I powiemy, że nieomylność niema prawa oświecania tego lub owego przedmiotu na ziemi?

Kościół nie jest przedmiotem czysto duchowym. Różni się w tem od chórów anielskich.

Celem Chrystusa Boga, który się wcielił, jest podniesienie materyi ciała aż do chwały i szczęśliwości niebieskiej, pojęcie więc kościoła w sferze czysto duchowej jest najzupełniej mylne.

Kościół jest to przeniesienie ziemi do nieba, utworzenie wiecznego królestwa z doczesnych i to wcale nie przez allegoryę, bo to cielesne, duchowe królestwo, w którem z ciałami swemi żyć będą ci, którzy dobrodziejstwa upornie nie odmówili i nie przełożyli nad nie doczesność, zacznie się zaraz po zmartwychwstaniu.

Rozum na tych wyżynach nie na wiele się zda. Nie dosięga ich, nie jest zdolnością stworzoną i przeznaczoną na

przeniesienie prawd nadprzyrodzonych od Boga do człowieka, tak dalece, że gdyby kto rozumem swoim pojął i jasno rozumiał i widział wszystkie prawdy i tajemnice wiary i wierzył im ponieważ mu się tak jasno przedstawiają, nicby mu się to do zbawienia nie przydało, bo aby akt wiary ku zbawieniu służył, trzeba aby był oparty nie na świadectwie rozumu własnego, ale na świadectwie kościoła, który prawdę zostawioną mu przez Chrystusa do wierzenia podaje. Panie, wierzę nie dlatego, że rozum mój widzi, bo on jest omylny, a choćby nawet był nieomylny, cóżbym miał za zasługę, ale wierzę dlatego, że Ty nieomylny i godzien wszelkiej wiary i miłości tak mówisz, wierzę, nie, że ufam sobie, ale że ufam i czczę Ciebie.

Bądź zdrów, Bohdanie, trzeci już dzień dodaję po kilka wierszy do tej kartki. Jutro Nowy Rok. Wielki rok, w którym zapewne ujrzę Pana mego, Hosanna na wysokości! Twoja

Dyzcia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères, 3 stycznia 1868.

Drogi, kochany, pod wrażeniem własnego smutku napisałeś do mamci kartkę, wzywając ją do rezygnacyi i mówiąc o mojem odejściu prędkiem, nic nie mówiąc o nadziei, że wszechmoc Boga może jej dziecię zachować. Uderzyło ją to okropnie. Bardzo płakała, skarżyła się, że miłosierdzia nad nią nie mają, że jej rany rozdzierają, że jej ciągle wszyscy mówią o mojej śmierci, jakby o wyroku nieodwołanym. Niewiem co do ciebie odpisała. Cobądź, odpowiedź jej tak: Modlę Pana, aby ci dziecię zostawił, wiarę mam mocną, że jeśli to z dobrem ma być, pewnie to uczyni, a że w żalu ludzką tylko gorzką stronę widziałem i o tej boleści mojej mówiłem. Źlem

zrobił, bo miłosierdzia i wszechmocy Bożej nigdy z oka spuszczać nie trzeba w żadnym razie, i byłbym serca mamci nie zakrwawił. Poprawię się i dla siebie i dla mamci. Przepisz to dosłownie.

Cóż chcesz, serce matki nie może patrzeć tygodniami i miesiącami na chore dziecko z przekonaniem, że umrze. Już to przekonanie później przyjdzie, tem lepiej, ponieważ się ona biedna ani religijnym, ani żadnym innym obowiązkom nie sprzeciwia. A jak przyjdzie godzina, Pan da łaskę.

Miłosierdzie Boże z wami.

Dyzcia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères, 6 stycznia 1868.

Mój Bohdanie! przerażona nowem nieszczęściem, piszę do ciebie. Dyzcia ma jakiś atak do oczu, który jej od chwili do chwili grozi zupełną ślepotą. Dwa razy raptem jej zaciemniło oczy, że przestała widzieć i odeszło, dzięki Bogu. Dziś odebrała twój list i jeszcze go przeczytała. Nie pisuj do niej, aby nie miała tentacyi czytać. Kazali jej zostawać w najzupełniejszej ciemności i pokoju, nie czytać i nie myśleć.

. . . .

Łasce i opiece Boga ciebie i twoich polecam, mój najdroższy, twoja

Mamcia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères, 29 stycznia 1868.

Bohdanie mój drogi, Dyzia bardzo źle, znowu lada chwilka czekamy jej końca. Osłabienie straszne, nic nie może jeść ani pić. Gorączka wielka, puchlizna wzmaga się.

Ani ona nie mówi, ani do niej niema sposobu przemówić. Cierpi i jęczy niesłychanie, w ciągłym stanie jest jakby mrzenia. Nic ci już tu do-

dać niemam, złe ostateczne dla drogiej naszej. Boże bądź nam wszystkim miłościw.

Całem sercem twoja

Konstancya [1]).

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères, 5 lutego 1868.

Słówko, Bohdanie drogi, tyle tylko, żebyś nie ginął z niepewności. Lekarz spodziewa się, że nasza święta chora przeżyje jeszcze tę noc. Jak martwa, nie mówi, nie patrzy, zimna, połykać już prawie nie może. Śmierć rozlana na jej twarzy, ale przytomna. Wynędzniała okropnie od twojej bytności, bo cierpi bez miary. Znowu leżeć nie może, puchlizna wzmaga się, nogi coraz w straszliwszym stanie. A taki cudowny wyraz pokoju w tej twarzy. Patrząc na nią mimowolnie staje mi w oczach taka jaką była przed laty, młodą, cudnie piękną, powiewną a zawsze z tym samym wyrazem niebieskim. Była od urodzenia aniołem i aniołem kończy życie.

Dosłownie ledwo żyjemy i na nogach się trzymamy, rodzice i ja.

Bóg z tobą, Bohdanie drogi, i łaska, niech boleść nie rozbiera serce twoje, bo obowiązków i życia jeszcze wiele przed tobą, twoja

Konstancya.

Mr. Bohdan Zaleski.

Paris.

Hyères, 6 Fevrier 1868 [2]).

Denise est en Dieu.

Iwanowska.

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères, 8 lutego 1868.

Bohdanie drogi, spełniony kielich, nasza święta w niebie. Zwłoki jej dziś złożyliśmy w kościele obok męża. Cóż ci o nas powiedzieć? Matka pła-

---

[1]) Rzewuska.

[2]) Telegram.

cze a placze. Ojciec opadł na siłach jak nigdy, mnie się w sercu i w głowie mąci.

Leżała na katafalku jakby żywa z takim wyrazem boleści, że aż przerażała każdego, ale obok tego, pokój wielki był także. Niewidziałam nigdy, ani ja, ani ci co ją odwiedzali, aby śmierć tak nic nienaruszyła indywidualności jak u niej. Z tą samą, jej wrodzoną, anielską gracyą do trumny ją włożono. Ręce, cała postać nic nie przebrała postaci śmierci, nawet skostnienie śmiertelne naruszyć nieśmiało tej świętej piękności.

Dnia 6 lutego, o szóstej zrana, westchnieniem Bogu ducha oddała. Wiele godzin przedtem, na dzień cały, już była zimna i długo stało życie nim zgasło. Wszyscyśmy byli przy niej. Krzyż z odpustami pierwszy raz podany przez zakonnicę do pocałowania, odsunęła mówiąc: jeszcze nie czas. Za drugim razem przytuliła go do serca i do ust całując i miłując swego Pana.

Dziś cicho i pusto u nas. Bohdanie, jeszcze w kraju będąc, zaczęłam dopełniać dawno naglącą potrzebę mej duszy. Prawie rówieśnica Dyzi, z nią z łaski Bożej życie w miłości ścisłej nam przeszło. Nikt może jej nie znał i tyle o niej nie wie, co ja. Zaczęłam więc opisywać życie jej. Teraz dokończę, tobie do przejrzenia poszlę; doda się czy ujmie, jak osądzicie z Ojcem Hieronimem, który przez wiele lat był jej spowiednikiem, i dla Bożej chwały i korzyści żyjących, wydamy to.

Wszelka łaska Boża z tobą i twoimi niech będzie.

Konstancya.

Do Bohdana Zaleskiego.

Hyères, 9 lutego 1868.

Mój Bohusiu, 5-go t. m. telegrafowałam do ciebie z boleśną wieścią o mojem osieroceniu. Odtąd od ciebie ani słowa nieodebrałam.

Wczoraj złożyliśmy Dyźię moją w kościelnym sklepie[1]), obok Darcia. Otóż żyję jeszcze.

Bogu cię oddaję.

Mamcia.

---

[1]) Grób Poniatowskich znajduje się w kaplicy szpitalnej miasta Hyères.

KONIEC.

SPIS RZECZY.

SPIS RZECZY.



SPIS RZECZY.